

...HISTORYCZNY THRILLER PRZYKLIWAJĄCY UWAGĘ AŻ DO OSTATNIEJ STRONY (Publisher: Mielży)

ROBYN YOUNG

BRACTWO



-Książki.com-



Robyn Young

Bractwo

Brethren

Przełożyła Maria Grabska- Ryńska

Wydawca: Książnica

Rok wydania: 2007

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję Ci, Czytelniku, że czytasz tę stronę, choć nie masz pojęcia, kim są wymienione niżej osoby. Wiedz zatem, że bez nich książka by nie powstała.

Składałam podziękowania i wyrazy miłości mamie i tacie – za ich wsparcie przez tyle lat. Dzięki Wam znacznie łatwiej mi było urzeczywistnić to marzenie. Dziękuję także reszcie rodziny, zwłaszcza dziadkowi Kenowi Youngowi za jego opowieści.

Wielkie dzięki wszystkim moim przyjaciółom (wiecie, że to o Was piszę!) za słowa otuchy i za zorganizowanie mi życia poza komputerem. Szczególne podziękowania dla Jo oraz Sue i Dave'a, którzy stali się dla mnie drugą rodziną. Uściski dla kolegów po piórze –

Clare, Liz, Nialla i Moniki – za nieocenione wsparcie fachowe i emocjonalne. Dziękuję też przyjaciółom i wykładowcom z Uniwersytetu Sussex za cenne wskazówki oraz Sophii za poprawienie pewnego łacińskiego lapsusu.

Wyrazy wdzięczności składam memu agentowi, Rupertowi Heathowi – za jego wiarę, nieznużoną pomoc i wnikliwe uwagi, za oczyszczenie tekstu z yoda-izmów oraz za to, że wielokrotnie zmuszał mnie do śmiechu. Uznanie należy się także mistrzowi sztuki redaktorskiej, Nickowi Sayersowi, i jego pomocnicy, Anne Clarke, a także reszcie fantastycznej ekipy wydawnictwa Hodder & Stoughton za ciepłe przyjęcie, entuzjazm i poświęcenie. Dziękuję także mojej amerykańskiej redaktorce, Julie Doughty z wydawnictwa Dutton, za poczynioną w samą porę kapitalną sugestię.

Dziękuję Amalowi al-Ayoubiemu ze School of Oriental and African Studies za korektę wyrażen arabskich oraz Markowi Philpottowi z Centre for Medieval & Renaissance Studies oraz Keble College w Oksfordzie za przejrzenie tekstu i ustrzeżenie amatorki przed historycznymi wpadkami. Wszelkie pozostałe na tych stronicach błędy można, niestety, przypisać tylko mnie.

Na koniec zaś, lecz w pierwszym rzędzie, wyrazy miłości dla Lee – za wszystko powyższe i wszystko inne.

PROLOG

Z Księgi Graala

Od słońca lśni jezioro jaśniej,

Skłębionym żarem wre przepastnym

I choć nie ujdzie zeń, co żywe,

Istoty mroczne i straszliwe,

Wijące się Percewal zoczył

Śród ogni bursztynowych, złotych,

Jakoby z piekieł wprost buchały.

Lecz stał na brzegu rycerz wdały

Okryty płaszczem śnieżnobiałym,

Na jego piersi krzyż czerwony,

A w głosie jakby surmy tony

I wokół luna jasna pała,

Gdy rzecze on do Percewala:

„Skarby rzuć w toń!” – Jezioro wskaże.

Percewal wciąż się waha wszakże;

Serce ma słabe, mrozem zdjęte,

Palce zgrabiałe, zaciśnięte.

Cennych klejnotów nie wypuści.

Natenczas rycerz znowu mówi

Słowy chyżymi jak lot strzały:

„Jesteśmy braćmi, Percewalu; Krzywdy nie zaznasz od nas, panie.

Wiedz, że co martwe – zmartwychwstanie".

Słyszając szlachetne to przesłanie

Perceval tedy, z nową wiarą,

Ciska w jeziora wrzając czarę:

Krzyż, co wykuty w złocie czystym,

Świecznik, co ramion ma srebrzystych

Siedmioro; wreszcie ołowiany

Półksiężyc zręcznie wyrzezany

Z czarnego mroku swego cienia.

I zaraz się uniosły pienia

Chórów zrodzonych z wiatru tchnienia,

Szybują nieskalane głosy

Wysoko w górę, pod niebiosy;

Po nocy dzień świetlisty nastał.

Błysnęła wód przezroczych tafla,

Z której to powstał człek ze złota

O włosach czarnych, srebrnych oczach.

Percewal czoło przed nim kloni,

Z radości łez potoki roni

I wzniósłszy oczy, trzykroć woła:

„Chwała ci, Panie, chwała, chwała!”

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Ajn Dżalud (Źródła Goliata) w Królestwie Jerozolimskim

Słońce zbliżało się do zenitu, ciążyło na niebie paląc nasyconą ochrę pustyni do bieli zetlałych kości. Nad otaczającym jeziora pierścieniem wzgórz krążyły myszołowy, a ich przenikliwy krzyk zdawał się zawisać w gęstym, rozgrzanym powietrzu. Na zachodnim krańcu równiny, gdzie skalne ramiona gór wyciągały się, aby objąć pustynię, stało dwa tysiące jeźdźców na okrytych zbrojonymi czaprakami koniach. Okucia tarcz lśniły z dala, nagrzane tak, że parzyły przy dotknięciu, a choć turbany i płaszcze tylko w niewielkim stopniu chroniły wojowników przed wściekłością słońca, nikt nie skarżył się na niewygodę.

Dosiadający czarnego rumaka dowódca regimentu Bahri, Bajbars Bunduktari, sięgnął po bukłak przytroczony do pasa obok dwu wypróbowanych w licznych bojach szabel.

Upił łyk i poruszył ramionami, żeby rozluźnić stężałe mięśnie. Brzeg białego turbanu miał

mokry od potu, nakryta modrym płaszczem kolczuga wydawała mu się dziś wyjątkowo ciężka. Poranek się dłużył, skwar przybierał na sile, a choć woda spłukała wyschnięte gardło Bajbarsa, nie zdołała nasycić silniejszego pragnienia, które drążyło mu duszę.

– Emirze – mruknął siedzący obok niego w pierwszym szeregu młody setnik – czas ucieka. Zwiad powinien być już wrócić.

– Niedługo wrócą, Izmailu. Cierpliwości. – Bajbars przytroczył bukłak z powrotem do pasa i powiódł wzrokiem po milczących szeregach. Jego ludzie miny mieli ponure jak zwykle tuż przed bitwą. Wkrótce się ożywią; Bajbars widywał już najdzielniejszych wojowników, którzy bledli na widok przeciwnika dorównującego im siłą. Lecz gdy nadejdzie czas, mamelucy pójdą w bój bez wahania, są bowiem niewolniczą armią kierowaną skinieniem sułtana Egiptu.

– Emirze?

– O co chodzi, Izmailu?

– Zwiadowcy nie dali znaku życia od świtu. A jeśli zostali schwytani?

Bajbars zmarszczył brwi i setnik pożałował, że się odzywał.

Na pozór Bajbars nie wyróżniał się niczym spośród swoich ludzi. Tak jak oni był

wysoki i żyłasty, o ciemnych włosach i smagłej cerze. Uwagę przykuwały jego oczy –

niebieskie, ze skazą w postaci małej białej gwiazdki w lewej źrenicy, sprawiającej, że zdawały się przewiercać człowieka na wylot. Po części im to Bajbars zawdzięczał swój przydomek – „Kusza”. Przygwożdżony jego spojrzeniem Izmail poczuł się jak mucha w pajęczej sieci.

– Mówiłem już: cierpliwości.

– Tyś rzekł, emirze. – Izmail skłonił głowę.

Wzrok Bajbarsa nieco złagodniał. Tak niedawno on sam po raz pierwszy dowodził.

Stanęli wówczas przeciw Frankom na piaszczystej równinie w pobliżu wioski zwanej Herbiją.

Bajbars poprowadził jazdę do ataku i w ciągu niewielu godzin wróg został zgnieciony; krew chrześcijan wsiąkała w piasek. Dziś, jeśli Bóg pozwoli, będzie tak samo.

W dali nad równiną uniósł się tuman kurzu, który po chwili rozpadł się na sylwetki siedmiu jeźdźców. Drżące z upału powietrze zniekształcało obraz. Bajbars wbił pięty w boki wierzchowca i ruszył na spotkanie, a za nim kilku jego przybocznych.

Grupka pędziła co sił; dostrzegłszy Bajbarsa dowódca zwiadu skierował się wprost ku niemu i gwałtownie zdarł konia. Gniada sierść zwierzęcia splamiona była potem, z pyska spadały płaty piany.

– Czcigodny emirze – wydyszał zwiadowca unosząc dłoń na powitanie. –

Mongołowie nadchodzą!

– W jakiej sile?

– Jednego tumenu.

– Zatem dziesięć tysięcy. Kto ich prowadzi?

– Podobno sam Kitboga.

– Widzieli was?

– Postaraliśmy się o to. Straż przednia nieomal depcze nam po piętach, a główny trzon armii następuje tuż za nią. – Dowódca patrolu podjechał bliżej i zniżył głos tak, że przyboczni musieli wyęczać słuch, by go usłyszeć. – Ich moc jest wielka, emirze; ciągną ze sobą liczne maszyny wojenne, a jednak człowiek, którego schwytaliśmy, twierdzi, iż jest to zaledwie trzecia część ich armii.

– Jeśli utniesz bestii łeb, ciało padnie – odparł sentencjonalnie Bajbars.

W dali rozbrzmiał piskliwy, zawodzący głos mongolskiego rogu. Dołączyły się doń inne; kakofoniczny lament poniósł się nad wzgórzami. Konie mameluków, wyczuwając napięcie jeźdźców, zaczęły chrapać i rzeć. Bajbars skinął głową dowódcy patrolu, potem odwrócił się do przybocznych.

– Na mój znak odtrąbcie odwrot. – Kiwnął na Izmaila. – Ty pojedziesz ze mną.

– Tak, emirze! – Twarz młodego człowieka rozjaśniła się z dumy.

Przez kilkanaście sekund słyhać było tylko odległe rogi i niespokojne westchnienia wiatru na równinie. Całun kurzu zaćmił widnokrąg na wschodzie. Na grani pojawiły się pierwsze szeregi nieprzyjaciela. Przystanęły na chwilę, a potem jak morze mroku spłynęły na równinę. Błyski zdobytych

kling migotały niczym piana na czarnej fali przyboju.

Za awangardą oddziały lekkozbrojnych konnych łuczników i oszczepników poprzedzały główny trzon armii z dowodzącym nią Kitbogą. Ze wszystkich stron otaczali wodza wytrawni, zaprawieni w bojach wojownicy odziani w żelazne hełmy i pancerze ze splecionych rzemieniem płytek grubej twardej skóry. Każdy jeździec wiódł dwa zapasowe konie, a za grmiącą kolumną toczyły się wozy ze sprzętem oblężniczym i zgromadzonymi w pochodzie łupami ze splądrowanych wiosek i miast. Powoziły nimi kobiety uzbrojone w łuki.

Wielki wódz Mongołów, Czyngis-chan, od trzydziestu trzech lat już nie żył, lecz stworzona przez niego militarna potęga przetrwała i stała teraz naprzeciw armii Egiptu.

Bajbars oczekiwał tej konfrontacji od miesiący, ale pragnął jej znacznie dłużej.

Minęło dwadzieścia lat, odkąd Mongołowie najechali jego ojczyznę, niszcząc ziemię i stada; dwadzieścia lat, odkąd jego lud musiał ratować się ucieczką i prosić o pomoc wodza sąsiedniego plemienia, który ich zdradził i sprzedał syryjskim handlarzom. Dopiero jednak kilka miesięcy temu, kiedy poseł mongolski przybył do Kairu, przed Bajbarsem zaświtała szansa zemsty na ludziach, przez których stał się niewolnikiem.

Poseł zażądał od sułtana, by ten uznał zwierzchność Mongołów, i ta obelga –

dotkliwsza widać niż niedawne zdobycie i zniszczenie Bagdadu – nareszcie pobudziła Kutuz do działania. Mamelucy nie bili pokłonów przed nikim prócz Allaha. W czasie gdy Kutuz i jego doradcy wojskowi, w tym Bajbars, układali plany kampanii odwetowej, zakopany po szyję w piachu pod murami Kairu poseł miał dość czasu, by uznać swój błąd, nim słońce i drapieżne ptactwo dopełniły kary. Teraz pora udzielić podobnej nauczki mocodawcy posła.

Zaczekał, aż pierwsze szeregi ciężkiej jazdy dotrą do środka równiny, potem zawrócił konia i unosząc się w strzemionach stanął twarzą do swoich ludzi. Wzniesiona nad głowę szabla załśniła w słońcu.

– Wojownicy Egiptu! – krzyknął. – Nadszedł dla nas czas zwycięstwa! Usypimy z wrażeń trupów stos wyższy niż te góry i szerszy niż pustynia!

– Do zwycięstwa! – ryknęli Bahridzi. – W imię Allaha!

Jak jeden mąż odwrócili się od nadciągającej armii i popędzili konie w stronę wzgórz. Mongołowie pewni, że wróg pierzcha ze strachu, wrzeszcząc puścili się za nimi w pościg.

Długi i płytki pas wzgórz zamykający równinę od zachodu przecinała szczelina tworząca szeroki wąwóz. Jazda Bajbarsa wpadła doń cwałem; niemal tuż za nimi w kłębach kurzu wznoszących się spod kopyt mameluckich koni gnała przednia straż mongolskiej armii.

Chwilę później w ślad za nią runęła do wąwozu ciężka jazda. Góry zadrżały, po zboczach posypał się piasek i drobne kamienie. Bahridzi na znak Bajbarsa zdarli konie i wykonali obrót stając murem na drodze zbliżających się Mongołów. Równocześnie z korony wzgórz dobiegł

głos licznych rogów, niezbornym zrazu chórem zagrały bębny.

Na wierzchołku strzegącym wlotu do wąwozu ukazała się postać niemal czarna na tle bijącego jej zza pleców słońca. Był to Kutuz, lecz nie sam. Przy nim, wysoko nad dnem doliny stały tysiące mameluków. Kawaleria i konni łucznicy pogrupowani byli w pułki odznaczające się barwą stroju – purpurową, szkarłatną, pomarańczową, czarną; wyglądało to tak, jakby wzgórze okryło się pstrokatą kapą przetykaną srebrem w miejscach, gdzie hełmy i ostrza włóczy chwytały i odbijały światło. Piechota trzymała w pogotowiu szable, maczugi i łuki, a niewielki acz śmiertelnie groźny oddział kurdyjskich i beduińskich najemników flankował główne siły z obu stron, dzierżąc siedmiostopowe piki.

Mongołowie byli w saku. Teraz pozostawało tylko zaciągnąć sznur.

Wojenny okrzyk mameluków zagłuszył na chwilę miarowe już bicie bębnow. Jazda ruszyła do ataku. Kilka koni przewróciło się na stromym stoku; krzyki jeźdźców utonęły w grzmiącym łoskocie kopyt. Reszta runęła w dół na swą ofiarę, gdy tymczasem dwa inne pułki wyległy na równinę, by zapędzić do wąwozu tylną straż i tabory. Bajbars wznosił szablę nad głowę i ruszył na wroga z krzykiem:

– *Allahu akbar!*

Bahridzi podjęli okrzyk: – *Allahu akbar! Allahu akbar!*

Dwie armie zderzyły się w tumanach kurzu z wrzaskiem i szczękiem żelaza. W ciągu pierwszych kilku sekund po obu stronach padły setki zabitych, zwąły trupów zagroziły drogę tym, którzy jeszcze stali. Boczące się konie zrzucały jeźdźców w kłębowisko żywych i martwych ciał, ludzie krzyczeli umierając, w powietrze tryskała krew. Mongołowie znani z kunsztu jeździeckiego, nie mogli rozwinąć szyku w wąskim gardle wąwozu. Mamelucy parli niepowstrzymanie na główny trzon armii Kitbogi; beduińska jazda chroniła im flanki przed oskrzydleniem. W powietrzu świstały strzały wypuszczane ze wzgórza, tu i ówdzie buchał

kłęb płomieni – to żołnierze egipscy rzucali garnki wypełnione ropą. Trafieni Mongołowie płonęli jak pochodnie krzycząc okropnie, ich konie w panice tratowały ludzi szerząc pożogę i popłoch.

Bajbars rzucił się w tumult; machnął na odlew szablą, która zdjęła głowę z ramion najbliższego jeźdźcy. Jego miejsce natychmiast zajął inny Mongoł z twarzą ociekającą krwią zabitego druha. Sięgnął go także; jego koń się potknął, ze wszystkich stron napierali ludzie cisnący się do bitwy. Izmail walczył u jego boku zbryzgany krwią; oto z krzykiem wbił miecz w oczodół napastnika. Ostrze utknęło na moment, zakleszczone w czaszce. Młody wojownik wyszarpnął je, rozglądając się już za następnym celem.

Dwie szable zatańczyły w rękach Bajbarsa i dwóch nowych Mongołów zwały się z siodeł.

Kitboga pracował mieczem niczym straszny zniwiarz, rozrąbując głowy, odcinając kończyny, i choć zewsząd był otoczony przez wrogów, nikt nie mógł się do niego zbliżyć.

Bajbars pomyślał o nagrodzie czekającej tego, kto zabije lub pojmie w niewolę wodza nieprzyjaciół, ale od Kitbogi dzielił go mur walczących i las uniesionych w górę kling. Kątem oka ujrzał nadlatującą maczugę i natychmiast zapomniał o Kitbodze, skupił się na tym, żeby przeżyć.

Kiedy pierwsze szeregi padły lub zostały odepchnięte, mongolskie kobiety i dzieci wsparły mężczyzn. Choć w Egipcie wiadano, że żony i córki najeźdźców stają do bitwy, widok ten w niejednym skruszył serce. Kobiety z długimi rozczochranymi włosami i twarzami wykrzywionymi furją walczyły równie sprawnie, a kto wie, czy nie bardziej zażarcie od mężczyzn. Kutuz obawiając się o morale swych żołnierzy, podniósł głos przekrzykując rozgwar i wezwał do ataku. Okrzyk podchwycili inni, imię Allaha rozbrzmiało nad wąwozem, odbijając się echem od wzgórz i dźwięcząc w uszach mamelukom; teraz oto ich ramiona na powrót nabrały siły, a miecze znalazły nowy cel. W ogniu walki pierzchły wszelkie skrupuły; kto stanął im na drodze, musiał zginąć. Armia mongolska stała się w ich oczach bezimienną bestią bez wieku i płci, którą trzeba rąbać po kawałku, aż wreszcie szczeźnie.

Z biegiem czasu wszakże ciosy traciły impet; wysadzeni z siodeł, zwarci w pieszym boju wojownicy ze zmęczenia wspierali się jedni na drugich i z trudem parowali ciosy. Wśród postękiwań i jęków wybijały się krzyki bólu, gdy ostrza mieczy odnajdywały drogę do osłabłych ciał. Mongołowie podjęli rozpaczliwy atak na szeregi piechurów, mając nadzieję wyrwać się z okrążenia, lecz piechota stała jak mur i tylko garstce jeźdźców udało się przedrzeć przez las włóczni. Tam stawiała im czoło mamelucka jazda i zostali wyrżnięci w pień. Kitboga padł wraz ze swym koniem, nakryło go mrowie tłoczących się wokół ludzi.

Zwycięzcy odcięli mu głowę i pokazywali ją dobywającym resztek sił Mongołom. Ci, których zwano grozą narodów, przegrywali bitwę. Co gorsza, zdawali sobie z tego sprawę.

Koń Bajbarsa raniony w szyję zabłąkaną strzałą stanął dęba, zrzucając jeźdźca, i uciekł. Bajbars walczył dalej pieszo. Jego buty ślizgały się w posoce. Krew była wszędzie, w powietrzu i w ustach, ściekała mu po brodzie, pokrywała śliską warstwą rękojeści szabel. Z

wykroku zrąbał kolejnego przeciwnika. Mongoł osunął się na piach z urwanym w połowie okrzykiem, a gdy nikt nie pojawił się na jego miejscu, Bajbars przystanął.

Kurz zakrył słońce barwiąc powietrze żółcią. Dopiero gdy rozproszył go podmuch wiatru, Bajbars zobaczył wzniesiony nad mongolskim taborem znak poddania się.

Rozglądając się wokół widział wyłącznie stosy martwych ciał. W powietrzu unosił się duszący smród krwi i rozprutych trzewi; po niebie krążyły już padlinożerne ptaki wyskrzekując własny triumf. Zabici leżeli jedni na drugich, wśród skórzanych mongolskich pancerzy widać było barwne płaszcze mameluków. Na samym wierzchu pobliskiego stosu leżał na wznak Izmail z rozrąbaną piersią.

Bajbars podszedł bliżej i nachylił się, żeby zamknąć oczy młodemu setnikowi.

Posłyszał, że ktoś go woła. Wyprostował się. Zbliżający się wojownik krwawił z rany na skroni, oczy miał rozszerzone, niezupełnie przytomne.

– Emirze – wychrypiał z trudem – co rozkażesz?

Bajbars powiódł wzrokiem po polu rzezi. W ciągu zaledwie kilku godzin zniszczyli mongolską armię, zabijając prawie siedem tysięcy ludzi. Niektórzy z mameluków padli na kolana płacząc z ulgi, ale większość krzyczała upojona zwycięstwem, otaczając ocalałych z pogromu, którzy skupili się wokół taboru. Bajbars wiedział, że musi na powrót wziąć ludzi w ryzy, inaczej gotowi splądrować wozy i wyrzucić resztkę Mongołów. Ci zaś, zwłaszcza kobiety i dzieci, mieli swoją wartość. Wskazał ich palcem.

– Przyjmij kapitulację i dopilnuj, żeby nikogo nie zabito. Bardziej przydadzą nam się niewolnicy, za których ktoś zapłaci złotem, niż kolejne trupy, które będziemy musieli spalić.

Mameluk pobrał po piasku, żeby wydać rozkazy. Bajbars schował broń i rozejrzał

się za koniem. Zobaczywszy błakające się bez jeźdźca zwierzę, złapał je za okrwawione wodze, wskoczył na siodło i ruszył do swoich żołnierzy. Inni dowódcy także zwoływali ludzi.

Bajbars powiódł wzrokiem po zmęczonych, lecz zawziętych twarzach Bahridów i poczuł, jak i w nim zaczyna się budzić radość zwycięstwa.

– Bracia! – zawołał, pokonując opór wyschniętej krtani. – Allah dziś nam błogosławił. Pławimy się w Jego chwale, pogromiwszy wroga – urwał na chwilę, dając im się wykrzyczeć, po czym uniósł dłoń – lecz ze świętowaniem musimy poczekać, albowiem wiele jest jeszcze do zrobienia. Słuchajcie waszych dowódców!

Znów zerwały się okrzyki, ale w szeregach już zaczynał się pojawiać pewien ład.

Bajbars skinieniem wezwał do siebie dwóch wyższych rangą mameluków.

– Naszych poległych trzeba pochować jeszcze przed zachodem słońca. Rannych znieść do obozu. Mongolskie ścierwa spalcie i wyłapcie uciekinierów. Spotkamy się w obozie, kiedy wszystko będzie zrobione. – Rozejrzał się. – Gdzie jest sułtan?

– Odjechał do obozu jakąś godzinę temu. Został ranny w bitwie.

– Ciężko?

– Nie, emirze, ponoć to tylko draśnięcie. Są przy nim medycy.

Bajbars odprawił podwładnych i podjechał do otoczonych jeńców. Wojownicy plądrowali wozy, składając wszystkie cenne przedmioty na splamionym czerwienią piasku.

Nagle rozległ się wrzask; to żołnierze wyciągnęli ukrytą pod wozem trójkę dzieci. Kobieta, pewnie ich matka, zerwała się z ziemi i rzuciła im na pomoc. Nawet ze związanymi na plecach rękami walczyła jak lwica plując, gryząc i kopiąc. Któryś z żołnierzy uciszył ją pięścią i wraz z dwójką starszych dzieci powlókł za włosy do szybko rosnącej grupy jeńców.

Bajbars spojrzął na klęczącego prawie u jego stóp chłopca i w jego rozwartych przerażonych oczach zobaczył samego siebie.

Urodzony wśród Kipczaków na brzegach Morza Czarnego Bajbars nie wiedział nic o wojnie i niewoli do najazdu Mongołów. Oderwany od rodziny i sprzedany w Syrii miał

kolejno czterech panów, nim kupił go oficer egipskiej armii i zabrał do Kairu, gdzie mieli z niego zrobić mameluka. W obozie nad Nilem – tam młodych niewolników szkolono na żołnierzy – dano mu przyodziewek i broń i nauczono walczyć. Dziś, mając trzydzieści siedem lat, dowodził powszechnie podziwianym pułkiem Bahri. Lecz mimo że teraz stroił się w złotogłów i miał własnych niewolników, wspomnienie pierwszego roku niewoli nadal przyprawiało mu goryczą każdy kęs jadła.

Przywołał gestem jednego z żołnierzy tworzących kordon.

– Dopilnujcie, żeby wszystkie łupy trafiły do obozu. Ktokolwiek poważy się okraść sułtana, gorzko tego pożałuje. Drewno z rozbitych machin zużyjcie na stosy, pozostałe zabierzcie.

– Tyś rzekł, emirze.

Bajbars zawrócił konia do obozu, gdzie oczekiwał go sułtan. Ciało miał jak z ołowiu, ale z lekkim sercem jechał przez krwawe piaski. Po raz pierwszy od czasu wtargnięcia Mongołów do Syrii los okazał się dla nich łaskawy. Teraz już prędko zmiażdżą resztę ordy, a gdy to się stanie, Kutuz będzie miał wolną rękę, by zająć się ważniejszą sprawą. Na twarzy Bajbarsa pojawił się uśmiech, gość tak rzadki, że budził lęk.

2

Brama Świętego Marcina, Paryż

Trzeci dzień września roku Pańskiego 1260

Młody klerk biegł uliczką, ślizgając się w kałużach rzadkiego błota i wylewanych z okien odchodów. Oddychał ciężko, z wysiłkiem; mokre od potu włosy przylgnęły mu do czoła, smród gnijących odpadków zatykał płuca, rósł w gardle. Pośliznął się, wyrzucił rękę, żeby złapać się ostrego kamiennego węgła, odzyskał równowagę i pobiegł dalej. Po lewej między domami widać było czarną połąć Sekwany. Na wschodzie niebo zaczynało już jaśnieć, wieże Najświętszej Marii Panny odbijały bladą poświatę brzasku, lecz w labiryncie zaułków oplatających domy mieszkalne i składy przy nabrzeżu panował wciąż nieprzenikniony mrok. Klerk skręcił ku bramie Świętego Marcina. Co chwilę ze strachem oglądał się za siebie, nie widział wszakże nikogo, był sam.

Kiedy odda księgę, będzie wolny. Rano znajdzie się na drodze do Rouen i nowego życia. Zatrzymał się, by złapać oddech. Zgięty oparł dłoń na udzie; w drugiej trzymał

oprawną w welin księgę. U wylotu zaułka zamajaczył wysoki mężczyzna w ciemnym płaszczu, idący mu naprzeciw. Klerk obrócił się i rzucił do ucieczki.

Kluczył między budynkami, rozpaczliwie starając się zgubić odgłos kroków tamtego, kroków, które szyderczo przedrzeźniały jego własne. Ale prześladowca był uparty; dystans poczynął się zmniejszać. Przed klerkiem wyrosły nagle mury miejskie. Zacisnął dłoń na książce. Jeśli go z nią przyłapią, jest skazany – w najlepszym wypadku zgnije w lochu. Bez niej może uda mu się wyłgać. Dał nura w wąskie przejście między domami kupców. Na tyłach składu win równym rzędkiem stało kilka beczek. Obejrzał się przez ramię. Słyszał

zbliżające się kroki, ale jeszcze nie widział swego prześladowcy. Szybko wrzucił księgę między ścianę a beczki i pobiegł dalej. Wróci po nią, kiedy wymknie się tamtemu.

To mu się jednak nie udało.

Niewiele dalej, za domem rzeźnika, gdzie ziemia wciąż była nasiąknięta krwią z wczorajszego uboju, przygwoździł go nagle do ściany wysoki mężczyzna w wytartym szarym płaszczu. Klerk krzyknął.

– Oddaj mi to. – Wypowiedziane półgłosem słowa zdradzały obcy akcent, a choć kaptur zasłaniał twarz, widać było, że napastnik ma niezwykle śniadą skórę.

– Oszalałeś? Puść mnie! – pisnął klerk, próbując się wyszarpnąć.

– Nie mam czasu na igry. – Napastnik wyjął sztylet. – Oddaj księgę.

– Nie zabijaj mnie! Błagam!

– Wiemy, że to ty ją skradłeś. – Ciemnoskóry mężczyzna uniósł ostrze.

Chłopak ze świstem wciągnął oddech.

– Musiałem! On mi kazał! Powiedział, że jeśli nie, to... – Po policzkach pociekły mu Izy. – Nie chcę umierać!

– Kto ci kazał?

Ale klerk roszlochał się jak dziecko.

Mężczyzna z ciężkim westchnieniem odstąpił o krok, schował sztylet do pochwy i oznajmił:

– Nie zrobię ci krzywdy, jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć.

Młody człowiek podniósł na niego rozszerzone strachem oczy.

– Śledziłeś mnie od preceptorium?

– Owszem.

– Ten brat, którego... Jan... Czy on...

– Żyje.

Klerk odetchnął z ulgą.

Za nimi rozległ się stłumiony szcęk. Człowiek w szarym płaszczu rozejrzał się bystro, ponieważ jednak niczego nie dostrzegł, zwrócił się do klerka:

– Oddaj mi księgę i razem wrócimy do klasztoru. Dopilnuję, żebyś otrzymał łagodną karę, ale musisz wszystko mi szczerze wyznać. Na początek powiedz, kto nakłonił cię do kradzieży.

Chłopak zawahał się, otworzył usta, lecz w tejże chwili rozległ się ostry brzęk i świst. Śniady mężczyzna odruchowo rzucił się w bok. Ułamek sekundy później ciężki belt utkwiał w gardle klerka, który wytrzeszczył oczy i bez jęku osunął się na ziemię. Mężczyzna zobaczył jeszcze cień przemykający po dachu naprzeciw. Zaklął i przyklęknął obok ranego, który w drgawkach orał nogami błoto.

– Gdzie schowałeś księgę? Gdzie?

Usta klerka otwarty się i wypłynęła z nich struzka krwi. Nogi przestały wierzgać, głowa opadła w tył. Człowiek w szarym płaszczu zaklął ponownie i zaczął obszukiwać ciało, chociaż widać było, że młodzieniec nie ma żadnej sakwy ni tobołka. Słyszając zbliżające się głosy, podniósł głowę. Zaułkiem zbliżało się trzech mężczyzn w szkarłatnych tunikach straży miejskiej.

– Kto tam? – zawołał jeden z nich, unosząc wyżej pochodnię. Płomień zachybotał na wietrze. – Hej, ty! – wrzasnął, widząc rozciągnięte na ziemi ciało i pochylony nad nim szary cień.

Ignorując wezwania, aby się zatrzymał, człowiek w szarym płaszczu rzucił się do ucieczki.

– Za nim! – rozkazał towarzyszom dowódca straży. Podbiegł bliżej i nadużył imienia Pańskiego widząc, że zabity ma na sobie czarną tunikę z czerwonym równoramiennym krzyżem zakonu templariuszy.

Trzy ulice dalej Antoni z Pont-Eveque, kupiec winny, drapał się w głowę nad stosikami różnych monet, których suma ani rusz nie chciała się zgodzić z wczorajszym utargiem, kiedy posłyszał krzyki. Zaciekawiony wstał od stołu, otworzył tylne drzwi i wyrzął. Zaulek był pusty, niebo nad dachami jaśniało już światłem brzasku. Krzyki ucichły w dali. Antoni ziewając szeroko zawrócił do domu, lecz spostrzegł, że niemal pod drzwiami coś leży. Przedmiot był częściowo schowany za rzędem beczek i pewnie by go nie zauważył, gdyby padające z izby światło nie błysnęło na złoceniach. Kupiec schylił się, stęknął i podniósł z ziemi dość grubą księgę oprawną w zdobiony welin. Antoni nie umiał czytać, ale widział, że księga jest sporo warta; dziwne, iż ktoś zgubił lub porzucił tak cenny przedmiot.

Zastanowił się przez chwilę, czyby nie odłożyć zguby w to samo miejsce, lecz rozejrzawszy się wokół przewyciężył niejasne wyrzuty sumienia, zabrał ją do izby i szczelnie zamknął drzwi. Zadowolony ze znaleziska wepchnął je na zakurzoną półkę, zasiadł

znów za stołem i jeszcze raz zaczął przeliczać monety. Jeśli ten wyrodny sobek, jego brat, zaszczyci

go odwiedzinami, spyta go, o czym jest ta książka.

Nowa Świątynia, siedziba templariuszy w Londynie

Trzeci dzień września

Grupa rycerzy zebranych, aby przyjąć w swe szeregi nowego brata, zajęła miejsca w sali kapitulnej. Siedzieli w milczeniu na ławach zwróceniu twarzami do podwyższenia, nad którym wisiał krzyż. Na kamiennej posadzce tyłem do nich, przodem zaś do stołu, który w tej ceremonii pełnił rolę ołtarza, z głową kornie pochyloną klęczał osiemnastoletni giermek. Dziś nie miał na sobie zwykłej czarnej tuniki, naga pierś w świetle świec przybrała miodowy odcień. Wątle płomyki migoczące w lichtarzach przytwierdzonych do ścian nie były w stanie rozproszyć zalegającego salę mroku; większość zebranych tonęła w cieniu. Na podwyższenie wszedł ksiądz w asyście dwóch ubranych na czarno klerków. Położył na stole oprawną w skórę księgę. Tymczasem klerkowie rozstawiając obok liturgiczne naczynia, wycofali się do tyłu, gdzie czekali dwaj bracia przyodziani – jak wszyscy rycerze Templum – w długie białe tuniki z wyszytym na sercu rozszerzonym na końcach równoramiennym czerwonym krzyżem.

Ksiądz odchrząknął i spojrzał na zebranych.

– *Ecce quant bonum etquam jocundum habitare fratres in unum.*

– *Amen* – odpowiedział chór głosów.

– W imię naszego Pana Jezusa Chrystusa i w imię Jego Najświętszej Matki Maryi witam was, bracia. Zgromadziliśmy się tu dla świętego obrządku, przeto wspólnie poczynajmy. – Ksiądz spuścił wzrok na klęczącego giermka. – Po co tu przybyłeś?

Na twarzy młodzieńca odbiło się skupienie. Chciał dokładnie przypomnieć sobie słowa, których nauczył się podczas nocy spędzonej na czuwaniu.

– Przybyłem, aby ofiarować się duszą i ciałem Świątyni.

– Czyjemu wstawiennictwu się polecasz?

– Miłosierdziu Bożemu, a także świętej pamięci Hugona z Payns, założyciela naszego zakonu, który porzuciwszy życie w mroku i grzechu, odwrócił się od tego świata i...

– giermek zająknął się, serce mu waliło – ... i wzięwszy krzyż udał się do Ziemi Świętej, aby zanieść poganom ogień i miecz. Przybywszy zaś za morze, ślubował chronić chrześcijańskich pielgrzymów na tamtejszych ścieżkach, po których stapał ongiś Pan nasz.

– Czy pragniesz przyjąć szatę zakonną wiedząc, że gdy tak uczynisz, niczym staną się dla ciebie wszelkie ziemskie sprawy i wstąpisz w ślady naszego założyciela stając się wiernym i pokornym sługą wszechmocnego Boga?

Kiedy giermek przytaknął, kapłan wziął ze stołu gliniany garnuszek i ostrożnie przełożył jego

zawartość do złotej kadzielnicy. W zetknięciu z żarem wonna mieszanka kadzidła i mirry zajęła się ogniem, postać księdza spowił obłok dymu. Zakaszłał i cofnął się o krok.

Zza pleców księdza wystąpili dwaj rycerze. Jeden z nich dobył miecza z pochwy i skierował go ostrzem ku giermkowi, mówiąc:

– Oglądasz nas teraz odzianych w piękne szaty i uzbrojonych w lśniącą ostrą broń.

Niechaj te rzeczy osądzi twój rozum, teraz patrzysz bowiem oczyma, co nie widzą, i sercem, które nie pojmuje, jak ciężka bywa nasza służba. Choćbyś chciał się znaleźć po tej stronie morza, będziesz po tamtej, a łaknąc jadła będziesz cierpiał głód, gdy zaś zapragniesz usnąć, będziesz musiał trwać na straży. Czy godzisz się na to dla chwały Bożej i zbawienia twej duszy?

– Tak, bracie – odpowiedział z przekonaniem chłopak.

– Zatem odpowiedz szczerze, niczego nie tając, na pytania.

Rycerze powrócili na miejsca, a ksiądz zaczął czytać pytania z księgi; jego głos wracał echem spod sklepienia sali.

– Czy wyznajesz wiarę chrześcijańską, jaką podaje nam Kościół rzymski?... Czy jesteś synem rycerza zrodzonym w prawym małżeństwie?... Czy obdarowałeś kogokolwiek z braci, aby zostać przyjętym w szeregi rycerstwa zakonu?... Czy jesteś zdrow na ciele i nie ukrywasz żadnej choroby mogącej przeszkodzić ci w służbie Świątyni?...

Młodzieniec głośno i zdecydowanie odpowiedział na wszystkie pytania. Kapłan skłonił głowę.

– Bardzo dobrze – rzekł i oddał księgę klerykowi, który podsunął ją przed oczy postulanta mówiąc:

– Oto reguła ułożona dla nas przy pomocy błogosławionego świętego, Bernarda z Clairvaux, który był nam podporą w dniach tworzenia zakonu i którego duch wciąż żyje pośród nas. Spójrz na nasze prawa w niej spisane i przysięgnij, że zawsze będziesz ich przestrzegał. Przysięgnij więc, że do końca dni swoich dochowasz nam wierności, wypełniając bez skargi rozkazy, jakie będą ci wydane, wszakże tylko przez twych przełożonych w zakonie, poczynając od wielkiego mistrza, który włada nami mądrze ze swej stolicy w Akce, następnie zaś wizytatora w królestwie Francji, będącego zwierzchnikiem wszystkich naszych twierdz i ziem na Zachodzie; dalej marszałka i seneszała, i mistrzów wszystkich królestw, w których mamy siedziby na Wschodzie i Zachodzie. Będziesz także posłuszny swemu dowódcy w bitwie i mistrzowi komandorii, w której będziesz pełnił służbę w czasie pokoju bądź wojny. Przysięgnij, że będziesz miłował swoich braci, z którymi łączy cię teraz więź mocniejsza od krwi. Przysięgnij, że będziesz żył w czystości i wyrzekniesz się wszelkiego dobytku z wyjątkiem tego, jaki da ci w użytkowanie twój przełożony. Przysięgnij także, iż wspomozesz naszą walkę w Ziemi Świętej broniąc twierdz i ziem, jakie zachowaliśmy w Królestwie Jerozolimskim, w obronie tej kładąc życie, jeśli taka będzie wola Boża. Na koniec zaś przysięgnij, że nigdy nie opuścisz zakonu, chyba że za pozwoleniem mistrzów, ślubem tym bowiem wiążesz się z nami i pozostaniesz związany w oczach Boga.

Młodzieniec położył dłoń na księdze i ślubował wszystkiego tego dopełnić.

Kleryk wrócił na podwyższenie i odłożył księgę, po czym odszedł na swoje miejsce.

Tymczasem kapłan delikatnie, niemal z miłością uniósł małą, czarną, zdobioną złoceniami szkatułkę. Wydobyl z niej kryształową fiolkę, której rżnięta powierzchnia zamigotała w świetle świec.

– Oto krew Chrystusowa – rzekł cicho – której trzy krople zebrane w tym naczyniu przywiózł prawie dwa wieki temu z kościoła Świętego Grobu Hugo z Payns. Dzięki jego wstawiennictwu wstępujesz dziś w ślady ojca naszego zakonu. Spójrz na tę świętą krew i bądź przyjęty.

Z piersi świadków wyrwało się westchnienie. Postulant patrzył z lękiem; nie uprzedzono go o tej części ceremonii.

– Czy oddajesz się Bogu duszą i ciałem?

– Tak.

– Skłoń więc głowę przed jego ołtarzem i proś o błogosławieństwo Jezusa Chrystusa, Jego Najświętszą Matkę oraz wszystkich świętych.

Przycisnąwszy policzek do ściany, Will Campbell patrzył, jak giermek leży na kamiennej posadzce z rozłożonymi ramionami, naśladując kształt krzyża zdobiącego płaszcze zakonnych braci. Wysoki jak na swoje trzynaście lat Will zmienił pozycję, bo podkurczone nogi zaczęły mu już martwieć. Cierpliwe starania wielu pokoleń myszy usunęły zaprawę spomiędzy kamieni ściany dzielącej salę kapitulną od spiżarni, tworząc wąską szparę. W

spiżarni panował mrok, tylko wąski promyk światła wpadał przez szparę w drzwiach wiodących do kuchni. W powietrzu unosiła się woń mysich odchodów i stęchłego ziarna.

Dwa ciężkie wory, między które się wcisnął, chroniły nieco Willa przed ciągnącym od posadzki zimnem i osłaniały na wypadek, gdyby ktoś zniecka wszedł.

– Napatrzyłeś się już?

Will oderwał oko od szpary i zerknął na tęgiego młodzika, który przycupnął za nim oparty o wór ziarna.

– A co? Chcesz zerknąć?

– Nie – mruknął chłopak, prostując nogi i krzywiąc się, gdy krew napłynęła do zdrętwiałych tkanek. – Chcę już iść.

Will pokręcił głową ze zdumieniem.

– Naprawdę nie chcesz zobaczyć? Nawet... – zmarszczył brwi, szukając w myśli odpowiedniego przykładu – nawet sam papież nie był świadkiem ślubów rycerza Świętyńi.

To twoja jedyna szansa, by zobaczyć najtajniejszą ceremonię zakonu.

– No właśnie – Szymon przekrzywił głowę. – Skoro jest tajna, to znaczy, że nikomu nie wolno jej oglądać. Co najwyżej rycerzom i kapelanom, ale nie tobie albo mnie. – Potupał

zdrętwiała stopą. – Poza tym nogi mi ścierpły.

Will przewrócił oczyma.

– Dobrze, to idź. Zobaczymy się później.

– Najpewniej przez kraty lochu. Choć raz posłuchaj starszego!

– Starszego! – fuknął Will. – Ledwie o rok!

– O rok wiekiem, ale rozumem – Szymon puknął się w głowę – co najmniej o dwadzieścia. – Westchnął i skrzyżował ramiona na piersi.

– Nie, zostanę. Znasz innego głupca, który zgodziłby się strzec ci tyłka?

Will na powrót przytknął twarz do szpary w murze. Kapelan zszedł ze stopni, w obu dłoniach dzierżył miecz. Nagi do pasa giermek stanął przed nim z pochyloną głową.

Tysiące razy Will widział w wyobraźni, jak kapłan wręcza mu miecz, a on wkłada go do pochwy przy pasie. Przede wszystkim jednak czuł spoczywającą mu na ramieniu dłoń ojca, gdy wraz z rycerskim pasem przywdziewa biały płaszcz symbolizujący oczyszczenie ze wszystkich przeszłych grzechów.

– Słyszałem, że w niektórych komandoriach tajności ślubów strzegą rozstawieni na dachach łucznicy – ciągnął Szymon, ubijając wybrzuszenie wora, które gniotło go w plecy. –

Jeśli nas tu złapią, marny nasz los.

Will nie odpowiedział.

– Pewnie nas zastrzelą. – Szymon oparł się ponownie. – Albo wygnają z zakonu. –

Jęknął i ze złością wyrznął pięścią w wór. – Albo ześlą do Merlanu.

Wzdrygnął się. Kiedy przed rokiem przybył do Nowej Świątyni, jeden ze starszych braci służebnych opowiedział mu o Merlanie. Mieszczące się we Francji więzienie templariuszy zyskało w ciągu lat złą sławę, a jego opis wywarł na Szymonie wstrząsające wrażenie.

– Merlan – mruknął Will, nie odrywając oka od szczeliny – jest dla zdrajców i zabójców.

– I szpiegów.

Drzwi kuchni otwały się z hałasem. Smugi światła wpadające przez szpary do składziku stały się jaskrawsze, gdy słońce wypełniło przyległą izbę. Will rozpląszczył się na ziemi, Szymon wpełzł między worki i przywarł do niego. Odgłos ciężkich kroków się zbliżył, postyszeli brzęk i stłumione przekleństwo. Kroki się zatrzymały. Ignorując rozpaczliwe znaki przyjaciela, Will wysliznął się z kryjówki, na palcach podszedł do drzwi i wyjrzał przez szparę.

Kuchnia mieściła się w dużym prostokątnym pomieszczeniu przedzielonym dwoma rzędami ław, na których przygotowywano jadło. W jednym końcu, przy drzwiach, znajdował

się przepaścisty komin, pod którym traskał i parował ogień. Na półkach wzdłuż ścian tłoczyły się garnki, słoje i dzbany. Na podłodze stały beczułki i kosze pełne warzyw, z pułapu zaś zwisały królicze tuszki, poicie solonej wieprzowiny i wianki wędzonych ryb. Przy jednej z ław stał tęgi mężczyzna w brązowej tunice. Will z trudem powstrzymał się, by nie jęknąć. Był

to brat Piotr, kucharz. Postawił na ławie koszyk z warzywami i wyjął nóż. Will obejrzał się.

Nad workami pojawiła się rozkuślna czupryna Szymona.

– Kto tam? – tchnął ruchem warg.

Will wrócił do kryjówki i przykucnął obok niego.

– Piotr – szepnął. – Wygląda na to, że ma zamiar tu zostać.

Szymon zrobił nieszczęśliwą minę.

– Musimy iść – Will skinieniem wskazał drzwi.

– Teraz?

– Nie możemy tu siedzieć przez cały dzień. Muszę wyczyścić zbroję pana Owena.

– A co z Piotrem?

Nie dając Szymonowi szansy na sprzeciw, Will podszedł do drzwi i otworzył je.

– Boże drogi! – Piotr podskoczył, omal nie kalecząc się nożem. Na widok chłopca otrząsnął się szybko i złowieszczo zmrużył oczy. Odłożył nóż, wytarł ręce w tunikę. – Coście tam robili? – spytał podejrzliwie, gdy zza pleców Willa wyłonił się Szymon, który pospiesznie zamknął za sobą drzwi.

– Usłyszeliśmy hałas – wyjaśnił spokojnie Will – więc poszliśmy zobaczyć...

Piotr odsunął go na bok i zajrzał do spizarni.

– Znów podkradaliście jadło? – Powiódł wzrokiem po mrocznym pomieszczeniu, ale wszystko zdawało się być na swoim miejscu. – Co to było ostatnim razem? Chleb?

– Kołacz – sprostował Will – i wcale nie kradłem, tylko...

– A ty? – Piotr zwrócił się do Szymona. – Czego szukasz w kuchni? Koni?

Szymon zasadził kciuki za pas i wzruszył ramionami, niepewnie przestępując z nogi na nogę.

– Miotła się złamała – rzekł szybko Will. – Przyszliśmy pożyczyć.

– Ach tak? Obaj, tak? Jeden pewnie by nie uniósł?

Will w milczeniu wytrzymał jego spojrzenie.

Piotr nasrożył się. Służył w tym preceptorium od trzydziestu lat i nie miał zamiaru dawać się wodzić za nos bezczelnym chłystkom. Nie dysponował jednak władzą, by wydusić z nich przyznanie się do winy. Zajrzał do składziku, potem spojrzął na Willa, wreszcie ustąpił

z nieprzyjaznym pomrukiem.

– Biercie miotłę i już was nie ma. – Wrócił do stołu i podniósł nóż.

– Ale jeśli jeszcze raz zobaczę tu któregoś, pójdę na skargę do mistrza.

Will przemknął przez kuchnię, chwytając po drodze miotłę opartą o ścianę przy piecu. Na zewnątrz zmrużył oczy w jaskrawym słońcu i obrócił się do Szymona, który wyszedł za nim.

– Masz – uśmiechnął się, podając koniuchowi miotłę.

– Dziękuję uniżenie – mruknął tamtem. – Mam nadzieję, że wreszcie nasyciłeś ciekawość. Gdyby nakrył nas któryś z rycerzy... – Szymon syknął. – Kiedy następnym razem będziesz szukał współnika, to ja będę w Ziemi Świętej. Tam będę się czuł bezpieczniej. –

Potrząsnął głową, ale równocześnie uśmiechnął się szeroko, błyskając uszczerbionym siekaczem, pamiątką po zetknięciu z końskim kopytem. – Zobaczymy się przed noną?

Will skrzywił się na wspomnienie o popołudniowej mszy. Nie zaczął jeszcze nawet dzisiejszych obowiązków, a tu już dobiegało południe. Zawsze brakowało mu czasu na to wszystko, co miał do zrobienia, choć nigdy się nie ociągał. Po odjęciu godzin przeznaczonych na posiłki, codzienny trening z mieczem i prace, które musiał wykonać jako giermek, dzień znacznie się skracał, a gdy dodać do tego jeszcze siedem nabożeństw... ! Dzień Willa, tak jak wszystkich braci i konfratrów, rozpoczynał się o świcie jutrznią w kaplicy, w której niezależnie od pory roku zawsze było ciemno i zimno. Potem giermek musiał oporządzić konia swego pana, a gdy to zrobił, otrzymywał dalsze rozkazy. Około szóstej rano odprawiano prymę; po niej wraz z innymi szedł do refektarza, gdzie śniadał słuchając czytanego na głos Pisma. Później wracał jeszcze do kaplicy na tercję i sekstę. Po południu, między obiadem, zajęciami i szkoleniem bojowym, wysłuchiwał nony. O zmierzchu dzwonek wzywał na nieszpory, potem była wieczerza, a dzień kończył się kompletą. Bycie rycerzem zakonnym stanowiło zapewne powód do dumy, ale Willa niezbyt cieszył fakt, że częściej widzi kaplicę niż własne łóżko. Właśnie miał pożalić się Szymonowi, który przywykł już do wysłuchiwania jego skarg,

gdy posłyszał, że ktoś go woła.

Płosząc kury, dopadł go zdyszany rudowłosy malec.

– Will, mam dla ciebie wiadomość. Pan Owen chce cię natychmiast widzieć w świetlicy.

– Mówił, o co chodzi?

– Nie, ale minę miał kwaśną.

– Myślisz, że się dowiedział? – szepnął na boku Szymon.

– Niemożliwe. Chyba że widzi przez ściany.

Will roześmiał się i ruszył pędem przez majdan. Słońce grzało go w plecy. Krytym przejściem biegnącym od wonnego warzywnika dotarł na obszerny dziedziniec między budynkami z szarego kamienia. Za nimi wznosiła się kaplica, smukła rotunda wzorowana na kościele Grobu Świętego w Jerozolimie. Will ruszył ku mieszczącym się naprzeciw niej kwaterom rycerzy, wymijając kręcących się po dziedzińcu giermków prowadzących konie i braci służebnych zaaferowanych swoimi sprawami. Zwierzchnie preceptorium Anglii zwane Nową Świątynią było największe w całym królestwie. Prócz wielkich dormitoriów i kancelarii zespół klasztorny mieścił też pole do ćwiczeń, zbrojownię, stajnie i własną przystań nad Tamizą. Zwykle rezydowało tu do stu rycerzy i kilkuset braci służebnych.

Will otworzył drzwi piętrowego budynku, którego krużganki otaczały wirydarz, wśliznął się do środka i pobiegł sklepionym, pełnym ech korytarzem. Na piętrze przystanął

związany przed ciężkimi dębowymi drzwiami. Zastukał i prędko przetarł rękawem tunikę poznaczoną smugami kurzu ze spiżarni. W tej samej chwili drzwi uchyliły się do wewnątrz ukazując imponującą postać Owena ap Gwyna. Rycerz władczym gestem nakazał mu wejść.

W świetlicy, z której korzystało wspólnie kilku znaczniejszych rycerzy Templum, panował chłód i półmrok. Pod ścianą stała tu masywna szafa, w kącie za drewnianym przepierzeniem kilka stoików, a pod oknem, wychodzącym nad krużgankiem na kwadratowy plac porośnięty dobrze utrzymaną trawą, stały stół i ława. Szklane gomółki wprawione w tryfolium wpuszczały zielonkawe światło barwiące sterty zapisanych zwojów i świeżych arkuszy pergaminu zaścielające stół. Will drgnął, gdy drzwi z hukiem zatrasnęły się za nim, lecz uniósł wysoko głowę, patrząc w okno. Ciekawe, po co go wezwano. Miał nadzieję, że rozmowa nie potrwa zbyt długo. Jeśli zdąży przed noną napastować siodło Owena, będzie mógł spędzić godzinkę na polu treningowym przed popołudniowym szkoleniem. Nie miał

wiele czasu na ćwiczenia, a dzień turnieju szybko się zbliżał.

Owen stanął przed nim. Na zmarszczonym czole rycerza i w jego stalowoszarych oczach malowało się niezadowolenie. Will stracił nadzieję, że wykręci się sianem.

– Czy ty w ogóle pojmujesz, za jakiego szczęśliwca możesz się uważać, młodzieńcze? – Kiedy Owen

był zły, akcent jego rodzinnego Powys stawał się wyraźniejszy.

– Szczęśliwca, panie?

– Będąc tym, kim jesteś. Wielu ludzi twojego stanu może tylko marzyć o tym, by zdobywać szlify w rycerskim rzemiośle.

– Tak, panie.

– Dlaczego więc lekceważysz moje polecenia, obrażając mnie i szkodząc swojej tu pozycji?

Will milczał.

– Odjęło ci mowę?

– Nie, panie. Ale nie mogę odpowiedzieć, skoro nie wiem, czym zawiniłem.

– Nie wiesz, czym zasłużyłeś na mój gniew? – W tonie Owena pojawiły się groźne nutki. – Ach, zatem szwankuje ci pamięć, nie organ mowy. Co jest twoim pierwszym obowiązkiem po jutrzni, giermku?

– Oporządzić twego konia, panie – wydukał Will uświadamiając sobie, co się stało.

– Dlaczego więc przechodząc koło stajen ujrzałem, że koń jest nie wyczesany, a żłób pusty?

Zamierzając po jutrzni zbadać odkrytą wcześniej dziurę w murze w nadziei, że uda mu się podpatrzeć obrzęd ślubowania, Will poprzedniego wieczora poprosił jednego z giermków, z którym dzielił kwaterę, by go rano zastąpił. Tamten widać zapomniał.

– Wybacz, panie – powiedział skruszonym głosem. – Zaspałem.

Oczy Owena zwięzły się. Obszedł stół dokoła i usiadł na stojącej za nim ławie. Oparł

ręce na blacie, splatając palce.

– Ileż to już razy słyszałem tę wymówkę? I niezliczone inne? Zdajesz się niezdolny do wypełnienia najprostszego polecenia. Reguły Templum nie ułożono po to, aby była łamana, toteż nie zamierzam dłużej tolerować twojego karygodnego zachowania!

Will był zaskoczony; miał już na sumieniu gorsze rzeczy niż zaniedbanie konia.

Zaczął się czuć nieswojo. Owen tymczasem ciągnął:

– Chcąc zostać templariuszem, musisz być gotów ponosić wiele ofiar. I przestrzegać wielu praw. Szkolisz się na żołnierza. Rycerza Chrystusowego! Pewnego dnia zostaniesz wezwany pod broń i jeśli teraz nie potrafisz wykonywać rozkazów, nie wiem, jak masz nadzieję dać sobie radę w szyku. Każdy z braci musi co do joty wypełniać polecenia zwierzchników, jakkolwiek błahe by mu się

wydawały, inaczej porządek panujący w zakonie się rozprzęgnie i zapanuje chaos. Czy wyobrażasz sobie, że wizytator we Francji lub mistrz Pairaud tu w Londynie mógłby nie wykonać zadania zleconego mu przez wielkiego mistrza Berarda? Zapomniałby, dajmy na to, wyprawić daną liczbę zbrojnych do którejś z naszych twierdz w Palestynie, bo po prostu zasnął tego dnia, gdy statek wychodził w morze? – Szare oczy Owena zdały się przewiercać chłopca na wylot. – No powiedz: wyobrażasz to sobie?

Kiedy Will nie odpowiedział, rycerz z irytacją potrząsnął głową.

– Turniej jest od dziś za miesiąc. Zastanawiam się, czy nie powinienem cię wycofać.

Will zerknął na niego przerażony, lecz po chwili odetchnął. Owen nie zabroni mu wziąć udziału w turnieju; pragnął jego zwycięstwa tak samo jak sam Will. To była czcza pogrożka i obaj dobrze o tym wiedzieli.

Rycerz przyglądał się w milczeniu wyprostowanemu hardo rośtemu żylastemu chłopcu w poplamionej kurzem tunice. Kosmyki ciemnych krzywo przystrzyżonych włosów spadały mu na oczy ocieniając twarz. W ostrych kątach policzków i długim jastrzębim nosie można się było dopatrzeć dorosłej już inteligencji. Owen nagle spostrzegł, jak bardzo chłopak robi się podobny do ojca. Wiedział, że strzepi sobie język na próżno. Łajania i groźby nigdy nie skutkowały. Pewnie dlatego, pomyślał z goryczą, że nie potrafię długo się na niego gniewać ani sięgać do brutalniejszych kar, jakimi szafowali inni rycerze.

Zerknął za przepierzenie, potem znów na Willa. Po chwili wstał i wyjrzał przez okno, żeby dać sobie czas do namysłu.

Gdy cisza się przedłużała, Will poczuł się niepewnie. Rzadko widywał Owena tak zamyślonego, tak złowieszczo milczącego. Może się mylił, może rycerz rzeczywiście zabroni mu udziału w turnieju. Albo jeszcze gorzej, może...

W mózgu chłopca błysnęło słowo „wydalenie”.

Po chwili, która wydała się wiecznością, Owen stanął przed nim.

– Wiem, co się zdarzyło w Szkocji.

Oczy Willa rozszerzyły się, potem zwężyły, spojrzenie uciekło w bok.

– Jeśli chcesz zadośćuczynić za tamto, nie tędy droga. Co pomyślałby ojciec o twoim zachowaniu? Kiedy wróci z Ziemi Świętej, chciałbym mówić mu o tobie z dumą, nie rozczarowaniem.

Will poczuł się tak, jakby ktoś zdzielił go w żołądek. Zabrakło mu powietrza, poczuł mdłości.

– Jak... Skąd wiesz, panie?

– Twój ojciec mi powiedział przed wyjazdem.

– Ojciec... ? – powtórzył słabo Will. Zwiesił głowę, po chwili potrząsnął nią i podniósł wzrok. – Czy mogę otrzymać karę i odejść, panie?

Owen miał wrażenie, jakby na twarz Willa znów opadła maska. Chwila słabości trwała bardzo krótko. Patrzył na żyłkę pulsującą na skroni chłopca, na jego zaciśnięte szczęki.

Te same oznaki niewzruszonego uporu widział na twarzy Jakuba Campbella, kiedy odradzał

mu przeniesienie się do komandorii w Akce. Nie został wezwany do udziału w krucjacie, a poza Willem miał jeszcze żonę i córki w Szkocji. Campbell jednak nie zechciał go wysłuchać.

Owen zastanawiał się, czy ma jakąkolwiek szansę dotrzeć do chłopca. Uznał, że czas porozmawiać z nim otwarcie.

– Nie, młodzieńcze, nie możesz odejść. Jeszcze nie skończyłem.

– Nie chcę o tym mówić, panie – rzekł głucho Will – i nie będę.

– Nie będziemy zmuszeni o tym rozmawiać – rzekł spokojnie Owen, sadowiąc się na ławie – jeśli zaczniesz się zachowywać jak rzetelny giermek, a wiem, że nie przekracza to twoich możliwości. – Widząc, że przykuł uwagę Willa, ciągnął: – Masz bystry umysł, Wilhelmie, a twój zapal do walki i sztuki władania bronią już są godne pochwały. Nie chcesz się jednak stosować do podstawowych nakazów reguły. Sądzisz może, że pierwsi bracia napisali ją dla własnej rozrywki? Musimy ze wszystkich sił dążyć do ideału, jaki nam przedstawili, aby spełnić przewidzianą dla nas rolę rycerzy Chrystusowych na ziemi. Sztuka władania mieczem to jeszcze nie wszystko. Sam Bernard z Clairvaux napominał, że darmo atakować zewnętrznego wroga, jeśli nie pokonamy najpierw tego, który mieszka w nas. Czy to rozumiesz, Wilhelmie?

– Tak, panie – rzekł cicho Will. Uczucie, jakie Owen włożył w swoje słowa, poruszyło coś i w jego sercu.

– Nie możesz wciąż narażać swojej duszy lekceważąc regułę, ilekroć wyda ci się ona nudna albo pozbawiona sensu. Musisz być posłuszny we wszystkich sprawach, nie tylko tych, które sprawiają ci przyjemność. Naucz się dyscypliny, inaczej nie będzie dla ciebie miejsca w zakonie. Czy to jest jasne?

– Tak, panie.

Owen odchylił się do tyłu zadowolony, że chłopak go wysłuchał i zrozumiał.

– To dobrze. – Wziął jeden z leżących na stole pergaminów, rozwinął go i wygładził

dłonią. – Już niedługo będę miał dla ciebie zadanie. Będziesz niósł za mną tarczę podczas rokowań między królem Henrykiem a naszym mistrzem.

– Król... ma tu przybyć, panie?

– Za dwanaście dni. – Owen podniósł wzrok znad pergaminu. – A że jego wizyta jest tajna, nie wolno ci nikomu o tym mówić.

– Masz na to moje słowo, panie.

– Aby odbyć karę za dzisiejsze zaniedbanie, do tego czasu będziesz pracował w stajni. Oczywiście na dodatek do normalnych dziennych zajęć. Teraz możesz odejść.

Will skłonił się i ruszył w stronę drzwi.

– A, Wilhelmie...

– Słucham, panie?

– Może dotąd ci się wydawało, że rzucam tylko groźby bez pokrycia. Jeśli wszakże choć raz jeszcze wystawisz moją cierpliwość na próbę, nie zawaham się wystąpić o wykluczenie cię z Templum. Strzeż się więc wybryków. Bóg świadkiem, że łaszą się do ciebie jak psy, ale gdy następnym razem wyciągniesz do nich rękę, mogą cię boleśnie ugryźć.

– Tak, panie.

Kiedy Will odszedł, Owen ze znużeniem potarł czoło.

– Jesteś dla tego chłopaka stanowczo zbyt wyrozumiały, bracie. – Zza przepierzenia ukazał się wysoki rycerz o siwiejących włosach barwy krzemienia, ze skórzaną przepaską na lewym oku. Podszedł do Owena, trzymając w ręku arkusz pergaminu. – Niesienie tarczy rycerza Świątyni to wielki zaszczyt, tym większy, iż będzie to wyjątkowe spotkanie. Ta kara jest raczej nagrodą.

Owen przebiegł oczyma tekst rozpostartego przed sobą pisma.

– Być może odpowiedzialność doda mu powagi i pomoże mi go utemperować, bracie.

– Albo wywyższenie skłoni go do jeszcze gorszych wybryków. Obawiam się, że twoje przywiązanie do tego chłopca uczyniło cię ślepym. Nie jesteś jego ojcem, Owenie.

Owen zmarszczył brwi i podniósł wzrok. Już miał zaprotestować, lecz jednooki rycerz mówił dalej:

– Chłopcy w jego wieku i jego stanu są jak psy. Łatwiej do nich przemówić batem niż słowem.

– Z tym się nie zgadzam.

Rycerz lekko wzruszył ramionami i położył trzymany arkusz na stole.

– Ty o tym decydujesz, rzecz jasna. Ja tylko przedstawiłem swoje zdanie.

– Zostało wysłuchane – odparł łagodnie, lecz stanowczo Owen. Zebrał w garść pergaminy – Przeczytałeś je wszystkie?

– Tak. – Jakub z Lyonu podszedł do okna i spojrział z góry na klasztor. Liście na drzewach zaczynały już więdnąć, brązowiały i zwijały się na brzegach. – Co na to powiada mistrz Pairaud? Jest pewny, że Henryk przystanie na nasze żądania?

– Raczej tak. Ponieważ od kilku miesięcy zajmuję się tą sprawą, mistrz zdał na mnie obmyślenie taktyki rokowań. Omówiłem z nim moje poglądy i zgodziliśmy się, że trzeba nie tylko zrobić wykaz kwot pożyczonych koronie w ciągu minionego roku, ale uzupełnić go o dokładne wskazania, na co te sumy zostały spożytkowane. Będzie mi potrzebna twoja pomoc w ustaleniu szczegółów.

– Masz ją.

Owen skinął z wdzięcznością głową.

– To wzmocni nasze argumenty.

– Jakkolwiek okażą się silne, król nie będzie zadowolony – zauważył Jakub.

– Nie, nie będzie. Ale choć winniśmy postępować w tej materii bardzo delikatnie, to jednak Henryk nie ma wyjścia. Musi się zgodzić. Jeśli odmówi, możemy zwrócić się o nakaz do papieża.

– Ostrożność jest konieczna, bracie. Templum nie podlega królewskiej jurysdykcji, ale jeśli Henryk zechce, może nam uprzykrzyć życie. Zrobił to już, kiedy usiłował

skonfiskować nam niektóre majątki. Ponadto – dodał rycerz posepnie – w tej chwili mamy dość zmartwień nawet bez konieczności przeciwdziałania zemście zawistnych monarchów. –

Podsunał sobie stołek i siadł naprzeciw Owena. – Rozmawiałeś dziś rano z mistrzem.

Otrzymał jakieś dalsze raporty z za morza?

– Będziemy o tym mówić na najbliższej kapitule. Nie, nie było żadnych nowych wieści po tej o ataku Mongołów na Aleppo, Damazek i Bagdad i rozpoczętym przeciwuderzeniu Kutuza. Jak dla mnie jest to wystarczająco ważny powód, żeby jak najprędzej wystąpić do króla o zwrot długów. Jeśli z woli Boga będziemy musieli stawić czoło nowemu zagrożeniu, przydadzą nam się wszystkie środki, jakie zdołamy zgromadzić. –

Owen czubkami palców wyrównał stosik pergaminów i potrząsnął głową. – Jeżeli Egipt stanie przeciw Mongołom i zwycięży, upojona triumfem armia mameluków ruszy na nasze ziemie. Nie wyobrażam sobie większego niebezpieczeństwa.

W obozie panował niesłychany gwar; radosne okrzyki i przygotowania do uczyty mieszały się z pieśniami zwycięstwa i rozkazami wykrzykiwanymi przez oficerów, którzy nie dopuszczali do rozluźnienia dyscypliny, choć na pierwszy rzut oka dostrzegało się wyłącznie chaos.

Przed namiotem sułtana Bajbars ściągnął wodze, zeskoczył z siodła i przywiązał

wierzchowca do rozchybotanego słupka. Obrzucił wzrokiem ziejący poniżej wąwóz. Słońce schowało się już za górami i w dolinie zaległ cień. Słysząc było głucho uderzenia siekier, którymi żołnierze rąbali sprzęt oblężniczy Mongołów. Drewno potrzebne było, żeby spalić zwłoki wrogów. Spojrzenie Bajbarsa przesunęło się wzdłuż szeregu rannych mameluków, wolno pnącego się z pola bitwy na wyżej położony teren. Mogący chodzić wspierali się na ramionach towarzyszy, ciężej rannych zwożono wozami, które podskakiwały na kamienistym gruncie. O świcie medycy będą wykończeni, ale jeszcze bardziej ta noc zmęczy grabarzy.

Bajbars ruszył do namiotu. Wejścia strzegli dwaj odziani w białe płaszcze żołnierze z oddziału Mu'izzija, osobistej gwardii sułtana. Na jego widok rozstąpili się, składając mu pokłon.

Powietrze w namiocie było gęste od zapachu drzewa sandałowego; migoczące w olejnych lampkach płomyki dawały łagodne żółtawe światło. Chwilę trwało, nim wzrok przyzwyczał się do półmroku, ale gdy to już się stało, Bajbars skierował go natychmiast ku tronowi stojącemu na drewnianym podeście pod baldachimem z białego jedwabiu. Ów wspaniały mebel okryty haftowaną materią miał poręcze w kształcie dwóch lwów wykutych po mistrzowsku ze szczerego złota. Zwierzęta zdawały się szczerzyć paszcze na każdego, kto stanął u stóp tronu. Siedzisko było puste. Bajbars rozejrzał się; dostrzegł niską otomanę częściowo ukrytą za ażurowym parawanem. Tam pośród kap i poduszek spoczywał sułtan Kutuz, pan mameluków i władca Egiptu. Tęgie ciało miał ściśle owinięte adamaszkowym płaszczem barwy jadeitu, a długa czarna broda lśniła od wonnych olejków. Jak zwykle nie był

sam. Bajbars szybko przebiegł wzrokiem po towarzyszących sułtanowi ludziach. Robił to z nawyku; ilekroć znalazł się w zamkniętej przestrzeni, natychmiast oceniał liczbę znajdujących się w niej mężczyzn i stan ich uzbrojenia. W otoczeniu sułtana odpowiedź na te dwa pytania nie zmieniała się nigdy: byli tu wszyscy, którzy się liczyli, i wszyscy oprócz służby nosili broń. Bajbars od dawna był zdania, że oznaką władzy Kutuz nie jest otaczający mu czoło złoty diadem, lecz skupiona zawsze wokół niego świta. Słudzy z misami pełnymi owoców i pucharami kordiału z hibiskusa krążyli zrećznie pośród królewskich doradców i dowódców licznych mameluckich pułków, którzy gawędzili w małych grupkach. Pod ścianami gwardziści wtapiali się w cień.

Zimny powiew wpadł do namiotu wraz z posłańcem, który spieszenie podszedł do jednego z namiestników. Przeciągł zbił kadzidlany dym w nietrwałe chmurki. Kutuz podniósł

głowę. Spojrzenie jego ciemnych oczu spoczęło na Bajbarsie.

– Emirze – skinął ręką – podejdź.

Bajbars zbliżył się do otomany i zgiął w ukłonie.

– Godzien jesteś pochwały. Dzięki twemu planowi po raz pierwszy zwyciężyliśmy Mongołów. – Kutuz oparł się o poduszki i wziął puchar podsunięty mu na tacy przez sługę. –

Co twoim zdaniem winniśmy uczynić teraz? – Obrzucił spojrzeniem grupę mężczyzn skupionych pod ścianą namiotu. – Niektórzy z mych doradców uważają, że należałoby się wycofać.

– Ruszyć za nimi i dogonić pozostałe siły, panie – odparł patrząc nań Bajbars. –

Niedobitki uciekają na wschód, ku granicy; wieści głoszą, że już rozpętała się walka o tron po Kitbodze. Dobrze byłoby na nich uderzyć, dopóki nie zewrą szyków.

– To może być trudne – zauważył jeden z namiestników. – Do wschodniej granicy jest szmat drogi, a...

– Nie – przerwał mu Kutuz. – Bajbars ma słuszość. Musimy uderzyć, póki jeszcze możemy, aby nasze zwycięstwo było ostateczne. – Skinął na skrybę siedzącego przy stoliku w rogu namiotu. – Wystosowałem list do Franków z Akki informując ich o zwycięstwie i prosząc o dalsze poparcie naszej kampanii. Każ któremuś z przybocznych zawieźć go do miasta i przekazać wielkiemu mistrzowi Krzyżaków.

Bajbars z ociąganiem przyjął zwój. Mieli prosić nieprzyjaciela, by zezwolił im na przejście przez ich własne ziemie, które wprzód im zagrabił! Samą myśl o czymś takim uważał za haniebną, a krótki postój w Akce podczas przemarszu przez Palestynę jeszcze wzmógł jego nienawiść. Podczas gdy armia obozowała pod murami Akki, rycerze Zakonu Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego zaprosili Kutuzę do swojej warowni, aby podjąć go ucztą. Wtedy to sułtan zaproponował im sojusz przeciwko Mongołom.

Układy pomiędzy chrześcijanami a muzułmanami nie były czymś szokującym.

Wiele takich sojuszy zawiązało się od czasu, gdy pierwsi Frankowie wezwani przez papieża ruszyli wydrzeć innowiercom ojczyznę swojego Boga. Popychała ich nadzieja na odpuszczenie grzechów w życiu przyszłym oraz ziemie i bogactwa na tym padole. W

zamorskiej krainie ich zapal stopniowo tracił ostrze i z czasem nauczyli się paktować z wrogiem, aż mimo konfliktu nawiązały się relacje handlowe, a nawet przyjaźnie. Owego dnia w Akce jednak, choć dowódcy Zachodu zezwolili mamelukom na przejście przez ich ziemie, bez ogródek odrzucili propozycję sojuszu wojskowego.

Bajbars, który na tej uczcie siedział u boku sułtana, patrzył ponuro, jak muzułmańscy słudzy wnoszą potrawy na stół. W Akce to *al-Firindża* – Frankowie – dzierżyli władzę.

Termin ów używany był w odniesieniu do całego zachodniego rycerstwa niezależnie od kraju, z którego przybyli. Ale też wszyscy mieli dwie wspólne cechy: wyznawali wiarę chrześcijańską i zjawili się na Wschodzie nie zaproszeni. W miastach podległych frankijskiej władzy miejscowi chrześcijanie, muzułmanie i żydzi mogli pracować, wyznawać swe religie i tworzyć własne gminy.

To wszakże co Frankowie uważali za tolerancję, dla Bajbarsa było obrażą. Zachodni chrześcijanie, którzy wdarli się tu siłą, wynosili się ponad jego współwyznawców i paśli owocami ich pracy. Rycerze z Akki pysznili się nabytymi manierami, odziewali w jedwabie i skrapiali włosy wonnościami, lecz Bajbars wciąż widział

na nich brud Zachodu, którego mydło Palestyny nie było w stanie zmyć do czysta.

Spojrzał Kutuzowi w oczy.

– Wolałbym zawieźć Frankom wojnę niż wiadomość, panie.

Kutuz zabębnił placami w poręcz otomany.

– Na razie musimy skupić siły w walce z jednym wrogiem, emirze. Mongołowie zapłacą mi za obrażę.

– Oraz – wtrącił Bajbars – za osiemdziesiąt tysięcy naszych braci w wierze, których wyrznęli w Bagdadzie.

– To prawda – przyznał po chwili Kutuz. Wychylił puchar i oddał go słudze. –

Frankowie przynajmniej okazują mi szacunek.

– Okazują ci go, panie, bo się boją, że Mongołowie zajmą ich ziemie. Zamiast sami wznieść oręż, pozwalają, byśmy walczyli za nich. – Bajbars bez zmrużenia powiek wytrzymał

ciężkie spojrzenie Kutuz. W namiocie zapadła pełna napięcia cisza mącona tylko krokami sług oraz dobiegającym z zewnątrz gwarem obozowiska.

Kutuz pierwszy odwrócił wzrok.

– Otrzymałeś rozkazy, emirze.

Bajbars zmilczał. W toku kampanii będzie miał dość czasu, by nagiąć Kutuz do swojej woli.

– Pozostała jeszcze sprawa nagrody, panie.

Kutuz rozsiadł się wygodniej, skinął głową i napięta atmosfera nagle zelżała.

– Zwycięski żołnierz zawsze zasługuje na udział w łupach. – Skinieniem ręki wezwał jednego z doradców. – Każ napełnić skrzynię złotem dla emira.

– Nie zależy mi na złocie, panie.

Kutuz zmarszczył brwi.

– Nie? A czego chcesz?

– Rządzić w twoim imieniu miastem Aleppo, panie.

Z tyłu któryś z mężczyzn drgnął nerwowo. Kutuz milczał przez chwilę, potem wybuchnął śmiechem.

– Żądasz ode mnie miasta, które jest w rękach wroga?

– Nie na długo, panie. Zgnietliśmy trzecią część ich armii, niebawem zaś odbijemy zdobyte przez nich twierdze, aby dokończyć dzieła.

Uśmiech spełził z warg Kutuz.

– Co to za gra?

– To nie gra, panie.

– Czemu żądasz takiej akurat nagrody? Po co ci Aleppo, skoro twoim najgorętszym pragnieniem jest poprowadzić moje wojska przeciw chrześcijanom?

– Namiestnictwo Aleppo mi w tym nie przeszkodzi.

Kutuz złożył ręce na piersi.

– Emirze... – Łagodnemu tonowi przeczył twardy wyraz oczu. – Nie rozumiem, dlaczego chcesz wrócić w miejsce tak pełne wspomnień.

Bajbars zeszywniał. Miał świadomość, że Kutuz lubi wiedzieć o swych dowódcach wszystko, bez mała od chwili ich narodzin. Nie przypuszczał jednak, że ktokolwiek, w tym Kutuz, wie o jego pobycie w Aleppo. Spostrzegłszy, iż trafił w czuty punkt, Kutuz uśmiechnął się kącikiem ust.

– Niemal dwadzieścia lat już służę tobie i twym poprzednikom, panie. – Głęboki głos Bajbarsa wypełnił namiot, słudzy i doradcy znieruchomieli, nasłuchując. – W tym czasie nappełniłem strachem serca nieprzyjaciół islamu, przysparzając Egiptowi chwały. Pod Herbiją stałem w pierwszym szeregu i zgładziłem pięć tysięcy chrześcijan. W Mansurze pomogłem schwytać króla Franków Ludwika i zabiłem trzystu jego najlepszych rycerzy.

– Jestem wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, lecz niestety nie mogę ci dać skarbu, jakim jest Aleppo, nawet gdybym już nim rozporządzał.

– Wdzięczny, panie? – Ton Bajbarsa był lekki, ale dłonie miał zaciśnięte w pięści. –

Gdyby nie ja, nie miałbyś tronu, na którym zasiadasz.

Kutuz zerwał się z otomany, strącając poduszki.

– Zapominasz się, emirze! Na Allaha, powinienem cię kazać wychłostać! – Podszedł

do tronu i zasiadł na nim, zaciskając dłonie na rzeźbionych głowach lwów.

– Błagam o wybaczenie, panie, lecz uważam, że zasłużyłem na tę nagrodę.

– Wyjdź! – parsknął Kutuz. – Wyjdź i nie wracaj, dopóki nie przemyślisz głęboko, kim jest sułtan, a kim dowódca pułku, i kto z nich stoi wyżej. Nie dostaniesz Aleppo, Bajbarsie, słyszysz? Nigdy!

Kątem oka Bajbars zauważył, że kilku gwardzistów wysunęło się nieco naprzód. Ich dłonie powędrowały ku rękojeściom szabel. Zmusił się do ukłonu i wymaszerował z pawilonu ściskając w rękę zwój.

Kiedy szedł przez obozowisko, ludzie rozstępowali się przed nim, widząc gniew spowijający go niczym burzowa chmura. Słońce już zaszło; w wąwozie płonęły na stosach ciała zabitych Mongołów. Płomienie wspinały się ku fioletowemu niebu. W chłodnym powietrzu pustyni niesły się okrzyki i śmiechy, a nieco bliżej wrzaski gwałconej kobiety.

Dotarłszy do swego namiotu, Bajbars gwałtownie odrzucił płachtę i zatrzymał się w wejściu.

Na środku namiotu stał chudy brzydki mężczyzna o uczciwej twarzy i nieco skrzywionym nosie.

– Emirze – skłonił się lekko. – Nie widziałem cię w bitwie, ale słyszałem już dziesięć pieśni sławiących twoje męstwo.

Bajbars oddał broń słudze, który czekał w pokłonie. Mężczyzna poszedł bliżej i uścisnął go.

– Idąc przez obóz wszędzie słyszałem ludzi wychwalających twe imię. Jesteś bohaterem. – Wskazał gestem otomanę, przed którą na skrzyni stały przygotowane półmiski z figami i przyprawionym mięsiwem. – Zdejmij zbroję i napij się ze mną dla uczczenia zwycięstwa.

– Czas świętowania już minął, Omarze.

– Co mówisz?

Bajbars zerknął na pacholków. Ten, który wziął od niego szablę, przysiadł na piętach i począł je czyścić. Dwaj inni dokładali węgiel drzewny do piecyka, a czwarty nalewał wody do srebrnej misy.

– Zostawcie nas!

Słudzy podnieśli głowy ze zdumieniem, lecz widząc minę swojego pana, pospiesznie opuścili namiot. Bajbars rzucił na piasek zakrwawiony płaszcz. Usiadł ciężko, chwytając kubek z kumysem. Pił chciwie, sfermentowane kobyle mleko koifo mu spieczone gardło.

Omar usiadł obok niego.

– *Sadik...* – rzekł z naciskiem, po wyjściu sług zwracając się do emira poufałym terminem „przyjacielu”. – Znam cię od osiemnastu lat i w ciągu tego czasu ani razu nie widziałem, aby rozgniewało cię zwycięstwo. Co jest tego przyczyną?

– Kutuz.

Omar czekał w milczeniu. Przez chwilę panowała cisza, potem Bajbars zaczął

wyrzucać z siebie wzburzone słowa. Sułtan ważył się odrzucić jego prośbę! Kiedy skończył

mówić, Omar wyprostował się i potrząsnął głową.

– Kutuz się ciebie boi. Twoja sława cię wyprzedza, a on aż za dobrze wie, że mając za sobą armię, można obalać władców. Ostatecznie sam także objął tron siłą. Rządzi dopiero od roku i nie zdołał jeszcze umocnić swej władzy nad wszystkimi pułkami. Sądzi pewnie, że wraz z Aleppo da ci zbyt wielką siłę, której możesz użyć przeciwko niemu. – Omar rozpostarł

ręce. – Nie wiem jednak, co mógłbyś w tych okolicznościach zrobić. Słowo sułtana jest prawem.

– On musi umrzeć – powiedział cicho Bajbars.

Tak cicho, że Omar nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

– *Sadik... ?*

Bajbars zerknął na niego.

– Zabiję go i osadzę na tronie lepszego władcę. Takiego, który nagradza swych dowódców. Który pozwala im odnosić zasłużone zwycięstwa.

Wzrok Omara powędrował ku wejściu do namiotu. Płachta była podniesiona, na zewnątrz widać było migotliwe światła pochodni i cienie ludzi znoszących łupy do obozu.

– Nie wolno ci nawet myśleć o czymś takim – szepnął. – Odpocznij. Jutro jest nowy dzień, a może dobre sny ukoją twój gniew.

– Jesteś jednym z moich zastępców, Omarze, i człowiekiem bliskim mi jak brat, ale jeśli wierzysz w to, co powiedziałaś, to zaiste w ogóle mnie nie znasz. Byłeś przy mnie, gdy zabiłem potomka Ajjuba. To moja ręka wzniosła ostrze, które zakończyło żywot sułtana.

Mogę to zrobić znowu.

– Tak – rzekł cicho Omar. – Byłem tam. – Spojrzał w oczy Bajbarsa i nie zobaczył w nich ani krzty niezdecydowania. Kiedyś widział już w nich podobny wyraz.

Owego dnia dziesięć lat temu pułk odpoczywał po zwycięstwie nad Frankami pod Mansurą. W tamtym czasie Bahridzi byli gwardzistami Sułtana Ajjuba, którego przodkowie stworzyli niewolniczą armię mameluków i wynieśli ją ponad inne. Tuż przed bitwą mansurską Ajjub zmarł i na tron wstąpił jego spadkobierca Turanszach. Ten rozwścieczył

mameluków obsadzając wysokie stanowiska własnymi ludźmi, toteż Ajbek, wódz Bahridów,

rozkazał Bajbarsowi, by rozwiązał problem za pomocą zimnej stali. Bajbars zabrał Omara i kilku innych ludzi i nocą, ukrywając broń pod płaszczami, wtargnęli do sali, w której Turanszach wydawał ucztę. Sułtan uciekł do wieży nad brzegiem Nilu, lecz Bajbars tropił go jak pies gończy. Nakazał podpalić wieżę. Gdy płomienie pożarły drewno, sułtan skoczył do rzeki i z niej jak podtopiony szczur błagał o życie. Bajbars wszedł do wody i jednym cięciem zakończył jego krzyki, a zarazem położył też kres dynastii Ajjubidów, utwierdzając mameluków u władzy i czyniąc niewolników panami. Omar nigdy nie zapomniał chwili, gdy Bajbars wbił ostrze w brzuch Turanszacha. Twarz miał zmienioną nie do poznania, wykrzywioną gorączką mordy.

Potrząsnął głową.

– Tym razem ci się nie uda. Kutuz ani na chwilę nie oddała straży. Zginiesz.

Z cienia dobiegł ich zgrzytliwy śmiech:

– Och, uda się, uda!

Odwrócili się jak na komendę; Bajbars odruchowo sięgnął po schowany w cholewie buta sztylet.

Chwilę później z mroku wyłonił się starzec o skołtunionych czarnych włosach i skórze ciemnej i pomarszczonej jak suszony owoc. Miał na sobie wytartą płócienną koszulę, bosa stopy o żółtych paznokciach pokrywały skaleczenia i strupy. Omar odprężył się nieco rozpoznając Kadir, zaklinacza. Na łańcuchu przy pasie Kadir przywieszony miał sztylet ze złoconą rękojeścią ozdobioną wielkim lśniącym rubinem. Sztylet był jedyną oznaką, iż ten nędznik był niegdyś wojownikiem osławionego bractwa asasynów, zabójców wybranych spośród najlepszych, które zawiązało się w Syrii niedługo przed pierwszą wyprawą krzyżową. Będąc szyitami, muzułmańską mniejszością, która oddzieliła się od sunnitów wskutek sporu o następstwo po Mahomecie, asasyni postawili sobie za cel zniszczenie przeciwników swej wiary. Czynili to skutecznie i bez pardonu. Wyprawiali się ze swych tajnych warowni w górach Syrii i zniemacka spadali na swe ofiary niczym śmiertelnie jadowite pająki. Ich ulubioną bronią był sztylet i trucizna. Z biegiem lat nauczyli się ich lękać Arabowie, krzyżowcy, Turcy i Mongołowie – zaiste nie bez powodu. Później jednak nauczyli się także kupować ich usługi. Płacili za nie drogo, albowiem nie było lepszych mistrzów w sztuce skrytobójstwa.

Omar nie wiedział, dlaczego Kadir opuścił ich szeregi. Obiło mu się o uszy, że został

wykluczony, lecz poza paroma mętnymi pogłoskami powody wygnania nie były dlań jasne.

Wiedział tylko, że tuż po tym, jak Bajbars otrzymał dowództwo pułku Bahri, starzec przybył

do Kairu w tej samej nędznej szacie, którą nosił dotąd, i zaofiarował mu swe usługi.

Kadir podszedł do kosza wypełnionego żarem. Dopiero teraz Omar zauważył, że na ręce zaklinacza owinięta jest żmija.

– Mów – rozkazał Bajbars.

Kadir przykucnął wpatrując się w węża, który jak zakłęty wił mu się wokół

przedramienia, potem zerwał się na nogi. Spojrzał na Bajbarsa.

– Zabij Kutuza – rzekł zimno. – Wojsko cię poprze.

– Jesteś pewien?

Kadir zachichotał i usiadł na piasku krzyżując nogi. Ujawszy łeb żmii w dwa palce zdjął ją z nadgarstka i szepnął coś do niej, nim wypuścił ją na ziemię. Ruszyła w stronę otomany znacząc w piasku cienki falisty ślad. Omar ledwie opanował chęć, by cofnąć nogę, kiedy gad – młody, lecz nie mniej przez to jadowity – prześliznął mu się po bucie.

Żmija podpełzła do Bajbarsa i Kadir klasnął w ręce.

– Widzisz? Wskazuje ci odpowiedź!

– Jego gusła obrażają Allaha, *sadik* – rzekł cicho Omar. – Powinieneś mu ich zakazać.

Białawe oczy zaklinacza spoczęły na Omarze, który odwrócił głowę, nie mogąc znieść ich spojrzenia.

Bajbars obserwował węża, który sunął między jego stopami chcąc schronić się w ciemnej kryjówce.

– To Allah wyposażył go w ten dar, Omarze, i jak dotąd nigdy go nie zwiódł.

Nim żmija zdążyła zniknąć pod sofą, Bajbars podniósł nogę i z całej siły nadepnął jej na głowę. Kopnięciem odrzucił zewłok pod ścianę namiotu i spojrzał na Kadira. Zaklinacz był

zajęty zdrapywaniem strupa z łydki.

– Armia może nas poprze, ale gwardia sułtańska? Stanie murem przy Kutuzie.

Kadir wzruszył ramionami i dźwignął się z ziemi.

– Możliwe. Ale ich lojalność da się kupić za złoto, a to twoi ludzie strzegą dzisiejszych łupów. – Podniósł martwego węża. Przez chwilę patrzył smutnie na zgruchotane ciało, po czym wetknął je za pazuchę i zerknął na Bajbarsa z uczuciem zbliżonym do ojcowskiej dumy. – Widzę przed tobą wielką przyszłość, panie. Ludy będą upadać, królowie ginąć, ty zaś będziesz górował nad nimi na moście z czaszek ponad rzeką krwi. – Zniżywszy głos do szeptu, padł na kolana przed Bajbarsem. – Jeśli twoja dłoń wzniesie nóż, który zabije Kutuza, będziesz sułtanem!

Bajbars zaśmiał się chrapliwie.

– Sułtanem? Wtedy Aleppo będzie najmniejszym z moich skarbów!

Śmiech urwał się nagle. Myśl Bajbarsa rzuciła się na tę nową perspektywę i zacisnęła na niej jak

szpon.

Kiedy zabił Turanszacha, zwyczajowe prawo do objęcia tronu przysługiwało temu, kto zlecił zabójstwo – ówczesnemu dowódcy Bahridów, Ajbekowi. Ajbek jednak nie wynagrodził Bajbarsa stosownie do jego roli, toteż Bajbars, nie chcąc służyć człowiekowi, którego sam wyniósł na tron, opuścił Kair. Wrócił po roku. W tym czasie Kutuz zdążył

zrzucić z tronu już następcę Ajbeka. Bajbars miał nadzieję, że nowy sułtan okaże się nareszcie człowiekiem honoru. Gorzko się zawiódł.

Podniósł się z otomany i stanął w wejściu do namiotu. Niebo przybrało rdzawy odcień od pogrzebowych stosów, a księżyc, który wstawał nad pustynią, był czerwony jak krew. Falista linia wzgórz nikła w oddali, dosięgając równiny, ich czarne sylwetki wpadały w mrok. Na południu Źródła Goliata lśniły w świetle księżyca niczym wypolerowane żelazo.

Wiele lat temu Frankowie przybyli na tę równinę, urągając sułtanowi Egiptu swoimi mieczami i krzyżami. Zostali otoczeni, ich linie zaopatrzenia przerwano, ale przeżyli łowiąc ryby w jeziorach i czerpiąc z nich wodę. Saladyn nie zdołał sforsować obrony i musiał się wycofać.

Już od dwustu lat Frankowie żywią się naszą wodą i jadłem, pomyślał, zabijają naszych ludzi i bezczeszczą świątynie. Gdzie dawniej czczono Allaha, dziś świny tarzają się w gnoju.

Ale gdy tak stał patrząc na niedalekie jeziora, rozgoryczenie ustąpiło miejsca przeczuciu. Słowa Kadira zasyczały mu w głowie jak języki ognia. Jego przeznaczeniem było doprowadzić do zniszczenia Franków. Czuł to w głębi swej duszy.

– Gdybym ja był sułtanem – szepnął – zmiażdżyłbym tych barbarzyńców z północy tak, że nawet sepy nie miałyby się czym pożywić na ich kościach.

Omar stanął obok niego.

– Wiem, że tęsknisz, by rozlać ich krew, lecz nie traktuj Franków jak bezmyślnych dzikusów. To zaprawieni w bojach żołnierze i chytry stratedzy. Niełatwo będzie ich zwyciężyć.

– Mylisz się – Bajbars podniósł głos. – To są barbarzyńcy. W swych krajach żyją jak świny. Mieszkają w nędznych norach i obyczajami także przywodzą na myśl zwierzęta.

Obrócili wzrok na Wschód, gdzie ujrzeli piękno naszych miast, urodę ludzi i mądrość uczonych. Zapragnęli tego wszystkiego dla siebie, toteż przyszli z krucjatą. Nie dla swego Boga, lecz dla łupu. – Bajbars zamknął oczy. – Każdy dzień, który spędzili w tym kraju, woła o pomstę!

– Sułtan wydał rozkazy – mruknął Omar. – Mamy walczyć z Mongołami.

– Zgniecenie ich nie zajmie nam dużo czasu. A kiedy to zrobimy, zajmiemy się Kutuzem. – Bajbars chwycił Omara za ramię. – Czy staniesz przy mnie?

– Nie musisz o to pytać.

– Weź całe złoto – Bajbars wskazał szkatułę – i dopilnuj, żeby dowódcy otrzymali zapłatę. Bądź dla nich hojny, bo jeśli mam stanąć do walki z Kutuzem, musimy najpierw przeciągnąć na naszą stronę tyłu ludzi, ilu tylko się da.

– A potem?

– Potem? – Spojrzał na Kadira przykucniętego obok kosza z żarem. W oczach zaklinacza jarzył się czerwony blask. – Potem przygotujemy się do wojny.

4

Nowa Świątynia, Londyn

Czternasty dzień września roku Pańskiego 1260

Drewniane miecze zderzyły się z ostrym trzaskiem; Will poczuł mrowienie przebiegające ramię aż do barku i poprawił chwyt. Jego przeciwnik, złotowłosa Garen z Lyonu, pośliznął się, stopa ujechała mu w rozmiędlonym błocie. Przez trzy ubiegłe dni lało niemal bez przerwy; ziemia nasiąkła, pole, na którym ćwiczyli, usiane było żółtawymi kałużami. Z prawej strony ciągnęło się ono aż do brzegu Tamizy ukrytej za gęstymi zaroślami. Po lewej i z tyłu stały budynki preceptorium, przesłonięte unoszącą się w powietrzu mgłą. Słońce nie miało jeszcze dość siły, by rozproszyć chłód, ale twarze chłopców złane były potem. Tunika Willa przylepiła mu się do pleców, które swędziały nieznośnie. Zbił

kij Garena i sam wyprowadził cios na głowę, pozorując najpierw uderzenie w lewy bark.

Garen sparował atak i cofnął się, przybierając pozycję mieczową. Nie spuszczał z Willa ciemnoniebieskich oczu.

– Ponoć wy, Szkoci, jesteście najbardziej zawziętymi wojownikami Brytanii?

– Dopiero się rozgrzewam – odparł uprzejmie Will, okrążając go. – Poza tym jeszcze nie zdecydowałem, kogo wyobrażę sobie dziś na twoim miejscu.

Garen wyszczerzył zęby.

– Ja już wiem. Jesteś Saracenem.

– Znowu? – Will wywrócił oczyma i podniósł wyżej miecz. – Dobrze. W takim razie ty będziesz joannitą.

Garen skrzywił się i splunął. Między templariuszami a szpitalnikami od świętego Jana trwała zawzięta rywalizacja. Oba rycerskie zakony składały się z prawych chrześcijan walczących w imię Boga i Kościoła, ale to nie przeszkadzało im wojować ze sobą o ziemię, wpływy z handlu i inne interesy.

Will rzucił się do przodu. Za wolno. Ledwie zdążył uskoczyć i unieść miecz na tyle, by zasłonić się

przed potężnym ciosem w głowę.

– Stać!

Słyszac komendę, chłopcy odsunęli się od siebie, dysząc ciężko. Podeszedł do nich wysoki rycerz w ubłoconej u dołu szacie.

– Miałeś rozbroić przeciwnika, Garenie. Nie starać się go zabić.

– Przepraszam. – Garen pochylił głowę. – Źle wymierzyłem cios.

– Owszem, źle. – Srogiego spojrzenia rycerza nie łagodził fakt, że miał tylko jedno oko. Drugie przysłonięte było wytartą skórzaną opaską. – Dalej! – warknął, cofając się na skraj pola, gdzie stało rzędem szesnastu chłopców w wieku Willa i Garena.

Nie wszyscy młodzi serwienci Templum uczyli się sztuki wojennej; wielu miało objąć funkcje służebne w kuchniach, kuźniach, stajniach, licznych komandoriach i włościach zakonu. Ci nigdy nie staną oko w oko z wrogiem. Lecz po kandydatach do stanu rycerskiego spodziewano się, że przed ukończeniem osiemnastego roku życia będą wytrawnymi wojownikami. Nauczanie dyscyplin wchodzących w skład *trivium* – retoryki, gramatyki i logiki, które mnisi innych zakonów zgłębiali w pierwszym rzędzie – przez templariuszy uważane było za mniej istotne, choć bracia musieli znać na pamięć wszystkie punkty reguły.

Tak więc piętnastoletni giermkowie potrafili galopować konno dzierżąc włócznię i tarczę, ale

– jeśli nie liczyć wyjątków, do których chlubnie zaliczali się Will i Garen – na ogół nie umieli się podpisać.

Will ruszył naprzód, trzymając sztywną zastawę. Drewniany miecz był

poszczerbiony od częstego używania, z krawędzi sypały się drzazgi. Garen zaatakował, wydając głośny okrzyk. Will zszedł z linii pierwszego ciosu, lecz Garen nacierał dalej, serią krótkich cięć zmuszając go do cofnięcia się. Will znów przyjął postawę i zwarli się ze sobą.

Miecz w miecz napierali na siebie, żaden nie chciał się cofnąć ani o krok. Z ust unosiły się obłoczki pary, stopy miały ziemię na śliską czarną maź. Will warknął głucho i pchnął, Garen stracił równowagę i rozpaczliwie machnął ręką, poluźniając chwyt. Will szybkim ciosem ze sztywnego ramienia wytrącił mu miecz, a gdy przeciwnik zwałił się na wznak w błoto, stanął

nad nim markując sztych w krtań. W grupie obserwujących walkę giermków rozległy się śmiechy i okrzyki.

Rycerz uciszył ich machnięciem ręki.

– Nie ma czego chwalić w tej walce – rzekł kwaśno i gestem odesłał ich z pola. –

Wracajcie do szeregu.

Will cofnął miecz i podał Garenowi rękę. Ten skorzystał z pomocy, dźwignął się i podniósł swój oręż. Zbiegli na bok w przemoczonych tunikach i nogawicach. Will skrzywił

się, kiedy rycerz zwrócił się do grupy:

– Wilhelm Campbell wykazał się słabą obroną. Lepsza technika pozwoliłaby mu zmęczyć przeciwnika, którego otwierający atak był chaotyczny i przewidywalny. – Rycerz spojrzął na Willa. – Wówczas nie musiałbyś się uciekać do tak prymitywnych metod, by go pokonać. Twój ostatni ruch był wyłącznie siłowy, bez krzty techniki. Ale przynajmniej wykorzystałeś teren na swoją korzyść. – Zwrócił się do Garena: – Nie potrafisz ustać na nogach, Garenie z Lyonu? – Nim chłopak zdołał odpowiedzieć, rycerz skinął na dwóch kolejnych giermków: – Brocart, Jay, do walki.

Wywołani pomaszerowali na środek pola. Will potrząsnął rękoma, rozluźniając zeszywniałe mięśnie ramion. Zerknął na Garena, który wciąż wpatrywał się w rycerza.

– Twój stryj jest jak zwykle w doskonałym humorze.

– Chyba martwi się jutrzejszym spotkaniem. Słyszałem, że masz tam być.

Will się zawahał. Miał jeszcze świeżo w głowie groźby Owena, na rękach zaś pęcherze od sprzątania boksów w stajni, naprawy uprzęży i polerowania siodeł.

Garen nachylił się do niego.

– Ze mną możesz o tym mówić – szepnął, żeby nie słyszeli ich inni. – Ja też będę obecny przy pertraktacjach. Niosę tarczę za stryjem.

– Wybacz. – Will wyraźnie się odprężył. – Owen zabronił mi z kimkolwiek o tym rozmawiać.

– Stryj też, ale wyrwało mu się dziś rano, że i ty tam będziesz – Garen rzucił mu smętne spojrzenie. – Obawiam się, że perspektywa spotkania z tobą przy tak ważnej okazji nie sprawiła mu przyjemności.

Will spojrzął na posępnego rycerza, który nadzorował walkę giermków. Jakub z Lyonu, były dowódca komandorii w Ziemi Świętej, walczył z muzułmanami pod Herbiją i Mansurą. W pierwszej z tych bitew stracił oko wylupione turecką szablą, w drugiej trzystu ludzi. W Nowej Świątyni jego kalectwo i usposobienie zyskały mu przydomek Cyklopa.

Wypowiadano go wyłącznie szeptem, plotka bowiem głosiła, że ostatni serwiens, który powiedział to głośno, został natychmiast zesłany do jakiejś zapadłej wiochy sześć lig na południe od Antiochii.

– Cokolwiek zrobię, twój stryj i tak jest wiecznie niezadowolony.

– To nie ciebie dziś rugał – mruknął Garen ogryzając nadłamany paznokieć i przyglądając się, jak dwaj giermkowie na polu okrążają się wzajem. – A zresztą dziwisz mu się? Naprawdę musisz bardziej uważać. Powiedział, że osobiście dopilnuje, żeby wydalono cię z Templum, jeśli popełnisz jeszcze jedno wykroczenie.

Chłopcy ruszyli na siebie. Niższy Brocart krzyknął, gdy niezdarnie wyprowadzony cios Jaya trafił go w goleń.

– No, przynajmniej byliśmy lepsi od tamtych – stwierdził Will, gdy dwaj giermkowie zwalili się na ziemię w plątaniu rąk i nóg.

– Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

– A co? – Will obejrzał się na Garena.

– Mówiłem, żebyś uważał – rzeki z urazą tamten. – Zaniedbałeś obowiązki dla godziny snu i już dziesięć dni za nią płacisz. W ogóle cię nie widuję.

– Tak naprawdę wcale nie zasnęłam. – Will rozejrzał się wokół, zniżył głos do szeptu i opowiedział druhowi o ceremonii, którą podglądał z Szymonem.

– Ty chyba oszalałeś! – Garen pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Byłem ciekaw.

– Pewnego dnia sam weźmiesz w tym udział.

– Nie chciało mi się czekać aż pięć lat. Pamiętasz, jak zawsze zastanawialiśmy się, jak to wygląda? Zobaczyłbym więcej – Will skrzywił się – gdyby nie wszedł nagle ten krzywonosy kucharz.

– Tylko po co ciągnąłeś ze sobą Szymona? – Po twarzy Garena przemknął cień.

– Potrzebny mi był ktoś zaufany, żeby stał na czatach. – Will urwał, dostrzegając minę przyjaciela. – Poprosiłbym ciebie – dodał szybko – ale wiedziałem, co mi odpowiesz.

Przecież wiesz, że wolałbym poprosić ciebie.

Garen potrząsnął głową, lecz wyglądał na nieco udobruchanego.

– Nawet ty nie miałeś prawa podglądać inicjacji, tym bardziej sługa stajenny.

Szymon nie jest taki jak my.

– Nosi tę samą suknię.

Garen westchnął.

– Wiesz, co mam na myśli. Szymon jest synem garbarza, my synami rycerzy.

Szymon nigdy nie zostanie rycerzem. Pochodzi z gminu.

Will wzruszył ramionami.

– Jeśli to krew czyni człowieka rycerzem, moja nadaje się tylko w połowie. Druga połowa jest równie gminna jak krew Szymona.

– To nieprawda – Garen zaśmiał się lekko.

– Prawda i sam o tym wiesz. Mój ojciec jest rycerzem, ale dziadek nim nie był, a matka jest córką kupca. Nie wszyscy pochodzimy z tak wielkich rodów jak twój.

– No cóż, w każdym razie twój ojciec jest rycerzem i to czyni cię szlachetnie urodzonym. – Garen obrócił się; zsunięta z ramienia tunika odsłoniła jaskrawoczerwoną pręgę tuż nad obojczykiem.

– Co ci się stało? – Will zmarszczył brwi, wskazując szramę. Garen powiódł

wzrokiem za jego spojrzeniem i podciągnął szatę.

– Wczoraj mnie zahaczyłeś podczas ćwiczeń. – Uśmiechnął się z przymusem. – Sam nie wiesz, ile masz siły.

Na środku pola Brocart rozbroił Jaya niezgrabnym cięciem, które trafiło w nadgarstek. Chłopiec z okrzykiem bólu wypuścił kij i złapał się za rękę. Cyklop podszedł do nich. Stojący z boku giermkowie zaczęli nerwowo przestępować z nogi na nogę. Po zakończeniu szkolenia rycerz nakładał karę na tego spośród chłopców, który spisał się najgorzej. Zwykle było nią dziesięć męczących okrążeń pola biegiem. Will spokojnie odłupał

drzazgę ze swego miecza. Nie miał się czego obawiać. Choć Jakub go nie znosił, nigdy jeszcze nie został ukarany za złą walkę.

Jakub szedł wzdłuż szeregu, spoglądając na kolejno mijane twarze. Will śmiało wytrzymał jego wzrok, Garen spuścił głowę.

Jakub minął ich, lecz nagle się zatrzymał.

– Garenie z Lyonu, ty dziś pobiegiesz.

Garen poderwał głowę; na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Inni chłopcy mieli podobne miny. Najbardziej zdumiony wydawał się Brocart, którego popisy były dziś żałosne.

– Słucham, panie? – Garen dołożył starań, by głos mu nie zadrżał. Podobnie jak Will, jeszcze nigdy nie musiał się wstydzić swojej walki.

– Słyszałeś mnie – warknął Jakub. – Dwadzieścia okrążeń.

– Tak, panie – mruknął Garen. – Dziękuję.

Kiedy rycerz się odwrócił, Will dotknął ręki przyjaciela.

– To niesprawiedliwe – szepnął. – On nie ma racji.

– Campbell! – Jakub w mgnieniu oka był przed nim. Will szybko opuścił rękę. – Co mówiłeś?

– Ja coś mówiłem, panie?

Oko Cyklopa zwięzło się w złowrogą szparkę.

– Nie igraj ze mną, chłopcze. Co powiedziałeś do Garena?

Will zerknął na przyjaciela, który ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

– Nic, panie. Ja tylko... – rozejrzał się po innych chłopcach, szukając u nich poparcia, ale wszyscy unikali jego wzroku. Will sapnął i spojrzał Jakubowi w oczy. – Zastanawiałem się tylko, dlaczego wybrałeś Garena, panie – rzekł, starając się nadać słowom lekki, pytający ton. – Chyba nie on był najgorszy?

Nastała długa chwila ciszy.

– Aha – rzekł przeciągle Cyklop. Jego głos, z pozoru niezwykle łagodny, zabrzmiał tym groźniej w uszach Willa. – Kto zatem twoim zdaniem powinien ponieść karę?

Will rzucił okiem na kolegów i znów spojrzał na Jakuba.

– No proszę, Campbell – nalegał rycerz. – Skoro uważasz, że nie Garen z Lyonu był

najgorszym szermierzem, musisz zatem mieć jakieś pojęcie, kto nim był.

Will otworzył usta, ale Jakub powstrzymał go uniesieniem ręki. Cofnął się, gestem zapraszając chłopca na swoje miejsce.

– Wystąp naprzód, mądry preceptorze!

Will wykonał polecenie. Jego spojrzenie powędrowało ukradkiem w stronę Brocarta i Jaya. Brocart wbił wzrok przed siebie, ale Jay patrzył na niego nachmurzony, jakby czytał

mu w myślach.

– Słuchamy – rzekł Jakub.

Will milczał przez długą chwilę, w końcu potrząsnął głową.

– Nie wiem, panie.

– Głośniej! – Głos Jakuba chlasnął go jak bicz.

– Nie wiem, kto był najgorszy, panie.

– Oczywiście. – Kąciki ust rycerza wygięły się w pogardliwym uśmiechu. Zwracając się do innych giermków, wskazał na Willa. – Bo skądże by młokos niedoświadczony w bitwie, sprawny li tylko we

własnym mniemaniu, którego dziad nawet nie był rycerzem, mógł

cokolwiek wiedzieć o tych sprawach?

Jay uśmiechnął się złośliwie. Garen nie odrywał wzroku od swoich stóp.

– W przyszłości, Campbell – podjął rycerz, podchodząc do niego – zachowaj swoje uwagi w tajemnicy. Będzie to dla ciebie mniej zawstydzające. – Pochylił się, aż jego twarz nieomal dotknęła twarzy chłopca. – I nigdy więcej nie próbuj podważać moich decyzji –

syknął. Kropelka śliny trafiła Willa w policzek. Jakub wyprostował się i nie spuszczać z niego wzroku rzekł: – Garenie z Lyonu! Wilhelm Campbell właśnie zapewnił ci dziesięć dodatkowych okrążeń.

Will spojrział na niego z przerażeniem. Słyszając, jak cichy ochryply głos przyjaciela dziękuje za otrzymaną karę, obrócił się do Garena, błagając go wzrokiem o wybaczenie. Ale Garen nie patrzył na niego ani na nikogo. Wystąpił z szeregu i zaczął biec. Will z płonąca twarzą odprowadził starszego rycerza wzrokiem aż do budynku. Ręce mu się trzęsły, miał

ochotę pięściami zetrzeć ten podły uśmiech z twarzy Cyklopa. Wokół inni giermkowie w milczeniu zbierali swoją broń i rozchodzili się na kwatery. Jedni patrzyli na niego ze współczuciem, inni oskarżająco. Ignorując wszystkich, spojrział za Garenem brnącym przez błotniste pole, które nagle wydało się znacznie większe niż dotychczas. Po chwili Will także zaczął biec.

Jakub z Lyonu przerzucał zwoje, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Powoli przeczytał raport jeszcze raz, wyteżając wzrok w półmroku. Świeca dopalała się już i w świetlicy zaległy cienie, jeśli nie liczyć ukośnego promienia księżycowego światła, który wpadał przez okno bieląc płyty posadzki. Na dworze zahukała sowa. Jakub potarł ręką czoło; słowa na pergaminie zaczęły mu się zlewać w nieczytelne czarne smugi. Odsunął przepaskę i powoli okrążył palcem zapadlisko oczodołu wypełnione nierówną zbliżnowacną tkanką.

Chociaż stracił oko szesnaście lat temu, wciąż zdawało się boleć, gdy czytał za długo. Spędził

dziś w świetlicy wiele godzin, rezygnując z wieczerzy i ostatniej mszy. Jakiś czas temu zajrzał tu Owen sugerując, żeby kładł się spać – jeśli to co zrobili dotąd, nie zdołało ich przygotować do jutrzejszych rozmów, lepiej już nie będzie. Jakub puścił tę radę mimo uszu; chciał być absolutnie pewny, że Henryk nie wystrychnie ich na dudka. Był jednak zmęczony.

Odłożył pergamin i podszedł do okna, z ulgą wdychając odświeżające powietrze. W świetle księżycy jego skóra przybrała odcień popiołu, głębokie cienie wyostrzyły nos i kości policzkowe. Za oknem mignęło białe widmo; to sowa wyleciała z przyziemia klasztoru i zniknęła nad dachami. Słyszając stukanie do drzwi, Jakub odwrócił się.

– Wejść – rzucił, pokonując opór zaschniętego gardła.

W progu ukazał się służebny w brązowej tunice, z niezbyt pewną miną.

– Wybacz, panie – bąknął – wiem, że jest późno, ale przybył ktoś, kto chce się z tobą widzieć. On... hm, cóż, mówi, że to pilne.

Jakub ściągnął brwi. Nie spodziewał się żadnych gości z zewnątrz.

– Wprowadź go.

Serwiens usunął się na bok i do komnaty wszedł wysoki mężczyzna w wytartym szarym płaszczu. Kiedy mijał służebnego, ten skulił się nerwowo, unikając dotknięcia. Gość zrzucił kaptur i skłonił się lekko. Oko Jakuba rozszerzyło się ze zdziwienia.

– Hasan! – mruknął.

– Czy życzysz sobie czegoś, panie? – doleciał od progu wahający się głos. – Może przynieść posiłek dla twojego... gościa? – Serwiens rzucił mężczyźnie w szarym płaszczu podejrzliwe spojrzenie.

– Nie – uciął Jakub. – Zostaw nas.

Sługa klasztorny skłonił się z wdzięcznością i zamknął za sobą drzwi. Oddalił się pospiesznie, ukradkiem czyniąc na sercu znak krzyża.

Szkocja

Dziewiąty dzień czerwca roku Pańskiego 1257

Will stał w drzwiach z ręką zaciśniętą na futrynie. Ogień na palenisku parskał i strzelał. Na opartym na krzyżakach blacie, gdzie służebna przygotowywała posiłek, leżało przygotowane do wieczery siedem wypatroszonych ryb o białym mięsie i srebrzystej skórce połyskującej w blasku świec. Jakub Campbell siedział przy stole odwrócony do niego plecami, nogi miał wyciągnięte przed siebie. Will widział tylko ciemny profil ojca, kanciastą szczękę, wypukłe czoło nad prostym długim nosem. Włosy na skroniach mężczyzny przyprószyła siwizna, ale brodę wciąż miał czarną jak skrzydło kruka. Wzrok utkwiał był w otwartych drzwiach, przez które wpadał łagodny wiatr pachnący miętą i krwawnikiem. We dnie widać byłoby stąd pola i lasy ciągnące się aż do Edynburga; przy dobrej pogodzie można było dostrzec nawet tamtejszy gród, szarą plamkę na samej linii horyzontu. Teraz wszystko otulała ciemność; wiatr niósł ze sobą cichy plusk strumienia, który płynął nieopodal kamienistym wąwozem do jeziora leżącego kilka mil na zachód.

Tego wieczoru ojciec wrócił do domu po tygodniu spędzonym w Balantrodoch, miejscowej komandorii zakonu templariuszy, gdzie prowadził rachunki w kancelarii mistrza.

Przez oparcie krzesła przewieszony był czarny płaszcz. Jakub Campbell był wasalnym

„donatorem” Świątyni i nie wolno mu było nosić bieli, jak tym spośród rycerzy, którzy złożyli śluby czystości i ubóstwa. Choć spędzał w Balantrodoch wiele czasu mieszkając, pracując i modląc się wraz z braćmi, obowiązywał go jedynie ślub posłuszeństwa; dlatego też mógł

pozostać mężem i ojcem, dzieląc swój czas pomiędzy zakon a rodzinny majątek. Czarna szata

miała barwę ludzkiego grzechu; tylko czystym wolno było nałożyć biały habit rycerza Templum.

Will przystanął obserwując, jak pierś ojca unosi się i opada przy każdym oddechu.

Trochę się bał; ojciec zawezwał go do siebie tak niezwykle poważnym tonem. Z przyległej izby, w której Alicja i Eda, starsze siostry Willa, bawiły się z najmłodszą Maryjką, doleciał śmiech.

Wyrwany z rozmyślań mężczyzna obrócił się i uśmiechnął na widok syna.

– Chodź tu, Will. Mam coś dla ciebie...

Kiedy chłopiec usiadł obok niego przy stole, ojciec nakrył jego dłoń swą dużą dłonią.

Palce poplamione miał inkaustem z kory dębowej, którego używał do pisania w klasztornych rejestrach, a dłonie gładkie, niepodobne do pokrytych odciskami od miecza rąk nielicznych rycerzy, jakich Wilhelm dotąd miał okazję ujrzeć. Wciągu trzynastu lat służby Campbell nauczył się sprawnie walczyć i prowadzić konia bojowego w szyku, ale jego podstawowym obowiązkiem była praca w kancelarii. Dla Willa wszakże był nie gorszym rycerzem niż tamci

– ba, o wiele lepszym, skoro umiał też czytać, pisać, rachować i mówić po łacinie równie dobrze jak sam papież. Will słyszał nawet kiedyś z ust ojca kilka słów w śpiewnym nieznanym języku – arabskim, jak mu wyjaśnił: mowie Saracenów.

– Czy pamiętasz, jak opowiadałem ci o dziedzictwie, które zostawił twój dziadek?

Will w pierwszej chwili pomyślał o dworze. Przestronne i wygodne domostwo, usadowione wraz z budynkami gospodarskimi u stóp porośniętego wrzosowiskiem płaskowyżu, należało niegdyś do jego dziadka. Angus Campbell był zamożnym kupcem winnym. Znużony rodzinnymi kłótniami opuścił swój klan i jął się handlu. Zbił majątek, zwiedził kawał świata, wychował syna na szlachcica, znalazł mu odpowiednią żonę i wkrótce po narodzinach dwojga pierwszych wnucząt złożył śluby u templariuszy w Balantrodoch, z którymi w ciągu lat nawiązał bliskie stosunki. Swoje złoto zapisał Świątyni, ziemię zaś pozostawił synowi.

– Mówisz o naszym domu?

– Nie, nie o domu. O czymś innym.

Will pokręcił głową.

– Pewnie byłeś wtedy za mały, by zapamiętać.

Mężczyzna podszedł do komina, obok którego stał oparty o ścianę drąg. W pierwszej chwili Will wziął go za pogrzebacz, ale kiedy ojciec wrócił z nim do stołu, zobaczył, że to bojowy tasak. Krótka, nieco zakrzywiona głownia rozszerzająca się ku sztychowi nosiła szramy świadczące, iż używano jej w bitwie. Głowica miała kształt dysku, a rękojeść opleciona była srebrnym drutem,

aby chwyt był pewniejszy. Była to ciężka broń przeznaczona do walki pieszej. Will z zainteresowaniem patrzył, jak ojciec kładzie ją na deskach.

– Ten falcjon to twoja rodowa broń. Twój dziadek dostał go od swego ojca, a umierając przekazał mnie. Teraz należy do ciebie, Wilhelmie.

Will wytrzeszczył oczy.

– Naprawdę?

– Nie możesz wiecznie walczyć kijem. – Campbell uśmiechnął się. – Och, dzień, kiedy użyjesz go w boju, jest jeszcze odległy i da Bóg, aby nigdy nie nastąpił. Uważam jednak, że jesteś już dość dorosły, by go nosić. Mówiłem z mistrzem w Balantrodoch i zgodził się przyjąć cię na naukę.

Will lekko dotknął rękojeści nagrzonej od ognia.

– Chcesz mnie odesłać?

– Odesłać?

– Do Balantrodoch.

Campbell przyjrzał się synowi.

– Uczylem cię najlepiej, jak umiałem, Wilhelmie: pisma, jazdy konnej i władania mieczem. Teraz to, czego się nauczyłeś, musisz doskonalić pod okiem lepszego ode mnie mistrza. Pewnego dnia obleką cię w biały płaszcz jako rycerza Świątyni i z wolą Bożą stanę wówczas u twego boku.

Will wyprostował się, chłonąc te słowa pełną piersią. Zostanie giermkim w zakonie templariuszy! Odkąd wyrósł z pieluch, nazwa ta napelniała go nabożnym lękiem. Ojciec powiedział mu, że nie ma w chrześcijaństwie potęgi większej od Zakonu Ubogich Rycerzy Świątyni, z wyjątkiem oczywiście samego Kościoła. Nieraz leżąc na pryczy, którą dzielił z młodszą siostrą, marzył przed zaśnięciem, że jest wielkim rycerzem, najdzielniejszym na świecie, wysokim i pełnym godności jak ojciec; szlachetnym duchem, honorowym w boju, hojnym z serca...

Drgnął, budząc się ze snu na jawie.

– A możemy najpierw skończyć łódź?

Mężczyzna wybuchnął śmiechem i pieszczotliwie zmierzwił mu włosy.

– Minie jeszcze prawie rok, nim to nastąpi. Mamy dość czasu na budowę łodzi.

– Czyżby to był tasak twego ojca, Jakubie? – Do izby weszła matka, niosąc garnek z miętą. W prostej sukni z farbowanej wełny wydawała się jeszcze wyższa niż w istocie. Brzuch wydęty ciężą napinał cienką tkaninę.

– Owszem, Izabelo – odparł biorąc na ręce piszczącą ze śmiechu Maryjkę i podnosząc ją aż pod powałę. – Tylko że teraz to już jest miecz Wilhelma.

Izabela uniosła jedną brew, stawiając garnek.

– Może sobie i być na wet samego papieża. Ja pytam, co on robi na moim stole?

Jakub postawił córkę i posadził sobie protestującą żonę na kolanach. Leciutko trzepnęła go po głowie.

– Nie będzie wieczerzy, dopóki mnie nie puścisz i nie usuniesz ze stołu tego żelastwa!

Campbell udał bolesne zgorzenie.

– To oręż naszego klanu, kobieto, a nie byle żelastwo!

– Nie należymy do klanu, ojczy – przypomniała mu Alicja, najstarsza córka, wchodząc wraz z Edą. Podobnie jak matka obie miały warkocze barwy dzikich wiśni. Włosy Maryjki były koloni miodu.

– Nie – przyznał – ponieważ wasz dziadek opuścił swój ród, ale i tak to jest nasze dziedzictwo. – Zdjął żonę z kolan i ujął rękojeść tasaka. – Patrzcie. Oto dobra szkocka klinga!

– Wykonał potężny zamach w powietrzu.

Ostrze zahaczyło garnek, który poszybował w powietrzu i roztrzaskał się w kącie.

Wilhelm wybuchnął śmiechem.

Nowa Świątynia, Londyn

Piętnasty dzień września roku Pańskiego 1260

Rękojeść falcjona ziębiła mu palce. Wokół jelca pojawiła się odrobina rdzy, a srebrny drut nieco się poluzował. Z pryczy obok dobiegało chrapanie. Płomień świecy tańczył

omiatając płochliwym światłem uśpione postaci ośmiu pozostałych mieszkańców dormitorium. Podobnie jak wszystkie izby w budynku giermków ta też była niska i mroczna.

Pod ścianą stało rzędem dziewięć prycz nakrytych szorstkimi wełnianymi kocami. Naprzeciw dwie duże skrzynie mieszczące ubrania chłopców i ich skromny dobytek. Obok stół ze świecą. Chłodny wiatr przeciskał się przez szpary w okiennicach, wnosząc do środka gnilny odór Tamizy. Ponieważ braciom nie wolno było sypiać nago, Will miał na sobie koszulę i kalesony, ale w izbie było zimno, narzucił więc na ramiona krótki zimowy płaszcz. Na ścianach chwiały się cienie, ukryte pajęczyny rozblyskiwały srebrem, gdy nierówny płomień nocnej świecy strzelił wyżej, rozjaśniając ciemne przestrzenie między belkami stropu.

Will ostrożnie położył tasak przed sobą na pryczy i podciągnął kolana pod brodę.

Skrzywił się, kiedy zakłuło go w plecach. Przy każdym ruchu ból rozdzierał mu mięśnie.

Stopy miał spuchnięte, na pięcie bąbel w miejscu, gdzie otarła go cizma. Już dawno minęła północ; był wykończony, ale właśnie zmęczenie w równym stopniu jak natrętne myśli nie pozwalało mu zasnąć.

Kiedy dogonił Garena na polu, druh się nie odezwał i pierwsze kilka okrążeń przebiegli w milczeniu. W końcu Garen wydyszał:

– Po co to robisz?

Will wzruszył ramionami, jakby nie chodziło o nic ważnego.

– Pomyślałem, że przyjemniej ci będzie w towarzystwie.

I niczego więcej nie trzeba było wyjaśniać. Zasapani, spoceni, przegadali wesoło całą karę, podtrzymując się na duchu, kiedy okrążenie wydawało się nie mieć końca, a nogi krzyczały z bólu. Potem w drobnym, lecz satysfakcjonującym akcie buntu przemknęli się do sadu, gdzie Garen stał na czatach, a Will wspiął się na drzewo i zerwał garść śliwek. Ukryci między przyporami na tyłach kaplicy łączywie zjedli soczyste owoce. Tymczasem słońce rozproszyło resztki mgły i wysuszyło na nich odzież. Ta powtórka z dawnych psot uświadomiła Willowi nagle, jak bardzo się obaj zmienili.

Odkąd poznał Garena w dniu swego przyjazdu do Nowej Świątyni, minęły ponad dwa lata. W końcu nie zobaczył Balantrodoch; ojciec zabrał go wprost do preceptorium w Londynie. Tu na polu szkoleniowym został przedstawiony chłopcom, pośród których miał

spędzić następne siedem lat swego życia. Garen też przybył niedawno i Will jako kolejny, parzysty członek grupy został mu przydzielony jako partner do walk. Inni giermkowie otoczyli go przyjaźnie zaciekawieni; tylko Garen pozostał nieco z tyłu. Will nie odpowiadał

na żadne pytania. Wziął drewniany miecz i bez słowa wykonywał polecenia Jakuba z Lyonu.

W czasie posiłków i nabożeństw starał się trzymać na uboczu; monotonne głosy kapelanów odczytujących Słowo Boże zlewały się w jego uszach w jednolity szum, zasłonę, którą odgradzał się od świata.

Tak było przez pierwsze dwa tygodnie. Chłopcy w końcu przestali się nim interesować, doszedłszy do wniosku, że jest albo niemową, albo zarozumialcem. Pewnie kryłby się za swym milczeniem znacznie dłużej, gdyby nie Garen. Garen nigdy go nie pytał o dom ani rodzinę. Nie ciekawiło go też, dlaczego Jakub Campbell tak rzadko wystawia nos poza świetlicę, w której pracował z Owenem i Jakubem z Lyonu, zastępując chorego kancelistę. (To właśnie zadanie przywiodło ich do Londynu.) Kilka miesięcy po przyjeździe Jakub Campbell złożył śluby czystości i ubóstwa.

Will przeżył szok widząc swego ojca w śnieżnobiałym płaszczu rycerza zakonnika. Tragedia oddaliła ich od siebie; ojciec był wobec niego sztywny, lakoniczny, niemal obcy. Teraz jednak stał się całkiem niedostępny, chłodny i odległy niczym aniołowie. Will, wciąż grzeszny i ludzki w swej czarnej tunice, czuł się tak, jakby stracił go na zawsze.

Ojciec powiadomił go, że scedował rodzinny majątek na rzecz zakonu. Matka i siostry przeniosły się do klasztoru nieopodal Balantrodoch, gdzie niczego im nie braknie.

Templum zapewni im utrzymanie. To jednak nie zmniejszyło żalu Willa ani nie zagłuszyło świadomości, że jest odpowiedzialny za utratę ojca, rodziny i jedyne domu, jaki znał i kochał.

Brak zainteresowania Garena sprawami, o których Will nie miał siły ani chęci mówić, sprawił, że w jego towarzystwie nie czuł się spięty. Gdy zaś Garen zaproponował, żeby w wolnym czasie ćwiczyli razem fechtunek, z chęcią przystał na jego nienatretne towarzystwo. Z biegiem tygodni Will powoli, z wahaniem zaczął mówić – najpierw tylko o walce, potem o życiu w preceptorium, w końcu i o sobie. Cień, który przywłókł się za nim ze Szkocji, nigdy go nie opuścił, ale przy Garenie stawał się niewidzialny.

Kiedy ojciec wyjechał do Ziemi Świętej, Will nabrał zuchwałości. Obaj z Garenem uważali nużące codzienne obowiązki i nabożeństwa za kielzno dla swej wolności i buntowali się przeciwko sztywnej dyscyplinie. Nie oni jedni, lecz razem, jak powiadał Owen, byli niczym krzemień i krzesiwo. Kiedyś zeszłej zimy, gdy mokradła za północną bramą Londynu zamarzyły, wymknęli się nocą z preceptorium, żeby się poślizgać. Przywiązali rzemieniami do podeszew kawałki lodu, jak podpatrzyli to u chłopców z miasta, i spędzili kilka niezapomnianych godzin ścigając się wesoło, aż w końcu zmarznięci i wyczerpani ruszyli w długą drogę powrotną, przysięgając sobie, że nigdy nikomu o tym nie powiedzą.

Teraz Will już nie potrafił choćby wyobrazić sobie takich wspólnych zabaw. Sięgnął

znow po miecz, położył go na kolanach i powiódł palcem wzdłuż płazu. Nie widział

przyjaciela przy wieczerzy, a kiedy i Garen, i Jakub z Lyonu nie pojawili się na komplecie, zaczął się martwić. Zastanawiał się, co może zrobić. Odpowiedź przyszła natychmiast, taka sama jak zwykle: nic. Cyklop był rycerzem, a on giermkim, nie miał żadnej władzy.

Czasami wydawało mu się, że wie, co czuje Garen. Zastanawiał się wtedy, czy lepiej mieć stryja, który źle cię traktuje, czy ojca, który w ogóle cię nie dostrzega.

5

Nowa Świątynia, Londyn

Piętnasty dzień września roku Pańskiego 1260

Hasan usiadł na stołku i wyciągnął przed siebie długie nogi, czujnym spojrzeniem omiatając świetlicę. Jakub zepchnął na bok zaścielające stół pergaminy, postawił przed przybyszem jeden z trzymany w ręku pucharów i zajął miejsce naprzeciw. Uśmiechnął się, gdy Hasan ruchem ręki odmówił napitku.

– To woda – wyjaśnił.

– Dziękuję – Hasan wziął puchar i odwzajemnił się uśmiechem. – Odwykłem od towarzystwa przyjaciół. Trudno się pozbyć odruchu, który każe odrzucać ofiarowany w najlepszej wierze poczęstunek. – Upił łyk, przepłukał zakurzone po podróży gardło.

Jakub słuchał go uważnie, z trudem pojmując część zniekształconych obcym akcentem słów.

– Wybacz mi, proszę – ciągnął Hasan – niespodziewaną wizytę o tak późnej porze, ale nie miałem czasu wprzód cię zawiadomić. Dziś wieczorem przybyłem do Londynu.

Rycerz zbył przeprosiny machnięciem ręki.

– Powiedz, co cię sprowadza. Już dawno nie miałem wieści od brata Ewerarda.

Hasan odstawił puchar na stół.

– Księga Graala została skradziona.

Jakub był przyzwyczajony do tego, że Hasan nie owija spraw w bawełnę; cenił u niego tę cechę podczas rzadkich okazji, gdy się spotykali. Ale jeśli zaskoczyło go niespodziewane przybycie Hasana, zdziwienie to było niczym w porównaniu ze wstrząsem, jakiego doznał słysząc te słowa. Powstrzymał cisnący mu się na wargi okrzyk i milczał przez chwilę, próbując oswoić się z nowiną.

– Jak to się stało? – spytał w końcu. – I kiedy?

– Dwanaście dni temu. Jeden z klerków wyniósł ją ze skarbcza.

– Wiecie, kto? – Jakub rozgarnął dłonią szpakowate włosy, z trudem powściągając zniecierpliwienie.

– Kradzież odkryto, kiedy skarbnik znalazł leżącego bez przytomności starszego klerków, jednego z dwóch, którzy mieli w swej pieczy skrzynie. Odzyskawszy zmysły, człowiek ów rzekł, iż zszedł do skarbcza usłyszawszy jakiś hałas. Tam rzucił się na niego młodzieniec imieniem Daniel Rulli, który rozbił mu głowę puszką na datki.

– Tenże Rulli zabrał księgę?

Hasan skinął głową.

– Wizytator kazał przeszukać preceptorium, ale brat Ewerard był zdania, że Rulli uciekł. Posłał mnie do miasta, żebym go wytropił. Złapałem go w pobliżu bramy Świętego Marcina. – Hasan zwięźle streścił, co było potem.

– Namówiono go do kradzieży? – powtórzy! Jakub.

– Tak powiedział, bracie.

Jakub zmarszczył brwi.

– Jeśli mówił prawdę, można chyba założyć, że zabójca i człowiek, który zlecił mu kradzież Księgi Graala, to jedna i ta sama osoba?

– Też tak sądzę. Wydaje się zasadnym przypuszczenie, że Rulli był w drodze na spotkanie z osobą, której miał przekazać księgę. Zabito go, żeby nie zdradził miejsca spotkania lub osoby mocodawcy albo z obu tych powodów. Nie wiem, dlaczego nie miał jej przy sobie. Być może ukrył ją gdzieś, kiedy zdał sobie sprawę, że jest ścigany.

– Albo już ją oddał.

– To także jest możliwe. Niestety nie zdołałem pojmać zabójcy; pojawiła się straż i musiałem uciekać. Wątpię, bym zdołał im wytłumaczyć, co robię, stojąc nad świeżym trupem; już sama moja twarz skazałaby mnie w ich oczach. Wróciłem tam nieco później, ale niczego nie znalazłem.

Jakub nie odpowiedział. Pociągnął długi łyk ze swojego pucharu, który był

napęczniony winem.

– Po moim powrocie – ciągnął Hasan – brat Ewerard poszedł do wizytatora i poprosił o zgodę na przepytanie skarbnika i dwóch starszych klerków, którzy także mieli dostęp do skarbca. Żaden z nich nie wiedział, dlaczego Rulli dopuścił się kradzieży ani kto mógłby go do tego zmusić. Przesłuchany został również jeden z serwiensów, przyjaciel Rulliego. Powiedział, że Rulli od kilku dni czymś się trapił, ale nie chciał mu się zwierzyć.

Zaprzeczył, jakoby było mu cokolwiek wiadomo o planowanej kradzieży. Nawet gdy mu zagrozono uwięzieniem w Merlanie.

– Czy ktokolwiek wie, co skradziono?

– Nie, tylko że zginął cenny dokument będący w gestii brata Ewerarda. Nikt nie zdaje sobie sprawy z jego rzeczywistej wagi.

– Szczęście w nieszczęściu – Jakub wychylił resztę wina jednym haustem.

– Kiedy straż miejska przyniosła wieść o zamordowaniu Rulliego, wizytator oznajmił, że kradzieży dokonano z myślą o zysku. Połączone śledztwo podjęte przez Templum i senezala królewskiego nie przyniosło żadnych efektów.

– Zatem król musiał potraktować to bardzo poważnie, skoro skierował tak wysokiego urzędnika do zbadania sprawy.

– Wizytator na to nalegał.

Jakub wstał i dolał sobie wina z dzbana.

– Paryski skarbiec mieści wiele bezcennych skarbów. W przeliczeniu na monetę księga ta warta jest bardzo niewiele. Czy coś jeszcze zginęło?

– Nie. – Ciemne oczy Hasana nie odrywały się od twarzy rycerza. – Czy mogę mówić z tobą szczerze, bracie?

– Oczywiście.

– Choć nasze położenie istotnie jest ryzykowne, wątpię, czy ten, kto przywłaszczył

sobie księgę, zdoła doczytać się w niej prawdziwej treści. Dla zwykłego czytelnika będzie to tylko kolejny romans o Graalu, choć trochę nietuzinkowy.

– Nietuzinkowy? – Jakub usiadł z powrotem. – To chyba zbyt łagodne słowo na określenie rytuałów ofiarnych i odarcia krzyża z nimbu świętości. Wszystko co sprzeczne z nauką Kościoła, nazywane jest herezją, Hasanie. Chyba wiesz, co stało się z katarami?

Hasan kiwnął głową. Nie było go na Zachodzie, gdy rozpoczęła się krucjata przeciw katarom, ale słyszał o ich losie. Sekta owa, która zdobyła sobie wielki posłuch w południowych regionach królestwa Francji, uznawała dwóch równych sobie bogów: jednego ucieleśniającego absolutne dobro, drugiego zaś – krańcowe zło. Korzystając ze Starego i Nowego Testamentu, katarzy widzieli w nich raczej alegorie niż dosłowną wykładnię wiary.

Świat wraz ze wszystkim, co na nim jest, stworzony został przez złego demiurga i dlatego wszelką materię uważali za nieczystą. Odmawiali więc człowieczej natury Jezusowi, argumentując, że Bóg pozostający w opozycji wobec skażonej Ziemi nie mógłby być jej częścią.

Optując za bezpośrednim obcowaniem z sacrum katarzy występowali przeciw Kościołowi, stanowi kapłańskiemu i dobrom doczesnym. Szerzyli swe idee coraz śmielej i w końcu Kościół wypowiedział im wojnę. Owa krucjata na własnej ziemi trwała trzydzieści sześć lat i zakończyła się wybiciem większości członków sekty. Ostateczny cios spadł na katarów przed szesnastu laty wraz ze zniszczeniem ich największej warowni i spaleniem na stosach dwustu mężczyzn, kobiet i dzieci. Herezja uważana była za zgniliznę toczącą Kościół: lepiej odciąć kończynę, by uchronić resztę ciała przed zakażeniem.

– Poza tym – podjął Jakub, odstawiając puchar – nie wierzę, by księga ta trafiła do rąk „zwykłego” czytelnika, jak to ująłeś. Możemy chyba być pewni, iż mocodawca Rulliego wiedział, że należy ona do Bractwa. Po cóż by innego zadawał sobie trud wydobywania z wyładowanego kosztownościami skarbcza przedmiotu o tak nikłej na pozór wartości?

– W całym zakonie wie o tym tylko garstka; poza nim prawie nikt.

– Zawsze krążyły plotki.

– Plotki tak, lecz nic więcej – odparł Hasan z namysłem. – Dusza Świątyni to mit.

Przez tyle lat nikt nie zdołał dowieść jej istnienia.

– Ponieważ nie istnieją dowody prócz słowa tych, którzy przysięgli na swoje życie nigdy nie zdradzić tajemnicy. I tej przeklętej księgi. – Jakub ze znużeniem oparł się o ścianę.

– Nie wszyscy z tych, którzy opuścili rozwiązany krąg, nie żyją. Może złożona przysięga już ich nie wzrusza? Może jeden lub kilku odkryło, że Anima Templi nadal działa bez nich? Ze nasze plany nie zostały porzucone? Może złodziej zamierza użyć Księgi Graala jako dowodu przeciw nam albo zażąda okupu grożąc, że na nas doniesie? – Jakub potrząsnął głową. –

Hasanie, nie lekceważ zagrożenia, jakie nad nami wisi, dopóki nie odzyskamy księgi. Jeśli nasze zamiary wyjdą na jaw, zakonowi grozi ruina, a nam stos i wszystko, nad czym pracowaliśmy przez ubiegłe sto lat, pójdzie wniwecz. Jeśliby zaś Kościół miał odkryć cel ostateczny... Jestem pewien, że nawet inkwizytorzy nie wynaleźli jeszcze dość okrutnej kary.

– Jakub uniósł puchar, podniósł go do ust i odstawił, nie zmoczywszy warg. – Bez potęgi Templum, bez nieprzebranych zasobów ludzi i pieniędzy, które zakon bezwiednie oddaje nam do dyspozycji, nie zdołamy kontynuować naszego dzieła.

Hasan milczał przez dłuższą chwilę.

– Jeśli złodziej wie o Anima Templi – rzekł w zadumie – choćby z ust byłego członka, który zdradził wasz sekret, to kim może być? Komu zależy na zniszczeniu bractwa...

albo zniszczeniu zakonu templariuszy?

– Z biegiem lat przysporzyliśmy sobie wielu wrogów. Zazdroszczą nam władzy i bogactwa. Templum podlega wyłącznie papieżowi i stoi ponad prawami księstw i królestw.

Nie płacimy podatków ani danin, mamy prawo fundować kościoły, z których płyną datki.

Prowadzimy handel z większością ziem po tej stronie morza, a po tamtej mamy największe wpływy. Obraza zakonu jest przestępstwem, a zabicie lub choćby zranienie kogoś z nas karane jest ekskomuniką. Kto może chcieć nas zniszczyć? – Jakub rozłożył ręce. – Joannici, krzyżacy, mameluccy sułtani, genueńscy i pizańscy kupcy, których faktorie przejęliśmy, znaczna liczba królów i książąt... lista jest długa.

– Znajdę tę księgę, bracie – rzekł cicho Hasan – choćbym miał jej szukać pod łóżkiem króla Ludwika.

Jakub spojrział na leżący na stole pergamin, którego treść zaprzętała bez reszty jego myśli od dwóch tygodni, a teraz wydała mu się irytującą błahostką.

– Jak długo zostaniesz w Anglii?

– Tak długo, jak długo będziesz mnie potrzebował, choć im szybciej wrócę, tym lepiej.

Jakub podszedł do stojącej przy oknie almarii.

– Mam tu pewną pilną sprawę, której niestety muszę dopatrzeć. Moja nieobecność wywołałaby zbyt wiele pytań. Ale gdy tylko będzie to możliwe, wrócę z tobą do Paryża i dopomogę w poszukiwaniach.

Otworzywszy podwójne drzwi sięgnął pod półkę, na której leżała Biblia, i wydobyl

niewielką szkatułę. Otworzył ją kluczem zdjętym z innej półki i wyjął ze szkatułki trzos.

Wytrząsnął zeń na dłoń kilka złotych monet, które wręczył Hasanowi, po czym umieścił trzos na powrót w szkatule, a tę zamknął i schował.

– Każę ci osiodłać mojego konia. Przy ulicy Piątkowej na zachód od Walbrook jest gospoda. Rozglądaj się za półksiężycem na szyldzie. Powiedz karczmarzowi, że to moje złoto, a mile cię tam ugoszczą. Poślę po ciebie, gdy tylko zakończę swoje sprawy tutaj.

Hasan uśmiechnął się lekko.

– Zaiste takiego szyldu nie przeoczę. – Wetknął pieniądze do sakiewki u pasa. –

Ewerard się ucieszy. Wyprawił mnie w drogę natychmiast po zakończeniu śledztwa w preceptorium. Wiem, iż miał nadzieję na twój przyjazd.

– Choćby się ucieszył, i tak tego nie okaże.

Hasan wstał ze stołka i sięgnął do sakwy, którą w czasie rozmowy trzymał na kolanach.

– Jest jeszcze jedna rzecz, bracie. – Wyjął z sakwy skórzany rulon obwiązany rzemieniem.

– Co to? – spytał Jakub wyciągając rękę.

– Jedyna dobra wiadomość.

Rycerz rozwiązał pokrowiec mieszczący zwój pergaminu. Kiedy go wyjął, poczuł

zapach morza, którym przesiąkła sztywna żółtawa skóra. Arkusz pokryty był równym pismem. Jakub przebiegł wzrokiem początkowe ustępy i spojrział na Hasana.

– To zaiste jest dobra nowina. Doprawdy nie miałem nadziei, że uda mu się to osiągnąć tak szybko. Czy mogę zatrzymać pismo? Chciałbym mieć trochę czasu, żeby przeczytać je dokładnie.

– Oczywiście.

Jakub wetknął list pod stertę innych i ruszył do drzwi.

– Chodź. Odprowadzę cię do stajen.

Na Tamizie

Piętnasty dzień września

Słońce przedarło się przez chmury, zmieniając Tamizę w strugę skrzącego się płynnego srebra. Henryk III, król Anglii, osłonił ręką oczy. Było jeszcze wcześniej, lecz zaskakująco ciepłe promienie

słoneczne opierały się na głowie monarchy i jego licznej świty złożonej z paziów, klerków i gwardzistów siedzących sztywno na ławkach lub stojących w pogotowiu obok swego pana. Kapitan królewskiej barki krzyknął głośno, pokazując wiosłowej krypie na sterburcie, że ma usunąć się z drogi. Tamiza była zatłoczona łodziami rybaków i kogami kupców, toteż załoga ciężkiej, mało zwrotnej barki musiała posuwać się w górę rzeki powoli i ostrożnie. Długie wiosła rytmicznie zanurzały się w wodę.

Henryk zdjął czapkę i pomacał się po czubku głowy, gdzie siwiejące włosy miał najrzadsze. Z ulgą wystawił na słońce pokrytą starczymi plamami skórę. Mimo ciepłej pogody i fałdzistej szaty z czarnego aksamitu podbitej wilczym futrem odczuwał chłód.

Niespokojnie poprawił się na poduszkach, szukając oczyma najstarszego syna, ale Edward przyglądał się rybakom, którzy wiosłowali co sił, żeby w porę zejść sprzed dziobu barki.

Henryk obrócił się więc ku siedzącemu po jego lewicy mężczyźnie w czarnym płaszczu, którego blada twarz dziś była jeszcze bielsza niż zwykle.

– Czy woda ci nie służy, lordzie kanclerzu? – spytał.

– Nie tyle woda, wasza wysokość, co jej kołysanie.

– To najkrótsza droga z Tower do Nowej Świątyni – odparł Henryk, jakby mógł w ten sposób go pocieszyć. Ruchem ręki odprawił pazia, który przyniósł napoje.

– Przede wszystkim zaś podróż odbywa się dyskretniej niż konno – dodał kanclerz –

za co dziękuję Bogu. Im mniej ludzi nas zobaczy u wejścia do Świątyni, tym lepiej.

Wiadomo, że interesuje cię w niej, panie, tylko skarbiec. Poddani mogliby zadawać sobie pytanie, po co ci więcej złota, skoro tak dużo im go odbierasz. Nowe podatki i bez tego budzą dostatecznie wiele krytyk.

Henryk nasępił się jeszcze bardziej.

– Podnieśliśmy je za twoją radą, kanclerzu.

– I zapewniam cię, najjaśniejszy panie, że to była dobra rada. Wskazuję tylko, co najlepiej służy twoim interesom, a dziś posłuży im, jeśli nasza wizyta u templariuszy będzie jak najkrótsza i w miarę możliwości tajna. Zakon już i tak zanadto się rozzuchwalił.

Henryk potarł brodę. Czuł się tak, jakby szczęki zaciśnięte miał w imadle. Spojrzał

na rzekę. Na nabrzeżach panował zwykły ruch – pieszo, konno, na zaprzężonych w konie wózkach i furgonach ciągniętych przez woły mijali się znaczni kupcy i drobni przekupnie, posłańcy i polujący na okazje. Dalej wznosił się poprzerzynany wąskimi uliczkami las skleconych z kamienia i drewna domostw, składów portowych, warsztatów, dworów i opactw, spomiędzy których tu i ówdzie

strzelała w górę kościelna wieża. Widać było dach katedry Świętego Pawła. Blask słońca, odór ryb i nieustanny rojny, gorączkowy ruch przyprawiły Henryka o ból głowy.

– Ich zaproszenie byto w najwyższym stopniu obelżywe, najjaśniejszy panie – podjął

kanclerz, kiedy król się nie odezwał. – Nie wyszczególnili nawet przedmiotu rozmów, tylko żądanie, abym obecny był ja oraz skarbnik królestwa. – Oburzenie powlekło policzki kanclerza delikatną warstewką różu.

– To powinno ci wszystko wyjaśnić – odparł sucho Henryk, rozcierając czoło. –

Śmiało można przypuszczać, że chcą mówić o naszym zadłużeniu.

– Ale przecież nie tak dawno omawiałeś to z nimi, panie.

– Z bratem Owenem, tak. Cóż za uparty człowiek! Oznajmiłem mu, że spłacę dług wtedy, kiedy będę w stanie, i w końcu się z tym pogodził.

– Jeśli tak, wasza wysokość, po co kolejna debata?

Henryk otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale uprzedził go syn:

– Może chcą rozmawiać o nowej krucjacie?

Obaj, król i kanclerz, obejrzeli się na księcia.

Edward przyglądał im się bladoszarymi oczyma, w których lśniły refleksy słońca odbitego od powierzchni wody. Opadnięta nieco powieka, nadająca mu wyraz głębokiego namysłu, w niczym nie ujmowała księciu urody. Głos miał miękki, mówił zaś powoli, aby zatuszować nieznaczące jąkanie, które trapiło go od dzieciństwa.

– Dawno już na nią pora – podjął. – Od wyprawy króla Ludwika, która sześć lat temu dobiegła końca, nie przeprowadziliśmy na Wschodzie żadnej konsekwentnej i owocnej kampanii. Teraz docierają do nas niepewne wieści, jakoby Mongołowie podbili Syrię, a Sułtan egipski ruszył do Palestyny, by tam dać im odpór.

– Na razie – odparł Henryk – muszę się skoncentrować na sprawach kraju, a nie problemach zamorskich, których rozwiązaniem powinny się w pierwszym rzędzie zająć zakony rycerskie. Ostatecznie po to zostały powołane.

– Dziesięć lat temu ogłosiłeś, ojczu, że podejmujesz krzyż. – W łagodnym głosie księcia zabrzmiała nutka wyzwania. – Myślałem, że chcesz się udać na krucjatę? To przecież mówiłeś rycerzom Świątyni, kiedy pytali, na co pożyczasz od nich pieniądze.

– I udam się na nią. W swoim czasie. – Henryk odwrócił się, gestem sygnalizując zakończenie rozmowy, ale wciąż czuł na swoich plecach wzrok Edwarda. Ukłął go niepokój.

W zeszłym roku dwór obiegiły plotki, że Edward maczał palce w wymierzonym w niego spisku uknutym przez Szymona z Montfortu, którego on sam uczynił księciem Leicesteru.

Uwięził wówczas swego szwagra i jego syna, lecz nie mając dowodów, zmuszony był się z nimi pogodzić. Niby zapomniał o tym incydencie, odtąd jednak w jego stosunkach z synem pojawiła się rysa, która co dzień zdawała się trochę szersza.

– Czegokolwiek od nas chcą, najjaśniejszy panie – rzekł z mocą kanclerz – musimy być twardzi.

Henryk nie odpowiedział. Zasepiony pogrążył się w niewesołych rozmyślaniach.

Tymczasem barka minęła mury miejskie i w oddali, jakby wychodząc im naprzeciw, zjawił się potężny kompleks zabudowań Nowej Świątyni.

Nowa Świątynia

Piętnasty dzień września

Drzwi kościoła zamknęły się z łoskotem; paru ostatnich rycerzy zajmowało miejsca, ksiądz wyszedł z zakrystii i stanął przed ołtarzem. Will pospiesznie dołączył do grupy stojących w nawie giernków i ukląkł, gdy kapelan energicznie jak zwykle rozpoczął tercję.

Will złożył ręce w modlitewnym geście, lecz nie myślał o Bogu ani nawet o mających się niebawem odbyć pertraktacjach z królem. Spóźniony, nie zdążył się zobaczyć z Garenem.

Spod półprzymkniętych powiek przepatrywał nawę, aż w końcu z westchnieniem ulgi dostrzegł przyjaciela. Klęczał kilka rzędów przed nim ze spuszczoną głową, włosy zasłaniały mu twarz.

Kapelan otworzył brewiarz. Will poprawił się w niewygodnej pozycji. Od dwóch lat wysłuchiwał czytania siedem razy dziennie, nie licząc nabożeństw za zmarłych, mszy codziennych odprawianych po sekście, niedzielnych i świątecznych – z okazji Wielkiejnocy, Bożego Narodzenia, Trzech Króli, Zwiastowania, Wniebowzięcia, świętego Jana Chrzciciela

– by wymienić tylko niektóre. Znał liturgię na pamięć, lecz wcale nie wydawała się przez to krótsza. W święta przynajmniej podtrzymywała go nadzieja na dobry posiłek.

Spłoszony jego ruchami pajak opuścił szczelinę w posadzce i pomaszerował ku wmurowanym pośrodku nawy wizerunkom leżących rycerzy, z nabożną powagą tulących do piersi granitowe miecze. Will zadarł głowę. Wysoką okrągłą nawę otaczał fryz z głowami diabłów i grzeszników o twarzach wykrzywionych na przemian szyderstwem, nienawiścią lub bólem. Rycerze siedzieli bliżej ołtarza; zajmowali stalle w sklepionym chórze.

W końcu ksiądz uniósł dłonie.

– Powstańcie, bracia, pokorni słudzy Boży, obrońcy prawdziwej wiary I prawa Bożego. Zmówmy razem Modlitwę Pańską.

Will wstał, czując mrowienie w zdrętwiałych nogach. Jego głos zniknął pośród dwustu sześćdziesięciu innych głosów odmawiających unisono *Pater noster*. Początkowo niezborne, stapiały się w jedno, tworząc razem chór potężny jak huk morza.

– *Pax vobiscum!* – Kapelan zamknął brewiarz na znak, że nabożeństwo dobiegło końca. Dał się słyszeć ruch i szuranie licznych stóp.

Will czekał niecierpliwie wśród serwientów, aż pierwsi wyjdą rycerze. Kiedy przyszła kolej na jego rząd, pospieszył do wyjścia, przepychając się między kolegami. Po mroku panującym w kaplicy słońce raziło w oczy; musiał przysłonić je ręką. W świetle jesiennego poranka budynki otaczające dziedziniec miały złotawy odcień. Bezchmurne niebo tworzyło kopułę przymglonego błękitu, a dolatujący z sadu słodki zapach dojrzałych jabłek i śliwek maskował odór potu i końskiego nawozu przenikający całe preceptorium. Barwa słońca, które zdawało się rozświetlać wszystko od wewnątrz, przypomniła Willowi dzień przyjazdu do Nowej Świątyni.

Odparzeni od siodła i wyczerpani dwutygodniową podróżą z Edynburga, wyjechali z ojcem z lasów Middlesex na uprawne ziemie pokryte winnicami i łanami zbóż i niedługo później zobaczyli przed sobą Londyn. Wtedy też była jesień, na drzewach czerwieniały liście.

Zatrzymali się, żeby napić konie w strumieniu. Will z zachwytem patrzył na rozpościerające się w dole miasto. Poza jego obrębem z prawej strony dostrzegł kilka dużych, otoczonych własnymi murami posiadłości, które rozsiadły się nad krętym brzegiem Tamizy. Jedna z nich musiała mieścić dom zakonny templariuszy. Wszystko jawiło mu się takie wielkie, wspaniałe i majestatyczne, że wyobrażał sobie, iż w onych budowlach mieszkają aniołowie, nie ludzie.

Podniecony odwrócił się do ojca, lecz napotkał tylko to samo smutne puste spojrzenie, które prześladowało go od miesięcy.

Z wysiłkiem odsunął od siebie tamto wspomnienie. Cień, gdy go już dopadł, nie dawał łatwo się strząsnąć, a dziś Will nie chciał nurzać się w mroku. Zobaczył Garena w rzędzie giermków idących gęsiego na posiłek do wielkiego refektarza. Zbiegł ze schodów kościoła, zmuszając się do uśmiechu.

Garen obejrzał się.

– Idziesz do zbrojowni? – spytał.

Will złapał go za ramię.

– Gdzie byłeś przez całą wczorajszą noc?

– W infirmerii z bratem Michałem... i biegunką. – Garen skrzywił się z odrazą. –

Brat Michał orzekł, że musiało mi zaszkodzić jedzenie. Nie mówiłem mu o śliwkach.

– Myślałem... – Will urwał i zaśmiał się, żeby pokryć zmieszanie. Omal nie wypowiedział na głos tego, o czym nigdy ze sobą nie mówili. – No tak, to nas oduczy wycieczek do sadu. Ja na szczęście mam żelazny żołądek.

– Chodźmy po tarcze – Garen ruszył z miejsca. – Na to spotkanie nie chciałbym się spóźnić.

Wyłamawszy się z szyku, ruszyli do zbrojowni, ściągając zaciekawione spojrzenia młodszych chłopców.

Z tarczami swoich panów udali się na miejsce spotkania. Will podrzucił sobie wielki migdał Owena nieco wyżej, bo skórzane pasy piły go w ramię. Tarcza, wybielona wapnem i przecięta szkarłatnym krzyżem, była prawie tak wysoka jak on. Zamknięty w czworoboku kwater rycerskich wirydarz otoczony był krążgankiem, z którego sklepione wejścia bieły do wnętrza budynków. Usiany kropelkami rosy trawnik lśnił fosforycznym zielonym blaskiem.

Na jego środku stawiano właśnie długi stół na krzyżakach; rzesza braci służebnych płaśała wokół w wyuczonym przez lata tańcu, nosząc ławy, misy z jadem i wina z piwniczki. Will wypatrzył Owena prowadzącego ożywioną rozmowę z jednym z klerków Świątyni. Podszedł

bliżej, czekając na rozkazy, ale w chwili gdy Owen wreszcie go zauważył, rozległ się inny głos.

– Bracie Owenie! – zagadnął go Jakub ponad głowami giermków. – Królewska barka właśnie przybyła.

– Doskonale, bracie. Chyba jesteśmy gotowi. – Owen kiwnął na Willa. – Na miejsce, chłopcze, i pamiętaj: zachowuj się, jak przystało.

– Tak jest, panie.

Stanęli obok stołu, gdzie czekali już dwaj inni giermkowie trzymając przed sobą tarcze swych rycerzy. Will zerknął na Jakuba, który stał z Owenem na skraju trawnika.

Kwaśna mina Cyklopa i jego wyniosła arogancka postawa jak zwykle wzbudziły w chłopcu falę niechęci, odwrócił więc wzrok. Kilka chwil później postyszał liczne kroki i głosy.

Podwójne drzwi w przeciwległym krańcu dziedzińca rozwarły się na oścież.

Na czele pochodu kroczył Humbert z Pairaud, mistrz zakonu templariuszy w Anglii.

Był to dostojny, potężnie zbudowany mężczyzna z grzywą ciemnych jak ołów włosów. Miało się wrażenie, że wypełnia sobą cały dziedziniec. Idący obok król Henryk o twarzy pooranej zmarszczkami i włosach barwy popiołu, zwiniętych w pukle wedle obowiązującej mody, zdawał się niknąć w jego cieniu. Po prawej ręce króla szedł książę Edward, przewyższając niemal o głowę wszystkich pozostałych. Ten w wieku dwudziestu jeden lat już miał postawę monarchy. Następny pojawił się odziany na czarno bladej mężczyzna o wpadniętych policzkach, dwaj kolejni templariusze oraz cizba paziów, klerków i gwardzistów królewskich.

Owen wystąpił naprzód i skłonił się najpierw przed mistrzem, potem zaś przed królem i księciem.

– Łaskawi panowie, to zaszczyt was gościć. Witam i ciebie, lordzie kanclerzu –

dodał z uprzejmym skinieniem głowy.

Henryk uśmiechnął się blado.

– Rycerzu Owene, zaiste miło mi cię widzieć, i to tak niedługo po naszym ostatnim spotkaniu.

Will zerknął zaskoczony na Owena. Nie miał pojęcia, że jego pan rozmawiał z królem.

– Mój panie – wtrącił Humbert głosem szorstkim od wieloletniego wydawania rozkazów – usiądźmyż i porozmawiajmy wygodnie.

– Zaiste – Henryk podejrzliwym wzrokiem obrzucił przygotowane dlań u szczytu stołu twarde wysokie krzesło. Z orszaku natychmiast wybiegli dwaj słudzy, by okryć je płatem szkarłatnego jedwabiu. Kiedy usiadł, serwienci zakonni wycofali się do budynku, króla zaś otoczyła chmara paziów. Oddalił ich niecierpliwym ruchem dłoni. – Jest dla mnie nie do pojęcia, czcigodny mistrzu, jak możecie mieszkać w tych nagich ścianach – sarknął. –

Najbogatsi ludzie w całym chrześcijańskim świecie mogą sobie chyba pozwolić na trochę luksusu?

– Służymy Bogu, panie – odparł gładko Humbert zajmując miejsce po jego lewicy –

nie pokusom ciała.

Will cofnął się, żeby przepuścić Owena na miejsce obok mistrza. Edward zasiadł po prawej ręce króla, zaś Jakub i dwaj inni rycerze oraz pięciu kancelistów, dwóch królewskich i trzech zakonnych, zajęło pozostałe miejsca wokół stołu. Jedno pozostało wolne; Will domyślił się, dla kogo jest przeznaczone, ale kanclerz wolał stać za plecami króla niczym kruk przycupnięty na oparciu tronu.

Henryk spojrział na misy z chlebem i mięsem i dzbany wina.

– Na szczęście – powiedział – nie zmuszacie nas, jak widzę, do ascezy.

– Nie, najjaśniejszy panie – Humbert skinął na sługę, żeby nalał wina. – Jesteśmy wielce radzi, iż możemy podjąć dostojnych gości tak, jak się godzi.

Henryk patrzył na niego przez chwilę, potem odwrócił głowę, gdy zgięty wpół sługa podał mu puchar. Jego wzrok prześliznął się po otoczeniu i spoczął na Willu.

– Wasi żołnierze z roku na rok zdają się młodszy – zauważył. – A może to ja się starzeję? Ile masz lat, chłopcze?

– Trzydzieści i osiem miesięcy, najjaśniejszy panie – wyjąkał Will, czując na sobie spojrzenie Jakuba z Lyonu.

– Ach! – Henryk nie był świadom jego zmieszania. – Szkot, chyba mnie ucho nie myli?

– Istotnie, najjaśniejszy panie.

– Zatem masz szczęście być poddanym dwóch najpiękniejszych dam na tej wyspie: mojej żony i mojej córki Małgorzaty.

Will skłonił się nisko w odpowiedzi. Miał zaledwie cztery lata, kiedy Henryk wydał

swoją dziesięcioletnią córkę za króla Szkocji. Gdy podrósł, zrozumiał to, co mawiał ojciec: że poprzez Małgorzatę Henryk mocniej zacisnął dłoń na Szkocji – kraju, na który angielscy królowie od wieków mieli chrapkę.

– To w młodych starcy muszą pokładać nadzieję na przyszłość. – Henryk upił nieco wina. – W zeszłym miesiącu kazałem najlepszemu malarzowi w Anglii ozdobić londyński zamek obrazami zdobycia Jeruzalem. To był złoty wiek rycerstwa! Otaczała je aura świętości, zwłaszcza gdy ludzie tacy jak Gotfryd z Bouillon wstępowali w ślady Jezusa Chrystusa oddając życie dla chwały Boga i chrześcijaństwa. Być może – dodał cierpko – te czasy jeszcze wrócą.

Humbert uniósł brew.

– Pozostawałem w przekonaniu, panie, że fundusze, które od nas pożyczyłeś, miały wspomóc krucjatę w Palestynie, a nie znaleźć się na ścianach twoich komnat?

– Nie martw się aż tak o swoje złoto, Pairaud, zostało dobrze wydane. Zbyt wielką wagę przykładacie do bogactw. Templum prowadzi handel na lądach i morzach, zdiera z pielgrzymów opłaty za przewóz na swoich statkach, przyjmuje donacje od szlachty i królów i pożyczka na procent prawie tak wysoki jak przekłęci Żydzi! – Król twardo wytrzymał

spojrzenie Humberta. – Moim zdaniem nazwa Ubogich Rycerzy Chrystusowych, jaką lubicie przybierać, mija się nieco z prawdą.

– Korzystamy z wszelkich dostępnych sposobów, by gromadzić po tej stronie morza fundusze na wojnę po tamtej jego stronie. Nasz zakon poświęca wszystkie swoje dzieła temu, o czym od dwustu lat marzy cały chrześcijański świat: wydarciu Jerozolimy z rąk Saracenów i ustanowieniu trwałego prawowiernego władztwa w Ziemi Świętej. Jako mnisi modlimy się o to; jako żołnierze tworzymy załogi zamorskich twierdz, a jako ludzie produkujemy i sprzedajemy co tylko się da, żeby zdobyć na to środki. Jeśli my nie będziemy tego robić –

Humbert wbił w króla ciężkie spojrzenie – to kto?! Może i Zachód wciąż śni piękny sen o Świętym Mieście, lecz niewielu jest takich, którzy zerwą się z łoża, by go ziszczyć.

– Zastaniasz się pobożnością, mistrzu – warknął król dotknięty do żywego tym przytykiem – gdy powszechnie wiadomo, że Templum za swe złoto buduje sobie władztwo tu, w Europie. Władztwo, w którym nawet król nie będzie już pewny tronu!

Zaległą ciszę przerwał miękki głos Edwarda.

– Macie może świeże wieści ze Wschodu, mistrzu? Pisałeś do nas ostatnio, że Mongołowie zaatakowali Bagdad i kilka innych miast. Czy mamy powody się obawiać, że uderzą na nasze tamtejsze ziemie?

Henryk posłał synowi niechętnie spojrzenie.

– Nie otrzymaliśmy nowych wieści, panie. – Humbert zwrócił się teraz do księcia. –

Ale nie wierzę, że w najbliższym czasie grozi nam poważniejsze niebezpieczeństwo ze strony Mongołów. Bardziej niepokoi mnie Egipt.

– Ten ich wódz, Kutuz, jest niewolnikiem! – prychnął Henryk. – Jakąż może mieć władzę?

– Kutuz już od dawna nie jest niewolnikiem – sprostował Humbert – a wojownikiem był zawsze. My w Templum jesteśmy zdania, że mamelucy stanowią dla nas o wiele większe zagrożenie, niż powszechnie się sądzi. W tej chwili tylko Mongołowie odwracają ich uwagę od nas.

– To powinniśmy się cieszyć – uciał Henryk. – Mongołowie są od nich silniejsi.

Słyszałem zresztą, że w bitwie osłaniają się chrześcijańskimi kobietami i dziećmi jak tarczami. Niechże poganie powybijają się wzajem!

– Wybacz mi, najjaśniejszy panie, gdy powiem, że jesteś w błędzie. Mongołowie są potężni, to prawda. Ale wielu z nich nawróciło się już na prawdziwą wiarę. W Bagdadzie zabijali tylko Saracenów, chrześcijańska ludność została oszczędzona. Ostatnie nowiny, jakie otrzymaliśmy z Ziemi Świętej, głosiły, że Kutuz szykuje się do marszu na Palestynę. Nasi szpiedzy w Kairze donoszą, że mamelucy poniosą Mongołom wojnę w odwecie za zniewagę wyrządzoną ich sułtanowi. Straż przednia oddana została pod rozkazy Bajbarsa, jednego z najzdolniejszych dowódców sułtana.

– Bajbars?

– Nazywają go Kuszą. – Twarz Humberta stwardniała. – Ma na sumieniu rzeź trzystu najlepszych rycerzy Templum. To on stanął przeciw nam pod Mansurą. W bitwie, która położyła kres krucjacie prowadzonej przez szwagra twojej żony, króla Francji Ludwika.

Will poczuł, że stojący obok Garen sztywnieje. Znał przyczynę. Garen, wówczas niespełna czteroletni, stracił w bitwie pod Mansurą ojca i dwóch braci; z lyońskiego rodu masakrę przeżył tylko Jakub. Zerknął na rycerza. Brwi miał ściągnięte, a w ocalałym oku ni to roztargniony, ni to obojętny wyraz, jak gdyby myślał o czym innym. Will szybko odwrócił

wzrok.

– Zdobywszy Damiettę, armia Ludwika ruszyła na południe przez ziemie Egiptu pod wodzą królewskiego brata, Roberta z Artois – ciągnął Humbert. – Natrafili na armię mamelucka rozbitą obozem pod murami Mansury. Wbrew królewskiemu rozkazowi Robert przeprowadził śmiały atak na ich obóz. Legło wielu niewiernych, pośród nich dowódca gwardii sułtańskiej. Bajbars natychmiast zajął jego miejsce i zastawił na nas pułapkę w Mansurze, wiedząc, że wpadniemy do miasta ścigając jego ludzi. Na ulicach setki naszych braci padły pod mieczami żołnierzy Bajbarsa. Nie wolno ich lekceważyć, mój panie.

Książę Edward poruszył się niecierpliwie.

– Czy mamy siły, by powstrzymać to zagrożenie, mistrzu?

– Tak! – rzekł stanowczo Henryk, nim Pairaud zdążył odpowiedzieć. – Czyż ci, którzy ślubowali bronić chrześcijan w Ziemi Świętej, nie zechcą wypełnić przysięgi?

– Bez pieniędzy będą walczyć gołymi rękoma – wtrącił Owen.

Humbert zgromił go wzrokiem.

– Mamelucy dobrze znają te ziemie, panie. Prowadzili już na nich wiele wojen.

Znają je więc lepiej niż nasi ludzie, którzy osiadłszy w takim czy innym mieście nie mieli powodów się z niego ruszać. Używają gołębi do przenoszenia wiadomości i wszędzie mają szpiegów. W chwili obecnej są w o wiele korzystniejszej pozycji do ataku niż my do obrony.

– Musimy działać zdecydowanie – odezwał się Edward. – Krucjata mogłaby...

– Mówi się – przerwał mu Henryk, klepiąc syna po ramieniu – że prędkie decyzje prowadzą do jeszcze prędszych nieszczęść. Owszem, krucjata może być konieczna, ale musimy ją starannie zaplanować.

– Oczywiście, ojcze. – Edward skłonił się sztywno.

Henryk oparł się wygodniej.

– Wszystko to bardzo mnie trapi, mistrzu. Ale skoro w chwili bieżącej niewiele mogę zrobić, pytam więc, po co mnie wezwaliście.

– Jeśli wasza wysokość pozwoli – rzekł Humbert – niechaj zacznie brat Owen.

Oparłszy splecione dłonie na stole, Owen zwrócił się do króla:

– Otworzyliśmy przed tobą skarbiec zakonu, panie, abyś mógł w nim przechowywać twoje dobra, lecz także korzystać z naszych środków, gdy będą ci potrzebne. Tak samo służyliśmy twemu ojcu, królowi Janowi, i jego bratu, królowi Ryszardowi. Jakkolwiek zakon jest rad, że może być pomocny rodzinie królewskiej...

– Ufam, że jest rad – sarknął król. – Bóg widzi, że dałem wam w tym królestwie dostatecznie wielką władzę, aby być uprawnionym do tej skąpej zapomogi, jaką mnie z rzadka raczycie.

– Bóg to widzi – odparował Humbert – i możesz być, panie, pewien hojnej nagrody w życiu przyszłym za dobrą wolę, jaką okazujesz Jego wojownikom. Bracie Owenie, proszę, mów dalej.

– ... choć więc, jako rzekłem, jesteśmy radzi, to jednak nasze fundusze nie są niewyczerpane. – Owen wyciągnął rękę do jednego z zakonnych klerków, który podał mu zwinięty pergamin. Podsunął go

królowi. – Sam możesz się przekonać, panie, że suma twoich długów znacznie wzrosła w ciągu minionego roku.

Henryk przebiegł oczyma pergamin. W miarę jak czytał, zmarszczki na jego czole pogłębiały się. Wręczył dokument kanclerzowi, który rzucił nań okiem i oddał mu z powrotem. Edward wyciągnął szyję, żeby także zapoznać się z treścią pisma.

Henryk tymczasem pogładził rzadką brodę i rzekł do Owena:

– Daliście mi te pieniądze w dobrej wierze. Zwrócę je, kiedy będę mógł, ale moja obecna sytuacja w żadnym razie na to nie pozwala.

– Doszło do naszej wiadomości, najjaśniejszy panie – rzekł Owen zerkając kątem oka na Jakuba, który kiwnął potwierdzająco głową – że ostatnio urządziłeś w Cheapside kilka turniejów ku uciesze twych francuskich dworzan. Kto za nie zapłacił?

Król Henryk poczerwieniał z wściekłości.

– Z pewnością rozumiesz, panie, położenie mego ojca – wtrącił Edward, podnosząc wzrok znad pergaminu. – Jako władca obowiązany jest zapewnić swemu ludowi obronę w czasie wojny, a rozrywkę w czas pokoju.

– Doskonale to rozumiemy – odparł dwornie Owen, z szacunkiem kłoniąc głowę przed księciem. – Nie możemy jednak pozwolić, by nasze wierzytelności przepadły. Cale złoto, jakie tylko zdołamy zgromadzić, wspomaga naszą walkę w Ziemi Świętej.

– A wspomóc potrzebujących nie laska? – spytał kwaśno Henryk. – Czy templariusze zostali zwolnieni z tego chrześcijańskiego obowiązku?

– Jeśli prosisz o jałmużnę, panie – rzekł Humbert – to z całym szacunkiem radzę, abyś zwrócił się do braci od świętego Jana.

Twarz Henryka przybrała głębszy odcień czerwieni.

– Macie czelność okazywać mi brak szacunku! – rzucił pergamin na stół. – Wkrótce otrzymacie swoje przeklęte złoto! Podniosłem podatki tu i w mojej gaskońskiej dziedzinie.

Ale ostrzegam was: jeśli jeszcze raz mnie obrazicie, nie zobaczycie ani złamanego miedziaka!

– Ściąganie podatków potrwa zbyt długo, mój panie.

– Chryste w niebiesiech! Co, mam sprzedać szaty z grzbietu? Złoto nie rośnie na drzewach, nie potrafię też otrzymywać go z ołowiu!

Owen spojrzał tym razem na Humberta, który skinął głową.

– Jest pewien sposób na rozstrzygnięcie tego kłopotu, najjaśniejszy panie.

– Niech was wszyscy diabli! A jakież to?

– Oddaj nam w zastaw klejnoty koronne, panie. Przechowamy je do czasu, aż spłacisz dług.

– Co?! – zagrzemiał król.

Edward wyprostował się gwałtownie, a kanclerz spojrział na Owena z osłupieniem.

Will ze wszystkich sił starał się zachować kamienną twarz.

– To jedyny sposób, wasza wysokość – potwierdził Humbert.

Król zerwał się, przewracając krzesło. Szkarłatny jedwab zsunął się z oparcia i rozesłał na trawie. Henryk wyrzwał pięścią w stół, aż podskoczyły naczynia.

– Te klejnoty są dziedzictwem mego rodu i ozdobą krwi królewskiej, nie jakichś zaplutyh żołdaków, którym się wydaje, że są równi Bogu! – wrzasnął. Porwał zwój ze stołu, przedarł go na pół i cisnął na trawę.

Humbert wstał.

– Ośmielę się przypomnieć – rzekł głosem, w którym nie było śladu emocji – że wierność naszego zakonu zawsze była korzystna, by nie rzec: niezbędna dla władcy tego kraju. Zaiste wielka by to była szkoda, mój panie, gdybyś miał ją utracić.

– Każę was ściąć! – wyrzucił Henryk. Na skraju trawnika gwardziści królewscy niespokojnie przestępowali z nogi na nogę. Dłonie rycerzy wędrowały ku rękojeściom mieczy.

Książę Edward dotknął ramienia króla.

– Chodź, ojcze. Sądzę, że nie mamy już o czym radzić.

Henryk zmierzył Humberta ostatnim wściekłym spojrzeniem, wyszarpnął rękę i wielkimi krokami pomaszerował do wyjścia. Edward skinął sztywno głową Humbertowi i Owenowi, po czym ruszył za ojcem wraz ze świtą.

Kanclerz pozostał na miejscu. Spojrział na Humberta, zaciskając wargi w cienką prostą linię.

– W ciągu miesiąca zostaniesz oficjalnie powiadomiony o decyzji jego królewskiej wysokości, mistrzu.

Humbert zerknął na szturchane wiatrem części pergaminu poniewierające się na trawie.

– Mam u siebie kopie tych dokumentów. Czy przesłać je do zamku?

Kanclerz potrząsnął głową.

– Wezmę je teraz.

Humbert powiódł wzrokiem wokół stołu.

– Giermku – skinął na Garena – odprowadź szlachetnego kanclerza do moich komnat. Mój przyboczny wyda ci rzeczony pisma.

Garen skłonił się nisko i ruszył przodem do budynku.

Will obejrzał się, słysząc za sobą głos Owena:

– Poszło gorzej, niż się spodziewaliśmy. Mam tylko nadzieję, że król nie zechce się mścić.

– Pies, który szczeka, rzadko gryzie – odparł Humbert. – Henryk już raz próbował nas zastraszyć. Szybko się wycofał, kiedy mu zagroziła utrata tronu.

6

Równina Szaron, Królestwo Jerozolimskie

Dziewiąty dzień października roku Pańskiego 1260

– Jesteśmy prawie u celu, emirze.

Bajbars bardziej domyślił się słów sułtana, niż je usłyszał. Wokół grzmiały bębny mameluków. Miały grać jeszcze przez siedem dni po wkroczeniu do Kairu. Zdobywcze bębny mongolskie milczały zatknięte na włóczniach.

– Wracamy zwycięscy – Kutuz podniósł głos, żeby przekrzyczeć harmider – tak jak to przewidziałem.

– Całe miasto będzie śpiewać twoją chwałę, panie – odparł Bajbars spokojnym głosem, który nijak się miał do tumultu panującego w jego myślach.

Kutuz uśmiechnął się.

– Teraz gdy umocniliśmy się w Syrii, Mongołowie dwukrotnie się zastanowią, nim znów mnie sprowokują.

– Tak, mój panie. – Bajbars obejrzał się przez ramię. Za nimi na odcinku dobrych kilku mil drogę wypełniały kolumny wojsk. Osadzone na długich drzewcach sztandary powiewały nad wozami wiozącymi łupy i niewolników. Doradcy sułtana i oficerowie gwardii zasłaniaли mu widok. Gdy się rozsunęli, dojrzał Omara na czele Bahridów jadących w równym zwartym szyku.

Zbliżał się wieczór. Słońce jak zaczerwienione ze zmęczenia oko zamykało się z wolna na linii horyzontu. W dali równinę Szaron przecinał pas zieleni otulający rzekę, która wpadała do morza około dwudziestu mil na zachód stąd. Trakt przecinał rzekę w najważniejszym miejscu i wązowym skrzyżowaniem kierował się na południe. Armia szybko zbliżała się do Gazy, gdzie planowano krótki postój przed męczącym pochodem przez Pustynię Synajską do Egiptu.

Bajbars kątem oka przyjrzał się sułtanowi. Kutuz sztywno siedział w siodle, na czole rysowała mu się zmarszczka. Miał rację, wracali triumfując. Mamelucy dokonali tego, co nikomu się dotąd nie udało, na co nikt inny się nie poważył: stawili czoło mongolskiej armii i zgnetli ją w pył. Dla Bajbarsa zwycięstwo rzeczywiście miało smak pyłu. Stracił w tej kampanii więcej niż Aleppo;

stracił szansę zemsty – zemsty, którą planował w marzeniach od wielu lat. Odkąd więc rozpoczęli odwrót, snuł w myślach plany dotyczące Kutuz. Czas mijał

z każdą przebytą stają, a jak dotąd nie miał sposobności dopracować szczegółów przewrotu.

Pięć dni po bitwie nad Ajn Dżalud weszli do Damaszku, pędząc przed sobą cofających się Mongołów. Stamtąd ruszyli do Himsu i Hamy, poddając je władzy wyznawców Proroka i na powrót ustanawiając w nich emirów, którzy uciekli przed mongolską nawałą. W Aleppo wróg bronił się blisko miesiąc, ale w końcu miasto zostało zdobyte. Po zakończeniu walk Kutuz triumfalnie przejechał ulicami. Muzułmanie, prześladowani za mongolskich rządów, ostrożnie wyzierali z domów, by powitać swego zbawcę. Chrześcijan, którym przy Mongołach nieźle się wiodło, wymordowano wcześniej.

Zanim sułtan wraz ze świtą dojechał na główny plac targowy miasta, wieść już się rozeszła; setki muzułmanów tłoczyły się na placu, wiwatując na cześć nowego władcy.

Bajbars stał w milczeniu u boku sułtana, gdy ten z wielką pompą przekazał namiestnictwo miasta innemu mameluckiemu wielmoży. Po skończonej ceremonii doradcy, namiestnicy i dowódcy pułków otoczyli Kutuz, by okazać mu cześć należną zwycięskiemu wodzowi, Bajbars zaś zniknął w tłumie. Zamieniwszy parę słów z jednym ze swych żołnierzy podszedł

do stojącego pośrodku placu podestu służącego do wystawiania niewolników.

Jakże niedawno stał tu w łańcuchach patrząc w dół na ludzi, którzy oglądali go jak zwierzę na bydłowym targu. Nieco dalej od rynku, na południe od meczetu był dom, w którym służył przez pierwsze sześć miesięcy.

Wspiął się na chybotałki deski. W uszach dźwięczał mu krzyk żołnierzy: *Allahu akbar!*

Bóg jest najwyższy.

Dwie godziny później Omar znalazł go w tym samym miejscu.

– Emirze?

Bajbars podniósł wzrok nieco zdziwiony, że słońce przesunęło się na drugą stronę miasta.

– Szukałem cię. – Omar wdrapał się na platformę i stanął obok niego, poprawiając pas z mieczem. – Byłeś tu przez cały czas?

– Tak.

– Przyniosłem wieści. Dowódcy zostali opłaceni. Masz ich poparcie.

Bajbars kiwnął głową. Milczał.

– Rozumiem, czemu siedzisz tutaj, zamiast wrócić do obozu – ciągnął Omar. –

Kutuz jest pijany zwycięstwem i wyśpiewuje pochwały na cześć człowieka, któremu dał

namiestnictwo Aleppo. Chyba bardzo się rozczarował nie widząc ciebie wśród świadków jego triumfu.

Bajbars spojrzął na plac, złotawy w świetle chylącego się ku zachodowi słońca.

Tłum już się rozproszył, ale szwadron mameluków wciąż patrolował ulice; reszta wróciła do głównego obozu. Kutuz i jego świta objęli w posiadanie cytadelę, gdzie odbywała się uczta.

– To nie sułtan jest powodem, dla którego nie wróciłem wraz z wojskiem – rzekł do Omara. – Co prawda dziś Aleppo wymknęło mi się z rąk, ale kiedy Kutuz zginie, nowy namiestnik może się ode mnie spodziewać czegoś zgoła innego od pochwał. Wkrótce będę miał to miasto. – Odwrócił wzrok. – I wiele więcej.

– Więc dlaczego się tu chowasz? Chodź, poświęcimy sami.

– Nie kryję się, Omarze. Czekam.

– Na co? – Omar zmarszczył brwi.

– Na starego znajomka. – Bajbars wstał i kolejno zajrzał w ulicę rozbiegające się promieniście z placu, na którym stali. Złocista kopuła meczetu wisiała niczym wielki dzwon nad płaskimi białymi dachami.

Omar powiódł wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem.

– Nigdy mi nie mówiłeś, że znasz kogoś w tym mieście. Jak dawno to było?

Osiemnaście lat temu?

– Dziewiętnaście. – Bajbars splótł ręce za plecami. – Wracaj do obozu. Niedługo tam przyjdę.

– Dowódcy oddziałów otrzymali złoto, ale nie ustalono jeszcze miejsca ani pory.

Skoro już mamy okazję porozmawiać na osobności, powinniśmy...

– Odmawiasz wykonania rozkazu? – uciął zimno Bajbars, nie patrząc na niego.

– Wybacz mi, emirze. – W głosie Omara zaskoczenie mieszało się z urazą. – Nie zdawałem sobie sprawy, że to rozkaz.

Odwrócił się, by odejść, lecz przystanął słysząc, że Bajbars zeskakuje z podestu. U

wylotu jednej z ulic pojawił się mameluk na koniu. Rozejrzał się i spostrzegłszy Bajbarsa, podjechał ku niemu i zsunął się z siodła.

– Emirze... – skłonił się.

– Znalazłeś ten dom?

– Tak, emirze, ale człowieka, którego kazałeś mi odnaleźć, tam nie było.

– Co?

– Dwór od wielu lat stoi pusty. Pytałem w sąsiedztwie; nikt już nie pamięta dawnych mieszkańców. Znalazł się wszakże pewien kupiec, który przypominał sobie frankijskiego rycerza. Twierdzi, że rycerz zmarł, a jego rodzina wróciła na zachód. Było to dziesięć albo i więcej lat temu.

Bajbars cofnął się o krok i zacisnął rękę na krawędzi platformy.

– Czy masz dla mnie dalsze rozkazy, panie? – spytał żołnierz.

Odprawił go machnięciem ręki. Mężczyzna skłonił się ponownie, wsiadł na konia i odjechał.

Omar zawrócił.

– Kim był ten rycerz?

– Wracaj do obozu.

– *Sadik*, porozmawiaj ze mną – nalegał z niepokojem Omar. – Nigdy nie mówiłeś, co działo się z tobą tu w Aleppo, ale widzę, że to miasto odbiera ci spokojny sen. Czy ten rycerz był wówczas twoim panem?... – urwał nagle, gdy Bajbars złapał go za ramiona i miotnął nim o podest.

– Powiedziałem: odejdz!!!

Omar spojrzał mu w oczy, z trudem łapiąc oddech. Bajbars opuścił ręce i cofnął się o krok.

– Wkrótce porozmawiamy, Omarze – rzekł cicho. – Przrzekam ci. Ale nie dziś.

Odszedł, zostawiając przyjaciela na pustym targowisku. Nad miastem uniósł się głos muezina wzywającego do wieczornej modlitwy.

Bajbars mocno ścisnął wodze swego konia. Wokół wciąż tętniły bębny – głuchym pospiesznym rytmem, jak bijące serce. Z wysiłkiem skierował myśl na najpilniejsze sprawy.

Jest wodzem, walczy i zwycięża. Ongiś był niewolnikiem i zwano go niewolnikiem, ale nie pozostanie niewolnikiem swej pamięci. To że w Aleppo nie zdołał dopiąć tego, co planował

od wielu lat, wytrąciło go z równowagi, lecz nie miał czasu rozwodzić się nad przeszłością.

Rycerz wyjechał lub zmarł. Zemsta wymknęła mu się z rąk.

– Jesteś dziś milczący, emirze. Czy coś cię trapi? – zagadnął go Kutuz.

– Nie, mój panie.

Sułtan przyjrzał mu się uważnie, lecz z twarzy Bajbarsa nic nie dało się wyczytać.

Równie dobrze mógłby patrzeć na ścianę, jak w te zupełnie pozbawione wyrazu oczy.

– Po powrocie do Kairu otrzymasz sowitą nagrodę za twój udział w zwycięstwie –
dodał.

– Doceniam twoją hojność, panie.

– Wielki sułtanie! – Wzdłuż kolumny pędził zwiadowca. Wyrzuciwszy rękę w powitalnym geście, osadził konia, zawrócił i ruszył wolno za Kutuzem. – O trzy mile na wschód od drogi jest wioska.

– Chrześcijańska?

– Tak, panie, w osadzie jest kościół.

– Poślę gwardzistów.

– Twoi ludzie są zmęczeni, panie – wtrącił szybko Bajbars. – To już czwarta miejscowość, jaką zdobywają w ciągu pięciu dni. Mam ochotę rozprostować kości; pozwól, abym przejechał się tam z oddziałem.

Kutuz zastanowił się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Jedź zatem. My będziemy dalej maszerować do Gazy. Jestem pewien, że nie muszę ci przypominać, jak winieneś postąpić.

– Nie, panie. Zaręczam, że wszystkie łupy zostaną ci przekazane.

Bajbars wbił pięty w boki konia. Na jego rozkaz siedmuset ludzi wyłamało się z szyku i ruszyło za nim. Z tyłu trzęsło się na wybojach kilka wozów; umieszczone na nich drewniane klatki miały pomieścić kolejnych niewolników.

Wioska przycupnęła pomiędzy dwoma łagodnymi wzgórzami, które wznosiły się z równiny osłaniając połąć ziemi gęsto porośniętą oliwkami. Rachityczna palisada mieściła około sześćdziesięciu chat z suszonej na słońcu cegły, stłoczonych wokół trzech większych kamiennych budynków i kościoła. Z dymników ku posiniałemu niebu unosił się dym. Chłopi wrócili właśnie z gajów oliwnych na wieczerzę, prowadząc za sobą wózki zaprzężone w woły.

Mamelucy w parę chwil poradzili sobie z wątłym ogrodzeniem. Kilku chłopów dostrzegłszy ich z dala, podniosło alarm. Panika objęła wioskę jak pożar, szerząc się od domu do domu; dzwonek na kościele wybijał spóźnione ostrzeżenie. Jedni w pośpiechu zbroili się w co kto mógł – kamień, kosę, miotłę; drudzy nawoływali do ucieczki, jeszcze inni do pertraktacji z napastnikiem. Ale napastnicy byli już w osadzie.

Grupka wieśniaków, którzy przysposobili się do odparcia ataku za rzędem wozów, szybko się rozproszyła, gdy runął na nią oddział jazdy na bojowych wierzchowcach.

Rozpędzone szable i nabijane kolcami maczugi spadły na plecy i nieosłonięte głowy uciekających ludzi. Mężczyźni i chłopcy padali pod ciosami, ginęli tratowani kopytami koni.

Jeden, któremu udało się uchylić od ciosu mającego pozbawić go głowy, uciekł w pole.

Trzech mameluków rozochoconych polowaniem ruszyło za nim w pogoń. W powietrzu uniósł się mocny zapach oliwek, sypiących się jak paciorki rozerwanych różańców z przewróconych wozów.

Bajbars wjechał do wioski pędząc przed sobą niedobitki szukające schronienia w chatach. Jego ludzie dorzynali już obrońców. Rozejrzał się po uliczkach osady.

Takich wiosek było w Palestynie krocie. Ongiś zamieszkiwali je przeważnie greccy i ormiańscy katolicy oraz wierni Kościoła koptyjskiego, których rodziny uprawiały tu ziemię od pokoleń. Gdy z zachodu przybyli pierwsi krzyżowcy, względny pokój między chrześcijańskimi poddanymi a muzułmańskimi panami pochłonęła wojna. Frankijscy diukowie zdobyli Antiochię, Jerozolimę, Betlejem i Hebron i wkrótce mieli w rękę wielki szmat środkowej i południowej Palestyny oraz północnej Syrii. Podzielili te ziemie na cztery prowincje, które nazwali Królestwem Jerozolimskim, księstwem Antiochii, hrabstwem Edessy i hrabstwem Trypolisu. Razem tworzyły one ich nowe imperium – Outremer, kraj za morzem. Objęły w nich władzę potężne francuskie rody, a nad wszystkimi panował

chrześcijański król Jerozolimy. Od tamtej pory mahometanie zdążyli odzyskać Edesę i niektóre miasta, w tym Jeruzalem, ale Bajbarsowi to nie wystarczało.

Spojrzał na kościółek. Jego przysadzista szara sylwetka była znamię zachodniej zgnilizny i nieprawowitej rzymskiej wiary.

– Jakie rozkazy, emirze? – zapytał go zdyszany przyboczny.

Bajbars wskazał chaty.

– Spalcie to wszystko. I tak nie znajdziemy w nich nic cennego. Przeszukajcie tamte

– machnął ręką ku kamiennym budynkom przy kościele.

Jeździec oddalił się pospiesznie, by przekazać polecenie.

Wkrótce strzechy osady zaczęły dymić. Mamelucy krążyli konno po uliczkach, wrzucając pochodnie na niskie dachy. Ukryci ludzie dusząc się dymem wybiegali przed domy, gdzie byli zabijani lub chwytni w niewolę.

Widząc nadjeżdżającego z przeciwka Omara, Bajbars zeskoczył z konia. Omarowi towarzyszył inny

oficer pułku Bahri, wysoki i smukły mężczyzna o wyraziście rzeźbionej twarzy, imieniem Kalaun. Obaj zatrzymali się i zsiadli z koni.

– Zaczynałem wątpić, czy się zjawicie – powitał ich Bajbars.

– Musimy pomówić, emirze – rzekł cicho Omar.

– Nie tutaj. Sułtan ma wszędzie oczy. Pilnuje mnie, odkąd opuściliśmy Ajn Dżalud.

Najwyraźniej mi nie ufa.

– A zatem – Kalaun uśmiechnął się nieznacznie – nie jest takim głupcem, za jakiego go miałem.

Przenikliwy krzyk kazał im się odwrócić. Z chaty naprzeciw, do wnętrza której zawalił się płonący dach, wypadła kobieta tuląca do piersi białe zawiniątko. Natychmiast podskoczył do niej któryś z mameluków; próbowała go wyminąć, ale był szybszy. Miecz z rozmachem wbił się w brzuch kobiety i wyszedł z powrotem, wypuszczając fontannę krwi.

Węzełek wypadł z rąk kobiety na ziemię, a żołnierz pochylił się nad nim zaskoczony, słysząc cienie kwilenie. Czubkiem miecza odrzucił rąbek tkaniny. Zobaczył niemowlę. Rozejrzał się niepewnie.

– Emirze! – Wskazał dziecko, które teraz zaniosło się krzykiem. – Co mam z nim zrobić?

Bajbars skrzywił się.

– Masz zamiar wykarmić je własną piersią?

Kilku znajdujących się w pobliżu mężczyzn parsknęło śmiechem.

– Nie, emirze. – Żołnierz spurpurowiał ze wstydu. Podniósł miecz.

Ostrze opadło i Omar odwrócił wzrok. Wiedział, że zabicie niemowlęcia stanowiło akt łaski – gdyby je pozostawiono, zginęłoby straszniejszą, powolną śmiercią – ale nie chciał

na to patrzeć. Kiedy znów się obejrzał, żołnierz był już daleko, a wokół niemowlęcia rozlewała się krwawa plama, barwiąc jaskrawym szkarłatem białe płótno.

Spojrzenie Bajbarsa powędrowało w stronę kościoła. Drzwi były zamknięte, nikt jeszcze nie zajął budynku.

– Chodźcie – skinął na nich.

Drzwi kościoła skrzypnęły i zatrzymały się na czymś, co podpierało je od środka. Z

wnętrza dobiegł drżący, ale butny głos:

– Odejdźcie precz, diabły!

Bajbars z całej siły napał na drzwi ramieniem. Blokująca je drewniana ławka ze skrzekiem odjechała po kamiennej posadzce. Wszedł do środka, dobywając szabli, pozostali dwaj za nim.

Kościół był mały i nagi, jeśli nie liczyć lichego ołtarza, nad którym wisiał drewniany krucyfiks. Za nim uzbrojony w ciężki żelazny świecznik stał stary ksiądz w wyświechtanej sutannie. Przez dwie wąskie szczeliny okien do mrocznego wnętrza wpadała czerwona poświata spowijająca podpaloną wioskę.

Ksiądz wycelował świecznik w Bajbarsa.

– Cofnij się, powiadam! – Postury był chuderlawej, ale w jego głosie brzmiała siła. –

Nie macie prawa tu wchodzić. To jest dom Boży!

– Twój kościół, klecho – wycedził Bajbars – stoi na naszej ziemi. Mamy wszelkie prawo.

– Ta ziemia należy do Boga!

– Ty i twoje plemię przypominacie mrówki bezmyślnie wszędzie wznoszące swoje kopce. Budujecie kościoły i zamki nie zastanawiając się, gdzie i po co. Jesteście jak szarańcza.

– Urodziłem się tutaj i oni także! – Ksiądz machnął ręką w stronę okna, za którym szalał pożar.

– Synowie i córki Zachodu! Frankijskie nasienie skaziło waszą krew. To piętno, którego nie zdołacie się wyprzeć.

– To nieprawda! – zawołał starzec. – Nasz kraj jest tutaj! – Wychynął zza ołtarza i na oślep zadał cios świecznikiem.

Bajbars skoczył naprzód, wyprowadzając cięcie. Ksiądz uchylił się, ale ostrze nie celowało w niego. Przecięło cienki sznur podtrzymujący krzyż, który z trzaskiem spadł na posadzkę przed ołtarzem. Bajbars nadepnął na niego z całej siły, łamiąc figurę Chrystusa na dwie części. Ksiądz zagapił się na niego ze zgrozą.

Emir schylił się i podniósł połówkę krzyża.

– Może i czujecie się tu gospodarzami, lecz jesteście splamieni zarazą Zachodu.

Oczyścimy z niej całą Palestynę. – Cisnął precz ułomek krucyfiks, podszedł do księdza i płazem wytrącił mu z ręki świecznik. Ostrze szabli oparło się na szyi starca. – Wasz Bóg zapłaci widząc, jak płoną jego świątynie. Popioły chrześcijaństwa rozwieje wiatr, który napełni słodyczą płuca wszystkich wyznawców prawdziwej wiary.

– Prędzej zginiecie – szepnął ksiądz – zmiążdżeni przez żołnierzy Chrystusa.

Bajbars odchylił się nieco w tył. Szabla śmignęła w powietrzu, rysując czerwoną linię na gardle ofiary i zawadzając lekko ostrzem o kręgi szyjne. Ksiądz zacharczał głucho, kolana się pod nim

ugięły, z ust chlusnęła krew. Ciało upadło na bok, zawadzając o ołtarz, i stoczyło się na posadzkę. Bajbars rąbał je raz po raz, aż kamienie spłynęły krwią. Oddychał

głośno, urywanie; w jego oczach palił się dziki blask. Będzie miał swój odwet! Zemści się na nich wszystkich!

Czując dotyk na ramieniu, obrócił się gwałtownie i zobaczył Omara. Zatoczył się w tył, nie mogąc złapać tchu.

– On nie żyje, emirze – rzeki cicho Omar.

Bajbars odwrócił się od zmasakrowanego trupa. Z sakwy przy pasie wyciągnął

gałgan i dokładnie wyczyścił głównię. Potem spojrzał na poważne twarze Omara i Kalauna.

– No to jak? Rozmawiamy czy nie?

Kalaun postąpił krok naprzód.

– Omar wyjawiał mi twe zamiary, emirze. Stanę przy tobie, gdy przyjdzie czas.

Bajbars skłonił głowę na znak podziękowania. Kalaun został przyjęty do pułku Bahri dwa lata po nim i Omarze. Szybko awansował i odznaczył się w Damietcie, gdzie pomógł

zabić Turanszacha.

– Twoja wierność doczeka się nagrody – rzekł.

– To nie będzie łatwe – wtrącił Omar. – Sułtan prawie nigdy nie oddala straży. Być może powinniśmy zaczekać, aż znajdziemy się w Kairze.

– Nie – uciał stanowczo Bajbars. – To musi się dokonać, nim wkroczymy do miasta.

Nie mogę pozwolić, żeby Kutuz schronił się w cytadeli, gdzie jeszcze trudniej będzie go dostać.

– Trucizna? – podsunął Omar. – Moglibyśmy przepłacić któregoś z jego paziów.

– Za duże ryzyko. Poza tym nie będę płacił za coś, co mogę zrobić sam. – Bajbars skończył czyścić szablę i wepchnął ją do pochwy.

– Co radzisz, emirze? – spyta! Kalaun.

– Uderzymy już na egipskiej ziemi. Po przejściu przez Synaj staniemy obozem w al-Salihiji. Od Kairu dzieli ją tylko dzień drogi; tak blisko swego miasta Kutuz straci czujność.

Jeśli zdołamy go odciągnąć od większości gwardzistów, mamy szansę.

Omar powoli pokiwał głową.

– Z tym się zgadzam, lecz nadal nie do końca pojmuję, jak chcesz objąć tron po jego śmierci. Z pewnością któryś z namiestników...

– Tym zajmie się Kadir – przerwał mu Bajbars.

Na twarzy Omara odbił się niepokój.

– Twojego zaklinacza lepiej nie spuszczać ze smyczy, panie. Podobno asasyni wykluczyli go ze swego bractwa, bo nawet dla nich był zbyt krwiożerczy. Nie sposób przewidzieć, co ten szaleniec zrobi.

– Wykona zadanie. Jesteście ze mną?

– Tak, emirze – odparł Kalaun.

Omar po sekundzie namysłu skłonił głowę.

– Jestem z tobą.

– Emirze? – W drzwiach kościoła ukazał się jeden z żołnierzy. Kłaniając się Bajbarsowi, rzekł: – Wioska wzięta. Ładujemy wozy.

– Chodźmy – rzekł do pozostałych Bajbars, kiedy żołnierz odszedł. – Zawieziemy sułtanowi jego ostatni łup.

Wyszli razem z kościoła. Płomienie biły w niebo. Garstkę kobiet i dzieci poganianych ostrzami mameluckich szabel zapędzano na wozy.

Kutuz obrócił się w siodle i spojrzał na ciemny horyzont. Nad wzgórzami widać było łunę, znak, że Bajbars zdobył wioskę. Kutuz spojrzał znów na drogę przed sobą i roztarł

mięśnie karku, zdrętwiałe nie tylko wskutek długiej jazdy.

Od kilku tygodni wzrastała w nim niepewność. Obawy przybierały na sile, odkąd opuścili Ajn Dżalud. Miał je i wcześniej, ale tupet Bajbarsa, gdy zażądał od niego namiestnictwa Aleppo, ostatecznie dowiódł skali ambicji jego poddanego. Odrzuciwszy prośbę, Kutuz spodziewał się wyrazów złości lub goryczy. Spokój emira napawał go lękiem.

Sułtan głęboko wciągnął powietrze i zaczął przepatrywać szeregi, aż kilka rzędów przed sobą dojrzał swojego naczelnego stratega, Aktaja.

– Pozwól na słówko, Aktaj! – zawołał.

Tęgi śniady mężczyzna obejrzał się i zawrócił konia.

– Co mój pan rozkaże?

– Potrzebna mi twoja rada – rzekł Kutuz, gdy strateg się z nim zrównał.

– Jak mogę ci usłużyć, panie? – spytał unizonym tonem.

– Mam drzazgę za skórą. Chcę się jej pozbyć.

7

Nowa Świątynia, Londyn

Trzynasty dzień października roku Pańskiego 1260

Jakub wyjął gęsie pióro z garnka stojącego na stole w świetlicy i obrócił je z roztargnieniem w palcach, przyglądając się bratankowi.

– Wiesz, że zarówno twój ojciec, jak i ja wygraliśmy ten turniej będąc młodszy od ciebie? Jesteś tu od dwóch lat, Garenie. Czas, byś i ty wygrał.

Garen podniósł wzrok, zdumiony wzmianką o ojcu. Jakub rzadko mówił o zmarłym bracie.

– To dla mnie pierwsza sposobność, panie – rzekł cicho. – W zeszłym roku byłem chory, a rok wcześniej dopiero rozpoczynałem naukę władania bronią.

– Ale ten rok będzie inny, prawda?

– Zrobię co w mojej mocy, panie.

– Mam nadzieję. Dziś rano mówiłem o tobie naszym gościom. Mistrzowie prowincji irlandzkiej i szkockiej wiele się spodziewają po moim bratanku.

Garen przełknął ślinę czując, jak nagle wysycha mu w ustach. Tego ranka mistrzowie Szkocji i Irlandii zjechali wraz ze swiątą na zebranie kapituły, które miało się odbyć za cztery dni. Zwoływano je co roku dla omówienia interesów Templum na Wyspach Brytyjskich. Zapowiedziany turniej miał uświetnić zjazd.

– Walka będzie trudna. Will Campbell jest dobrym szermierzem, a...

– Campbell to wieśniak – warknął Jakub, zaciskając dłoń na piórze. – Ty jesteś potomkiem rodu z Lyonu. Kiedy będziesz się ubiegał o własną komandorię, powinny przemówić za tobą twoje czyny. Campbell nigdy nie będzie dowódcą. Nie musi zwyciężyć.

Ty musisz.

– Tak, panie. – Garen podniósł kciuk do ust, zmitygował się i pospiesznie splótł

dłonie za plecami. Stryj nienawidził obgryzania paznokci.

Jakub westchnął, usiadł i rzucił pióro na stół.

– Masz obowiązki wobec rodu. Kto jeśli nie ty rozsławi go teraz, gdy twój ojciec i bracia nie żyją? Moje dni chwały dobiegły już końca. Twoja matka straciła męża i dwóch synów, a wraz z nimi nadzieje na przywrócenie panom z Lyonu należnego im miejsca wśród szlachty królestwa. Na zewnątrz znosi to dzielnie, ale mówiła mi, że nieraz do późna w noc płacze w tej nędznej norze, gdzie mieszka. Dawniej miała klejnoty, pachnidła, suknie; wszystko co przynależy niewieście jej stanu. Teraz pozostały jej tylko wspomnienia.

Garen przygryzł wargi. Nigdy w życiu nie widział, by matka była dzielna. Jej mina zawsze mówiła, co przeżywa: gniew, żal, zawód, rozgoryczenie. Myśl, że płacze po nocach w swej sypialnej komnacie, wystraszona trzepotem ptaków gnieźdzących się na poddaszu lub skrzypieniem desek stropu, sprawiała mu niemal fizyczny ból. W niewielkim dworku w Rochesterze, utrzymywanym ze skromnej pensji wypłacanej przez zakon, miała trzy służki do gotowania i sprzątania, ale było to marną namiastką rzesz służby, którą dowodziła w Lyonie jako żona bogatego świeckiego rycerza, zanim ojciec Garena związał swój los z Templum.

– Poprawię jej byt, przysięgam – szepnął chłopiec.

Głos Jakuba złagodniał.

– Twoja matka i ja poświęciliśmy wiele starań, by cię przygotować do podjęcia tego brzemienia. Odkąd skończyłeś sześć lat, miałeś najlepszych nauczycieli, jakich mogła zatrudnić, a teraz korzystasz z mojej opieki tutaj. Służąc przez wiele lat Templum zdobyłem doświadczenie, z którego możesz czerpać, jeśli chcesz się uczyć.

– Chcę.

– Dobry chłopak. – Jakub się uśmiechnął, z kącika oka rozbiegł mu się wachlarz drobnych zmarszczek.

Garen był zaskoczony tym uśmiechem. Cofnął się odruchowo, kiedy stryj wstał i podszedł, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Wiem, że w ciągu ubiegłych miesięcy nieraz byłem dla ciebie szorstki. Ale to dla twojego dobra, czy mnie rozumiesz?

– Tak, panie.

– Czekają cię zaszczyty i zadania znacznie ważniejsze niż komandoria.

– Ważniejsze, panie?

Jakub nie odpowiedział. Opuścił rękę i odstąpił krok w tył, a jego twarz znów okryła zwykła powaga.

– Teraz idź. Zobaczymy się na szkoleniu.

– Dziękuję, panie. – Garen skłonił się i ruszył do drzwi na miękkich nogach.

– Garenie?

– Tak, panie?

– Spraw, żebym był z ciebie dumny.

Idąc do kwater giermków, Garen nie miał złudzeń co do rzeczywistego znaczenia słów stryja. Mówił o dumie, myślał jak zwykle: „nie zawieźdź mnie”.

Dormitorium było puste. Zamknął drzwi i oparł się o nie. Pod oknem w plamie słońca siedział jeden z klasztornych kotów. Obok na podłodze leżał martwy ptak. W małych oczkach do połowy przysłoniętych powiekami nie było już życia; z brzucha ciągnęły się wyprute niebieskawo-czerwone trzewia. Na widok Garena kot wstał i otarł mu się o nogi.

– Szczury masz łapać, zbójcu – zganił go pobłaźliwie Garen, wziął zwierzę na ręce i położył się z nim na pryczy. Kot wyciągnął mu się na brzuchu, chłopiec machinalnie głaskał

miękką czarną sierść. Czekwały go zaszczyty, a jednak zazdrościł giermkom, którzy nie mieli przed sobą tak świetnej przyszłości. Był zmęczony ciągłym stąpaniem po ostrzu stryjowskiego gniewu, zmęczony rodowym nazwiskiem ciężącym mu niczym zawieszony u szyi młyński kamień.

Kot, jeszcze podniecony niedawnym polowaniem, zamachnął się na niego łapą.

Garen syknął i usiadł. Szkarłatne kropelki wezbrały i ściekły tworząc równą strużkę na wierzchu dłoni. Kot umościł mu się na kolanach i zaczął mruczeć. Garen patrzył na krew zaskoczony jej jaskrawą barwą. Stryj Jakub mawiał, że dowódca musi być bezwzględny; musi znosić ból i trud i wymagać tego samego od innych.

Zagryzł usta, lecz nie mógł powstrzymać łez. Zaszlochał głucho, wtulając twarz w ciepłe kocie futro.

Will ruszył z kaplicy na skróty, klucząc między sterczącymi z trawy nagrobkami.

Przeskoczywszy niski murek odgradzający cmentarz od sadu, uszedł ledwie kilka kroków, gdy zatrzymał go dziewczęcy głos nucący jakąś piosenkę. Nie rozumiał stów, rozpoznał

jednak ojczystą mowę Owena. Dziewczyna przechadzała się pośród drzew. Przystanęła w plamie słońca i kucnęła, by podnieść z trawy jabłko. Will słyszał o stowarzyszonych z Zakonem Świątyni żeńskich klasztorach we Francji, ale reguła ściśle zakazywała niewiastom wstępu do domów templariuszy – zwłaszcza jednego z najważniejszych w Europie! Patrząc na dziewczynę, Will zdał sobie sprawę, że już ją kiedyś widział. Było to około półtora roku temu, wkrótce po wyjeździe jego ojca.

Powróciwszy z krótkiej podróży z mistrzem Humbertem do Paryża, Campbell wezwał syna i oznajmił mu, że wyjeżdża do Akki. Will błagał, by wolno mu było jechać z nim, lecz ojciec się nie zgodził. Rankiem w dniu wyjazdu, trzy tygodnie później, przytrzymał

przez chwilę w dłoni rękę Willa, po czym bez słowa wszedł na pokład kogi przycumowanej do klasztornej nabrzeża. Will siedział wówczas na przystani do wieczora, długo po tym, jak statek odpłynął, a wody Tamizy z szarych stały się czarne.

Nazajutrz został giermkim Owena. Rycerz przyjął go życzliwie, ale kilka dni później on także nagle wyjechał. Nie było go ponad miesiąc; na ten czas Will trafił pod komendę Jakuba z Lyonu. Do dziś nie wiedział, skąd brała się trudna do wyjaśnienia niechęć, jaką żywił doń Jakub, lecz w ciągu tych tygodni rycerz jasno dał mu do zrozumienia, że w jego opinii Will nie jest lepszy niż mierzwa przylepiona do buta – i tak było nadal. W jeszcze większe rozżalenie wprawił go fakt, że ojciec zdawał się lubić swego imiennika, podobnie Owen. Czuł się zdradzony.

Pracował w stajni, gdy pewnego wieczoru wrócił Owen i Will ze zdumieniem zobaczył przycupniętą za nim na siodle dziewczyninę. Na stajennym podwórzu spotkał się z nim mistrz Pairaud. Dzieweczka, chyba w wieku Willa, bez pomocy zeskoczyła z wysokiego rumaka. Była wysoka i chuda; zdawała się niknąć w fałdach ubrudzonej w podróży, o wiele na nią za dużej sukni. Poplątane włosy spadały jej na plecy, a blada skóra była mocno napięta na kościach policzkowych. Wydała się Willowi zmarzniętym dzikim zwierzątkiem; jej wielkie świetliste oczy strzelały to tu, to tam, nawet ku mistrzowi, któremu przyjrzała się badawczo, nie wiedząc najwyraźniej, że to nie wypada. Nazajutrz rano wyjechała. Na pytania Willa Owen odpowiedział, że to jego krewniaczka, która nie mogła dłużej zostać w Powys, i uznał temat za zamknięty.

Teraz wyglądała zupełnie inaczej. Raczej smukła niż chuda, o zaokrąglonych policzkach i skórze wbrew modzie i skromności ogorzałej od słońca. Chociaż większość dziewcząt nosiła włosy upięte pod kapturkiem, jej nadal opadały luźno na ramiona, lśniąc jak miedzianozłote monety. Kiedy podszedł, dziewczyna podniosła wzrok i umilkła. Wstała, podnosząc zebrane jabłka w rąbku niebarwionej codziennej sukni.

– Witaj – powiedziała.

Will milczał przez chwilę, niepewny, jak się zachować.

– Jesteś krewną pana Owena – bąknął.

– Tak. – W jej oczach, zielonych jak jego, lecz znacznie jaśniejszych, zamigotał ogień. – Choć wolę, gdy mówi się do mnie: Elwino. A kim ty jesteś?

– Wilhelm Campbell – przedstawił się zbity z tropu jej badawczym spojrzeniem.

– Giermek mojego wuja – uśmiechnęła się lekko. – Słyszałam o tobie.

– Tak? – Will dołożył starań, by zabrzmiało to nonszalancko. – A co takiego słyszałaś?

– Że pochodzisz ze Szkocji i wciąż zbierasz nagany, bo twój ojciec jest w Ziemi Świętej, a ty bardzo za nim tęsknisz.

– Nic o mnie nie wiecie! – prychnął z wściekłością. – Ani ty, ani Owen!

Elwina cofnęła się o krok, jakby ustępując przed falą jego złości.

– Wybacz. Nie chciałam sprawić ci przykrości.

Will odwrócił wzrok usiłując pohamować furię, która ogarnęła go tak niespodziewanie.

– Jesteś tylko dziewczyną. – Kopnął leżące jabłko. – Cóż ty możesz wiedzieć?

Wyprostowała się dumnie.

– Więcej niż niedorostek, który całymi dniami wymachuje patykiem!

Patrzyli na siebie w milczeniu. Dopiero po chwili czyjś głośny okrzyk kazał im się odwrócić. Will zaklął pod nosem widząc kapelana, tego samego, który odprawiał dziś tercję.

Ksiądz kroczył ku nim zamiatając trawę czarną suknią.

– Co to ma znaczyć? – zawołał z oburzeniem, groźnie patrząc na Willa.

– Rozmawiamy – odparł chłopiec. Czuł na sobie kamienny wzrok Elwiny.

– A dlaczegoż to giermek rozmawia, gdy czeka na niego praca? – Kapelan się nasrożył. – Jeśli nie będzie tu dyscypliny, wkrótce wszyscy wrócimy do pogaństwa! W

próżniactwie i nieposłuszeństwie znać rękę diabła. Jego poduszczenia są obrazą dla dzieła naszego Pana!

Elwina zrobiła krok naprzód.

– Ale my tylko...

– Milcz, dziewczeczko! – huknął ksiądz, po raz pierwszy zaszczycając ją spojrzeniem.

– Z wielkim wahaniem przystaliśmy na prośbę rycerza Owena, aby dać ci tu gościnę.

– Moja opiekunka zachorowała. Nie miałam się gdzie podziać.

– Mistrz zapewnił nas, że pozostaniesz w przydzielonej ci izbie. Widzę jednak, że twoja obecność...

– Ksiądz urwał, widząc owoce trzymane przez Elwinę w podkasanej sukni i jej gołe opalone nogi. Will z uciechą spostrzegł, że lico kapelana oblewa głęboki rumieniec.

– A to co? – syknął, wskazując jabłko. – Kradniesz?

– Ja miałabym kraść? – Na twarzy dziewczyny odmalowała się zgroza. – Chciałam je zanieść do kuchni, na leguminę dla mistrza.

Kapelan otworzył usta i bezradnie zamknął je z powrotem.

– Szkoda byłoby, gdyby tu zgniły, prawda? – dodała słodko dziewczyna, podając mu jabłko.

Will musiał zakryć usta dłonią. Kiedy wzrok Elwiny napotkał jego oczy, twarz dziewczyny także zmiękła. Kapelan podejrzliwie przyglądał się to jednemu, to drugiemu.

– Wracaj do swoich zajęć! – fuknął w końcu na Willa. – A ciebie, panno, odprowadzę na kwatery i tam masz siedzieć. Nasz mistrz, niech Bóg go wspomaga, może uważać za stosowne naginanie reguły do swojej woli, ale nie dopuszczę, by jego wyrozumiałość była tak rażąco nadużywana!

Podszedł do dziewczyny, chcąc ująć ją za ramię, lecz jego ręka zawisła w powietrzu, jakby bał się jej dotknąć. Nie było zresztą potrzeby; Elwina wdzięcznym krokiem ruszyła przodem, podtrzymując pełną jabłek spódnice.

Will pokręcił głową z uznaniem dla jej tupetu. Potem przeskoczył mur okalający sad i wszedł na główny dziedziniec. Przed popołudniowym nabożeństwem chciał jeszcze zrobić coś, co i tak odkładał zbyt długo. Ojciec wyjeżdżając powiedział mu: „Napisz do matki”. To jedyna prośba, jaką miał do niego, a mimo to Will jeszcze jej nie spełnił. Wciąż prześladowało go wspomnienie pożegnania z nią w Szkocji; ust matki lekko muskających mu policzek, jej bladego uśmiechu... Czas jednak płynął naprzód, a teraz przynajmniej miał jej do opowiedzenia coś dobrego: że dzierżył tarczę swego pana podczas spotkania z królem.

Zapukał do drzwi świetlicy, mając nadzieję, że otworzy mu Owen, a nie Jakub.

Odczekał chwilę, zastukał jeszcze raz, mocniej. Nikt nie odpowiedział. Will rozejrzał się po korytarzu, delikatnie uchylił drzwi i zajrzał do środka. Izba była pusta. Już miał się wycofać, kiedy spostrzegł na stole stertę pergaminów. Wszedł do środka, płosząc przycupniętego na parapecie gołębia, który zerwał się i odleciał.

Pergaminy ułożone były w trzy pliki. Will przejrzał je szybko, szukając pośród nich czystego arkusza. Wszystkie jednak były zapisane. Tu i ówdzie poznawał okrągłe pismo Owena lub prędkie spiczaste grymoły Jakuba z Lyonu. Na jednym z dokumentów spostrzegł

królewską pieczęć odcisniętą w czerwonym wosku. Obejrzał się na drzwi i zciekawiony przebiegł oczyma tekst. Zawierał on skierowaną do Humberta z Pairaud prośbę, by powtórnie rozważył żądanie oddania w zastaw klejnotów koronnych. Straciwszy zainteresowanie po paru wierszach, chłopiec szybko przejrzał pozostałe pisma. Zestawienie długów króla Anglii było o wiele ciekawsze. Will gwizdnął cicho przez zęby czytając, jaką sumę pożyczył Henryk od Templum w ciągu ostatnich kilku lat. Po chwili jednak zmusił się do odłożenia dokumentu. Na palcach podszedł do szafy, gdzie znalazł na półce stosik świeżo przygotowanych pergaminów. Wyjmując jeden, przekrzywił stertę, a kiedy schylił się, by ją poprawić, spostrzegł, że wystaje z niej zapisany arkusz. Wetknął swój pergamin z tyłu w nogawicę, po czym wyjął żółtawy popękany list, z niewiadomych przyczyn leżący pośród czystych arkuszy, a nie w pliku innych pism. Napisany był po łacinie, ale uwagę Willa zwróciły przesadne w swej schludności litery, jak gdyby autor chciał celowo ukryć swój charakter pisma. Pieczęci nie było, podobnie jak imienia adresata. List oznaczony był jedynie datą:

I Aprilis A. D. MCCLX

Wybacz, że wcześniej nie siałem wieści, ale też dotąd niewiele było do powiedzenia.

Przybywszy tu bezpiecznie z Bożą pomocą minionej jesieni, udałem się do naszych braci w Akce. Ślą pozdrowienia swemu mistrzowi i proszą, abym ci doniósł, że tutejsze dzieło postępuje dobrze, acz wolniej, niżbyśmy chcieli. Zimą zmarł jeden z braci i jego brak bardzo nam doskwiera, wraz z nim ubyłła głowa i para rąk do pracy. Bracia pytają, czy przyjedziesz dobrać kogoś do naszego kręgu.

Inny jeszcze czynnik sprawił, że wypełnienie mojej tutejszej misji okazało się trudniejsze, niż liczyłem w duchu. Nowy rok przyniósł wojnę, która trwa do tej pory. W

styczniu Mongołowie uderzyli na Aleppo, w marcu zaś doszli już do Damaszku. Doszły nas słuchy, że ich wódz Kitboga kazał swym wojskom zająć miasto Nablus i tak znaleźliśmy się w okrążeniu. Na razie nie próbowali nas atakować, ale niebezpieczeństwo istnieje. Wielki mistrz Berard kazał umacniać fortyfikacje. Próbowaliśmy negocjować, jak dotąd z miernym powodzeniem.

Pomimo tych przeszkód powierzone mi zadanie wykonałem. Człowiek, do którego dotarłem, już okazał się bardzo użyteczny i wiele się od niego dowiedzieliśmy. To napawa braci dobrą wiarą na przyszłość. Człek ów zajmuje wysokie stanowisko w jednym z mameluckich pułków – wyższe, niż ośmielaliśmy się mieć nadzieję – i robi co w jego mocy, aby wspomóc nasze dzieło. Jestem pewien, że wkrótce dotrą do Ciebie normalną drogą dalsze nowiny, lecz w tej chwili sułtanat przygotowuje się do stawienia czoła Mongołom w...

Will poderwał głowę słysząc kroki w korytarzu. Wetknął pergamin pod stertę innych i skoczył za ściankę dzielącą świetlicę. Niemal w tej samej chwili drzwi się otwały. Will z bijącym sercem skulił się w kucki, słysząc kroki, potem szelest. Po kilku sekundach zaryzykował rzut oka zza przepierzenia i serce zaczęło mu bić jeszcze szybciej, gdy ujrzał

Jakuba z Lyonu nachylonego nad zaścielającymi stół dokumentami. Rycerz wziął stosik pism i już miał wyjść, gdy nagle przystanął spostrzegłszy uchylone drzwiczki szafy. Zmarszczył

brwi i zawrócił, rozglądając się po izbie, lecz Will był wciśnięty w kąt poniżej linii jego wzroku. Rycerz pochylił się nad półką z pergaminami, bez wahania wyjął jeden i dodał do trzymany w rękę, po czym zamknął drzwiczki i nacisnął je dwukrotnie dłonią, by się upewnić, iż nie otworzą się ponownie. Will czekał w ukryciu, aż kroki Jakuba ucichły w korytarzu. Dopiero wtedy odważył się wyjść zza przepierzenia.

Westminster

Trzynasty dzień października

Król Henryk patrzył przez okno. Padające przez witraż światło malowało mu twarz w niebiesko-czerwone romby. Widoczny przez okno ciasny labirynt budynków otulała mgła, która nadpełzła znad mokradeł.

Rzymianie pierwsi wzniesli rezydencję na wyspie w widłach Tyburny u jej ujścia do Tamizy. Od

czasów Edwarda Wyznawcy Thorney stała się siedzibą królów Anglii; różnorodność stylów kolejnych budowli odzwierciedlała gusty jego następców. Obok palatium wznosiły się ku niebu białe mury opactwa upstrzone przybudówkami tulącymi się do nich niczym dzieci u kolan mądrego dziadka. Henryk przedkładał tę siedzibę ponad inne; była wygodniejsza od londyńskiej Tower, a zarazem położona blisko miasta.

Za jego plecami ktoś chrząknął.

– Chciałeś mnie widzieć, najjaśniejszy panie?

Odwróciwszy się od okna Henryk spostrzegł, że lord kanclerz patrzy nań wyczekująco. Jego jednolicie czarne odzienie i biała skóra odcinały się kontrastowo od żywych barw komnaty, w której się znajdował. Ściany długie na dwadzieścia siedem kroków ozdobione były malowidłami i obwieszane oponami. W oknach tkwiły witraże, a kamienną posadzkę pokrywały kosztowne tkanice chodniki. W wielkich wazach stały kwiaty, na środku rzeźbiony dębowy stół z pięcioma pięknymi krzesłami, po bokach wyściełane poduszkami ławy. Osobie, która weszłaby tu po raz pierwszy, mnogość ozdób mogła nasunąć myśl, że jest w skarbcu. Henryk nie szczędził środków na urządzenie swoich posiadłości, lecz Malowana Komnata kosztowała go fortunę.

Król podszedł do stołu i wziął leżący na nim pergamin. Podał go kanclerzowi.

– Przyniesiono to godzinę temu.

W czasie gdy lord kanclerz czytał pismo, drzwi się otwarły i wszedł Edward. Jasne włosy przylepione miał do spoconego czoła, nogawice i wysokie jeździeckie buty zbryzgane błotem.

– Ojciec – skłonił się, zamykając za sobą drzwi – właśnie miałem poprowadzić łowy.

Posłaniec mówił jednak, że to pilne. – Zerknął na kanclerza.

– Przeczytaj. – Henryk usiadł ciężko na wyściełanej ławie. – Chcą zabrać klejnoty do skarbcza w Paryżu! Wolą pewnie, niech ich piekło pochłonie, trzymać je z dala od moich oczu i moich wpływów.

Edward wziął pergamin od kanclerza i przebiegł oczyma jego treść.

– Powinniśmy poprosić o kolejne spotkanie – spojrzał na ojca – i spróbować renegocjować warunki.

Henryk przegarnął ręką rzednące włosy.

– I cóż byśmy tym zyskali? Prosiłem już templariuszy o ponowne rozpatrzenie tej kwestii. – Wskazał pergamin. – W odpowiedzi proszą mnie najuniżej o przekazanie im klejnotów za dziewięć dni!

– Co uczynisz, najjaśniejszy panie? – spytał lord kanclerz.

Henryk oparł się na poduszkach i przymknął oczy czując, jak w głowie mu dudni.

– Gdybym sprzeciwił się templariuszom... jak sądzisz, co uczynią?

– Nie potrafię tego przewidzieć z całą pewnością, mój panie, ale wyobrażam sobie, że będą ubiegać się u papieża o potwierdzenie nakazu. Myślę, że wykorzystają bieżącą sytuację w Ziemi Świętej jako klucz, którym przekręcą papieską zgodę na swoją korzyść. A papież zwróci się bezpośrednio do ciebie.

– I nie będę miał wyjścia: będę musiał się zgodzić.

Na gładkim czole Edwarda zarysowała się zmarszczka.

– Tak łatwo się uginasz? Musisz być wobec nich twardszy, ojcze. Okazać swoją wolę jak wówczas, w Nowej Świątyni. To ty rządysz Anglią, nie oni.

– Można by w to wątpić widząc, jak wielką mają władzę.

– Klejnoty koronne należą do nas, ojcze. Są naszą własnością.

Henryk ze złością otworzył oczy, kierując je na syna.

– Myślisz, że robię to z własnej chęci? A jakim mam wybór? Czekać na edykt papieski, którego nie będę mógł zlekceważyć pod groźbą ekskomuniki? – Henryk wstał i przycisnął rękę do czoła. – Kiedy spłacimy dług, odzyskamy klejnoty. Do tego czasu niech mnichy je sobie wezmą. Przynajmniej się odczepią. – Ruszył do drzwi, omiatając płyty posadzki rąbkiem aksamitnego płaszcza. – Wyślij do nich wiadomość, panie kanclerzu.

Poinformuj ich, że przyjmuję warunki. I nie chcę już o tym więcej słyszeć.

Edward wściekły zerwał się, żeby iść za nim, ale kanclerz złapał go za rękę. Księżę spojrział na dłoń spoczywającą mu na ramieniu, potem na stojącego obok mężczyznę. Jego bladoszare oczy błysnęły.

Kanclerz piastował swe stanowisko dopiero od roku, ale raz już widział ten wyraz na twarzy następcy tronu. Idąc zamkowym korytarzem był świadkiem, jak mały paź niosący wazę z polewką potknął się i upuścił naczynie, rozlewając jego zawartość na posadzkę.

Edward szedł tuż przed chłopcem; zupa zbryzgała mu szatę. Księżę – a kanclerz miał go do tej pory za miłego, rezolutnego młodego człowieka, który nigdy nie traci panowania nad sobą

– kazał przerażonemu chłopcu zlizać zupę z posadzki, a potem jeszcze wyczyścić mu językiem buty.

Pospiesznie cofnął dłoń.

– Wybacz, proszę. Ale sądzę, że najjaśniejszy pan ma rację. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko oddać klejnoty rycerzom Templum.

– Ojciec jest stary i schorzały – odparł lodowatym tonem Edward. – Jak myślisz, komu zostawi ten dług w spadku? Do jego spłacenia templariusze będą przetrzymywać klejnoty, którymi mam zostać

ukoronowany. Nie zgadzam się, żeby zabrali to, co z prawa należy do mnie.

– Ja też nie chcę, żeby skarb dostał się w ich ręce – rzekł kanclerz. – Być może jest sposób, żeby całą sprawę obrócić na twoją korzyść, panie, bez dalszego niepokojenia jego królewskiej wysokości... a nawet i bez jego wiedzy. Myślę jednak, że do tego byłaby potrzebna pomoc twojego... – kanclerz urwał, zastanawiając się, jakiego słowa użyć –

twojego ulubieńca.

– Mów.

– Odkryłem w Nowej Świątyni coś, co może ci się przydać.

8

Nowa Świątynia, Londyn

Piętnasty dzień października roku Pańskiego 1260

– Do Paryża? – bąknął z niedowierzaniem Szymon.

– Owen powiedział mi o tym dziś rano – wysapał ze śmiechem Will, pomagając mu dźwigać wielką belę siana. – Będę eskortował klejnoty królewskie.

– Właśnie ty? – Szymon uśmiechnął się ciut ironicznie.

– Przecież nie sam. Jedzie także Owen, dziewięciu innych rycerzy wraz z giermkami, no i królowa – Will kiwnął głową w stronę przystani, gdzie nad wierzchołkami drzew sterczał

maszt. – Płyniemy na „Dzielnym”.

– Tą dziwną kryją? – Szymon skrzywił się. – Nie wygląda, jakby mogła przepłynąć kałużę, cóż dopiero dotrzeć do Francji. Podnieś trochę z twojej strony.

Will dźwignął belę, ślizgając się na mokrej ziemi. Przez ostatnie dwie doby znów lało jak z cebra i wszędzie, włączywszy szranki, chlupało pod nogami. Do turnieju pozostały trzy dni i podczas kilku ostatnich mszy Will żarliwie prosił Boga o słońce. Dziś w odpowiedzi na jego modlitwy wstał zimny mglisty świt, który przerodził się w chłodny, ale jasny poranek.

Wraz z Szymonem wtaszczyli belę do stajni i postawili pod ścianą. Will usiadł na niej ciężko.

Nozdrza wypełnił mu ciepły zwierzęcy zapach stajni. Koniuch zniknął w składziku, gdzie magazynowano obrok. Stajnie były długie i ciemne; z jednej strony znajdowały się boksy dla ogierów bojowych, z drugiej dla podjezdków używanych przez giermków. Jakiś pacholek zamiatął polepę w przeciwnym końcu stajen. Kurz i drobiny słomy wirowały w powietrzu.

Dostały mu się do nosa i kichnął.

– Jesteś gotów do turnieju? – dobiegł ze składziku głos Szymona.

– Na tyle, na ile to możliwe.

– Rycerz Jakub daje ci popalić?

– Mhm. – Will wyskubał z beli źdźbło i obrócił je w palcach.

W ciągu ostatnich dwóch dni jakoś nie mógł się skoncentrować na walce. Jakub kilkakrotnie obrugał go podczas ćwiczeń. *Campbell, na Boga, jesteś głuchy czy po prostu głupi? Przestań się na mnie gapić i zacznij przebierać nogami. Zaprawdę przyda ci się trochę ruchu!* Ale Will mimo woli wciąż spoglądał na rycerza. Nie mógł pozbyć się z pamięci listu, który znalazł w świetlicy, a który mógł należeć do Cyklopa. Choć wydawał się jasny i niewinny, były w nim pewne słowa, do których Will wciąż wracał, zastanawiając się nad ich znaczeniem: *ich mistrz, nasz krąg, misja...* Wiedział, że Zakon Świątyni zatrudnia szpiegów, którzy działają na terenie wroga, lecz list zdawał się sugerować coś więcej, jakby więź

między Templum a Saracenami. I żadnej pieczęci... Żałował, że nie zdążył doczytać go do końca.

– Zwycięzysz – stwierdził rzeczowo Szymon wynosząc ze składu siodło, które rzucił na ławkę.

– Co? – Will poderwał głowę. – Ach, turniej. No cóż, może. – Wzruszył ramionami, ale niezachwiana lojalność przyjaciela podniosła go na duchu.

– No to – podjął Szymon biorąc szmatę i garnuszek z woskiem – jak długo cię nie będzie?

– Pewnie z tydzień. – Will stanął nad nim patrząc, jak Szymon nabiera ręką ciemnożółtej mazi. – Może trochę dłużej.

Szymon zerknął na niego, wcierając wosk w siodło.

– Mam nadzieję, że nie zapomnisz o mnie w tych zamorskich dziedzinach, po których będziesz się rozbijał jako szlachetny rycerz.

– Skądże! Jesteś dla mnie jak... – Will potrząsnął głową, usiłując wymyślić jakieś zgrabne powiedzonko. – Nie wiem. Jakie są dwie rzeczy, które bardzo do siebie pasują?

– Zadek i kij? – podsunął Szymon i obaj wybuchnęli śmiechem.

Na dziedzińcu rozległ się odgłos kopyt. Stajenny odłożył szmatę, wytarł dłonie w tunikę i poszedł przywitać jeźdźca. W chwilę później Will, który pozostał w środku, usłyszał

głosy. Głos Szymona był niepewny i słychać w nim było czujność. Ten drugi całkiem zbił go z tropu. Podszedł do wrót i omal nie zderzył się z Szymonem, który prowadził karego rumaka z białą gwiazdką na nosie. Will rozpoznał konia należącego do Cyklopa, ale jeździec był

obcy, mówił zaś z zupełnie nieznanym akcentem. Miał na sobie szary płaszcz i kaptur, który osłaniał twarz, lecz gdy skinął głową Szymonowi, Will zdążył ujrzeć czarną brodę i twarz znacznie ciemniejszą niż u jakiegokolwiek Anglika. Patrzył, jak gość idzie przez dziedziniec w stronę kwatery rycerzy.

– Kto to? – spytał przyjaciela.

– Nie wiem. Wyglądał trochę z cudzoziemska, nie widzi ci się?

– A dlaczego przyjechał na koniu Cyklopa?

– Pewnie to on wziął go w zeszłym miesiącu. Brat koniuszy mówił, że druh rycerza Jakuba pożyczył wierzchowca na kilka tygodni. – Szymon zarzucił wodze na kołek i schylił

się, żeby rozpiąć popręg. – Zostaniesz na chwilę, żeby mi trochę pomóc?

– Nie – rzeki z roztargnieniem Will. – Nie mogę, muszę poćwiczyć – dodał, widząc rozczarowanie w oczach Szymona.

– Ale wpadniesz znowu? Nie widziałem cię już chyba od dwóch niedziel.

– Wpadnę.

Szymon patrzył za nim przez chwilę. Potem zdjął z karosza siodło i zaprowadził go do boksu. Wyjął nóż i rozciął sznurek wiążący belę siana. Czyjś cień zasłonił padające od wrót światło i stajenny uniósł głowę, żeby zobaczyć, kto to. Mężczyzna o długich skołtunionych włosach, końskiej szczęce i twarzy poznaczonej śladami po ospie odziany był

w poplamiony płaszcz rdzawej barwy, a w pochwie u pasa miał zakrzywiony puginał. Kiwnął mu niedbale głową i spytał:

– Którędy do kwatery giermków?

Szymon wyprostował się bez pośpiechu, schował nóż i podszedł do drzwi.

– A kogo szukacie?

– To już nie twoja sprawa, chłopcze – roześmiał się obcy, ukazując brzydkie zęby. –

Jak mam iść?

Pachołek zawahał się, lecz nie miał prawa wypytywać gości ani bronić im wstępu do preceptorium, choćby wyglądali nader egzotycznie lub – jak w tym wypadku – odrażająco.

– Prosto przez dziedziniec – rzeki krótko, wskazując przeciwległą pierzeję. – To ten wysoki budynek.

Siedemnasty dzień września

Barka sunęła powoli w stronę mostu Londyńskiego, wysadziwszy resztę pasażerów prócz jednego przy nabrzeżu Walbrook. Garen przycupnięty samotnie na ławce przyglądał się wozom turkoczącym na bruku przed kaplicą i licznym sklepikom, które obsiadły całą długość mostu. Kiedy łódź wpłynęła między przesłami, ujrzał zwisające z kołków głowy straconych zdrajców. Otulił się mocniej płaszczem, by ukryć czerwony krzyż na tunice, przerażony, że ktoś z brzegu lub z mostu może go zauważyć i rozpoznać. Było mu niedobrze ze strachu, ale czuł też narastające zaciekawienie. To ono, a nie tylko obawa przed zlekceważeniem wezwania, przywiodło go tu dzisiaj. W innym dniu żaden z tych bodźców nie wystarczyłby, żeby go skłonić do potajemnego opuszczenia preceptorium, ale dziś były obrady kapituły i rycerze pozostaną zamknięci przez większość dnia. Nikt nie zauważy, że go nie ma.

Zaraz za mostem prawie cały widok przesłaniał warowny donżon za potężnym kurtynowym murem spadającym do otaczającej go z trzech stron fosy. Barka przybiła do brzegu przed obrębem murów – żaden statek nie mógł bez zezwolenia wpłynąć do bramy wodnej. Człowiek z załogi przerzucił na brzeg deskę pełniącą rolę trapu. Garen zszedł po niej ostrożnie i przypominając sobie otrzymane wskazówki, ruszył przez płataninę zaułków, aż dotarł do zamku od strony miasta. Tu znalazł wąski zwodzony most biegnący nad fosą do niewielkiej furty w gładkim licu muru. Po obu jej stronach stali strażnicy w barwach królewskich. Kiedy wszedł na kładkę, jeden z nich dobył miecza.

– Stój – ostrzegł.

Garen zatrzymał się, czekając, aż tamten podejdzie.

– W jakiej sprawie?

– Nazywam się Garen z Lyonu. Ja... Oczekują mnie tutaj.

– Chodź za mną.

Drugi strażnik odpiął od pasa klucz i otworzył furkę. Garen wyjrzał na rozległy dziedziniec, za którym wznosiła się olbrzymia szaro-biała kamienna wieża strzelająca w niebo ostrymi iglicami. Otaczały ją ogrody i liczne przybudówki, spośród których wyróżniał

się zajmujący sporą połąć dziedzińca długi drewniany barak.

– No, idź – ponaglił go niecierpliwie strażnik.

– Ale dokąd? – spytał bezradnie chłopak czując, że się czerwieni.

– Ktoś wyjdzie po ciebie na dziedziniec. Tylko tyle nam powiedziano.

Wszedł za obręb murów i wzdrygnął się nerwowo, gdy furka z łoskotem zatrzasnęła się za nim. Posłyszał zgrzyt klucza w masywnym żelaznym zamku. Ta odrobina pewności siebie, jaką z trudem zdołał dotąd zachować, opadła z niego jak płaszcz; czuł się nagi i mały u stóp tych wyniosłych

niezdobytych murów. Z wahaniem ruszył naprzód.

Wokół dziedzińca przechadzali się strażnicy, bliżej donżonu dostrzegł kilka postaci, pewnie sług, lecz poza tym plac był pusty. Z drewnianego baraku śmierdziało gnojem.

Słyszac dobiegający zeń hałas, Garen podszedł bliżej i przyłożył oko do szpary między deskami. Wewnątrz było ciemno. Nieco dalej zauważył niewielki prostokątny otwór wycięty w ścianie. Wspiął się na palce, żeby zajrzeć do środka. Odór buchnął mu w nozdrza. Za ścianą wisiała jakby zasłona z szarej pomarszczonej skóry. Garen złapał za brzeg otworu i podciągnął się nieco. Zasłona zafalowała i nagle zdał sobie sprawę, że patrzy wprost w wielkie podłużne oko. Oko mrugnęło, olbrzymia głowa obróciła się do niego, a z otworu wysunął się gigantyczny wąż. Garen wrzasnął, spadł na ziemię i zatoczył się w tył, wpadając na człowieka, który stanął za nim.

– Co... Co to jest?!

– Pupilek króla Henryka – odparł krótko mężczyzna. – Chodź, on czeka.

Złapał chłopca za ramię i pohołował go w stronę wieży. Zimny wiatr omiatający dziedziniec targał połami jego rdzawego płaszcza.

– Ale co to jest? – wstrząśnięty Garen obejrzał się na wychylonego z otworu węża, który zdawał się uczepiony paszczy szarej bestii.

Mężczyzna, który przekazując mu wezwanie kazał się nazywać Krukiem, skrzywił się, lecz najwyraźniej postanowił dziś być uprzejmy.

– Elefant. Dar króla Ludwika, który przywiózł go z Egiptu.

Chłopak oderwał wreszcie wzrok od potwora i dał się poprowadzić dalej. Kruk też śmierdział – potem, stęchlizną i zepsutymi zębami. Garen starał się oddychać płytko, ostrożnie; i bez tego czuł potężne mdłości.

– Powiedziałaś komuś, że się tu wybierasz?

– Nie – potrząsnął głową. – Zrobiłem, jak kazałaś. Nikomu nie mówiłem i nikt nie widział, że wychodzę.

Kruk przyjrzał mu się badawczo. Po chwili chrząknął i doszedłszy widać do wniosku, że chłopak nie kłamie, mruknął tylko: „Mhm”.

Garen musiał prawie biec, żeby za nim nadążyć. W pobliżu wieży jego przewodnik przyspieszył, choć strażnicy nie zwracali na nich uwagi. Obeszli ją wzdłuż dłuższego boku; na tyłach były niskie drewniane drzwi, które wyglądały jak wejście dla służby. Garen pomyślał nerwowo, że zwykłych gości z pewnością się tędy nie wprowadza. Kruk przez cały czas trzymał go mocno za ramię, prowadząc ciemnym korytarzem do wpuszczonych w mur ciasnych spiralnych schodów. Sapiąc zgodnie, wdrapali się aż na samą górę, gdzie rząd łukowatych okien wychodził na pusty, omiatany

zimnym wiatrem dziedziniec, a nad murami rozciągał się widok na Tamizę. I tu jednak Kruk nie zwolnił kroku. Popchnął Garena w stronę dębowych drzwi, zapukał w nie dwukrotnie, odczekał chwilę i otworzył. W tejże chwili Garen wszystkimi siłami opanował chęć, by rzucić się do ucieczki. Przyjemne zaciekawienie pierzchło, teraz pytanie, które dręczyło go od chwili, gdy Kruk odwiedził go w preceptorium

– czego może od niego chcieć następca tronu Anglii? – znów wzbudziło w nim strach. Uciec i tak by nie zdołał, bo Kruka miał tuż za plecami.

Komnata była duża i ciemna. Okna zasłaniały ciężkie draperie nie dopuszczające światła. Tylko od czasu do czasu przez szparę przedzierał się wąski promień, w którym błyskały wirujące pyłki. Poza tym pomieszczenie rozjaśniał tylko płomień jedynej świecy na dębowym stole, po którego dwu stronach stały ciężkie ławy. Pod przeciwległą ścianą majaczył w mroku garbaty kształt wielkiego łoża. Kiedy oczy Garena przywykły do ciemności, spostrzegł, że ściany komnaty pokrywają namalowane sceny. Wytężywszy wzrok, zdołał rozróżnić budowle, jeźdźców, wysokiego mężczyznę w czarnej szacie. Omal nie krzyknął, gdy postać oderwała się od malowidła i zbliżyła do niego.

– Garenie z Lyonu – rzekł z uśmiechem książę Edward – rad jestem, że przyszedłeś.

Garen był tak zaskoczony, że zapomniał się uklonić. Książę jednak nie wydał się urażony.

– Usiądź – rzekł wskazując ławę.

Chłopiec na trzęsących się nogach podszedł do stołu, oglądając się na Kruka, który stanął na straży przy zamkniętych drzwiach.

Kiedy Edward usiadł naprzeciw niego na ławie, blask świecy podkreślił jego mocną szczękę i wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Książę podniósł dzban stojący obok dwóch pucharów.

– Napijesz się wina?

Garen z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Tak. To znaczy, tak, wasza wysokość.

– Pochodzi z gaskońskich ziem mojego ojca. – Edward napełnił puchary i podał

jeden Garenowi. – Najlepsze wino w chrześcijańskim świecie.

Prawie nie czując smaku, Garen pociągnął kilka łapczywych haustów, żeby zwilżyć wyschnięte gardło. Po dłuższej chwili mocny trunek rozgrzał mu krew i chłopak trochę się odprężył.

Gospodarz dolał mu wina.

– Domyślam się, że nie miałeś kłopotów z opuszczeniem preceptorium?

– Nie, wasza wysokość.

– To dobrze. – Edward wyprostował się i ujął puchar w długie palce, na których lśniło kilka drogich kamieni oprawnych w złoto. – Wybacz, że wezwałem cię w tak niezwykły sposób, ale bardzo pilnie chciałem z tobą mówić, a że sprawa jest delikatna, konieczne było, aby nikt się o tym nie dowiedział. Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłem?

– Nie, mój panie. – Kątem oka Garen widział ciemną postać Kruka zaczajoną przy drzwiach. Nie zdradził księciu, że samo wezwanie przestraszyło go znacznie mniej niż człowiek, który je doręczył. Kruk napadł go w dormitorium, oznajmił, że księżę Edward chce go widzieć, wręczył mu pieniądze na przejazd barką i nie wyszedł, dopóki Garen nie przysiągł, że się stawi.

– Powodem, dla którego zwracam się do ciebie – podjął księżę cichym miarowym głosem – jest wiara, że zdołasz mi pomóc w kłopotcie. Na prośbę mistrza Anglii król zgodził

się oddać wam w zastaw klejnoty koronne. Za pięć dni zostaną przewiezione do Paryża, gdzie będą czekać w skarbcu, aż król spłaci dług wobec Świątyni.

Garen kiwnął głową. Stryj mówił mu zeszłego wieczoru, że król Henryk w końcu zgodził się na żądanie mistrza. Napomknął też, że będzie eskortować klejnoty. Coraz bardziej zaniepokojony Garen zadawał sobie pytanie, po co go wezwano.

Edward bez pośpiechu napił się wina i uważnie przyjrzał chłopcu.

– Będę z tobą zupełnie szczery, Garenie. Nie chcę, by klejnoty przeszły w wasze ręce. Należą do mojego rodu. Próbowaliśmy z wami pertraktować; proponowaliśmy inne sposoby zabezpieczenia długu, ale zakon się uparł i odmówił dalszych rozmów. Nie pozostawił mi więc wyboru. Zostałem zmuszony do wzięcia sprawy we własne ręce. Klejnoty zostaną przekazane Templum, jak obiecał mój ojciec, ale potem je wam odbiorę.

Garen czynił nadludzkie wysiłki, by zrozumieć sens słów Edwarda.

– Mości księżę, ale...

Edward uciszył go ruchem ręki.

– Chcę, żebyś mi w tym pomógł, Garenie. Królowa, moja matka, na prośbę ojca będzie towarzyszyć klejnotom do Paryża. Rycerze jednak nie zdradzili nam marszruty planowanej wyprawy. Jako bratanek jednego z bezpośrednio zaangażowanych w przedsięwzięcie masz, jak tuszę, dostęp do tych informacji.

Garen nagle zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Poczul się tak, jakby otrzymał

policzek. Kiedy wstał, zakręciło mu się w głowie od wina i szoku.

– Ja... nie... nie mogę tego zrobić. – Omal nie przewrócił się o ławę spiesząc do drzwi. Pragnął jak najszybciej wydostać się na zewnątrz, na powietrze i światło dzienne, byle dalej od tej ciemnej komnaty i dorosłych spisków.

– A więc nie chcesz przywrócić świetności swemu nazwisku? – dobiegł go głos księcia. – Nie chcesz, żeby ród z Lyonu znów zajął zaszczytne miejsce, jakim ongiś się cieszył w królestwie Francji?

Garen zawahał się. Spojrzał na Edwarda nie dostrzegając, że za jego plecami dłoń Kruka wędruje w stronę pochwy ze sztyletem.

– Czyż nie to powiedziałeś lordowi kanclerzowi, gdy odprowadzałeś go do komnat mistrza? – spytał Edward. – Nie mówiłeś, jak ciężko być bratankiem dostojnego rycerza? Że czujesz się przytłoczony brzemieniem obowiązku odbudowy majątku i pozycji twego rodu, jaki na tobie ciąży?

Garen pokręcił głową. Nie takich słów użył.

– Mogę spełnić twe marzenia, Garenie. Uczynić cię lordem, nadać ziemie i tytuły.

Sprawić, że będziesz bogaty.

Garen wciąż stał jak wmurowany. Z tyłu za nim błysnęło wysunięte ostrze.

– Chcę tylko, żebyś mi powiedział, co wiesz o planowanej podróży. Nic więcej. W zamian zrobię dla ciebie wszystko, co jest w mojej mocy.

– A jeśli ktoś się dowie? – szepnął Garen. Własny głos wydał mu się obcy.

– Nikt się nigdy nie dowie.

– Ale jak... – Garen zmusił się do spojrzenia księciu w oczy. – Jak zdołasz odebrać klejnoty, panie?

Edward dopił wino i odstawił puchar.

– „Jak” to już nie twoje zmartwienie. Nikomu nie stanie się krzywda. – Wstał i podszedł do chłopca. Wysoki i urodziwy, jawił mu się niczym wojownik ze starych pieśni, zarazem urzekający i przerażający, bardziej mityczny niż ludzki. – Klejnoty są własnością mego rodu – powtórzył z naciskiem. – Muszę dbać o jego dobro. Chyba to rozumiesz. –

Wziął lichtarz ze stołu. – Chodź ze mną, Garenie.

Garen zawahał się, lecz po chwili ruszył w ślad za księciem na tyły komnaty.

Ciemne zarysy pokrywającego ścianę obrazu ożyły w świetle, nabierając barw.

– Ojciec kazał to sobie wymalować – rzekł Edward unosząc świecę wyżej – na cześć tych, którzy prawie dwieście lat temu oddali życie, wydzierając Jeruzalem z rąk niewiernych.

Spojrzenie Garena wędrowało po otoczonym murami mieście. Białe wieże zwieńczone złotymi cebulastymi kopułami pięły się po zboczu ku wielkiej misternej budowli na szczycie wzgórza, którą

jak zgadywał, była Kopuła na Skale, ważne miejsce kultu Mahometa przed upadkiem miasta, przekształcone później w chrześcijański kościół. Całą scenę cechował majestat i piękno; Garen miał ochotę stanąć na namalowanej trawie i pójść przez gaje oliwne ku tym wysokim białym murom. Edward ruszył jednak dalej; obraz pociemniał, a świeca wydobyła z mroku kolejną scenę. Tu miasto widać było z bliska, niektóre budynki zasłaniały kłęby dymu. Pod murami tłoczyła się splątana masa ludzi, machin wojennych, koni, namiotów i sztandarów.

– Kiedy w roku Pańskim tysiąc dziewięćdziesiątym piątym papież Urban II wezwał

do krucjaty, wielu rycerzy, nobilów, królów i chłopów wzięło krzyż i ruszyło wyzwolić Święte Miasto. Dopiero jednak cztery lata później, po długiej i ciężkiej podróży, w czasie której wielu z nich straciło życie, zobaczyli przed sobą te mury. – Edward wskazał wieże oblężnicze stojące rzędem między murami a obozem krzyżowców. – Prawie miesiąc zajęła im budowa machin. Potem, trzynastego dnia lipca, głodni i wyczerpani rozpoczęli atak.

Świeca przesunęła się dalej. Następne malowidło utrzymane było w ciemnych barwach: czarne dymy, szkarłatne języki ognia liżące dachy domów, purpurowa krew.

– Zdobyli orężem Święte Miasto i w ciągu jednego dnia ziściło się ich marzenie, a zarazem marzenie wszystkich, którzy pozostali w kraju. Jerozolima należała do nas. Rycerze oczyścili ją z Saracenów i żydów. Świątynia, z której ongiś Chrystus wygnał przekupniów; Grób, z którego powstał, miejsce zaśnięcia Maryi dziewicy; wszystkie te święte miejsca zostały konsekrowane przez chrześcijańskich kapłanów. Był to dzień inny niż wszystkie. –

Oczy Edwarda gorzały. – Żałuję, że nie było mi dane tego ujrzeć.

Garen patrzył w milczeniu na rzeki krwi płynące ulicami, mężczyzn i kobiety wyciąganych z domów i meczetów i kończących żywot pod mieczami rycerzy, na góry złota i łupów piętrzące się obok stosów ciał. Upojone zwycięstwem twarze krzyżowców zdawały się demoniczne w czerwonym blasku pożogi.

Książę odwrócił się do chłopca.

– Szesnaście lat temu Saraceni znów odebrali nam Jerozolimę. Musimy je odzyskać, jeśli nie chcemy, by życie tych, którzy przetarli chrześcijaństwu powrotną drogę na Wschód, poszło na marne. Czy nadzieja, że światło prawdziwej wiary znów zapłonie w kraju jej narodzin, ma odtąd na zawsze zgasnąć? Czy poganie mają czcić swego bałwana w miejscach uświęconych męką Pańską?

Garen nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko pokręcił głową.

– Gdyby żył jeszcze mój stryjeczny dziad, Ryszard zwany Lwim Sercem, nie czekałby bezczynnie, aż wrogowie odbiorą nam ostatnie twierdze. O, nie! – Twarz Edwarda stwardniała. – Mój ojciec nigdy w życiu nie powiedzie krucjaty. Ale ja tak. Te klejnoty wedle prawa należą do mnie i ozdobią mnie, gdy zostanę królem. Ani ja, ani ojciec nie zdołamy spłacić długu wobec Templum, gdy wszystkim nam trzeba nowej krucjaty. Pragnę tego samego co wasz zakon, ale zrobię to z własnej woli, nie na rozkaz. Rozumiesz mnie, Garenie?

Garen przygryzł paznokcie i skinał głowę.

Edward uśmiechnął się i podszedł do skrzyni stojącej u stóp łóża.

Malowidło stopniowo pogrążyło się w ciemności.

Uniósłszy wieko, książkę wyjął ze skrzyni aksamitny worek, który wręczył chłopcu.

– To na początek – oznajmił, patrząc z rozbawieniem, jak Garen wytrzeszcza oczy ściskając pękaty worek. – Pomóż mi, Garenie, a przyrzekam, że ja pomogę tobie. Nic nie ryzykujesz. W mojej służbie możesz tylko zyskać.

Garen pomyślał o matce spędzającej we łzach nocę w ciasnym domu w Rochesterze, pozbawionej klejnotów i sukien, sprzedanych – jak nieraz mu wypomniała – na kosztę jego nauki. Zawartość tego worka wystarczyłaby, by przyodziać ją wspanialej od królowej.

Pomyślał o stryju, o wszystkich swoich błędach i porażkach. Czy kiedykolwiek zdoła zasłużyć na jego uznanie? Przecież się starał, Bóg świadkiem, jak bardzo się starał. Ale jemu zawsze było mało. Podniósł głowę.

– Czy odzyskamy tytuł?

– Z czasem tak.

Garen przyjrzał się księciu. Ujrzał na jego twarzy spryt, ambicję i bezwzględność, ale nie zobaczył fałszu.

– Chcę tylko, żeby matka była szczęśliwa – szepnął – a stryj mógł być ze mnie dumny.

– Wiem, jak ciężko jest sprostać oczekiwaniom rodziny – odparł cicho książkę.

Garen zamrugał oczami, żeby powstrzymać łzy.

– Nasz statek, „Dzielny”, nie zawiezie nas aż do samego Paryża – wypalił. – Wiezie ładunek, sukno od naszych londyńskich tkaczy na sprzedaż we Francji i Aragonii. Zawinie do portu Honfleur u ujścia Sekwany, gdzie zejdziemy z pokładu wraz z klejnotami, a „Dzielny”

popłynie dalej do naszej komandorii w La Rochelle.

– Będziesz w eskorcie? – podchwycił książkę.

– Tak. Mój stryj wysłał gońca do preceptorium w Paryżu prosząc, aby wysłali mniejszy statek, który zabierze nas z Honfleur. Jak mniemam, królowa przenocuje w naszym domu nieopodal portu, a nazajutrz rano ruszymy dalej.

– Dobrze się spisałeś, Garenie. Jestem pod wrażeniem.

Garen zagryzł wargi i wbił wzrok w podłogę. Było mu niedobrze.

– Teraz wracaj do preceptorium i rób to, co zwykle – rzekł szorstko Edward. – Jeśli będę chciał się z tobą porozumieć przed podróżą, wyślę Kruka. Schowaj złoto w bezpiecznym miejscu, żeby nikt go nie znalazł. – Już przy drzwiach książę zatrzymał się nagle, odwrócił i położył Garenowi rękę na ramieniu. – Jeśli zaś opowiesz komukolwiek o tym spotkaniu, ja wszystkiego się wyprę, lecz bądź pewien, że ty razem z całą rodziną spędzisz przyszłe życie oglądając widoki z londyńskiego mostu. Rozumiesz, co mam na myśli?

Garen skwapliwie kiwnął głową. Przed oczami stanęły mu potworne, stoczone przez robactwo głowy zwisające z przęsła. Po wypitym winie i przeżytych strachu czuł parcie na pęcherz. Chciał stąd wyjść jak najszybciej.

– Nikomu nie powiem, przysięgam.

– Mam nadzieję. – Edward wskazał drzwi. – Zaczekaj na zewnątrz. Kruk cię odprowadzi.

Garen sięgnął do klamki. Kruk przez chwilę mierzył go wzrokiem, w którym czaiła się groźba, ale potem parsknął pogardliwie i odstąpił na bok, pozwalając chłopcu wyjść na korytarz.

– Myślisz, panie, że ten tchórzliwy szczur będzie milczał? – mruknął, zamknąwszy za nim drzwi.

– Gdybym sądził inaczej, nie pozwoliłbym mu opuścić tej komnaty – odparł cicho Edward. – Nie mamy wyboru. To będzie jedyna sposobność odzyskania klejnotów. Kiedy znajdą się w paryskim skarbcu, wątpię, czy je jeszcze zobaczymy.

– Chłopak i później może nam się przydać. Pytanie tylko, czy zechce współpracować.

– Jestem tego prawie pewien. Na wszelki wypadek dowiedz się jak najwięcej o jego rodzinie. Tymczasem pora przygotować plan. Pięć dni nie daje nam wiele czasu.

– Nie obawiaj się, panie. Klejnoty nie ujrzą Paryża.

Edward uśmiechnął się.

– Rad jestem, że moje wysiłki, by uwolnić cię z rąk kata, nie na marne. Szkoda byłoby zmarnować taki umysł na szubienicy.

Kruk skłonił przed nim głowę.

– Należy do ciebie, panie, wraz z całym moim życiem.

9

Nowa Świątynia, Londyn

Osiemnasty dzień października roku Pańskiego 1260

Will dmuchnięciem odrzucił kosmyk, który wymknął mu się spod hełmu, nie spuszczać oczu ze swego przeciwnika, starszego o rok giermka o byczym karku, imieniem Brian. Na co dzień przywykł do ćwiczeń drewnianym mieczem i coraz ciężej było mu dźwigać w górę żelazną głownię. Miał na sobie wutowany kaftan i wzmocnioną ćwiekami kurtę z grubej niewyprawionej skóry; skórzane nagolenniki i karwasze chroniły też jego kończyny. Okrążył przeciwnika, z którym wcześniej nie miał okazji walczyć. Po pierwszym starciu wyrobił sobie zdanie: Brian jest silny, ale powolny.

Ignorując zachęcające okrzyki widzów czekał, przeniósłszy ciężar ciała na odsuniętą do tyłu nogę. Brian znów natarł. Will sparował pierwszy cios, unikiem zszedł z linii drugiego i znalazłszy się za plecami przeciwnika, mocno uderzył go oburącz w grzbiet. Ostrza zostały stępione, by nie dopuścić do poważniejszych zranień, ale siła ciosu wystarczyła i Brian z ciężkim stęknięciem opadł na kolana. Will prędko uniósł miecz i zamarkował sztych w odsłoniętą szyję – sztych, który gdyby doszedł celu, byłby śmiertelny. Widzowie podnieśli krzyk, płosząc ptaki siedzące na pobliskim dębie. Herold głośno wywołał imię Willa. Brian ociężale dźwignął się na nogi i krótko uściśnął swego przeciwnika, nim zszedł z pola.

Z lawy honorowej, na której siedział pomiędzy mistrzami prowincji szkockiej i irlandzkiej, podniósł się mistrz Anglii Humbert z Pairaud. Zapadła cisza. Na prowizorycznym stole leżały nagrody: miecz dla zwycięzcy w starszej grupie, a dla najlepszego spośród młodszych giermków mosiężna plakietka przedstawiająca dwóch rycerzy na jednym koniu i będąca repliką pieczęci Zakonu. Will skłonił się przed trzema mistrzami.

– Ogłaszam, że zwyciężył Wilhelm Campbell, giermek pana Owena ap Gwyna –

rzekł Humbert. – Campbell będzie walczył ze zwycięzcą następnego pojedynku. – Spojrzał na Willa. – Możesz zejść z pola, młodzieńcze.

Will skłonił się ponownie i pobiegł do namiotu rozstawionego obok szranków.

Jeszcze godzinę temu zajmował dopiero piąte miejsce wśród trzydziestu giermków w swojej grupie. W gonitwie do pierścienia był czwarty, przy czym omal nie spadł z konia i trzykrotnie chybił. Ale kiedy gonitwę wygrał Garen i Will uczył, jak zwycięstwo wymyka mu się z rąk, postanowił się nie dać. Zwyciężył w biegu, a potem pokonał kolejno trzech przeciwników na miecze. Ramię miał obolałe, lecz w żyłach rozlewał mu się żar triumfu, spalając zmęczenie. Od zwycięstwa dzieliła go tylko jeszcze jedna wałka. Żałował, że nie ma tu jego ojca.

Obok stołu, na którym rozłożono oręż, stał Garen. Sprawdzał wyważenie miecza, machając nim w przód i w tył. W kącie namiotu inny giermek rozsznurowywał skórzany pancerz. Na zewnątrz przygotowywano szranki do kolejnego pojedynku.

Garen odłożył miecz i spojrzał na Willa.

– Dobra robota.

– Dzięki – odparł Will, nie zauważając chłodu w tonie przyjaciela. Otarł

przedramieniem spocone czoło. – Ależ ten chłopak był zażarty! Myślałem, że nie dam mu rady. – Uśmiechnął się. – Jeśli wygrasz swój pojedynek, spotkamy się w ostatniej walce.

Garen bez słowa kiwnął głową.

– Co się stało?

– Nic. – Garen wzruszył ramionami. – Za drugie miejsce nie ma żadnej nagrody.

– To nie ma znaczenia – odpalił bez namysłu Will. – Jeśli stoczymy finałową walkę, obaj będziemy bohaterami dnia niezależnie od tego, który z nas wygra. – Zerknął za trzecim giermkim, który uwolnił się z kubraka i wyszedł na dwór. Zniżył głos. – Gdzie byłeś wczoraj?

– Nigdzie – odparł szybko Garen. – To znaczy w zbrojowni. – Odwrócił się i wybrał następny miecz ze stołu.

– Nie mogłem cię znaleźć. Chciałem o coś zapytać. – Will zawahał się. – Kiedy twój stryj był ostatnio w Ziemi Świętej?

– Wrócił stamtąd ranny po bitwie o Herbiję, już po tym jak Saraceni zdobyli Jerozolimę. Dlaczego pytasz?

Will zagryzł wargi.

– A czy ktoś pisywał do niego z Palestyny? Może go odwiedzał? Na przykład jakiś cudzoziemiec?

Garen odwrócił się do niego gwałtownie.

– Dlaczego mnie o to pytasz? – Machnął ręką w stronę pola. – Za chwilę mam iść walczyć. O co ci chodzi?

– To nic ważnego – Will obejrzał się. Heroldowie wywoływali już Garena. –

Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o Ziemi Świętej i zastanawiałem się, czy mogę go o to spytać. Lepiej już idź – klepnął przyjaciela w ramię. – Powodzenia.

Garen zatrzymał się przy wyjściu, potem zdecydowanym krokiem ruszył naprzód, poprawiając miecz w garści.

Zaatakował mocno; seria potężnych ciosów zepchnęła przeciwnika na skraj pola. Po chwili jednak tamten zdołał się skupić. Wypady, cięcia, uniki i parady zaprowadziły ich znów na środek kręgu. Było cicho jak makiem zasiał; dźwięczały tylko zderzające się ostrza. Kilka minut po rozpoczęciu walki Garen trafił tamtego w ramię; na rozciętej tunice pojawiło się trochę krwi. Nad widownią zerwał się krótki ryk, który jednak zaraz umilkł. Will jeszcze nie widział druha w tak doskonałej formie. Poruszał się jak w tańcu, każdy wyprowadzony cios był silny i celny. Jego przeciwnik już zaczął się męczyć.

Garen sparował kilka płytkich pchnięć, zrobił przekrok i sięgnął przeciwnika z lewej.

Dwa jego szybkie jak błyskawica cięcia trafiły na zastawę, ale zmusił nimi tamtego do obrotu.

Prędko natarł z prawej. Przeciwnik nie dał się nabrać, skrócił dystans i zaatakował ciałem.

Garen stracił równowagę, podparł się kolanem, ale walka się jeszcze nie skończyła. Blokując górne ciosy, podniósł się na obie nogi i po raz kolejny zmusił przeciwnika do odwrotu. Idąc za nim, zerknął na ławę sędziowską. Jakub był zatopiony w rozmowie z mistrzem Irlandii.

I naraz miecz jakby zaczął ciążyć mu w dłoni. Ręka nie wykonywała już płynnych szybkich ruchów, którymi szachował przeciwnika w dotychczasowej walce. Ciosy wyprowadzane ze sztywnego nadgarstka straciły tempo, a każda bierna zastawa bardziej osłabiała ramię. Will zobaczył nagle, że Garen spóźnił pchnięcie i ledwie zdążył zablokować niskie cięcie w udo. Jego przeciwnik także zauważył zmianę i przeszedł do ofensywy.

Kibicujący mu przyjaciele zaczęli krzyczeć, wietrząc już zwycięstwo. Garen zamachnął się jakby bez przekonania i miecz wysliznął mu się z dłoni. Próbował go podnieść, zbyt wolno.

Przeciwnik podskoczył, „dobił” go czystym cięciem przez pierś i wrzasnął triumfalnie unosząc miecz, gdy herold wywołał jego imię. Garen już nie sięgał po swój miecz. Stał jak wmurowany, patrząc na Jakuba, który zerwał się na nogi z twarzą zimną jak śmierć. Po chwili ze zwieszoną głową powlókł się do namiotu. Will przepchnął się przez grupę wiwatujących giermków, żeby biec za nim, ale przystanął słysząc, że jest wzywany do finałowego pojedynku. Zawahał się i zawrócił.

Garen wszedł do namiotu, zdarł z siebie skórzany kaftan i rzucił go na ziemię.

Obiema dłońmi oparł się o ławę. Kula dławiąca go w przełyku zdawała się puchnąć. Ze złością przetarł zamglone oczy, za wszelką cenę chcąc powstrzymać łzy. Wiedział, że jeśli zacznie płakać, nie będzie mógł przestać.

– Wyjdź.

Wzdrygnął się. Wejście do namiotu wypełniała wysoka postać Jakuba. Padające z tyłu światło było za jaskrawe, by widział rysy stryja, ale i bez tego wiedział, jaką ma minę.

Wystarczył mu ton głosu. Strach ciasno owinał mu żołądek jak zimny oślizły wąż.

– Panie – wykrztusił. – Wybacz...

– Oszczędź sobie wykrętów – Jakub mówił tym cichym lodowatym głosem, którego Garen tak u niego nienawidził. – Idziemy.

– Ale... turniej jeszcze się nie skończy!... – Garen cofnął się i wpadł na ławę.

Jakub w dwóch krokach znalazł się przy nim, złapał go za ramię i wyciągnął z namiotu, a następnie poprowadził do preceptorium. Potykając się i podbiegając, żeby za nim nadażyć, Garen obejrzał się

przez ramię w stronę szranków, gdzie Will miarowo poruszał się w przód i w tył wywijając mieczem.

Na dziedzińcu było pusto, krzątało się tu tylko kilku braci służebnych. Paru z nich odprowadziło Garena i Jakuba zdziwionym spojrzeniem. Garen miał ochotę wołać do nich o ratunek, ale gardło miał ściśnięte, a zresztą nie pozwoliłaby mu na to silniejsza od strachu duma. Jakub powlókł go po schodach do świetlicy, wepchnął do środka i wszedł za nim zamykając drzwi.

– Panie, ja... – zająknął się Garen rozcierając obolałe ramię.

Nie dokończył. Wymierzony z całej siły policzek rzucił go na stół. Garnek z gęsimi piórami potoczył się po blacie i roztrzaskał na posadzce. Ból twarzy i biodra, którym trafił w ostry kant, wyrwały z ust chłopca krzyk. Drugi cios, tym razem pięścią, trafił go w bok głowy.

– Stryju, proszę...! – błagał, osłaniając się ramionami. Ciosy sypały się jak grad, z warg i nosa ciekła mu krew, ale zdołał ustać na nogach. Jeśli upadnie, będzie gorzej. Stryj zacznie go kopać.

– Powiedziałem ci, że masz zwyciężyć! – warknął Jakub, dysząc z wysiłku. – Co ci mówiłem?

– Że mam zwyciężyć! – jęknął Garen. – Kazałeś mi wygrać. Nie udało mi się!

– Widziałem cię, ty bezczelny szczeniaku! Przegrałeś tę walkę celowo! Żeby zagrać mi na nosie, tak?
– Stryj złapał go za ramiona i potrząsnął nim brutalnie. – Tak?

– Nie!

Przez okno doleciała burza głośnych okrzyków z pola turniejowego. Dało się wśród nich słyszeć wywoływane przez heroldów imię Willa Campbella. Jakub puścił Garena. Jego zaczerwieniona z wściekłości twarz przybrała fioletowy odcień. Zaklął głośno i obrócił się do bratanka.

– Słyszysz? Pozwoliłeś temu bękartowi wygrać turniej!

Rozproszony Garen nie zdążył się w porę osłonić. Cios trafił go prosto w twarz.

Zatoczył się do kąta, przez chwilę zawisł na ścianie, a potem osunął się na podłogę. Twarz mu płonęła, pulsowała bólem, z nosa zwisały dwa sople krwawych smarków.

– Wstawaj!

– Nie widziałeś mnie. W ogóle nie patrzyłeś – wybełkotał Garen.

– Co?

Garen podniósł na niego oczy, nie zadając sobie trudu, by otrzeć łzy.

– Nie oglądałeś walki. Widziałem cię; przez cały czas rozmawiałeś z mistrzem Irlandii.

– Mówiłem mu, jaki jestem z ciebie dumny! – głos Jakuba ciął jak kosa.

Garen pokręcił głową.

– To nie tylko dzisiaj. Tak samo jest zawsze. Chcesz, żebym robił dla ciebie wszystko... – Z wysiłkiem dźwignął się z podłogi i stanął na miękkich nogach, prostując się wyzywająco. – Ale kiedy to robię, nie jesteś zadowolony. Jak mam cię zadowolić? Nigdy nie dałeś mi szansy!

– Dałem ci szansę, chłopcze, jakich nie miałem ani ja, ani twój ojciec!

– Nie jestem tobą! – wrzasnął Garen zaciskając pięści. W jego błękitnych oczach płonął ból, upokorzenie i furia. – Nie jestem tobą ani moim ojcem, ani żadnym z moich braci!

Wiem, że nie dorastam im do pięt. Wiem o tym! Ale zawsze dawałem z siebie wszystko!

Jakub spojrział zdumiony na bratanka. Nigdy jeszcze nie słyszał go mówiącego tak szczerze, z taką pasją. Patrzył na łzy, krew i ślady swojej pięści na twarzy chłopca i nagle przed oczyma stanęła mu twarz brata, Raula z Lyonu.

Raul leżał w kurzu na ulicy Mansury z przetrąconym kręgosłupem i trzema strzałami w piersi. Zrzucił go koń, gdy mamelucy pod komendą Bajbarsa zaczęli strącać belki z dachów, blokując wąskie uliczki i więzząc rycerzy w śmiertelnej pułapce. W pobliżu leżały ciała dwóch starszych synów Raula. Bitwa przeniosła się dalej, zostawiając za sobą szlak usiany trupami. Przy wtórze odległych krzyków i ledwie już słyszalnego szczęku stali Jakub podpełzł do brata, ukląkł przy nim obejmując ramionami strzaskane zakrwawione ciało.

„Zaopiekuj się moją żoną i synem, bracie” – brzmiały ostatnie słowa Raula. Umarł, nim Jakub zdążył odpowiedzieć.

– Robię to dla ciebie – rzekł cicho. – Musisz to zrozumieć.

Garen nie zareagował. Płakał.

– Garenie – Jakub podszedł do chłopca i położył mu dłonie na ramionach. – Popatrz na mnie.

Chłopak odwrócił głowę, lecz stryj ujął go pod brodę i zajrzał mu w oczy.

– Myślisz, że lubię cię karać? Zmuszasz mnie do tego ponosząc porażki tam, gdzie bez trudu mógłbyś odnieść sukces.

Garen spojrział na niego. Potężny krwiałek wydał mu prawą powiekę, niemal całkowicie zamykając oko.

– Nie musisz tego robić, stryju – rzekł ochryple. – Zostanę rycerzem. Przywrócę rodzinie należny jej honor. Matka znów będzie szczęśliwa. Nie będzie musiała gnić w Rochesterze do końca życia. Dokonam tego, przysięgam!

– Nie mówiłem o pasowaniu na rycerza – odparł zmieszany Jakub. – Są też inne zaszczyty, jakich dla ciebie pragnę. Takie, o których nie wiesz. – Podeszedł do okna i oparł

dłonie na parapecie. Z pola turniejowego doleciało go wciąż powtarzane imię Willa. Obrócił się do bratanka. – Templum nie ogranicza się do tego, co już znasz. – Zawahał się na chwilę.

– Należę do grupy ludzi, braci wybranych z łona naszego zakonu. Jest nas teraz niewielu, ale wciąż mamy wielką władzę. W ciągu stu lat istnienia tego bractwa świadomie lub nieświadomie wspomagało nas wielu możnych. Przez pewien czas naszym opiekunem był

król Ryszard Lwie Serce. Działaliśmy jednak w sekrecie i nawet wielki mistrz o nas nie wie.

Nazywamy się Anima Templi, Duszą Świątyni.

Garen w oszołomieniu potrząsnął głową.

– Nie rozumiem. I co robicie? Jaka jest twoja rola?

Jakub uniósł rękę.

– Nie mogę ci zdradzić wszystkiego, jeszcze nie teraz. Obecnie znaleźliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie. Skradziono nam coś cennego, co w niewłaściwych rękach może doprowadzić do upadku bractwa... a być może i zniszczyć cały zakon.

– Co to jest?

Jakub zawahał się. Na jego twarzy odmalowało się niezdecydowanie.

– Powiedz mi, stryju – nalegał Garen. – Jeśli nie będę wiedział, czego ode mnie chcesz, nigdy nie zdołam cię zadowolić.

Jakub spojrział na niego i po długiej chwili odezwał się cicho:

– Nazywamy ją Księgą Graala. To nasza wewnętrzna reguła, opisana jest w niej ceremonia inicjacji członków i szczegółowy plan na przyszłość, o którym nikt nie może się dowiedzieć, dopóki nie będziemy gotowi. Po odwiezieniu królewskich klejnotów pozostanę w Paryżu, żeby pomóc w odszukaniu tej księgi. – Podeszedł do Garena. – Chciałbym, żebyś poznał przywódcę naszej grupy, Ewerarda. Zawsze miałem nadzieję, że pewnego dnia zajmiesz moje miejsce w bractwie. Aby jednak zostać jego członkiem, należy wprzód się wykazać licznymi przymiotami, by zaś wyrzucić wrażenie na Ewerardzie, trzeba być człowiekiem wielkiej siły i charakteru. Przykro mi, Garenie, nauczanie nie jest dla mnie rzeczą łatwą. Nie chciałem cię faworyzować, dlatego zapewne traktowałem cię surowiej niż innych. Ale członkostwo w naszej organizacji pociąga za sobą wielką odpowiedzialność, jaką niewielu zdolnych jest udźwignąć. Dlatego cię naciskam, dlatego chcę, żebyś był lepszy od chłopców takich jak Campbell. Dlatego to robię – szepnął Jakub, dotykając policzka bratanka.

Westchnął i przytulił chłopca do siebie.

Garen patrzył w podłogę czując tuż przy uchu prędkie, głuche uderzenia serca stryja.

Zamknął oczy i nagle posłyszał słowa Edwarda: *Jeśli powiesz komukolwiek o tym spotkaniu, razem z całą rodziną spędzisz przyszłe życie oglądając widoki z londyńskiego mostu.* Krew ze złamanego nosa ściekała mu na brodę, plamiąc biały płaszcz Jakuba.

Nowa Świątynia

Dziewiętnasty dzień października

Elwina krążyła po izbie z rękami złożonymi na piersi. Miała na sobie bladozieloną lnianą sukienkę z wąskimi rękawami, przewiazaną jedwabnym plecionym sznurem. Suknia opływała jej smukłą postać, a sięgając podłogi czyniła ją jeszcze wyższą. Wieczera stała nietknięta na skrzyni przy łóżku. Sługa przyniósł ją godzinę temu i na cienkiej polewce ściał

się już tłusty kożuch. Elwina z odrazą zmarszczyła nos. Mieszcząca się w przybudówce do sukiennicy izba była mała i skąpo umeblowana. Wcześniej mieścił się w niej składzik materiałów; wciąż czuć było zapach wełny i starej skóry. W kącie przy oknie wisiał drąg, przez który przerzuciła parę sukien i ciemnoniebieski płaszcz. Na posłaniu leżała rama do haftu, a obok kupka kolorowych nici. Rozpoczęty haft przedstawiał dwa indygoowe wzgórza i płynącą między nimi błękitną rzekę.

Dziewczyna podeszła do okna. Chmury ścigały się po niebie; na chwilę wyrzało słońce i aż przymknęła oczy porażona jego jasnością. Za jej plecami rozległo się głośnie pukanie do drzwi.

– Elwino!

Słyszając stłumiony przez grube deski głos Owena, podeszła do drzwi i odsunęła rygiel.

– Witaj – uśmiechnęła się.

Owen wszedł, zamknął za sobą drzwi i uściśnął ją, całując w czubek głowy. Jego wzrok padł na tacę z nietkniętym posiłkiem.

– Nic nie zjadłaś.

– Nie jestem głodna.

– Źle się czujesz? – Położył jej rękę na czole.

Odsunęła się lekko.

– Nie, tylko... – Westchnęła – Jak długo będę musiała tu zostać? Czuję się jak w więzieniu. Nie pozwolono mi nawet obejrzeć wczoraj turnieju. Słyszałam, jak wykrzykują imię twojego giermka. Wygrał?

– Musisz siedzieć w izbie, dziecko – rzekł Owen łagodnie, lecz stanowczo. – Nie możemy nadużywać łaskawości mistrza. Gdyby nie zgodził się tu ciebie przyjąć, nie wiedziałbym, co z tobą zrobić.

– Jestem mu wdzięczna za gościnę. – Elwina podeszła do stołu i przystanęła nad swoim haftem udając, że mu się przygląda. – Ale chyba oszaleję, jeśli nadal będę zamknięta w czterech ścianach.

– Dlatego właśnie przyszedłem. Wkrótce stąd wyjedziesz.

– Mojej pani się polepszyło? – podniosła na Owena pełen nadziei wzrok.

– Niestety nie. – Rycerz wziął ją za rękę, podprowadził do pryczy i skłonił gestem, by usiadła. – Właśnie dostałem wiadomość z miasta. Ona umarła, Elwino. Choroba się nasiliła i medyk nic nie był w stanie zrobić. – Usiadł obok i objął ramieniem szczupłe barki dziewczyny. – Tak mi przykro, kochanie. Wiem, że było ci u niej dobrze.

Elwina spuściła wzrok na swoje dłonie.

– Tak – szepnęła i zamilkła na długą chwilę. Potem wzięła głęboki oddech i otarła oczy. – Co teraz ze mną będzie? Zostanę tutaj?

Owen uściśnął lekko jej ramię.

– Nie na długo, Elwino. Klasztor templariuszy to nie miejsce dla dam.

– Miałam na myśli Londyn. – Elwina podniosła na niego duże błyszczące oczy. –

Nie chcę wracać do Powys, wuju.

– Nie musisz. Wysłałem wiadomość do naszego konfratra w Bath. Kilka lat temu wycofał się z czynnej służby po odniesionych ranach i nadzoruje folwark, gdzie hodowane są konie dla zakonu. Ma dwór nieopodal opactwa i z pewnością cię serdecznie przyjmie.

– Bath? – Głos Elwiny zadrżał. – Podoba mi się w Londynie.

Owen pogładził ją po głowie.

– Za trzy dni ruszam do Paryża. Nie wiem, kiedy wrócę, ale nawet wtedy nie będę miał czasu szukać dla ciebie odpowiedniego miejsca tu, w mieście. Bath też ci się spodoba.

Majątek Karola jest o wiele okazalszy niż to, do czego przywykłaś tutaj. – Owen uśmiechnął

się krzepiąco. – Ma trzy córki, jedna z nich jest w twoim wieku. Pod jego opieką nauczysz się wszystkiego, co wypada umieć młodej damie.

Dziewczyna ujęła róg koca i skubnęła wystającą nitkę.

- Jak długo tam zostanę?
- Najwyżej rok, aż osiągniesz stosowny wiek.
- Stosowny? – powtórzyła wolno. – Do czego?
- Do małżeństwa. Tymczasem znajdę ci odpowiedniego kandydata.
- Wuju! – Elwina zaśmiała się z przymusem. – Ja nie chcę wychodzić za mąż!
- Z czasem przyzwyczaisz się do tej myśli – odparł rycerz stanowczo.
- Czy nie mam innego wyjścia?
- Masz. Możesz wstąpić do klasztoru.
- Tego też bym nie chciała – odparła pospiesznie. – Pozwól mi przynajmniej zostać w Londynie, dopóki... – odetchnęła głęboko – ... dopóki nie znajdziesz mi narzeczonego.

Owen zdjął rękę z jej ramion.

- Przykro mi, Elwino, ale tu nie możesz zostać. Miejsce w Bath jest najlepsze, jakie mogę zaoferować, i stwarza ci najkorzystniejsze szanse na przyszłość. Niestety pozbawiona byłaś ojcowskiej opieki i przywykłaś do swobody, lecz nie jesteś już dzieckiem i nie możesz robić, co ci się podoba. Potrzeba ci nieco dyscypliny i właściwych nauk w sprawach, które przystoi znać młodej niewieście. Obiecałem twojej matce, że zadbam o ciebie jak o własną córkę. – Elwina otworzyła usta, ale Owen uciszył ją gestem i wstał z ławy. – Nie skłonisz mnie do zmiany zdania. W najbliższych dniach spodziewam się odpowiedzi od Karola. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, po moim powrocie z Paryża wyprawimy cię do Bath. – Podszedł do drzwi, otworzył je i obejrzał się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zmilczał i wyszedł, cicho zamykając drzwi za sobą.

Elwina została na środku izby ciasno objęta ramionami. Miała uczucie, że ściany zamykają się wokół niej i zaraz ją zgniotą. Po śmierci ojca nędza kazała jej matce wynająć się na stałe do posług we dworze. Kiedy Owen zabrał ją na swoim koniu do Londynu, popłakała się. Rycerz myślał, że jej smutno, a tak naprawdę były to Izy ulgi.

W Powys matka wychodziła z chaty codziennie o świcie, a wracała wieczorem blada i milcząca. Elwina pospiesznie sprzątała dwie ciemne wilgotne izdebki, potem karmiła krnąbrną maciorę i wybiegała na otwartą łąkę pól, szukając drzew, na które jeszcze się nie wspinała, i dzieci, z którymi mogłaby się bawić. W chłodnym zmierzchu patrzyła, jak chłopci ściągają z pastwisk, nawołując się i przyjaźnie pozdrawiając. Tymczasem matka coraz bardziej zamykała się w sobie, aż stała się tylko cieniem majaczącym na obrzeżu świata córki.

Głośniejsze słowo lub choćby śmiech zdawały się sprawiać jej ból, toteż Elwina nauczyła się żyć w ciszy. Po przyjeździe do Londynu pierwsze trzy dni spędziła przytulona do drzwi, nasłuchując odgłosów miasta.

Lata nędzy i ciężkiej pracy w zamian za nędzne resztki jada zabiły w matce duszę, pozostawiając pustą wyiębłą skorupę. Nie potrafiła już kochać ani być kochana, zapomniała jak odczuwać, jak marzyć. Owen tego nie rozumiał. On znał tylko śmierć zadawaną ostrzem miecza.

– Wilhelmie Campbellu!

Will niosący dwa wiadra z wodą do poidel w stajni zatrzymał się widząc biegnących za nim dwóch świeżo przyjętych malców.

– Przyglądaliśmy się, jak walczyłeś w turnieju – oznajmił piegowaty chłopaczek z zadartym nosem.

– No i co?

– Możemy zobaczyć nagrodę? – spytał drugi.

Will westchnął niecierpliwie, ale odstawił wiadra. Z sakiewki u pasa wydobył mosiężną plakietę, którą otrzymał za zwycięstwo w turnieju.

– Obejrzyjcie sobie.

Piegowaty z czią ujął plakietę i nachylił się nad nią wraz ze swoim kolegą.

Tymczasem Will rozglądając się po dziedzińcu zobaczył, że ze znajdującej się naprzeciw infirmerii wychodzi jakiś giermek.

– Pokażesz nam, jak zadałeś ten ostatni cios?

Will nie odpowiedział. Giermkciem był Garen; poznał go po włosach, bo twarz przyjaciela była zmieniona nie do poznania.

– Matko boska! – jęknął i nie bacząc na zgorzone spojrzenia młodszych chłopców, wyrwał im plakietę i dogonił Garena. Z bliska wyglądał jeszcze gorzej: jedno oko miał

całkiem zamknięte potwornie obrzmiałą czerwoną powieką. W oczodole zalegał

ciemnofioletowy, żółknący na brzegach siniec. Wargi najeżone świeżymi skrzepami też miał spuchnięte, a policzek jakby wypchany pakułami.

– Co się stało?

– Odejdź – wybełkotał Garen głosem równie zniekształconym jak jego twarz.

Will złapał go za ramię.

– To Cyklop, prawda?

– Nie nazywaj go tak! – Garen wyrwał się i pobiegł ścieżką do przystani. Will ruszył za nim.

Statek, który miał ich zawieźć do Paryża, kołysał się na rzece napinając cumy i ocierając się o nabrzeże. Przysadzisty dwumasztowiec o wysokich burtach i stromych kasztelach na dziobie i rufie, zbudowany do transportu towarów, nie przypominał smukłych okrętów wojennych. Nad pokładem krzyżowały się liny takielunku, a na przednim maszcie łopotała biało-czarna bandera templariuszy. Marynarze wachtowi słysząc odgłos kroków, jak na komendę podnieśli głowy, a widząc dwóch serwientów zakonu, wrócili do przerwanej gry w warcaby.

Garen stał przez chwilę sztywno z zaciśniętymi pięściami; potem, jakby nagle brakło mu sił, usiadł bezwładnie na obmurowaniu nabrzeża.

Will wetknął plakiętę do sakiewki, przycupnął obok niego i spojrzał na rzekę.

Tamiza lśniła jak wysadzana drogimi kamieniami, odbijając słońce tysiącem tańczących po powierzchni wody iskier. Blask raził w oczy, wyciskał łzy.

– Jak mógł tak postąpić? Jesteś z jego krwi!

– Przegrałem turniej. Był wściekły.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj.

Will kiwnął głową.

– No tak. Nie było cię na wieczerzy. Niepokoilem się o ciebie.

Twarz Garena nawet nie drgnęła.

– To nie boli – powiedział głucho. – Zresztą zasłużyłem na to. Zawiodłem.

– Też coś! – prychnął Will. – Co powiedział infirmariusz?

– Ze najpewniej będę widział, kiedy obrzęk zejdzie z oka.

– Chryste!

– Może powinienem nosić przepaskę – mruknął Garen, nie patrząc na niego. Wyjął

zza pazuchy zawiniątko wypełnione wonną ciemnozieloną papką. – Brat Michał kazał mi to przykładać na opuchliznę. – Przyjrzał się zawartości zwitka i uczynił ruch, jakby chciał ją wrzucić do rzeki.

Will złapał go za rękę.

– Zglupiałeś? To cię uleczy!

Garen patrzył na niego przez dłuższą chwilę, a potem zaczął się śmiać. Nienaturalny cienki chichot wyprowadził Willa z równowagi. Był rad, kiedy śmiech urwał się tak samo nagle, jak się zaczął.

– Mógłbym pójść do Owena. Porozmawiałby z twoim stryjem, przekonał go, żeby tego zaprzestał.

– To sprawa rodzinna – odparł ostro Garen. – Owenowi nic do niej... ani tobie. Nie wtrącaj się.

– Tym razem drań posunął się za daleko. Powinieneś się zbuntować.

– Jak ty wobec ojca? – warknął Garen.

– To co innego – uciął Will. – Ojciec nigdy mnie nie bił.

– Sam mówiłeś, że wolałbyś, żeby cię bił – odparował Garen. – Jego pięść byłaby lżejsza niż jego milczenie, czyż nie tak powiedziałeś?

Will zgrzytnął zębami i odwrócił wzrok.

– Nie mówimy teraz o mnie.

– Stryj chce mnie nauczyć władania sobą, bym mógł władać innymi. Robi to, co uważa za najlepsze dla naszego rodu, podobnie jak ja. Ukarał mnie, bo zawiniłem. To nie jest zły człowiek. Sam jestem winny, że niewiele rzeczy wychodzi mi tak, jak by należało.

– Jak możesz tak mówić! On cię całkiem zmienił! Wszystko się zmieniło. Kiedyś dobrze się bawiliśmy...

– Mam prawie czternaście lat, Will, ty też. Gdyby Owen nie był dla ciebie tak pobłażliwy, już dawno wydalono by cię z Templum za łamanie reguły, ilekroć przeszkadza ci w zabawie. Czas, żebyś zaczął się zachowywać jak mężczyzna.

– Jeśli bycie mężczyzną oznacza utratę pogody ducha, wolę zostać dzieckiem.

Zresztą większość punktów reguły jest bezsensowna! Mówią nam, jak mamy kroić ser przy wieczerzy! Nie na tym polega bycie rycerzem!

– Gdybyś choć raz przeczytał regułę ze zrozumieniem, poznałbyś sens jej nakazów.

Ale tobie chyba w ogóle nie zależy na białym płaszczu.

– Nie zmieniaj tematu – fuknął Will niezadowolony z obrotu rozmowy. – Twój stryj nie powinien był tak postąpić. To już nie jest kara, to...

Garen zaśmiał się niewesoło.

– Sądziś, że on pierwszy mnie bije? Matka lała mnie kijem, kiedy ją rozzłościłem, a bakałarz... on wolał pas. – Widoczne oko Garena było jak burzowa chmura. – Nie wiesz, co to znaczy, gdy na twoich barkach spoczywa honor rodu, kiedy wszyscy tyle od ciebie oczekują...

Ty po prostu niczego nie rozumiesz, Will. Nic nie wiesz.

– Posłuchaj. – Will zniżył głos. – Myślę, że jest sposób, żeby trochę go utemperować. Jakub coś knuje. Po pierwsze pożyczył konia komuś, kto...

– Nie pojmujesz, że stryj karze mnie dla mojego dobra. Żebym się bardziej starał –

ciągnął Garen, w ogóle go nie słuchając. – Może gdyby Owen traktował cię bardziej surowo, byłbyś lepszym giermkim.

– Co? – obruszył się Will.

– Wszystko uchodzi ci na sucho, bo jesteś dobrym szermierzem. Niczego nie bierzesz poważnie, ale też zawsze będziesz sługą, nigdy panem, jak ja. Jesteś po prostu nikiem!

Słowa ciężko zawisły w powietrzu. Garen westchnął z irytacją.

– Nie chciałem tego powiedzieć – mruknął. – To zresztą nie moje zdanie, tylko stryja Jakuba. Uważa, że nie jesteś dla mnie odpowiednim towarzyszem, i gdyby nie to, że razem ćwiczymy władanie mieczem, nie pozwoliłby mi się z tobą zadawać.

– Aha. – Will zagryzł wargę. Podniósł z ziemi kamyk i z rozmachem rzucił nim w kadłub statku. Kamyk odbił się z głuchym stuknięciem i wpadł do wody.

Wsadził dłoń do sakiewki i namacał plakietę, swoją nagrodę za wygrany turniej.

Zamierzał ją dać ojcu jako dowód, że może być z niego dumny, że zasłużył na miano jego syna. Ale ojca tu nie było. Nie widział, jak Will ćwiczył co dzień o świcie, jak walczył w turnieju, jak nocami bezsennie piastował w objęciach ten przeklęty dziadkowy tasak i wpatrywał się w ciemność, próbując zapomnieć. Zawahał się na chwilę, po czym wyjął

plakietę. Obwiodł palcem sylwetki dwóch rycerzy na koniu i podał ją przyjacielowi.

– Masz.

– Nie chcę twojej nagrody – rzeki sztywno Garen.

– To już nie nagroda. – Will ujął go za nadgarstek i włożył mu plakietę w dłoń. – To podarunek.

Garen milczał przez kilka sekund.

– Dziękuję – mruknął ściskając w dłoni mosiężny krążek.

Will kiwnął głową i wsadził ręce za pasek. Garen otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nagle zmienił zamiar, obrócił się i odszedł. Will położył się na obmurowaniu, podparłszy łokciem, i patrzył, jak kupiecka koga sunie w górę rzeki. Na Tamizie zawsze panował ruch. Statki zwoziły przyprawy, szkło, tkaniny i wino z Brugii, Antwerpii, Wenecji, a nawet Akki. Wyładowane w Londynie towary rozchodziły się po całej Anglii. Zeszłej wiosny genueńska galera płynęła tak blisko brzegu, że szyper widząc chłopców rzucił im dwie duże pomarańcze i garść daktyli. Tamtego wieczoru mieli z Garenem królewską ucztę.

Will podniósł następny kamyk i cisnął go do rzeki. Kamyk uderzył w wodę i zniknął

pozostawiając po sobie rozchodzące się kręgi. Garen się mylił. Will nie łamał reguły po prostu dla zabawy. Nie kończące się monotonne obowiązki, modlitwy i spożywane w milczeniu posiłki wiązały go wewnątrz siebie, dawały czas na myślenie. Tylko walka, związane z nią ożywienie i skupienie uwalniały go ze szponów natrętnych myśli. To samo czuł podczas swych szalonych eskapad: podniecenie sprawiało, że cień pierzchał, a wspomnienia błądły.

Popołudnie mijało, zrobiło się chłodno i Will w końcu powlókł się przez wąską furtę z powrotem do preceptorium. Minął zbrojownię, a gdy przechodził obok kaplicy, zobaczył

postać w ciemnoniebieskim płaszczu siedzącą na niskim murze otaczającym cmentarz. Poznał

Elwinę. Patrzyła na drzewa w sadzie, jej długie włosy targał wiatr. W pierwszej chwili zamierzał ją minąć, potem zmienił zdanie. Nawet w zapadającym zmroku zauważył, że dziewczyna płacze.

– Elwino? – zawołał półgłosem.

– Czego chcesz, Wilhelmie Campbellu? – mruknęła, odwracając głowę.

Wzruszył ramionami i ruszył w swoją stronę.

– Czeka! – zawołała za nim. – Zostań, proszę. Będę rada, jeśli mi potowarzyszysz.

Will usiadł obok niej na murku.

– Co się stało? – spytał, widząc jej grobową minę.

– Wyjeżdżam.

Elwina wydłubała sobie brud zza paznokcia i powtórzyła mu, co powiedział jej Owen.

– Tak mi przykro – bąknął niezgrabnie, kiedy skończyła.

– Tobie jest przykro? – najeżyła się. – To nie ciebie wydadzą za jakiegoś paskudnego starca!

– Przykro mi z powodu śmierci twojej opiekunki – wyjaśnił cierpliwie.

Otarła oczy rękawem unikając jego wzroku.

– Mnie też – przyznała łagodniejszym tonem – ale... Nie chcę jechać do Bath. –

Zaśmiała się gorzko. – Teraz już nie zobaczę Ziemi Świętej, prawda?

Will był zaskoczony.

– Chcesz odbyć pielgrzymkę?

– Nie chodzi o pielgrzymkę. – Obróciła się i spojrzała mu w oczy, prostując fałdy płaszcza na kolanach. – W naszej wiosce był pewien człowiek, który odwiedził Ziemię Świętą. Opowiadał, że wznoszą się tam zamki o złotych wieżach, a morze jest tak błękitne, że aż razi w oczy. Mówił o miejscach, gdzie nigdy nie pada deszcz. W Powys pada bez przerwy.

– Oczy Elwiny lśniły w zmierzchającym świetle. – Chciałam to zobaczyć. Wszystkie te cuda, o których w dzieciństwie wymyślałam sobie bajki. Gdybym została w domu, matka wydałaby mnie za jakiegoś wieśniaka; hodowałabym świnię i dzieci i nie widziałabym nic poza ciasną chatą i otaczającymi ją zagonami. Miałam w Powys przyjaciółkę, moją rówieśnicę. Zaręczono ją z mężczyzną, który był o dwadzieścia lat od niej starszy. Pewnie już są po ślubie. Ten sam los czeka mnie tutaj. – Elwina wstała i otuliła się płaszczem. – Chcę podróżować, oglądać nieznanne miejsca, nie starzeć się w zgrzynie i biedzie jak wszyscy moi krajanie. Jak moja matka. Wolałabym już umrzeć – dodała zawzięcie. – Naprawdę.

Will otworzył usta, ale nie dopuściła go do głosu.

– Tylko mi nie mów, że podróżować mogą wyłącznie mężczyźni. Do Ziemi Świętej poszło wiele niewiast i młodych dziewczeczek. Moja pani opowiadała mi o krucjacie dziecięcej.

– Dziecięca krucjata się nie liczy. Dotarli zaledwie do Marsylii, gdzie sprzedano ich handlarzom niewolników. Ale nie to chciałem rzec. Zamierzałem powiedzieć, że cię rozumiem. Sam bym stąd wyjechał już jutro, gdybym mógł.

– Na wojnę – stwierdziła sucho.

– Nie.

– Po co ćwiczysz się w mieczu, jeśli nie po to, by walczyć?

Will westchnął.

– Kiedy w końcu wyruszę do Ziemi Świętej, to istotnie na wojnę – przyznał – ale nie dlatego chcę tam jechać.

– To po co? – spytała wprost.

– Zobaczyć się z ojcem – odparł cicho.

– A więc miałam rację. Tęsknisz za nim.

Will także wstał.

– Nie możesz z góry uznać, że nie zobaczysz Ziemi Świętej. Owen powiedział, że spędzisz w Bath tylko rok.

– I sądzisz, że mąż mnie gdzieś puści? Nie – westchnęła. – Pewnie będę miała huk roboty z dziećmi i pieczeniem chleba. W najlepszym razie. Pieczenie chleba zawsze należy do obowiązków żony, prawda?

– Chyba nie zawsze – bąknął niepewnie Will.

– Nie? Twoja matka nie piekła chleba?

– Mówię tylko – podjął cierpliwie – że człowiek nigdy nie wie, co go czeka. –

Obejrzał się na mijającą ich równym krokiem grupę giermków. Kilku podejrzliwie przyglądało się Elwinie. – Muszę już iść.

– Cieszę się, że znów cię spotkałam, Willu Campbellu.

Will ruszył w stronę budynków, lecz po chwili się obejrzał.

– Owen powiedział mi kiedyś, że mężczyzna sam kształtuje swój los. Może to samo tyczy się także niewiast?

– Tak – uśmiechnęła się Elwina. – Może z nami jest tak samo.

10

Honfleur, Normandia

Dwudziesty drugi dzień października roku Pańskiego 1260

„Dzielny” ciął fale, bryzgi wody otulały mgiełką dziób statku. Bezchmurne niebo miało nasyconą lazurową barwę, trójkątne łacińskie żagle wydymały się na rejkach.

Marynarze głośno powtarzali rozkazy.

Dowódcą okrętu był rycerz Świętyni, pięciu innych pełniło funkcje oficerskie, reszta załogi zaś skompletowana była z braci służebnych oraz najętych żeglarzy. Will oparł łokcie na nadburciu i popatrzył w wodę. Pływał już barkami po Tamizie, ale tamte powolne, stateczne podróże w niczym nie dały się porównać z morskim rejsiem. W którąkolwiek stronę zwrócił wzrok, widział tylko niezmierną połąć błękitu. Czuł się tak, jakby unosił się w powietrzu.

Tuż obok zielony na twarzy giermek przewiesił się przez burtę. Will odwrócił się od targanego

wymiotami nieszczęśnika i zerknął na postać siedzącą wyżej na pomoście. Długie nogi obcego majtały się w powietrzu, ciało miał ciasno otulone szarym płaszczem. W jasnym świetle dnia kaptur nie wystarczał, by ukryć jego jakby utkaną z mroku twarz. Wszystko w niej było ciemne: oczy czarne jak węgle, krucze włosy i broda, śniada skóra o mahoniowym odcieniu. Nie tylko Will zwrócił na niego uwagę. Wcześniej podsłuchał przyciszoną rozmowę dwóch starszych giermków wchodzących w skład eskorty.

– Pewnie to Genuńczyk – szepnął jeden z nich – albo Pizańczyk. Ale co tu robisz, tego nie potrafisz odgadnąć. Słyszałem, jak jeden rycerz mówił, że jest druhem Jakuba z Lyonu.

– E tam – mruknął drugi, obrzucając człowieka w szarym płaszczu ponurym wzrokiem. – Na pewno nie pochodzi z żadnej z morskich republik. Moim zdaniem to Saracen.

Pierwszy giermek przeżegnał się odruchowo i uczynił ruch, jakby chciał sięgnąć do miecza.

Spojrzenie Willa napotkało nagle oczy obcego, który uśmiechnął się nieznacznie.

Prędko odwrócił głowę udając, że przygląda się falom. Kiedy znów podniósł wzrok, tamten patrzył w dal, na morze, głęboko nad czymś zamyślony. Czyżby rzeczywiście był Saracenenem?

Nieemożliwe. Nieprzyjaciel Boga na zakonnym statku? Z drugiej strony ten dziwny akcent i list znalezione w świetlicy... Ponownie ogarnęły go wątpliwości.

Rozejrzał się za przyjacielem, korciło go bowiem, by podzielić się z nim podejrzeniami. Garen siedział samotnie na rufie. Opuchlizna nieco już skłęsa, choć oko wciąż było tylko wąską szparką. Will zrobił krok w jego stronę, lecz rozmyślił się i siadł pod burtą na sakwie ze swym dobytkiem: zapasową koszulą, nogawicami i tasakiem. Kilkakrotnie już zagadywał przyjaciela, spotykając się niezmiennie z tą samą obojętnością. Miał tego dość.

Niech teraz Garen zrobi pierwszy krok.

Wyprostował wygodnie nogi, zaglądając w otwarte drzwi komnatki mieszczącej się pod pomostem. Dziesięciu templariuszy spożywało w niej popołudniowy posiłek, zapijając go winem. Za stołkiem Owena stała duża czarna szkatuła ze złożonym emblematem. Will domyślił się, że spoczywają w niej klejnoty. Królowa wraz z dwórkami zajmowała pomieszczenie w drugim kasztelu.

Gdy wypływali z ujścia Tamizy, królowa wyszła na pokład. Ciemne włosy upięte miała pod koronkowym welonem; wymknęło się spod niego parę pasm, okalając subtelną twarz ujętą białą podwiką. Szkarłatna jedwabna szata Eleonory haftowana była w złote francuskie lilie, pamiątkę ojczystej Prowansji, z której jako młodzianka narzeczona przybyła do Anglii. Małgorzata, żona władcy Francji Ludwika Dziewiątego, była jej rodzoną siostrą.

Królowa przez dłuższy czas wpatrywała się wyczekująco w południowy horyzont, a gdy opłynęli wschodni cypel Anglii, wycofała się do kabiny, zabierając ze sobą dwórki. Od czasu do czasu zza okrywających okno kajuty zasłon sączyły się delikatne dźwięki harfy.

Will oparł głowę o burtę i przymknął oczy.

Jakiś czas później obudziły go krzyki mew. Ziewnął, czując słony smak na wargach.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem, w morzu odbijały się zabarwione czerwienią podbrzusza chmur. Zbliżali się do lądu; cienka zielona wstążka powoli rozrosła się w pasmo niskich wzgórz spadających do morza białymi urwiskami. Widok rozczerował Willa.

Spodziewał się, że Francja zaskoczy go egzotyką, lecz zielone wzgórza i kamieniste plaże łudzaco przypominały wybrzeże Anglii. „Dzielny okrążył półwysep wrzynający się w morze jak wyciągnięty palec, a potem wpłynął w szerokie ujście rzeki. Z rozmów załogi wynikało, że przybyli do Honfleur.

Niewielki port przycupnął w osłoniętej wzgórzami niecce na sterburcie. Za przystanią widać było domy skupione wokół rynku pełnego ludzi o twarzach wyłożonych zachodzącym słońcem. Odbywał się jakiś festyn, stragany ustrojone były barwnymi chorągiewkami, które łopotały na wietrze. Nad wodą unosiły się dźwięki muzyki, śmiechy i słowa w nieznanym Willowi języku. Podniósł swoją sakwę i złapał się burty, gdy okręt zgrzytnął o belki nabrzeża. Jakub rozmawiał cicho z człowiekiem w szarym płaszczu. Will przysunął się bliżej, lecz w tejże chwili zamilkł, słysząc okrzyk Owena:

– Bądź pozdrowiony, bracie!

Will zobaczył niskiego krępego mężczyznę z wystrzyżoną tonsurą i krzaczastą brodą, odzianego w czarną szatę kapelanów Świątyni, który truchtem zbliżał się do nabrzeża.

Ksiądz uniósł rękę.

– *Pax tecum* – wysapał. Na nagiej czaszce lśniły mu kropelki potu.

– *Et cum spiritu tuo.* – Owen zszedł po trapie i podszedł do niego. – Widzę, że nas oczekujecie.

– W zeszłym tygodniu dostaliśmy wiadomość od mistrza Pairauda. Komnaty dla jej wysokości są przygotowane, choć niestety – ksiądz wydał wargi – boję się, że skromnością uchybią królowej.

– Jestem pewien, że królowa przez tę jedną noc nie dozna szwanku. Czy barka gotowa? – spytał Owen.

– Tak, bracie. – Kapelan wskazał drugi koniec przystani. – „Gryfon” przybył dziś rano z Paryża.

Will powiódł wzrokiem za palcem kapelana i zobaczył przysadzistą mocną łódź z jednym masztem i kwadratowym żaglem. Na żaglu wyszyty był heraldyczny gryf o ciele lwa, ogonie wielbłąda i głowie smoka.

– Załoga właśnie u nas wieczerza. To niedaleko. – Ksiądz pokazał stojący na pagórku duży dom z szarego kamienia otoczony wyszczerbionym murem. – Czy przyłączycie się do nas najadło i wieczorną modlitwę? Prowadzimy tu skromne pustelnicze życie i rzadko dochodzą nas wieści ze świata. – Uśmiechnął się błogo, splatając ręce na wydatnym brzuchu.

– Kierując się przykładem błogosławionego Bernarda z Clairvaux spełniamy tu li tylko duchową

posługę. Wolimy myśleć o sobie jako o mnichach, nie wojownikach. Ale – dodał

szybko – zaszczytem dla nas będzie spożyć wieczerzę w rycerskiej kompanii. – Kapelan oszacował wzrokiem liczebność załogi „Dzielnego” i dodał mniej pewnie: – Choć nie wiem, czy zdołamy godnie ugościć tak liczne grono.

– Może później – Owen Spojrzał w niebo. – Zaczekajmy parę godzin, a potem odprowadzimy królową do klasztoru. Im mniej ściągniemy na siebie uwagi, tym lepiej.

Przyślij do mnie na statek załogę „Gryfona”.

Po minie księdza można było poznać, że czuje się dotknięty rzeczową odprawą, jaką dał mu rycerz.

– Jak sobie życzysz, bracie – rzekł sztywno i poczłapał z powrotem, podciągając na brzuchu pas.

Kilka godzin później Will tkwił na nabrzeżu pilnując wielkiej sterty skrzyń, kufrów i beczek, które żeglarze i giermkowie znosili z „Dzielnego”. Większość bagażu, w tym harfa, należała do królowej, lecz część beczek – na przykład te z solą i piwem – miała zostać dostarczona do preceptorium w Paryżu. Słyszając piski i chichoty, odwrócił się i ujrzał grupkę dzieci przypatrującą mu się z zaciekawieniem. Na placu targowym wciąż trwała zabawa, choć dobiegała już północ. Pozatykane wszędzie pochodnie dawały sporo światła, a zapach pieczonego na roznach mięsiwa przyprawił go o skurcz w brzuchu. Jak się dowiedział, w Honfleur świętowano dziś dożynki. Wiele kobiet miało na głowach wieńce z kłosów, a mężczyźni poprzebierani byli w dziwaczne maski imitujące pyski wilków, psów i jeleni.

Niesamowity, zgoła baśniowy widok przedstawiała ta parada zwierząt płasających w świetle ognia u stóp mrocznej bryły kościoła.

Odwrócił się w stronę statku. Dwaj żeglarze znosili po prowizorycznym trapie dużą skrzynię. Za nimi szczupła postać w ciemnoniebieskim płaszczu i głęboko naciągniętym kapturze zachwiała się pod ciężarem pokaźnej szkatuły. Will ruszył na pomoc, ale uprzedził

go jeden z żeglarzy.

– Ja to wezmę, dziewczeczko.

Kobieta zawahała się.

– Wasza pani na pewno by nie chciała, żeby jej dworka zrobiła sobie krzywdę –

rzekł marynarz, wyjmując jej skrzynkę z rąk – albo poniszczyła jej rzeczy – dodał, z łatwością umieszczając kuferek na ramieniu.

Will posłyszał za sobą kroki i zobaczył wysokiego nieznajomego mężczyznę w tunice serwiensa.

– Gdzie rycerz Owen? – spytał zerkając w górę na statek.

– Na pokładzie – odparł Will.

– Powiedz mu, że „Gryfon” gotowy. Przyślę ludzi do pomocy – rzekł tylko i ruszył z powrotem.

Marynarze zawrócili po kolejne pakunki; dworki w niebieskim płaszczu nigdzie nie było widać. Na trapie pojawił się Owen z dwoma giermkami niosącymi czarną szkatułę z królewskim herbem. Will powtórzył mu słowa żeglarza z „Gryfona”.

– Dobrze – odmruknął Owen. – Jakub z Lyonu będzie nadzorował załadunek.

Obrócił się: królowa schodziła właśnie na brzeg, prowadzona przez jednego z rycerzy. Jej gwardziści czujnie rozglądali się po nabrzeżu.

– Czy jesteś gotowa, najjaśniejsza pani? – Owen skłonił się lekko.

– Tak – odparła miękkim melodyjnym głosem. – A moje rzeczy...? – wskazała stos, przy którym Will stał na straży.

– Zostaną od razu załadowane na „Gryfona” – zapewnił ją Owen. – Pozwól, pani, odprowadzimy cię do twojej kwatery.

Królowa zawahała się.

– Wolałabym, żeby klejnoty mojego męża pozostały przy mnie.

W tejże chwili rozległ się trzask: Garen upuścił skrzynię, która jednym końcem uderzyła o ziemię. Owen posłał mu mordercze spojrzenie. Zaczerwieniony ze wstydu chłopak schylił się skwapliwie.

– Zapewniam cię, moja pani – rzekł nieco speszony rycerz – że klejnoty będą bezpieczne w naszych rękach. – Zerknął na dzieciarnię, która z rozdziawionymi buziami gapiła się na królową i jej wspaniałą świtę. – Powinniśmy już iść – rzekł nagłaco, kiwając na trzech rycerzy, którzy dołączyli do nich na nabrzeżu.

Otoczywszy królową, grupa ruszyła do bramy portu. Dzieci pociągnęły w ślad za nią paplając z ożywieniem, aż w końcu jeden z rycerzy huknął na nie i rozpierzchły się jak spłoszone wróble.

– To już wszystko. – Jakub zszedł po trapie jako jeden z ostatnich; był z nim także mężczyzna w szarym płaszczu. Załoga „Dzielnego” zaczęła wciągać deski i odwiązywać cumy. – Bierzmy się za te skrzynki, szkoda czasu.

Wyzaczył dwóch rycerzy i dwóch giermków do pilnowania sterty ładunku, sam zaś z resztą ludzi ruszył na „Gryfona”, osobiście niosąc szkatułę z klejnotami.

Willowi przypadła w udziale skrzynka z solą. Obcy w szarym płaszczu szedł kilka kroków przed nim niosąc przerzucony przez ramię wór i nieduży kuferek w drugiej ręce. Ta część nabrzeża była ciemna, mrok rozświetlało tylko parę zatkniętych tu i ówdzie pochodni, których blask pełgał po śliskich kamieniach bruku. Po drodze minęli się z członkami załogi

„Gryfona”, idącymi pomóc w załadunku. Gdy dotarli na miejsce, Will postawił skrzynkę obok innych przygotowanych do zniesienia pod pokład. „Gryfon” był znacznie mniejszy do

„Dzielnego”; miał tylko jedną ciasną kabinę na rufie.

Jakub podał czarną skrzynkę marynarzowi z „Gryfona”.

– Postaw to tu, Hasanie – mruknął, wskazując pakunki niesione przez smagłego mężczyznę.

– A nie mówiłem?! – syknął idący za Willem giermek. – Hasan to saraceńskie imię!

– Campbell!

Will z trudem oderwał wzrok od Hasana i napotkał wściekłe spojrzenie Jakuba.

– Pomóż Garenowi z resztą skrzyń.

– Tak, panie – odparł krótko Will i pobiegł wzdłuż nabrzeża. Znalazł stertę ładunku, lecz przyjaciela nigdzie nie było widać. – Gdzie Garen? – spytał jednego z wartowników.

Tamten wzruszył ramionami.

– Pewnie na „Gryfonie” – mruknął z roztargnieniem i podniósł skrzynkę, którą wręczył innemu giermkowi.

Will rozejrzał się po nabrzeżu pewny, że musiał się minąć z Garenem po drodze i nie poznał go w ciemności. Na skraju targowiska zamajaczyła mu wysoka sylwetka w szarym płaszczu. Pochylił się udając, że naciąga but, lecz nie spuszczał go z oczu. Hasan ominął

szerokim łukiem kilku pijanych mężczyzn wyrzaskujących jakąś piosenkę, obejrzał się w stronę „Gryfona” i zniknął między straganami. Zaciekawienie Willa przemogło ostrożność.

Odczekał, aż minie go rycerz niosący harfę królowej, i zgarbiony, żeby nikt go nie zauważył, ruszył tropem Saracena, kryjąc się za przegniłymi skrzynkami po rybach.

Po ciemnościach panujących na przystani światła ognisk i hałasy sprawiły, że z początku stracił orientację. Jakaś tęga kobieta obróciła nim w tańcu, furkocząc kieckami.

Hasan oglądał wyłożone na straganie chleby i kołaczki. Nieopodal popisowywał się jaskrawo odziany żongler. Obok niego leżał wyciągnięty na ziemi duży wyliniały pies. Żongler wyrzucił w górę kilka jabłek, fiknął koziołka i kolejno złapał owoce ku uciesze gawiedzi.

Will ominął psa, który otworzył jedno żółte oko i warknął. Stając na palcach, chłopiec rozejrzał się ponad głowami ludzi. Hasan odszedł od straganu i zbliżał się teraz do wysokiego budynku na tyłach placu. Will zaczął się przeciskać przez tłum. Zanim dotarł na tamtą stronę, Hasan zniknął.

Dzwon na kościele wybił północ. Nie mógł tu tkwić bez końca; Cyklop wkrótce spostrzeże jego

nieobecność. Tłum nieco się przeredził i Will ujrzał szary cień, który zniknął

w przejściu między budynkami. Pobiegł za nim, nie zastanawiając się, co robi, gdy go dogoni. Przystanął u wylotu wąskiej sieni, z której śmierdziało moczem i zgniłymi warzywami. Gdy ostrożnie zajrzał w ciemne przejście, owionęła go fala gwaru i won piwa. Z

wnętrza wyszło dwóch mężczyzn niosąc pełne dzbany. Na drzwiach szynku wymalowany był

niezgrabny znak przedstawiający – na tyle na ile Will mógł go dojrzeć w mroku – żółty statek na szmaragdowym polu. Nagle poczuł, że ktoś łapie go od tyłu w żelazny uścisk i ciągnie w głąb zaułka. Wrzasnął i szarpnął się, wymierzając na oślep kopniaka w nadziei, że zdoła umknąć, lecz napastnik był znacznie silniejszy. Przycisnął Willa do ściany sąsiedniego domu.

Uchwyt zelżał i Will już miał się wyrwać, gdy poczuł na gardle zimne ostrze noża. W nikłym świetle dobiegającym z rynku zaśniły ciemne oczy Hasana.

11

Al-Salihija, Egipt

Dwudziesty trzeci dzień października roku Pańskiego 1260

Bajbars wszedł do namiotu, wyminawszy dwóch niewolników, z których jeden niósł

owoce, a drugi dzban kumysu. W środku siedział na dywanie Omar, opierając się plecami o skrzynię. Poza nią i żelaznym koszem, w którym pełgał żar wypełniając namiot rudawą poświatą, wewnątrz było puste.

Armia przybyła do al-Salihiji późnym wieczorem, budząc mieszkańców słyszalnym już z dala łoskotem bębnow. Miasteczko odległe od Kairu o jakieś osiemnaście mil zbudował

przed dwunastu laty sułtan Ajjub jako miejsce postoju dla wojsk powracających do Egiptu z Palestyny. Prócz niewielkiego garnizonu zasiedlili je miejscowi rolnicy z rodzinami. Ci, słysząc bicie w bębny, natychmiast zerwali się ze snu i zajęli przygotowaniem jadła dla znużonych pochodem żołnierzy. Mamelucy rozbili obóz pod murami na trawiastej równinie, którą księżyc oblewał srebrnym blaskiem.

Przestronne wnętrze namiotu było dla Bajbarsa wytchnieniem po chaotycznym gwarze obozowiska. Ograniczenie liczby sprzętów do minimum stanowiło jakby odbicie prostoty zaprzętającej go w tej chwili myśli. Kutuz i jego namiestnicy kazali wyposażyć własne pawilony ze zwykłym przepychem, ale Bajbarsowi nie wygodę były teraz w głowie.

Kiwnął Omarowi i rozpiął pas z szablą.

– Gdzie Kalaun?

– Niebawem tu przyjdzie. Teraz... – Omar urwał, oczyma wskazując sługi.

Bajbars domyślił się, w czym rzecz.

– Możecie odejść – rozkazał, czyniąc wymowny gest w stronę wyjścia z namiotu.

Słudzy postawili posiłek i już ich nie było. Bajbars odłożył broń na dywan.

Przycupnął obok Omara i tłumiąc ziewnięcie, przeczesał dłońmi włosy. Świerzbiała go skóra na głowie. Przez minione trzy godziny na rozkaz sułtana nadzorował rozbijanie obozu, a tymczasem minęła północ. Po dziewięciodniowym marszu przez Synaj pod palącymi promieniami słońca twarz miał sztywną, ściągniętą i rozpaloną.

– Powinieneś coś zjeść, *sadik*.

Bajbars zerknął na figi i lśniące cząstki pomarańcz.

– Nie jestem głodny. Ale konam z pragnienia – dodał, sięgając po kumys.

Omar zaczekał w milczeniu, aż emir napije się do syta.

– Kalaun rozmawia teraz z ostatnimi namiestnikami, których spodziewa się nakłonić, by nas poparli.
– Uśmiechnął się lekko. – Chyba podoba mu się jego nowa rola.

– Bóg dał mu zdolność przekonywania – odparł Bajbars, stawiając opróżniony dzban na skrzyni. – Kiedy mówi, ludzie go słuchają. Ponadto – obojętnie wzruszył ramionami –
język ma gładszy niż ja.

Obaj podnieśli głowy. Płachta zasłaniająca wejście uniosła się i wkroczył Kalaun.

Skłonił się przed Bajbarsem.

– Emirze.

– Jak ci poszło?

– Ci dwaj, z którymi rozmawiałem, nie uczynią nic, by zagrozić ci drogę do tronu po śmierci sułtana. Obaj uważają cię za lepszego kandydata.

Bajbars uśmiechnął się kwaśno.

– Ile kosztowało mnie ich oddanie?

– Kroplę wobec morza, które czeka na ciebie w skarbcu cytadeli. – Kalaun odwrócił się i uniosł płachtę. – Podczas przechadzki znalazłem twoją własność, emirze.

Kadir, mokry i ubłocony, niosł za uszy martwego zająca, z którym zaszył się w kącie za piecykiem. Na czworakach, z długimi kościstymi kończynami rozpostartymi na piasku, sprawiał nieprzyjemne

wrażenie pająka czyhającego na zdobycz. Omar uczynił wysiłek, by ukryć odrazę. Nie rozumiał, dlaczego Bajbars uparł się wtajemniczyć tego nędznika w sprawy najwyższej wagi. Złościło go to i martwiło.

– Gdzie byłeś? – spytał Bajbars.

– Polowałem – odparł mrukliwie Kadir. Wiszący mu u pasa sztylet ze złoconą rękojeścią nosił plamy krwi. Zaklinacz wyciągnął rękę i pogłaskał zająca po uszach. –

Mięciutkie... – mruknął.

Kalaun przysiadł na poduszce i wziął z talerza figę.

– Dowiedziałeś się tego, co chcę wiedzieć? – spytał niecierpliwie Bajbars.

– Tak, panie – Kadir wyprostował się i spojrzał na trzech mężczyzn. – Klucz do tronu da się obrócić.

– O czym on mówi? – zirytował się Omar. – Jaki klucz do tronu?

– Aktaj, głównodowodzący sztabu armii – wyjaśnił Bajbars. – To on po śmierci sułtana przekazuje tron następcy. – Spojrzał na Kadira. – Jesteś pewien?

– Przyglądałem mu się bacznie w minionych tygodniach, panie. To głupiec o zajęczym sercu. Jeśli go nacisnąć, uklęknie. – Kadir uśmiechnął się. – Pora jest właściwa.

Czerwona gwiazda wojny rozświetla niebo i woła o krew.

– Niechże więc krew ją napoi. – Bajbars zwrócił się do Omara i Kalauna. – Kutuz rozkazał, byśmy zatrzymali się tu na jednodniowy odpoczynek. Na pewno chce poderwać ludzi chępliwą mową o swych wielkich zwycięstwach, nim triumfalnie wkroczy do Kairu.

Pawilon sułtana został rozbity pod murami miasta. Po modlitwie o świcie spożywa posiłek, a potem zawsze zasypia jeszcze na godzinę. W tym czasie nie ma przy nim straży i jest najbardziej bezbronny. Namiot dzieli od murów gęsto podszyty gaj cytrynowy. Ukryjemy się w nim o brzasku, a gdy Kutuz uda się na spoczynek, wdrzemy się wprost przez ścianę do części sypialnej. Kalaunie, ty pobędziesz się dwóch gwardzistów sprzed namiotu i zajmiesz stanowisko przy wejściu do części tronowej. Omarze, ty będziesz strzegł mi tyłów i rozprawisz się z każdym sługą, jaki zechciałby nam przeszkodzić. Ja zabiję Kutuz.

Pozostali w milczeniu skinęli głowami.

– Ponieważ nie pozostało wiele czasu – ciągnął Bajbars – idź zaraz do Aktaja, Kalaunie. Zastrasż go albo przekup, jeżeli da się kupić. Nie obchodzi mnie, jak; po prostu zmusz go do współpracy. Kiedy dokonamy dzieła, musi być gotów przekazać mi tron.

– Tyś rozkazał, emirze. – Kalaun wstał.

– Aktaj udał się już na spoczynek – rzucił za nim Bajbars – Znajdziesz go w namiocie.

Ponieważ wojska miały obozować w al-Salihiji tylko przez jedną noc, znaczna część żołnierzy ułożyła się na spoczynek pod gwiazdami, skupiona w żółtych kręgach ciepła bijącego z ognisk. Bębny wreszcie umilkły; nad obozem zaległa kojąca cisza macona tylko zamierającymi rozmowami i dźwiękiem lutni gdzieś w dali. Na obrzeżach obozu majaczyły ciemne dziwaczne sylwetki machin oblężniczych i wozów. Powiązane w długi rząd wielbłądy prowadzono przez pole bawełny do wodopoju w jednym z licznych przerzynających równinę strumieni. Kalaun minął pawilon sułtański, za którym dał się dostrzec niski mur miasteczka i sterczące zza niego domy z niewypalonej cegły. Ciężkie zasłony namiotu uniesiono i podpięto; wewnątrz widać było podwyższenie, na którym stał tron. Przy wejściu zastygło w postawie na baczność kilku gwardzistów. Kalaun minął ich, poruszając się bezszelestnie po sprężystej trawie, i skierował się do mniejszego namiotu marszałka wojsk.

– Kalaunie.

Obejrzał się. Zobaczył jednego z namiestników, u którego niedawno był z łapówką.

– Musimy pomówić.

Kalaun skłonił się z szacunkiem.

– Teraz, panie, mam posłuchanie u wielmożnego Aktaja. Zaraz potem mój czas będzie należał do ciebie.

– Jeśli szukasz sojusznika – mężczyzna wskazał namiot Aktaja – tam go nie znajdziesz.

– Co to znaczy? – Kalaun zmarszczył brwi.

– Mam cenne wieści.

Kalaun rozejrzał się szybko i skinął na namiestnika. Odeszli nieco dalej, wtapiając się w mrok.

– Mów.

– Jako rzekłem – wielmożna uśmiechną się nieznacznie – to cenna wiadomość.

– Zostaniesz wynagrodzony.

Tamten zawahał się na moment, po czym skinął głową.

– Sułtan z pomocą Aktaja urządza jutro łowy. Mają się odbyć rano, po modlitwie.

Bajbars także otrzyma zaproszenie. Kutuz planuje go zgładzić.

Kalaun ostro wciągnął powietrze.

– Dlaczego? Czy dowiedział się o naszych zamiarach?

– Nie. Podejrzewam, że od dawna chce się pozbyć Bajbarsa. Wie, że Bajbars ma poparcie żołnierzy, i to nie tylko w pułku Bahri. Sułtan się boi, że gdy Bajbars zbierze dostateczne siły, zwróci się przeciw niemu.

– Skąd to wiesz?

– Kutuz sądzi, że wciąż jestem mu wierny. Byłem obecny przy jego rozmowie z Aktajem.

Mamelucki dowódca pokręcił głową, przetrawiając nowiny.

– Ilu ludzi weźmie udział w łowach?

– Kutuz, sześciu gwardzistów i pięciu namiestników, w tym ja.

– Czy zdołałbyś się wcześniej porozumieć z namiestnikami i być może przeciągnąć na stronę Bajbarsa tych, których jeszcze nie zdążył opłacić?

– Jednego, może dwóch – odparł po namyśle mężczyzna.

– Bajbars osobiście hojnie cię wynagrodzi za twą wierność.

– Na to liczę.

Kalaun pożegnał go i zawrócił w ciemności.

– Emirze... – rzekł cicho, wchodząc do namiotu, w którym Bajbars wciąż jeszcze rozmawiał z Omarem.

Bajbars podniósł wzrok.

Mężczyzna mocniej przycisnął sztylet do krtani Willa.

– Dlaczego za mną łazisz? – powtórzył, przeciągając słowa z cudzoziemskim akcentem. – Odpowiadaj!

– Wcale nie! – wychrypiał Will, z trudem odrywając wzrok od ręki przeciwnika, żeby spojrzeć mu w twarz.

Kącik ust Hasana wygiął się w ironicznym uśmiešku.

– Masz mnie za głupca? Wiem, kiedy ktoś mnie śledzi. Obserwujesz mnie od wyjazdu z Anglii.

– Chciałem wiedzieć, dokąd idziesz. Słyszałem, jak mówili... że jesteś Saraceni.

Nie budzisz zaufania.

– Ach tak – rzekł z namysłem Hasan. – Więc śledziłeś mnie, żeby dopilnować, bym w wolnej chwili nie zaczął mordować chrześcijan, gwałcić zakonnic albo pożerać żywcem niemowląt? – W ciemności błysnęły wyszczerzone zęby i rozległ się stłumiony chichot. – Bo tym właśnie trudnią się Saraceni, prawda?

Cofnął sztylet, odstąpił o krok i sięgnął po coś do sakwy. Will nie odważył się poruszyć.

– Oto czym się zajmowałem – rzekł, wyjmując bochen chleba. – Kupowałem jedzenie. – Schował chleb i wepchnął sztylet do krótkiej skórzanej pochwy przy pasie. –

Radzę ci wrócić na statek, chłopcze. To nie miejsce dla dzieci, nawet odważnych.

Will odkleił się od ściany, nie spuszczać z niego oczu. Cofnął się, potem powoli, z bijącym sercem, odwrócił i sztywno ruszył przed siebie. Kiedy dotarł do końca zaułka, obejrzał się. Hasan stał nadal w tym samym miejscu i patrzył za nim. Will puścił się biegiem do portu, potrącając mężczyznę w ciemnej szacie, który zaklął plugawo pod białą, przypominającą trupa czaszkę maską.

„Dzielny” zniknął pochłonięty przez mrok zalegający ujście rzeki. Will złapał jakiś wór ze stosu, który zdążył znacznie się zmniejszyć, i poniósł go na „Gryfona”. Dwukrotnie musiał przystawać i czekać, aż siły mu wrócą, a nogi przestaną się trząść, nim ruszył dalej.

Walka, nawet na żelazo, z innym giermkim była czymś krańcowo różnym od konfrontacji z mężczyzną uzbrojonym w sztylet.

Pochodnie zatknięte w uchwytach na burcie „Gryfona” oświetlały pokład i nabrzeże przy statku. Na pokładzie był Garen; wciągał właśnie skrzynię do kajutki, w której zgromadzono bagaże królowej.

– Giermek! – Owen przechylił się przez burtę podnosząc w górę sakwę. – Czy to twoje?

Will rozpoznał tobolek zawierający jego odzież i falcjona.

– Tak, panie – rzekł, opierając worek o obmurówkę.

– Trzymaj to przy sobie. Wątpię, żeby królowa pragnęła wejść w posiadanie twoich gatek. – Owen rzucił mu sakwę i wysłał dwóch giermków po ciężką skrzynię stojącą jeszcze na brzegu.

Will zastanawiał się, czy powinien mu opowiedzieć, co zaszło. Hasan był uzbrojony i niebezpieczny. Skoro jednak to druh Jakuba, może i Owen go zna? Will nic z tego nie rozumiał. Czy list znaleziony w świetlicy wiązał się jakoś z Hasanem czy dotyczył zupełnie innej sprawy? Kątem oka dostrzegł ruch; ktoś trzymając się w cieniu skradał się wzdłuż rzędu drewnianych bud przy nabrzeżu, potem przycupnął za stosem wiklinowych pułapek na węgorku. Rycerz stojący na dziobie „Gryfona” patrzył właśnie w tamtą stronę. Kiedy się odwrócił, postać podbiegła bliżej. Will zmarszczył brwi i ruszył jej na spotkanie. Za plecami postyszał trzask, okrzyk i kilka klątw.

– Ostrożnie tam, niech was wszyscy diabli! – wołał Owen.

Will nagle zdał sobie sprawę, że smukła sylwetka w nasuniętym głęboko kapturze nie jest mu całkiem obca; musiał ją już gdzieś widzieć. Nagle sobie przypomniał: to ta sama służebna, którą widział na „Dzielnym”. Wychynął z ciemności tuż przed nią.

Dziewczyna stanęła jak wryta.

– Co tu robisz? – spytał.

Cofnęła się o krok.

– Królowa cię posłała? – indagował postępując za nią.

Dziewczyna cofała się dotąd, aż zawadziła o zwinięte sieci, straciła równowagę i upadła. Kaptur zsunął jej się z głowy odsłaniając burzę wijących się złotomiedzianych włosów. Od strony statku doleciał trzask, plusk i krzyk. Jedna z zastępujących trap desek opartych o burtę przechyliła się i dwaj giermkowie z ładunkiem wpadli do wody. Owen wrzeszczał do nich, żeby łapali skrzynię, nim utonie. Will przez chwilę stał w miejscu, potem podbiegł do dziewczyny. Szarpała się bezskutecznie, zaplątana na amen. Kiedy ukląkł przy niej, znieruchomiała i wydała z siebie zrozpaczony szloch. Will odłożył sakwę i oswobodził

jej rękę z sieci.

– Skąd ty... – zająknął się, przysiadając na piętach. – Co ty tu u licha robisz?

Elwina była blada i rozdygotana. Przód jej sukni znaczyła duża ciemna plama.

– To krew? – przeraził się Will wyciągając rękę. Odepchnęła ją.

– Nie – mruknęła, otulając się szczelnie płaszczem. – Wymiotowałam.

Owen wciąż pomstował. Giermkowie starali się dopłynąć do nabrzeża, holując skrzynię. Ktoś z załogi rzucił im linę.

– Skąd ten szaleńczy pomysł? – Will podniósł się na nogi, wciąż osłupiały. – I jak się dostałaś na pokład?

– Wczoraj wieczorem schowałam się w ładowni, kiedy strażnicy patrzyli gdzie indziej. – Czoło Elwiny zmarszczyło się z obrzydzenia. – Boże, jak tam śmierdziało! Było ciasno, potem statek zaczął się kołysać i było mi tak niedobrze... Myślałam, że umrę. –

Zerknęła na Owena, który klęczał na obmurowaniu starając się dosięgnąć ocalonej skrzyni. –

Ale miałam nadzieję, że gdy wuj zobaczy, iż mnie nie zmusi do wyjazdu do Bath, zechce mnie wysłuchać. – Wzruszyła ramionami. – A jeżeli nie, to zostanę w porcie i sama jakoś dotrę do Paryża.

Will patrzył na nią z mieszaniną niedowierzania i respektu.

– Jesteś... – urwał widząc, jak z mroku wbiega na nabrzeże grupa ludzi w ciemnych szatach i jaśniejących w świetle pochodni trupich maskach. Zmierzali do „Gryfona”. Rozległ

się szcęk, gdy kilka mieczy równocześnie wyciągnięto z pochew.

Will krzyknął ostrzegawczo, ale rycerze na pokładzie też już dobywali broni. Dwie z zamaskowanych postaci oderwały się od grupy i natarły na Owena. Will zawołał do niego, Elwina pisnęła przeraźliwie. Owen obrócił się, jego miecz utknął w pochwie na jedną przerażającą chwilę; wyszarpnął go, gdy napastnik był tuż-tuż. Powietrze przeszył ostry klang zderzających się głowni. Dwaj giermkowie, którzy skąpali się w rzece, byli już w połowie wysokości obwałowania, kiedy zaczął się atak. Rzucili skrzynię starając się jak najszybciej przedostać na nabrzeże. Jeden od razu padł pod ciosem, zwałił się z powrotem do rzeki z krzykiem, który ucichł nagle, gdy zamknęła się nad nim woda.

– Klejnoty! – wrzasnął Owen, z rozmachem waląc mieczem w bok jednego z napastników, który zakręcił się i runął na ziemię. – Strzeżcie klejnotów! – powtórzył, odpierając atak drugiego. Z krzyżujących się mieczy leciały iskry.

Szesnastu ludzi przedarło się na statek po trapie lub wprost z wału i już po chwili na całym pokładzie „Gryfona” wrzała walka. Rycerze i starsi giermkowie dawali skuteczny odpór, ale oprócz dwóch marynarzy z załogi reszta, uzbrojona tylko w noże i nieprzywykła do walki, stanowiła łatwy cel; trzech padło już w pierwszym starciu. Jakub walczył z dwoma przeciwnikami naraz; miecz śmigał mu w dłoni, twarz zastygła w ponurym skupieniu. Garen przyciśnięty do drzwi kajuty wpatrywał się w niego z przerażeniem. Rozległ się krzyk bólu –

któryś z rycerzy został cięty w twarz aż do kości. Napastnik zepchnął go za burtę. Owen, jakiś rycerz i jeden z półbraci rozprawili się z trójką, która została na brzegu, i wskoczyli na pokład, żeby pomóc tamtym.

Will rzucił się naprzód i zaraz zatrzymał, uświadamiając sobie, że nie ma broni.

Elwina uczepiła się go kurczowo.

– Co teraz zrobimy? – zawołała piskliwym ze strachu głosem. – Will! Co my teraz zrobimy?

Will wstrzymał oddech patrząc, jak Owen się cofa, z trudem odpierając ciosy potężnie zbudowanego przeciwnika. W końcu uchylił się, puszczając tamtego bokiem i z półobrotu uderzył go w plecy, lecz wcześniej otrzymał cięcie w prawe ramię. Jakub zabił

dwóch napastników i teraz walczył z trzecim. Padł następny rycerz i jeszcze dwóch zbójów.

Nieuzbrojony marynarz porwał z gniazda pochodnię i opędzał się nią; płomień tańczył w powietrzu, kreśląc w ciemności wdzięczne łuki. Garen w ostatniej chwili umknął spod ciosu miecza i odtoczył się na bok; napastnik minął go, kopnął beczkę pod nogi ścigającego go mężczyzny, wyważył ramieniem drzwi kajuty i wpadł do środka. Will nagle przypomniał

sobie o swojej sakwie. Okręcił się półprzytomnie. Leżała obok stosu sieci. Popędził tam, wyszarpnął z niej falcjona i zawrócił na statek.

– Nie! – krzyknęła za nim Elwina. – Nie!

Wbiegł po deskach na pokład i natychmiast uskoczył w bok, widząc, że ostrze tylko co wyszarpięte z ciała innego giermka leci już na niego. Uderzył plecami w burłę, olbrzymi mężczyzna rzucił się na niego, warcząc pod trupią maską. Will przyjął cios na głownię falcjona; jego siła przeszła mu ramię mrowiącym bólem aż do barku. Umai nie wypuścił

broni. Zaciął zęby i mocniej ścisnął palce na rękojeści. Przyparty do burty mógł się tylko osłaniać, a tamten walił raz po raz, każdy następny cios był silniejszy i szybszy od poprzedniego. Wokół panował chaos, lecz oczy Willa utkwione były w tym jednym człowieku, który starał się dosięgnąć jego piersi i brzucha. W końcu udało mu się odskoczyć.

Szarpnął się ostro w tył; miecz świsnął mu nad głową, o włos mijając czaszkę.

Zbryzgany krwią i zasłany ciałami pokład nie był tym samym co pole ćwiczeń.

Przeciwnik nie wyhamowywał ciosów, a broń nie była ani drewniana, ani stępiona. Will nagle z przeraźliwą jasnością uświadomił sobie, że zaraz zginie.

Widział wszystko jak w zwolnionym tempie. Miecz napastnika wolno, niemal leniwie zbliżał się do niego. Jego własne ostrze poszło za szeroko; nie mógł już sparować tego uderzenia. Nic nie stało pomiędzy jego ciałem a zmierną ostrą stalową klingą. Cofnął się, odruchowo przymykając oczy, pośliznął w kałuży krwi i runął na pokład.

Miecz przeciął powietrze. W tejże chwili posłyszał wrzask i na twarz chlusnęła mu fontanna zaskakująco gorącej krwi. Z brzucha mężczyzny wynurzył się czubek ostrza. Will odsunął się spod padającego ciała i ujrzał nad nim Hasana z zakrwawionym mieczem. W chwilę później już go nie było. Will dźwignął się na nogi. Z nabrzeża dobiegł wysoki dziewczęcy krzyk. W

czasie gdy walczył, dwóch zamaskowanych napastników wyniosło z kajuty czarną szkatułę; pozostali oczyszczali im drogę do burty statku. Owen został unieruchomiony przez dwóch szarżujących nań zaciekle; jednego zabił silnym pchnięciem Jakub walczący ramię w ramię z Hasanem, lecz w tym czasie niosący szkatułę dotarli już do trapu. Zbiegli na nabrzeże, gdzie wpadli wprost na Elwinę, która widząc Owena w niebezpieczeństwie, rzuciła się w stronę statku.

Impet zderzenia zbił dziewczynę z nóg. Jeden z mężczyzn wypuścił skrzynkę, która z ostrym trzaskiem uderzyła o bruk. Obrócił się do Elwiny, ale nim Will zdążył krzyknąć, ktoś inny – Garen! – skoczył z burty, całym ciężarem ciała uderzając w rabusia. Miecz tamtego wyleciał mu z ręki, rozległ się głuchy stuk i plusk, gdy mężczyzna wpadł do rzeki uderzając głową o kadłub statku. Will zeskoczył na nabrzeże. Drugi napastnik cisnął oręż, oburącz dźwignął szkatułę i ruszył z nią biegiem, lecz już miał na karku dwóch rycerzy.

Pierwszy dopadł go Owen; krótkie pchnięcie i mężczyzna padł zaledwie parę kroków od statku. Tym razem szkatuła nie wytrzymała; roztrzaskała się sypiąc wokół cenną zawartość.

Korona wysadzana klejnotami potoczyła się po kamieniach i zatrzymała na skraju obmurowania. Pierścienie, ciężkie złote jabłko i błyszczące berło zaślniły w świetle pochodni.

Owen obrócił się; spostrzegł Willa i uzbrojonego w nóż Garena, który właśnie podniósł upuszczony miecz.

– Pilnujcie tego! – zawołał i na chwilę rozdziawił usta dostrzegłszy stojącą za chłopcami Elwinę. Tymczasem z pokładu znów dobiegł krzyk.

Krzyknął też Garen widząc, jak stryj pada z rozrąbanym bokiem. Jego przeciwnik upadł chwilę później pod ciosem Hasana. Sześciu napastników opuściło statek. Trzech ruszyło na Owena, ale widok rozsypanych na nabrzeżu klejnotów i nadbiegających ludzi zniechęcił ich do dalszej walki. Kilku templariuszy rzuciło się za nimi w pogoń.

Garen wpadł na pokład, wykrzykując imię stryja. W bezpiecznej odległości od statku zebrał się już tłum przywabiony z festynu odgłosami bitwy. Widząc obnażone miecze ludzie rozstępowali się pospiesznie, kobiety piszczały i tuliły do siebie dzieci.

Owen odwrócił się i rzekł ze zdumieniem:

– Elwina... ?

Z tyłu dobiegł jęk. Mężczyzna pchnięty w plecy podnosił się na kolana, szukając ręką miecza. Owen ruszył ku niemu. Ranny uniósł głowę, z trudem skupiając wzrok na rycerzu.

– *Pax!* – wychrypiał. – *Pax!*

– Wstawaj!

Mężczyzna wyprostował się powoli, z ręką na piersi jakby na znak szacunku.

Dopiero gdy ją cofnął, Will zobaczył w niej sztylet. Chciał krzyknąć, lecz nie zdążył –

złoczyńca skoczył na Owena i zatopił w nim ostrze trafiając w serce. Miecz templariusza szczęknął o bruk nabrzeża. Gdy krzyk nareszcie wyrwał się z ust Willa, rycerz leżał już na wznak, obiema dłońmi ściskając rękojeść tkwiącego w piersi noża, miotany drgawkami jak ryba wyjęta z wody.

Zabójca chwiejnym krokiem rzucił się do biegu. Słyszając za sobą pościg, obejrzał się przez ramię; widoczne w otworach maski ciemne oczy rozszerzyły się śledząc rozpędzoną głównię falcjona. Ostrze z głuchym trzaskiem wbiło mu się w skroń, wypuszczając fontannę ciemnej krwi. Osunął się na kolana. Will cofnął tasak. Gdy ich oczy się spotkały, zawahał się przez krótką chwilę, która jednak zdawała się trwać bardzo długo, po czym z całych sił pchnął

z góry w krtań, czując najpierw opór, a potem uległą miękkość rozcinanych tkanek.

– Owen!!!

Will wyrwał ostrze z trupa i pobiegł z powrotem. Nachylona nad Owenem Elwina tuliła w dłoniach głowę rycerza wykrzykując raz po raz jego imię. Na wargach Owena pojawił się krwawy bąbel, plamiąc je niczym wino. Oczy miał otwarte. Will patrzył w nie przez chwilę, potem spuścił wzrok na trzymany w ręku tasak. Szerokie ostrze umazane było krwią. Poczul, że zbiera mu się na wymioty. Krzyki Elwiny dzwoniły mu w uszach. Upuścił

broń i opadł na kolana obok dziewczyny, złapał ją za ramiona starając się odciągnąć, uciszyć.

Jej ręce też lepiły się od krwi.

– Chodź!

Wciąż krzyczała jak opętana.

– Elwina! – wrzasnął szarpiąc ją w tył.

Jej dłonie zsunęły się z policzków Owena, głowa zmarłego opadła.

– Nie! – krzyknęła przeraźliwie Elwina, z całych sił waląc Willa pięściami. – Nieee!

Złapał ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie, zamknął ciasno w ramionach, zgniół

w uścisku. Ponad jej ramieniem widział bezwładnie rozwarte usta Owena, jego niewidzące już oczy.

13

Al-Salihija, Egipt

Dwudziesty trzeci dzień października roku Pańskiego 1260

Kutuz usiadł na tronie patrząc, jak wschód różowi się w oczekiwaniu słońca. Dobry dzień na zające,

pomyślał. Może nawet uda się zabić dzika. W obozie wrzał ruch; ludzie zwijali koce, szykowali jadło i doglądali wierzchowców. Pięciu namiestników i sześciu gwardzistów, którzy mieli mu towarzyszyć podczas łowów, czekało już u wejścia do namiotu.

Tylko Bajbarsa na razie nie było widać.

Wstał, zszedł z podwyższenia i ukląkł na rozpostartym przez sługi dywaniku modlitewnym. Gdy pierwsze promienie słońca zapłonęły na niebie, zwrócił się w stronę Mekki. Wokół wszyscy inni zrobili to samo. Nad równiną poniosło się śpiewne nawoływanie: *Bismiallah – ir – rahman – ir – rahim. Alhamdulillah - rab'bil 'alamin. Arrahmanir -*

rahim. Maliki-jaumid 'din... [„W imię Boga Miłosiernego i Litościwego. Chwata niech będzie Bogu, Panu światów. On miłosierny jest i litościwy. On królem Dnia Sądu. " Są to pierwsze wersy otwierającej sury Koranu, której recytacja jest warunkiem poprawności modlitwy.]

Kiedy skończyli, Kutuz dotknął czołem wilgotnej zielonej trawy, wdychając jej zapach. Potem usiadł na piętach i wtedy zobaczył trzy zbliżające się postacie. Nachmurzył

się, widząc u boku Bajbarsa także Omara i Kalauna.

– Emirze! – zawołał wstając.

– Mój panie – Bajbars skłonił się przed nim głęboko.

– Zapraszałem tylko ciebie, Bajbarsie – Kutuz spojrział na dwóch pozostałych mężczyzn z pytającym uśmiechem.

Na twarzy emira odmalowało się zaskoczenie.

– Wybacz mi, panie! Nie zdawałem sobie sprawy, że to będą łowy w ścisłym gronie.

– Odwrócił się do swych przybocznych. – Odejdźcie.

– Ależ nie! – Kutuz uniósł rękę. – Nie ma takiej potrzeby. Jestem pewien, że zwierzyny starczy dla wszystkich. – Uśmiechnął się łaskawie i skinął na paziów. –

Osiodłajcie jeszcze dwa konie.

Sam podszedł do swojej białej klaczy.

– Zatem w drogę! – zawołał, sadowiąc się w siodle. Odbierając z rąk gwardzisty lekką włócznię, nachylił się i szepnął: – Uprzedź pozostałych, że będzie ich trzech do zabicia.

Grupa myśliwych opuściła obóz, kierując się na północ. Ziemię złociło poranne słońce. Konie przeskakiwały strumienie i wydeptywały ścieżki w przerzedzonych niedawnym zbiorem łanach bawełny. Rolnicy zajęci ostatnim jesiennym żniwem podnosili głowy i odprowadzali ich wzrokiem.

Kutuz ścisnął kolanami końskie boki i chętnie poddał się rytmowi kłusa. Czuł, jak wiatr osusza mu pot na skórze. Wyprawa trwała tylko cztery miesiące, ale miał wrażenie, że znacznie dłużej: kiedy wyjeżdżali, Nil zaczynał dopiero przybierać, napełniając kanały i zalewając deltę. Teraz woda dawno już opadła pozostawiając jak okiem sięgnąć żyzną zieloną krainę. Wrócił w chwale, a jutro cały Kair będzie rozbrzmiewać jego imieniem.

Widać już było lśniąca taflę jeziora Manzala. Okrażali zarośnięte trzciną zatoczki i kępy sękatych, powykręcanych drzew. Dzikie ptactwo zrywało się spod końskich kopyt; słysząc z daleka tętent, statecznie wzbijały się bociany. Nad brzegiem jeziora w krótkiej soczystej trawie pasły się bawoły. Dwóch mężczyzn krzyknęło, gdy pierwsze zające wyskoczyły spomiędzy traw i czmychnęły w stronę wody. Tu i ówdzie w zieleni migąła brunatna smuga. Kutuz podjął okrzyk i ruszyli galopem, wznosząc lekkie drzewca. Trzech namiestników przyspieszyło, by zająć zwierzęta z drugiej strony, i wkrótce również stamtąd doleciały triumfalne okrzyki. Zające ginęły jeden za drugim. Kutuz cisnął oszczep za ostatnim, który padł przyszpilony do ziemi i znieruchomiał. Zadowolony sułtan zsiadł z konia. Gwardziści rozbiegli się, by zebrać pokot.

Bajbars zawrócił konia.

– Gotowi? – spytał zsuwając się z siodła i patrząc na Kutuz.

– Tak, emirze. – Omar także zeskoczył na ziemię, sięgnął do rękojeści szabli.

Kalaun poważnie skinął głową.

Aktaj snuł się po namiocie, przystając od czasu do czasu obok tacy z jadłem. W

namiocie było gorąco i duszno. Wachlując się dłonią wziął kawałek mięsa, wrzucił go do ust i oblizwał palce z sosu. Przepełniony biały jedwab lepił mu się do ciała, pod pachami miał mokre kręgi. Westchnął i przymknął oczy, kiedy do namiotu wpadł chłodniejszy powiew, lecz w chwilę później krzyknął, czując wbijające się w kark ostrze. Krzyk został zdławiony dłonią, która zacisnęła mu się na ustach. Przerażony zamrugał, słysząc przy uchu syczący głos:

„Milcz!” Sztylet wbił się odrobinę głębiej. Aktaj skwapliwie pokiwał głową. Dłoń się cofnęła.

Strateg obrócił się powoli i ujrzał przed sobą uśmiechniętego Kadira.

– Co ty wyprawiasz? – Próbując opanować roztrzęsione nerwy, drżącą ręką wskazał wyjście z namiotu. – Precz!

Ku jego rozczarowaniu słowa te zabrzmiały bardziej jak pisk lęku niż jak rozkaz.

Kadir obrócił sztylet w palcach; wprawiony w rękojeść rubin zalśnił, więżąc światło w swej szkarłatnej głębi.

– Przysłał mnie mój pan. – Głos zaklinacza opadł do szeptu. – Ma dla ciebie wiadomość.

– Jaką wiadomość?

Kadir jednym susem znalazł się tuż przy nim i przycisnął mu czubek sztyletu do brzucha. Aktaj cofnął się gwałtownie, wpadł na stolik przewracając dzban wina.

– Błagam! – kwiknął. – Nie zabijaj mnie!

– Kiedy mój pan wróci z polowania, spotkasz się z nim w królewskim pawilonie.

– A czegoż może chcieć ode mnie emir Bajbars? – wyjąkał Aktaj, nie odrywając oczu od sztyletu.

– Emira Bajbarsa już nie ma – zachichotał Kadir. – To nie przed nim staniesz. –

Powiódł ostrzem w górę, wysnuwając nitkę z delikatnej tkaniny, i zatrzymał je na piersi Aktaja. – Zobaczysz przed sobą sułtana Bajbarsa.

– Co ty... – Źrenice Aktaja rozszerzyły się.

– Powitasz go w namiocie i zaprosisz, by zasiadł na tronie Egiptu.

– Nie! – Aktaj podniósł głos. – Pierwej ujrzę, jak kona! – Szarpnął się w bok i nie bacząc na krwawą pręgę, jaka wykwitła mu na szacie, rzucił się do wyjścia.

Kadir błyskawicznie zastąpił mu drogę i powalił na ziemię z siłą, o jaką Aktaj by go nie podejrzewał. Zadarł brudną szatę, pod którą miał uwiązane na sznurku truchło zająca.

Zerwał sznurek, zakołysał zwierzęciem nad leżącym bez tchu Aktajem.

– Daję temu stworzeniu imię. Brzmi ono: Aktaj. – Kadir uniósł sztylet i rozerznął

nim pysk zająca. – Aktaj będzie mówił tylko to, co mu każą. – Odciął jedno ucho. – Aktaj nie będzie nadstawiał ucha złorzeczeniom przeciw Bajbarsowi. – Wyłupał oko martwemu zwierzęciu i siadł Aktajowi okrakiem na brzuchu. – Aktaj będzie widział tylko potęgę nowego sułtana. – Położył zająca na unoszonej przyspieszonym oddechem piersi marszałka. –

A jeżeli Aktaj tego nie zrobi...

Zamaszystym cięciem rozpruł brzuch zwierzęcia. Na poły skrzepła krew i fioletowoniebieskie wnętrzości przelały mu się przez ręce plamiąc biały jedwab.

– ... to Aktaj zginie – dokończył.

Bajbars szedł po trawie usianej martwymi zającami. Myśliwi się rozeszli, żeby pozbierać oszczepy. Omar i Kalaun przesunęli się dyskretnie za plecy sułtana, który schylał

się właśnie po zabite przez siebie zwierzę.

– Czeka nas dziś ucztą! – rzekł, podnosząc je za uszy. Dostrzegłszy kątem oka Bajbarsa, wskazał upolowane sztuki. – Udane łowy, nieprawdaż, emirze?

– Tak – potwierdził Bajbars. – Udane łowy.

Kutuz zerknął na stojących za emirem dwóch gwardzistów i ledwie dostrzegalnie skinął głową. Zwrócony do niego twarzą Bajbars nie zauważył, że *mu'izzija* sięgają po broń, ale dostrzegł to Omar.

– Miłościwy panie! – krzyknął, wyszarpując szablę z pochwy.

Kutuz obrócił się do niego, tracąc Bajbarsa z pola widzenia. Na widok broni w ręku oficera uśmiech spełził mu z warg.

Omar uniósł oręż i spojrzał na pozostałych.

– Złożmy hołd naszemu panu! – zawołał, padając przed sułtanem na kolana.

Namiestnicy spojrzeli na siebie zdziwieni, poszli jednak za jego przykładem, żeby nie wyjść na niełojalnych. Gwardziści i nie mniej zaskoczony Bajbars wciąż stali, po chwili wszakże i oni uklękli na trawie, wyciągając przed siebie klingi. Spojrzenie Omara powędrowało ku Bajbarsowi, który klęczał z boku, niemal za plecami sułtana. Uśmiechnął się lekko.

Kutuz patrzył na nich w osłupieniu.

– Panie mój – rzekł cicho Omar – czy mogę ci zaprzysiąc wierność?

– Możesz. – Kutuz zaśmiał się i wyciągnął do niego rękę.

Omar ujął mocno w obie dłonie dłoń sułtana i złożył na niej pocałunek.

Nagle rozległ się krzyk i zaraz potem Kutuz uczył potworny doi w plecach. Nogi się pod nim ugięły, osuwając się na kolana zobaczył wystające z własnego brzucha ostrze.

Chwilę później cofnęło się, boleśnie przerzynając mu ciało po raz drugi. Gorąca struga krwi chlusnęła mu na uda. Wokół słyszał szcęk broni i przez mgiełkę ujrzał, że Omar wraz z Kalaunem naciera na gwardzistów. Próbował wstać, lecz ciało nie chciało go słuchać; pochylił się, wpierając dłonie w mokrą trawę obok martwego zająca. Zobaczył przed sobą czubki czyichś butów. Z wysiłkiem uniósł głowę ciężką jak z ołowiu. Stał nad nim Bajbars z zakrwawioną szablą.

Emir kopnął go w rękę, wytrącając oparcie; Kutuz zwałił się na bok, potem na plecy.

Czuł przenikający ciało chłód mokrej ziemi i posłyszał głos dobiegający jakby z bardzo daleka:

– Nie jestem już twoim niewolnikiem.

Bajbars odszedł. Czterech *mu'izzija* nie żyło, pozostali dwaj się poddali. Kalaun szachował swym ostrzem dwóch namiestników, którzy wciąż trzymali obnażone miecze.

– Rzućcie oręż – warknął Bajbars.

– Chyba się nie ośmielisz!

– Już się ośmieliłem.

Mężczyźni bezsilnie cisnęli broń. Kalaun podniósł ją z ziemi i skinął głową mężczyźnie, który powiadomił go o planach Kutuza.

Bajbars zszedł na brzeg jeziora. Rzucił szablę na piasek i zanurzył ręce w wodzie, żeby obmyć je z krwi. Potem przysłaniając oczy przed blaskiem słońca, spojrzał na stado flamingów lecących nad lśniąca taflą niczym różowa chmura. Roześmiał się. To wszystko należało do niego. Jezioro, ziemia i ptaki były jego własnością. Jeszcze raz rozgarnął dłońmi czystą wodę. Po raz pierwszy od dawna, może pierwszy raz w życiu, nie czuł się związany –

ani kajdanami niewolnika, ani więzami poddaństwa. Był wolny.

Uszczuplona kawalkada wróciła do obozu. Bajbars jechał na czele, mając po bokach Omara i Kalauna. Prowadzili białą klacz sułtana i konie zabitych gwardzistów, ale mimo protestów Bajbars kazał pozostawić ciało Kutuza nieopogrzebane w trawie nad jeziorem.

Żołnierze w obozie zastygali w bezruchu na widok klaczy bez jeźdźca. Kawalkada zatrzymała się przed namiotem sułtana. Kilku wielmożów podbiegło do Bajbarsa, ten wszakże puszczając mimo uszu ich pytania wszedł do otwartego pawilonu. Aktaj blady i drżący stał na podwyższeniu obok tronu. Tuż obok – Kadir. Bajbars wstąpił na podwyższenie i obrócił się do ludzi tłoczących się wokół namiotu. Wojownicy zwabieni nawoływaniami kompanów zbiegali się ze wszystkich stron.

– Sułtan Kutuz nie żyje! – głęboki głos Bajbarsa poniósł się nad tłumem.

Aktaj, przynaglony wymownym spojrzeniem Kadira wysunął się do przodu.

– Emirze Bajbarsie! – zawołał drżącym nieco głosem. – Tron należy do ciebie!

Szmer, jaki przebiegł wśród zebranych zaraz po tym obwieszczeniu, przerodził się w burzę okrzyków zdumienia, lecz także radości. Bajbars zasiadł na tronie, opierając dłonie na głowach złotych lwów. Aktaj padł przed nim na kolana.

– Tobie ślubuję wierność, Bajbarsie Bunduktari, wielki sułtanie Egiptu!

Pułk Bahri bez namysłu poszedł za jego przykładem; po chwili dołączyły się do niego inne pułki i oddziały najemne. Okryci białymi płaszczami *mu 'izzija* spoglądali po sobie w osłupieniu, aż w końcu do nich dotarło, że zostali odsunięci od tronu; gwardią sułtańską będą odtąd znów Bahridzi.

Mimo to kolejno kłoniли głowy przed nowym władcą.

Kalaun i Omar stanęli po obu stronach tronu. Kalaun wznosił swój miecz.

– Niech żyje Bajbars *al-Malik al-Zahir!*

Mamelucy jednogłośnie podchwycili okrzyk i imię Bajbarsa gruchnęło pod niebiosami:

– Niech żyje Bajbars, król zwycięzca!

Bajbars podniósł się i stanął na skraju podestu. Uniósł ręce na znak, że będzie mówił.

– Kutuz chciał stanąć dzisiaj przed wami i wygłosić mowę upamiętniającą nasz triumf nad Mongołami!

Tu i ówdzie znów podniosły się radosne okrzyki.

– Ale ja nie będę mówił o zwycięstwie. Będę mówił o porażce!

Okrzyki umilkły.

– Zawiedliśmy! – poniósł się w ciszy głos Bajbarsa. – Za długo miękliśmy pod rządami władców, którzy nie mieli woli poprowadzić nas do zwycięstwa! Za długo próżniaczyliśmy w bezpiecznych murach twierdz, gdy tymczasem w Palestynie nasi bracia muszą wciąż walczyć i ginąć. Za długo pozwalaliśmy, by Zachód swym cieniem okrywał

nasze ziemie. Już prawie dwieście lat śle tu swych żołdaków z krzyżami i mieczami, by przelewali naszą krew i okrywali nas hańbą. Czy mamy zostać ich niewolnikami?

– Nie! – wołano.

– Czy nadal będziemy stać beczynniami?

Zaprzeczenia były coraz głośniejsze i liczniejsze.

– Ja nie będę się temu przyglądał beczynniami! – krzyknął Bajbars, wrywając szablę z pochwy. Pojedyncze głosy utonęły w grzmiącym ryku. – Czas oczekiwania i próżniactwa minął! Czy staniecie u mojego boku przeciw Frankom?

Armia mameluków odpowiedziała mu jednym głosem.

Bajbars wycelował sztychem szabli w niebo.

– Wzywam was do dżihadu!

14

Templum, siedziba zakonu w Paryżu

Dwudziesty szósty dzień października roku Pańskiego 1260

Padał lekki deszcz; krople lśniły na pochylonych głowach wioślarzy, na żaglu obwisłym bezwładnie

z masztu, bo nie było wiatru, który by go napełnił. Panowała cisza –

nikt nic nie mówił, wiosła unosiły się i zanurzały bez najlżejszego szmeru. Miasto, które pojawiło się nagle za zakrętem rzeki, spowite mgłą jawiło się jako ciemna smuga rosnąca za każdym pociągnięciem wiosła. Później rzeka rozdzieliła się na dwie odnogi, opływając wyspę mieszczącą wielkie strzeliste budowle, z których najwyższą i najwspanialszą była biała katedra na jednym jej krańcu. „Gryfon” skręcił w lewą odnogę, mijając warownię otoczoną ogrodami schodzącymi aż na sam brzeg rzeki. W białej mgle majaczyły widma drzew. Dalej ciągnęły się budynki klasztorne, bogate dwory, a także lichsze domy z drewna lub drewna i kamienia, kościoły i karczmy, plac targowy i znów rzędy domów pocięte wąskimi uliczkami.

Will patrzył, jak na brzegu krzątają się ludzie – wychodzą z kościołów, wchodzą do szynków. Odziani na czarno przypominali mrówki rojące się w cieniu mrowiska. Deszcz przybrał na sile, padał bezgłośnie na dachy i wieże, na okryte białymi i czarnymi płaszczami ciała dziewięciu zabitych ułożone rzędem na pokładzie. Deszcz omył ich z krwi; zebrała się w czerwonych kałużach. Elwina klęczała przy Owenie z pięściami przyciśniętymi do oczu. Will patrzył, jak plamiąca deski posoka wsiąka w cienki materiał jej sukni.

– Chodź stąd – powiedział stłumionym przez mgłę i deszcz głosem.

Czerwona plama pełzła coraz wyżej: objęła jej brzuch, piersi, szyję...

– Elwino! – krzyknął z przerażeniem. – Krew... !

I nagle była tuż przy nim, wodziła mu palcem po policzku, jej zielone oczy się śmiały.

– Wilhelmie Campbellu – ofuknęła go żartem – twój pan nie zginął.

Will obejrzał się i zobaczył, że to prawda.

– Templariusz musi być gotów ponieść wiele ofiar. – Owen szedł ku niemu, z piersi sterczał mu sztylet. – Zabiłeś mnie, giermku.

– Nie.

Zabiłeś mnie.

Will uświadomił sobie, że usta Owena się nie poruszają.

– Nie zabiłem cię! – zawołał rozpaczliwie, chcąc, by tamten usłyszał.

Ale rycerz już zniknął. Teraz Will stał na brzegu czarnego jeziora. Ktoś krzyczał i ten dźwięk działał mu na nerwy. W pobliżu, zamiatając czerwoną sukienką, tańczyła mała dziewczynka o włosach barwy miodu. Zbliżała się do niego wirując w obrotach coraz szybciej i szybciej, aż czerwona sukienka rozmyła się w czerwoną mgłę, która otuliła go niczym kokon. Kiedy mgła się rozpierzchnęła, zobaczył przed sobą mężczyznę. Jego ciemne oczy wyzierały z białej nicości, którą miał w miejscu twarzy. Mężczyzna uniósł rękę, pociągnął zwisający ze skroni płat skóry i z trzaskiem dartego

pergaminu zdarł z twarzy biel jak maskę. Gdy opadła, Will krzyknął.

– *Zabiłeś* – powiedział ojciec, wyciągając po niego rękę.

– Mamy to znieść co noc? – rozległ się głos na sąsiedniej pryczy.

Chłopak przykucnięty obok Willa odwrócił głowę.

– Cicho bądź, Hugo. – Nachylił się nad śpiącym. – Hej. Budzisz nas tymi krzykami.

Will odgarnął z czoła rozczochrane włosy. Nogi miał okręcone kocem. Koszula i kalesony mokre od potu lepiły mu się do ciała jak zimny okład.

– Nic mi nie jest – mruknął, strącając rękę Francuza ze swojego ramienia.

Giermek, który przedstawił mu się wczoraj jako Robert z Paryża, wzruszył

ramionami i wrócił do łóżka.

Will odrzucił koc i opuścił nogi na lodowatą posadzkę. Wstał. Z końca sali dobiegło głośne chrapanie. Chłopak imieniem Hugo fuknął ze złością i naciągnął koc na głowę. Will podszedł do stołu, na którym stał dzban z wodą, miska i nocna świeca. Świeca prawie się już wypaliła, kałużki stopionego łoju zastygały wokół podstawy. Kremowożółte krople zwisały ze świecznika niczym sople lodu. Will zaczerpnął dłońmi wody z dzbana i podniósł ją do twarzy. Była szokująco zimna w zetknięciu z rozpaloną skórą. Podszedł do jedynej w komnacie, okrągłego okna, pchnął okiennicę i usiadł na parapecie, wtulając się w krzywiznę kamienia. Do wnętrza wtargnął przenikliwie chłodny wiatr. Znow rozległo się chrapanie i poirytowane westchnienie Hugona. Will był tu intruzem, zakłócał ich rutynę, ich spokój.

Opowiedział im w skrócie o napaści w Honfleur, ale nie mówił o tym, co było potem: chaos na nabrzeżu i mijające w grobowym milczeniu dni na barce.

Po walce kilku ludzi rzuciło się w pościg za napastnikami. Zabili dwóch, lecz czterem udało się umknąć. Rycerze chcieli zrobić obławę w miasteczku i dowiedzieć się, kto ich nasłał. Dowódca „Gryfona” uparł się jednak, by natychmiast wypłynąć z portu.

– To byli najemnicy! – huknął na niego rycerz w średnim wieku imieniem Jan. –

Musimy się dowiedzieć, czyje wykonywali rozkazy!

Martwych obszukano, ale nie dało się wywnioskować, kim byli ani skąd się dowiedzieli się o ładunku. Pozostali przy życiu marynarze znieśli ciała z pokładu na nabrzeże.

Dwie maski unosiły się na wodzie, bliźniacze trupie twarze kołysały się patrząc w niebo.

– Zabili mi trzech ludzi – rzekł z goryczą szyper. – Wypływamy, dopóki mam jeszcze resztkę załogi.

– Nie ponowię ataku. Na Boga, zabiliśmy większość z nich! Musimy doprowadzić tę sprawę do końca.

– Tego nie wiemy na pewno – sprzeciwił się tamten. – Może ich być więcej.

– Musimy znaleźć winnych – powtórzył półgłosem Jan.

Jeden ze zbrojnych dobył miecza.

– Myślę, że on mógłby nam dużo powiedzieć. – Wskazał ostrzem Hasana, który stał na pokładzie, w milczeniu przysłuchując się rozmowie.

Wszyscy odwrócili się, by spojrzeć na Saracena, który wbił wzrok w giermka.

– Masz jakiś powód, żeby mnie oskarżać? – spytał spokojnie.

– Jesteś niewiernym! – warknął giermek. – Trzeba mi jakiegoś innego powodu? Nikt cię nie zna. Nikt nie wie, skąd się tu wzięłeś.

– Znał mnie Jakub z Lyonu. Czy słowo rycerza nic dla ciebie nie znaczy?

– Jakub nie żyje. Mamy tylko twoje słowo.

– Dość tego. – Jan stanowczo położył dłoń na ramieniu giermka.

Pyskówka trwała jeszcze przez jakiś czas, aż w końcu kapitan „Gryfona” postawił na swoim i posłano kogoś do klasztoru, żeby zbudził królową. Wkrótce pojawiła się na nabrzeżu wraz ze świtą, odprowadzana przez kapelana i kilku miejscowych braci.

Tęgi ksiądz załamał ręce, rozglądając się wokół z niedowierzaniem, jakby spodziewał się, że to sen, z którego lada chwila ktoś go zbudzi.

– Boże, bądź litościwi – powtarzał. – Boże, bądź litościwi!

Królowa przycisnąwszy dłonie do twarzy ze zgrozą patrzyła na scenę masakry.

Tłum, który podczas zajścia nadbiegł z rynku, wciąż stał na przystani, ludzie wytrzeszczali oczy i poszeptywali.

– Zabrali klejnoty? – spytała bezbarwnym głosem Eleonora, wciąż wodząc spojrzeniem po zaścielających pokład i nabrzeże ciałach.

– Nie. Są bezpieczne, najjaśniejsza pani – odparł Jan.

Wysypane z rozbitej szkatuły klejnoty zostały umieszczone w zwykłej, nie ozdobionej skrzynce, którą wstawiono do kabiny.

Gdy królowa ze świętą znalazła się na pokładzie, dwaj rycerze zeszli po zwłoki Owena, które wciąż leżały na brzegu. Dotąd nikt nie miał ochoty walczyć z Elwiną, która rzuciła się na ciało i tak leżała. Will próbował odprowadzić ją na bok, bez skutku.

Rycerze byli bardziej stanowczy.

– To krewniaczka Owena? – spytał jeden z nich.

Will kiwnął potwierdzająco głową.

– Skąd, na litość boską, się tu wzięła?

Will nie widział powodu, żeby kłamać, powtórzył więc to, co od niej usłyszał.

Rycerz sarknął pod nosem i z niesmakiem pokręcił głową. Pochyliwszy się, złapał Elwinę za ramię.

– Wstawaj, dziewczyno!

Elwina krzyknęła. Will postąpił krok do przodu.

– Ty trzymaj się z dala! – warknął doń drugi rycerz, pomagając tamtemu odciągnąć Elwinę. – Owen nie żyje. Trzeba go stąd zabrać. Jej szlochy nie przywrócą mu życia.

Wzięli ją pod ramiona i na poły zanieśli, na poły zawlekli na pokład „Gryfona”, gdzie posadzili ją bez zbędnych ceremonii. Zaskoczona obcesowym potraktowaniem dziewczyna przestała płakać. Skulona na ławce patrzyła apatycznie, jak ciało Owena złożono na pokładzie i okryto białym zakonnym płaszczem.

Trzech rycerzy wraz z księdzem i braćmi z preceptorium przetrząsnęło tymczasem port szukając pozostałych przy życiu napastników. Wkrótce wrócili z pustymi rękami.

Nakazano miejscowym, by kontynuowali poszukiwania z nastaniem dnia, ale nikt nie miał

większych nadziei, że złoczyńców uda się jeszcze ująć. Braciom z Honfleur zlecono także pogrzebanie zabitych najemników.

– Nie kładźcie ich w poświęconej ziemi – dodał Jan.

– Bracie – zaprotestował ksiądz – czyż wolno nam bez sądu oddać ich dusze we władanie szatana?

– Zostaną sprawiedliwie osądzeni w piekle.

Will wszedł na pokład niosąc miecz Owena, który ułożył u boku rycerza. Garen klęczał przy zwłokach Jakuba. Odsunął płaszcz i wpatrywał się w twarz stryja zastygłą w grymasie, jaki przybrała w chwili śmierci. Chłopak miał policzki mokre od łez, zaciśnięte pięści wparte w kolana. Po chwili podniósł rękę; zawisała nad kryjącą wyłupione oko przepaską. Kiedy Will położył mu dłoń na ramieniu, Garen wzdrygnął się i obrócił z twarzą ściągniętą bólem.

– Nie dotykaj mnie!

Will cofnął się zdumiony jego gwałtownym tonem. Pozostawił przyjaciela ze stryjem, a sam odszedł na bok, usiadł i objął głowę rękami.

Chaos, jaki zapanował po bitwie, był trudny do zniesienia. Ale jeszcze gorsza była cisza zalegająca pokład, gdy płynęli Sekwaną – cisza dławiąca ich jak pięść. Strażnicy i paziowie siedzieli na pokładzie; w zatłoczonej pakunkami kajutce było ledwie dość miejsca dla królowej i paru dworak. Wszyscy milczeli. Tylko Elwina wydawała się zdolna do uzewnętrznienia smutku. W nocy znów zaczęła płakać i szlochała aż do rana. Nawet Will, który także bolał po stracie Owena, modlił się w duchu, żeby wreszcie zamilkła. W końcu jeden z giermków nie wytrzymał i krzyknął na nią; jego głos zabrzmiał w ciszy jak grom.

Chwilę później drzwi kajuty otwarły się z trzaskiem i ukazała się w nich blada twarz królowej Eleonory.

– Czy ty nie masz serca? – fuknęła z wyrzutem na giermka, który zdumiony aż rozdziawił usta.

Królowa podeszła do Elwiny, przemawiając do niej cichym kojącym głosem, zupełnie tak samo jak Szymon, kiedy uspokajał konie w Nowej Świątyni podczas burzy.

Potem zaprowadziła dziewczynę do kajuty, gdzie pozostały przez większą część rejsu. Will spędził tę podróż jak we mgle.

Mógł tylko czekać, bezmyślnie patrzeć na mijany krajobraz i muchy krążące wokół

zwłok. Kiedy późnym wieczorem „Gryfon” przybył do Paryża, jeden z braci służebnych pospieszył do preceptorium po zaprzęgi mające zabrać towary i ciała poległych. Królowa także pchnęła dwóch gwardzistów do zamku, gdzie oczekiwała na nią siostra, królowa Francji Małgorzata. Wkrótce jej bagaże – z wyjątkiem klejnotów koronnych – załadowano na wóz, damy zaś wraz z Elwiną pomieściły się w wielkiej wyściełanej kolebie.

– Zabiorę ją ze sobą – powiedziała królowa, wsiadając. – Męski klasztor to nie miejsce dla dziewczynki. Zwłaszcza jeśli jest w żałobie – dodała rzucając znaczące spojrzenie giermkowi, który huknął na Elwinę.

Gdy odprawiono wozy, bracia ruszyli pieszo wąskimi ulicami wijącymi się wśród stłoczonych domów. Minęli komandorię joannitów; za nią ulica Świątynna wiodła do siedziby Templum położonej za murami miasta w otoczeniu zadbanych pól. Will włókł się ze zwieszoną głową nie patrząc na widoki. Na miejscu zaprowadzono go do dormitorium, w którym spędził noc i większość następnego dnia.

Dziś był drugi dzień jego pobytu w Paryżu, dzień pogrzebu Owena.

Dzwon na jutrznię zastał go na parapecie. Giermkowie zwlekali się z posłań przy wtórze ziewnięć i wymienianych półgłosem uwag. Mówili z dziwnym akcentem, ale ich rozumiał, bo posługiwali się łacina. Była to przyjęta praktyka w większości klasztorów, gdzie mieszkali wspólnie ludzie

pochodzący z różnych krain.

Na dworze było jeszcze ciemno. Chłopcy naciągali nogawice i kolejno stawali nad miską, żeby opłukać twarze. Trzech, już gotowych, wyszło, nim Robert zdołał się dopchać do miednicy. Osuszył twarz rąbkiem koszuli, odgarnął do tyłu gładkie jasne włosy i sięgając do skrzyni, kiwnął na Willa:

– Idziesz do kaplicy?

Will potrząsnął głową.

– Zostaw go, jeśli chce. – Hugo obciągnął na sobie tunikę i spojrzał na Willa kwaśno. – Spróbuj się przespać, kiedy nas tu nie będzie. Przynajmniej nie będziemy musieli uczestniczyć w twoich snach.

Robert przewrócił oczyma. Wziął z półki brzozową gałązkę i przeczyścił nią niezwykle białe zęby.

– Nie miej mu tego za złe – rzekł do Willa wyjąwszy gałązkę z ust. – Hugo po prostu lubi się wysypiać.

– Nie mów o mnie tak, jakby mnie tu nie było! – fuknął na niego Hugo. – Wiecznie to robisz!

Will patrząc na nich, mimo woli się uśmiechnął. Dwaj młodzieńcy, o rok pewnie starsi od niego, nie mogliby się bardziej różnić. Robert był wysoki i smukły, prawie po dziewczęcemu urodziwy, o wysokich kościach policzkowych i wygiętych łukowato brwiach.

Hugo, niski i krępy, miał blisko osadzone po obu stronach perkatego nosa ciemne oczy łypiące spod strzechy prostych czarnych włosów. Urażony obrócił się do nich plecami i wyjął

ze skrzyni czarny płaszcz, który narzucił na ramiona.

– Nie zwracaj na niego uwagi – szepnął Robert. – Hugo nie ufa ludziom, których nie zna. – Kiedy Will się nie odezwał, dodał: – Z powodu swojej pozycji.

– To znaczy? – spytał tępo Will.

– Nazywa się Hugo z Pairaud. Humbert, mistrz Anglii, jest jego stryjcem. Ich ród od lat służy zakonowi i Hugo boi się, że jacyś niżej urodzeni nowicjusze mogą chcieć się z nim zaprzyjaźnić wyłącznie dla przyszłej kariery.

– Co tam znów mówisz? – zainteresował się Hugo, który podszedł do nich wygladzając płaszcz.

– Mówię właśnie Willowi – zwrócił się do niego Robert – że pewnego dnia zostaniesz wielkim mistrzem.

– A tak – odparł wyniośle Hugo. – Albo przynajmniej wizytatorem Zachodu. Do tego jestem przy...

– Jeśli jeszcze raz powiesz, do czego jesteś „przysposabiany”, dam ci w ucho –

przerwał mu Robert. Rzucił gałązkę na posłanie i pociągnął kolegę do drzwi. – Pójdź, Hugonie. Bóg dał ci nieśmiertelną duszę; zobaczmy, czy nie zapomniał o odrobinie serca. –

Wychodząc, mrugnął do Willa.

Kilka chwil później sygnaturka ogłosiła rozpoczęcie nabożeństwa. Will skulił się na parapecie. Przez ubiegłe cztery lata dzień w dzień wstawał przed świtem na jutrznię. Nim jeszcze zamieszkał w Nowej Świątyni, co rano jeździł do kaplicy z ojcem. Dziś nie klęczał w kościele. Zamiast tego patrzył, jak niebo stopniowo jaśnieje, i słuchał budzących się ptaków.

Kwatery nowicjuszy otaczały kwadratowy podwórzec w pobliżu stajen. Nad dachami widział ciągnące się w dal pola przetykane kępami sękatych dębów i srebrnych brzoź. Kiedy zrobiło się jaśniej, dostrzegł splecione z wikliny ule dla pszczół, które zaopatrywały preceptorium w miód. Przez pastwiska wiała się wstążka strumienia zasilającego młyn wodny. Dalej w bladym świetle brzasku lśniły stawy rybne. Mgła zacierała kształty budynków i szop, które jak powiedział mu Robert, mieściły kwatery służby, zbrojownię, szatnię, piekarnię i spichrze. Był tu nawet warsztat garncarski. Gdyby Will bardziej wychylił

się z okna, zobaczyłby wysoki donżon. Najważniejszy dom templariuszy w Europie był

obwarowany jak twierdza. W porównaniu z nim nawet Nowa Świątynia w Londynie wydawała się niepozorna.

Kiedy zaczął mu doskwierać ból ścierpiętych kończyn, Will zszedł z parapetu i spojrzał na sakwę, którą postawił w nogach łóżka. Przykucnął, wyjął z niej tasak i odzież, którą miał na sobie w czasie potyczki. Widać było na niej plamy zaschniętej już krwi. Włożył

tunikę i nogawice do miednicy i zaczął trzeć. Woda natychmiast zmieniła kolor na rdzawy.

Potarł mocniej; przelała się przez krawędź miednicy na stół, z niego na podłogę. W powietrzu uniósł się żelazisty odór. Żołądek podjechał Willowi do gardła. Znów zobaczył przerażone oczy w otworach maski; poczuł koszmarny wstrząs, gdy rozpedzone ostrze wbiło się w ludzką czaszkę. Nie wiedział, nie podejrzewał, że tak łatwo jest zabić; że ciało jest takie miękkie, takie kruche. Dziękował Bogu za to, że nie widział twarzy swego przeciwnika.

Zabici leżeli na nabrzeżu w Honfleur; mógłby go rozpoznać, ale trzymał się z dala. W masce napastnik był odarty z człowieczeństwa; nie miał rodziny, przeszłości ani utraconej przyszłości.

W korytarzu rozległ się chłopięcy głos i kroki, które po chwili oddaliły się i ucichły.

Will rozłożył mokrą odzież na oknie, zastanawiając się, czy ktoś zauważył jego nieobecność w kaplicy i to, że w ogóle nie ruszył się z dormitorium. Ale właściwie jedyną osobą, jaką tu znał, był Garen, a z nim nie widział się od przyjazdu, kiedy ulokowano ich w różnych salach.

Wziął się do czyszczenia broni. Falcjon nie był już zabawką ani podarkiem od kochającego ojca. Był narzędziem do odbierania życia. Ścierając z głowni łuszczącą się warstewkę krwi, Will próbował wyobrazić sobie ojca, który siedzi obok i tłumaczy mu, że postąpił właściwie; że to było konieczne i

do tego właśnie się przygotowywał, ćwicząc walkę; że wypełnił swój obowiązek. Ale słyszał tylko nieszczery bezbarwny głos powtarzający, że to był wypadek i o nic go nie obwinia.

Rozlegało się dźwięczne bicie dzwonu; zakonnicy opuścili kaplicę formując kondukt za księdzem, który odprawiał mszę żałobną. Will szedł za trumną Owena niesioną na barkach przez czterech rycerzy. W pogrzebie brali udział wszyscy – ci, którzy przeżyli bitwę, załoga

„Gryfona”, Garen, rycerze, księża i giermkowie, których Will nie znał. Zauważył w kondukcie Roberta i Hugona, tylko Elwiny nie było. Złościli go tłoczący się wokół ludzie, obcy nie znający Owena. Rycerza powinien był odprowadzać tylko on – jego giermek – i grupka najbliższych przyjaciół.

Ksiądz wyprowadził kondukt na otoczony murem cmentarz. Obok niego kroczył

wizytator królestwa Francji, zwierzchnik wszystkich domów templariuszy na Zachodzie, ustępujący rangą tylko wielkiemu mistrzowi.

Był to mężczyzna o królewskiej posturze, z długą brodą opadającą na pierś trzema pasmami niczym trójząb. Na skraju cmentarza ział rząd dziewięciu świeżo wykopanych dołów. Bracia otoczyli je kręgiem, trumny jedną po drugiej spuszczone do grobów. Will odwrócił głowę, gdy skrzynia mieszcząca ciało jego pana chybotając się na linach zniknęła w ziemi.

– *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis* – zaintonował

ksiądz. Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci...

Po modlitwie ksiądz schylił się, ujął garść ziemi i wrzucił ją do grobu Owena. To samo uczynił jeszcze osiem razy.

– Z prochu powstałeś – rzekł – i w proch się obrócisz.

Wizytator postąpił naprzód, dobył miecza i uniósł go oburącz.

– To co ofiarowujemy tu na ziemi, będzie nam zwrócone w niebie. Niechaj nasi bracia, którzy oto wstąpili do królestwa niebieskiego, znajdą pokój w ramionach Pana. –

Schowwał miecz do pochwy i stanął znów obok księdza. Grabarze sięgnęli po łopaty. Łoskot spadających grud ziemi miał w sobie coś ostatecznego.

W końcu żałobnicy zaczęli się rozchodzić, wszelako Will został na cmentarzu.

Widział Garena znikającego za furtą w murze. Przyjaciel nie odezwał się do niego ani słowem, nawet nie spojrział nań podczas ceremonii. Will zbyt wyczerpany, żeby iść za przyjacielem, ukląkł na mokrej trawie czując, jak wilgoć przenika mu nogawice. W Honfleur chciał mu opowiedzieć o liście znalezionym w świetlicy, ale żywione wówczas podejrzenia wobec Jakuba zdały mu się teraz błahe i małostkowe. Jakub nie żył, jakie to mogło mieć dziś znaczenie?

Wizytator podszedł do angielskich rycerzy.

– Pojutrze ruszamy do Londynu, panie – rzekł Jan, który objął dowództwo po rzezi w Honfleur. – Skoro klejnoty spoczęły w skarbcu, a nasi bracia w poświęconej ziemi, nie mamy tu już nic więcej do zrobienia. Musimy natomiast powiadomić o wszystkim mistrza Anglii i jak najszybciej przeprowadzić śledztwo w tej sprawie. – Zniżył głos. – To może się okazać trudne. O szczegółach podróży nie wiedział nikt spoza zakonu. Jednakże król Henryk nie ukrywał, iż niechętnie rozstaje się z klejnotami. Można dopuścić myśl, że podjął kroki, aby je odzyskać.

– Każę przygotować dla was statek – odparł wizytator. – Powiadom mistrza Humberta, że chętnie usłużymy mu wszelką pomocą czy to w ludziach, czy w złocie. W tej sprawie ma moje nieograniczone pełnomocnictwo. Ja sam wyślę list do wielkiego mistrza Berarda w Akce.

– Tak jest, panie.

Kiedy ostatni grób został zasypyany, mogiły nakryto granitowymi płytami. Jutro, by dziś nie mieć spokoju dusz ulatujących do nieba, mularze wykują na każdej z nich zarys miecza.

Ktoś dotknął ramienia Willa. Podniósłszy głowę, ujrzał Roberta.

– Chcesz, żebym został z tobą?

– Nie – wymamrotał, odwracając oczy i ocierając je rękawem.

– Mam dziś służbę w zbrojowni. Będę tam aż do wieczora, gdybyś zapragnął towarzystwa.

Robert odszedł, lecz Will wciąż nie był sam. Na lewo od niego stał kapelan zakonny.

Twarz miał osłoniętą kapturem, ale poznać było, że jest bardzo stary, znacznie starszy od znanych Willowi ludzi. Wiatr unosił wysuwające się spod kaptura pasemka cienkich jak pajęczyna mlecznobiałych włosów; wyleniały zarost urywał się w miejscu, gdzie paskudna blizna przecinała usta, znacząc je trwałym grymasem. Zgarbiony i nieruchomy jak rosochate drzewo, nie dawał żadnego znaku, że w ogóle zauważył Willa.

Chłopiec dotknął ręką świeżej ziemi na grobie Owena i wstał. W obecności tego człowieka poczuł się nieswojo.

– Zaczekaj! – zawołał za Robertem. – Pójdę z tobą.

Robert kiwnął głową i bez słowa zwolnił, czekając, aż Will go dopędzi.

– Kto to jest? – spytał go Will, kiedy się nieco oddalili.

Robert obejrzał się przez ramię.

– Ojciec Ewerard z Troyes. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Wygląda, jakby stał

jedną nogą w grobie, ale nie daj się zwieść jego sędziwemu wiekowi. Wolałbym rozzłościć samego diabła niż jego.

– Dlaczego?

– Widziałeś jego dłoń? Tę, w której brakuje dwóch palców?

Will nie zauważył kalectwa księdza, ale kiwnął głową.

– Stracił je w Jerozolimie, gdy szesnaście lat temu Chorezmijczycy odebrali nam Święte Miasto. Bronił kościoła Świętego Grobu. Sam jeden zabił dziesięciu wojowników, a gdy został ranny, ukrył się pod ciałami zabitych i tak leżał trzy dni, żeby go nie schwytano. –

Robert mówił niby obojętnym tonem, lecz Will odniósł wrażenie, że ekscytuje go ta historia.

– Wyobrażasz to sobie? Trzy dni w upale; smród i muchy... Podobno był jedynym chrześcijaninem, który przeżył masakrę.

Wchodząc w sklepioną furkę, Will jeszcze raz spojrzął na starca, który wciąż stał bez ruchu nad świeżymi grobami. Przemknęło mu przez myśl, że tego człowieka, który sam pokonał dziesięciu wojowników, obalić może mocniejszy podmuch wiatru.

Templum w Paryżu

dwudziesty siódmy października

Nazajutrz – ostatniego dnia w Paryżu – Will po nonie wrócił na cmentarz nie bardzo wiedząc, gdzie indziej mógłby pójść. Z jednej strony rad był, że wróci do znajomych murów Nowej Świątyni, z drugiej – bał się tej chwili. Przechodząc pod omszałym gargulcem, który wychylał się znad przypory kaplicy, szczerząc ku niebu złośliwie uśmiechniętą paszczę, zobaczył Elwinę. Klęczała przy grobie Owena z bukietem lilii. Miała na sobie prostą ciemną suknię odsłaniającą rąbek białego giezła, a włosy upięte pod kapturkiem. Kiedy się zbliżył, zerknęła na niego przelotnie.

– Jak myślisz, czy on się gniewa, że nie byłam na pogrzebie?

– Na pewno nie – odparł i ukląkł obok niej.

– Nikt mnie nie uprzedził! Jestem jego krewną, powinnam była przyjść. – Elwina położyła kwiaty na grobie. – Królowa nie miała nic przeciwko temu; dała mi dziś nawet jednego z gwardzistów do eskorty, żebym nie zabłądziła. – Poprawiła przekrzywioną lilię. –

Opowiedz mi, jak było.

– Jak na każdym pogrzebie. – Will wzruszył ramionami.

– Ciągłe się zastanawiam, czy byłby zginął, gdybym się tam nie znalazła. Może bardziej by uważał, wcześniej zobaczył sztylet...

– Nie wolno ci tak myśleć.

Elwina machinalnie obwiodła palcem wykuty w granicie zarys miecza Owena. Kiedy podniosła dłoń, palec mienił się drobinami kwarcu.

– Co zrobisz po powrocie?

– Nie wracam do Londynu – splotła ręce na kolanach – zostaję tutaj.

– Tu? Chyba nie w preceptorium? – zdumiał się.

– W zamku. Kiedy powiedziałam królowej Eleonorze, że nie mogę wrócić do matki i nie mam dokąd pójść, odparła, że dość już nieszczęść wynikłych z tej podróży. Wstawiła się za mną do swojej siostry, królowej Małgorzaty, ta zaś zgodziła się przyjąć mnie na służbę.

Jestem teraz prawie dworką. – Elwina obróciła się do Willa. – Szkoda, że nie widziałeś zamku. Jest taki wielki, że nie mogę wyjść sama z pokoju, bo zaraz się gubię. Nad brzegiem ciągną się ogrody, są piękne trawniki, setki drzew. Tam jest jak w domu, w porządnym domu pełnym ludzi i śmiechu. – Spojrzała na grób Owena. – I będę blisko niego.

– Owen byłby bardzo szczęśliwy – odparł Will czując, że ogarnia go zawiść. Postarał się, by nie dać jej po sobie poznać. – To dobre miejsce.

On sam nie miał już pana, nie miał własnego miejsca. Brak celu dotkliwie ciążył mu na sercu. Obejrzał się, słysząc kroki, i zobaczył Garena. Na ich widok przybysz zatrzymał się.

Elwina wstała.

– Ty jesteś Garen z Lyonu, prawda?

– Tak – odrzekł sztywno.

Podbiegła do niego.

– Dziękuję ci – powiedziała gorąco. – Uratowałeś mi życie. Słyszałam, że także straciłeś w Honfleur krewniaka. Stryja, prawda? – dodała miękko.

– Tak. – Garen odwrócił się i ruszył z powrotem.

Elwina zagryzła usta, patrząc za nim zdziwiona.

– Garen! – Will ominął dziewczynę i dogonił przyjaciela. – Co się dzieje?

– Nic. – Garen jakby z wysiłkiem podniósł na niego wzrok. – Chciałem побыć trochę sam.

– Możemy stąd iść. – Will zerknął na Elwinę, która potwierdziła ruchem głowy.

– Nie, ja pójdę.

Will zastąpił mu drogę.

– Garen, proszę, od tamtej bitwy nie odezwałeś się do mnie ani słowem. O co chodzi?

Twarz Garena stężała.

– Nie chcę z tobą rozmawiać.

– Dlaczego?

– Zostaw mnie w spokoju. – Garen szarpnął się, przyspieszył kroku.

Will dopędził go przy grobie Owena i złapał za ramię silniej, niż zamierzał.

– Ja też straciłem pana! Wiem, jak to jest!

– Nie masz pojęcia, jak to jest! – wrzasnął Garen wyrywając się z uścisku.

Coś wypadło mu z ręki.

Will schylił się. Była to przepaska, którą Jakub nosił na oku, wymięta i nagrzana ciepłem dłoni. Garen skoczył i wyrwał mu ją z dłoni.

– To wszystko twoja wina!

– Co? – Will wytrzeszczył na niego oczy.

– Tyle razy pakowałeś się w kłopoty! – Garen krzyczał dyszkantem, twarz miał czerwoną ze złości. – Za każdym razem Owen tylko cię ganił! A ja?

– To nie moja...

– To ja dostawałem chłostę za wszystkie twoje psoty!

Elwina patrzyła na nich ze zdumieniem.

– Nie ja ci ją wymierzałem, tylko Jakub. I robiłby to także wtedy, gdyby mnie tam nie było.

– Nieprawda! Gdyby nie ty, stryj nie musiałby mnie karać, a ja nie musiałbym... –

Garen urwał, oczy wypełniły mu się łzami. – A teraz nie żyje. Mój stryj nie żyje. Przez ciebie!

– Czego ty ode mnie chcesz? – spytał Will oszołomiony. – Nie zrobiłem nic złego!

– Nigdy nie robisz nic złego, prawda? – syknął Garen, twarz wykrzywiła mu furia. –

Owen i tak był z ciebie dumny, mimo że nie byłeś mu posłuszny. A twój ojciec? Wprowadził cię do zakonu, chociaż zabiłeś własną siostrę!

Krew zawrzała Willowi w żyłach; na oślep wymierzył cios, trafiając Garena w szczękę. Elwina krzyknęła. Garen zahaczył nogą o kamień nagrobny Owena i zwałił się pomiędzy lilie. Will stanął nad nim z zaciśniętymi pięściami, lecz ujrawszy krew płynącą z rozciętej wargi druha, nagle ochłódł. Cofnął się.

– Wybacz. Nie chciałem..

Garen wstał. Przyłożył dłoń do ust, odjął ją, chwilę patrzył na krew, potem na Willa, a później odwrócił się i odszedł pospiesznie, zaciskając w dłoni przepaskę Jakuba.

Will poczuł na ramieniu dłoń Elwiny.

– Dlaczego go uderzyłeś? – szepnęła. – O czym on mówił?

Chłopak wbił wzrok w zgniecione kwiaty.

– Przepraszam – mruknął i odszedł, odtrącając jej rękę.

15

Templum, Paryż

Dwudziesty siódmy dzień października roku Pańskiego 1260

Will siadł na pryczy. Jego wysiłony oddech rozlegał się dziwnie głośno w pustym dormitorium. Kostki dłoni miał otarte do krwi. Garen był jedyną osobą, której wyjawiał

rodzinną tragedię, nawet Szymon o niczym nie wiedział. Will nie mógł uwierzyć, że przyjaciel wykorzystał jego szczerość przeciwko niemu. Zwiesił głowę przypominając sobie krew płynącą z ledwie wygojonych ust Garena. Trzęsącymi się rękami sięgnął do sakwy i wyjął złożony kawałek pergaminu. Przed wyjazdem z Anglii zaczął pisać list do matki. Nie dokończył go, a teraz... Popatrzył w zadumie na stłoczone rzędy drobnych zdecydowanych liter.

Kilka godzin później, gdy przebrzmiały dzwony na zakończenie niesporów, drzwi dormitorium się otwały i wszedł przez nie Robert.

– Zastanawiałem się, gdzie się podziałeś. Niedługo będzie wieczerza.

Will prędko otarł twarz. Koc zasłany był drobnymi strzępkami pergaminu.

– Co się stało? – zagadnął go Robert.

– Nie chcę o tym mówić.

– No to nie będziemy o tym mówić. – Robert wzruszył ramionami i przysiadł w nogach łóżka.

Will podniósł głowę.

– Dlaczego on mnie wini?

– Kto? Za co?

– Garen. Twierdzi, że przeze mnie jego stryj nie żyje.

– Matka odumarła mnie w dzieciństwie – powiedział Robert. – Początkowo ojciec obwinił wszystkich wkoło za jej śmierć. Ale to nie była niczyja wina. Zabrała ją choroba.

Ani on, ani nikt inny nie był w stanie temu zapobiec.

– Jakub został zabity. Ktoś ponosi za to winę. – Will opadł na plecy i wbił wzrok w sufit. – Może rzeczywiście ja.

Robert obrócił się na bok i podparł łokciem.

– Jak to?

– Czasami myślałem w duchu, że Jakub powinien zostać pokarany za to, że krzywdzi Garena. A jeśli źle mu życząc sprowadziłem na niego zły los? – Will potarł palcem obite knykie.

Robert pokiwał głową patrząc na jego dłonie.

– Czy ktoś nosi podobne ślady na gębie?

– Garen.

– O co się pobiliście?

– Powiedział coś o mojej siostrzyczce. – Will usiadł. Coś, czego nie powinien był mówić.

Robert milczał. Czekał.

– Ja ją zabiłem – powiedział Will nagle.

Słowa pozostały w powietrzu, jakby przybrały materialną postać. Will spodziewał się niemal, że Robert także widzi ich kłębiące się zdeformowane kształty.

Po długiej chwili Robert zapytał:

– Co się stało?

Teraz Will zamilkł.

– Jak umarła? – powtórzył łagodnie Robert.

Will zacisnął powieki.

– Ojciec nazywał ją swoim aniołkiem. Przywoził jej wstążki z Edynburga. Potrafił

godzinami przyglądać się jej zabawom. Ale Maryjka wcale nie była aniołem. Podkradała chleb z kuchni, wypuszczała kurczęta albo tłukła jajka, zwała wszystko na mnie i dąsała się, ilekroć ktoś kazał jej coś zrobić. – Will podciągnął kolana pod brodę. – Często marzyłem, żeby jej nie było. Nie, żeby umarła, ale żeby po prostu znikła. Nie miałem na myśli nic złego.

– Spojrzał błagalnie na Roberta. – To było tego lata, zanim oddano mnie do Nowej Świątyni.

Ojciec pojechał do pobliskiej komandorii w Balantrodoch, a ja poszedłem nad jezioro, żeby skończyć łódkę, którą budowaliśmy razem. Wiesz, na ryby. Chciałem zrobić mu niespodziankę, kiedy wróci. Maryjka poszła za mną. Próbowiałem jej zabronić, bo wiedziałem, że będzie mi przeszkadzać. Oczywiście jak zwykle nie usłuchała. Było gorąco, więc szybko się znudziła i poszła zbierać muszelki. Zamierzałem spędzić nad jeziorem cały dzień, ale mała zaczęła marudzić, że chce wracać. Powiedziałem: „To idź”, na co ona, że nie pamięta drogi i boi się zgubić. Poszedłem do lasu po gałęzie na wiosła. Przyczepiła się jak rzep i przez cały czas mi dokuczała, że ojcu na pewno bardziej się spodobały muszelki niż jakaś koślawa łódka. – Will objął głowę rękami. – Staliśmy na wysokim brzegu. Maryjka powiedziała... nawet już nie pamiętam co, w każdym razie znów mi dogryzła i rzuciła mi te muszelki w twarz. Wściekłem się... – Will urwał. – Pchnąłem ją. Nie chciałem tego zrobić tak mocno. Przewróciła się i spadła do wody. Tam naprawdę było dość wysoko. Uderzyła głową o kamień. Zeskoczyłem po nią, ale...

Potrząsnął głową.

– Zaniósłem ją do domu. To było daleko, ręce mi mdlały. Cały czas prosiłem, żeby się ocknęła. Miała ranę na skroni... Ojciec był już w domu. Niósł wodę z potoku. Uśmiechnął

się i pomachał mi ręką, potem zobaczył małą. Upuścił wiadro, podbiegł i wydarł mi ją z rąk. –

Will z trudem przełknął ślinę, wspominając pełen bólu krzyk ojca tulącego w ramionach martwe dziecko i widok matki biegnącej boso przez podwórze. – Później spytał, jak to się stało. Odpowiedziałem, że upadła. Lecz on nie przestawał zadawać mi pytań, jak gdyby już wiedział. Powiedziałem mu prawdę. Kiwnął tylko głową i wszedł do domu. Nawet na mnie nie spojrział. Matka płakała przed pogrzebem, w trakcie i po nim. Całymi miesiącami.

Urodziła następną córeczkę, Isendę, ale nigdy się do niej nie uśmiechnęła. Ojciec większość czasu spędzał w Balantrodoch. W końcu kazał mi jechać do Londynu, żeby się mnie pozbyć z domu. – Will

wstał i ciasno splótł ramiona na piersi. – Tam też rzadko go widywałem, przeważnie gdzieś jeździł albo siedział w świetlicy ze stryjem Garena. Gdy wyzdrowiał ten brat, którego zastępował, mogliśmy wrócić do Szkocji albo choćby pozostać w Nowej Świątyni, ale ojciec przyjął śluby i wyjechał do Palestyny. Od osiemnastu miesięcy nie przesłał mi żadnych wieści.

Robert podszedł do niego i ujął go za ramię.

– Chciałeś ją tylko popchnąć, nie zabić! Twój ojciec na pewno to rozumie.

– Więc dlaczego mnie nienawidzi? – wykrztusił Will zdławionym głosem.

W tejże chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Hugo.

– Co się dzieje? – spytał podchodząc i z niesmakiem zacmokał językiem o podniebienie na widok podartego pergaminu. – Jakież tu nieład!

– Hugo... – Robert spojrział na niego z wyrzutem. Hugo skrzywił się.

– A ty co tu robisz, zamiast jeść wieczerzę? Nasz krzykacz i tak jutro wraca do Londynu, szkoda twoich starań.

Nim Robert zdążył odpowiedzieć, Will odepchnął Hugona i wypadł z komnaty, a potem z budynku. Rycerze grupkami schodzili się do wielkiego refektarza, o zmroku w białych płaszczach wyglądali jak duchy. Will minął ich pędem, choć któryś krzyknął za nim, by się zatrzymał. Biegł, mocno bijąc stopami o ziemię; zostawił za sobą kwatery rycerzy i wysoki mroczny donżon, kancelarie i zbrojownię, nie wiedząc, dokąd biegnie, lecz nie chcąc przystawać. Pot perlił mu się na czole, a w nogach zaczął pulsować ból, gdy wpadł na cmentarz i skierował się do kaplicy.

Ciemne wnętrze rozświetlało tylko kilka świec rozstawionych wokół ołtarza. Po niesporach z kadzielnicy sączyła się jeszcze smużka dymu. Will zatrzasnął za sobą drzwi i ruszył powoli nawą, wodząc dłońmi po poręczach ławek i krzywiznach marmurowych filarów. Podszedł do ołtarza, na którym stał niewielki drewniany krucyfiks. Pozbierał

rozsypane okruszki hostii i po chwili wahania wrzucił je do ust. Nagle poczuł głód.

Rzeźbiony Chrystus patrzył na niego spod ciężkich półprzymkniętych powiek. Will obrócił

się spieszony i widząc otwarte drzwi, wszedł do zakrystii. Palila się tu świeca, a powietrze było ciężkie od zapachu kadzidła. Na skrzyni pod wąskim oknem leżały księgi i nowe świece.

Przystanął w drzwiach. Jego spojrzenie powędrowało ku dzbanom wina ustawionym na półkach za stołem, na którym stał mszalny kielich i dębowe cyborium.

Po chwili wahania wszedł i nalał sobie wina do kielicha. Płyn zalśnił szkarłatem w świetle świecy. Potem zdjął wieczko z cyborium i wyjął z niego kilka hostii. Ciało i krew Chrystusa, pomyślał. Usiadł na podłodze, podniósł kielich do ust.

– Ojcie nasz... – powiedział i zaśmiał się histerycznie.

Wypił wino, zagryzając je przaśnym chlebem. Spojrzał na tonący w cieniu sklepiony strop czekając, by Bóg go ukarał, wyzywając Go, by ośmielił się to zrobić. Grom nie spadł.

Will oparł się o nogę stołu, podciągając kolana pod brodę. Czuł się wyczerpany. Zostanie tu do ostatniej mszy, a potem schowa się na cmentarzu. Kiedy inni wrócą do łóżek, może się tu przespać do rana. A jutro? Zwinął się w kłębek na kamiennej posadzce, podkładając łokieć pod głowę. Jutro pomyśli o jutrze.

– Obudź się, mówię!

Will ocknął się czując, że coś szturcha go w nogę. Otworzył oczy i ociężale dźwignął

się do pozycji siedzącej. Po winie miał ciężką głowę i kwaśny smak w ustach. Nie wiedział, jak długo spał, lecz za oknem zakrystii było już zupełnie ciemno. Stojący nad nim człowiek odziany był w czarną suknię kapelana. Był to Ewerard z Troyes, ten sam starzec, którego widział na cmentarzu. Zsunęty z głowy kaptur odsłaniał twarz przeciętą od czoła aż po usta brzydką różową blizną. Skóra ciasno opinająca kości policzkowe pod oczyma zwisała w luźnych fałdach niczym znoszona odzież, która już się dobrze nie układa. Dłonie powykręcał

reumatyzm, w lewej straszły dwa kikuty po odciętych palcach. Ksiądz przyglądał mu się bacznie bladoniebieskimi, jakby wypranymi z koloru oczyma o zaczerwienionych spojówkach. Pod tym spojrzeniem Will poczuł się tak, jakby tamten pazurami grzebał mu w duszy.

– Kim jesteś? – spytał ksiądz słabym zgrzytliwym głosem, w którym jednak brzmiała twarda nuta zmuszająca do posłuchu.

Will dźwignął się na nogi. Na podłodze poniewierał się kielich i okruchy hostii.

Zawahał się.

– Odpowiadaj! – głos księdza zasyczał jak ogień.

– Na imię mam Wilhelm. Przybyłem tu na „Gryfonie”. Mój pan, rycerz Owen, był

jednym z poległych podczas zamachu w Honfleur.

– Co tu robisz?

– Jeden z braci przysłał mnie po świeżą świecę do dormitorium – wyrecytował Will przybierając niewinną minę, którą zawsze zwodził Owena.

Ewerard uśmiechnął się samymi wargami i Will poczuł się niepewnie. Ksiądz nachylił się ku niemu i pociągnął nosem.

– Piłeś, serwiensie?

– Nie, panie.

– Nie? – Ewerard jeszcze raz wciągnął powietrze. – A ja jestem pewien, że czuję cienkie wino. – Spojrzał na stojący na posadzce kielich i w jego głosie zabrzmiały groźne nuty. – Czyżby to komunika zwała cię z nóg? Krew Chrystusa to potężny trunek, zwłaszcza gdy zażywa się jej jak piwka w oberży, a nie w uświęconym akcie dokonywanym z najgłębszą czcią!

Will otworzył usta, by powiedzieć coś na swą obronę, ale ksiądz złapał go za ramię i obrócił ku drzwiom.

– Gdzie mnie prowadzisz? – Will starał się, by w jego głosie zabrzmiało oburzenie, lecz ku własnej rozpaczycy posłyszał w nim głównie strach.

– Do wizytatora – warknął Ewerard. – Ja nie mam władzy, by usunąć cię z Templum.

Will usiłował wymyślić coś, by udobruchać księdza, ale w głowie mu się mąciło i w drodze do komnat mistrza zdołał jedynie wydukać przeprosiny, na które jego strażnik w ogóle nie zareagował.

Komnaty wizytatora mieściły się przy kancelariach w paradnym budynku pod wieżą.

Panował tu ruch, rycerze spożyli już wieczerzę i teraz kończyli zadania wyznaczone na ten dzień, żeby zdążyć przed wieczorną mszą. Will sprężył się w duchu i uniósł dumnie głowę.

Weszli przez szeroki portyk i skierowali się pełnym ech korytarzem do podwójnych czarnych drzwi. Ewerard zastukał krótko.

– Wejść! – dobiegł z wnętrza basowy głos.

Ewerard otworzył drzwi i szturchańcem popchnął chłopca przed sobą.

Komnata była obszerna i urządzona z większym przepychem niż jakakolwiek rycerska kwatery w Nowej Świątyni. Pod tylną ścianą stał wypolerowany stół z czterema stołkami i wysokim poręczowym krzesłem wyściełanym i obitym haftowaną materią. Duże okno częściowo zakrywała zasłona, na posadzce leżały tkane chodniki. W żelaznych uchwytych skwierczały woskowe świece, na kominie zaś ogień dymiąc zmagął się z grubym balem wydającym z siebie aromat drewna i mchu.

Mistrz Francji i zwierzchnik wszystkich komandorii Zachodu siedział na wysokim krześle zwrócony twarzą do wejścia. Przed sobą miał otwartą księgę.

– O co chodzi, bracie Ewerardzie? – spytał, patrząc na nich badawczo spod ściągniętych brwi.

– Ten nędznik sprofanował Przenajświętszy Sakrament. Poszedłem przygotować kaplicę do komplety i znalazłem go pogrążonego we śnie, upojonego mszalnym winem.

Brwi mistrza zmarszczyły się srożej, a Will spuścił głowę pod surowym, pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

– Zaiste jest to godne potępienia. – Wzrok mistrza przeniósł się na Ewerarda. – Ale jest to zarazem coś, czym można się zająć na najbliższym zebraniu kapituły.

Will zerknął na niego z nadzieją, lecz mina Ewerarda pozostała nieugięta.

– I w zwykłych okolicznościach zaczekałbym do zebrania, bracie, lecz ten giermek pochodzi z Anglii. Jutro wraca do kraju, a ja nie pozwolę, by będąc u nas gościem traktował

kaplicę jak portowy szynk i nie poniósł za to stosownej kary.

Wizytator milczał przez chwilę, potem zamknął księgę i splótł dłonie na stole w sposób, który boleśnie przypomniał Willowi Owena.

– Co masz nam do powiedzenia na swoją obronę, młodzieńcze?

Will otworzył usta, lecz głos uwiązł mu w gardle. Odchrząknął i spróbował jeszcze raz.

– Poszedłem do kaplicy i zasnąłem, panie. Nie zrobiłem tego umyślnie.

Wyraz twarzy mistrza nie zmienił się ani na jotę.

– Nie rozmawiamy o tym, że zasnąłeś w kaplicy. Pytałem, dlaczego zbecześciłeś ciało i krew Pana naszego?

Will wbił wzrok w posadzkę. Wizytator postukał o siebie kciukami.

– Jesteś z Nowej Świątyni, prawda?

– Tak, panie – rzekł cicho Will. – Mój pan, Owen ap Gwyn, zginął w Honfleur.

– Jak cię zwa?

– Wilhelm Campbell, panie.

– Campbell? Nie jesteś chyba synem Jakuba Campbella?

Will podniósł głowę.

– Jestem, panie.

– Spotkałem się z nim kilkakrotnie, kiedy nas tu odwiedzał. Obecnie, o ile wiem, stacjonuje w Akce pod rozkazami wielkiego mistrza Berarda? – Wizytator potrząsnął głową.

– Co za rozczarowanie. Po synu tak poważanego rycerza spodziewałbym się obyczajniejszego zachowania.

– Jedną chwilę, bracie – wtrącił się Ewerard. – Czy mogę zamienić z tobą słowo w cztery oczy?

– Oczywiście. – Mistrz był nieco zdziwiony. – Wyjdź – nakazał Willowi.

Wychodząc z komnaty chłopak zauważył, że Ewerard przygląda mu się z zaciekawieniem. Przeraziło go to jeszcze bardziej niż poprzednio gniew starego księdza.

Garen leżał na wznak na posłaniu, z grymasem obmacując rozciętą wargę. W

dormitorium było ciemno i cicho. Giermkowie zjedli wieczerzę i wrócili do swoich zajęć.

Siennik był twardy, wystające żdźbła kłuły go w plecy przez cienką koszulę. Po chwili wstał i podszedł do okna. Dłużyło mu się czekanie do świtu, aż statek odpłynie; miał ochotę teraz, zaraz, natychmiast opuścić Paryż.

Drzwi się otwarły i do dormitorium wszedł sługa w brunatnej tunice, niosąc pod pachą plik koców, w drugiej ręce zaś świecę. Miał spuszczoną głowę i powłóczył nogami.

Garen obrócił się z powrotem do okna, ssąc ogryziony do ciała kciuk. Słyszał kroki mężczyzny, który podszedł do stołu i odpalił od przyniesionej świecy tę, która stała w lichtarzu. Potem zaczął kolejno rozkładać koce na pryczach. Garen posłyszał szelest siennika i ciche brzęknięcie monet. Obrócił się gwałtownie. Sługa trzymał w ręku jego sakiewkę.

– Hejże! – Skoczył ku niemu widząc, że drab wydobyl z sakiewki aksamitny mieszek. – Trzymaj łapy z dala od...! – Urwał. Głos uwiązł mu w gardle na widok znajomej ospowatej gęby z końską szczęką. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, pokazując zepsute zęby.

– Od czego? – spytał potrząsając mieszkiem. – Tego?

– Co ty tu... ? – Garen zerknął na drzwi. Były zamknięte. – Jak... ?

Kruk też się obejrzał, a potem wskazał swoją brunatną szatę.

– Bracia rycerze nie zwracają uwagi na służebnych. Żaden się do tego nie zniża.

Pewien miły giermek powiedział mi, gdzie cię znaleźć. – Uniósł skraj za dużej na niego tuniki, której fałdy osłaniały pochwę ze sztyletem. – Chyba nie sądziłeś, że uda ci się wykręcić? – dodał, uwiązując sobie trzos u paska.

– To należy do mnie – rzekł słabo Garen.

– Do ciebie, tak? – Sztylet błysnął w powietrzu. Chłopak cofnął się pospiesznie, wpadając na parapet okna.

Kruk zakreślił ostrzem krąg w powietrzu i przyłożył mu je do piersi.

– O ile pamiętasz – syknął – złoto było zapłatą za przysługę. Ale ty nie chciałeś się nam przysłużyć, chłopcze. Przeprowadziłeś własny plan!

– Zrobiłem to, czego chciał książę! Wyjawiłem mu miejsca i daty i powiadomiłem waszych ludzi Pod Złotym Runem w Honfleur, gdy „Dzielny” odpłynął!

Dwa dni przed rejssem Kruk przekazał mu rozkaz, by w Honfleur udał się do portowej piwiarni i dał ukrywającym się w niej najemnikom sygnał do ataku. Do tamtej chwili Garen miał gorączkową nadzieję, że książę nie wykorzysta uzyskanych od niego informacji, że machnął ręką na tę sprawę. Wówczas jednak śmiertelnie się przeraził.

– To nie moja wina, że poginęli! – krzyknął czując, jak sztych wbija mu się w ciało.

– Nasi ludzie byli przygotowani na śmierć. Ale nie byli przygotowani na to, że zaatakujecie ich dziecko. Smarkacz, który najpierw lojalnie doniósł, że droga wolna, a potem zabił człowieka, który niósł klejnoty, dając rycerzom czas na udaremnienie ucieczki. Tak się składa... – Kruk ujął w dwa palce policzek Garena, szczypiąc go boleśnie – że tych czterech, co przeżyło, dość dokładnie opisało twój wygląd. Jasnowłosa i niebieskooki kościsty wypierdek, tak mówili.

– Ten wasz człowiek chciał zabić dziewczynę! – Gniew opanował Garena, głusząc strach. – A książę mówił, że nikomu nie stanie się krzywda!

– Tere-fere! – przedrzeźnił go Kruk i zaśmiał się pogardliwie.

– Zabiliście mi stryja! – wrzasnął Garen, odpychając go od siebie z całych sił. –

Zrobiłem, co chcieliście, a wyście go zabili!

Kruk odzyskał równowagę i bez ostrzeżenia wyrzucił go o ścianę. Garen poczuł

ukłucie sztyletu na piersi. Pod koszulą spłynęła strużka krwi.

– A teraz – syknął Kruk – spotkasz się z nim w piekle!

Garen usiłował się wyszarpnąć, lecz tamten go unieruchomił, wpierając mu przedramię w gardło. Potem nachylił się nad nim i zionął mu w twarz nieświeżym oddechem.

– Ostrzegłeś ich, gówniarzu! Zdradziłeś mojego pana!

– Nie! – Garen się dusił, nie mógł zaczerpnąć powietrza. Zaczął się osuwać bezwładnie po ścianie – Daję słowo! – wyrzucił.

– Twoje słowo znaczy dla mnie równie mało co twoje życie. – Kruk poderwał go brutalnym szarpnięciem. – Stój prosto, ty tchórzliwy kozi bobku! Ostrzegłeś templariuszy!

– Nie!

– Przez ciebie straciliśmy klejnoty!

– Nie.... Nie.... Duszę się! – Garen w panice wczepił palce w ramię Kruka. W oczach mu ciemniało.

– Błagam, puść mnie!

– A niby dlaczego?

– Wiem o różnych rzeczach.... Tajemnicach! Skradziono księgę... ważną dla zakonu... tajnej grupy... Król Ryszard też brał w tym udział... i...

– O czym ty bredzisz? – spytał z niesmakiem Kruk, rozluźniając uchwyt.

– W łonie zakonu istnieje tajna grupa – bełkotał pospiesznie Garen, zachłystując się powietrzem. – Skradziono im niedawno księgę, tu, w Paryżu. Może ona doprowadzić do upadku zakonu. Nie wiem dlaczego.

– Gnojek. – Kruk cofnął sztylet. – Czułem, że to ty nas wsypałeś.

– No to mnie zabij. – Garen spojrzał mu prosto w oczy. – Przysięgam, że nikomu nie zdradziłem, ale skoro nie wierzysz, zabij mnie. No już! – przymknął oczy czekając na rozdzierający ból.

Otworzył je, kiedy posłyszał śmiech. Kruk cofnął się, rechocząc złośliwie.

– Nie przyszedłem cię zabić, chłopaczku. – Spoważniał i włożył sztylet do pochwy.

– Musiałem się jednak dowiedzieć, czy byłeś lojalny, a strach wzmaga szczerość. Utrata klejnotów wielce zasmuciła mojego pana, ale wierzy on, że dalszą swoją służbą pewnego dnia spłacisz zaciągnięty u niego dług. Przed twoją wpadką w Honfleur miał cię za użytecznego.

– Nie . – Garen drżącą ręką otarł oczy. – Nic z tego. Nie opuszczę zakonu.

– Ależ on wcale nie chce, byś wystąpił z zakonu. Bardziej możesz mu się przydać w Templum niż poza nim. Twój status, nawet jako giermka, daje ci spore możliwości.

– Nie – powtórzył z mocą Garen. – To na jego rozkaz zabito mi stryja. Nie będę mu służył.

Oczy Kruka zwięziły się.

– Owszem będziesz, chłopcze! – warknął. – I to w podskokach! Co cię czeka w Londynie teraz, gdy twój stryj nie żyje?

Garen skrzywił się.

– Nie... nie wiem.

– Och, wiesz. – Kruk uśmiechnął się z wyższością. – Jakub z Lyonu był potężnym i wpływowym człowiekiem. Nie ma wielu mu równych, którzy mogliby ci zapewnić tak świetlaną przyszłość. Niestety już nie żyje, a jego śmierci winien jesteś w takim samym stopniu jak ten, kto zorganizował atak.

– Zabili go wasi najemnicy!

– Cios padł z ręki najemnika, ale to twój język go uzbroił. – Kruk westchnął. –

Własnymi rękami zniweczyłeś najlepszą sposobność podźwignięcia rodu. Bo przecież tego chciałeś, nie? Na szczęście mój pan może ci wciąż pomóc. – Dźwignął tunikę i odwiązał trzos od pasa. Rzucił go Garenowi. – Masz. Mój pan jest uczciwym człowiekiem. Zatrzymaj złoto.

Jeśli będziesz mu służył, niczego ci nie zabraknie; jeśli odmówisz... kto wie, co się stanie. On także, jak wielu, ulega kaprysom. Może ci ułatwić życie. Ale może ci je także doszczętnie obrzydzić.

Garen przez chwilę patrzył w milczeniu na mieszek, potem cisnął go Krukowi pod nogi.

– To stryj chciał wywyższenia naszego rodu. Robiłem to dla niego. Teraz gdy nie żyje, to już nie ma znaczenia.

Kruk milczał przez chwilę.

– A twoja matka? – zapytał cicho. – Ona też nic dla ciebie nie znaczy?

Garen zeszywniał.

– Co ty możesz wiedzieć o mojej matce?

Mężczyzna w zadumie spojrzał na sufit.

– Pani Cecylia jest wysoką, nieco za chudą jak na mój gust niewiastą o bujnych jasnych włosach. Upina je pod czepcem, ale znacznie ładniej wygląda w rozpuszczonych.

– Nigdy jej nie widziałeś.

– Miałem tę przyjemność ledwie kilka dni temu. – Kruk z galanterią położył rękę na sercu. Jego twarz stwardniała. – Mój pan lubi wiedzieć, kto mu służy. I kto zajmuje miejsce w sercach jego sług. Wysłał mnie do Rochesteru dzień po tym, jak zgodziłeś się nam pomóc.

– Łzesz – szepnął Garen.

– Jako się rzekło, twoja matka jest jeszcze całkiem urodziwa, ale nie dostaje jej chrześcijańskiego miłosierdzia. Kiedy biedaczysko zapukałem do jej drzwi, żebrząc o jałmużnę, kazała mnie wyrzucić. – Kruk schylił się po pieniądze. – Jeśli będę zmuszony odwiedzić ją ponownie, bądź pewien, że potraktuje mnie łaskawiej. Znacznie łaskawiej niż jakiegokolwiek damie wypada traktować mężczyznę. – Złapał dłoń Garena i wcisnął mu mieszek. – Widzisz więc, będziesz służył.

Twarz Garena zbieleła.

– Prawda? – spytał z naciskiem Kruk.

Chłopak kiwnął głową.

– Powiedz to głośno.

– Tak! – wykrztusił Garen.

– No, tak lepiej. Jeszcze w tym miesiącu nawiedzę cię w Londynie. Mój pan ma dla ciebie parę drobnych poruczeń. Przy okazji będziesz mógł mu opowiedzieć o tej księdze. –

Zachichotał, zmierzając do drzwi. – Na pewno go to zaciekawi.

– Zabiję cię, jeśli ją skrzywdzisz – szepnął Garen odprowadzając go wzrokiem.

Kruk nawet się nie obejrzał.

Kiedy drzwi się zamknęły, Garen rzucił trzos na pryczę. Jego wzrok padł na stół z nocną świecą. Jednym zamachem przewrócił stół. Świeca zgasła i dormitorium pogrążyło się w ciemnościach.

Will obejrzał się słysząc skrzypnięcie drzwi. Z komnaty wizytatora wyszedł Jan, mierząc go potępiającym wzrokiem. Will stał już w korytarzu ponad godzinę. Wkrótce po tym jak go wyproszono, Ewerard także wyszedł, a po chwili wrócił z angielskim rycerzem.

Will zakręcił się w miejscu, głodny jak lichy. W progu stanął Ewerard i kiwnął na niego, żeby wszedł. Kiedy Will zamknął za sobą drzwi, stary ksiądz podszedł do paleniska i wyciągnął

nad ogniem powykręcane dłonie.

– Podejdz – odezwał się wizytator.

Will przeszedł przez komnatę, stąpając bezgłośnie po miękkich chodnikach.

– Przepraszam, że wypilem wino, panie – zaczął ułożoną pod drzwiami przemowę. –

Opuściłem wieczerzę i byłem spragniony, ale naprawdę bardzo tego żałuję i...

Zimne spojrzenie wizytatora zamknęło mu usta.

– Rad jestem, że się kajasz, młodzieńcze, ale to nie wystarczy. Popeliłeś świętokradztwo. W innych okolicznościach zostałbyś w tym tygodniu postawiony przed kapitułą, pozbawiony zakonnej szaty i wygnany z Templum.

– W innych okolicznościach? – powtórzył ochryple Will.

Wizytator oparł się w krzesło i pogładził palcami brodę.

– W Honfleur, jak słyszę, wykazałeś się odwagą i inicjatywą. Powiedziano mi, że jesteś uzdolnionym i dobrze się zapowiadającym giermkim. Wygrałeś turniej w Nowej Świątyni, czy tak?

Will kiwnął głową.

– Nie chcę pozbawiać Templum kogoś takiego. Ponadto mam wrażenie, iż Bóg darzy cię szczególną opieką. – Mistrz zerknął przelotnie na Ewerarda. – Biorąc to wszystko pod rozwagę, postanowiliśmy cię ukarać w sposób następujący: kiedy za pięć lat osiągniesz stosowny wiek, nie będzie ci wolno złożyć ślubów jak innym młodzieńcom twojej rangi.

Wyrzekniesz się białego płaszcza jeszcze na jeden rok i jeden dzień.

Will kurczowo uchwycił się brzegu stołu. Sześć lat? Całe sześć lat miał czekać, aż zostanie rycerzem?

– Oprócz tego otrzymasz dziś karę cielesną – ciągnął wizytator. – Skoro zachowujesz się jak pies, zostaniesz potraktowany jak pies. Nie pozwolę, by ci, którzy mają wdziac habit żołnierzy Chrystusowych, prowadzili się w sposób przystający bardziej wysłannikom piekieł.

Obecny tu brat Ewerard zgodził się wymierzyć chłostę. – Skinął do Ewerarda. – Możesz go zabrać, bracie.

Will miał wrażenie, że w oku księdza, gdy ten kłaniał się przed mistrzem, zalśnił błysk triumfu. Jak we mgle wyszedł za nim na dziedziniec. W milczeniu przeszli do kaplicy.

Z każdym krokiem w Willu narastał strach. Jeszcze nigdy nie był naprawdę bity.

Zamknawszy drzwi, Ewerard popchnął go w stronę ołtarza.

– Prędko, chłopcze. Nie będziemy się z tym bawić przez całą noc.

Will z ociąganiem ruszył naprzód, aż zatrzymał się przed ołtarzem, Ewerard kazał mu uklęknąć. Uczynił to, wznosząc oczy ku rozpiętej na krzyżu figurze Chrystusa.

– Gdzież ona jest? – mamrotał Ewerard klepiąc się po fałdach sukni, po czym ruszył ku drzwiom w bocznej ścianie i zniknął w zakrystii.

Cisza dzwoniła Willowi w uszach. Kiedy Ewerard wrócił, miał w ręku dyscyplinę.

Will zeszywniał na jej widok.

– Podciągnij tunikę i pochyl się.

Will posłusznie zadarł tunikę i koszulę, czując jak chłód szczypie go w obnażoną skórę. Oparł obie dłonie na posadzce i przyłożył czoło do zimnego kamienia.

– Dlaczego mistrz nie wyrzucił mnie z zakonu? – spytał, odwołując się do nieuchronnej chwili, w której

spadnie cios. – Mógł to przecież zrobić.

– Zgodziliśmy się, że wykluczenie cię nikomu nie posłuży – odparł spokojnie Ewerard – a tak obaj odniesiemy jakąś korzyść, i ty, i ja.

– To znaczy? – Will chciał się podnieść, ale stopa kapelana przycisnęła mu barki do posadzki.

– Ty pozostaniesz w Templum – rzekł Ewerard, cofając nogę – a ja będę miał pomocnika.

– Pomocnika? – Chłopak skurczył się słysząc trzask bata. Kiedy nie poczuł bólu, uświadomił sobie, że Ewerard po prostu naciągnął dyscyplinę w dłoniach. Will odetchnął

bezgłośnie. – Nie rozumiem – powiedział.

– To znaczy – powoli i cierpliwie wyjaśnił Ewerard – że należysz teraz do preceptorium w Paryżu. A twoim nowym panem jestem ja. Rozległ się świst, tym razem plecy Willa przeszył rozdzierający ból. Nie zdołał się pohamować i krzyknął, wpijając palce w kamień, jakby chciał zagrzebać pod nim cierpienie. Z wysiłkiem zaczerpnął tchu i chciał się odezwać, lecz cichy świst poprzedził następny cios, który spadł, zanim chłopak zdążył

otworzyć usta. Tym razem ból był inny, gorszy, może przez to, że spodziewany. Dyscyplina wznosiła się i opadała. Will czuł wzbierające w gardle torsje. Zacisnął powieki; oczy piekły go od łez.

Skończywszy, Ewerard zwinął bat i przeżegnał się przed ołtarzem. Na białych policzkach miał szkarłatne wypieki. Will przyłożył twarz do posadzki mokrej od śliny i łez.

– Wstawaj.

Plecy paliły go żywym ogniem, a nogi się ugiwały. Wstał, tłumiąc jęk, gdy koszula otarła się o pociętą skórę. Miał ochotę zwinąć się w kłębek i zapłakać, ale był zdecydowany nie dać księdzu tej satysfakcji. Utrata resztek godności bolałaby znacznie bardziej niż chłosta.

– Po co... – Przymknął oczy i zgrzytnął zębami, żeby przetrzymać nowy atak bólu. –

Po co ci giermek, bracie? Jesteś przecież księdzem.

– Zbieram i tłumaczę pisma na temat leczenia, matematyki, geometrii, astronomii i innych nauk. – Ewerard niedbale rzucił bat na pobliską ławkę. – Ale choć siedemdziesiąt lat na tym łez padole przydało mi rozumu – Kapelan stuknął się palcem w skroń – nie byto równie łaskawe dla mojego ciała. Wzrok mnie już zawodzi. Potrzebny mi skryba.

– Skryba – powtórzył jak echo Will, starając się zapanować nad głosem.

– Od wielu miesięcy proszę o to mistrza, lecz dotąd nie mógł sobie pozwolić na to, żeby oddać mi kogoś z kancelarii. – Ewerard uśmiechnął się. – Zaiste mam szczęście, że się tu zjawiliś – rzekł

uśmiechając się jeszcze szerzej – i postanowiłeś popełnić świętokradztwo w mej kaplicy.

Will podniósł na niego wzrok, w którym niedowierzanie mieszało się z przerażeniem.

– Ale... skryba? – powtórzył.

– W przeciwieństwie do wielu równych ci urodzeniem umiesz czytać i pisać, prawda?

– Zamierzam zostać rycerzem, a nie klerkiem!

– Czy sądzisz, chłopcze, że jedynym orężem templariusza jest miecz? – Ewerard potrząsnął głową. – Twój poprzedni pan nauczył cię władać ramieniem. Ja spróbuję cię nauczyć posługiwania się umysłem – spojrzał na Willa spod przymrużonych powiek – o ile takowy posiadasz. Teraz wracaj na kwatery, a zaraz po jutrzni przyjdź do mojej celi. Na początek tam posprzątasz. Sądząc po zapachu, znów buszował w niej kot.

– Nie.

– Nie?

– Nie zrobię tego!

– A zatem wyjdź.

Will otworzył usta, zamknął je i spojrzał podejrzliwie na księdza.

– Słucham?

– Idź sobie. Nie mam mocy cię zatrzymać.

Chłopak zerknął na drzwi.

– To jakiś żart?

– Nie.

– To dobrze. – Will po chwili wahania skierował się ku drzwiom. – Zatem idę.

– Wyjdź tymi drzwiami – rozległ się za jego plecami głos Ewerarda. – Wyszedszy zaś, idź dalej prosto, aż opuścisz preceptorium. Nie jesteś już bratem służebnym Świątyni.

Zwalniam cię z powinności wobec zakonu.

– Nie to miałem...

– Jeśli nie potrafisz być posłuszny swemu panu, nie ma tu dla ciebie miejsca.

Will stał w połowie nawy między ołtarzem a drzwiami. Pragnął zostać rycerzem, lecz nie z tych

powodów co znani mu giermkowie – by walczyć o wiarę przeciw poganom i zdobywać chwałę orężem, lepiej służyć Bogu lub pławić się w przywilejach rycerskiego stanu. Owen powiedział mu kiedyś, że oblekając białą zakonną szatę człowiek rodzi się na nowo, zostają mu wymazane wszystkie przeszłe winy. Will rozumiał sens tej ceremonii: to nie szata była ważna, lecz jej biel, symbol odpuszczenia grzechów. Chciał, żeby ojciec widząc go w rycerskim płaszczu przekonał się, że jego syn stał się nowym człowiekiem, że nie plami go już piętno zabójcy.

– Nie – szepnął. – Nie wyjdę stąd.

– Zatem, serwiensie, do zobaczenia o świcie.

Kapelan patrzył przez chwilę, jak chłopak powłócząc nogami opuszcza kaplicę.

Cmoknął pod nosem i zaczął przygotowywać ołtarz do komplety.

Niedługo później drzwi znów się otworzyły; do kaplicy wszedł wysoki mężczyzna w szarym płaszczu.

– A, jesteś – powitał go już z daleka Ewerard. – Zdałeś świadectwo ze starcia w Honfleur?

– Tak, bracie. – Hasan podszedł do ołtarza. – Powiedziałem mistrzowi, że byłem w Londynie po księgi dla ciebie.

– I więcej cię nie wypytywał? Dobrze. – Ewerard położył brewiarz na ołtarzu i zszedł z podwyższenia. – Nie możemy sobie pozwolić na dalsze komplikacje; śmierć Jakuba z Lyonu jest dla nas aż nadto dotkliwym ciosem. Jednakowoż w pierwszym rzędzie, najszybciej jak to możliwe, musimy podjąć poszukiwania księgi. Jeśli Rulli przekazał ją komuś przed spotkaniem z tobą, ten ktoś może wciąż być w Paryżu. Rozmawiałeś o tym z Jakubem?

– Martwił się podobnie jak ty, że złodziej zechce posłużyć się Księgą Graala, by ujawnić istnienie Anima Templi. – Hasan przysiadł na ławce i wziął do ręki leżący obok bat.

– Ktoś zasłużył na karę?

Ewerard chrząknął ze zmieszaniem i wyjął mu dyscyplinę z ręki.

– Syn Jakuba Campbella, wyobrażasz sobie?

– Syn Campbella?

– Ma na imię Wilhelm i był giermkim w Nowej Świątyni. Przybył tu z wami z Londynu. Prawdę mówiąc, właśnie wziąłem go sobie za pomocnika.

Hasan uniósł brew.

– Wilhelm, powiadasz? A więc to o nim ci mówiłem. Przyłapałem go, gdy śledził

mnie w Honfleur. Myślisz, że wie?

Po namyśle Ewerard potrząsnął głową.

– Campbell znał wysokość stawki. Nie zdradziłby tajemnicy. Zresztą chłopak z całą pewnością nie zdaje sobie sprawy, kim jestem. Pewnie to zwykle wścibstwo. Sam wiesz najlepiej, że na ogół budzisz zaciekawienie, bracie. – Ewerard począł do zakrystii. – A na razie przynajmniej będę miał z niego jakiś pożytek.

Hasan patrzył, jak Ewerard chowa dyscyplinę do skrzyni.

– Wiem, że potrzebny ci sługa, bracie, ale pozwól, że powiem: nie jestem pewien, czy to właśnie miał na myśli Campbell, kiedy prosił cię o opiekę nad synem.

– Czyż mogę go strzec lepiej, niż stale mając go na oku? – uciął Ewerard. – Został

bez pana; mogę odesłać go samego do Londynu albo zatrzymać przy sobie. Jak myślisz, co wolałby jego ojciec?

Hasan po namyśle skinął głową, rozumiejąc, że sprzeciw nie miałby sensu.

– Może powinniśmy skontaktować się z pozostałymi braćmi i powiadomić ich o kradzieży księgi – rzekł, gdy Ewerard wrócił z zakrystii.

– Nasi bracia na Wschodzie mają własne zadania. Szykuje się wojna z Egiptem.

Będą musieli skupić na niej wszystkie siły, jeśli chcemy wyjść cało z opresji, jaka wkrótce nas czeka.

– Ale bez ich pomocy odnalezienie księgi może okazać się trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe. Gdy zaś Księga Graala wychynie na światło dzienne, a wraz z nią prawda o Anima Templi, wszystko do czego dążyliśmy, może ulec zagładzie. To chyba jest największe niebezpieczeństwo?

– Ja jestem odpowiedzialny za tę księgę, Hasanie, i ja się nią zajmę. – Ewerard z irytacją potarł czoło. – Niech diabli wezmą Armanda! – wybuchnął nagle. – Zachciało mu się ceremonii!

Westchnął i spojrzał na Hasana.

– Ta księga jest mi kamieniem u szyi, odkąd tylko powstała. Po śmierci Armanda w Herbiji powinienem był ją zniszczyć. Ale nie, przywiozłem ją do Paryża! To przeze mnie mozolnie wznoszony gmach dziś się chwieje. Nasze dzieło zbyt ważne jest dla świata, aby miało przepaść, Hasanie.

– To nie twoja wina, bracie.

– Nie? Sam ją napisałem. Jeśli to nie moja wina, to nie wiem już czyja. Próżność kazała mi zatrzymać księgę. – Ewerard pokręcił głową. – Próżność, ot co.

Hasan zmilczał, nie wiedząc, co powiedzieć. Po chwili sięgnął do sakwy przy pasie, wyjął popękany poźółkły pergamin i podał go księdzu.

– Zabrałem to Jakubowi z Lyonu, gdy zginął. Nie chciałem, żeby ktoś to przy nim znalazł.

Ewerard ze znużeniem sięgnął po pergamin.

– Przeczytał?

– Tak. Uradowało go, że w tak krótkim czasie Campbell zdołał tyle zdziałać wśród mameluków. – Hasan urwał. – Powiesz swojemu nowemu giermkowi o działalności jego ojca?

– Nie – rzekł krótko Ewerard, wsuwając pergamin za pazuchę. – Chłopak musi najpierw wiele się nauczyć.

CZEŚĆ DRUGA

16

Safed, Królestwo Jerozolimskie

Dziewiętnasty dzień lipca roku Pańskiego 1266

Jakub Campbell wstał i przeżegnał się przed ołtarzem. W kaplicy było chłodno i cicho. Słonce jeszcze nie wzeszło; wyjąwszy tych, którzy pełnili straż na murach, większość mieszkańców zamku spała. Jakub wstał wcześniej, chcąc nasycić się spokojem świętego miejsca – spokojem, który na kilka chwil pozwalał mu zapomnieć, gdzie jest. Gdy zadzwoni dzwon na jutrznię, wewnątrz wypełni się ludźmi tak ciasno, że ostatni będą klęczeć już za drzwiami. Było tak co rano od prawie trzech tygodni. Wcześniej tylko pięćdziesięciu rycerzy i trzydziestu knechtów stanowiących załogę twierdzy wstawało o brzasku na pierwsze nabożeństwo. Teraz jednak trwoga przyciągała ludzi przed tron Pański, kapelani zaś nie mieli serca ich odtrącać.

– W nadchodzących dniach musimy się dużo modlić – powiedział niedawno brat Józef.

Campbell odwrócił się i ruszył do wyjścia. Przystanął pod figurą, która strzegła drzwi. Oczy świętego Jerzego skierowane były w górę, ku sklepieniu, podobnie jego wzniesiony triumfalnie miecz. Na piersi miał wyrzeźbiony krzyż, a lewą nogą przygniatał

smoka o rozwartych w śmiertelnym skurczu szczękach. Jakub dotknął stopy świętego.

– Miej nas w swojej opiece – szepnął.

Drzwi się otwały i do kaplicy wszedł wysoki mężczyzna w białej szacie. W blasku świecy włosy rycerza, gęste, suche i spłowiałe na słońcu, przybrały złocisty odcień.

– Czuję, że cię tu znajdę – rzekł z uśmiechem. Z kącików oczu rozbiegły mu się zmarszczki, głęboko rysując skórę ogorzałą od długich wart na murach. – Jak myślisz, czy Bóg cię dziś wysłucha, bracie?

Campbell podniósł wzrok na wyższego o głowę rycerza. Choć sam również nie zaliczał się do ułomków, zawsze czuł się jak karzeł w obecności tego olbrzyma.

– Bóg zawsze nas słucha, Matiasie.

– Czasem się zastanawiam, jak Mu się to udaje, kiedy wszyscy naraz wznosimy doń wołania. – Matias wzruszył ramionami. – Mam nadzieję, że się nie mylisz. Szykują się do kolejnego ataku. Komandor uważa, że ruszą o świcie. Jesteśmy potrzebni na blankach.

– Udowodnię ci, że Bóg nas słyszy, kiedy po raz kolejny odeprzemy atak. – Jakub zmusił się do uśmiechu i ruszył ku drzwiom.

Wyszli z kaplicy w cień zalegający pomiędzy murami wysokiego zamku. Ściśnięte w ich obrębie kaplica, składy i zbiorniki zdawały się przytłoczone niebotyczną kamienną ścianą.

Na skraju dziedzińca wznosił się masywny donżon, w którym kwaterowała załoga. Dzielące kolejne odcinki muru baszty mieściły infirmerię, kuchnię, szatnię i zbrojownię.

Dwaj rycerze szli szybko ku furcie u podstawy muru. Z dala, od strony zewnętrznych obwałowań, dobiegało dudnienie młotów. Z bliska – przechodzili właśnie pod infirmerią –

jęki rannych. Furta wiodła do wilgotnego korytarza biegnącego na wskroś przez trzynastostopowej grubości mur. Błade światło pochodni wpadało tu przez zakratowany otwór w stropie, przez który z biegnącej wyżej galerii można było w razie potrzeby lać wrzący olej.

Matias otworzył drugie drzwi na końcu przejścia. Stojący za nimi wartownicy odwrócili się sięgając po broń, lecz na widok dwóch rycerzy odprężyli się z ulgą.

– Rad widzę, że nie śpicie. – Matias jowialnie klepnął w plecy jednego ze strażników, który zatoczył się pod impetem tego przyjacielskiego karesu. – Wątpię tylko, czy powinniście się spodziewać wroga z wewnątrz twierdzy.

– Lepiej wypluj te słowa – rzekł mijając go Campbell. – Fortece zazwyczaj zdobywane są od wewnątrz.

Matias chrząknął i starannie zamknąwszy za sobą drzwi wzmocnione od zewnątrz żelaznymi płytami, ruszył za nim. W czasie pokoju niski zamek służył jako koszary dla kontyngentu zbrojnych oraz służby. Teraz jednak koczowali tu również uchodźcy; wąskie przejścia i otwarte placyki między zabudowaniami wypełnione były ludźmi stłoczonymi wokół ognisk, skulonymi w bramach. W powietrzu unosił się słodko-kwaśny smród końskich odchodów. Nawoływania straży, pomruki budzących się ludzi i rzenie zwierząt zagłuszał

wszechobecny łoskot młotów mularzy, którzy pracowali przy naprawie barbakanu. Z

podwójnego pierścienia murów sterczały baszty połączone krytymi galeriami. Nad blankami jeżyły się ramiona balist i trebuszy. Żółte jęzory pochodni mnożyły cienie ludzi poruszających się po obwałowaniach. Gdyby wróg przełamał mur zewnętrzny, międzymurze zmieniało się w pułapkę, do

której obrońcy mogli lać olej, rzucać kamienie i strzelać. Jeśliby wszakże przedarł się i dalej, obrońcy mogli się wycofać do wysokiego zamku, warowni wewnątrz warowni, czyniącej Safed – dumę zakonu templariuszy – najsilniejszą z twierdz łacińskich w Ziemi Świętej.

Idąc, Campbell wiódł wzrokiem po zbitych w grupki ludziach. Podnosili na niego oczy, w których mieszała się nadzieja i strach. Poza templariuszami w Safedzie stacjonowało tysiąc sześciuset turkopolu – lekkobrojnych chrześcijan syryjskiego pochodzenia, opłacanych za służbę w warowni. W ostatnich wszakże tygodniach mieszkańców znacznie przybyło, ściągali tu bowiem zewsząd okoliczni chłopcy, uciekając przed najeźdźcą z rodzinami i stadami. Zsumował ich w myśli. Opuszczając Anglię pozostawił swe księgi rachunkowe, ale lata spędzone w kancelarii odcisnęły na nim piętno i wciąż postrzegał świat w czarno-białej prostocie rzędów cyfr wypełniających rejestr. Wszystko było kwestią liczb i ich wzajemnych zależności. Tyle a tyle ziarna mogło wykarmić ileś osób przez określoną liczbę dni lub tygodni. Natłok gąb do żywienia skracał ten okres. Jak dotąd nie uskarżali na brak wody ani żywności, ale nikt nie wiedział, jak długo pozostaną tu uwięzieni, nie mogąc wyjść z twierdzy ani nawet wysłać gońca z prośbą o posiłki. Oblężenie mogło potrwać wiele miesięcy.

– Że też nie zabrali czegoś przydatniejszego – mruknął Matias, patrząc na małżeństwo z trojgiem chudych dzieci. Wszyscy siedzieli skuleni pod derką przy ognisku.

Jakub obejrzał się. Mężczyzna osłaniał jedną ręką stosik garnków, jakby bał się, że ktoś mu je ukradnie. Campbell wyobraził sobie tę rodzinę w jakiejś lepiance na skraju pastwisk: słysząc w oddali tętent albo widząc łunę, łapią co popadnie i rzucają się do ucieczki.

Potem biegną przez pola, matka niesie najmłodsze dziecko na rękę, ojciec trwożnie zerka przez ramię...

– Po bitwie pod Mansurą, kiedy Egipcjanie natarli na obóz króla Ludwika, brat królewski został uratowany przez kuchcików uzbrojonych w różny. – Uśmiechnął się. –

Prawie wszystko da się użyć jako broń.

Matias wydał usta i podniósł wzrok na niebo, szukając natchnienia.

– Na przykład ptasie pióro?

Jakub parsknął śmiechem. Ożywienie wygładziło mu zmarszczki na czole, ujmując wiele lat.

– Pióro da się zaostrzyć, umaczać w inkauscie i podpisać nim wyrok śmierci, edykt lub wypowiedzenie wojny...

Wchodzili właśnie wąskimi schodami prowadzącymi na mury.

– Myślałem o czymś stosowniejszym do naszego obecnego położenia – rzekł Matias, kiedy weszli na blanki mijając szereg łuczników klęczących w pogotowiu przy strzelnicach.

– Przypuszczam – odparł Campbell, rad biorąc udział w tej zabawie – że czubek pióra jest

wystarczająco ostry, by oślepić człowieka.

– A co powiesz na kwiat?

Już otworzył usta, by wygłosić jakąś dowcipną ripostę, kiedy jego wzrok padł na grupę pięciu młodych giermków, którzy dołączyli do załogi twierdzy dwa miesiące temu, świeżo po szkoleniu w Akce. Na widok rycerzy chłopcy odruchowo stanęli na baczność.

Światło pochodni wyłuskało z mroku ich blade bezwłose twarze.

– Dobry Boże, ci chłopcy są młodszy od mego syna! – Jakub zgrzytnął zębami, na jego skroni zaczęła pulsować żyłka.

– A jakże się miewa twój Wilhelm? – zagadnął jowialnie Matias widząc, że przyjaciel raptownie stracił humor. – Mówiłeś, zdaje się, że złożył śluby?

W istocie Matias doskonale orientował się w sprawach Willa, bo Jakub przeczytał

mu cały ostatni list natychmiast, gdy tylko go otrzymał. Jakub też zdawał sobie z tego sprawę, ale podjął grę, doceniając to, iż przyjaciel usiłuje podnieść go na duchu.

– Miewa się dobrze, bracie, i owszem, został pasowany na rycerza. Martwiłem się o niego, gdy ostatni list zastał mnie jeszcze w Akce. Śmierć Owena ap Gwyna, któremu służył, była dlań ciężkim ciosem. Odniosłem wrażenie, że jest zagubiony i źle się czuje w Paryżu.

Teraz jednak już się tam zadomowił, a brat Ewerard najwyraźniej wiele go nauczył.

Przynajmniej stawia znacznie kształtniejsze litery niż ja.

– Ech ty, wieczny kancelisto! – zaśmiał się Matias.

– Bardzo żałuję, że nie byłem przy nim, kiedy składał śluby. Tak dawno go nie widziałem!

– Pewnie wkrótce go zobaczysz. Gdy na Zachód dotrze wieść, co tu się dzieje, twój syn przywiedzie armię, z którą stanie u naszego boku.

Campbell zerknął na giermków.

– Wiele będziemy mieli sobie do opowiedzenia. – Zamilkł i już w ciszy ruszyli dalej do narożnej baszty.

Nie posiadał się z radości, kiedy doręczono mu list Willa, ale radość ta skażona była goryczą zawiści. Do Duszy Świątyni zwerbował go w Londynie Jakub z Lyonu, któremu Campbell zaimponował talentem dyplomatycznym i znajomością języka arabskiego. Z

Ewerardem spotkał się tylko raz – wtedy to ksiądz go poprosił, aby podjął się misji na Wschodzie. Otrzymane zadanie wydało mu się ekscytujące; miało fundamentalne znaczenie dla celów bractwa, w

które mocno wierzył, a ponadto uważał, że ma szansę je wykonać.

Zgodził się – pod warunkiem że gdyby poległ, Ewerard zaopiekuje się Willem i zadba o jego dalszy byt. Najwyraźniej po śmierci Owena Ewerard wywiązał się z obietnicy i Campbell był

mu za to serdecznie wdzięczny. Ale zazdrościł mu, że to on, a nie rodzony ojciec, wychowywał Willa i patrzył, jak nakładają mu na ramiona białą płaszcz.

W ubiegłych tygodniach coraz częściej myślał o synu. Może po prostu się bał, że już go nie zobaczy, nie uściśnie, nie przeprosi za to, że zostawił go samego. Stojąc wówczas na nabrzeżu klasztornej przystani w Londynie, miał ochotę przygarnąć do siebie zrozpaczonego chłopca i powiedzieć mu, że już nie wini go za śmierć Maryjki, a wyjeżdża dlatego, że ma do zrobienia coś ważnego; coś, co może odmienić świat. Nie zdobył się na to, uściśnął mu tylko rękę.

Zerknął kątem oka na idącego obok potężnego rycerza. Matias od lat był mu wiernym druhem, ale nie wiedział nic o prawdziwej przyczynie pobytu Jakuba w Ziemi Świętej ani o tym, czym się zajmował w chwilach wolnych od modlitwy i służby wojskowej we frontowych komandoriach takich jak Safed. Czasem czuł się tak dojmująco samotny, że tracił chęć do życia. Brakowało mu córek, zapachu ich włosów, ich śmiechu. Brakowało ciepłych i czułych uścisków żony. Tęsknił za synem. Musiał sobie wtedy przypominać, że najważniejsza jest jego misja, nie rodzina, przyjaciele czy służba Świątyni. Mówił sobie, że robi to wszystko dla nich.

Pchnął drzwi prowadzące do baszty. Zaczęli się wspinać po wpuszczonych w mur spiralnych stopniach. Zimny wiatr dął z góry przez otwartą klapę w dachu, nawiewając im do oczu drobiny kurzu. Im wyżej, tym było jaśniej – i wietrzniej. Gwiazdy już bladły, przybierając turkusowy odcień. Wyszli na dach okrągłej zwieńczonej blankami wieży. Stało tam ośmiu rycerzy zakonnych, dwóch giermków i chorąży turkopoli, mający pod swą komendą najemne oddziały. Krępy tęgi mężczyzna o ogorzalej cerze ruszył im naprzeciw.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, bracia.

– Na wieki wieków. – Campbell skłonił się lekko. – Dzień dobry, komandorze.

– Może dobry, ale na pewno długi i ciężki. Mam nadzieję, że zdążyliście się wyspać.

– Matias mówił mi, że szykuje się atak.

– Sam zobacz. – Komandor machnął ręką ku blankom.

Campbell wyrzwał na przedpole. Zamek zbudowany był na wysokim skalistym wzgórzu o stromych zboczach, co czyniło zeń doskonały punkt obserwacyjny. Będąc jednym z łańcucha frankijskich orlich gniazd rozmieszczonych wzdłuż doliny Jordanu, umożliwiał

panowanie nad traktem z Damaszku do Akki, strzegąc Brodu Jakuba, najbardziej na północ wysuniętej przeprawy przez rzekę. Za dnia widać stąd było faliste pastwiska i wioski należące do zamku. Pięć mil dalej Jordan wpływał do jeziora Genezaret, zwanego przez krzyżowców Morzem Galilejskim, teren zaś podnosił się stopniowo ku czerwonym kamienistym górcom.

W ciemnościach Campbell dojrzał tylko olbrzymią armię otaczającą zewsząd zamek. Tysiące ognisk i pochodni oblewały piekielną poświatą namioty, wozy, konie, wielbłądy i łopocące sztandary. Mężczyźni w turbanach i barwnych płaszczach krzżeli się w plamach światła pomiędzy czarnymi szkieletami machin oblężniczych przycupniętych na równinie niczym smoki.

– Wygląda, jakby ich przybyło – mruknął. – Otrzymali posiłki?

– Nie – odpowiedział komandor. – W nocy, kiedy już spałeś, wysłali heroldów, aby nas poinformować, że złapali kolejnych dwustu chrześcijan w okolicznych wioskach. Zwieźli ich w klatkach.

– Dobry Boże...

– Powinni byli uciec, kiedy jeszcze mogli. Nie możemy im pomóc.

Campbell chciał zaprotestować, lecz zmilczał. Słowa komandora mogły wydać się brutalne, ale były prawdziwe.

– Spójrzcie tam. – Komandor wskazał pogrążony w cieniu obszar u podnóża wąskiej krętej ścieżki, która wiodła do barbakanu osłaniającego bramę.

Jakub, a w ślad za nim i Matias przechylili się przez parapet, wytyżając oczy.

Sylwetki ludzi poruszały się wokół długiego prostokątnego kształtu widocznego tylko dzięki temu, że był czarniejszy od rzednącego mroku.

– Zbudowali wineję.

Komandor pokiwał głową.

– Możemy mieć kłopoty. Dopiero co skończyliśmy naprawiać basztę bramną po dwóch ostatnich atakach. – Zaśmiał się gorzko. – A nawet w nią nie celowali! Gdyby kamień nie chybił tak bardzo... – Potrząsnął głową. – Teraz znają nasze słabe miejsce.

Campbell uświadomił sobie, że nie słyszy już młotów. Mularze skończyli pracę i odeszli. Zmarszczył brwi przyglądając się masywnej konstrukcji na kołach, nakrytej dwuspadowym drewnianym dachem. Wineję można było podtoczyć aż pod mury; ukryci pod nią ludzie atakowali bramę siekierami albo podwieszonym na łańcuchach okutym taranem.

Istotnie było to zagrożenie. Ale i z nim można sobie było poradzić.

– Podpalamy? – mruknął.

– Przewidzieli to. Jeśli dobrze widzę, okładają dach skórami.

Jakub kiwnął głową. Surowe skóry namoczone w occie były praktycznie niepalne.

– No to trzeba ustawić ludzi z hakami.

– Już wysłałem ich na stanowiska. W nocy zauważyliśmy w obozie ożywienie pozwalające się domyślać, że o świcie może nastąpić atak. Wysłaliśmy paru Syryjczyków na zwiad. Wylot tunelu jest niedaleko miejsca, gdzie stoją maszyny. Nie mogli podejść na tyle blisko, by podsłuchać tamtych, ale widzieli, że ładują mangonele. – Komandor wskazał lewy kraniec obozowiska.

Campbell spojrział na widoczny już szereg dwudziestu kilku onagrów, nazywanych tu również mangonelami. Długie ramiona machin, zamocowane z jednej strony w mocno skręconym zwoju lin, z drugiej zaś wydrążone na kształt łyżki, były teraz odciągnięte i tkwiły w bezruchu. Obciążone kamieniem o wadze nawet paruset funtów ramię po zwolnieniu zaczepu zataczało z rozmachem łuk i uderzało w poprzeczną belkę wystrzeliwując pocisk w stronę murów twierdzy.

Z trudem oderwał od nich wzrok, skupiając się na słowach komandora.

– Z pewnością użyją ich podczas ataku, mając nadzieję skruszyć mury. Przesuniemy na tamtą stronę kusze wałowe i część trebuszy. Na razie są poza zasięgiem, ale będą musieli podtoczyć maszyny, kiedy zacznie się bitwa.

– Czy jesteś pewien, komandorze, że zamek wytrzyma kolejny atak?

Trzej rycerze obrócili się jak na komendę. Za nimi stał dowódca syryjskiego kontyngentu, mierząc ich przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu.

– Czy nie lepiej omówić warunki kapitulacji teraz, gdy mamy jeszcze jakieś szanse?

– dodał.

– Kapitulacji?! – prychnął drwiąco komandor. – Zaraz na początku oblężenia?

Odparliśmy ich dwa razy przy bardzo niewielkich stratach z naszej strony.

– W ciągu ubiegłych kilku lat interesowałem się taktyką naszego wroga. Udało mi się ją poznać. Byłem w Akce trzy lata temu, kiedy sułtan obiegnął miasto.

– Ja też byłem wówczas w Akce – wtrącił Campbell widząc, jak twarz komandora twardnieje. – Walka była zacięta, owszem, ale Bajbars nie zdobył miasta. Nie udało mu się to również w zeszłym miesiącu.

Syryjczyk patrzył przez chwilę na rozbitą pod murami armię.

– Jego żołnierze nazywają go Kuszą. Powiadają, że nie spocznie, póki nie wyrzuci chrześcijan z tej ziemi. Ale myśmy się tu urodzili. Mamy do niej większe prawo niż oni.

– I tym lepszy powód, by walczyć – rzekł ostro komandor. – Czystym tchórzostwem byłoby padać na klęczki przed wrogiem, gdy dotąd tak skutecznie dawaliśmy mu odpór.

– Nie jestem tchórzem, komandorze. Ale Safed został już raz zdobyty, a Bajbars to nie Saladyn. Nie jest człowiekiem honoru.

Komandor założył ręce na piersi.

– W ciągu dwudziestu sześciu lat od odzyskania Safedu wydaliśmy fortunę na wzmocnienie fortyfikacji. To już nie ten sam zamek, który zdobył Saladyn. Możemy się tu bronić przez wiele miesięcy, nawet lat, gdyby trzeba było. Sułtan nie zechce tkwić tu w nieskończoność; będzie go to za drogo kosztować i nie da mu satysfakcji z szybkiego zwycięstwa. – Poglądził koronę muru i uśmiechnął się zimno. – Te kamienie trzyma nie tylko zaprawa, ale i wola Boża.

Z kaplicy odezwał się dzwon na jutrznię. Jakub wyjrzał za mury. Potężnych, litych ścian twierdzy strzegły gładkie wyniosłe wieże i stojący na nich w pogotowiu zbrojni. Ten widok nappełnił go nadzieją. Ale potem spojrzął na nieprzeliczone siły sułtana Bajbarsa, na jego katapulty, tuczników i maszyny oblężnicze. Wystany do wrogiego obozu zwiadowca nie znalazł w nim człowieka, z którym Campbell się porozumiewał. Nadzieja wydała mu się nagle złudna.

17

Za bramą Świętego Dionizego w Paryżu

Dziewiętnasty dzień lipca roku Pańskiego 1266

– Ufasz mi?

– Oczywiście.

– To zamknij oczy.

Will usłuchał z westchnieniem. Oparł się na łokciach, czując jak trawa łaskocze go z tyłu w kark.

– Nie możemy po prostu zjeść? – Uchylił jedno oko patrząc, jak Elwina sięga do przyniesionej ze sobą sakwy. Klęczała obok niego w jasnej spodniej sukni sznurowanej po bokach i na rękawach. Szeroki rąbek rozpościerał się na trawie. Dziewczyna zdjęła kapturek i włosy złotorudą falą spłynęły jej na plecy. Dzień był przepiękny. Na opadających łagodnie w dół ku murom miejskim polach kołysały się lekko fioletowe główki ostów, wyższych nieraz od człowieka. Paryż lśnił w południowym słońcu niczym biały klejnot. Z tej odległości, wyzbyty smrodu i wrzawy, urzekał swym pięknem. Will uśmiechnął się zamykając oko.

– Z czego się śmiesz? – Elwina zerknęła na niego podejrzliwie.

– Z twoich dziwnych pomysłów.

– Jeśli nie podoba ci się ta gra...

– Ależ podoba mi się! – rzekł pospiesznie, odgadując z jej tonu, że jest urażona. – Co więcej, mam zamiar wygrać.

– Może chcesz się założyć?

– A co miałbym postawić? W przeciwieństwie do ciebie nie dostaję zapłaty za swoją pracę.

Padł na niego cień, gasząc czerwień słońca przeświecającego przez powieki. Poczuł rękaw sukni muskający mu policzek.

– Mógłbyś postawić w zakład swoje serce.

Uśmiechnął się, choć jej ton zmącił mu błogi nastrój szczyptą przykrego niepokoju.

Coś twardego dotknęło jego warg. Otworzył usta i ostrożnie nagryzł szorstki miąższ. Poczuł kwaskowe mrowienie na czubku języka.

– Jabłko. To było łatwe.

– Następne będzie trudniejsze.

Czekał, przysłuchując się brzęczeniu pszczół w wysokiej trawie. Elwina szperała w sakwie.

– Czy królowa nie będzie cię potrzebować?

– Nie – odparła lekko. – Mam całe popołudnie dla siebie.

Potrząsnął głową. Zazdrościł jej swobody. Większość kobiet w jej wieku była już od kilku lat zamężna. Ich prawa i majątki spoczywały w rękach mężów. Jako poślednia dworka królowej, wciąż niezamężna Elwina cieszyła się wieloma przywilejami; mogła nawet, gdyby chciała, za zarobione pieniądze kupić na własność ziemię. To w połączeniu z więzią, jaka z biegiem lat wytworzyła się między panią a służką, dawało Elwinie wolność, o jakiej Will nie mógł marzyć, będąc związany z zakonem i Ewerardem.

– Ciężko pracuję na drobne przyjemności – powiedziała, widząc jego spojrzenie. –

No, zamknij oczy. – Włożyła mu do ust coś kruchej, słodkiej i pachnącej.

Bawili się tak przez pewien czas. Will rozpoznał ciastko migdałowe, jajko i ser, wykrzywił się niemiłosiernie czując smak cytryny, na co Elwina dostała ataku śmiechu.

– Dość! – powiedział w końcu, wypływając z ust hojną szczyptę soli. Otworzył oczy i usiadł, mrużąc powieki w jaskrawym słońcu. – Myślę, że wygrałem?

– Jeszcze nie. – Zmusiła go, żeby znów się położył. – Ostatnia zagadka.

– Elwino! – jęknął.

– Tylko ta jedna.

– No dobrze. – Zerknął na nią podejrzliwie. – Pod warunkiem że to nie będzie znów cytryna.

Uśmiechnęła się zagadkowo.

– A w ogóle skąd wzięłaś te wszystkie rzeczy? – spytał, ponownie zamykając oczy. –

Czyżbyśmy zjadali królewską wieczerzę?

Nie odpowiedziała. Nachyliła się nad nim, czerwień pod powiekami znów zgęstniała w jej cieniu. Poczłł muśnięcie jej dłoni na swojej i serce zaczęło mu bić jak oszalałe. Chwilę później jego warg dotknęło coś miękkiego. Rozchylił usta, choć wiedział, że to nie ciastko ani owoc, lecz bez porównania słodszy od nich smakołyk. Gdy wargi Elwiny zwały się na jego wargach, a język wśliznął pomiędzy nie, Will zadygotał. Wiedział, że do tego dojdzie, przeczuwał od chwili, gdy otrzymał wiadomość, w której prosiła go o spotkanie pod bramą Świętego Dionizego. Namiętność przewyciężyła rozsadek; pochwylił ją i przyciągnął do siebie, czując bijący z jej ciała żar. Jej włosy spłynęły jak woda po jego twarzy i rękach.

Zanurzył w nich dłonie; tonął w niej cały. Jeśli to był grzech, to słodki jak letni miód.

Pustułka krążąca na polami w poszukiwaniu łupu z krzykiem zanurkowała między trawy. Głos ptaka wyrwał go z zapomnienia. Złapał Elwinę za ramiona i delikatnie odsunął ją od siebie.

– O co chodzi? – spytała, prostując się z nachmurzoną miną.

Usiadł obok, unikając jej spojrzenia.

– Dobrze wiesz, o co chodzi. Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy tego więcej robić.

Przez wzgląd na naszą przyjaźń, tak postanowiliśmy.

– Ty postanowiłeś – poprawiła go Elwina, wstając. Spojrzała w dół na miasto. – I o ile pamiętam, mówiłeś o swojej sukni, nie o naszej przyjaźni.

– Jakiej sukni? – warknął, zrywając się na nogi.

Elwina miała czas przywyknąć do jego wybuchów, ale wciąż ją zaskakiwały niczym grom z jasnego nieba.

Will złapał w garść swoją czarną tunikę.

– Czy to ci przypomina suknię rycerza Świętyni?

Westchnęła.

– Will – szepnęła, potrząsając głową – przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć.

Ale Will nie dał się ułagodzić. Podsunął jej przed oczy swoją dłoń.

– A to? Wygląda jak ręka do miecza?

Czubki palców miał czarne; szorował je codziennie rano i wieczorem przez sześć ubiegłych lat, próbował wszelkich możliwych wywarów z ziół, pozwalał, by Elwina kupowała mu na targu śmierdzące mydła, lecz atrament w żaden sposób nie dał się wywabić.

Elwina twierdziła, że nadają mu wygląd uczonego doktora z paryskiego kolegium. Dla niego plamy na palcach były piętnem, ciągłym przypomnieniem zaprzepaszczonych ambicji.

– Wygląda? – powtórzył.

Elwina przygryzła wargi.

– Może nie, ale to nie jest ważne.

– Nieważne? Wiesz, jak mi ciężko wciąż czekać i patrzeć na rówieśników, którzy składają śluby i opuszczają salę kapitulną jako rycerze? Jako mężczyźni! Okłamałem ojca, Elwino. Napisałem mu, że zostałem pasowany, bo nie miałem odwagi wyjawić mu swojej hańby. – Will odwrócił głowę. – I tak ma już o mnie dość niskie mniemanie.

Podeszła do niego, szeleszcząc bosymi stopami w trawie.

– To nie ma znaczenia, czy nosisz biel czy czerń ani czy władasz mieczem czy też piórem. Liczy się to, co wewnątrz, twoje serce i dusza.

Will prychnął pogardliwie, ale pozwolił, by ujęła go za rękę. Rozprostowała zaciśniętą pięść i ucałowała po kolei czarne czubki palców. Poczował, jak jego gniew gaśnie.

– Nie sroż się – powiedziała. – Wiem, zgodziliśmy się, że nie możemy być ze sobą w ten sposób, ale trudno jest wrócić do tego, co było przedtem.

– Nie potrafię się na ciebie gniewać. – Will delikatnie cofnął rękę. – Mnie także jest trudno, ale tak będzie najlepiej. – Urwał. – Dla nas obojga.

– Tak – przyznała Elwina unikając jego wzroku. – Tak jest najlepiej.

– Powinniśmy już iść. – Will założył pas, przy którym wisiała pochwa z falcjonem.

Bracia służebni zwykle nosili broń tylko wypełniając specjalne poruczenia, lecz Will od kilku miesięcy się z nią nie rozstawał. Chciał w ten sposób dać Ewerardowi do zrozumienia, że nie będzie księżym skrybą do końca życia. Gest ten okazał się czczy; Ewerard chyba w ogóle go nie zauważył. Wszakże poza dwoma listami z Ziemi Świętej, w których ojciec pisał głównie o swym druhu Matiasie, tasak był jedyną namacalną więzią wciąż ich łączącą. Potem zaś nosił

go już z przyzwyczajenia.

Pochylił się, żeby podnieść sakwę wyładowaną nietkniętym jedzeniem.

– Mam jeszcze zajść do pergaminika – powiedział. – Muszę się pospieszyć, bo nie zdążę na nieszpory.

– No cóż, nie zaszkodzi, jeśli i ja wrócę wcześniej. – Elwina zmusiła się do uśmiechu. – Od kiedy król zaprosił trubadura Piotra, żeby zabawił go we Wszystkich Świętych, w zamku panuje zupełne rozprężenie. Służba więcej czasu poświęca plotkom niż pracy. Toteż i królowa bywa ostatnio w nie najlepszym humorze.

– Jakiego Piotra?

Elwina uniosła brew.

– Doprawdy, Will, wiem, że mieszkasz w klasztorze, ale chyba, na Boga, nie jesteś pustelnikiem. Mógłbyś trochę się interesować szerszym światem. – Westchnęła. – Piotr z Pont-Eveque jest trubadurem, poetą. Bardzo sławnym.

– Aha – mruknął Will bez entuzjazmu. Nie podzielał upodobania Elwiny do romansów.

– Na południu wywołał wielkie poruszenie. Jego pieśni są trochę... nieortodoksyjne.

– Elwina strzepnęła z sukni źdźbło trawy. – Myślę, że to będzie interesujący występ.

W milczeniu zaczęli schodzić ścieżką pośród pól. Zbliżając się do miasta, zeszli na ruchliwy gościniec wiodący z Paryża na północ do opactwa Świętego Dionizego, królewskiej nekropolii, gdzie chowano władców Francji od czasu Dagoberta Pierwszego. Nad drogą unosiły się tumany kurzu wzbijanego przez jeźdźców i ciężkie wozy zaprzężone w woły.

Słyszac turkot, Will pociągnął Elwinę na pobocze. Poszli dalej, mijając kilka gospodarstw, słodko pachnące winnice, warowny dwór, dwie kapliczki i przytułek. Mury miejskie zbudowano siedemdziesiąt lat temu za panowania Filipa Augusta, ale od tego czasu Paryż wykijał z ich obręczy i rozlał się na otaczające pola.

Przed bramą rozsiadła się grupa wagantów. Straż baczynym okiem śledziła oberwańców, którzy kluczyli pomiędzy czekającymi w kolejce do bramy wozami i ludźmi, przymawiając się o datki.

– Przeklęci żebracy!

Will obejrzał się i zobaczył tęgiego mężczyznę mierzącego wagantów gniewnym wzrokiem. Używał języka północnej Francji, *langue d'oïl*. Will w czasie pobytu w Paryżu nauczył się go dostatecznie, żeby rozumieć, o czym mowa. Czasem – a była to właśnie jedna z takich okazji – nieomal tego żałował.

– Człek nie może się na krok ruszyć, żeby zaraz go nie napastowali ci złoczyńcy i włóczędzy – rzędził grubas, trzęsąc podbródkami. – Klątwa na nich wszystkich!

Kilku ludzi z kolejki zaczęło nadstawiać uszu. Zachęcony grubas począł wygłaszać diatrybę skierowaną przeciwko rabusiom, próżniakom i sprzedajnym dziewczkom, łamiąc ręce nad upadkiem

kwitnącego ongiś miasta.

Will odwrócił wzrok. Gdyby był rycerzem, nie musiałby czekać w ogonku; przeszedłby przez bramę i nikt nie śmiałyby stanąć mu na drodze. Zagryzł wargi. Ostatnio wszystko się sprzysięgło, żeby przypominać mu o jego niskiej pozycji.

Osiemnaste urodziny – dzień osiągnięcia pełnoletności – były dla niego niczym kamień milowy obwieszczający, że ma jeszcze przed sobą długą drogę. Rok i jeden dzień później myślał, że oczekiwanie dobiegło wreszcie końca. Dziś, choć minęło kolejne sześć miesięcy, nadal był skrybą u starego księdza. W pokorze odbył wieloletnią pokutę za to, że ongiś zbezcześcił hostię; z czasem przestał się nawet skarżyć wykonując żmudne, ciężkie, a nieraz i poniżające prace, które zlecał mu Ewerard. Lecz ilekroć usiłował wydobyć z kapelana odpowiedź na pytanie, dlaczego wciąż odmawia mu prawa wstępu do zakonu, miał wrażenie, że gada do ściany, w końcu więc przestał nawet próbować. Cierń goryczy co dzień wbijał mu się głębiej w serce: gdy dzielił kwaterę z młodziutkami giermkami, a jego rówieśnicy udawali się do rycerskich komnat; gdy klęczał na podłodze kaplicy, a oni siedzieli w ławkach; i gdy szedł na wieczerzę ze świadomością, że będzie spożywał to, co po nich zostało.

Za bramą dali się unieść tłumowi płynącemu ulicą Świętego Dionizego. Tłoczyli się na niej przekupnie i uliczni żonglerzy zabiegający o uwagę przechodniów. Tego dnia odbywał

się targ bydłocy i smród zalegającego ulice gnoju przyprawiał o mdłości. Mieszkając w położonym za murami klasztorze Will wciąż zapominał, jak bardzo Paryż śmierdzi. Kiedy zmuszony był odwiedzić miasto, odbierał to jak zamach na swoje nozdrza. Pot, kwaśny odór garbarni, gnojówka, którą nawożono uprawiane w ogrodach len i konopie, odchody wylewane z okien wprost na ulicę.

– Zaczekasz na dwukólkę? – spytał.

Elwina spojrzała na niebo, oceniając oczy przed słońcem.

– Taki piękny dziś dzień; pójdę pieszo. – Podsunęła włosy pod kapturek. Kilka luźnych pasm wymknęło się z powrotem, spływając jej wzdłuż policzków.

Will odruchowo wyciągnął rękę, żeby je odgarnąć, lecz szybko ją cofnął. Ten gest, kiedyś tak naturalny, wydał mu się niestosowny. Ręka na chwilę zawisła w powietrzu, nim opadła.

– Lepiej już pójdę.

– Chodźmy razem! – Elwina udała, że nie widzi jego skrępowania. – Mówiłeś, że idziesz do pergaminika? Mogę cię odprowadzić aż na Cite.

– Nie idę dziś do Dzielnicy Łacińskiej – odparł szybko. – Dostawcy Ewerarda skończyły się zapasy. Idę do innego, przy Bramie Świątynnej.

– Och. – Poprawiła czepek, żeby ukryć rozczarowanie. – Kiedy się znów zobaczymy?

– Kiedy uda mi się wyrwać ze szponów smoka.

– Niemożliwe, żeby Ewerard był aż taki zły.

– Tak ci się wydaje, bo go nie znasz.

– Przecież nie może wiecznie odmawiać ci prawa do złożenia Ślubów.

– Kto wie, czy nie może – mruknął Will pod nosem, gdy dziewczyna zniknęła w tłumie. Po chwili skręcił i ruszył w tym samym co ona kierunku równoległą ulicą. Ewerard dał mu pieniądze na przejazd dwukółką, ale okolice targu były tak zatłoczone ludźmi i byłem, że szybciej poruszał się pieszo. Czuł wyrzuty sumienia, że okłamał Elwinę, i było mu straszliwie głupio, gdy szedł za nią, ukrywając się, żeby go nie dostrzegła. Po tym pocałunku jednak nie mógł dłużej przebywać blisko niej; wszystko w nim wrzało. Omijając tłumy zszedł

na brzeg Sekwany. Myśli ciążyły mu nie mniej niż popołudniowy skwar.

Od przybycia do Paryża życie jego i Elwiny niewiele się zmieniło. Ona łatwo zadomowiła się na dworze, on – z większymi trudnościami – przywykł w końcu do pracy u Ewerarda. Fizycznie jednak zmienili się oboje: Will wyrósł i zmeźniał, krótka czarna broda łagodziła teraz kanciaste zarysy jego kości policzkowych i podbródka; Elwina zaś była teraz wysmukłą, uderzająco piękną młodą kobietą. Największe zmiany zaszły wszakże w ich wzajemnym stosunku.

A zachodziły powoli, z początku niedostrzegalnie. Gdy miesiące złożyły się w lata, Will zaczął sobie uświadamiać, że ich przyjaźń, wyrosła ze wspólnej żaloby po Owenie, stała się czymś zupełnie innym – podniecającym i przerażającym zarazem. On ze swej strony skrywał uczucia; zerkał na nią ukradkiem, gdy patrzyła gdzie indziej, udawał, że jej słucha z uwagą, gdy tymczasem całym sobą pił tylko jej obecność jak słodki nektar. Elwina była bardziej bezpośrednia. Opowiedziała mu o księdze, którą kiedyś widziała w zamku. Było w niej wiele obrazków przedstawiających kobiety i mężczyzn niezupełnie ubranych lub zgoła nagich, w różnych pozach rozkosznego zapomnienia. Rozprawiała o nich żywo, ale ciemny rumieniec, jaki oblał jej policzki, dowodził, że nachodzące go odczucia i jej nie są obce. Po tamtej rozmowie zaczęli szukać odosobnienia, kraść sobie wzajem ulotne pocałunki przyprawiające Willa o zawrót głowy.

Mijając stojące nad rzeką pyszne domy lombardzkich i żydowskich lichwiarzy, z wysiłkiem przypominał sobie, jak było dawniej, kiedy widok Elwiny nie przyprawiał go jeszcze o dreszcz. Nie potrafił wskrzesić tamtych dni w pamięci; prędzej już wymazałby z niej własne imię. Wiedział, że nie powinien tak myśleć. Grzech cielesny popełniony poza małżeństwem mógłby mu uniemożliwić złożenie ślubów, gdyby zaś się pobrali – o czym Elwina raz czy dwa napomknęła – w ogóle nie miałby prawa do białego płaszcza. Musiałby na zawsze pozostać przybrany czernią ludzkiego grzechu.

Całą siłą woli odepchnął od siebie myśli o Elwinie i wszedł na szeroki most wiodący na wyspę Cite, siedzibę władzy królewskiej. Wokół katedry białe ślady stóp znaczyły przejście mularzy, którzy zeszli z rusztowań, by schronić się przed południowym słońcem.

Will szedł przez jakiś czas za nimi; potem innym, mniejszym mostem przedostał się na lewy brzeg Sekwany.

W Dzielnicy Łacińskiej, mieszczącej paryską uczelnię, panował zwyczajny ruch. W

ciągu półtora wieku od powstania pierwszych kolegiów fundacje pobożnych donatorów rozmnożyły się jak grzyby po deszczu. Żądni wiedzy ludzie z różnych stron Francji, a także Anglii, Niemiec i Niderlandów zjeżdżali tu zgłębiać tajniki teologii, prawa i medycyny, jak również sztuk wyzwolonych pod kierunkiem najznamienitszych doktorów chrześcijańskiego świata. Lawirując wśród duchownych i zaków, Will skręcił w uliczkę Świętego Jakuba prowadzącą do kolegium dominikańskiego, w pobliżu którego miał swój warsztat pergaminnik. Tu znów dwóch ludzi zablokowało mu drogę. Jednym był bosonogi dominikanin w wystrzępionym czarnym habicie i z drewnianym krzyżem na szyi. Stojący naprzeciw niego tęgi młody mężczyzna gestykulował ze zniecierpliwieniem.

– Nie chciałem cię obrazić – usłyszał Will, obchodząc ich dookoła. – Chcę się dostać do domu zakonnego templariuszy. Templum! – Mężczyzna z rozpaczą zamachał rękami i wydukał coś łamaną łaciną.

Dominikanin wygłosił na to ostrą ripostę, której jego rozmówca najwyraźniej nie zrozumiał, po czym odmaszerował oburzony.

– Niech to diabli! – mruknął młody człowiek patrząc za nim ze złością. – Czy ci duchowni nie potrafią normalnie odpowiedzieć na pytanie?

Will teraz dopiero zauważył na nim znajomą tunikę. Podeszedł, chcąc pomóc, i nagle zatrzymał się jak wryty. Młodzieniec był wyższy, niż go zapamiętał, aczkolwiek wciąż znacznie niższy od niego. Twarz miał szeroką i pełną, bujną brodę i wypukłą pierś. Ale błyszczące piwne oczy i rozwichrzona czupryna nic a nic się nie zmieniły.

– Szymon!

Tamten obrócił się. Patrzył na niego przez chwilę i nagle twarz mu się rozjaśniła.

– Dobry Boże! Will?

Will zaśmiał się i porwał go w objęcia, puszczając mimo uszu sarkania przechodzącego żaka, który musiał ich omijać.

– Co tu robisz? – spytał, oglądając dawnego druha od stóp do głów.

Szymon poprawił trzymaną na ramieniu sakwę.

– Właśnie przypląnałem z Londynu wraz z kilkoma rycerzami. Szedłem za nimi, ale zatrzymałem się u rymarza, a kiedy wyszedłem, tamtych już nie było.

– No to zdrowo się zabłąkałeś. Preceptorium jest na prawym brzegu rzeki, a to jest lewy.

Szymon podrapał się po głowie, zwiększając panujący na niej chaos.

– Pytałem o drogę, ale chyba nikt mnie tu nie rozumie.

Will wyszczerzył zęby.

– Nie wiem, czy miałeś taki zamiar, ale przed chwilą spytałeś inkwizytora, którądy masz iść do obory jego żony.

– To był inkwizytor? No, no... – Szymon obejrzał się, kręcąc z podziwem głową. –

Tak się cieszę, że cię widzę, Will. Chociaż dziwi mnie trochę, że nie gonisz z mieczem za Saracenami. – Wskazał tunikę Willa, czarną jak jego własna. – Brocart mówił, że nie złożyłeś ślubów, ale nie powiedział dlaczego.

Radość Willa ze spotkania nagle pierzchła. Podczas zeszłorocznej wizyty Brocarta w paryskim preceptorium starał się go unikać, lecz jak widać na próżno.

– To długa historia – mruknął.

– Chętnie jej wysłucham, jeśli zaprowadzisz mnie do preceptorium.

– Mam lepszy pomysł – rzekł nagle Will, grzebiąc w sakiewce przywieszanej do pasa obok pochwy z falcjonem. Wydłubał z niej monety, które Ewerard dał mu na przejazd. –

Chodźmy się czegoś napić.

– Prowadź! – Szymon uśmiechnął się szeroko.

Will rozejrzał się po szyldach nad drzwiami budynków i po chwili znalazł to, czego szukał. Weszli do ciemnej sieni, w której śmierdziało potem i baraniną. Poczuli miły dreszczyk buntowniczego podniecenia.

Zamówiwszy u gburowatego karczmarza dzban najtańszego wina i bochenek chleba, usadowili się na ławie pod uchyloną okiennicą. Po lepkich deskach stołów łąziły muchy, nie przeszkadzając zgarbionym nad piwem scholastykom w bełkotliwej dyskusji o prawidłowym udzielaniu eucharystii i rozpiętości anielskich skrzydeł. Will słyszał kiedyś, że niektóre szynki stanowiły tylko fronton przybytków grzeszniejszych rozkoszy, gdzie kobieta kosztowała mniej niż dzban piwa.

– Ty pierwszy. – Szymon rozłamał bochenek na pół. – Opowiadaj, co robiłeś od przyjazdu do Paryża.

– Niewiele. – Will upił tyk wina i skrzywił się jak po occie. – W ciągu tych sześciu lat nie oglądałem prawie nic poza pergaminami i pewnym księdzem o paskudnym usposobieniu.

– Brocart mówił, że służysz u kapelana. Bardzo zmartwiła mnie wieść o panu Owenie – dodał Szymon z powagą. – To był przyzwoity człowiek.

– Tak – rzekł cicho Will. – O, tak.

Z czasem jego żal po śmierci Owena przestał być tak dotkliwy, ale wspomnienie opiekuna do dziś go nawiedzało. Byłoby może inaczej, gdyby nowy zwierzchnik nie okazał

się aż tak antypatyczny.

Szymon podał mu chleb.

– Pamiętam, jak onego roku, wkrótce po powrocie rycerzy z Paryża, do preceptorium przyjechał król Henryk. Był wściekły, czerwony na twarzy; nie zsiadł dobrze z konia, a już wrzeszczał na naszego mistrza, że nie dość, że zabrał mu klejnoty, to jeszcze omal nie dał

sobie ich zrabować i do tego naraził życie królowej. – Szymon świsnął przez zęby. – Omal się nie pobili! Zakładaliśmy się, kto pierwszy uderzy: mistrz Humbert czy król. Było śledztwo w tej sprawie, wiesz?

Will kiwnął głową.

– Nie znaleziono żadnych dowodów na to, że Henryk był w nią zamieszany.

– Nikt już nie miał głowy do szukania dowodów, kiedy rozpętała się wojna domowa.

– Szymon potrząsnął głową. – Dziwne to były lata. My byliśmy bezpieczni w preceptorium, nikt tak naprawdę się nas nie czepiał, ale w Londynie działy się straszne rzeczy, nie mówiąc już o reszcie Anglii. Przez połowę czasu nie wiadomo było, kto właściwie rządzi. Raz król, raz Szymon z Montfortu z baronami. Nie trwało długo, nim baronowie otwarcie się zbuntowali. Powiadali, że chcą więcej władzy dla ludu. Zdobyli Gloucester, Pięć Portów,

[*Cinque Ports* – handlowo-militarna konfederacja miast Hastings, New Romney, Hythe, Dover i Sandwich położonych w najwyższym miejscu kanału La Manche] sporą część hrabstwa Kent, no a potem spotkali się z armią królewską pod Lewes.

– Słyszeliśmy tu o tej bitwie.

– Nie dziwota. W Anglii rozprawiano o niej miesiącami. Księżę Edward walczył w niej jak lew i sam poprowadził szarżę na buntowników.

– Kiedy ponoć właśnie uderzył zbyt pochopnie – Will wbił zęby w czerstwy chleb – i przez to przegrał bitwę?

Szymon wzruszył ramionami.

– Powtarzam, co słyszałem. Tak czy owak choć w Lewes Edward został wzięty do niewoli, wkrótce zbiegł i wytoczył baronom następną bitwę pod Evesham. Własną ręką zabił

Montforta, a potem uwolnił ojca. Później zaś większość zbuntowanych uciekła albo się poddała.

– Czyli wojna już się skończyła?

– Najwierniejsi stronnicy Montforta bronią się jeszcze w Kenilworth, ale armia Henryka oblega ich już od paru miesięcy. Tak sobie myślę, że zamek niedługo padnie. –

Szymon wypił resztkę wina i nalał sobie znów do pełna.

Zamilkli. Po tak długim rozstaniu żaden nie wiedział, o czym mówić.

– Zatem – rzekł po chwili Szymon, prostując się – krewniaczka pana Owena pozostała w Paryżu? – Zachichotał. – Słyszeliśmy i o niej.

Will omal nie zakrztusił się winem.

– Co słyszeliście?

– Że zakradła się na statek.

– A, to prawda. – Will skinął głową i odchrząknął.

– Wciąż tu mieszka?

– Tak. – Will poczuł, że rumieniec wypełza mu na policzki. – Została służebną królowej Małgorzaty. W wolnych chwilach czasem się widzimy. Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, skąd się tutaj wzięłeś?

– Awansowano mnie, i to, wystaw sobie, na prośbę marszałka prowincji francuskiej.

– Szymon wyraźnie się zmieszał. – Parę miesięcy temu był w Londynie, jego koń zachorował.

Udało mi się go uratować. – Wzruszył ramionami. – To nie było trudne, wystarczyło dać zioła na gorączkę, no i trzymać zwierzaka na nogach przez całą noc. Ale widocznie musiałem zrobić dobre wrażenie, bo marszałek napisał do mistrza Humberta, że chce mnie tu jako nadzorcę stajen.

– Chwała ci za to! – Will zmusił się do uśmiechu. Syn garbarza z Cheapside zajmował teraz wyższe stanowisko niż on.

– Dziękuję – rzekł skromnie Szymon.

Will dokończył wino i wstał, czując lekki zawrót głowy.

– Muszę ci wytłumaczyć, jak dojść do Templum.

– Nie pójdziesz ze mną?

– Mam jeszcze sprawunek do zrobienia. To trochę potrwa, a ty musisz się stawić przed marszałkiem. Mówiłeś, że na statku byli też rycerze? Na pewno już się zameldowali w preceptorium.

– A, właśnie... – Szymon urwał. – Nie mówiłem ci, prawda? Jest tu jeszcze jeden twój znajomek. Garen z Lyonu.

– Garen?

– Tak. – Szymon wstał, zachwiał się i chwycił za blat stołu. – Matko Boska, upiłem się! Ano, Garen, ale ten w swoim białym płaszczu nie zniżyłby się do tego, żeby zaczekać na takiego prostaka jak ja. Pewnie błąkałbym się po mieście z tydzień, gdybym ciebie nie spotkał.

– Złożył śluby? – spytał Will, choć mógł się domyślić odpowiedzi.

Szymon kiwnął głową i klepnął go w ramię.

– Jutro, jak będziemy leczyć bolące głowy, opowiesz mi, dlaczego ty ich jeszcze nie złożyłeś. Bynajmniej mnie to nie martwi – dodał wesoło. – Kto by tam chciał być rycerzem?

– No właśnie – mruknął Will.

Udzieliwszy druhowi dokładnych wskazówek, ruszył dalej ulicą Świętego Jakuba. W

żołądka ciążyło mu kwaśne wino, w myślach – cierpki smak zasłyszanych od Szymona nowin. Bardzo się ucieszył ze spotkania, ale to, że obaj przyjaciele z dawnych czasów znaleźli się w Paryżu i obaj piastowali odpowiedzialne funkcje stosowne dla mężczyzn ich stanu i wieku, pogłębiło tylko jego gorycz. Usiłował sobie wyobrazić Garena jako rycerza, ale widział tylko chudego złotowłosego chłopca z posiniaczoną twarzą. Przez myśl przepłynęły mu słowa Elwiny: *Ewerard nie może wiecznie odmawiać ci prawa do złożenia ślubów*. Jakiś miesiąc wcześniej, kiedy Ewerard po raz kolejny wykręcił się od rozmowy o jego pasowaniu, Will przyrzekł sobie, że nim rok minie, znajdzie się w Ziemi Świętej. Wiedział, że ojciec stacjonuje w Safedzie. Jeśli zdoła złożyć śluby w ciągu najbliższych miesięcy, poprosi, by go tam przeniesiono. Za długo milczał. Musnął palcami dyskowatą głowicę falcjona.

Przed kolegium dominikanów wszedł w boczny zaułek wiodący do pergaminnika.

Tuż przed nim wytoczył się z gospody rosły mężczyzna. Wpadł na Willa, oblewając się piwem z trzymanego w ręku dzbana.

– Niechże to diabli! – wykrzyknął.

– Wybacz, nie zauważyłem cię w porę – rzekł Will, ustępując mu drogi. Po białym krzyżu na czarnej sukni poznał rycerza Zakonu Świętego Jana Chrzciciela Szpitala Jerozolimskiego.

– Nie widziałeś? – spytał zaczepnie rycerz, z miernym skutkiem otrzepując z siebie piwo. – To co, jesteś ślepy?

– Powiedziałem już, że przepraszam.

Ruszył dalej, lecz joannita złapał go za ramię.

– To nie wystarczy! – Ciężki oddech i opadające powieki świadczyły, że nie był to pierwszy dzban tego dnia. Z wysiłkiem przyjrzał się tunice Willa i na wargach wykwitł mu szyderczy uśmiech. – Templariusz, co? To jak zamierzasz załatwić tę sprawę, bracie?

Will wyszarpnął rękę.

– Przeprosiłem cię. Nie widzę potrzeby robić więcej.

– Co tu się dzieje, Rasequin?

Z szynku wytoczyło się czterech rycerzy niemal równie nietrzeźwych jak ich towarzysz. Rasequin wskazał im Willa.

– Ten gówniany templariusz wylał mi piwo i nie chce zapłacić.

– Przeproś naszego brata! – zażądał pryszczaty młodzik najwyżej o rok starszy od Willa.

– Już to zrobiłem – Campbell zgrzytnął zębami. – A gdyby wasz przyjaciel był

bardziej rozgarnięty, przyjąłby przeprosiny, zamiast się pieniść.

– Ty szczeniaku! – wybełkotał Rasequin, cisnął dzban i niezdarnie sięgnął do miecza.

Jego towarzysze podeszli bliżej.

– Zostaw chłopaka, Rasequin – odezwał się jeden z nich, starszy od pozostałych. –

To tylko serwiens.

Will zaczerwienił się i oparł dłoń na głowicy tasaka.

– Najpierw... – Rasequin nareszcie zdołał wyciągnąć miecz z pochwy I zatoczył się kilka kroków w tył – najpierw dam temu prostakowi nauczkę!

Ruszył wprost na Willa, który dobył falcjona.

– Odstąp – uprzedził go starszy rycerz. – Ja to z nim załatwię.

– Ojej, patrzcie! – rozchichotał się przyszczaty. – Ten to ma oręż jeszcze z czasów Rzymian!

Jego śmiech urwał się, gdy Will skoczył do przodu. Trzej joannici cofnęli się odruchowo. Czubek falcjona zawisł o cal od gardła Rasequina. Will nie widział w tej chwili nikogo i niczego oprócz twarzy stojącego naprzeciw człowieka. Fala gniewu uderzyła mu do głowy, upoiła go; o wiele przyjemniej było ją uzewnętrznić, niż tłumić.

– No dalej! – zachęcił przeciwnika, krzywiąc wargi w szyderyczym półuśmiechu. –

Walcz!

Rasequin był zanadto pijany, by otrzeźwiła go furia bijąca z oczu Willa. Uniósł

miecz.

– Odstąp! – powtórzył ostro starszy rycerz. – Stój, niech cię diabli! – krzyknął, gdy Will przyjął pozycję, wznosząc tasak do ciosu.

Powstrzymała go mocna dłoń, która niby w kleszcze schwyciła jego przegub.

Odwrócił się, by stawić czoło kolejnemu napastnikowi, i nagle znieruchomiał widząc obok siebie biały płaszcz rycerza Świątyni.

– Za chwilę, giermku – rzekł spokojnie templariusz – puszcze twoją rękę, a ty wtedy schowasz broń do pochwy.

Will rozochocony przedsmakiem walki zawahał się, lecz po chwili skinął głową.

Templariusz puścił go i patrzył, jak Will chowa tasak. Potem przeniósł wzrok na szpitalników.

Rasequin opuścił miecz, ale wciąż nienawistnie spozierał na Willa.

– Co było przyczyną zwady?

– Nieporozumienie – starszy rycerz grzecznie skłonił głowę. – Ten tu młodzieniec –

wskazał na Willa – rozlał piwo naszemu bratu.

Templariusz obejrzał się. Jego oczy miały barwę zimnego błękitu i zdawały się jeszcze jaśniejsze w zestawieniu z czarnymi włosami i brodą.

Był po czterdziestce, miał przystojną twarz o ostrych rysach, zaś oliwkowe zabarwienie skóry pozwalało przypuszczać, że spędził nieco czasu w cieplejszym klimacie.

– Czy tak? – spytał.

Will wytrzymał spojrzenie. Widywał go już w preceptorium, ale nawet nie znał jego imienia.

– Zrobiłem to niechcący, panie.

– Może wystarczyłoby przeprosić, zamiast dążyć do pojedynku?

Will otworzył usta, żeby się bronić, ale zrezygnował.

– Tak, panie – przyznał.

Templariusz sięgnął do pasa i wydobyl z trzosa złotą monetę. Podszedł do Rasequina.

– Myślę, że to pokryje wszelkie straty.

Rasequin burknął coś niewyraźnie, ale monetę przyjął.

– Starczy aż nadto, bracie – rzekł starszy rycerz. Skłonił się jeszcze raz i kiwnął na swych towarzyszy. – Idziemy.

Odeszli w głąb zaułka, prowadząc potykającego się Rasequina.

Will odprowadził ich wzrokiem zdumiony, że konflikt dał się rozwiązać tak łatwo.

Joannici mogli złożyć na niego formalną skargę albo zażądać rozstrzygnięcia sporu przez pojedynek sądowy. Wcale nie byłby tym zaskoczony. W kontaktach z Templum braci od świętego Jana nie cechował nadmiar chrześcijańskiego miłosierdzia. Ilekroć nadarzała się sposobność, psuli im interesy albo występowali z ciągłymi roszczeniami – że struga zasilająca młyn templariuszy zalała im pola; że ludzie Świątyni zajmują na targu z wełną więcej miejsca niż ich dzierżawcy; że templariusze przekupili władze kościelne i zajęli przyobiecany już joannitom kościół, w którym mogli teraz zbierać datki... A jednak mimo wszystkich tych niesnasek dwa zakony w istocie niewiele się różniły. Zakon Szpitala Świętego Jana z Akki, założony jeszcze przed pierwszą krucjatą, dwadzieścia lat

wcześniej niż Zakon Świętyńi, miał

z początku na celu wyłącznie opiekę nad chorymi pielgrzymami w Ziemi Świętej. Wkrótce jednak po pojawieniu się templariuszy szpitalnicy zaczęli ich naśladować, przyjmując funkcje militarne, budując zamki i prowadząc działalność handlową. Ich ceremonie wzorowane były na rytuałach templariuszy, ci zaś twierdzili, że nawet biały krzyż o rozszczepionych końcach, zdobiący czarne suknie joannitów, został zapożyczony z ich stroju.

– Co cię napadło, młodzieńcze?

Will zerknął na rycerza.

– Przepraszam, panie. Nie miałem racji i zbyt pochopnie... – Kopnął leżący na drodze kamień i spojrzał tamtemu w twarz. – Nie, to kłamstwo. Wcale nie jest mi przykro.

Przeprosiłem go, a on nie chciał przyjąć przeprosin. Pierwszy wyciągnął miecz.

– Dobyłeś zatem swego w obronie własnej?

– Nie – przyznał po chwili Will. – W gniewie. Nie miałem zamiaru go zranić, tylko...

Umilkł. Chwyając oręż, znów poczuł na wpół zapomniany dreszcz. Ćwiczenia w samotności nie umywały się do starcia z przeciwnikiem, brakowało im tego czystego podniecenia. Ale teraz uniesienie minęło, było mu tylko głupio.

– Trudno byłoby to nazwać walką – zauważył rycerz. – Twój przeciwnik ledwie trzymał się na nogach.

– Wiem. Chyba chciałem go po prostu upokorzyć.

– *Aquila non captat muscas.*

– Orzeł nie łowi much?

– Właśnie. – Rycerz wyciągnął prawicę. – Jestem Mikołaj z Nawarry.

– Wilhelm Campbell – przedstawił się Will ściskając dłoń poznaczoną zgrubieniami świadczącymi o częstym używaniu miecza.

Mikołaj skinął głową.

– Widziałem cię w preceptorium. Służysz Ewerardowi z Troyes?

– Znasz brata Ewerarda?

– Znam jego prace. Sam zbieram rzadkie księgi, a raczej gromadziłem je, zanim wstąpiłem do zakonu. Parokrotnie próbowałem skłonić go do pogawędki, ale wydał mi się...

– Wredny? – poddał Will.

– Odludkiem – uśmiechnął się Mikołaj. Zajrzał w zaułek. – Dokąd szedłeś?

– Po pergamin. Pracujemy nad nowym przekładem.

– Coś ciekawego?

– Tak, o ile interesują cię lecznicze właściwości drzew oliwnych.

Rycerz roześmiał się.

– Wobec tego nie będę dłużej odrywał cię od pracy. Życzę dobrego dnia. – Urwał. –

Dam ci jednak pewną radę, bracie: na przyszłość pilniej bacz, przeciw komu wyciągasz miecz. Następny przeciwnik może nie dać się tak łatwo odwieść od zamiaru przelania twej krwi.

– Jeśli wolno spytać, panie – zawołał za nim Will – czy zamierzasz donieść bratu Ewerardowi o tym wydarzeniu?

– Jakim wydarzeniu? – Mikołaj zmrużył oko i odszedł.

18

Pod murami Safedu, Królestwo Jerozolimskie

Dziewiętnasty dzień lipca roku Pańskiego 1266

Omar popatrzył na sterczącą ze skalnego grzebienia szaro-białą fortecę, która zdawała się dosięgać chmur. Z tej odległości zbrojni na blankach byli nie więksi od mrówek; mrówki te wszakże miały ostre zęby – w jednym tylko natarciu stracili pięćdziesięciu ludzi od strzał łuczników. Przyjrzał się gładkim niedostępnym murom. Jeśli można było powiedzieć o Frankach coś dobrego, to że umieli wznosić zamki. Ich budowle nie były ani tak kształtne, ani tak piękne jak arabskie, lecz – podobnie jak sami Frankowie – nieustępliwe i mocne. Omar odwrócił się i wszedł do pawilonu stojącego w centrum obozowiska.

Dwaj eunuchowie nakładali właśnie Bajbarsowi wypolerowaną na błysk kolczugę, inny stał w pogotowiu z pasem i szablą. Za plecami sułtana widać było pusty tron, lwie głowy na oparciach połyskiwały w świetle lamp. Z cienia pod ścianą namiotu dobiegło chrząknięcie owiniętego w koc Kadira. Zaklinacz wymamrotał coś przez sen, obrócił się na wznak i zaczął

chrapać.

– Panie – Omar skłonił się przed sułtanem.

Bajbars odprawił sługi i sam zapiął kolczugę pod szyją.

– Omarze – powitał go, marszcząc brwi – cieszę się, że wreszcie znalazłeś czas, by mnie odwiedzić.

Omar pokłonił się jeszcze niżej.

– Wybacz mi, panie. Spałem.

– Wciąż tak łatwo cię nabrać! – zaśmiał się Bajbars, błyskając niebieskimi oczyma.

Uścisnął przyjaciela i cofnął się pozostawiając w nozdrzach Omara zapach wonnego olejku.

Zdjął z wieszaka pozłocisty płaszcz wyszywany wersetami z Koranu i narzucił go na muskularne ramiona.

Sułtan Egiptu prawie nie zmienił się fizycznie w ciągu sześciu lat od czasu, gdy objął

tron. Jeśli nie liczyć paru białych pasm we włosach i brodzie, wyglądał tak samo. Największa zmiana zaszła w jego wnętrzu. Omar miał kiedyś nadzieję, że gdy Bajbars ziści swe ambicje, ciężar odpowiedzialności nieco go utemperuje. Ale jako sułtan Bajbars był jeszcze bardziej zawzięty, brutalny i kapryśny niż kiedykolwiek przedtem. Nie uspokoiły go nawet narodziny syna. Baraka Chan, pięcioletni dziś następca tronu, przyszedł na świat rok po wywyższeniu ojca. Dotąd Bajbars w ogóle się nim nie interesował, twierdząc, że dopóki chłopak nie podrośnie na tyle, żeby walczyć z Frankami, jego miejsce jest przy matce.

Omar czuł, wiedział, że jego sułtan jest wciąż tym samym człowiekiem, ale jakby rozszczepił się na dwoje. Jedna połowa nadal była zdolna do dobrych uczynków, rozmiłowana w pięknie i głęboko religijna. Bajbars podźwignął z upadku Kair i wskrzesił

kalifat, namaszczając Beduina na przywódcę islamu. Ale tę jego połowę coraz bardziej przesłaniał cień drugiej – bezwzględnej, przebiegłej i całkowicie bezlitosnej.

W pierwszym roku rządów Bajbars kazał stracić Aktaja i resztę zwolenników dawnego sułtana. Odebrał Aleppo mianowanemu przez Kutuza namiestnikowi pod pozorem, jakoby spiskował przeciw niemu. Następnie podporządkował sobie Damaszek, Kerak i Hims i zawarł sojusz z jednym z mongolskich wodzów, rozwiązując sobie ręce do wojny z chrześcijanami. Od tamtego czasu trzykrotnie wyruszył z Kairu na czele armii, by jak jastrząb spaść na głowy Franków.

Omar nie kochał Franków; tak samo jak wszyscy pragnął, by odeszli, a na wojnie –

cóż, śmierć to na wojnie rzecz nieunikniona. Ale martwił się widząc, jak wielką przyjemność czerpie Bajbars z cierpienia swoich ofiar. Zaczynał się obawiać o jego duszę.

– Masz minę człowieka przygniecionego brzemieniem trosk, przyjacielu – zauważył

sułtan, dopinając pas z szablą.

– Nie, *sadik*. Jestem po prostu zmęczony.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro lepiej się wyśpisz. Spotkałem się z dowódcami; pułki są już na pozycjach. Skoncentrujemy atak na bramie, którą uszkodziliśmy w poprzednim natarciu, oraz na murach z przeciwnej strony twierdzy. To ich zmusi do podzielenia sił, dzięki czemu będziemy mogli podejść na tyle blisko, by przypuścić trzeci szturm na środkowy odcinek. Jeśli uda nam się rozbić mur, wtargnie przezeń stojący w pogotowiu oddział. Przerzedzi szeregi Franków, zanim ci zdążą się wycofać do wysokiego zamku. Mam dla nich jeszcze jedną niespodziankę. Nie odbierze im ona życia, ale ducha. –

Bajobrs urwał i przyjrzał się Omarowi. – Masz wątpliwości?

– Odparli nas już dwa razy – bąknął Omar, unikając jego spojrzenia. – Nie wiem, czy zdołamy urzeczywistnić ten plan nie tracąc bardzo wielu ludzi. Może powinniśmy skupić się na mniej warownym celu? A potem, kiedy wojska emira Kalauna wrócą z Cylicji, ściągniemy tu pełną siłą i wtedy...

– Walki Kalauna z Ormianami potrwać jeszcze długo; nie możemy na niego czekać.

Kiedy wyruszaliśmy, naszym celem było zniszczenie stolicy Franków w Akce. To się nam nie udało, a ludziom potrzebne jest zwycięstwo. Rozmyślnie wybrałem Safed, bo wydaje się niezdobyty. Od trzech lat rżniemy Franków, a oni wciąż odpowiadają nam tą samą butą.

Czują już przed nami respekt, ale jeszcze się nie boją.

– Nie? – Omar przypomniał sobie zgrozę malującą się na twarzy każdego chrześcijanina, który padał pod jego ostrzem.

– Pamiętasz, Omarze, jak zgodziłem się na wymianę jeńców z frankijskimi baronami? Templariusze i ci, którzy nazywają się szpitalnikami, odmówili wydania jeńców, twierdząc, że zbyt sobie ich cenią jako niewolników. – Bajbars przeszedł kilka kroków po namiocie; jego zaciętrzewienie rosło. – Wtedy jeszcze nie traktowali mnie poważnie. Ale wkrótce będą. Każde zniszczone miasto albo wioska to dla nich cios, ale upadek jednej z najpotężniejszych twierdz rzuci ich na kolana. – Zacisnął pięść w powietrzu. – Udowodnię im, że nie ma niezdobytch zamków ani niezwyciężonych rycerzy.

Omar podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Wiem, że tego dokonasz, panie.

Po chwili Bajbars nakrył dłonią jego dłoń. Pokiwał głową.

– Chodź. Już czas.

Kiedy wyszli z namiotu, zobaczyli, że nad doliną Jordanu wstaje świt. Dosiadłszy koni, ruszyli w stronę pierwszych linii. Wszystkie oczy wpatrzone były w Bajbarsa Kuszę w łopoczącym złocistym płaszczu. On zaś stanął w strzemionach i uniósł szablę ku niebu.

Safed

Campbell stał ze swym oddziałkiem na murach niskiego zamku, gdy zobaczył, jak sułtan objeżdża wojska.

– Przygotować się! – krzyknął.

Strzelcy napięli luki, utkwivszy wzrok w szeregach nieprzyjaciół; syryjscy najemnicy poprawili w dłoniach liny spustowe trebuszy. Na wschodzie zabłysły pierwsze promienie słońca i przez równinę natychmiast przetoczyła się fala upału. Campbell zerknął na południe, gdzie góry okryły się różowym, a potem czerwonym rumieńcem. Tutejsze wschody słońca napełniały go olbrzymią radością; poczuciem, że stoi na ziemi Bożej oglądając dziejące się przed jego oczyma cuda. Dziś jednak widoczne na horyzoncie góry przywiodły mu złowróżbne wspomnienie. To tam, między dwoma wyniosłymi Rogami Hittinu, siedemdziesiąt lat temu muzułmanie wyrznęli całą chrześcijańską armię. Jeszcze dalej na południe leżała Herbija, miejsce innej klęski krzyżowców. W każdym możliwym kierunku można było wskazać pola, miasta i brody, gdzie Frankowie padali w starciach z obrońcami islamu.

Napotkał spojrzenie Matiasa zajmującego ze swymi ludźmi sąsiednie stanowisko obronne. Rycerz zasalutował mu mieczem. Jakub odpowiedział tym samym i skupił wzrok na napastnikach.

– Boże, miej nas w opiece – szepnął.

Słowa utonęły w ogłuszającym ryku mameluków, którzy podjęli okrzyk bojowy sułtana. Zaraz potem pierwszy atak jak burza uderzył w twierdzę.

Oslaniane przez saraceńskich łuczników maszyny podciągnięto do przodu. W

powietrzu świstały roje strzał wystrzeliwanych z obu stron; uderzały w mury, tarcze i ciała.

Campbell uskoczył, gdy jedna spadła tuż obok i zagrzechotała na ganku. Po ostrzale łuczniczym rozpoczęło się bombardowanie. Ramiona onagrów śmigwały w górę i uderzając o poprzeczną belkę, wyrzucały ładunek w stronę twierdzy. Kilka głazów odbiło się od fortyfikacji i roztrzaskało na skałach u ich podnóża. Jeden wszakże uderzył dość wysoko w narożną wieżę i Campbell mimo dużej odległości poczuł, że mur drży mu pod stopami.

Pocisk spadł zabierając ze sobą fragment ściany i kilku zbrojnych, którzy musieli się znajdować na biegnących wewnątrz schodach. Wszystko razem runęło do stóp wieży. Jakub zacisnął pięści widząc, jak chłopiec, gołowąsy giermek, koziółkuje kilkakrotnie w powietrzu.

Zamknął oczy, nim tamten roztrzaskał się na dole. Miał ochotę przechylić się przez blanki i rozkazać mamelukom, by natychmiast przestali. Tymczasem jednak nie mogło być mowy o jakichkolwiek rozmowach. Wrzała bitwa. Każdy walczył o życie.

Ciągnięta na linach wineja toczyła się z chrzęstem pod bramę. Trafiony strzałą w szyję mameluk zaskrzeczał chrapliwie, padł na wznak i stoczył się ze stromego zbocza, ale zaraz zastąpił go następny. Wineja znikła Jakubowi z oczu. Kilka chwil później posłyszał

dudnienie, spotęgowane echem w barbakanie. Brzmiało to tak, jakby gigantyczna pięść dobijała się do bramy.

– Panie!

Syryjczyk wskazywał za mury. Campbell zobaczył tam siedem mangoneli podtaczanych naprzeciw środkowego odcinka murów, nad którym miał komendę. Jego grupa stanowiła jedną z trzech na tym odcinku. Większość zbrojnych posłano do bramy i przeciwległego rogu twierdzy, na którym skoncentrował się ostrzał dwudziestu egipskich machin. Jakub zaklął i odwrócił się do swoich ludzi, którzy czekali na rozkazy.

– Łucznicy, gotuj się – rzekł spokojnie. Skinął stojącej obok obsłudze trebusza. – Wy strzelacie dopiero na mój rozkaz.

Obrócił się, żeby ostrzec Matiasa, ale przyjaciel już sam dostrzegł zagrożenie. Jego oddział był gotowy. Jakub spojrział na zbliżające się mangonele i uniósł rękę.

– Czekać – warknął. Tymczasem maszyny wroga nastawiono i obsługa przesunęła się do tyłu. – Czekać... Teraz!!! – Ręka opadła.

Ramię trebusza wystrzeliło w górę prawie w tym samym momencie, co pozostałych dwóch na ich odcinku. W ślad za trzema wielkimi kamiennymi pociskami z murów śmignął

rój strzał. Mamelucy próbowali uciekać, ale było już za późno. Jeden z pocisków chybił, pozostałe dwa trafiły prosto w cel. Na dole eksplodowała kula ognia, obejmując także sąsiednie wyrzutnie załadowane najwyraźniej garnkami z ogniem greckim, palną mieszaniną ropy, smoły i czarnego prochu. Płonące odpryski przywierały do machin i obsługujących je ludzi, którzy padali z krzykiem na ziemię tarzając się w płomieniach. Syryjczycy na murach zakrzyknęli jednym głosem:

– *Deus vult!* Bóg tak chce!

– Boże miłosierny – mruknął Campbell. Patrzył na wiwatujący oddział Matiasa. Jego przyjaciel wywrzaskiwał swe wojenne zawołanie, zęby miał obnażone w brzydkim grymasie.

Jakub rozumiał, co czuli; trudno nie czuć triumfu, gdy ocaliłeś życie, nawet kosztem śmierci innego człowieka. Ale choć i on sam cieszył się, że żyje, nie potrafił się wprawić w tak ekstatyczny nastrój. Roześmiany Matias wołał coś do niego, lecz nagle wyraz jego twarzy uległ raptownej zmianie. Uśmiech zniknął, usta otworzyły się szerzej. Równocześnie Campbell posłyszał zbliżający się cichy świst. W ułamku sekundy, nim zdążył się odwrócić, przypomniały mu się nagle porywy wiatru omiatające wrzosowiska w rodzinnej Szkocji. I nagle zobaczył wielki ciemny kształt lecący wprost na niego. Nie zniszczyli wszystkich machin; jedna wystrzeliła kamienny pocisk. Wrzasnął ostrzegawczo do swoich ludzi, którzy wciąż wznosili radosne okrzyki, odwrócił się i zerwał do biegu. Jego nogi poruszały się wolno jak w mazi; miał wrażenie, że zrobił zaledwie parę kroków, kiedy pocisk dosięgnął

celu. Nie zdążył nawet krzyknąć. Fala kamieni i krwi uderzyła go w plecy, zbijając z nóg. Z

głuchym stęknieniem wylądował na brzuchu. Po lawinie odłamków muru na ziemię zaczął

padać inny grad: oderwane kończyny wciąż odziane w strzępki odzieży, czyjaś dłoń, kawałki kości i chrząstek – wszystko co zostało z Syryjczyków. Jakub odwrócił głowę. Kamień drapał

go w policzek. Próbował się podnieść, ale zemdlął.

Nie wiedział, jak długo leżał. Później powiedziano mu, że tylko parę chwil, jemu wszakże wydały się wiecznością. W końcu poczuł, że czyjeś silne ręce chwytają go i stawiają na nogi.

– Czy ja zginąłem? – spytał ozdobionej białą brodą twarzy, która przepłynęła mu przed oczami.

– Jeszcze nie, chwala Bogu.

Szum w głowie zaczął cichnąć. Campbell z wysiłkiem obrócił się do mężczyzny, który mocno obejmując go ramieniem na poły prowadził, na poły włókł go w stronę schodów.

Przełknął ślinę, pokonując opór zalegającego w gardle pyłu.

– Matias – wychrypiał. – Co się stało?

– Później. – Matias pociągnął go dalej. – Najpierw muszę cię zaprowadzić do infirmerii.

– Nie. – Campbell przystanął i zachwiał się na nogach. – Nie – powtórzył bardziej stanowczo, wyzwolił się z objęć Matiasa i oparł o mur. – Nic mi nie jest.

Nad obwałowaniami wciąż przelatywały strzały i kamienie, lecz gdy sześć z siedmiu mangoneli stało w ogniu, oblegający nie byli w stanie przeprowadzić skutecznego ataku.

– Nie jestem medykiem – odparł Matias ponownie chwytając go pod ramię – ale widząc człeka zalanego krwią od stóp do głów podejrzewałbym, że coś mu jednak jest.

Jakub spojrział na siebie i zobaczył, że jego ongiś biały płaszcz jest podarty w strzępy i przesiąknięty szkarłatem.

– To nie moja krew – powiedział. Obejrzał się na stanowisko, które zajmował ze swoimi ludźmi, i szeptem odmówił modlitwę dziękczynną. Miał niezwykłe szczęście, że uszedł z życiem.

W koronie muru ziała potężna wyrwa o nierównych ponadkruszanych brzegach, jakby jakaś olbrzymia bestia odgryzła sobie kawałek. Przejście zaścielały odłamki kamienia i trupy. Część budulca osypała się do środka, część na zewnątrz, ale wyrwa wciąż była za wysoko, by nacierający mogli z niej skorzystać. Jakub zawrócił i otarłszy się o Matiasa, syknął. Przez dziurę w rozprutej kolczudze i szacie zobaczył spory odłamek kamienia wbity w ramię.

Matias podążył wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem.

– Brzydko to wygląda – rzekł. – Chodź, niech cię opatrzą.

Znad bramy podniósł się donośny okrzyk. Matias przechylił się przez blanki.

– Złapaliśmy taran!

Wyglądając za mury ujrzeli pierzchający spod bramy wrogi oddział. Obrońcy zdołali złapać hakami taran i podciągnąć go w górę, tak że stał się bezużyteczny. Wykurzyli też mameluków spod zadaszenia, opuszczając na nie płonące bele słomy skąpanej w siarce. Teraz większość uciekających napastników padała na ziemię przeszyta strzałami Franków.

Podniósł się kolejny krzyk, tym razem w mameluckim obozie. Pierwsze szeregi łuczników przesunęły się do tyłu.

– Wycofują się – rzekł Matias. – No dalej, dranie!

– Czekaj. – Jakub położył mu rękę na ramieniu. – Patrz.

Onagry ustawione naprzeciw dalszego skraju fortecy ładowano ponownie do ostatniej już salwy tego ranka. Tym razem jednak nad murami nie przeleciały kamienie, lecz ciała. Trzydzieści ciał chrześcijan schwytanych w pobliskich wioskach spadło niczym grad w obręb niskiego zamku. Koczujący w nim chłopcy krzyczeli przeraźliwie widząc roztrzaskujące się na bruku trupy. Każdy miał wymalowany na sobie wielki czerwony krzyż. Bajbars kpił z zamkniętych w twierdzy wyznawców Chrystusa.

Pod murami Safedu

Dziewiętnasty dzień lipca

Sułtan wszedł do namiotu, zrywając z siebie pas z szablą. Eunuchowie przyskoczyli, żeby zdjąć z niego płaszcz.

– Wyjść! – krzyknął. Słudzy pierzchli w mgnieniu oka.

– Mój panie – rzekł Omar, patrząc, jak Barbars wielkimi krokami podchodzi do tronu i siada, zaciskając ręce na lwich głowach – nie wszystko stracone. To był dopiero trzeci atak.

– Chciałem dziś z tym skończyć.

– Mają twardą skórę.

– Gdyby nie roztrzaskali naszych machin, Safed byłby dziś upadł. – Bajbars zabębnił

palcami w głowy lwów. – Sprawnie wykorzystują swoje siły. – Pokręcił głową. – Jak dzik kły.

– Wyślij nakkabunów. To wzgórze na pewno jest zryte tunelami. Można ich zaskoczyć spod ziemi.

– Nie. Podkop zajmie zbyt wiele czasu. – Bajbars wciąż bębnił palcami w oparcia tronu, lecz teraz wolniej. – Musimy zejść tego dzika od tyłu, nie ryzykując, że znów nas porani. Znaleźć jego słabe miejsce i tam uderzyć. – Zerwał się i zeskoczył z podwyższenia. –

Chyba wiem, jakie to miejsce. Wezwij dowódców – warknął do gwardzisty stojącego u wejścia do namiotu. – I przyprowadź mi heroldów.

Safed

Dziewiętnasty lipca

Campbell skrzywił się i zacisnął zęby, gdy syryjski medyk wyciągał mu tkwiący w mięśniu odłamek. Przyschnięta rana po zerwaniu cienkiego strupa zaczęła obficie krwawić.

Medyk podał mu kawałek płótna i ruszył dalej. Placyk przed infirmerią roił się od zbrojnych, w większości lżej rannych – otarcia, drobne oparzenia, nie zagrażające życiu rany od strzał.

Ciężko ranni leżeli w infirmerii. Jakub przycisnął materiał do ramienia, żeby zatamować krwawienie. Siadł, opierając się plecami o podstawę muru, i podniósł kamienną drzazgę, którą medyk usunął mu z ciała.

– Powinieneś ją zachować – rzekł Matias, podając mu dzban wina. – Zabrać do kraju i pokazywać wnukom.

Campbell uśmiechnął się i wetknął kamień do kaletki u pasa.

– Dam synowi.

Oparł głowę o mur i zapatrzył się w niebo, które przybrało ciemnoszafirowy odcień.

Popołudnie minęło na uprzątnięciu gruzu, znoszeniu rannych w obręb wysokiego zamku, szacowaniu szkód i doglądaniu napraw. Zostałby na murach dłużej, gdyby Matias nie zagroził, że weźmie go pod pachę i zanieśie do medyka, jeśli sam nie pójdzie. Jedyłą oznaką życia w saraceńskim obozie był monotony zaśpiew modlitw.

Szata lepiała mu się od krwi. Marzył o drzemce, ale nie mógł jeszcze wrócić na kwaterę. Pierwsza warta po niesporach przypadła jemu i Matiasowi.

– Myślicie, że uderzą dziś jeszcze raz? – spytał z niepokojem siedzący obok nich syryjski żołnierz.

– Nie – odparł. – Zanim przegrupują siły i zaplanują następny ruch, minie pewnie parę dni.

Podniósł wzrok i zobaczył zbliżającego się komandora w asyście sześciu rycerzy.

Widząc wyraz jego twarzy, Jakub wstał.

– Mamy kłopot – rzekł półgłosem dowódca przystając koło nich.

– Co się dzieje? – Matias podszedł bliżej.

Komador obejrzał się na turkopoli, którzy rozmawiali między sobą, i rzekł zniżając głos prawie do szeptu:

– Bajbars wysłał pod mury herolda. Oferuje życie i wolność wszystkim tuziemcom, którzy mu się poddadzą. Dał im dwie noce na podjęcie decyzji, czy wolą opuścić zamek i ujść cało czy zostać tu z nami i zginąć.

– Chryste i wszyscy święci! – wymamrotał Matias.

– Najdalej w ciągu godziny – podjął komandor – wieść o tej obietnicy obiegnie wszystkich. Jeśli nie zdołamy utrzymać porządku, do rana będziemy tu mieli bunt.

19

Templum, Paryż

Dwudziesty dzień lipca roku Pańskiego 1266

W komnacie było duszno. Na ławach pod ścianami grupka rycerzy pocila się w wełnianych szatach i z trudem powściągała zniecierpliwienie. Tylko Ewerard, przycupnięty na stołku jak napuszony kruk w czarnym habicie i kapturze, zdawał się w ogóle nie odczuwać upału. On wszakże niecierpliwił się z innego powodu: wezwanie oderwało go od trudnego ustępu greckiego tekstu, nad którym biedził się od kilku tygodni, i to w chwili, gdy nareszcie zaświtała mu szansa dokończenia przekładu.

Zwykłe codzienne sprawy omawiane były raz w tygodniu na zebraniu kapituły w obecności wszystkich braci. Zamknięte spotkanie kilku wybranych osób, zwołane bez uprzedzenia ni wyjaśnienia, było czymś niebywałym, w każdym razie Ewerard nigdy o takim nie słyszał. Usiłował odgadnąć naturę sprawy, analizując w duchu kwalifikacje obecnych, ale spośród pięciu rycerzy wysokiej rangi żaden nie wyróżniał się niczym szczególnym. Żaden –

prócz niego. To on był anomalią w tym zestawie.

Drzwi się otwarły i wszedł przez nie sługa z tacą, na której stały puchary i dzban wina. Za nim pojawił się wizytator, rosły i dostojny, z rozdzieloną na trzy pasma brodą, w której srebrzyły się nitki siwizny. Towarzyszył mu młody, najwyżej dwudziestoparoletni człowiek w połatanym czarnym habicie z dużym drewnianym krzyżem na szyi. Ewerard wyprostował się i zmarszczył brwi. Ten bosy chuderlawy młodzieniec o poważnych psych oczach wyglądał niczym zwykły żebrak, ale miał wielką władzę: jako członek zakonu świętego Dominika był inkwizytorem.

– Witajcie, bracia. – Wizytator zamknął drzwi za wychodzącym sługą. Wskazał

zakonnikowi miejsce przy stole. – Usiądź, proszę, bracie Egidiuszu.

Młody mnich uśmiechnął się posępnie.

– Wolę stać.

– Jak sobie życzysz. – Twarz wizytatora nawet nie drgnęła. Obszedł stół dookoła i zasiadł na wysokim krześle z poręczami. – Wybaczcie, bracia, że zwołałem was tak niespodzianie, ale brat Egidiusz nie zatrzyma się długo w Paryżu. Sprawa, o której będziemy mówili, jest poufna i brat Egidiusz wyjawiał mi ją w cztery oczy. Zgodził się wszakże, byśmy dokończyli rozmowę w waszej obecności, albowiem może potrzebować waszych usług.

– Wizytator spojrzał na Ewerarda. – Prosiłem, abys przyszedł, bracie Ewerardzie, ze względu na twą wiedzę o wszelakich księgach.

Ewerard zmilczał, tylko mars na czole mu się pogłębił.

– Mów, bracie. – Wizytator skinął na dominikanina.

Egidiusz stał na środku komnaty wyprostowany i bynajmniej nie onieśmielony.

Przesunął się tylko nieco, aby wszyscy rycerze mogli go widzieć. On także kolejno przyjrzał

się ich twarzom. Ewerard nasepił się. Chłopak był bez wątpienia wytrawnym oratorem, pewnie świeżo po teologii w paryskim fakultecie. Szkoleni w retoryce i napastliwi bracia od świętego Dominika przypominali bardziej jurystów niż duchownych.

– Od kilku miesięcy – rozpoczął Egidiusz – mój zakon bada sprawę pewnego trubadura znanego w południowych regionach królestwa. Zyskał on sławę dzięki recytacji tak zwanego romansu o Graalu opartego na historii Walińczyka Percewala.

– Masz na myśli Piotra z Pont-Eveque? – odezwał się niespodzianie Mikołaj z Nawarry.

– Słyszałeś o nim, bracie? – zaciekał się wizytator.

– Przelotnie. Interesują mnie pieśni trubadurów – wyjaśnił Mikołaj.

Egidiusz utkwiał spokojne przenikliwe spojrzenie w czarnowłosym rycerzu.

– Zatem może cię również zainteresować wieść, że zamierzamy go pojmać jako heretyka.

– A dlaczegóż to?

– Już jakiś czas temu do jednego z naszych klasztorów na południu dotarły wieści o bluźnierstwach wygłaszanych przez rzeczonego Piotra. Powiadomiony o tym zwierzchnik zakonu we Francji wystosował prośbę do księcia Akwitanii, aby ten nie przychylił ucha pieśniom bezbożnika, i książę zakazał poecie wstępu na swój dwór. Bracia mieli nadzieję tam się z nim rozmówić, ale został widać ostrzeżony, bo w ogóle się nie pojawił. Dowiedzieliśmy się ostatnio, że został zaproszony przez najjaśniejszego pana, by jesienią zabawiał go w paryskiej siedzibie. W dzień święty, jakby nie dość tego. – Gładkie czoło Egidiusza przecięła zmarszczka. – Prosiliśmy króla, by odwołał zaproszenie, lecz nie zechciał pójść za naszą radą.

Zroszaliśmy wieść do wszystkich naszych braci, że Piotr z Pont-Eveque winien zostać ujęty, lecz Francja to duży kraj, a nas wciąż jest za mało, by podołać ogromowi zadań. Jeśli nie zdołamy schwytać trubadura wcześniej, pojmy go w zamku. I tam – Egidiusz zwrócił się bezpośrednio do rycerzy – potrzebna nam będzie wasza pomoc. Jeśli Templum nas wesprze, król ugnie się przed duchowym autorytetem połączonych zakonów.

Ewerard poruszył się niecierpliwie.

– Niektóre pieśni o Graalu mogą wrażliwemu uchu wydać się nazbyt świeckie, ale kodeks poetycki zatrzymuje trubadurów na granicy dzielącej frywolność od sprośności.

Jestem szczerze zdumiony, że tak błaha sprawa zaprzęta umysły czcigodnych inkwizytorów.

Czy *Domini canes* nie mają już nic innego do roboty?

– Bracie Ewerardzie! – upomniał go wizytator.

Egidiusz podniósł rękę.

– Nie, brat Ewerard ma rację. Zwykle nie zajmujemy się błahostkami. Ale ta sprawa błahą wbrew pozorom nie jest. Co więcej, mamy obowiązek się nią zająć. Pieśni Piotra z Pont-Eveque nie są zwyczajnie sprośne; są heretyckie. Opowiada on o mężczyznach bezczeszczących Krzyż i pijących nawzajem swą krew z kielicha eucharystycznego. Obszerne fragmenty poświęcone są pogańskim rytuałom: czarownictwu, bałwochwalstwu, ofiarom z ludzi i zwierząt oraz innym ohydnyim praktykom, o których nie godzi się nawet wspominać.

Mnich omiół spojrzeniem zebranych.

– Wszyscy zapewne pamiętacie – podjął – że wyplenając chwast albigeńskiej herezji przekonaliśmy się, iż tysiące zgoła ludzi winnych było podobnych nieprawości. Powtórzę: Piotr z Pont-Eveque cieszy się uznaniem w południowych regionach królestwa; właśnie tych, dodam, w których kataryzm się zrodził i zebrał największe żniwo. Nie przestrzega on reguł

kodeksu trubadurów, a jednak to, że je łamie, nie ujęło mu sławy, przeciwnie: jest za to wielbiony i podziwiany. Z doświadczenia wiadomo, że lud ciągnie do sprośności niczym muchy do gnoju; naszym zaś zadaniem jako ludzi Bożych jest zadbać o bezpieczeństwo dusz i nie pozwolić, by zostały skażone nieprawością. Nie muszę wam zapewne przypominać, bracia, że nim zdławiono katarów, w niektórych diecezjach ich sekta prześcignęła liczbą prawowiernych chrześcijan. Gdybyśmy nie podjęli wówczas zdecydowanych kroków, Bóg jeden wie, ile dusz padłoby ofiarą gnostyckiej herezji. Święty założyciel naszego zakonu, Dominik, powołał nas do obrony świętej matki Kościoła. Od czasu jego śmierci nasze szeregi wzrosły w siłę, lecz przybyło nam także zadań do wykonania. My także jesteśmy żołnierzami Chrystusa; stoimy w pierwszej linii, tocząc bój z herezją. Na nas spoczywa obowiązek niszczenia w zarodku bezbożnych idei i praktyk, jakkolwiek niewinne mogłyby się one wydawać postronnym. – Chłodny wzrok Egidiusza prześliznął się po zebranych. –

Powstrzymanie tego człowieka leży w najlepiej pojętym interesie Templum.

– Jeśli to, co rzeczesz, jest prawdą – odezwał się jeden z rycerzy – nikt z tu zebranych nie zaprzeczy, że trubadura należy powstrzymać. Ale co ma do tego nasz zakon?

– Odpowiedź jest prosta. – Egidiusz spojrział na niego z wyższością.

– W pieśni Piotra z Pont-Eveque Percewal przechodzi kolejne stopnie wtajemniczenia pod przewodnictwem członków rycerskiego bractwa odzianych w białe płaszcze z czerwonymi krzyżami.

Kilku templariuszy poruszyło się niespokojnie. Ewerard przesunął ręką po spoconym czole.

– Planujecie go uwięzić, gdy przybędzie do Paryża? – spytał Mikołaj.

– Tak.

– Macie jakieś dowody jego winy?

– Oprócz świadectwa setek ludzi, którzy z jego własnych ust słyszeli te bluźnierstwa? – Egidiusz wymownie uniósł brwi. Po chwili dodał: – W istocie jest też namacalny dowód, o którego istnieniu dowiedzieliśmy się niedawno. Wszystko zdaje się świadczyć, iż Piotr z Pont-Eveque nie ułożył tego romansu sam. Dziesięć lat temu kręcił się przy dworze, ale nie był cenionym poetą i król go odprawił. Ludzie, których pytaliśmy o niego, twierdzą, że nie ma dość talentu, by stworzyć tak... – Egidiusz zgrzytnął zębami – ...

tak mistrzowskie dzieło. Wiemy wszakże, iż jest w posiadaniu księgi, z której czyta podczas swoich występów. Utrzymuje, jakoby dał mu ją anioł, który ją dobył z zapieczętowanej krypty pod kościołem Grobu Świętego w Jeruzalem. To jawne bluźnierstwo, podejrzewamy jednak, iż z tej właśnie księgi zaczerpnął gros swoich wierszy. Księga owa będzie dowodem w procesie. Może się nawet okazać dziełem katarskich odstępców.

– Czy wiadomo, jak wygląda ta księga? – spytał wizytator.

– Jest niewielkich rozmiarów, oprawna w welin, spisana czerwonym inkaustem, nagłówki zaś i tytuł ma złożone.

– Tytuł? – wychrypiał Ewerard.

Egidiusz spojrział na niego.

– Nazywa się Księgą Graala.

– Słyszałeś o niej, bracie? – ożywił się wizytator.

– Nie. – Ksiądz odchrząknął. – Nie słyszałem.

– To zła wieść. – Wizytator wyprostował się z powagą. – Templum utrzymuje się z donacji królów i możnych z wielu krain. Ich utrata byłaby dla nas ciężkim ciosem, zwłaszcza gdy w Ziemi Świętej wciąż trwa wojna. A to nam właśnie grozi, jeśli zszargane zostanie nasze dobre imię. – Zwrócił się

do Egidiusza. – W tej materii, bracie, udzielimy ci pełnego wsparcia.

Dwie godziny później Ewerard przestał już udawać, że zajęty jest przekładem.

Niespokojnie krążył w kółko po komnacie. Usłyszawszy w końcu pukanie do drzwi, sapnął z ulgą. W progu stanął mężczyzna w kapturze i szarym płaszczu.

– Zaczynałem się już obawiać, że nie przyjdiesz – mruknął ksiądz z irytacją, podchodząc do pulpitu przy oknie. Wziął z niego kubek i przetarł go rękawem.

– Przybyłem tak prędko, jak zdołałem. – Hasan zamknął za sobą drzwi. – Co się stało, bracie? – spytał widząc, jak Ewerard nieudolnie nalewa sobie wina okaleczoną ręką, wylewając część poza obręb naczynia.

– Wychodzi na to, że miałeś rację – rzekł nagle.

Hasan spojrział na niego pytająco.

– W sprawie trubadura. Niech to licho! – Ewerard ciężko opadł na siedzisko pod oknem. – Siadaj, Hasanie, znamy się za długo, żebyś miał z grzeczności nadwerężyć sobie nogi.

– O wiele za długo – przyznał z lekkim uśmiechem Hasan i usiadł obok niego. –

Powiedz mi, o co chodzi.

Ewerard streścił mu przebieg spotkania z inkwizytorem.

– Powinienem być już dawno posłać cię za tym poetą. Zaraz gdy mi o nim doniosłeś.

– Wówczas nie było dowodu, że jego romans ma coś wspólnego z Księgą Graala.

Zauważyliśmy tylko podobieństwa. Nic dziwnego, że wolałeś zaczekać, aż podejrzenie się potwierdzi.

Ewerard chrząknął.

– Jak trubadur wszedł w posiadanie księgi? – zadumał się Hasan.

– Mogę jedynie przypuszczać, że to on przekupił klerka, który ją ukradł.

Ciemnoskóry mężczyzna miał dość sceptyczną minę.

– Sądziliśmy wówczas, że złodziej lub jego zleceniodawca wie o istnieniu Anima Templi i naszych planach. Tego się obawialiśmy: że księga zostanie użyta jako dowód przeciwko nam. Jeśli inkwizytorzy się nie mylą, trubadur wykorzystał tylko niektóre jej fragmenty do swoich pieśni. Trudno to nazwać działaniem na naszą szkodę, zwłaszcza że poeta w żaden sposób nie próbuje powiązać księgi z Templum, utrzymując, jak słyszę, iż dał

mu ją anioł.

– Ja też tego nie rozumiem, Hasanie, ale jeśli trubadur miał coś wspólnego z kradzieżą i wie o nas, to schwytyany wyjawí wszystko dominikanom. Mają skuteczne metody nakłaniania ludzi do szczerzej spowiedzi. – Ewerard wstał i znów zaczął krążyć po komnacie.

– Szkoda, że nie słyszałeś tego mnicha! Wszystko, z czym się nie zgadza, nazywa herezją!

Można by pomyśleć, że to Dominik Guzman podyktował Pismo Święte, a nie Bóg! Iluż ludzi spalili już na stosach za poglądy odmienne od nauki Kościoła? Sami powinni spłonąć! – Na policzkach Ewerarda gorzały rumieńce, blizna nabiegła krwią. Podniósł głos. – Ilu ludzi jeszcze zginie za naszą pychę? Ile żon straci mężów, dzieci ojców? Każe się im walczyć, lecz dla kogo? Dla Boga? – Potrząsnął głową. – Nie. Żeby napchać komuś trzos.

– Bracie... – wtrącił uspokajająco Hasan.

Ewerard odwrócił się do niego.

– Któż inny dokonałby tego, czego podjęła się Anima Templi? Nikt, powiadam.

Wszyscy są zanadto zaprzątnięci własnymi celami, własnymi poglądami i własną polityką.

Nawet nasz zakon. – Ewerard zniżył nieco głos. – Jeśli dominikanie przechwyć księgę i dowiedzą się o naszych planach, zniszczą nas. To, co chcemy osiągnąć, stoi wbrew wierze chrześcijańskiej, Hasanie. Oni tego nie pojmą. Zresztą sam o tym wiesz.

– Trubadur ma przybyć do Paryża dopiero za parę miesięcy. Mamy trochę czasu.

– Trzeba go znaleźć. Świątynia jest potężnym zakonem, ale wątpię, by nawet ona zdołała się przeciwstawić inkwizytorom i wyszła z tego bez szwanku. Owszem, na tej ziemi odpowiadamy tylko przed papieżem, ale on chętnie przychyła ucha Psom Pańskim. – Ewerard podszedł do skrzyni i wyjął z niej trzos pełen monet. Wręczył go Arabowi. – Jeśli Piotr z Pont-Eveque ma Księgę Graala, odbierz mu ją. A jeśli maczał palce w kradzieży...

– Rozumiem, bracie – wpadł mu w słowo Hasan. – Trubadur nie dotrze do Paryża.

Zatrzymał się przy drzwiach.

– Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałem z tobą poruszyć. Teraz jednak wydaje się mało ważna.

– Jaka?

Hasan zawahał się.

– Jeśli masz coś do powiedzenia, Hasanie, mówże! – zniecierpliwił się Ewerard.

– Myślałem o młodym Campbellu. Moim zdaniem powinieneś go wtajemniczyć.

Przyda się nam pomoc, a teraz, gdy znów jestem w Paryżu, na pewno się z nim spotkam.

Ostatnim razem traktował mnie bardzo podejrzliwie.

Ewerard lekceważąco machnął ręką.

– Jest po prostu ciekawy. Na pewno niczego się nie domyśla. Powiedziałem mu to co zwykle: że jesteś ochrzczonym Saracenem, który zwozi mi arabskie rękopisy. Nie widzę powodu, by ktoś miał w to wątpić. W Akce arabscy pisarze to powszechny widok. Nasz tamtejszy dom też ich zatrudnia.

– Wybacz mi, że zabieram głos w sprawie, która nie do mnie należy, ale Campbell służy ci wiernie od sześciu lat, chociaż uniemożliwiłeś mu złożenie ślubów, nie mając ku temu żadnego powodu.

– Oddanie się duszą i ciałem Chrystusowi nie jest czymś, co można czynić pochopnie wbrew temu, co sądzi dziś większość młodych ludzi.

– Sam mówiłeś, że stał się dla ciebie bezcenny.

– Jego szkolenie nie jest jeszcze zakończone – uciał Ewerard. – I dopóki nie zadecyduję, że jest gotowy, nie dopuszczę go do tej sprawy.

– Nigdy nie zdoła dowieść swojej gotowości, jeśli nie dasz mu szansy.

Powstrzymujesz go w rozwoju. Mógłby być ci użyteczny. Nie tylko tobie, nam wszystkim.

Wiem, że Jakub byłby rad, gdyby jego syn znalazł się w naszym kręgu. Poza tym, bracie –

dodał łagodnie Hasan – nie jesteś już taki młody, jak ci się wydaje. Kto podejmie dzieło, kiedy ciebie zabraknie? Ja nie mogę, w każdym razie nie tu, na Zachodzie. Gromadzenie i upowszechnianie wiedzy to ważna rzecz, ale powinieneś wrócić do Palestyny. Naszym braciom potrzebny jest mistrz, zwłaszcza teraz, gdy konflikt przybiera na sile. Trzeba wybierać i wtajemniczać nowych ludzi.

– Nie musisz mi o tym przypominać, Hasanie – rzekł Ewerard ze znużeniem. –

Gdyby nie ta kradzież, od paru lat siedziałbym w Akce. Wiem, że jestem tam potrzebny, i wiem, że potrzebni nam są nowi ludzie w miejsce tych, którzy giną. Ale milczę także dla dobra tego chłopca. Zjednawszy się z Duszą Świątyni człowiek już nigdy nie stąpa obiema nogami po tym świecie. Na zawsze zostaje od niego oderwany.

– A czy nie jest tak, że przywykły od lat strzec tajemnicy, boisz się teraz komukolwiek ją wyjawić? Uważaj, bo trzymając światłość pod korcem łatwo możesz ją zagasić. – Hasan naciągnął kaptur na głowę. – Zawiodłeś się na wielkim mistrzu Armandzie, rozumiem. Ale czas zapomnieć o przeszłości i spojrzeć w przyszłość. Cele bractwa nie zostaną osiągnięte, jeśli nie będzie miał kto do nich dążyć. Pozbawiona świeżej krwi Anima Templi umrze wraz z naszym pokoleniem.

Słońce już zachodziło, gdy Will skończył przekład. Spędził w skryptorium cały dzień, w dłoni pulsowały mu bolesne skurcze. Odłożył pióro i zebrał z pulpitu dwa zszyte kodeksy, jeden

wypełniony płynnymi liniami obcego pisma, drugi zatłoczony ciemnobrunatnymi rzędami liter naniesionych jego własną zamaszystą ręką. Wsadził je pod pachę i wyszedł z budynku. Pracował nad tym arabskim traktatem przez kilka tygodni, ślęcząc nieraz do późna w noc przy świecy, gdy inni giermkowie chrapali już smacznie w łóżkach. Ponieważ dziś bardzo się spieszył, inkaust na ostatnich kilku stronach był nieco rozmazany, a parę linii tekstu biegło krzywo. Planował ozdobić marginesy wymyślnym szlaczkiem, w jakich gustował Ewerard, ale po wczorajszym spotkaniu z Szymonem gnało go poczucie, że nie może marnować czasu. Gotowy przekład był dobrym pretekstem do kolejnej poważnej rozmowy z księdzem.

Niebo miało krwistoczerwony kolor, a wilgotne powietrze wisiało bez ruchu.

Wchodząc na główny dziedziniec, zauważył pod donżonem postać w szarym płaszczu.

Odprowadził ją wzrokiem. Hasan skierował się do bramy klasztoru i po chwili zniknął mu z oczu. Will zmarszczył brwi i ruszył dalej do kwater rycerzy. Kiedy stanął pod drzwiami, te otworzyły się do środka i omal go nie potrącając, wyszedł z nich Garen z Lyonu.

– Wilhelm – powiedział, cofając się o krok. W milczeniu przypatrywali się sobie nawzajem.

Garen wyglądał poważniej niż na swoje dziewiętnaście lat. Wyprzystojniał. Miękka broda miała ciemniejszy odcień niż złote jak dawniej włosy.

W ciemnoniebieskich oczach Garena Will zobaczył własne odbicie: wymiętą i poplamioną czarną tunikę, znoszone ciżmy, nierówną grzywkę wpadającą do oczu. Kiedy milczenie stało się nieznośne, zmusił się do uśmiechu i wyciągnął rękę.

– Szymon mówił mi, że przyjechałeś. Ileż to już lat!

Garen po chwili wahania uściśnął jego dłoń.

– To prawda – rzekł. – Dobrze się miewasz?

– Tak. A ty?

– Tak.

Znów zapadła cisza.

– Co tam w Londynie? – spytał Will, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Brud, smród i tłumy ludzi. Jak zawsze. – Kącik ust Garena drgnął w zaczątku uśmiechu.

– A co ty tu robisz? – Will uświadomił sobie, że wypowiedział te słowa bardziej napastliwie, niż zamierzał.

– Poprosiłem o przeniesienie. W Londynie trudno o awans. Większe szanse na własną komandorię mam tutaj, pod bokiem wizytatora. – Wzrok Garena prześliznął się po tunice Willa. – Słyszałem, że

jesteś skrybą?

Will zdołał zachować kamienną twarz i podniesioną głowę.

– Tak. Mój pan, Ewerard, jest tu kapelanem.

– Ewerard? – Garen ściągnął brwi. Na twarzy pojawił mu się taki wyraz, jakby rozpoznawał to imię, i jeszcze coś: zda się, wrogość.

– Znasz go?

Garen pokręcił głową i dziwny wyraz znikł.

– Nie. Myślałem o kim innym. No cóż... – postąpił krok do przodu. – Mam spotkanie z wizytatorem. Muszę iść.

– Posłuchaj – powiedział Will szybko – wiem, że minęło tyle lat, ale jeszcze cię nie przeprosiłem za to, że cię wtedy uderzyłem. Na cmentarzu, w dniu pogrzebu.

– Dawno o tym zapomniałem. – Garen przystanął. – Obaj robiliśmy wtedy rzeczy, których dziś żałujemy. – Skinął Willowi głową i odszedł, zamiatając dziedziniec białym płaszczem.

Will obejrzał się za nim i wzruszył ramionami, rozluźniając napięte mięśnie. Przeżył

wstrząs widząc, że dawnemu druhowi przybyło tyle lat. Tak niedawno wspinali się razem na drzewa i kradli jabłka w Nowej Świątyni. Mimo to dziwił się, że spotkanie aż tak go poruszyło.

Przeszedł przez korytarz i zapukał trzykrotnie do drzwi Ewerarda. Kapelan od początku kazał mu tak pukać i czekać na wezwanie. Pewnie chciał mu w ten sposób pokazać, gdzie jego miejsce.

Po chwili zgrzytliwy głos ze środka zawołał: „Wejść!”

Ewerard był jednym z bardzo niewielu rycerzy, którzy mieli komnatę do własnego użytku; Will nie był w stanie dociec, dlaczego właśnie jemu pozwolono na taki luksus. Na ścianie nad wąskim łóżkiem wymalowana była mapa Ziemi Świętej z Jerozolimą w centrum.

Powyżej zaznaczono Akkę i Antiochię. Ilekroć Will spoglądał na to malowidło, przypominał

sobie, jak o Antiochii opowiadał pewien rycerz z Nowej Świątyni. Było to jedno z pięciu najświętszych miejsc chrześcijaństwa, gdzie pierwsi wyznawcy Jezusa Chrystusa spotykali się w tajemnicy pod przewodnictwem samego świętego Piotra. Rycerz opisywał ogromne bogate miasto obwiedzione murami długości osiemnastu mil, z zamkiem wzniesionym na szczycie góry – tak wysokiej, że budowla wieżę dotykała chmur. Will nie wierzył wówczas, że może istnieć aż tak wysoka góra, ale kiedy po raz pierwszy ujrzał wizerunek Antiochii na mapie Ewerarda, pomyślał, że rycerz chyba jednak mówił prawdę.

Ewerard siedział przy założonym księgami stole i czytał. Pasma siwych włosów oplatały mu twarz

jak zerwane pajęczyny. Jedyna świeca migotała w przeciagu unoszącym brzeg zasłony zakrywającej okno. Kiedy Will przymknął za sobą drzwi, ksiądz podniósł

głowę, skrzywił się i znów wrócił do lektury.

– O co chodzi, skrybo? – mruknął, nie patrząc na niego.

– Skończyłem przekład z ibn Izmaila. – Will pokazał mu pergaminy.

Ewerard czytał jeszcze przez chwilę, potem odsunął księgę i wyciągnął rękę.

– Daj mi go.

– Co tu robi Hasan, panie?

– Załatwia dla mnie pewną sprawę. – Ewerard niecierpliwie strzełił palcami. – No, podajże to!

Will nie drażył tematu, chociaż był zaciekawiony. Nie widział Hasana ponad rok, ale czuł, że dziś nie uzyska od Ewerarda odpowiedzi. Kapelan był w jeszcze gorszym humorze niż zazwyczaj. Will zaczynał wątpić, czy jest to dobry moment, by rozmawiać z nim o pasowaniu. Podszedł i podał mu obie księgi.

Ewerard z pietyzmem położył oryginał na stole i zaczął wertować tłumaczenie Willa.

Zerknął do arabskiego tekstu.

– Chciałem o czymś z tobą pomówić, panie – zaczął Will.

– Co oznacza arabskie słowo *asal*?

– Słucham?

Ewerard spojrział na niego.

– Miód – odparł po chwili Will.

– To dlaczego piszesz tu, że skrzydło myszołowa roztarte z oliwą jest skutecznym lekarstwem na gorączkę? – Ksiądz uniósł brew. – Nie jestem może znawcą wszelkich leków, lecz zaiste nie byłbym pewien wyzdrowienia, gdyby podano mi taki medykament. Ponadto m i ó d z oliwą i goździkami jest łatwiej strawny.

– Mówiłem ci, że tekst jest ledwie czytelny...

– Może czytelniejszy byłby w świetle dnia! Idę o zakład, że roi się tu od podobnych błędów, bo wiem dobrze, że tłumaczyłeś w pośpiechu, pewnie i nocami, kiedy było za ciemno, byś widział poza czubek swego nosa! – Ewerard rzucił kodeks Willowi pod nogi. –

Zrób to od nowa.

Will miał ochotę go uderzyć. Całą siłą woli zmusił się do spokoju.

– Spędziłem wiele godzin nad tym trak...

– Byłeś wczoraj w piwiarni, młodzieńcze?

– Co? Nie.

– A to dziwne. Rozmawiałem wczoraj z wizytatorem, kiedy do marszałka zgłosił się świeżo przybyły z Londynu koniuszy. Przypadkiem słyszałem ich rozmowę. Był dość mocno pijany i bardzo podniecony, że spotkał po drodze starego znajomka, niejakiego Wilhelma Campbella. Obaj zaś dobrze wiemy, że masz słabość do trunków. – Ewerard machnął ręką w stronę drzwi. – Idź już. Chcę zostać sam.

– Nie stać cię na to, żeby doprowadzić rozmowę do końca?!

Ewerard spojrział na niego zdumiony, po czym wyrznął ręką w stół, aż szczęknęły deski.

– Zdajesz się zapominać, kto tu jest mistrzem, a kto uczniem! – Podniósł się i zrobił

parę drobnych kroków w stronę Willa. – Już raz cię wychłostałem, chłopcze, i nie zawaham się zrobić tego ponownie!

– Sądzisz, że chwila bólu da się porównać z sześcioletnią służbą u ciebie?

Ksiądz wytrzeszczył na niego oczy i parsknął śmiechem, który przerodził się w atak kaszlu.

– No, no... – wykrztusił pomiędzy spazmami. – Skoro chłosta to... za łagodna kara, może... – Z rzęzącym świstem zaczerpnął powietrza w płuca. – Może powinienem cię zesłać... do jakiegoś zameczku w Palestynie, nękanego przez saraceńskie wojska!

– Z którymi walczy mój ojciec? Błagam, zrób to. To nie będzie kara, a błogosławieństwo!

Ewerard oparł się o stół. Na czole lśniły mu krople potu, upodabniając jego twarz do bryły topniejącego łożu.

– Głupi dzieciak – szepnął. – Nie widziałeś wojny. Nie stałeś na polu bitwy z ramieniem tak zdrętwiałym od ciężaru miecza, że każdy ruch jest torturą, zbryzgany od stóp do głów krwią towarzyszy, nie wiedząc, skąd i kiedy przyjdzie cios, który przeniesie cię w niebiosy.

– Miałem trzynaście lat, gdy zabiłem człowieka – mruknął Will.

– Nic, co widziałeś lub zrobiłeś w swym krótkim życiu, nie mogło cię przygotować do wojny! – Starzec ciężko opadł na ławę.

– To ty mnie przygotuj. – Will nachylił się nad stołem, wpierając dłonie w blat. Ich twarze dzieliło ledwie parę cali, a jednak Ewerard wydawał mu się równie odległy jak zawsze. – Naucz mnie. Chcę być gotowy.

– Nie. – Ewerard trzęsącą się kaleką ręką z wysiłkiem przewrócił stronicę. – Jeszcze do tego nie dojrzałeś.

– Cóż takiego uczyniłem, by zasłużyć na twoją wzgardę? Skrzywdziłem cię jakoś?

Jeśli tak, powiedz czym, abym mógł ci to zadośćuczynić. Przez całe życie pragnąłem tylko jednego: stanąć u boku ojca jako rycerz Świątyni. Dlaczego nie chcesz mi na to pozwolić?

Nie rozumiem. Jaki masz w tym interes?

Ewerard nie odpowiedział.

– Robiłem wszystko, czego ode mnie żądałeś – rzekł ochryple Will. Z przerażeniem poczuł, że ma łzy w oczach, ale mówił dalej. – Zamiatalem ci podłogi i sprzątałem w komnacie, chociaż mogłeś poprosić o to sługę. Nosilem twoje manatki, biegałem po sprawunki i na posyłki. Przetłumaczyłem Bóg jeden wie ile źle skomponowanych, niechlujnie napisanych i nudnych traktatów o... – porwał kapelanowi sprzed nosa czytana księgę. – *O*

zrozumieniu osobliwej natury deszczu! Chryste! – Rzucił księgę na stół.

– A jak wypełniałeś te obowiązki? – syknął Ewerard. – Z dobrą wolą? Bez skargi?

– Jeśli się skarżyłem, to dlatego, że chciałem się uczyć rycerskiego rzemiosła. Nie dałeś mi wyboru, musiałem zostać twoim skrybą albo opuścić zakon. Ale to nie znaczy, że musiało mi się to podobać!

– Ha! – Ewerard wycelował w niego palec. – Więc może to moja wina? A jak było z twoim poprzednim panem? Zawsze okazywałeś mu posłuch i szacunek? Wypełniałeś ochoczo to, czego od ciebie chciał?

Will odwrócił wzrok.

– Byłem wtedy bardzo miody. Zmieniłem się. – Spojrzał na księdza. – Sam o tym wiesz.

– Twój kłopot – prychnął Ewerard – polega na tym, że uważasz się za lepszego od innych. Sprzątanie ci uwłacza. Większość prac ci uwłacza. Gdy tylko cię zobaczyłem, pomyślałem sobie: rozpuszczony paniczyk przywykły stawiać na swoim!

– To kłamstwo! Jestem synem córki kupieckiej i rycerza, którego ojciec złotem opłacił przyjęcie do Świątyni. Wcale się tego nie wstydzę! W domu rodzinnym chętnie wykonywałem wszystkie prace.

– I wciąż nie wyrzekłeś się pychy! Dlatego jesteś wściekły, że cię nie pasowałem.

Przemawia przez ciebie zraniona duma!

– Nie! To nie tak.

– Ślub rycerski to dla ciebie tylko awans. Złości cię, że stoisz niżej od swych rówieśników.

– Owszem, jest mi z tym ciężko, ale nie dlatego pragnę złożyć śluby. Mówiłem ci, że mój ojciec...

– Ojciec! Ojciec! – Ewerard z irytacją uniósł ręce. – Jego tu nie ma, chłopcze! A jeśli nie dla ojca, jeśli nie po to, by wywyżżyć się w oczach przyjaciół, to po co ci płaszcz rycerski? Dlaczego uważasz, że właśnie tobie się należy? – Kiedy Will nie odpowiedział, ksiądz potrząsnął głową. – Widzisz więc – rzekł ciszej – dlaczego i ja nie widzę powodu, dla którego miałbyś go otrzymać.

Will patrzył długo na pomarszczoną twarz kapelana. Cisza dzwoniła mu w uszach.

Jedyne czego chciał, to zobaczyć ojca, błagać go o wybaczenie i znów być mu synem. Od śmierci siostry czuł się odcięty nie tylko od rodziny, także od zakonu. Przez siedem lat podtrzymywała go tylko nadzieja na odnowienie zerwanej więzi. Był pewien, że wtedy wszystko się ułoży. Wdziękując biały płaszcz, jak pragnął tego ojciec, będzie mógł zostawić przeszłość za sobą, być znów czysty, bezgrzeszny, bez skazy. A jedyną przeszkodą na drodze do celu był ten wysuszony, kruchy, uparty starzec.

Schylił się powoli i podniósł przekład. Prostując się, spojrzał Ewerardowi w oczy.

– Dlatego – rzekł zdumiony chłodną determinacją brzmiącą w jego własnym głosie –

że jeśli mnie nie poprzysz, pójdę do wizytatora i poproszę, żeby mnie wysłał do Safedu.

Powiem mu, że chcę wziąć krzyż i walczyć z Saracenami w imię Boga i chrześcijaństwa. Tam potrzebny jest każdy człowiek. Skoro nie mogę jechać jako rycerz, pojedę jako serwiens.

– Nie bądź śmieszny! – prychnął Ewerard.

Ale Will obrócił się na pięcie i odszedł, zatraskując drzwi tak mocno, że z futryny odszczępiła się podłużna drzazga.

20

Safed, Królestwo Jerozolimskie

Dwudziesty pierwszy dzień lipca roku Pańskiego 1266

Campbell patrzył na mężczyzn stopniowo wypełniających refektarz. Gdy dojrzał

chorążego turkopoli, który przybył w asyście swoich ludzi, zrozumiał, że czekają ich poważne kłopoty. Na twarzy Syryjczyka zastygł kamienny upór. Nie spojrzał na żadnego z trzydziestu siedzących na podeście rycerzy, lecz sztywno podszedł do stojących naprzeciwko ław, gdzie zasiadł wraz z przybocznymi. Pięćdziesięciu zbrojnych braci służebnych Templum i czterech kapelanów zajęło rzędy ław po bokach, zaś syryjscy żołnierze wezwani na spotkanie –

pozostałe wolne miejsca. Jakub obrócił się do siedzącego obok Matiasa. Potężny rycerz uniósł

brew, jakby chciał powiedzieć: „Będzie ciekawie!” Z drugiej strony dobiegło westchnienie komandora.

Jak trafnie przewidział, złożona przez Bajbarsa obietnica uwolnienia miejscowych w mgnieniu oka nieomal doprowadziła do rewolty. Wczoraj zaraz z rana, gdy wieść się rozeszła, komandor zwołał naradę. Ta jednak zamiast uspokoić nastroje, przerodziła się w karczemną awanturę. Musieli ją przerwać. Templariusze zdawali sobie sprawę, że potrzeba więcej czasu; ludzie wciąż byli zbyt poruszeni ostatnim atakiem, aby móc rozumować ze spokojem. Ale jutro o brzasku Bajbars spyta o odpowiedź. Pozostała tylko niecała doba na przekonanie Syryjczyków, by podjęli walkę.

Kiedy ostatni z zebranych zajął miejsce, komandor wstał. Twarz miał zmęczoną, oczy wpadnięte, skórę szarą pod warstwą opalenizny, ale trzymał się prosto i surowym spojrzeniem zmierzył dowódcę najemników.

– Mam nadzieję, że sen zdołał nieco powściągnąć nam wszystkim języki – rzekł, omiatając wzrokiem resztę zebranych. – Mówmy to, co dyktują nam głowy, nie serca.

– Nikt z nas nie pragnie zwady, komandorze – odparł Syryjczyk. – Dbam tylko o dobro moich ludzi.

– A ja o moich.

Zapadła cisza.

Komandor usiadł i powiedział:

– Może zacznijmy od wyjaśnienia, dlaczego uważacie, że powinniśmy przyjąć propozycję Bajbarsa.

– Dobrze. – Chorąży powstał z miejsca. – Jak już mówiłem wczoraj, przyjęcie warunków kapitulacji jest dla nas najlepszą szansą na uratowanie życia. Jeśli Safed padnie, zginiemy lub pójdziemy w niewolę. Mam tu tysiąc sześciuset ludzi. Nie oddam ich na rzeź, kiedy mogą ocaleć.

Komandor uniósł rękę, uciszając gniewne pomruki rycerzy i okrzyki poparcia wśród syryjskich najemników.

– A co każe ci sądzić, że Bajbars dotrzyma słowa? Sam mówiłeś: on nie jest człowiekiem honoru. Skąd pewność, że was nie wymorduje, gdy tylko opuścicie twierdzę?

– Powiedziałem ci też, panie, że od dawna obserwuję jego poczynania. Niszczy tylko tych, którzy stanowią dla niego zagrożenie, i tych, którzy stawiają mu opór. Bez warowni nie jesteśmy groźni. Gdzie indziej dotrzymywał słowa pokonanym. Jeśli jednak nie przyjmujemy pierwszej propozycji, rozwścieczymy go i wątpię, żeby dał nam drugą szansę.

– Nie tak było w Arsufie – rzekł komandor. – Tam Bajbars złamał przyrzeczenie.

Wyciął w pień dwustu szpitalników, którzy wierzyli jak wy teraz, że poddając się ocalą życie.

Syryjczyk spuścił oczy. Dopiero po chwili podniósł je na dowódcę twierdzy.

– To byli Frankowie – rzekł cicho. – Sułtan bardziej nienawidzi was niż nas.

Jeden z rycerzy skoczył na równe nogi.

– Teraz widzimy wasze prawdziwe twarze! Wyznajemy jednego Boga, lecz gdy trzeba o Niego walczyć, jedność się kończy! Zaiste nie skłamię, jeśli powiem, że gdy Bóg rozdawał ludziom odwagę, zabrakło Mu jej, nim dotarł do Syrii!

– Spokój, bracie! – rozkazał komandor widząc, że po twarzy chorążego przebiega wściekły grymas, a kilku jego ludzi zrywa się z miejsc. – Siadaj!

Rycerz, acz z ociąganiem, posłuchał rozkazu, nie spuszczać oczu z Syryjczyka.

– Obelgi nie przyniosą nam nic oprócz zwłoki. Nie mamy czasu siedzieć tu i kłócić się jak dzieci! – Komandor zwrócił się do chorążego najemników. – Jeśli zostaniemy w twierdzy sami, bez was, nie przetrzymamy kolejnego ataku. Mury są za długie, by dało się je obsadzić garstką ludzi, jakkolwiek byłiby mężni. Razem stanowimy siłę, rozdzieleni już nie.

Mamy dość żywności, by przetrwać wielomiesięczne oblężenie. Jeśli będziemy mieć wiarę, Bóg da nam zwycięstwo. – Spojrzał Syryjczykowi w oczy. – Proszę cię jak żołnierz żołnierza i wojownika Chrystusowego, byście stanęli wraz z nami przeciwko niewiernym.

Syryjski dowódca zerknął na swoich ludzi. W ich oczach malował się ten sam strach, te same wątpliwości, które i on odczuwał. To byli dobrzy, przyzwoici ludzie, ale nie mieli tego zapału co frankijscy rycerze. On też nie. Przybysze zza morza widzieli tylko swoją krucjatę i pewni własnej racji kroczyli przez ich ziemie, aby zmiażdżyć niewiernych – a przy tym deptali wszystko na swojej drodze, patrzyli bowiem zbyt wysoko, by dojrzeć, co mają pod nogami. Widzieli w tej krainie ziemię Boga. Tymczasem dla niego i jego rodaków była to ich własna земля; jedyna, jaką mieli. Każda zniszczona wioska, każdy zabity człowiek stanowił dla nich dotkliwą stratę. Nie byli zacofanymi wieśniakami pozbawionymi własnej woli. Cudzoziemscy rycerze nie musieli ich uczyć, jak mają służyć Bogu albo zadbać o siebie.

Potrafili sami podejmować decyzje.

Uniósł głowę.

– Nie mogę spełnić twojej prośby, panie. To samobójstwo.

W sali zawrzało.

– Od samego początku nie mieliście serca do walki! Jeszcze zanim Bajbars wysłał posłów, przemyśliwaliście, jak jej uniknąć!

– Chorąży podjął decyzję! Nie macie prawa go obrażać! Zaprosiliście nas tu na rozmowę czy po to,

żeby wymusić na nas zgodę?

– Bajbars nie jest niezwyciężony!

– Nie musimy tu siedzieć i wysłuchiwać obelg!

– No to idźcie sobie! – rozdarł się jeden z zakonnych, zapominając o swoim miejscu.

– Nie potrzeba nam takich kundli jak wy!

Grupka Syryjczyków zerwała się z miejsc, część od razu sięgnęła po miecze.

Kapelan zakonny starał się ich uspokoić, ale zakrzyczeli go zarówno jedni, jak i drudzy. Kilku giermków Templum też już dobyło broni i nacierało na miejscowych. Komandor ryczał, żeby się natychmiast cofnęli, ale nikt go nie słuchał. Na tyłach sali rozpoczęta się bójka; ktoś kogoś popchnął i dostał od niego w nos. Syryjski najemnik padł jak długi na ziemię. Natychmiast trzech innych rzuciło się na templariusza.

– Robimy właśnie to, na co liczył Bajbars! – wołał Campbell. – Zamierzał nas skłócić i mu się udało... – zamilkł, nie słysząc własnego głosu w ogólnej wrzawie.

– CISZA!!!

Potężnemu rykowi towarzyszył potężniejszy jeszcze huk, od którego, zdało się, mury zadrżały. Ludzie zamarli w miejscu, krzyki ucichły, pięści nie doszły celu. Wszystkie oczy skierowały się na purpurowego z wściekłości Matiasa, ten zaś roztarł pięść, którą przed chwilą wyrzucił w stół, zwrócił się do Jakuba i rzekł najspokojniej w świecie:

– Proszę, mów dalej, bracie.

– Dzięki, Matiasie – Jakub uśmiechnął się kącikami ust. – Bajbars złożył tę ofertę, bo wie, że prędko Safedu nie zdobędzie. Doceniam to, że wasz chorąży czuje się za was odpowiedzialny, ale przyjmując warunki sultana oddacie mu zamek na tacy. Bajbars szuka sposobu na szybkie, łatwe i tanie zwycięstwo. Teraz jest najgorętsza pora roku i jego ludzie są już zmęczeni. Im dłużej tu pozostanie, tym trudniej będzie mu utrzymać armię w ryzach. Jeśli zmusimy go do przedłużenia oblężenia i oszczędzania zapasów, odstąpi, by poszukać sobie łatwiejszego celu. – Zerknął na komandora. – Za twoim pozwoleniem, panie, proponuję, żebyśmy zakończyli tę naradę.

Dowódca ze znużeniem kiwnął głową. Jakub zwrócił się do chorążego:

– Zastanówcie się nad tym w spokoju. Potem, za parę godzin, spotkaj się z komandorem w cztery oczy, żeby doprowadzić tę rozmowę do końca. Podejmijcie decyzję, ale podejmijcie ją na chłodno, gdy emocje opadną.

Syryjczycy zaczęli protestować, lecz chorąży skłonił głowę.

– Dobrze. Komandorze, porozmawiamy jeszcze raz sam na sam, jak rzecze ten rycerz. Wątpię jednak,

bym zmienił zdanie.

Zebrani zaczęli się rozchodzić. Młodzi templariusze odprowadzali najemników ponurymi spojrzeniami i szemrali między sobą. Jakub usiadł ciężko na ławie.

– Wybacz, że się wtrąciłem, panie – rzekł półgłosem do komandora.

Ten uśmiechnął się smutno, przelotnie.

– Dobrze mówiłeś, bracie. Wciąż jeszcze jest szansa na ocalenie. Jeśli spotkam się z chorążym sam na sam, może zdołam mu wyperswadować tę głupotę. – Wstał. – Awanturnicy zostaną ukarani – rzekł, wskazując giermków, którzy rozpoczęli bójkę. – Nie będę tolerował

takiego zachowania niezależnie od okoliczności. Jesteśmy armią Boga – dodał dumnie – nie jakimiś tam najemnikami.

Wieczorem Campbell z ulgą odwiesił kolczugę, cisnął w kąt przepocone szaty i padł

wyczerpany na pryczę. Wykąpał się nareszcie; mokre włosy lgnęły mu do czaszki jak zimny okład. Niebo miało kolor pomarańczy. Smuga pomarańczowego światła wpadła przez wąski otwór w murze, przydając urody szarym kamiennym ścianom. Jakub słyszał odległy modlitewny zaśpiew dolatujący z obozowiska mameluków. Wbrew regule położył się bez koszuli, wdzięczny Bogu za lekki wiatr, który chłodził mu skórę. Zwykle było tu gorąco i sucho, dziś jednak upał nasycił się wilgocią, przywierał do ciała, spowalniając ruchy i potęgując zmęczenie. Ciekawe, czy będzie burza. Od tak dawna nie widział deszczu. Zamknął

oczy i wyobraził sobie bystre rzeki Szkocji; przejrzystą wodę mknącą po brunatnych otoczakach, miękkie wrzosowiska i ciemne, osnute mgłą jeziora. Zobaczył Izabelę, jak wchodzi do strumienia podkasawszy suknie; woda opływała jej gołe nogi, słońce lśniło we włosach. Obróciła się do niego ze śmiechem i przywołała go ruchem ręki. *Chodź tu do mnie, Jakubie!*

Ocknął się w półmroku, widząc nad sobą nachyloną twarz Matiasa. Miast zachodzącego słońca do dormitorium zaglądał teraz księżyc. Strapienie malujące się na twarzy przyjaciela otrzeźwiło go natychmiast.

– O co chodzi? – wymamrotał, spuszczać nogi z pryczy.

– Odchodzą – burknął Matias podając mu koszulę.

– Kto? – Campbell wciągnął koszulę i tunikę, sięgnął po gruby przeszywany kaftan i podszedł do kołka, na którym wisiała kolczuga.

Matias, krążący nerwowo po komnacie, zatrzymał się i rzekł ponuro:

– Syryjczycy. Uciekają z twierdzy.

– Ależ chorąży zgodził się, że poprosimy sułtana o więcej czasu? Wysłaliśmy posłów. Ustalono, że

odpowiedź damy za dwa dni.

– Wygląda na to, że potrzebne mu było tylko parę godzin. Nie czekali nawet, aż upłynie pierwotny termin. Zaczęli zmykać po zmroku, kiedy większość z nas była albo na kwaterach, albo na zewnętrznym murze. Wychodzą przez furtę z południowej strony, machając białymi szmatami.

– Próbowaliśmy z nimi rozmawiać? – Campbell zasnuował kaftan, wsunął ręce w rękawy kolczugi i zarzucił ją przez głowę. Matias pomógł mu ją obciągnąć.

– Komandor zamienił z chorążym parę mocnych słów, ale ten nie dał się przekonać.

Umocnił się w swej decyzji, gdy zobaczył, że mamelucy dobrze przyjmują jego ludzi.

Oczywiście rozbrajają ich przed wejściem do obozu, ale poza tym włos im z głów nie spada.

Niektórzy podobno już dali się nawrócić na saraceńską wiarę.

– Ilu odeszło?

– Jeśli tempo się utrzyma, do świtu będzie nas mniej o tysiąc.

– Dobry Boże! A chorąży?

Matias prychnął pogardliwie.

– Zadarł kiecki i czmychnął, dając reszcie dobry przykład. – Skinął w stronę drzwi.

Na jego twarzy nagle odmalowało się zmęczenie. – Chodź, komandor nas potrzebuje.

Dowódca twierdzy stał na koronie zewnętrznego muru i klął siarczyście, obserwując Syryjczyków, którzy w świetle księżyca zbiegali ze wzgórza.

– Kundle! – syczał z rozpaczą. – Patrzcie na nich! Niewierni, kłamliwi przekłeci tchórze!

Na blankach zebrała się spora grupa templariuszy. Jedni rozmawiali między sobą, drudzy posepnie przyglądali się exodusowi najemników. W sinym świetle księżyca widać było ich miny. Campbell także poczuł, że chce mu się płakać. Sami nie mieli szans przeciwko wojskom Bajbarsa. Było ich zbyt niewiele, a zamek – zbyt rozległy.

– Może by zmobilizować chłopów? – zastanawiał się Matias. – Nie tak trudno jest obsłużyć trebusz lub choćby kuszę.

Komandor zmełł w ustach kolejne przekleństwo i zgromił go wzrokiem, potem westchnął.

– To nie wojownicy, bracie. Musielibyśmy stać nad każdym, żeby ich pilnować.

Poza tym – mruknął – znaczna część też już wyszła z zamku, choć reszta została, kiedy się okazało, że

mamelucy od razu ładują kobiety i dzieci do klatek. Bajbars nie jest tak wspaniałomyślny, jak niektórzy myślą. Po stokroć przeklęci głupcy! – dodał gorzko.

– Panie?... – bąknął nieśmiało jeden z młodszych giermków, który dotąd słuchał

złorzeczeń komandora z otwartymi ustami. Zamknął je szybko i spuścił oczy, gdy rozjuszony dowódca obrócił się do niego.

– O co chodzi, giermku?

– Moglibyśmy, to znaczy myślałem, że może... oczywiście jeśli...

– No wykrztuś to, chłopcze!

Giermek zrobił głęboki wdech.

– Czy nie moglibyśmy przebrać się za Syryjczyków i wyjść z zamku razem z nimi?

To znaczy, skoro bez nich nie możemy się obronić?

Na twarzach kilku serwiensów błysnął promyk nadziei.

– Wyjść? I oddać Safed wrogom? Nigdy!

Zbesztany giermek potulnie spuścił głowę. Komandor z wysiłkiem powściągnął gniew i rzekł ciszej:

– Nie uda się ich przechytrzyć. Nie znamy ich języka.

– Niektórzy znają – zauważył jeden z rycerzy. – Jakub Campbell włada nim nie gorzej od nich.

– Nikomu nie zezwolę na opuszczenie stanowiska! – powtórzył z mocą komandor.

– Jednemu lub dwóm mogłoby się udać – ciągnął rycerz. – Gdyby dotarli do Akki i poprosili wielkiego mistrza o posiłki...

– Berard nie zbierze tysiąca ludzi w tydzień – powiedział martwym głosem komandor. – A nawet gdyby mu się to udało, musieliby przedrzeć się przez okrażenie, żeby tu do nas dotrzeć.

Zapadła cisza.

– Moim zdaniem – rzekł po dłuższej chwili Campbell zdziwiony, jak głośno zabrzmiały jego słowa – mamy tylko dwa wyjścia.

Wszyscy, od komandora po najmłodszego giermka, popatrzyli na niego.

– Możemy albo cofnąć się do wysokiego zamku i toczyć walkę, której nie zdołamy wygrać – podjął –

albo sami negocjować warunki poddania. – Spojrzał na rozpościerające się pod murami obozowisko, jak okiem sięgnąć skrzące się światłami pochodni i ognisk. – Nie boję się śmierci, bracia. Ale nie sądzę też, bym zasłużył na odpoczynek w raju, kiedy na tym świecie jest jeszcze tyle do zrobienia.

Safed

Dwudziesty drugi dzień lipca

Początkowo komandor nie chciał nawet słyszeć o poddaniu zamku. Zdrada Syryjczyków pozostawiła mu w duszy głęboką ranę i upór był po części jej efektem. Ale większość rycerzy zgadzała się z Jakubem. Gdy zaś o świecie zbrojnych było już tylko czterystu, komandor ustąpił. Campbell zaofiarował się, że pojedzie do obozu negocjować warunki kapitulacji dla templariuszy. Komandor nie był zachwycony tym pomysłem, lecz nie mając na podorędziu innego posła, w końcu się zgodził.

Po prymie zeszli do szerokiego tunelu, którego wylot otwierał się za murami w zboczu góry. Giermek prowadził osiodłanego konia.

– Jesteś pewien, bracie? – spytał komandor. – Mogą cię zabić na miejscu.

– Mam tylko nadzieję, że słowo „poddanie” przejdzie mi przez gardło, na dodatek po arabsku – zażartował Campbell spostrzegając mimochodem, że głos mu drży.

– Nie będziesz musiał forsować gardła, bracie.

Obejrzeni się. Tunelem spieszył za nimi Matias, prowadząc niskiego chudego Syryjczyka z haczykowatym nosem, rzadkim czarnym wąsem i bródką.

– To jest Leon – wydyszał. – Pójdzie zamiast ciebie.

Jakub potrząsnął głową, mierząc wzrokiem żołnierza. Zastanawiał się, czy Matias go przekupił czy mężczyzna rzeczywiście zgłosił się na ochotnika.

– Podjąłem już decyzję, Matiasie.

– Ja też – odparł stanowczo Matias. – Nie chcę przez kilka następnych dni oglądać twojej głowy na palu. Tak będzie bezpieczniej. Bajbars nienawidzi Franków, a Leon jest tutejszy, aczkolwiek dochował nam wiary, prawda, Leonie? – dodał, klepiąc chudzielca po plecach.

– Tak, panie – odezwał się Syryjczyk basowym głosem zaskakującym u człowieka tak drobnej postury. – Nie pochwalam decyzji moich rodaków i rad będę choć w części odkupić to, co uczynili.

Campbell otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz komandor nie dopuścił go do głosu.

– Niech tak będzie – rzekł. – Jeśli Bajbars nie przyjmie kapitulacji, bardziej mi się przydasz tutaj.

Gdy to ustalono, Leon wsiadł na konia i odjechał z wręczonym mu przez komandora pismem, w którym wyszczególnione były postulaty obrońców. Pozostali wrócili na mury, żeby zobaczyć, jak mu

pójdzie; nim jednak zdążyli się wspiąć na blanki, dowiedzieli się od pełniących tam straż rycerzy, że Leon dotarł już na miejsce i zaprowadzono go do namiotu sułtana. Teraz nie pozostało nic innego, jak tylko czekać.

Minuty upływały. Jakub apatycznie wpatrywał się w zbocze góry. Komandor chodził nerwowo w tę i w tę po pomoście. Matias bębnił palcami w kamień. Odkąd Leon zniknął w pawilonie sułtana, minęła prawie godzina. Campbell odwrócił się do Matiasa.

– Myślisz, że Bajbars puści ich wolno? – spytał, prześlizgując się spojrzeniem po chłopach stłoczonych z żonami i dziećmi w obrębie niższego zamku.

– Kobiety i dzieci to najcenniejsze łupy, jakie można tu zdobyć. Prawdę rzekłszy, będę zdumiony, jeśli to zrobi.

– Ja też – przytaknął z goryczą Jakub.

– Jedzie! – rozległ się okrzyk.

Wyjrzeni przez blanki. Leon wspinał się pod górę stromą ścieżką wiodącą do warowni.

– Żyje, dzięki Bogu – rzekł któryś z rycerzy. – To chyba dobry znak.

Niewiele później Leon pojawił się na ganku w asyście dwóch giermków, blady i rozdygotany.

– I jak? – spytał komandor.

– Jest zgoda, komandorze – skłonił się przed nim Leon. – Sułtan Bajbars przyjmuje wasze warunki. Jeśli oddacie Safed bez dalszego oporu, daruje wam życie i wolność.

Będziecie mogli udać się do Akki. Naszym żołnierzom i chłopom pozwoli wrócić do domów.

Daje wam resztę dnia na przygotowanie się do opuszczenia twierdzy. Musicie z niej wyjść przed wieczorem. Nasi mają czekać wewnątrz, aż mamelucy dadzą im znak.

Komandor z namysłem zmarszczył brwi.

– Okazało się to prostsze, niż przypuszczałem – mruknął.

– To szaleństwo! – sprzeciwił się jeden z rycerzy. – Tak łatwo mamy zaufać słowu naszego wroga?

– Oczywiście, że nie – wpadł mu w słowo Matias – ale jak powiedział Jakub, lepiej być jeńcem niż trupem. Tam mamy jeszcze jakąś szansę. Pozostając tutaj odwlekamy tylko nieuniknione.

– Sułtan pragnie szybkiego zwycięstwa, komandorze – wtrącił się Leon. –

Powiedział, że nie dba o garstkę frankijskich barbarzyńców... – Wzruszył przepaszająco ramionami.

– Chce się was pozbyć z zamku, żeby zrównać go z ziemią i zatrzeć ślady waszego pobytu, którymi splamiliście jego ziemie.

Mars na czole komandora pogłębił się.

– I to nas nazywa barbarzyńcami – mruknął. Powiódł dłonią po gładkim kamiennym murze. – Budowa trwała lata, a starczy kilka tygodni, by wszystko zniszczyć. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Safed upadnie.

– Czy chcesz, żebym zaniósł sułtanowi twą odpowiedź, panie? – spytał Leon.

Komandor podniósł głowę, spojrział na rycerzy i odetchnął głęboko.

– Zrób to – rzekł szorstko. – Zanieś mu moją zgodę i miejmy to już za sobą.

Księża posuwali się wzdłuż szeregów odmawiając modlitwę i błogosławiąc pochylone głowy znakiem krzyża. Piętrząca się nad murami bryła wysokiego zamku w promieniach zachodzącego słońca przybrała różowawy odcień. Twierdza była świadectwem potęgi Boga i jego sług, lecz wojenna nawałnica sięgnęła jej murów i Safed nie mógł dłużej dawać jej odporu. Święty Jerzy nie zdołał go obronić. Teraz zamek należał do Bajbarsa, chociaż postarali się, by niewiele przyniósł mu pożytku. Ciała przerzucone im przez mameluków wrzucono do zbiorników, żeby zepsuć wodę. Zmagazynowaną żywność palono przez cały dzień. Kowale i mularze dostali zadanie zniszczenia broni: rozebrania machin miotających pociski, połamania zapasowych mieczy i łuków. Zostawiali za sobą tylko nagie mury. A w nich – wystraszoną garstkę żołnierzy i chłopów.

Campbell obejrzał się słysząc za sobą szepty. Pięciu najmłodszych giermków ze zgrozą przyglądało się poczynaniom księży. Odgadł przyczynę ich przerażenia.

– Nie bójcie się – rzekł cicho. – Wszak modlitwa może nam wyjść tylko na korzyść.

– Panie – szepnął jeden z giermków – zastanawialiśmy się tu z chłopakami, jak zdołamy dotrzeć do Akki bez koni i żywności.

– To tylko trzydzieści mil. Mamy wodę. – Jakub z uśmiechem poklepał przytroczony do pasa bukłak.
– Bez całej reszty możemy się obejść.

Giermek kiwnął głową, nieco uspokojony.

– Amen – powiedzieli wszyscy głośno na zakończenie.

Przed zebranymi stanął teraz komandor.

– Bądźcie silni, bracia. Trzymajcie wysoko głowy w obliczu wroga. Pokażcie mu, że bojownicy Chrystusowi nie zegnają przed nim karków. Tym, którzy oto niszczą nasz dom i nasze nadzieje, patrzcie w oczy z godnością, albowiem pewnego dnia powrócimy tu z całą siłą Świątyni, by pomścić dzisiejszą stratę. Pociechę znajdźcie w wierze, odwagę zaś w dyscyplinie. – Jego wzrok spoczął przez chwilę na bryle zamku. – Chodźmy.

Przeszli razem pod uniesioną bronią w baszcie bramnej, odruchowo formując równy szyk. Na czele szedł komandor, za nim Jakub z Matiasem. U stóp wzgórza czekała na nich armia.

Część mameluków szydziła z pokonanych, większość milczała z rękoma założonymi na piersiach, ale wszyscy odprowadzali ich spojrzeniami pełnymi bezbrzeżnej pogardy.

Campbell czuł dosłownie, jak skóra go pod nimi pali. Zagnano ich między rzędy namiotów i wozów, na pusty plac otoczony przez wojowników w złocistych płaszczach. Rozpoznał w nich Bahridów, gwardię sułtańską. Pomiędzy nimi stał wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna o krótko przyciętych ciemnych włosach, przetykanych srebrem na skroniach, i lodowatych błękitnych oczach. Gdy ich wzrok spoczął na Jakubie, zimna pięść ścisnęła serce rycerza. U stóp sułtana przykucnął starzec w wystrzępionej koszuli, przyglądając się z zainteresowaniem templariuszom.

Bajbars mruknął coś do stojącego u jego boku wojownika. Ten wystąpił naprzód.

– Odłóżcie broń – rozkazał najczystsza łaciną.

Zaskoczony komandor nasepił się.

– Warunki kapitulacji nie obejmowały oddania broni!

Mameluk powtórzył rozkaz.

Jakub zerknął na dowódcę.

– Może powinniśmy zrobić to, czego żądają. Im prędszej nas wypuszczą, tym lepiej.

Komandor otworzył usta, jakby miał zaprotestować, lecz po chwili skinął głową.

– Dobrze – rzekł głucho. Rozpiął pas z mieczem i ułożył go starannie na ziemi.

Rycerze i giermkowie poszli za jego przykładem. Kilku gwardzistów przeszło wzdłuż szeregów zbierając oręż. Bajbars odczekał, aż skończą, po czym skinął na innego przybocznego. Tym razem przemówił na tyle głośno, że Campbell go usłyszał:

– Poślij oddział do twierdzy. Przypuszczam, że Frankowie zniszczyli wszystkie cenne rzeczy, ale tak czy owak przeszukajcie zamek. Kiedy skończycie, zabijcie wszystkich Syryjczyków, którzy nie wyszli wcześniej na moją prośbę. Kobiety i dzieci do klatek.

Mamelucy ruszyli spełnić rozkaz. Jakub osłupiały patrzył na sułtana.

– Dałeś słowo! – krzyknął po arabsku.

Mroźne spojrzenie błękitnych oczu zatrzymało się na nim.

– Mowa mojego ludu brzmi fałszywie w twoich ustach, chrześcijaninie – powiedział

sułtan. – Nie jesteś godzien jej używać.

– Co on mówi? – Komandor wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

– Zostaliśmy oszukani, panie!

Zza szeregu gwardzistów wyszli żołnierze niosący łańcuchy i kajdany. Na ten widok rycerze zaczęli się burzyć, sięgać do mieczy, których już nie mieli. Jeden z młodszych giermków rzucił się do ucieczki.

– Stój! – krzyknął za nim Campbell.

Ale chłopiec wpadł w panikę, nie usłuchał przestrogi. Po kilku krokach dopadli go mamelucy, zakłębili się nad nim, przygwoździli ostrzami do ziemi. Po chwili krzyk giermka ucichł. Campbell zacisnął zęby na widok zmasakrowanego trupa. Ręce, którymi próbował się osłaniać, były pocięte na strzępy. Twarz straciła rysy pod cięciami szabel, ciało w wielu miejscach było przekłute na wylot.

– *Requiem aeternam...* – rozległ się czyjś głos w zapadłej ciszy. Zawtórowały mu inne.

Kazano im zdjąć płaszcze i kolczugi, a nawet koszule, potem zaś uklęknąć. Jakub, pchnięty na kolana obok komandora, patrzył, jak jego biały płaszcz ciskają do ogniska, a zbroja niesiona jest na bok, by stać się łupem jakiegoś mameluka. Nałożono mu ciężkie łańcuchy, których dotyk ziębił nagą pierś.

Kiedy wszyscy templariusze zostali skuci, Bajbars wystąpił naprzód. Spojrzał z góry na Campbella.

– Nie dotrzymałem słowa, chrześcijaninie, ale też nie jestem człowiekiem nieprzejednanym. – Przerwał, potem widząc po twarzy rycerza, że ten zrozumiał jego słowa, skinął głową i podjął: – Dam wam wybór. Przetłumacz waszemu dowódcy to, co powiem.

Słuchając go, Campbell czuł, jak ogarnia go słabość. Zwiesił z rozpaczą głowę.

– Jakubie – odezwał się z niepokojem komandor. – Co się dzieje? Czyżby spełniły się moje obawy i powloką nas jako niewolników do Kairu?

Przez chwilę Jakub nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Zmusił się jednak, by podnieść głowę, i przemówił, kierując słowa do komandora, lecz nie spuszczając oczu z Bajbarsa.

– Nie pójdziemy do niewoli. Sułtan dał nam wybór... – Mówił głośno i wyraźnie, tak że cała kompania mogła go usłyszeć. – Możemy zaprzec się Chrystusa i przyjąć wiarę islamską, albo wybrać męczeństwo i zostać ścięci. Do rana mamy podjąć decyzję.

Pod murami Safedu

Przed świtem dwudziestego trzeciego dnia lipca

Noc, ciepła i duszna, dłużyła się stłoczonym na klęczkach templariuszom. Przez pierwsze parę godzin większość milczała zatopiona we własnych myślach. Nasłuchiwali odgłosów wojskowego obozu,

cichych rozmów warty, stłumionych przez odległość krzyków dobiegających z zamku, gdzie docinano mężczyzn, a kobiety i dzieci pętano w niewolę. Było po północy, kiedy milczenie przerwał głos komandora:

– Już czas.

Ludzie ocknęli się z bezruchu; wszystkie oczy skierowały się na dowódcę. Jego gniew ostygł, głos miał spokojny, choć nieco ochrypły.

– Trzeba nam dokonać wyboru. Ja podjąłem już decyzję we własnym imieniu, lecz jako bracia musimy przemawiać jednym głosem.

Nikt się nie odezwał. Młodzi giermkowie wpatrywali się w niego, lecz starsi bracia służebni i rycerze, którzy wytrwali w zakonie przez wiele lat, odwracali głowy wiedząc, jaka będzie decyzja.

– Dwadzieścia lat temu – podjął cicho komandor – ukląknę przed kapitułą w Paryżu i zostałem pasowany na rycerza Świątyni. Lata, jakie minęły od tej chwili, poddały wielu próbom moje ciało, lecz dziś dopiero nadeszła chwila próby mej wiary. Śluby, które złożyłem wówczas, są dziś dla mnie tak jasne, jak były wówczas. Wiedziałem, czego się ode mnie wymaga. Wszyscy to wiemy, bracia, także ci, którzy nie noszą białej szaty.

Starsi bracia pokiwali głowami.

– Złożyliśmy przyrzeczenie, że oddamy życie w służbie zakonu. – Głos komandora zadrżał z emocji.
– Nie zaprę się go dzisiaj! Choćby sam diabeł ze wszystkimi hordami piekieł żądał tego ode mnie, nie wyrzeknę się Chrystusa!

Zamilkł. Rozległy się wypowiedane półgłosem słowa zgody.

– Jesteśmy z tobą, bracie – rzekł kapelan, patrząc z litością na przerażonych młodocianych giermków.
– Śmierć pozwoli się nam narodzić do nowego życia. Nasza ofiara zaiste niewielką jest ceną nagrody, jaką otrzymamy w niebiosach.

Jeden z chłopców przemówił drżącymi ustami:

– Czy nie moglibyśmy... wywieść ich w pole, p... panie? – Rozejrzał się dookoła, szukając wsparcia u druhów, ale wszyscy mieli wzrok wbity w ziemię. – Udać, że przyjmujemy saraceńską wiarę, a odrzucić ją, gdy znajdziemy się bezpiecznie w Akce? Czy nie możemy wyrzec się Chrystusa tylko ustami, nie sercem?

– Zaparcie się Chrystusa, zarówno udawane, jak i szczere, jest grzechem śmiertelnym – odparł cicho komandor. – Przed tymi, którzy by tak uczynili, wrota niebios zatrzasną się na zawsze. Nie ugniemy się przed wolą nieprzyjaciela. Dumnie przyjmujemy to, co nam gotuje, i zadziwimy pogan mocą jedyne prawdziwego Boga. Ciało jest tylko tymczasowym mieszkaniem duszy, która żyje nadal.

Chłopak spuścił oczy.

Skoro decyzja została już podjęta, nawet strwożeni pomilkli w obliczu determinacji pozostałych. Przez resztę nocy modlili się i cicho wspominali rodziny. Jakubowi krwawiło serce, gdy słyszał, jak niektórzy mówią o swych żonach i dzieciach. Spojrzał na jaśniejące z wolna niebo.

– Jakże żałuję...

Poczuł dłoń Matiasa na swoim ramieniu.

– Czego żałujesz, bracie?

Uzmysłowił sobie, że powiedział to na głos.

– Czy masz pojęcie, czym jest nienawidzić własne dziecko? Nienawidziłem syna za śmierć córki i nienawidziłem siebie za to, że go odtrącam. Moje serce było rozdarte, połowa obumarła, druga połowa zaś tętniła bólem. Czułem się tak, jakbym owego dnia utracił dwoje dzieci. – Jakub ścisnął rękę przyjaciela. – Ale przecież straciłem tylko jedno!

– Nie rozumiem, Jakubie. Mówiłeś, że twoja córka utonęła.

– Widziałem tylko siebie. Wmawiałem sobie, że przywiódł mnie tu obowiązek, że robię to także dla Willa i on mi kiedyś za to podziękuje. Ale sam się okłamywałem.

Przybyłem tu właśnie po to, by umknąć od obowiązku. Nie powinienem był zostawiać go samego. – Otarł knykciem spływającą z oka łzę. – Dobry Boże, kto się teraz zatroszczy o moją rodzinę?

Matias objął go rozumiejąc, że Jakub oczekuje pociechy, nie odpowiedzi.

– Zakon otoczy ich opieką – mruknął. – Nie bój się.

Jakub jak małe dziecko wtulił się w ramię potężnego rycerza i pogrążył w niespokojnym półśnie. Śnił mu się ojciec. Szedł z nim za rękę nad jezioro, na ryby. Kiedy się obudził, policzki miał mokre od łez.

Tuż przed świtem brat Józef, najstarszy z księży, z wysiłkiem obszedł na kolanach całą grupę, zatrzymując się kolejno przy każdym więźniu. Nie mieli tu olejów, zużył więc do ostatniego namaszczenia resztkę wody z bukłaka.

Gdy pierwsze promienie słońca oparły się na szczytach odległych gór, przyjechał

Bajbars. W oczach sułtana mignęło zaskoczenie, a może nawet iskierka podziwu, gdy dowiedział się, że wszyscy wybrali śmierć. Osiemdziesięciu czterech templariuszy postawiono na nogi i wyprowadzono rzędami z obozu. Ociągających się mamelucy popędzali mieczami. Gdy dotarli na spłachetek nagiej ziemi nad doliną, znów kazano im uklęknąć.

Jakub znalazł się obok Matiasa. Powiódł wzrokiem po twarzach odzianych w połociste płaszcze mężczyzn otaczających sułtana. Nigdy nie spotkał się ze swoim łącznikiem twarzą w twarz, ale po ubiorze tych zbrojnych zgadywał, że nie ma wśród nich człowieka, który mógłby go ocalić. Mimo to

nie czuł się przegrany. Przybył do Ziemi Świętej, by czynić to, w co wierzył, i czynił to, choć zapłacił swoją rodziną, swoim życiem.

Nie zobaczy owoców swoich starań, lecz być może pewnego dnia ujrzą je inni. Kiedyś krew rozlana na tę jałową ziemię wyschnie, lecz przyszłe pokolenia będą o niej pamiętać. Świat, którego budowę Campbell starał się wspomóc, nie był przeznaczony dla niego. Należał do przyszłości. Do jego syna. Kiedy to sobie uzmysłowił, ogarnął go dziwny spokój.

Spokój ten chwilę później zburzył Matias.

– Na Boga, ty Judaszu! – ryknął, usiłując powstać. Trzej mamelucy z trudem przygnietli go do ziemi.

Jakub rozejrzał się, szukając powodu wściekłości przyjaciela. W otoczeniu Bajbarsa stał Leon, syryjski żołnierz, którego wysłali w poselstwie.

– Nie zdradziłem was! – zaperzył się. – Przekazałem wam wiernie słowa sułtana.

Skąd mogłem wiedzieć, że je złamie?

– I mamy w to uwierzyć, gdy stoisz teraz obok naszych katów?

– Przyjąłem wiarę mahometańską – przyznał Leon. – Ale wam też dano taką szansę.

Sami wybraliście śmierć.

Matias ryknął jak niedźwiedź w paści, ale przygnieciony ciałami mameluków mógł

tylko patrzeć, jak Leon kłania się nisko Bajbarsowi i odchodzi.

– Przestań, bracie! – wykrzyknął błagalnie Jakub, bardziej zmartwiony stanem duszy przyjaciela niż ustawiającym się za ich plecami szeregiem wojowników z obnażonymi szablami. Pochylił się, żeby go dotknąć. – Proszę cię, Matiasie! Nie możesz umrzeć złorzecząc. Musisz się przygotować do ostatniej drogi. Oszczędzaj na nią siły!

Furia rycerza zgasła, ciało się odprężyło. Strażnicy wypuścili go i odstąpili, choć wciąż trzymali broń w pogotowiu. Matias przysiadł na piętach i podniósł związane ręce, żeby otrzeć piach z twarzy.

Bajbars dał znak do rozpoczęcia egzekucji. Jakub zerknął na druha.

– Żałuję tylko, że nie udało nam się własnymi oczyma ujrzeć Jeruzalem, jak to planowaliśmy, bracie.

– Czymże jest Święte Miasto w porównaniu z rajem? – zaśmiał się krótko, szorstko Matias.

– Niech Bóg będzie z tobą, przyjacielu.

– I z tobą.

Szable zaczęły opadać. Jakub spojrział wprost przed siebie na wijącą się w dolinie jak złocista wstążka rzekę Jordan, na góry czerwonawe w miękkim świetle poranka. Napawał się tym widokiem jak ktoś, kto rozkoszuje się ostatnim łykiem wody przed wejściem na pustynię.

Słyszał głucho uderzenia, brzęknięcia stali rozrąbującej ciało i kości i towarzyszące im sieknięcia katów. Kiedy padł komandor, zamknął oczy. Pomyślał o Izabeli i pozostałych w Szkocji córkach, starając się wyryć w pamięci ich obraz i zabrać tę ich drobną cząstkę ze sobą tam, na drugą stronę. Boże, miej je w opiece, pomyślał. Padło dwóch kolejnych rycerzy, potem Matias. Jakub wyobraził sobie Willa w białym płaszczu z krzyżem. Powiew wiatru pachnącego kwieciem hibiskusa uniósł mu włosy, chłodząc wilgotną skórę. Otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Jestem z ciebie taki dumny – szepnął, gdy już padał na niego cień ostrza.

21

Pod Siedmioma Gwiazdami, Paryż

Dwudziesty dzień października roku Pańskiego 1266

Garen przyglądał się, jak kobieta długimi smukłymi palcami rozplątuje tasiemki jego koszuli. Światło świec pełgało po jej szczupłym nagim ciele, stwarzając wrażenie, że skóra Adeli lśni własnym blaskiem. Napawał się jej widokiem. Rozebrała go z koszuli i jej chłodne dłonie przesunęły mu się po piersi. Z dołu przez podłogę słychać było głośne rozmowy i dźwięk piszczałki. Z przyległej izby dobiegł przeciągły jęk mężczyzny i tuż po nim dziewczęcy śmiech. W powietrzu wisiał gęsty aromat kadzidła, ale mdląco-słodki zapach nie był w stanie zagłuszyć skwaśniałego odoru potu, piwa i gotowanego mięsa, którym przesiąknięty był cały dom. Adela nachyliła się powolnym węzowym ruchem, żeby pocałować go w szyję. Gęste ciemne włosy rozsypały jej się na ramionach, a lekki jak piórko język powędrował w kierunku jego ucha.

– Czemu nie zamkniesz oczu? – szepnęła; jej ciepły oddech przeszył Garena dreszczem. Zauważył, że będąc z nim, zawsze mówiła szeptem, może chcąc ukryć męską chropowatość głosu, którą zdradzał podniesiony ton.

Kiedy nie odpowiedział, wyprostowała się powoli i przyjrzała jego obojętnej twarzy.

– Dziwny z ciebie człowiek.

– Nie płacę ci za rozmowę – uciał, podnosząc rękę, żeby odgarnąć jej włosy z twarzy. Niezmiennie urzekały go jej oczy, wielkie, lśniące, o ciemnoszarym odcieniu wpadającym w fiolet.

– A za co mi płacisz? – zamruczała, nachylając się tak, że brodawki piersi musnęły jego skórę.

– Przecież wiesz.

– A, tak – Adela zsunęła się niżej rozwiązując troki jego nogawic – wiem.

Omiotła włosami jego brzuch. Garen spojrział ponad jej głową w kąt izby, większej niż inne w

gospodzie, gdzie za wiklinowym parawanem stał stół i drewniany stołek. Była to pracownia Adeli. Na półkach widać było kuliste słoje i miski, obok nich zaś wysokie gliniane flaszki. Wiedział, obejrzawszy je przy pierwszej tu wizycie, że zawierają zioła. Oprócz innych swych uzdolnień Adela była też znachorką. Jej dłonie przyspieszyły; Garen zacisnął zęby i kurczowo złapał się rozprutego siennika.

Adela, dziewiętnastoletnia właścicielka cieszącej się ongiś lepszą sławą gospody w Dzielnicy Łacińskiej, była pierwszą kobietą, którą Garen miał w łóżku, i dotąd nie mógł się nadziwić, jakie wszystko jest proste, gdy trzyma ją w ramionach.

Po trzech miesiącach w Paryżu jedynym, co zdołał osiągnąć, było krótkie spotkanie z wizytatorem, który oznajmił mu, że droga do szczytów wiedzie przez Ziemię Świętą.

Rozgoryczony wkrótce potem złamał ślub czystości. Uciekając z Londynu myślał, że rozpocznie nowe życie, uwolni się od wspomnień stryja i niechcianych więzów, które łączyły go z księciem Edwardem.

Po śmierci stryja Jakuba został giermkim rycerza w podeszłym wieku, który rzadko opuszczał preceptorium. Poświęcił się bez reszty ćwiczeniom z mieczem; wygrywał

wszystkie turnieje w Nowej Świątyni. Ale to mu nie wystarczało. Los, przed którym się wzdragał; cel, który narzucili mu stryj i matka, zapadł w nim zbyt głęboko; Garen w pewnej chwili uświadomił sobie, że sam chce go osiągnąć. Bunt baronów był dla niego błogosławieństwem. Nie miał złudzeń, że gdyby do niego nie doszło, księżę zażądałby znacznie więcej niż paru prostych posług polegających głównie na przekazywaniu wiadomości. Ale choć uwięzienie Edwarda dało mu chwilę wytchnienia, odcięło go również od łask księcia, a przynajmniej ich materialnych dowodów; obiecanych nadań i tytułu. Choć wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju, nadal marzył o własnym zamku, gdzie miałby roje służb, piękne stajnie i całą wieżę dla matki. Ale księżę miał na razie pilniejsze troski i Garen odkrył, że jeśli chce awansu, musi go sobie zdobyć sam.

Złożył śluby. Przeniesienie do Paryża nie spełniło jego nadziei. Usłyszawszy od wizytatora, że będzie musiał najpierw wykazać się w boju, nim zacznie się ubiegać o wyższe stanowiska w zakonie, przez kilka tygodni rozważał myśl o udaniu się za morze. Słyszał

opowieści o rycerzach, którzy zyskiwali tam miasta, zamki i haremy. Ale Ziemia Święta była bardzo daleko, a on się bał.

Czując, jak zręczne ruchy Adeli doprowadzają go do szczytu, złapał ją za szyję i nurzając dłonie w pachnących jaśminem włosach, podciągnął ją do siebie i mocno wpił się wargami w jej usta. Czasem lubił się z nią droczyć; patrzeć, jak się pręży z zamkniętymi oczyma i rozchyłonymi ustami, by móc go dotknąć. Lubiał doprowadzać ją do całkowitego zapomnienia, gdy tymczasem sam nie tracił panowania nad sobą i rozmyślnie skąpo, po troszeczkę wydzielał pieszczoty. Nie dziś. Dziś przygniótł ją ciałem i podciągnął sobie jej nogi na biodra, niecierpliwie, brutalnie wdzierając się w jej wnętrze. Syknęła, lecz on tego nie słyszał. Szukał w niej zapomnienia, aż wreszcie opuściły go wszystkie lęki i troski. Cały świat odszedł w nicość; istniała tylko ta jedna cudowna chwila.

Wyczerpany opadł na nią oddychając ciężko, urywanie. Przez kilka sekund umysł miał zupełnie pusty.

W końcu Adela dźwignęła jego barki i wydostała się spod niego. Skrzywiła się, siadając.

Garen dostrzegł to i dotknął jej ramienia.

– Sprawilem ci ból? – spytał wiedząc, że tak było. Teraz, gdy rozkosz minęła, poczuł się winny.

– Troszeczkę.

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi.

– Szkodzi. – rzekł marszcząc brwi. – Wybacz mi.

– Nic mi nie jest, Garenie. Uwierz mi, znosiłam już gorsze rzeczy. – Podniosła się.

Złapał ją za rękę.

– Zostań tu ze mną.

– Nie mogę. Inni na mnie czekają.

– Tylko na chwilę – poprosił, nie wypuszczając jej dłoni.

Po chwili wahania położyła się obok niego. Wtulił głowę w jej piersi, czując, jak unoszą się i opadają przy każdym oddechu. Ich ruch go koił. Na dworze robiło się ciemno.

Wkrótce będzie musiał wrócić do preceptorium.

Kobieta delikatnie pogłaskała go po plecach. Zanurzyła twarz w jego włosach; pachniały ciepłem i czystością.

– Wolałbym, żebyś tego nie robiła – zamruczał.

– Czego?

– Nie spotykała się z innymi mężczyznami.

Adela nie odpowiedziała.

Tower

– Widziałeś go tylko ten jeden raz?

– Tak, najjaśniejszy panie. W Carcassonne, jakieś osiem miesięcy temu. Tłum był...

bez mała jak na koronację!

Książę Edward przysiadł na brzegu stołu w smudze światła padającego przez wąskie okno. Poglądził po złotobrunatnej piersi trzymanego na przegubie sokoła. Filip, młody prowansalski szlachcic, siedział na niskim stołku i musiał zadzierać głowę, żeby na niego spojrzeć. Czuł się żenująco mały w obecności rosnącego, wyprostowanego księcia. Mając lat dwadzieścia siedem, Edward mógł się poszczycić imponującym wzrostem, a jego ciało, choć chude, było dobrze umięśnione po latach spędzonych na turniejach, łowach, a ostatnio także na wojnie.

– Piękny ptak – bąknął nerwowo Prowansalczyk skrępowany przedłużającą się ciszą.

Edward zerknął na niego przelotnie.

– Ta sokolica należała do mego wuja, Szymona z Montfortu. Wziąłem ją sobie, kiedy padł pod Evesham. – Uniósł rękę w ochronnej skórzanej rękawicy. Ptak skrzeknął, uderzył skrzydłami i wzbil się szarpiąc jedwabną smycz, której drugi koniec Edward trzymał

w rękę. Krzyknął ponownie, po czym usadowił się z powrotem, strzepując pióra i mierząc Edwarda niezmrudzonym spojrzeniem bursztynowych oczu. – Wciąż jest trochę płochliwa –

wyjaśnił książę.

Wzrok Filipa powędrował ku drzwiom. Przez cały czas stał w nich człowiek, który doręczył mu wezwanie do tej ponurej zimnej komnaty na szczycie wieży. Jego brzydka, naznaczona śladami po ospie twarz wyprana była z jakichkolwiek emocji.

– Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego interesuje cię twórczość Piotra z Pont-Eveque, mój panie? – spytał z wahaniem, podnosząc wzrok na księcia.

– Słyszałem, jak opowiadałeś o nim podczas uczy. Zaciekawileś mnie.

Filip kiwnął głową i ciut się odprężył.

– Zdaje się, że jego sława zatacza coraz szersze kręgi. Odkąd tu przybyłem, pytało mnie o niego już wiele osób, choć zaiste trudno mi wyrokować o tej poezji. Zawsze mówię, że każdy powinien sam go posłuchać, bo przecie nie każdy gustuje w podobnych pieśniach.

Miałem nadzieję usłyszeć go znów niebawem na dworze króla Francji, lecz pobyt w Anglii mi na to nie pozwoli...

– Opowiedz mi o jego księdze. Mówisz, że nazywa ją Księgą Graala?

– Tak. Czyta ją podczas występów. Z niej pochodzą te, hm... mniej bogobojne wiersze. – Miody szlachcic lekceważąco wzruszył ramionami.

– Nie widzę w nich nic heretyckiego. Moim zdaniem to po prostu poetycka przesada.

– I mowa jest tam o templariuszach?

– Nie dosłownie. Ale każdy by to odgadł, skoro poeta opisuje rycerzy w białych płaszczach z czerwonym krzyżem na piersi. Niektórzy podejrzewają, że autorem księgi jest templariusz, może usunięty z zakonu za jakieś winy, taki, który zna ich tajemne rytuały. –

Filip zachichotał. – Nikogo nie oburza sposób, w jaki zakonni rycerze opisani są w tej księdze. Wielu ludzi uważa, że już pora dać im lekcję pokory. Są tacy dumni, uważają się za lepszych niż inni, a jednak nieraz słyszałem powiedzenie „pijany jak templariusz”. A ich śluby czystości? Plotka głosi, że chędożą równie często i żwawo jak my wszyscy. Nazywają się ubogimi rycerzami Chrystusa, tymczasem wiadomo, że w podziemiach swych kaplic zakopane mają królewskie skarby.

Edward skrzywił się słysząc tę ostatnią uwagę i Filip zamilkł, coraz bardziej zbity z tropu. Przybywszy do Londynu przekonał się, że od jego ostatniej wizyty król Henryk bardzo się postarzał, osłabiony chorobą i długim uwięzieniem podczas rebelii Szymona z Montfortu, później zaś niedawno dopiero zakończonym oblężeniem Kenilworthu. Głowy buntowników ozdobiły nareszcie most Londyński, ale Filip słyszał na dworze plotki, że naprawdę rządzi państwem nie król, a książę Edward i jemu też należy przypisać zasługę oczyszczenia kraju z buntowników. Teraz, kiedy sam miał z nim do czynienia, gotów był dać wiarę owym plotkom.

– Wiesz, kiedy dokładnie trubadur ma wystąpić u króla Ludwika? – zainteresował się książę.

– Za niecałe dwa tygodnie. Czy zamierzasz także przybyć, panie?

Edward zerknął na stojącego przy drzwiach Kruka.

– Mój przyjaciel tam będzie – uśmiechnął się lekko. – Możesz już odejść, Filipie.

Dziękuję, że poświęciłeś mi swój czas.

Prowansalczyk nieomal zerwał się ze stołka. Skłonił się nisko.

– To dla mnie zaszczyt i przyjemność, panie. – Skłonił się jeszcze raz i pospieszył do wyjścia.

– Sądziś, panie, że to ta sama księga, której szukali? – odezwał się Kruk, kiedy koki Filipa ucichły w oddali.

– Nazywa się tak samo i jak słyszę, są w niej wyraźne odniesienia do templariuszy.

Za dużo podobieństw, żeby je zlekceważyć. – Edward zsunął się ze stołu i podszedł do okna.

Zamknął oczy, wystawiając twarz do słońca. Jego włosy, jasne za młodu, z biegiem lat pociemniały,

gdzieniegdzie wpadając niemal w czern.

Sześć lat temu, kiedy najpierw od Kruka, potem od przerażonego, jękającego się Garena dowiedział się o istnieniu tajnej grupy w łonie Templum, natychmiast zainteresował

się tą sprawą. Z przekazanych mu słów Jakuba z Lyonu wynikało, że grupie tej, nazwanej Duszą Świątyni, skradziono księgę, której zawartość mogła – gdyby wyszła na światło dzienne – zagrozić nawet całemu zakonowi. Wysłany na przeszpiegi Kruk nie zdołał się dowiedzieć, czyim dziełem jest księga ani gdzie się znajduje, potwierdził jednak, że w paryskim klasztorze rezyduje brat imieniem Ewerard, który wedle Garena był głową frakcji.

Przetrząsając archiwa westminsterskie Edward natknął się na dokument podpisany przez króla Ryszarda, w nim zaś na wzmiankę: „*Dusza Świątyni, której ślubuję strzec choćby za cenę życia...*” dowodząca, iż jego stryjeczny dziad zwany Lwim Sercem istotnie miał

powiązania z tajną grupą. Planował wówczas dać Krukowi więcej ludzi do pomocy w rozpracowaniu owej Anima Templi i jej dzieł, ale przeszkodziła mu w tym wojna domowa i uwięzienie przez Montforta.

– Kiedy mam jechać do Paryża?

Księżę odwrócił się od okna.

– W najbliższych dniach. – Zauważył powątpiewającą minę Kruka. – Co znowu?

– Z całym szacunkiem, panie, zastanawiam się, czy nie pokładamy za wiele nadziei w jakiejś księżczyńce. Cała ta tajna grupa może istnieć tylko w wyobraźni jednego zasmarkanego szczeniaka.

– Za wiele słów Garena się potwierdziło, byśmy mieli je traktować jako wymysł lub kłamstwo. – Kruk otworzył usta, lecz Edward uciszył go ruchem ręki. – A co innego mam robić? Najechać zbrojnie na paryskie Templum, żeby odebrać swoje klejnoty? Nasi ludzie nie zdołali ich przejąć, gdy leżały na portowym nabrzeżu; sądzisz, że wydostaną je z żelaznej skrzyni ukrytej trzydzieści stóp pod ziemią? – Głos Edwarda był spokojny, ale w jego oczach płonął gniew. – Mój ojciec z dnia na dzień jest słabszy. Już niedługo ja będę królem Anglii.

Muszę już teraz podporządkować swojej władzy tych, którzy zechcą ją podważyć, gdy nałożę koronę. Nie pozwoliłem na to wujowi, którego kochałem i podziwiałem przez wiele lat.

Zapłacił życiem; kazałem odciąć mu kończyny i głowę, a korpus rzucić na pożarcie psom włóczącym się pod Evesham. Skąd więc myśl, że pozwolę sobą rządzić templariuszom? Chcę odzyskać klejnoty koronne, a jedyny sposób, by to osiągnąć, to zdobyć coś cennego dla nich na wymianę.

Kruk kiwnął głową.

– Co mam robić?

– Chyba już pora na kolejne odwiedziny u naszego młodego przyjaciela.

– Garena? W lecie przeniósł się do Paryża.

– A zatem łatwiej będzie mógł ci pomóc. Nie rezygnuj z jego usług. Poza tym –

Edward przyglądał pióra na piersi sokolicy – ptaszek już za długo ćwierka na swobodzie.

Niedobrze byłoby, gdyby zapomniał, kto jest jego panem.

Templum w Paryżu

Dwudziesty pierwszy dzień października

– Znow usztywniasz nadgarstek.

Szymon zmarszczył brwi i rozluźnił uchwyt. Zamachnął się tasakiem, próbując wyprowadzić płynny cios, jaki pokazał mu Will, i rękojeść wysliznęła mu się z dłoni. Will ledwie zdążył się uchylić.

– Matko święta! – Przerażony Szymon złapał się za głowę. – Przepraszam!

– Nic się nie stało. – Will wyprostował się i spojrzał na głównię wbity do połowy w belę siana. Wypuścił wstrzymywany oddech i poszedł po broń.

– To na nic! Ja po prostu tego nie potrafię.

– Musisz tylko trochę poćwiczyć.

Koniuszy wziął podany mu tasak, ukrywając zniechęcenie.

– Panie! – zawołał nieśmiało młody chłopiec stajenny wyglądając z boksu. – Nie mogę znaleźć zgrzebła.

– Jest na drugiej półce w komórce – odparł Szymon. – W tym samym miejscu, gdzie je ostatnio położyłeś.

– Dzięki! – Chłopiec zarumienił się i spuścił głowę.

– Panie? – Will wesoło wyszczerzył zęby. – Widzę, że dobrze się czujesz w majestacie.

– A tak – Szymon wielkopańskim gestem objął stajnię. – Panuję tu nad sianem i gnojem, ale lepsze to niż nic. Nie moglibyśmy chwilkę odetchnąć? – Demonstracyjnie obmacał przegub ręki. – Chyba sobie coś wywichnąłem.

– Nie przepadasz za walką, co? – roześmiał się Will.

Szymon usiadł ciężko na beli siana i położył sobie tasak na kolanach.

– Po prostu wątpię, czy kiedykolwiek zdołam nauczyć się tyle, żeby być dla ciebie choćby kiepskim partnerem.

Will przycupnął obok niego.

– Nie mogę prosić Roberta ani Hugona, żeby ze mną ćwiczili. Są już rycerzami i nie mają na to czasu. A Ewerard nie pozwala mi chodzić na szkolenia giermków. Zresztą sam nie chcę – dodał ze złością. – Wszyscy są znacznie młodszy ode mnie. To ja mógłbym ich uczyć! –

Chuchnął w stulone, spierzchnięte od chłodu dłonie, żeby je trochę rozgrzać.

W ubiegłych miesiącach życie preceptorium kręciło się wokół zbiorów i przygotowań do zimy. Wysprzątano i ogacono kurniki, gołębniki i szopy dla kóz; z drzew w sadach zebrano wszystkie owoce, z których można było teraz robić wina i marmolady.

Nałowiono ryb, które zostały zasolone i ususzone, z uli wydobyto miód. Gdy spiżarnie się wypełniły, na pewien czas zapanowała atmosfera sytości i zadowolenia, chwila zasłużonego odpoczynku przed mroźną zimą.

Will zajęty był kilkoma nowymi traktatami, które Ewerard zakupił dla klasztoru.

Otrzymał też zadanie ponownego oprawienia pokaźnej sterty ksiąg. Siadywał z nimi w sadzie, kładł wystrzępione pliki pergaminów na kolanach i pieczołowicie zszywał je wzdłuż grzbietu.

Często przysiadł koło niego Szymon, od czasu do czasu także Robert znajdował chwilę, by pogawędzić. Świadomy, jak ciężko Will znosi to, że nie został pasowany, rozśmieszał go do łez smakowitymi fragmentami z zebrań kapituły – na przykład, jak w ubiegłym tygodniu brat taki to a taki przez trzy godziny spierał się o ścieg, jakim winny być łatanie podarte nogawice.

Z Garenem Will rozmawiał bardzo rzadko. Obaj czuli się niezręcznie i Will starał się unikać dawnego druha. Nie było to trudne, bo Garen często wychodził z preceptorium.

– Nie martw się o swoją formę – pocieszył go Szymon. – Niech ci będzie, nauczę się władać tym przeklętym żelastwem, choćbym miał paść trupem. – Podrapał się po głowie i zachichotał: – Chyba że ty wcześniej padniesz z mojej ręki. Oczywiście przypadkiem.

Do stajni wpadła w pośpiechu jakaś postać. Obrócili się obaj. Will zerwał się zaskoczony, widząc Elwinę. Miała na sobie czarny płaszcz spięty broszą w kształcie róży.

Rozpuszczone włosy spadały jej na ramiona.

– Co ty tu robisz?

Urażona ściągnęła brwi.

– Chciałam cię zobaczyć.

Złapał ją za ramię i pociągnął dalej od wejścia, żeby nie zobaczył jej nikt z podwórza.

– Jak się tu dostałaś?

Rozpromieniła się na nowo.

– Wszłam furką dla służby. Nie martw się, nikt mnie nie widział – dodała, dostrzegłszy jego minę. Naciągnęła kaptur kryjąc pod nim włosy i większą część twarzy. –

Spytałam jakiegoś giermka, gdzie cię mogę znaleźć – powiedziała grubym męskim głosem i wybuchnęła śmiechem. Zdjęła kaptur, rozejrzała się po stajni marszcząc nos. – Jak możecie znieść ten smród?

– Z tego co wiem, w mieście konie śmierdzą tak samo – bąknął kwaśno Szymon, podnosząc się z beli.

– Ty jesteś Szymon, prawda? – Uśmiechnęła się do niego. – Will opowiadał mi, że przyjechałeś do Paryża.

– Ach, tak? – Szymon zerknął na Willa.

– Ja jestem Elwina.

– Tak sobie właśnie myślałem. – Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

Elwina poczuła się nieswojo. Miała wrażenie, że koniuszy ją ocenia – i to niezbyt przychylnie. Obróciła się do Willa.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – spytała, patrząc na niego spod rzęs.

Will poczuł, że tężeją mu mięśnie brzucha. Nie rozumiał, jak to się działo, że wystarczyło jedno jej spojrzenie, a jego siła woli natychmiast topniała.

– Bardzo się cieszę – mruknął. – Ale jeśli ktoś cię zobaczy, to ja poniosę karę, nie ty.

– Spojrzał na Szymona, który wziął miotłę i odszedł z nią kawałek dalej. – Nie możesz tak po prostu wchodzić do klasztoru.

Westchnęła ze zniecierpliwieniem.

– Nie musiałabym przychodzić, gdybyś wciąż mnie nie unikał. Rzadko mnie odwiedzasz, rzadko w ogóle mam od ciebie wieści. – Spoważniała. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Jesteśmy. – Will oparł się o boks, krzyżując ręce na piersi.

Na widok tej obojętnej pozy przez twarz Elwiny przemknął gniew.

– Zresztą gdyby ktoś mnie zobaczył, powiedziałabym, że idę na grób Owena –

dodała siląc się na lekki ton.

– Do stajni?

Przewróciła oczami.

– Żeby zapytać cię o drogę na cmentarz.

– Nie mogę dać Ewerardowi kolejnego pretekstu, by znów odwłókł moje śluby, dobrze wiesz. Nie chodzi o to, że nie chcę cię widywać, po prostu nie mogę. Daj mi czas, żebym to wszystko załatwił.

– Czas? Miałaś mnóstwo czasu, całe lata. Podobno planowałaś porozmawiać o tym z wizytatorem? Tak przynajmniej mi ostatnio mówiłaś.

Will, nie mogę patrzeć na to, jak poddajesz się bez walki. – Elwina niecierpliwie odrzuciła włosy na plecy. – Zrób coś, cokolwiek. Wszystko jest lepsze od beczynności.

Will nakreślił na ziemi kółko czubkiem buta.

– Nie chciał mnie przyjąć – rzekł sucho.

Było to kłamstwo. Po kłótni z Ewerardem, kiedy postawił księdzu ultimatum, nie poszedł do wizytatora. Napisał ojcu, że został pasowany. Jak miał pokazać mu się teraz w czarnej szacie i przyznać, że go oszukał? I może jeszcze oczekiwać, że ojciec przyjmie go z otwartymi ramionami i wszystko mu przebaczy?

– Posłuchaj. – Elwina podeszła do niego. – Odkładam wszystko, co dostaję od królowej. Ja też chcę jechać do Ziemi Świętej. Za rok albo dwa będę miała dość, żeby opłacić podróż dla dwu osób. Możemy jechać razem, jeśli Ewerard nie dopuści cię do ślubów.

Szymon przerwał zamiatanie boksu i obejrzał się na nich.

Will popatrzył na dziewczynę. Wzruszyła go jej propozycja, lecz i trochę zirytowała.

Nie chciał jechać do Ziemi Świętej jako prosty pielgrzym. Chciał się tam stawić w bojowym rynsztunku, a jedynym miejscem, jakie pragnął odwiedzić, był garnizon, w którym stacjonował jego ojciec.

– Dziękuję ci – powiedział – ale sam powinienem tego dopiąć. Muszę po prostu znaleźć sposób na Ewerarda. Na razie nic mądrego nie przyszło mi do głowy. – Zmusił się do uśmiechu. – Obiecuję ci, że się postaram.

Templum w Paryżu

Dwudziesty czwarty dzień października

– Nie mamy wiele czasu.

– Wiem, bracie. Zawiodłem cię, wybacz.

- Ja cię nie winię, Hasanie. – Krążący po komnacie Ewerard przystanął. – To nie było łatwe zadanie.
- Wykonywałem już trudniejsze. I w krótszym czasie niż trzy miesiące. – Hasan rozgarnął palcami czarne włosy. – Tu i ówdzie trubadur podawał swoje prawdziwe imię, lecz nie we wszystkich gospodach. Chyba w ogóle trzymał się raczej leśnych traktów niż gościńców. Nie rozumiem tego. Nie mógł wiedzieć, że go tropię. Byłem bardzo ostrożny.
- Tego jestem pewien.
- Szukałbym go dłużej, ale zacząłem się obawiać, że przybędzie tu przede mną.
- I słusznie postąpiłeś, wracając. Może miałeś po prostu pecha, ale Piotr z Pont-Eveque z pewnością ma powody mieć się na baczności. – Ewerard usiadł obok Hasana w niszy pod oknem. – Brat Egidiusz był tu ostatnio, żeby ostatecznie dogadać plan działania.

Mikołaj z Nawarry poprowadzi do zamku grupę rycerzy. Mają ująć trubadura tuż przed występem; chcą być pewni, że księgę będzie miał przy sobie. My musimy wkroczyć wcześniej, inaczej sprzątną ją nam sprzed nosa, i to na zawsze. – Ewerard pokręcił głową. –

Na wszelki wypadek spytałem mistrza, czy będę mógł przestudiować księgę, ale zarówno ona, jak trubadur podlegają gestii dominikanów. Nasi rycerze mają tylko powstrzymać królewskich ludzi przed interwencją.

– Mógłbym zacząć się przy południowej bramie i zatrzymać poetę, gdy wejdzie do miasta.

– Ma na to pięć dni i nie wiadomo, którą bramą wejdzie, a ty z twoim wyglądem nie możesz włóczyć się wokół murów, bo ściągniesz na siebie strażę. Zresztą po zmroku bramy są zamknięte. Piotr pojawi się tu w biały dzień, wtedy zaś na ulicach jest zbyt wielu ludzi, by zamach mógł ujść niepostrzeżenie. Nie. Musimy to zrobić dyskretnie.

– Mógłbym odwiedzić go na zamku.

– Nie wpuszczą cię. Musiałbyś mieć zgodę króla, a ten nigdy nie lubił

cudzoziemców. – Ewerard umilkł na chwilę. – Mnie byłoby łatwiej. Mam kilka ksiąg, których Ludwik pożąda do swojej kolekcji. Zaoferuję mu którąś na zamianę. A gdy już będę w zamku...

– Nie.

– Jak to: nie? – Ewerard zmarszczył brwi.

– Nie pozwolę ci się narażać, skoro to przez moją nieudolność znaleźliśmy się w tej sytuacji. – Ewerard otworzył usta, lecz Hasan nie dopuścił go do głosu. – Jak chcesz odebrać trubadurovi księgę? Ukraść? Myślisz, że nikt nie zauważy znanego w całym Paryżu templariusza przemykającego się korytarzami zamku? Siłą? Od dwudziestu lat nie miałeś w ręku miecza.

– Zostało mi jeszcze dość sił – warknął Ewerard – choć tobie mogę się wydawać starcem,

chorezmijski wojownik.

Hasan milczał przez długą chwilę.

– Przestałem nim być, kiedy ciebie spotkałem, Ewerardzie. Nie jestem już wojownikiem.

– Nie – uciął szorstko Ewerard. – Jesteś moim psem gończym, a psy powinny słuchać komend, nie odszczekiwać się panu.

Ciemne oczy Hasana błysnęły. Odwrócił wzrok.

Ewerard sapnął i podszedł do stołu, na którym stał dzban wina. Nalał sobie do pucharu.

– Moje życie czy twoje nie mają znaczenia. Pewnego dnia obaj umrzemy, Hasanie.

Ale nasze dzieło musi przetrwać. – Wzdrygnął się w przeciagu, który wpadł do komnaty rozdmuchując przygasającą pochodnię. – A my musimy tego dopilnować. Za wszelką cenę.

– Może twój serwiens? – poddał cicho Hasan. – Wysłałbyś go do zamku w jakiejś sprawie, a on...

– Nie wtajemniczałem Campbella – przerwał mu Ewerard, odstawiając puchar.

– Mówiłeś, bracie...

– Mówiłem, że się nad tym zastanowię. Zastanowiłem się i uznałem, że nie jest jeszcze gotowy.

– Za wszelką cenę... – mruknął Hasan.

– To wino jest kwaśne.

– Przyniosę ci świeże.

– Sam pójdę. – Ewerard skierował się do drzwi. – Mam ochotę się przewietrzyć.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Hasan podszedł do armarii i lekko powiódł

palcem wzdłuż słojów drewna. Po wyjściu Ewerarda w komnacie jakby zrobiło się ciemniej; czuł się w niej jak intruz. Wszystko, co się tu znajdowało, było nierozzerwalnie związane ze starym księdzem – każdy skrawek pergaminu pokryty jego delikatnym kształtnym pismem, każdy sprzęt oznaczony odciskami ubrudzonych inkaustem palców, każda wydeptana przez niego płyta w posadzce. Hasan nigdy nie miał domu. Rok przed jego urodzeniem wojska Czyngis-chana najechały i zniszczyły jego ojczyznę. Chorezm, najpotężniejsze państwo muzułmańskie na Wschodzie, został pochłonięty przez imperium mongolskie. Ocaleli z rzezi poszli w rozsypkę. Jako dziecko Hasan wiódł koczowniczy żywot na pustkowiach północnej Syrii wraz z niedobitkami chorezmijskiej armii. Ojciec, ongiś wielki wódz, wychował go na wojownika. Żyli z dnia na dzień w oderwaniu od ziemi, wynajmowali się obcym armiom i planowali zemstę. Ale Hasan nigdy nie tęsknił za krajem, którego nie znał. Nie pragnął

zemsty i nie kochał się w wojnie.

Przed dwudziestu dwu laty Ajjub, sułtan Egiptu, wezwał Chorezmijczyków na pomoc w obaleniu frankijskiego władztwa w Palestynie. Hasan, mający wtedy dziewiętnaście lat, wyruszył wraz z dziesięcioletnią armią do Jerozolimy. W drodze jego ojciec i inni wojownicy snuli ambitne plany. Nadzieja przyćmiła im ostrość spojrzenia; wierzyli, że nagroda będzie dostatecznie wielka, aby mogli wszcząć wojnę, jeśli nie przeciw Mongołom, to choćby i przeciw samemu Egiptowi. Przeszli przez Jerozolimę niczym czarny wiatr, zostawiając za sobą tylko trupy. Tysiące chrześcijan uciekło w stronę wybrzeża, lecz ojciec Hasana kazał zatknąć na murach zdobyte sztandary frankijskich rycerzy i wielu uciekinierów wróciło sądząc, że miasto pozostało w chrześcijańskich rękach i mogą w nim szukać ocalenia.

Niczym zbłąkane owce szli prosto na rzeź. Wyrżnięto bowiem wszystkich, do ostatniego dziecka. Aby uczcić zwycięstwo, Chorezmijczycy zdemolowali wznoszący się na wzgórzu kościół Grobu Świętego, mordując zgromadzonych w nim ludzi – wszystkich oprócz jednego, który zabiwszy dwóch wojowników, ukrył się pod stosem ciał.

Owego dnia Hasan czynił rzeczy, których do dziś nie mógł sobie wybaczyć. Nie miał nawet nadziei, że Allah mu je odpuści, choć codziennie błagał go o to w modlitwach.

Pozostawiwszy miasto w płomieniach, upojone triumfem wojska ruszyły na Herbiję, gdzie wspólnie z mamelukami pod dowództwem Bajbarsa miały spotkać wysłaną przeciw nim frankijską armię. Hasan schował się w ruinach i patrzył, jak odjeżdżają; jego ojciec prowadził, wykrzykując pieśń zwycięstwa. Wieczorem, włócząc się bez celu po zniszczonym mieście, znalazł Ewerarda, a wraz z nim swój nowy cel.

Kiedy Ewerard wrócił do Europy, Hasan pojechał z nim. Ksiądz dał mu wiarę, że może dokonać w życiu czegoś ważkiego, co wszystko zmieni. Hasan spędzał życie w drodze, zawsze w cieniu – zbierał informacje, przewoził dokumenty i tajemnice, nocował w stajniach lub pod gołym niebem. Całym sercem wierzył w cel Anima Templi, lecz ostatnio często nachodziła go tęsknota za własnym miejscem, choćby małą izdebką wypełnioną własnymi cichymi wspomnieniami. Kiedyś, dawno temu w Syrii, miał kobietę. Czasem wyobrażał

sobie, jak wyglądałoby jego życie, jego dzieci...

Drzwi się otwarły i wszedł Ewerard z dzbanem.

– Ci przekłęci słudzy próbowali mi wcisnąć miejscowego sikacza jako gaskońskie wino – mruczał.

Hasan zauważył, że ksiądz jakby się rozpogodził, nawet poruszał się zwawiej.

– Co się stało? – spytał.

– Mam pewien pomysł – uśmiechnął się do niego Ewerard.

Dwudziesty siódmy dzień października roku Pańskiego 1266

Elwina przeszła przez izbę rozglądając się, czy nikogo w niej nie ma, i przysiadła na łożu, które dzieliła z inną służką. Sięgnęła pod fartuch i wydobyła z mieszka swoje znalezisko. Kremowo-srebrzysta powierzchnia perły zaśniła w smudze słońca wpadającej przez okno. Spostrzegła ją dziś rano w sypialni królowej. Perła musiała odpaść z sukni, utkwiała w szparze między płytami posadzki. Podczas gdy Małgorzata oglądała w srebrnym lustrze kunsztownie splecione i upięte przez Elwinę warkocze, dziewczyna przykucnęła jak gdyby nigdy nic i niepostrzeżenie podniosła klejnot. Nie czuła się złodziejką. Widziała suknię, z której pochodziła perła. Było tam ich najmniej sto, zerkwały spomiędzy fałd aksamitu niczym małe oczka. Nikt nie zauważył braku tej jednej.

Sięgnęła pod łóżko i wydobyła spod niego podłużną szkatułę z barwionego na czarno drewna wykładanego srebrnym kwiatowym ornamentem. Przed rokiem zobaczyła ją na targu; przez dwa miesiące oszczędzała każdy zarobiony grosz, żeby ją nabyć. Kiedy tylko mogła, zaglądała na stragan, żeby sprawdzić, czy tymczasem nie podkupił jej kto inny. Był to jedyny luksus, na jaki kiedykolwiek sobie pozwoliła; całą resztę zarobków składała na podróż do Ziemi Świętej. Marzyła o tym od dzieciństwa. I dziś jak zaczarowana słuchała opowieści odwiedzających dwór rycerzy, powtarzanych potem wielokrotnie przez służbę przy szyciu lub przesypywaniu pierza w paradnych jedwabnych poduszkach. Nikt inny nie rozumiał tego jej pragnienia. Jeśli nie na pielgrzymkę, pytali, to po co chce tam jechać? Elwina nie potrafiła tego ująć w słowa. Czuła po prostu zew, jakby ktoś umocował jej wewnątrz koniec sznurka i ciągnął ją nieubłaganie na wschód. Zawsze dręczył ją najsilniej o tej porze roku, gdy zimna mgła okrywała zamek niczym całun, zamykając ją w jego ścianach.

Przykucnąwszy, zdjęła z szyi łańcuszek z małym kluczykiem. Obróciła go w zamku; ustąpił z cichym kliknięciem. Podniosła wieko. Wewnątrz szkatułka była podzielona na niewielkie przegródki. Kupiec mówił, że jest to skrzynka na przyprawy, lecz Elwina używała jej do innego celu. W każdej z przegródek spoczywały skarby: szkarłatna wstążka otrzymana w podarku od służebnej, która wyszła za mąż; śnieżnobiałe gołębie pióro znalezione w zamkowych ogrodach; złota moneta z wybitą dziurką, którą Elwina spostrzegła zagrzebaną w błocie na brzegu rzeki. W jeszcze innej kawałek złożonego w kostkę niebieskiego płótna krył zasuszony kwiat jaśminu, delikatny i kruchy; dał go jej kiedyś Will. Nigdy nie przywłaszczała sobie rzeczy, których brak byłby dla kogoś stratą; niczego, co miałoby realną wartość. Perła była wyjątkiem, ale żal jej było zrezygnować z tak cennego znaleziska.

W dzieciństwie, jeszcze w Powys, też zbierała skarby, chociaż miały one wówczas pospolitszą postać. Wymyślała każdemu niestworzone historie: kamyk w niebieskie cętki był

darem dla rycerza od córki sultana; dziwacznie wygięty kawałek drewna – częścią statku, który rozbił się u wybrzeży Arabii. Były to jej talizmany przeciwko długim nocom, których ciszę mąciły tylko żalosne pojękiwania matki i wiatr pędzący z rykiem przez dolinę i dobijający się do drzwi chaty. Dawno opuściła tamte strony; jej życie się zmieniło, ale potrzeba posiadania własnych skarbów pozostała.

Włożyła perłę do przegródki ze złotą monetą, zamknęła szkatułkę i wepchnęła ją pod łóżko. Właśnie wkładała łańcuszek z kluczykiem z powrotem na szyję, gdy drzwi się otwarły i wpadła jedna z

dziewcząt służebnych.

– Tu jesteś! Wszędzie cię szukam! – Policzki dziewczyny były zaczerwienione, jakby biegła.

– Co się stało, Mario?– spytała Elwina chowając kluczyk za dekoltem.

– Ktoś chce się z tobą widzieć. Czeka przy furcie dla służby. – Drobną i jasnowłosa szesnastoletnią dziewczyną uśmiechnęła się szeroko, zamykając za sobą drzwi, i dodała ciszej: – Jest z Templum, a przynajmniej tak mi powiedział goniec.

– Z Templum? – Elwina zdjęła fartuch. – Jesteś pewna?

– Tak. – Maria zachichotała, widząc, jak rozpromienia się twarz przyjaciółki. Wyjęła jej z rąk fartuch i złożyła go schludnie na pościeli. – Kiedy wreszcie powiesz mi, kto to jest?

Ten mężczyzna, z którym się spotykasz?

– Nieprędko. – Elwina wygładziła na sobie suknię z niebarwionej Wełny.

– Jesteśmy przecież jak siostry! Nie możesz mieć przede mną tajemnic. – Maria złapała ją za rękę. – Pobierzecie się? Jeśli tak, to nie będzie mógł złożyć ślubów, prawda? A może już je złożył?

– Nic ci nie powiem.

Maria wypuściła jej dłonie i zabawnie wydeła usta.

– To ja też ci nie powiem tego, co wiem.

Elwina uśmiechnęła się, lecz milczała. Maria westchnęła i usiadła na łóżku.

– No dobrze, powiem ci, chociaż na to nie zasługujesz. Trubadur przyjechał! – Oczy zabłyśły jej z podniecenia.

– Widziałaś go? – Elwina też była zaintrygowana. Podobnie jak cały dwór i większość mieszkańców miasta z niecierpliwością oczekiwała przyjazdu sławnego poety.

– Widziałam – oznajmiła z dumą Maria. – I powiem ci, że wbrew temu co mówią, wcale nie jest szpetny jak diabeł, a całkiem urodziwy. Spodobał mi się.

– Wszyscy ci się podobają.

– To prawda – przyznała szczerze Maria – ale chociaż moim oczom miła jest różnorodność, serce pożąda tylko jednego mężczyzny.

Elwina uśmiechnęła się do niej ciepło. Obiektem westchnień Marii był czarnooki Ramon, pochodzący z Galicji pomocnik kucharza. Uczucie do niego ukrywała tak głęboko, że nawet piękny Ramon o nim nie wiedział.

– Nie mogę się doczekać występu. – Maria opadła na wznak na łóżko. – Ale nam się poszczęściło!

Elwina kiwnęła głową. Królowa zezwoliła czterem spośród swych służek, w tym Elwinie i Marii,

przysłuchiwać się przedstawieniu zza zasłony przy wejściu do wielkiej sali.

Poprawiła czepek.

– Jak wyglądam?

– Śliczna jak gołębica.

– Gołębica? – Elwina skrzywiła się z niesmakiem.

– Wybacz. – Maria przewróciła oczami. – Zapomniałam, że nie cierpisz niczego, co jest ładne i słodkie.

– Słodczyce lubię – sprostowała Elwina. – Ale wolałabym być porównana do... –

wzruszyła ramionami – ... kruka, sokoła, czegoś bardziej...

– Męskiego. – Maria pokręciła głową z dezaprobatą.

– Mężnego – poprawiła ją z wyrzutem Elwina.

– Żartuję – zachichotała dziewczyna, podpierając się łokciem. – Wyglądasz jak jedna z tych dam, o których mowa w pieśniach. Piękna, mężna i w niczym niepodobna do gołębicy.

– Do zobaczenia. – Elwina z uśmiechem skierowała się ku drzwiom.

– Daj swojemu lubemu całusa ode mnie! – zawołała za nią cicho Maria.

Minąwszy po drodze kucharza z koszem warzyw i dwóch strażników zamkowych w szkarłatnych tunikach, Elwina wydołała się na wybrukowane obojętnie wzdłuż murów zamku.

Jedna furta prowadziła stąd do Cite, druga na brzeg Sekwany. Ciekawe, dlaczego Will przyszedł na wyspę nie uprzedziwszy jej o spotkaniu. Może wreszcie zmądrzał i wyzna jej miłość? Hołubiąc w sercu tę nadzieję, przeszła przez sklepioną furkę nad brzeg osłonięty rzędem starych dębów. Liście strącone z gałęzi przez niedawne wichury pokryły podmokłą łączkę szeleszczącym rdzawozłotym kobiercem. Dziewczyna przystanęła obejmując się ramionami. Nigdzie nie było widać Willa. Pod drzewami stał tylko stary człowiek w czarnym płaszczu, wpatrzony w wodę.

– Elwino.

Obejrzała się słysząc bezbarwny, wysilony głos. Starzec znad rzeki ruszył jej naprzeciw. Serce jej zadrżało, gdy rozpoznała w nim Ewerarda z Troyes.

Pod Siedmioma Gwiazdami, Paryż

Dwudziesty siódmy dzień października

Adela otworzyła księgę i z namaszczeniem przełożyła kilka wyświechtanych kart.

Znalazłszy tę, której szukała, przekrzywiła głowę, mozolnie odcyfrowując naniesione na marginesie dopiski. W kominku pełgał ogień, ale nie było ciągu i dym wracał do izby, wypełniając ją szarym szczypiącym w oczy oparem. Z ulicy dobiegało skrzywienie przejeżdżających wozów, odgłos kopyt, nawoływania, szczekanie psów, płacz dziecka.

Garen wstał i podszedł do niej z tyłu.

– Wracaj do łóżka – rzekł, przywierając do jej pleców i ujmując w dłonie chłodne półkule jej piersi. Kiedy nie zareagowała, przesunął je w dół po brzuchu.

Złapała go za rękę.

– Jutro jest targ. Muszę skończyć te leki, bo nie będę miała czym handlować.

Garen wziął księgę ze stołu i przerzucił kartki. Prócz receptur zielarskich były w niej opisane stosowane przez lud praktyki, na przykład jak spowodować wypadnięcie spróchniałego zęba, przykładając do niego ropuchę, albo że jeśli niemowlę nie chce ssać, matka winna posmarować sobie sutki miodem.

– Po co ci to? – spytał z irytacją.

– Co? – spytała z roztargnieniem, przepatrując półkę z ziołami.

– To całe znachorstwo. – Pocałował ją w szyję. – Czy nie płacę ci dosyć?

– Tak się składa, że nie. – Wymknęła się z jego objęć i zdjęła z półki dwie wysokie gliniane flaszki. Widząc nachmurzoną minę Garena, dodała: – To co zarabiam ja i moje dziewczki, ledwie pokrywa koszty utrzymania. Patrz, jak tu wygląda. Jeśli wkrótce nie naprawię dachu, zawali się, a ja zostanę na ulicy. Dawniej był to najpopularniejszy dom w całej Dzielnicy Łacińskiej. Teraz nowo otwarte odbierają mi klientów. – Adela postawiła butelki na stole i westchnęła ciężko.

Ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby ujrzał, co zrobiła z jego domem. Gdy prowadził gospodę, byli bardzo zamożni. Umarł, zanim zdążył dobrze wydać ją za męża, szesnastoletnia Adela zaś uznała, że sama go zastąpi. Problem polegał na tym, że większość gości Pod Siedmioma Gwiazdami stanowili duchowni – teolodzy i uczeni odwiedzający Sorbonę i pobliskie kolegia. Kiedy Adela przejęła interes, przestali się tu zatrzymywać, a nawet wpadać na piwo. Zapewne wydało im się niestosowne przebywanie pod dachem niezamężnej kobiety. Wkrótce zaczęła zalegać z podatkami i w końcu nie miała już wyboru –

mogła sprzedać gospodę lub zmienić jej charakter. Żal jej było się rozstawać z domem, w którym się wychowała, wybrała więc drugie wyjście, a że nie знаła żadnego rzemiosła i nie stało jej czasu, by się go nauczyć, zaczęła kupczyć jedynym towarem, jaki miała do zaoferowania.

– Nie mam dość pieniędzy, żeby zrezygnować z zielarstwa – powiedziała. – A nawet gdybym miała, wolałabym robić to niż tamto.

– Tamto? Masz na myśli: ze mną?

– Nie – powiedziała cicho, ujmując jego twarz w stuloną dłoń. – Z innymi, nie z tobą.

Garen nakrył dłonią jej rękę. Po chwili uwolniła się delikatnie i wróciła do stołu.

Wyciągnął swoje gatki ze zmiętej kupy przyodziewku leżącej obok łóżka. Mały aksamitny mieszek z brzękiem spadł na podłogę. Garen podniósł go za troczek. Był zatrważająco lekki.

Dawniej zazdrośnie oszczędzał każdą sztukę złota otrzymaną od księcia. Teraz w mieszkaniu widać było dno; monety jedna po drugiej niknęły w dłoni Adeli, ilekroć otwierała przed nim drzwi. Popatrzył, jak wytrząsa ziarna maku do mózdzierza. Jego wzrok prześliznął się po jej gładkiej białej skórze, wdzięcznym łuku pochylonych pleców, prześwicie między udami, który zawsze go podniecał. Sięgnęła po tłuczek; jej piersi rozplaszczyły się lekko na brzegu stołu. Potem zgrzytając kamieniem o kamień zaczęła starannie ubijać i rozcierać wymieszane składniki. Była taka skupiona; fiołkowe oczy utkwiała w mózdzierzu, kąciki ust wygięte miała w dół, czoło zmarszczone. Garen uświadomił sobie, że tak właśnie wygląda, kiedy robi coś, co naprawdę sprawia jej przyjemność. Kiedy była z nim w łóżku albo zabawiała klientów na dole, wyglądała na szczęśliwą. Obserwując ją teraz zrozumiał, ile z tego było udawaniem.

Nieoczekiwanie dla siebie samego uśmiechnął się na myśl, że tylko on zna tę drugą twarz Adeli. Zastanawiał się, czy tak właśnie jest w małżeństwie. Czy ojciec także lubił patrzeć na matkę wykonującą jakąś błahą wieczorną czynność, nie pragnąc jej nawet dotknąć? Tego nie wiedział. Lecz na chwilę odsłoniła się przed nim wizja innej przyszłości, w której dwoje ludzi może po prostu być ze sobą i z nawyku wielu lat rozumieć się bez słowa.

Wstała, żeby zdjąć z półki kolejną flaszkę. Garen cisnął odzienię i podszedł do niej.

– Garen!... – wykrzyknęła, kiedy odwrócił ją do siebie. Dłoń miała pełną wonnych pączków lawendy.

– Nic na to nie poradzę, że cię pragnę. – Pochylił się i zaczął ją całować w szyję gorącymi, żarłocznymi ustami. – To nie moja wina.

– Przestań – tchnęła mu do ucha.

– Nie – odszepnął.

Drzwi otwarły się z trzaskiem.

Garen, nagi i zaskoczony, zobaczył Kruka, który wkroczył do izby z szyderczym uśmieszkiem.

– Ach, więc to tak teraz chwalą Boga zakonni rycerze? A nieraz się zastanawiałem, dlaczego Jerozolima wciąż jest w rękach Saracenów.

– Wyjdź! – Garen pchnął go w stronę drzwi.

Uśmiech Kruka znikł. Strząsnął z siebie jego ręce i złapał go za gardło.

– Mówiłem ci już, gówniarzu, żebyś mi nie pokazywał fochów!

– Puść go.

Kruk zdziwiony obrócił się słysząc ochryply zimny głos i zobaczył przed sobą całkiem nagą Adelę, która nie starała nawet się osłonić.

– Precz, dziwko – warknął, ruchem głowy wskazując drzwi.

Garen zacharczał; wpił dłonie w ręce Kruka usiłując je oderwać od swojej szyi.

Fiołkowe oczy kobiety błysnęły.

– Nigdzie nie pójde – oznajmiła spokojnie. – To mój dom, a ty, panie, jesteś tu intruzem.

– Twój dom, co ty powiesz? – wykrzywił się.

Adela nie odpowiedziała, lecz lekko wspięła się na palce zerkając ponad jego ramieniem w stronę drzwi.

– Fabian!!! – rozdarła się na cały głos.

– Zostaw go, Adelo – wychrypiał Garen.

Po chwili dały się słyszeć głośnie kroki i drzwi otworzyły się ponownie. Kruk nieco stracił rezon ujrawszy stojącego w nich Goliata o czarnych krzaczastych brwiach i posepnym spojrzeniu. Wielkolud spojrział na obu mężczyzn, potem pytająco na Adelę.

– Jesteś pewien? – spytała Garena.

Kruk powoli zwolnił uścisk, nie spuszczając oczu z Fabiana. Garen wciągnął w płuca powietrze i skinął głową.

– Czy mogłabyś zostawić nas na chwilę samych?

Po krótkim wahaniu Adela skinieniem odprawiła służbę. Wszedł bez słowa. Kobieta bez pośpiechu podeszła do odgradzającego pracownię splecionego z wikliny parawanu i zdjęła z niego luźną czerwoną suknię. Narzuciła ją na siebie ignorując jadowite spojrzenie Kruka. W swoim zawodzie spotkała wielu takich jak on: podstępnych i brutalnych, umiających się porozumiewać tylko za pomocą pięści i złorzeczeń. Przystanęła w progu, rzucając Garenowi znaczące spojrzenie.

– Nie odchodzę daleko – powiedziała z naciskiem.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Kruk spojrział na Garena, który tymczasem włożył

kalesony i zaczął naciągać nogawice.

– Ależ ta dziewczka ma buźkę! Ale o tym pewnie sam wiesz najlepiej – zarechotał

sprośnie. – Doprawdy, po co ci było składać śluby zakonne, skoro złamałeś już chyba wszystkie? Z ubóstwem i posłuszeństwem pożegnałeś się już dawno, nieprawdaż? Pewnie i czystość nie kazała im długo na siebie czekać. Co prawda dziewczka jest apetyczna. Kiedy nie gada. – Spojrzał na zamknięte drzwi. – Muszę sam jej kiedyś spróbować.

– Nie radzę.

Kruk przymrużył oczy z niedowierzaniem. Po chwili ryknął śmiechem.

– Zalazła ci pod skórę, co? Trzymajcie mnie! Wyniosły templariusz, wojownik Chrystusowy, zakochany w taniej ladacznicy! No, to mi poprawi humor co najmniej na kilka dni!

Jego słowa kłuły Garena w uszy.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał przez zaciśnięte zęby.

Kruk przestał się śmiać.

– Nie jesteś dość ostrożny. Szedłem za tobą od klasztoru. Jak mniemam, twoi braciszekowie nie wiedzą, czym się w wolnych chwilach zajmujesz?

– Czego chcesz? – spytał Garen prędko, chcąc się ustrzec kolejnej porcji drwin.

Kruk przysiadł na łóżku i zżuł ubłocony but. Powoli rozmasował kościstą brudną stopę i skubnął stwardniałą skórę na pięcie. Życie nie było dla niego łaskawe. Mógł mieć najwyżej trzydzieści lat, lecz wyglądał znacznie starzej.

– Mamy wspólne interesy, ty i ja. I mój pan. – Uśmiechnął się szeroko. Od ostatniego spotkania stan jego uzębienia znacznie się pogorszył. Schorzałe dziąsła przedstawiały ohydny widok. – Chyba nie sądziłeś, że o tobie zapomnieliśmy?

Garen nie odpowiedział. Odraza przyprawiła go o falę mdłości.

– Pamiętasz tę księgę, o której mówiłeś memu panu? Tę, którą wam skradziono?

– Pamiętam. A co? – Garen uznał, że nie ma co się stawiać. Im prędzej zaspokoi ciekawość zbira, tym prędzej się go pozbędzie.

– Chyba wiemy, gdzie jest. – Kruk wydłubał brud spomiędzy palców. – Niedługo ma przed królem wystąpić pewien trubadur. Uważamy, że to on jama. Rozpytałem się tu i ówdzie; stąd wiem, że poeta już jest w Paryżu, a śpiewać będzie w dniu Wszystkich Świętych. – Wytarł palce o siennik. – Co ci wiadomo o Ewerardzie z Troyes?

– Jest kapelanem w tutejszym preceptorium. I możliwe, że to jego miał na myśli mój stryj, kiedy mówił o zwierzchniku bractwa. Służy u niego mój dawny towarzysz z Nowej Świątyni, Will Campbell.

Kruk zmarszczył czoło.

– Czy ten Campbell też należy do bractwa?

– A skąd mam wiedzieć?! – Garen niecierpliwie wzruszył ramionami.

Oczy Kruka zwięziły się.

– Nie pyskuj do mnie, chłopcze, bo twoja dziwka nie będzie się miała czym zabawiać, kiedy wyrwę ci te dzwonki. Ponoć dominikanie starają się nie dopuścić do występu trubadura. Zwrócili się o pomoc do Świątyni, tak przynajmniej twierdził mój rozmówca.

Zauważyłeś ostatnio jakichś niecodziennych gości?

Garen milczał przez chwilę.

– Tak – rzekł w końcu. – Był jakiś dominikanin i jeszcze dawny towarzysz mego stryja, Saracen.

Kruk wyraźnie się ucieszył.

– To by się zgadzało. Tenże Saracen miał powiązania zarówno z twoim stryjem, jak i z tym klechą. Najpewniej odwała co brudniejszą robotę dla bractwa. – Stęknął wciągając but i wstał. – Nasz pan uważa, że klecha postara się odebrać księgę trubadurowi. Pozwolimy mu na to, a potem sami mu ją odbierzemy.

– Skąd wiesz, że to zrobi?

– To zależy, czy powiedziałeś nam prawdę czy też nie. Jeśli rzeczywiście jest dla nich tak cenna, jak twierdziłeś, to na pewno zechce ją odzyskać. Niezależnie od tego, w czyim będzie posiadaniu. Jeśli w naszym, będziemy mogli pohandlować.

– Powtórzyłem wam to, co mówił mi stryj. Jeśli się mylił, nie ma w tym mojej winy.

– Garen milczał przez chwilę. – A jeśli pierwsi dorwą ją dominikanie?

– Bynajmniej mnie to nie zmartwi. Łatwiej będzie ją wydostać z ich kolegium niż ze skarbca templariuszy. – Kruk chrząknął. – Pomyślmy o tym później, jeśli będzie taka potrzeba. Do czasu przedstawienia masz wyteżać oczy i uszy i bacznie śledzić księdza razem z jego saraceńskim pacholkiem. Bądź w pogotowiu. Jeśli zdobędą księgę, musisz im ją ukraść.

– A co ty będziesz robił w tym czasie? – zaprotestował Garen.

– Dotrzymywał towarzystwa twojej ukochanej – Kruk uśmiechnął się chytrze – i pilnował, żebyś

znów czegoś nie popsuł. Spraw się dobrze, to nasz pan zacznie się rozglądać za nadaniem dla ciebie. A na początek dostaniesz to. – Wyjął spod płaszcza pękaty trzos i pokazał go Garenowi z daleka. – Będiesz mógł obracać tę zdzirę przez okrągły rok. Ubieraj się. Ja tymczasem każę którejś z miłych dziewczynek, żeby zrobiła mi coś do zarcia.

Obgadamy wszystko, jak skończę. – Wyszedł z izby, potrącając Adele, która stała za drzwiami.

– Kto to był? – spytała wchodząc do izby.

Garen miał wypieki na policzkach, oddychał ciężko. Milczał, z furią obgryzając paznokcie. Po chwili ściągnął koszulę z parawanu. Zacisnął ją w dłoniach i targnął, jakby wyobrażał sobie, że to szyja Kruka. Z gardła wydarł mu się krótki zdławiony szloch.

– Ciiii... – Adela podeszła do niego i wyjęła mu koszulę z rąk. Upuściła ją na podłogę, a potem zarzuciła mu ręce na szyję i stanęła na palcach, żeby pocałować go w usta.

Z początku nie zareagował, potem powoli objął ją ramionami i zanurzył twarz w zagłębieniu szyi, wdychając głęboko woń jej włosów. Pachniały pomarańczą i jakąś korzenną przyprawą, której nie potrafił rozpoznać. Był to ciepły egzotyczny aromat, który kojarzył mu się z matką.

Po śmierci męża, zmuszona do opuszczenia rezydencji w Lyonie, Cecylia zazdrośnie strzegła tych niewielu cennych rzeczy, jakie zdołała zabrać ze sobą do Rochesteru. Jedną z nich była skrzynka wypełniona przyprawami. Trzymała ją w swojej komnacie przy łóżku.

Kiedy Garen był grzeczny albo wykazał się bystrością podczas lekcji, bawiła się z nim sadzając go obok siebie i każąc mu zamknąć oczy. Wtedy brała w palce szczyptę jakiejś przyprawy i podtykała mu pod nos, każąc zgadnąć jej nazwę. Jeśli dobrze odgadł, wolno mu było zlizać odrobinę z palca matki. Od częstego wietrzenia większość przypraw dawno straciła aromat, ale on o to nie dbał; największą nagrodą był dla niego czuły głos matki i jej łagodny dotyk. Tylko w tych rzadkich chwilach naprawdę miał uczucie, że jest kochany.

Uwolnił się z ramion Adeli.

– Muszę się ubrać. – Podeszedł do ławy i podniósł leżącą na niej sakwę.

– Kim on jest, Garenie? – powtórzyła.

Nie odpowiedział.

– Powiedz mi!

– Pilnuj swojego nosa, do diabła!

Fiołkowe oczy kobiety błysnęły.

– Żebym obu was stąd nie pogoniła!

– Przepraszam. Po prostu... Czy mogłabyś mnie na chwilę zostawić samego? –

Obejrzał się. – Proszę cię, Adelo.

Po chwili wahania skinęła głową i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

Garen wciągnął koszulę i otworzył sakwę. Na jej dnie był wymięty poplamiony płaszcz. Dotknął palcem białej wełny symbolizującej czystość rycerza zakonu. W uszach zabrzmiały mu ponownie kolące słowa Kruka: „Wyniosły templariusz zakochany w taniej ladacznicy!” Podobne wątpliwości prześladowały go co dzień. Ale kiedy był tu, w łóżku Adeli, jego stan przestawał mieć znaczenie; nie liczyło się nic poza jej zapachem, smakiem i dotykiem. Czasem zastanawiał się, czy aby nie zadała mu jakiegoś zieleń, że wciąż do niej wraca, wiecznie głodny i wiecznie nienasycony.

Kiedy wyjmował płaszcz, coś wypadło z sakwy. Podniósł zniszczoną przepaskę, machinalnie trąc palcami popękaną skórę. Potem przyłożył ją do oka i podszedł do zakurzonego srebrnego zwierciadła wiszącego na ścianie izby.

23

Zamek królewski w Paryżu

Pierwszy dzień listopada roku Pańskiego 1266

Elwina uniosła suknie, stąpając ostrożnie w biocie. Nocą padało i ziemia wokół

kaplicy nasiąknięta była wodą. W wilgotnym poranku majestatyczna budowla wydawała się szara i opuszczona, liczne kamienne twarze zerkające z jej ścian pociemniały od deszczu.

Naprzeciw wejścia rósł stary cis. Elwina zaszyła się wśród jego krzaczastych gałęzi i postanowiła zaczekać.

Służąc na zamku, bywała już w Sainte-Chapelle; najlepiej wszakże zapamiętała pierwszy raz. Dwa dni po przybyciu do Paryża odkryła osłoniętą murem i otoczoną drzewami piętrową budowlę. Podkraśniała się pod drzwi, żeby zajrzeć do środka, i tam zastał ją król Ludwik. Przerazona, że dostanie reprimendę, Elwina zdumiała się, gdy król z uśmiechem zachęcił ją do wejścia. Od wspaniałości wnętrza zakręciło jej się w głowie. Próbowwała wchłonąć oczyma wszystko naraz: olbrzymie witraże, barwne freski, posągi naturalnej wielkości chylące się ze ścian. Potem król zaprowadził ją na piętro, gdzie tylko on miał

wstęp. Przed ołtarzem stał tam marmurowy postument, na którym leżała mała krzywa gałązka. Dziewczyna była zdumiona, dowiadując się, że ten właśnie niepozorny kawałek drewna przywieziony do Francji z Konstantynopola stał się powodem zbudowania kaplicy.

Gdy jednak król ścisłym, pełnym uszanowania głosem oznajmił, że jest to fragment korony cierniowej, która spoczywała na czole Chrystusa, zrozumiała wszystko. To było tak jak z jej

„skarbami”: patyk nie był tylko patykiem, lecz ucieleśnieniem wszystkiego co drogie sercu króla –

jego wiary, jego marzeń... Klęczeli razem przed prastarym cierniem prawie przez godzinę. Elwina nigdy w życiu nie czuła się tak bezpiecznie, tak dobrze i ciepło jak wówczas na zimnej kamiennej posadzce obok króla Francji. Ona w prostej sukni i fartuchu, nie śmiejąc odetchnąć, by nie zmącić ciszy; on w bramowanym gronostajem płaszczu cynobrowej barwy, pogrążony w modlitwie z zamkniętymi oczyma. Na co dzień król rzadko w ogóle zauważał jej obecność, lecz Elwinie tamta chwila wystarczyła na całe życie.

Otuliła się ciasniej ramionami, obawiając się, że cuda Sainte-Chapelle zatrzymają trubadura wewnątrz przez dłuższy czas. Polowała na niego od czterech dni, lecz gdziekolwiek się ruszył, ciągnęła za nim chmara szebioczących dam i zaciekawionych panów.

Tymczasem ona musiała zdobyć jego księgę jeszcze przed występem.

„Idź do jego komnaty i zabierz ją, kiedy go nie będzie” – powiedział Ewerard.

Lecz Elwina nadal trwała pod mokrym cisem. Odwlekała wykonanie zadania nie tylko ze strachu, jakim napełniała ją myśl o kradzieży. Czuła, że Ewerard nie powiedział

wszystkiego. To, że coś ukrywał, w połączeniu z jego widoczną desperacją bardzo ją zaintrygowało. Doprawdy sprawa musiała być gardłowa, skoro szukał pomocy u obcej niewiasty. W zamian zmusiła go do obietnicy, że przyspieszy pasowanie Willa na rycerza.

Nie miał wielkiego wyboru; gdyby odmówił, i ona by się nie zgodziła. Ale poza korzyścią, jaką będzie wdzięczność Willa i spełnienie jego marzeń, ta ryzykowna misja dawała jej coś jeszcze: podniecenie niecodzienną przygodą. Czuła się jak bohaterka bretońskiego romansu.

Zresztą, powiedziała sobie przytupując nogami dla rozgrzewki, skoro księga jest tak cenna, trubadur zapewne się z nią nie rozstaje.

W wielkiej sali zamkowej trwały przygotowania: ustawiano i nakrywano stoły, zapalano pochodnie, rozwieszano na ścianach proporce. Nastrój był tym bardziej uroczysty, że przypadał właśnie dzień Wszystkich Świętych. Wieczorem dwór oraz przybyli wielmoże mieli towarzyszyć królowi i jego małżonce na uroczystych nieszpórach w Sainte-Chapelle, następnie zaś miała się odbyć uczta uświetniona popisem Piotra z Pont-Eveque.

W mieście odczucia związane z przyjazdem trubadura były bardzo różne. Wielu ludzi, którzy cieszyli się, że go zobaczą, rozczarowała wieść, iż wystąpi tylko raz, na zamku.

Inni, zwłaszcza duchowni podjudzani przez dominikanów, nawoływali, by wyświęcić poetę z Paryża. Król wydał sporo złota na dzisiejszą zabawę i nie miał ochoty zepsuć jej sobie ani gościom, lecz Elwina słyszała z ust królowej, że skrycie żałował swego zaproszenia; nie spodziewał się, że wywoła ono tyle niesnasek. Udało mu się wszakże udobruchać kler obietnicą, że gdy występ przekroczy granice przyzwoitości, natychmiast go przerwie.

Niedługo później drzwi kaplicy rozwarły się i wyszło z niej dwóch mężczyzn.

Elwina poczuła dreszczyk oczekiwania. Stanęli w progu, rozmawiając. Obserwowała ich spod

półprzymkniętych powiek, zdając sobie sprawę, jak śmiesznie musi wyglądać mokra, ubłocona i zaplątana w gałęziach cisu. Maria miała dobre oko; Piotr istotnie był urodziwym mężczyzną. Choć niewysoki i szczupłej budowy, nadrabiał to postawą wyprostowaną i pewną, godną człeka wysokiego stanu. Miał gęste lśniące ciemne włosy i jasnoniebieskie oczy, które zdawały się pochłaniać każdy widziany obraz. Kiedy spoczęły na niej, spuściła wzrok.

– Ufam, że uda mi się dziś cię zabawić, panie – postyszała głęboki, dźwięczny głos trubadura. – Proszę, abyś przekazał moje uniżone dzięki jego wysokości za to, że zezwolił mi obejrzeć swą prywatną kaplicę. Rację mają ci, co nazywają ją jednym z cudów świata.

Jego towarzysz ruszył w stronę zamku, klnąc na deszcz moczący mu odzienie.

Elwina wstrzymała oddech, widząc, że Piotr z Pont-Eveque idzie w jej stronę, nonszalancko rozchlapując błoto wysokimi butami. W niebieskiej szacie usianej perełkami kropel deszczu wyglądał jak księżę lub bohater romansu.

– „Pod listowiem altany, co mgłą spowita cała, na lorda Lancelota królowa czekała. ”

– Piotr uśmiechnął się, rozgarniając gałęzie. – Powiedz mi, o pani, czy tam nie pada? A jeśli nie pada, czy mogę się tam schronić wraz z tobą?

– Niestety – roześmiała się Elwina wychodząc spod drzewa – tu też pada.

Piotr przyjrzał jej się z uwagą. Był niższy od niej, ale miała uczucie, że kurczy się pod jego przenikliwym spojrzeniem.

– Dlaczego więc stoisz tam zmarznięta, gdy kamienny dach dałby ci lepsze schronienie?

Nie odpowiedziała.

– Jesteś służką królowej?

Zmartwiała. Skoro wiedział, kim jest, mógł znać także cel, dla którego chciała się z nim spotkać. Może rzeczywiście był czarownikiem?

– Skąd wiesz? – wyjąkała.

– Zaciekawiał mnie wdzięczny cień towarzyszący mi od paru dni. Gdziekolwiek zwróciłem oczy, widziałem ciebie.

– Och... – Elwina była załamana. A wydawało jej się, że jest bardzo ostrożna!

– Jak masz na imię?

– Gracja.

– Bardzo stosownie. – Błękitne oczy trubadura zabłysły. – Chcesz zatem wiedzieć, Gracjo, czy plotki

rozpowiadane o mnie są prawdziwe? Ze moją pieśń ułożył sam szatan, a ja jestem czarownikiem i zamierzam podstępem pchnąć pobożnego króla we władanie złych mocy?

– Nie. – Elwina wyprostowała się i z wysiłkiem spojrzała mu w oczy. – Chciałam spytać poetę o jego wiersze.

– Naprawdę? – Piotr był nieco zaskoczony. Uśmiechnął się i namyślał przez chwilę.

– Mam jeszcze trochę czasu, potem muszę się przygotować do występu. Chętnie odpowiem na twoje pytania, piękna panno, ale w suchszym miejscu. Może przejdziemy do mojej komnaty – gestem wskazał jej drogę – i tam porozmawiamy o poezji?

W korytarzach Elwina trzymała nisko spuszczoną głowę, modląc się w duchu, by nikt nie zwrócił się do niej po imieniu. Wszędzie kręcili się dworzanie, klerkowie i słudzy –

jedni oczekując na ucztę, inni wykonując codzienne obowiązki. Słyszała za sobą kroki trubadura i czuła na plecach jego wzrok. Dano mu komnatę w wieży górującej nad rzeką.

Kiedy tam dotarli, serce trzepotało jej tak, iż miała wrażenie, że wyrwie się z piersi i odleci.

Piotr rozejrzał się prędko po pustym tu korytarzu, otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do środka. W niewielkim pomieszczeniu stało kilka skrzyń i łoże niedbale zasłane kocem, na nim zaś leżała skórzana sakwa.

– Widok z okna wynagradza brak wygód. – Piotr zamknął drzwi i stanął za nią. –

Sama zobacz. – Podprowadził ją ku wykuszowi.

Wyrzała. Daleko w dole płynęła Sekwana szara jak niebo nad Paryżem. Miasto otulone było płaszczem mgły. Dziewczyna przycupnęła w niszy i zadrżała, gdy trubadur usiadł obok niej.

– Zmarzaś – rzekł cicho. Ujął jej dłoń i zaczął ją delikatnie rozcierać.

– Bardzo się ucieszyłam, kiedy przyszła wieść, że będziesz tu przedstawiał, panie –

bąknęła obserwując, jak jego palce zataczają powolne kręgi. – Zawsze zachwycaty mnie romanse. Znam niektóre dzieła Chretien z Troyes i wiersze Arnolda z Mareuil, ale nigdy nie miałam sposobności zapytać poety, skąd bierze natchnienie.

– I o to właśnie chciałaś spytać, piękna panno? – Piotr podniósł do ust jej dłoń i chuchnął na nią. – Skąd biorę natchnienie?

Skinęła głowę. Jego gorący oddech palił jej skórę.

– Natchnienie przybiera wiele form. – Piotr opuścił jej rękę i ujął drugą. – Może nim być podsłuchana rozmowa albo zapach deszczu na opadłych liściach...

– A dzieła innych mistrzów? – spytała, delikatnie cofając dłonie i splatając je na podołku. – Słyszałam kiedyś, jak mówiono, że wielu poetów czerpie od swych poprzedników.

– Czasami... – Piotr oparł się o mur, odchylił nieco głowę, przymykając powieki. –

Gdy na przykład sięgamy do epok starożytnych, opowiadając o dawnych bohaterach i ich ukochanych, korzystamy z cudzych historii, nie było nas bowiem na świecie w tamtych czasach. Ale niepotrzebne mi cudze słowa do opisania miłości. Dlatego większość moich wierszy pochodzi tylko z mego serca i umysłu. – Przekrzywił głowę. – Czy zaspokoilem twoją ciekawość, pani?

Elwina zaczerpnęła tchu i powiedziała ostrożnie:

– Słyszałam pogłoski, że romans o Graalu nie jest twoim dziełem.

– Co takiego? – Spojrzał na nią ostro. Nonszalancka poza znikła; teraz był czujny jak jeleni, który zwietrzył myśliwego. – Gdzie to słyszałaś?

– Tu, w zamku – bąknęła, zaskoczona zmianą w jego zachowaniu. – Nie pamiętam, kto to mówił, pewnie ktoś ze służby.

– Ach, sługa... – Piotr nieco się odprężył. – I co takiego mówił?

– Że ta księga... że pewnie została skradziona... – Elwina krzyknęła, gdy Piotr złapał ją za ramię.

– Nie jestem złodziejem!

– Nie – skwapliwie potrząsnęła głową. – Oczywiście, że nie. Jestem tego pewna.

Powtarzam tylko, co ludzie mówią.

Wypuścił ją ostrożnie, jak gdyby bał się, że ucieknie.

– Nie jestem złodziejem – powtórzył. – Nie jestem też czarownikiem ani czcicielem diabła.

Zgarbił się, oparł łokcie na kolanach. Wydawał się teraz mniejszy, węższy, jakby uszło zeń powietrze. Ogień, który płonął mu w oczach, zgasł. Po długiej chwili poeta oderwał

martwy wzrok od podłogi i rzekł cicho:

– Kiedy ktoś osiąga wysoką pozycję, postawieni niżej ludzie chcą go zniszczyć.

Zawiść to najbardziej jadowita trucizna. Zabija w ludziach serca. Przez pół życia dobijałem się sławy. Teraz, kiedy ją mam, nie jestem już pewien, czy wciąż jej pragnę. – Spojrzał na Elwinę i jego głos stwardniał. – Nie, nie napisałem Księgi Graala, ale też jej nie ukradłem. Ta plotka jest fałszywa jak cała reszta i bardzo proszę, żebyś jej nie powtarzała.

– Nie będę. Przysięgam.

Nagła zmiana, jaka zaszła w Piotrze, wytrąciła Elwinę z równowagi. Nie czuła już podniecenia.

– Wybacz mi – powiedziała wstając. – Nie powinnam była zabierać ci czasu. Proszę, przygotuj się do występu.

– Zaczekaj! – zawołał, kiedy była już w drzwiach.

Obróciła się spłoszona.

– Nie odchodź – Piotr uśmiechnął się do niej ze smutkiem. – Wielu na tym dworze szukało mego towarzystwa, odkąd przybyłem: damy pragnące zostać uwiecznione w poezji; panowie chcący mnie umieścić na swych dworach, gdzie byłbym oznaką ich bogactwa. Nagle zatrwożyła mnie myśl o tym, że będę musiał zadowolić to zachłanne grono, które ongiś mną gardziło. To, że tu jesteś, i że po prostu interesują cię moje wiersze, to miła odmiana. Gdy podważyłaś moje prawa do Księgi Graala, byłem dla ciebie szorstki, wiem; ale od pewnego czasu wszędzie ścigają mnie złośliwe pomówienia, a ostatnio zyskałem pewność, że jestem śledzony.

– Śledzony? – Elwina udała zaskoczenie. Wiedziała od Ewerarda, że wysłał kogoś za trubadurem.

– Jadąc tu z południa kilkakrotnie słyszałem, że jakiś człowiek wypytywał o mnie w gospodach. Cudzoziemiec, jak mi powiedziano.

– Może po prostu chciał posłuchać twoich wierszy?

– Może. – Piotr nie wydawał się przekonany. – Zatrzymałem się na kilka tygodni u przyjaciela w Blois i chyba się ze mną minął. – Klepnął dłonią siedzisko w wykuszu okna. –

Czy posiedzisz jeszcze ze mną, pani?

Elwina zawahała się, potem zawróciła do okna czując się nieco pewniej. Wpadł jej do głowy pewien pomysł.

– Czy mógłbyś mi pożyczyć jakieś okrycie? Trochę jednak zmokłam.

– Oczywiście – odparł Piotr dwornie. Podeszedł do łóżka i zerwał z niego pled, którym pieczołowicie otulił jej ramiona.

Elwina jedną ręką przytrzymała koc, drugą zdjęła mokry kapturek i rozpuściła włosy.

Wzrok trubadura podążył w ślad za spadającą jej na ramiona falą miedzianozłotych loków.

Nieraz widziała, jak mężczyźni patrzą na nią w ten sposób – kupcy na targu, strażnicy w zamkowych korytarzach, Will zanim się opanował; wszyscy z tym samym głodem w oczach.

Lubiła to. Czuła się wtedy niezwyciężoną, a zarazem pragnęła zostać zdobyta. Ilekroć dostrzegała te

spojrzenia, wiedziała, że w świecie rządzonym przez mężczyzn ona, kobieta, ma wielką władzę.

Z uśmiechem przysunęła się nieco bliżej.

– Mówiłeś o natchnieniu, inspiracji do twych poezji. Chciałabym usłyszeć o tym coś jeszcze.

– Poezja... – W oczach Piotra znów rozjarzył się ogień. Zerwał się i z leżącej na posłaniu sakwy wyjął oprawną w welin księgę i plik luźnych arkuszy. Kiedy wrócił do okna, poznała Księgę Graala, którą opisał jej Ewerard. Piotr położył ją obok siebie na siedzisku. –

Oto moje prawdziwe dzieła. – Przywarł do niej ramieniem i wzięwszy do ręki arkusz zapisany drobnym delikatnym pismem, zaczął czytać.

Był to bardzo zmysłowy miłosny poemat zadedykowany kobiecie imieniem Katarzyna. Elwina czuła, że policzki płoną jej rumieńcem.

– Twoje wiersze są bardzo... namiętne – wyjąkała, gdy skończył.

– Ta namiętność jest niema. – Piotr obrzucił wiersze zrozpaczonym spojrzeniem. –

W minionych czasach poeci, o których sama wspominałaś, tworzyli z podobną pasją. Pisali o katuszach czekania i powolnej bolesnej rozkoszy spełnienia; o radościach serca i ciała. Dziś miłość dworna nie jest już tym, czym była. Bohaterem pieśni stał się mężczyzna, który odmawia sobie rozkoszy i gardzi pragnieniami, podobny raczej misteryjnej postaci rycerza bez skazy niż żywemu człowiekowi, który odrzuca strach przed grzechem, by zdobyć miłość pani swego serca. – Potrząsnął głową. – Miłości nie da się okiełznać. Nie zna ona rozsądku ani wstydu. To dzika bestia, drapieżna i nienasycona.

Elwina w milczeniu pokiwała głową. Piotr wziął do ręki Księgę Graala i otworzył ją.

W szarym półmroku błysnęły złote litery.

– Ta księga należała do mojego brata. Trafiła do mnie, gdy dwie zimy temu brat zachorował i zmarł. Wykorzystałem jej część, by odtworzyć historię Percewala: nowy romans dla nowej epoki. Myślałem, że gdy zdobędę już własną sławę, będę mógł śpiewać moje własne wiersze. Ta księga dała mi sławę, dała władzę. – Piotr przerzucił parę stronic. –

Ludzie tłoczyli się, by mnie usłyszeć.

– Twój brat ją napisał?

– Nie. – Poeta zaśmiał się niewesoło. – Antoni nie umiał się nawet podpisać.

Handlował winem.

– To skąd ją wziął?

Zerknął na nią z wahaniem.

– Muszę cię prosić o zachowanie tajemnicy.

– Będę milczeć jak grób – oznajmiła szeptem. Kiedy wciąż się wahał, położyła mu konfidencjonalnie dłoń na kolanie. – Przyrzekam.

Uśmiechnął się do niej.

– Znalazł ją na progu. – Widząc minę Elwiny, parsknął śmiechem. – Prawda, że moja wersja, jakoby przyniósł ją anioł, brzmi bardziej przekonująco? Nie pytaj mnie, skąd się wzięła. Po prostu pewnego ranka wiele lat temu otworzył drzwi i zobaczył leżącą pod drzwiami księgę. Pokazał mi ją, kiedy go odwiedziłem. Wówczas jednak nie miałem ochoty niczego tworzyć. Oddalony z dworu, wróciłem do Pont-Eveque, gdzie ojciec jął mnie przekonywać, abym znalazł sobie stosowniejsze zajęcie. Nie rozumiał poezji, nazywał ją zabawką głupców. Byłem tak przygnębiony, że przyznaję, skłonny byłem pójść za radą rodziciela. Ale gdy po śmierci Antoniego przybyliśmy do Paryża, by zarządzić jego majątkiem, znalazłem tę księgę i znów spłynęło na mnie natchnienie. Wykorzystałem ją jako inspirację. – Piotr spuścił wzrok na swoje dłonie. – Wydawało mi się to najlepszą okazją do wybicia się, jaka kiedykolwiek mi się przytrafi. Miałem rację. Nawet więcej racji, niż mogłem przypuścić.

– Ale czy się nie boisz? Słyszałam, że nie wpuszczono cię na dwór akwitański.

Tutejsze kolegia starają się nie dopuścić do występu, grożą ci ekskomuniką...

– Przyznaję, że moje strofy były trochę za pikantne dla delikatnych podniebień.

Rozwodniłem je nieco. – Piotr wstał i zaczął zbierać pergaminy. – Poza tym paryscy dworzanie oczekują mojego występu z wytęsknieniem, tak mi powiedziano. Król nie da się przekabacić dominikanom.

Elwina zakłęta w duchu patrząc, jak księga Graala, którą chwilę wcześniej miała w zasięgu ręki, znika w sakwie trubadura.

– Nie jest tak źle, jak ludzie mówią – dodał z kwaśnym uśmiechem. – W każdym razie Szatan się jeszcze nie ukazał. Na razie.

Rozległo się stukanie do drzwi.

Poeta zamarł. Patrzył na nie przez chwilę, po czym potrząsnął głową i poszedł otworzyć.

– O co chodzi?

– Kazałeś, panie, żeby ci powiedzieć, kiedy sala będzie gotowa – odpowiedział męski głos.

Piotr obejrzał się na Elwinę.

– Wybacz mi na chwilę – rzekł i wyszedł zamykając drzwi za sobą. – Czy pozostawiono puste miejsce, jak prosiłem? – doleciał z korytarza jego głos.

– Tak, panie, na wprost wysokiego stołu.

– A reszta sali? Ludzie będą siedzieć twarzą do mnie?

– Tak, panie.

Elwina podkradła się na palcach do łóżka, wytyżając uszy, by usłyszeć każdy szmer za drzwiami.

– Kiedyś w pewnym dworze nieopodal Cluny ustawiono ławy tak, że słuchacze zwróceni byli do mnie tyłem! – żołądkował się trubadur.

– Nic podobnego się tu nie zdarzy, panie. Wszystko urządzone jak należy.

– Doskonale. Zaraz tam będę.

Piotr otworzył drzwi i wzdrygnął się lekko na widok stojącej tuż za nimi Elwiny.

Uśmiechnął się.

– Niestety muszę cię opuścić, panno. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

– Ja też muszę już iść – Elwina odwzajemniła uśmiech. – Jeśli nie skończę pracy przed ucztą, nie usłyszę twego przedstawienia, panie. Ale dziękuję, że zechciałeś ze mną porozmawiać. Czuję się zaszczycona – bąknęła, czując się zepsuta do cna – że obdarzyłeś mnie zaufaniem.

– Może zatem odwiedzisz mnie raz jeszcze i dokończymy rozmowę po występie?

– Jeśli tylko pozwolą mi obowiązki.

Piotr zarzucił sobie sakwę na ramię i wyszedł z komnaty.

– Mam nadzieję, że znajdziesz jednak chwilę czasu. – Ruszył do schodów, lecz po chwili zawrócił. – Czekaj! Masz coś, co należy do mnie.

Twarz Elwiny stężała.

– Co takiego?

– Koc – wyjaśnił. – Zamarznę na śmierć w tej norze.

– Jest mokry! – wyjąkała. – A teraz bez niego będzie mi zimno. Przyślę ci suchy; dwa, jeśli chcesz.

– Zatem zatrzymaj go z mym błogosławieństwem. – Skłonił się przed nią dwornie.

Elwina odczekała chwilę, a potem ruszyła w przeciwnym kierunku. Teraz, gdy napięcie opadło, była wręcz zaskoczona przepelniającym ją uczuciem triumfu. Kurczowo ścisnęła przytulony do piersi twardy czworokątny kształt.

Kiedy weszła do swojej kwatery, zastała tam zdenerwowaną Marię.

– Gdzie ty byłaś!? – Dziewczyna zerwała się z ławy. – Królowa była bardzo niezadowolona. Miałaś ją ubrać po kąpieli.

Elwina rozdziawiła usta.

– Myślałam, że nie mam już dziś obowiązków.

– Jak możesz być taka roztrzepana! – Maria w rozpaczy uniosła ręce ku niebu.

– Czeka mnie kara?

Przyjaciółka skarciła ją surowym spojrzeniem.

– Zastąpiłam cię. Powiedziałam królowej, że leżysz w łóżku z bólem brzucha. Nie martw się, nie ominie cię przedstawienie. Uprzedziłam, że wkrótce ci przejdzie, bo tylko lekko strułaś się czymś, co zjadłaś na śniadanie.

– Jestem wybranką losu, mając taką przyjaciółkę.

– Owszem – zgodziła się Maria. Wskazała koc. – Co to za szmata? I gdzie masz czepek? Zmarszczyła czoło. – Elwino, jesteś przemoczona do suchej nitki!

– Muszę cię o coś poprosić.

Maria uniosła jedną brew.

– Czyżbyś gruchała w deszczu ze swoim kochaniem, podczas gdy ja odwalalam twoją robotę? – Zachichotała. – Teraz będziesz mi już musiała powiedzieć, kto to jest.

– Mario, to ważne.

Uśmiech Marii znikł. Podeszła bliżej.

– Co się stało?

– Niechętnie cię w to wplątuje, ale nie mam wyboru. Pomogłaś mi dziś już raz i przyrzekam, że za oba się odwdzięczę, ale chciałabym, żebyś zrobiła dla mnie coś jeszcze, lecz nie mogę ci wyjawic przyczyn, dla których o to proszę.

Maria powoli pokiwała głową.

– O co?

– Muszę jak najszybciej przesłać wiadomość do Templum. Proszę, idź do Ramona.

Wierzę, że można mu zaufać, a on będzie mógł bez kłopotu wyjść z zamku. Zaniesie wiadomość, jeśli ty go o to poprosisz.

Maria spłonęła rumieńcem.

– Wcale nie jestem tego taka pewna. On w ogóle na mnie nie patrzy.

– Ale cię lubi.

– Może. Chyba tak.

– Wiadomość może przekazać tylko w cztery oczy.

– Komu?

– Kapelanowi, Ewerardowi z Troyes.

– Nie powiesz mi chyba, że zadajesz się z księdzem?!

– Nie – zaprzeczyła prędko Elwina. – To nie ma nic wspólnego z miłością.

Dziewczyna westchnęła.

– Co ma przekazać?

– Niech powie księdzu, że mam to, czego chciał. Niech pośle swojego człowieka, żeby spotkał się ze mną pół godziny przed nieszporami. Będzie wiedział gdzie.

– To wszystko?

– Tak.

Maria milczała przez chwilę, przyglądając się bacznie Elwinie.

– Masz kłopoty?

– Nieustająco. – Elwina zaśmiała się nienaturalnie. Po chwili spoważniała. – Zrobisz to dla mnie?

– Zrobię.

– Zatem mam wobec ciebie już drugi dług.

– Odbiorę z lichwą – odparła półzartem Maria, równocześnie zaniepokojona o przyjaciółkę i podniecona perspektywą spotkania z Ramonem.

Kiedy wyszła, Elwina wyjęła spod łóżka swoją czarną szkatułkę. Książka mieściła się w niej płasko na przegródkach. Zamknęła skrzynkę na kluczyk, wepchnęła ją stopą głęboko pod łóżko i poszła zdjąć z wieszaka suchą suknię.

Piotr nalał sobie wina i zbliżył się do podwyższenia biegnącego pod węższą ścianą naprzeciw wejścia do sali. Usiadł na nim i oparłszy się na łokciu, przyjrzał się olbrzymiej komnacie. Nim tu trafił, jeden z nobilów zaciągnął go jeszcze na łyk wina i pogawędkę o perspektywach trubadura w Paryżu. Nie pozostało mu wiele czasu na przygotowania, ale wystrój sali z pewnością nie pozostawiał nic do życzenia.

Na podwyższeniu za wysokim stołem ustawiono trony króla i królowej wyściełane jedwabnymi poduszkami wypełnionymi miękkim puchem. Z tyłu za nimi wisiał błękitny proporzec królewski; złote kwiaty lilii lśniły w świetle setki świec. Wokół sali rozwieszono też rodowe chorągwie mających zasiąść do uczyty diuków i książąt. Posadzka u stóp podwyższenia, gdzie Piotr miał deklamować, usiana była wonnymi suszonymi płatkami róż.

Rzędy stołów udekorowano girlandami z liści bursztynowych, szkarłatnych i złotych. W

regularnych odstępach na środku stołów stały wysadzone klejnotami puchary pełne wina. Po występie miała się odbyć świąteczna uczta. Piotr czuł się tak, jak gdyby wydawano ją na jego cześć.

Położył sakwę na ławie, dopił wino i zwinnie wskoczył na podwyższenie.

– Piękne damy i szlachetni panowie! – zwrócił się z ukłonem do służby zdobiącej stoły jesiennymi liśćmi. – Uczyńcież mi ten honor i wysłuchajcie pieśni o Rolandzie, rycerzu bez trwogi, i o cesarzu wielkim Karolu. – Odchrząknął zadowolony z akustyki pomieszczenia i przymknął oczy.

Większość służących przerwała pracę, zasłuchana w śpiew trubadura. Słowa, dźwięczne i czyste, ulatywały mu z ust wypełniając olbrzymią komnatę.

– *Dzień ma się ku schyłkowi, zapada czarna noc. Karol śpi; śpi potężny cesarz...*

– Piotrze z Pont-Eveque!

Trubadur otworzył oczy i zgromił spojrzeniem intruza. Zobaczył dwóch mnichów w wytartych czarnych habitach, bosych, z drewnianymi krzyżami na szyjach. Wiedział, kim są, bo ich zakon był powszechnie znany. Za nimi postępowało pięciu rycerzy owianych jeszcze większą, legendarną wręcz sławą. Piotr utkwiał wzrok w obnażonych mieczach templariuszy i poczuł, jak zimny strach unosi mu włosy na karku. Słudzy szeptali i kryli się pod ścianami.

– To ja – rzekł. – Czego ode mnie chcecie, dobrzy bracia?

– Nie jesteśmy twoimi braćmi – warknął jeden z mnichów występując naprzód.

Pozostali przystanęli.

Młody dominikanin miał ciemne poważne oczy, które zdawały się przenikać Piotra na wylot.

Trubadur uczynił wysiłek, by spojrzeć na niego z góry, w czym pomogło mu to, że stał na podwyższeniu.

– Z czymkolwiek przyszłście, mówcie. Nie mam czasu na długie dysputy.

– Piotrze z Pont-Eveque – rzekł z namaszczeniem tamten, jakby w ogóle go nie słyszał. – Z nakazu Domu Jakubowego uczniów świętego Dominika w mieście Paryżu, którym będący błogosławionym narzędziem w ręku Boga papież Grzegorz, dziewiąty tego imienia, nakazał mocą Ducha Świętego wyplenić chwast herezji, kładziemy na ciebie areszt.

– Jak to? Pod jakim zarzutem?!

– Obwiniony zostałeś o czarostwo i herezję.

– Słuchajcie – rzekł szybko Piotr. – Nie wiem, jakie plotki do was dotarły, ale zapewniam was, że to nieprawda. Nie jestem heretykiem.

– Nakazujemy ci natychmiast oddać w nasze ręce posiadaną przez ciebie księgę, owo dzieło Szatana, oraz pójść z nami.

– Nie możecie tego zrobić! – Piotr poczuł, że ogarnia go panika. – Jestem gościem króla!

– Gdzie jest Księga Graala?

– Zostaw to! – krzyknął poeta widząc, że wysoki czarnowłosy rycerz sięga po jego sakwę.

Dominikanin też się obejrzał.

– Rycerzu z Nawarry! – warknął. – Odstąp. Ja się tym zajmę.

Mikołaj zawahał się przez chwilę z ręką wyciągniętą nad sakwą. Po namyśle cofnął

się i rzucił zjadliwie: – Częstuj się, proszę.

Egidiusz zdjął z szyi krzyż, położył go na sakwie i zaczął odmawiać egzorcyzmy.

Piotr zeskoczył z podwyższenia.

– Pojmać go! – krzyknął drugi dominikanin.

– Wezwijcie króla! – wołał równocześnie trubadur do osłupiałych służących. Został

uciszony mocnym ciosem w tył głowy zadany pięścią w kolczej rękawicy.

– Będziesz miał nauczkę, żeby nie rozpowiadać bezceństw i nie szargać nas w błocie! – syknął mu do ucha jeden z templariuszy.

Piotr zwisał bezwładnie w jego uścisku. Tymczasem Egidiusz skończył modły i ostrożnie wsunął rękę

do sakwy.

– To bezprawie! – jęknął trubadur.

– Zgrzeszyłeś przeciwko Bogu i chrześcijaństwu – rzekł drugi mnich tonem równie surowym jak jego spojrzenie. – Ale my damy ci szansę odkupienia. Dołożymy wszelkich starań, by ocalić cię przed ciemnością, która skusiła cię do złamania przykazań Pana naszego, i wyegzorcyzmować zło, które znalazło sobie w tobie mieszkanie. Ci, którzy zbaczają z Bożej ścieżki, muszą zapłacić za swe winy. Jeśli sprzymierzyłeś się z Szatanem...

– Tu jej nie ma.

Piotr uniósł skołowaną głowę. Jak przez mgłę widział, że Egidiusz wytrząsa sakwę nad stołem. Jego wiersze zasłaty stół, ale po Księdze Graala nie było śladu. Mikołaj z Nawarry zaczął przeglądać pergaminy. Egidiusz tymczasem podszedł do trubadura.

– Gdzie ona jest?

– Co?

Dominikanin złapał go za podbródek i brutalnym szarpnięciem zadarł mu głowę.

– Gdzie jest księga?

Poeta zaczął się dławić, jabłko Adama jak szalone podskakiwało mu w krtani.

– Bracie Egidiuszu...

Mikołaj z Nawarry odłożył pergaminy i podszedł do przytrzymywanego przez rycerzy Piotra.

– Pozwól, ja spróbuję – zaproponował.

Egidiusz miał taką minę, jakby chciał zaprotestować, lecz ustąpił.

Piotr odetchnął spazmatycznie, patrząc na rycerza uzbrojonego prócz miecza w długi sztylet i wiszącą u pasa kuszę.

– Jest w mojej sakwie! – krzyknął, nim Mikołaj zdążył się odezwać.

– Niestety nie – odparł łagodnie templariusz.

Oczy Piotra wypełniły się łzami.

– Błagam... – wyjąkał. – Ja nawet jej nie napisałem. Przysięgam!

– Wierzę ci. – Mikołaj zniżył głos do szeptu. – Jeśli będziesz współdziałać z dominikanami, być może zdołasz ocalić życie, ale musisz im wyznać, gdzie jest księga. Jeśli tego nie zrobisz, zostaniesz

stracony jako heretyk, a oni będą dalej poszukiwać księgi już bez twojej pomocy. Z pewnością zaczną od złożenia wizyty w Pont-Eveque.

– Dlaczego tam... ?

– Jeśli zaś nie znajdą księgi w twoim domu rodzinnym... – głos Mikołaja był niemal tchnieniem muskającym policzki trubadura – wzniosą na rynku cztery stopy i przywiążą do nich twojego ojca Jana, twoją matkę Eleonorę i siostry, Odę i Renatę. Wysmarowani olejem i powoli pieczeni na węglu drzewnym będą mieli czas patrzeć, jak ciało im czernieje i pęka, kości stóp rozsypują się w popiół, potem golenie, a potem...

– Nie!!! Boże! Księga była w sakwie! Trzymałem ją w komnacie i tam spakowałem ją do sakwy, przysięgam!

Egidiusz, który nie słyszał całej rozmowy, spojrzał na Mikołaja z uznaniem.

– To gdzie jest teraz? – spytał, kiedy Mikołaj się wyprostował.

– Nie wiem! Nie wyjmowałem jej! Powinna tam być, nie rozumiem, jak... – Urwał.

– Tak? – podchwycił Mikołaj.

– Była u mnie dziewczyna, służka. – Piotr uniósł głowę. – Przyszła porozmawiać o poezji.

– Chcesz powiedzieć, że ona mogła zabrać księgę?

– Wyszedłem z izby, nie na długo, ale... – Piotr kiwnął głową. – Tak. Mogło się tak zdarzyć.

– Jak miała na imię? – warknął Egidiusz.

– Gracja.

– Jedną chwilę, bracie – Mikołaj powstrzymał mnicha, który już biegł do drzwi. –

Jak wyglądała?

– Wysoka, smukła, długie złote włosy. Ładna.

– Takich mogą tu być setki. – Mikołaj podszedł do Egidiusza i rzekł półgłosem: –

Sam pójdę do majordoma i wypytam go o tę dziewczynę. Proponuję, żebyście tymczasem poszli z trubadurem do jego izby i sprawdzili, czy nie zostawił tam księgi przez pomyłkę albo celowo jej nie ukrył. Poza tym królowi z pewnością już doniesiono o naszej wizycie. Trzeba będzie mu to i owo wyjaśnić.

Egidiusz skrzywił się, ale przytaknął sztywnym ruchem głowy.

– Niech tak będzie. Jeśli znajdziesz dziewczkę, przyprowadź ją tutaj. Sam ją przesłucham.

– Jak sobie życzysz.

Mikołaj zczekał, aż towarzyszący dominikanom templariusze wyprowadzą Piotra z sali, potem wyszedł. Wypytawszy o drogę, ruszył prędko szerokimi korytarzami, ignorując zaciekawione spojrzenia, jakie przyciągał jego biały płaszcz. Komnata majordoma, mała, lecz wygodnie urządzona, była jednak pusta. Przystanął na korytarzu, zastanawiając się, gdzie go szukać. Przez okno na końcu długiego ciemnego korytarza wpadał wiatr, wnosząc ze sobą odór rzeki. Zbliżał się zmierzch, niebo zaciągnięte było chmurami. Okno wychodziło na obejście i mur oddzielający zamek z jednej strony od Sekwany, a z drugiej od miasta. Niemal dokładnie naprzeciw znajdowała się sklepiona furta wiodąca nad rzekę. Mikołaj, który miał

stąd doskonały widok, zauważył człowieka w szarym płaszczu idącego szybkim krokiem od zamku ku rosnącym tuż nad wodą dębom. Mężczyzna rozejrzał się szybko, potem zniknął pod osłoną drzew. Nawet jednak w zmierzającym świetle rycerz zdołał dostrzec jego ciemną twarz.

24

Paryż

Pierwszy dzień listopada roku Pańskiego 1266

Dotarłszy skrótem do mostu na Sekwanie, Hasan przeciął rzekę i zanurzył się w kręte uliczki miasta. W gęstniejącym zmroku zręcznie omijał grupki wracających do domów ludzi. Wiatr, który od południa stale się wzmagał, targał jego płaszczem. Ziemia rozmiękła, w warstwie błota znaczyły się głębokie ślady stóp i kopyt. Nisko nawisie chmury zapowiadały kolejny deszcz. Brnąc przez pogmatwany labirynt zaułków przeryzujących dzielnicę kupiecką we wszystkich możliwych kierunkach, Hasan uparcie posuwał się na północ ku Bramie Świątynnej. Księgę zatkniętą miał z tyłu za pas i osłoniętą płaszczem. Widział konie templariuszy przywiązane przed zamkiem, toteż zdecydował się unikać głównych ulic.

Większość warsztatów była już zamknięta; właściciele udali się do mieszkań na piętrach, by przydziać się odświętnie do kościoła. Tu i ówdzie czeladnicy pospiesznie kończyli pracę; zza drzwi dochodził jeszcze łoskot kowalskiego młota, chróbot miotły na podłodze warsztatu powroźnika, chrzęst garbarskiego skrobaka trącego skórę. Hasan zatrzymał się na rozwidleniu. Najkrótsza droga wiodła na wprost długą uliczką za kościołem, ale wlot do niej był częściowo zastawiony kupą kamieni i przytkniętym do murów świątyni kiepsko skleconym rusztowaniem. Po krótkim namyśle Hasan precyzyjnie przesunął się obok i lawirując między podporami ruszył dalej, mrużąc oczy przed wiatrem niosącym wapienny pył. Zza zakrętu doleciały go głosy, śmiech i skrzekot ptaka. Płonące pochodnie rzucały wielkie groteskowe cienie na mur kościoła. Naprzeciw otwartej sieni domu cechowego mularzy siedziała kręgiem w kucki grupa młodych ludzi. Inni stali im za plecami. Wszyscy mieli na sobie ubielone fartuchy. Skrzeczały dwa koguty wrzucone w środek kręgu; ptaki tańczyły wokół siebie, coraz zazarciej dziobiąc i szarpiąc się pazurami do krwi. Nieco dalej uliczka wychodziła na plac, za którym widać już było Bramę Świątynną.

Hasan przemknął pod ścianę i okrążył grupę przy wtórze cichnących krzyków konającego ptaka. Rozległy się okrzyki radości i zawodu, zabręczały monety ciskane na wieko stojącej obok beczki. Chudy, na oko osiemnastoletni młodzik z jastrzębim nosem i rzadką czarną bródką zaklął szpetnie i oparł się o ścianę.

Hasan poczuł, że deszcz znów zaczyna padać. Pochodnie zasyczały, kiedy padły na nie pierwsze rzadkie krople.

– Przepraszam – mruknął, omijając młodego mularza. Kilku innych obejrzało się za nim.

– Hej, ty!

Oparty o ścianę młodzik przyglądał mu się podejrzliwie głęboko osadzonymi oczyma o podpuchniętych powiekach.

– Nie powiniś tędy chodzić. Mogłes zwalić rusztowanie.

– Następnym razem pójdę inną drogą.

Zapadła cisza. Po chwili chłopak spytał:

– Skąd jesteś?

Hasan nie odpowiedział. Szedł dalej, starając się wyprzedzić mularzy, którzy rozchodzili się, zebrawszy swe wygrane.

– Hej! – Młodzik odepchnął się od ściany i ruszył za nim. – Pytałem, skąd jesteś.

– Z Lizbony. – Hasan skłonił grzecznie głowę. – Życzę panom dobrej nocy.

– Jeśli ty jesteś z Lizbony, to ja z raj.

Hasan nie zatrzymywał się, choć słyszał za sobą drwiące szepty.

– Widziałem takich jak ty, czarnuchu. – Chłopak mówił coraz głośniejszym, coraz bardziej zaczepnym głosem. – Nie pochodzili z tej strony morza.

Wylot uliczki był już bardzo blisko. Hasan zerknął przez ramię. Grupa obstawiająca zakłady w walce kogutów znacznie się przerzedziła. Młodzik szedł za nim, jego stopy mlaskały w błocie. Nie spieszył się, ale też nie miał zamiaru zostawić go w spokoju. Dalej postępowało kilku jego kolegów. Hasan przyspieszył kroku, lecz na placu zobaczył trzech młodych ludzi w mularskich fartuchach. Byli zdyszani; musieli przejść przez sień domu cechowego i pobiec równoległą ulicą, żeby odciąć mu drogę. Jeden z trójki miał niezbyt tęgą minę i trzymał się z tyłu, ale spojrzenia dwóch pozostałych nie wróżyły nic dobrego.

Niepokój Hasana z wolna przerodził się w strach. Zatrzymał się.

– Czego ode mnie chcecie? – spytał, starając się nadać głosowi spokojne brzmienie.

– Spieszę się.

– Wiesz co, Gwido, on nawet nie mówi jak Lizbończyk – rzekł jeden z trójki do chudego młodzieńca.

Otoczyli go kręgiem. Było ich w sumie dziewięciu, dwóch trzymało pochodnie.

Deszcz padał coraz gęściej. Na placyku, na schodkach czynszowej rudery siedziała mała dziewczynka prowadząc sobie po kolanach drewnianą lalkę. Poza nią nie było tam nikogo.

– Znam ludzi, którzy byli w Ziemi Świętej. – W cichym głosie Gwidona słyhać było nienawiść. – Wiem, co tacy jak ty robią z chrześcijańskimi kobietami i dziećmi. Myślisz, że możesz jakby nigdy nic chodzić tu między nami? Król kazał Żydom nosić znaki, żeby wszyscy wiedzieli, z kim mają do czynienia. A gdzie jest twój znak, Saracenie?

– Jestem chrześcijaninem. – Hasan panował nad sobą, ale buchająca z chłopaka wrogość owionęła go jak zimny wiatr. Zadrżał.

Gwido splunął z pogardą.

– Myślisz, że Bóg chce mieć taką czarną owcę w swojej trzodzie? – Przysunął się bliżej. – W zesłym miesiącu szpitalnicy dali znać mojej matce, że jej syn, mój brat – dźgnął

się palcem w pierś – poległ, gdy Saraceni zdobyli zamek w Arsufie. Był tam pomocnikiem mularskim. – Oczy chłopca błysnęły w świetle pochodni. – Nigdy nie widziałem go tak szczęśliwego jak wówczas, gdy wsiadał na okręt, który miał go zawieźć do Ziemi Świętej.

Ale kiedy wasz Sułtan, ten, którego rycerze nazywają Kuszą, skończył ze szpitalnikami, kazał

wyrznąć też całą resztę. Głowę mego braciszka zatknęto na palu, ciało zostawiono, żeby zgniło. Miał czternaście lat. Matka z żalu straciła mowę. A ty, jeden z jego morderców, panoszysz się po naszym mieście!

– Współczuję ci – rzekł cicho Hasan. – Naprawdę. Ja też znam wielu dobrych ludzi, którzy stracili życie w tej wojnie. Ale przysięgam, Bajbars Bunduktari nie jest moim sułtanem. Nigdy nie walczyłem w jego szeregach, nie ślubowałem mu wierności. Mój dom jest tutaj, od wielu już lat.

– On kłamie, Gwido – rozległ się ponury głos za jego plecami.

– Przysięgam – powtórzył prędko Hasan, odwracając się do chłopaka, który przemówił. – Jestem..

Stęknął zaskoczony, gdy ktoś popchnął go z tyłu. Stracił równowagę, runął na kolana w błoto, czując, jak lodowata maź wcieka mu do nogawic. Nim zdążył się podnieść, potężny kopniak trafił go w bok. Zwinął się z jękiem. Kolejne ciosy spadały na głowę, tors, plecy tylko częściowo osłonięte księgą. Nozdrza wypełnił mu smród błota zmieszanego z ludzkimi odchodami, twarz i ręce pokryte miał czarną cuchnącą breją. Gwido stanął nad nim; Hasan widział jego wykrzywioną wściekłością i

bólem twarzy i zaraz potem ujrzał podeszwę buta, który trafił go w twarz, łamiąc mu nos. Poczul w gardle krew. Zakrztusił się. Ktoś krzychał:

– Gwido, przestań! Mówiłeś, że chcesz go tylko nastraszyć!

Hasan odczołgał się na bok. Łzy ciekły mu po twarzy, sylwetka napastnika rozplýwała się w oczach. Namacał pod płaszczem sztylet, wyszarpnął go z pochwy i zatoczył

nim krąg wokół siebie.

– On ma nóż!

Gwido zdążył odskoczyć w ostatniej chwili, pozostali też się cofnęli poza zasięg ostrza. Hasan podniósł się, szachując przeciwników sztyletem. Krew sączyła mu się z nosa i ust, spływała z rozciętej brwi do oczodołu, zlepiając rzęsy. Obolały, na wpół ślepy ruszył w stronę placu. Tamtych trzech rozstąpiło się widząc, że jest uzbrojony. Zaczął biec. I raptem się pośliznął i upadł. Tamci rzucili się na niego z krzykiem, odciągnęli, przygnietli do ziemi.

Gwido skoczył po upuszczony nóż.

Hasan zdążył jeszcze usłyszeć okrzyk: „Gwido, zostaw!” i poczul potworny przeszywający ból. Pełne nienawiści oczy Gwidona rozszerzyły się, błysnął w nich strach.

Chłopak cofnął się pozostawiając sztylet w boku rannego.

– Jezu, Gwido! – jęknął któryś z mularzy. – Coś ty zrobił?

– W nogi! – krzyknął inny, ciągnąc kompana za ramię. – No chodź!

Rozbiegli się; Hasan został sam na ziemi. Próbował się dźwignąć, walcząc z falami obezwładniającego bólu, ale udało mu się tylko doczołgać do wylotu uliczki. Zacisnął palce na rękojeści sztyletu. Nie miał siły go wyciągnąć. Krew ciepłym strumieniem spływała po lodowaciejących palcach. Wiatr zerwał mu kaptur z głowy. Dziewczynka siedząca w drzwiach domu naprzeciw przyglądała mu się szeroko rozwartymi oczyma.

– Pomóż mi! – wychrypiał.

Usta dziecka otwarły się w duże „o”; dopiero po chwili dobył się z nich krzyk.

Zerwała się, chwyciła lalkę i wpadła do domu. Posłyszał huk zatraskujących się drzwi.

Jęknął, głowa opadła mu w błoto. Pomyślał o Ewerardzie, który czeka na niego w preceptorium. Księga Graala ciążyła mu na plecach jak kamień, tonął pod jej brzemieniem.

Czuł, że traci świadomość; wyciekała zeń z krwią, ulatywała z każdym wysilonym oddechem.

Deszcz rosł mu gołą głowę, spływał po policzkach mieszając się ze łzami. W dali zaczął bić dzwon

katedry; chwilę później przyłączyły się do niego wszystkie kościoły W mieście, wzywając paryżan na świąteczne nieszpory.

– Wedle tego, co mówił prewot, powinien być gdzieś tutaj. – Gwardzista, krzepki lnianowłosa mężczyzna imieniem Baldwin, zeskoczył z konia i podał wodze jednemu z towarzyszy. Wyciągnął rękę. – Daj no tę pochodnię, Łukasz!

– Niechby sam go sobie szukał w taką słotę! – prychnął ze złością najmłodszy z trójki Łukasz. Szkarłatne tuniki królewskiej straży były przemoczone na wylot.

– Nie do prewota należy zbieranie trupów po ulicach. To niewdzięczne zadanie przypada jego wiernym psom, czyli nam – odparł rzeczowo Baldwin i rozejrzał się wkoło mrużąc zalewane deszczem oczy. Poza kręgiem wątego światła targanej wiatrem pochodni panowała nieprzenikniona czerń. Na placu było dziwnie cicho, jeśli nie liczyć zawodzenia wiatru i uporczywego plusku spadających kropel. Okna nędznych czynszowych ruder były ciemne, ich mieszkańcy siedzieli jeszcze w kościele.

– Chciałbym go tu zobaczyć – sarknął trzeci strażnik. – My mokniemy, a on grzeje sobie tłusty zadek w zamku!

– Już ty mu nie zazdrość, Emeryku. Co jak co, dziś stary zapracuje na swój chleb.

Ma pod dostatkiem zmartwień przez tego trubadura.

– Właśnie – podchwycił Łukasz. – O co poszło? Tuż przed naszym wyjściem widziałem u króla templariuszy. Kłócili się.

Baldwin obojętnie wzruszył ramionami.

– Ponoć trubadur okazał się heretykiem. Inkwizytorzy wzięli go na przesłuchanie.

– To ja już wolę ganiać po deszczu. – Łukasz wzdrygnął się ze strachem.

– Co to?

Obejrżeli się. Emeryk wskazywał wlot pobliskiego zaułka. Na ziemi rysował się jakiś ciemniejszy kształt. Baldwin podszedł bliżej z syczącą pochodnią, schylił się i szarpnął

za ramię skulonego na ziemi człowieka. Ten jednak nie dawał oznak życia.

– Trzymaj – oddał pochodnię Emerykowi, który też zsiadł z konia, i odwrócił ciało.

– Chryste Panie! – Emeryk przeżegnał się na widok zabitego. – Toż to Saracen!

Z boku mężczyzny sterczała rękojeść cudzoziemskiego sztyletu. Oczy miał otwarte, wpatrzone w deszczowe nocne niebo. Umazaną błotem twarz o egzotycznych rysach znaczyły siniejące już wybroczyny; czarna broda była posklejana skrzeplą krwią.

– Biedaczysko. – Baldwin rozchylił płaszcz zabitego i obszukał go pobieżnie.

Znalazł tylko pustą pochwę, która wydawała się pasować do sztyletu. – Wygląda na to, że zabili go jego własną bronią. Powinniśmy się rozpytać. Może ktoś widział tych, co go napadli.

– Wszyscy są w kościele – odparł niechętnie Emeryk. – Niewiasta, która złożyła doniesienie, powiedziała tylko, że słyszała krzyki, a potem zobaczyła, że ktoś leży w zaułku.

Niech prewot zdecyduje, czy mamy ich szukać. Ja osobiście wątpię, by chciał marnować na tę sprawę czas i ludzi. – Wzruszył ramionami, patrząc na ciało. – Myślisz, że ktokolwiek będzie za nim tęsknił?

Baldwin westchnął i kiwnął głową. Otarł rękawem mokrą od deszczu twarz.

– To dawaj, przywiążemy go do mojego konia. Trzeba go pochować.

– A gdzie niby? – spytał zjadliwie Emeryk, nie ruszając się z miejsca.

– Bo że nie w poświęconej ziemi, to pewne – dodał podchodząc Łukasz, który uwiązał konie do słupka przed garbarnią.

– Przecież nie może tu zostać – sarknął z irytacją Baldwin.

Wszyscy trzej pograżyli się w głębokim namyśle.

– Na cmentarz trędowatych z nim – oznajmił w końcu Emeryk.

Łukasz potrząsnął głową.

– Lazaryści go nie zechcą.

– Powiemy, że jest dotknięty. Będą musieli go wziąć.

Spojrzeli obaj na Baldwina. Ten, nie mogąc wymyślić żadnego lepszego rozwiązania, skinął głową.

– No dobra. Łukasz, wyjmij z niego ten kozik i pomóż mi go podnieść.

Templum

Drugi dzień listopada

Will wyszedł z kaplicy po prymie, ziewając szeroko. Nabożeństwo było wyjątkowo długie, ponieważ wypadał akurat Dzień Zaduszny i oprócz godzinek odmawiano specjalne modlitwy za dusze pobożnych zmarłych. W porównaniu z wczorajszym było to ponure święto, choć pogoda jakby na przekór starała się temu zaprzeczyć. Po kilku dniach wietrznej słoty ranek wstał zdumiewająco jasny, niebo z ołowianej przybrało turkusową barwę, a potem rozbłysło czystym błękitem. Ceną za to był nagły spadek temperatury. O świcie stajenni musieli rozbijać lód na korytach z wodą. Mróz

utwardził ziemię i pokrył trawy srebrnobiałym nalotem.

Rycerze szli rzędem wprost z kaplicy do wielkiego refektarza. Will wraz z innymi, którzy nie złożyli jeszcze ślubów, musiał czekać ze śniadaniem, aż tamci skończą, toteż udał

się do szatni, żeby odebrać habit Ewerarda, który oddał wczoraj do załatania.

– Wilhelmie!

Obejrzał się. Biegł za nim służebny w brązowej tunice, oglądając się ukradkiem na przechodzących rycerzy.

– Tak?

– Ktoś czeka na ciebie przy furcie – rzekł półgłosem mężczyzna.

– Kto?

Sługa nie odpowiedział, lecz obejrzawszy się ponownie, podał mu na dłoni zmięty skrawek niebieskiego płótna.

Will zmarszczył brwi.

– O co chodzi? – spytał rozwijając materiał. Zobaczył pokruszoną główkę kwiatu jaśminu.

– Nie chciała podać imienia – szepnął sługa. – Kazała tylko ci to dać. Czeka za furką.

– Kiwnął głową i pobiegł z powrotem.

Will zamknął w dłoni skrawek materiału czując, że serce zaczyna mu walić. Ale podniecone było tylko jego ciało, w duchu czuł złość, że Elwina za nic ma jego prośby i wciąż go nachodzi. Po chwili wahania przeciął dziedziniec i ruszył w stronę donżonu, za którym było główne wejście do klasztoru. Uszedł ledwie parę kroków, gdy spostrzegł

zbliżającego się rycerza. Był to Garen. Pozostali zniknęli już w refektarzu.

Garen uśmiechnął się na powitanie, uśmiech nie sięgnął jednak oczu.

Kiedy się odezwał, jego ton zdawał się nieco wymuszony.

– Właśnie cię szukałem.

– Tak? – Will ukrył w dłoni kawałek lnu.

– Nie jestem pewien, ale wydawało mi się, że widziałem tu dawnego towarzysza mojego stryja. Ma na imię Hasan.

Will skinął głową.

– Owszem, bywa u nas dość często.

– Robert mówił mi, że jest także druhem twojego pana?

– Nie jestem pewien, czy określenie „druh” jest właściwe. Mój pan czasem korzysta z jego usług przy wyszukiwaniu ksiąg, które chce kupić. Dlaczego pytasz?

– To właściwie nic ważnego. – Garen wzruszył ramionami i zaśmiał się, a Will znów w jego wesołości wyczuł napięcie. – Chciałem mu wreszcie podziękować za to, że próbował

ocalić życie stryja w Honfleur. Nie miałem okazji zrobić tego po bitwie. Pamiętam jednak, że walczył wtedy ramię w ramię z nami. – Urwał. – Wiesz, gdzie go znaleźć?

– Wczoraj widziałem go przez chwilę, ale nie wiem, gdzie jest teraz. Chyba ma kwaterę w mieście. Nic więcej nie potrafię ci powiedzieć. – Will zrobił krok w stronę furty. –

Wybacz, muszę iść.

– Wychodzisz?

– Ewerard wysłał mnie po sprawunki. Jeśli spotkam Hasana, powiem mu, że go szukasz.

Wychynawszy z długiego cienia donżonu, Will uszedł kawałek drogą nakrytą baldachimem kołyszących się na wietrze gałęzi kasztanowców. Pod drzewami przechadzała się Elwina, brodząc po kostki w morzu szkarłatnych liści. Na ramionach miała niebieski wełniany szal. Zawołał ją; wiatr porwał mu jej imię z ust i poniósł w korony drzew.

Dziewczyna odwróciła się. Na jej twarzy odmalowała się ulga. Podbiegła do niego, lecz tuż przed nim zatrzymała się niepewnie. Zobaczył, że ma łzy w oczach, i cała złość z niego uszła.

– Co się stało? – zapytał.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Elwino, o co chodzi? – Will łagodnie ujął ją za ramiona. – Powiedz mi.

Po chwili opuściła ręce. Policzki miała mokre.

– Nie wiem, od czego zacząć, Will. Zrobiłam coś strasznego. – Potrząsnęła gwałtownie głową. – To nie tak miało wyjść. Nie sądziłam, że ktokolwiek na tym ucierpi.

– O czym ty mówisz?

Elwina głęboko wciągnęła powietrze i uwolniła się z jego objęć.

– A najgorsze, że czuję się tak, jakbym cię zdradziła.

Will wysłuchał w milczeniu opowieści o tym, jak na prośbę Ewerarda zgodziła się zabrać trubadurowi księgę skradzioną przed sześciu laty z paryskiego preceptorium. W

nagrodę za to książdz miał doprowadzić do pasowania Willa.

Kiedy skończyła, zapadła cisza.

– Ewerard prosił cię, żebyś skradła księgę? – spytał w końcu Will.

– Wybacz, że zawarłam z nim umowę za twoimi plecami. Ale wiem, jak bardzo chciałeś zostać rycerzem, i pomyślałam, że mogę ci w tym pomóc. Zresztą księga nie była jego własnością. To znaczy Piotra. – Elwina przygryzła wargę i spuściła wzrok. – A potem przyszli inkwizytorzy i tak strasznie się bałam, że odkryją, co zrobiłam, że myślałam tylko o tym, jak się jej najszybciej pozbyć. Uwięzili go wczoraj, jeszcze przed występem.

– Trubadura? Za co?

– Za herezję. Jakoby rozpowszechniał spisane w tej księdze bluźnierstwa.

Will zacisnął zęby.

– Najważniejsze, że tobie nic się nie stało.

– To przeze mnie go uwięzili. Co z nim teraz będzie? Ponoć gdy dominikanie nie znaleźli księgi, oskarżyli go o kłamstwo, bo mówił im, że była u niego służebna. Ale on mówił prawdę. Podałam mu fałszywe imię.

– I chwała Bogu! Elwino, to nie twoja wina. – Will potrząsnął głową. – Nie do wiary. Ze też Ewerard mógł zrobić coś takiego...

– Piotr nie jest złym człowiekiem. Wziął tę księgę po bracie. Chciał śpiewać swoje wiersze. Zabijają go, prawda?

– Zaraz. O którym bracie mówisz?

– Ewerard myślał, że to Piotr skradł księgę ze skarbca, ale to było inaczej. Jego brat, Antoni, znalazł ją pod drzwiami. Żaden z nich nie wiedział, że ma cokolwiek wspólnego z waszym zakonem.

– Gdzie jest teraz księga?

– Wczoraj wieczorem oddałam ją człowiekowi Ewerarda, tak jak się umówiliśmy.

– Komu?

– Hasanowi – bąknęła. – Pochwalił mnie, że dobrze się spisałam i Ewerard będzie rad. Wiesz, że pochodził z Syrii? Kiedy napomknęłam, że chciałabym pojechać do Ziemi Świętej, odparł, że powinnam, bo tam jest bardzo pięknie... – Elwina znów zaczęła płakać.

– I Hasan dostarczył księgę Ewerardowi?

– Miał mu ją przekazać, ale... Wczoraj w nocy strażnicy królewscy znaleźli w mieście zwłoki. Dziś rano, kiedy niosłam wodę na kąpiel dla królowej, podsłuchałam, jak jeden z nich, Baldwin, składał raport dowódcy. Mówił o Saracenie pobitym i zakłutym na śmierć w jakimś zaułku. – Kolejna łąza spłynęła jej po twarzy. – Zawieźli go do leprozorium za bramą Świętego Dionizego, żeby go tam pogrzebano. To pewnie był Hasan, prawda?

– Dlaczego akurat tam?

– Bo nie był chrześcijaninem.

– Ewerard mówił mi, że Hasan jest ochrzczony... – Will urwał i rozgarnął dłonią włosy. W przeszłości miał swoje podejrzania co do Hasana, ale Ewerard je wyśmiał. Jeśli wszakże Ewerard ukrył przed nim sprawę księgi i za jego plecami wykorzystał Elwinę do jej odzyskania, również dobrze mógł kłamać w wielu innych sprawach.

Otarł kciukiem łzę z policzka dziewczyny.

– Muszę iść – powiedział, ujmując jej dłoń i wkładając w nią zwitek z kwiatem jaśminu. – Wróc do zamku i na Boga, nie mów nikomu ani słowa o tym, co się stało.

– Masz do mnie żal?

– Oczywiście, że nie – szepnął, tuląc ją do siebie. – Jestem ci wdzięczny, bo przecież zrobiłaś to dla mnie, ale też wściekły, że znalazłaś się w tak niebezpiecznej sytuacji.

Poczuł, jak jej ciało trochę się odpręży. Poglaskał ją po głowie, potem wypuścił z objęć i cmoknął w policzek.

– Idź już. Obiecuję, że niedługo znów się zobaczymy.

Widząc, że Will wraca, Garen cofnął się głębiej pod donżon.

Wczoraj wieczorem widział wychodzącego Hasana i wiedząc o planowanym występie trubadura domyślił się, że Saracen ma za zadanie odzyskać księgę. Poszedł za nim, ale natknął się na wizytatora, który poinformował go o wakującym stanowisku adiutanta marszałka zakonu na Cyprze. Spytał, czy Garen jest nim zainteresowany. Garena chwilowo interesowało tylko to, że Kruk czeka na księgę pod Siedmioma Gwiazdami, mając w ręku Adelę – a Hasan tymczasem mu ucieka. Zgodził się pospiesznie, niecierpliwie wysłuchując instrukcji, iż w takim razie powinien jak najszybciej udać się do Marsylii, żeby zdążyć na statek przed zimowymi sztormami. Nim wizytator wreszcie odszedł napisać list do mistrza prowincji cypryjskiej, Hasan dawno już zniknął.

Garen rozważał myśl, by udać się wprost do pałacu, uznał jednak, że jeśli minie się z Hasanem, straci szansę na odebranie księgi. Postanowił zaczekać.

Kiedy grupa templariuszy pod wodzą Mikołaja z Nawarry wróciła do preceptorium, Garen przydybał

w stajni młodego rycerza, z którym dzielił dormitorium.

– Co tam się działo w pałacu? – spytał szeptem.

– W ogóle nie powinieneś o tym wiedzieć – odszepnął Stefan, oddając wodze koniuchowi.

– Trudno tutaj utrzymać cokolwiek w sekrecie.

Stefan zerknął w stronę Mikołaja, który rozmawiał z wizytatorem na dziedzińcu, i nachylił się do Garena.

– Złapaliśmy trubadura. Dominikanie go zabrali.

– I dobrze. – Garen wykrzywił wargi. – Niech ma za swoje, drań.

Stefan kiwnął głową z posępnym uśmiechem.

– Wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek nas oczerni.

– Miał przy sobie tę księgę? Tę, którą napisał Szatan?

– Nie znaleźliśmy jej. Trubadur się wykręcał, że zabrała ją jakaś dziewczka, ale nie ma na to żadnych dowodów.

– Dlaczego?

– Bo w zamku nie służy żadna o tym imieniu. Za to ładnych jasnowłosych dziewczuszek jest aż nadto. Trudno byłoby wśród nich znaleźć tę właściwą.

– Bracie Stefanie! – doleciał ich surowy głos Mikołaja.

– Muszę iść – szepnął pośpiesznie rycerz i już go nie było.

Garen spędził bezseną noc. A jeśli Hasan otrzymał rozkaz, by nie wracać z księgą do klasztoru, tylko zawieźć ją gdzie indziej?

Po rozmowie z Willem ruszył za nim ukradkiem. Zaintrygowany stwierdził, że Will skręcił z drogi, a nie poszedł do miasta. Minęła dłuższa chwila, nim rozpoznał kobietę stojącą pod drzewami. Zdumiała go przemiana Elwiny z płaskiej jak deska dzierłatki, którą uratował

w Honfleur, w tak powabną pannę. Był za daleko, by podsłuchać rozmowę, ale widział, iż dziewczyna jest zdenerwowana, a Will wściekły. Raptem wspomniał służebną opisaną przez Stefana. Elwina służyła w zamku i pasowała do opisu. Ogarnęło go podniecenie. Przez większość rozmowy Will stał obrócony do niego plecami, no i byli dość daleko; gdyby więc podała mu przedmiot wielkości książki, Garen mógłby tego nie dostrzec. Ze złością zadał

sobie w duchu pytanie, czy przypadkiem Will nie zajął przeznaczonego dla niego miejsca w tajnej

frakcji, o której mówił mu stryj Jakub.

Kiedy Will minął go z twarzą posępną jak chmura gradowa, Garen wyszedł z ukrycia. Musi zdobyć tę księgę, inaczej jego życie nie będzie warte złamanego szeląga.

Księżę Edward i Kruk już tego dopilnują.

Ewerarda nie było na jutrzni ani na prymie. Po spotkaniu z Elwiną Will poszedł do szatni; chciał dać sobie czas na ochłonięcie przed rozmową z księdzem. Nie pomogło. Każdy krok zbliżający go do komnaty kapelana potęgował w nim wściekłość ciężącą w żołądku jak szorstki twardy kamień. Tym razem nie zapukał. Pchnął drzwi i od razu wszedł do środka.

Ewerard zgarbiony na ławie wyglądał przez okno. Gdy otwarte z rozmachem drzwi grzmotnęły o ścianę, poderwał zaskoczony głowę. Był śmiertelnie blady, tylko sine kręgi pod oczami nadawały nieco barwy jego twarzy. Wyglądał, jakby nie spał przez całą noc.

Will cisnął mu pod nogi zwiniętą suknię.

– Jakim cudem człowiek tak samowolny może nosić zakonną szatę?

– Co to ma znaczyć? – Ewerard opuścił zasłonę okienną i w komnacie zapanował półmrok.

– Ty mi powiedz, co to wszystko znaczy.

– O czym...

– Właśnie widziałem się z Elwiną – wpadł mu w słowo Will. – Wiesz, co mi powiedziała?

– Elwina? – Ksiądz dźwignął się z trudem. – Gdzie ona jest?

Willa uderzył niepokój w jego głosie, ale nie spuścił z tonu.

– Powiedziała mi, do czego ją namówiłeś. Kazałeś jej skraść księgę temu trubadurowi, o którym wszyscy rozprawiają.

– Ma ją? Wie coś o Hasanie?

– Hasan nie żyje. – Widząc ból, jaki odmalował się na twarzy starca, prawie pożałował, że wypowiedział te słowa tak brutalnie.

– Co ty mówisz?

– Hasan nie żyje – powtórzył cicho. – W każdym razie tak sądzi Elwina. Straż królewska znalazła zeszłej nocy w mieście zwłoki zamordowanego Araba.

Ewerard stał przez chwilę jak skamieniały, po czym chwiejnie dowlókł się do swego łoża i opadł na nie.

– O, nie – szepnął ze zgrozą. – Dobry Boże, nie!

Will mimo woli poczuł, że złość mu przechodzi. Wziął ze stołu dzban wina, nalał pełny puchar i podał go księdzu.

Ewerard objął nóżkę kielicha dwoma zdrowymi palcami. Upił kilka łyków, oparł głowę o ścianę, oddychając powoli. Każdemu wdechowi towarzyszył cienki świst. Znużonym gestem wskazał Willowi ławę pod oknem.

– Usiądź.

– Wolę stać.

W komnacie zapanowała cisza mącona tylko poszumem wiatru, który wpadał przez okno unosząc zasłonę, po czym cofał się znów jak fala. Po dłuższej chwili Ewerard podniósł wzrok.

– A księga? – spytał. – Oddała ją Hasanowi?

– Co to za księga? – Will wściekł się od nowa. – Co u licha cię napadło, żeby za moimi plecami skłaniać moją... – zająknął się – ... skłaniać Elwinę do kradzieży?

– Nie miałem wyboru.

– Owszem, miałeś. Trzeba było mi powiedzieć. Wolałbym już zrobić to sam, niż narażać ją na niebezpieczeństwo. I to dla jakiegoś nudnego traktatu, w których tak gustujesz!

– Nie udałoby ci się jej zdobyć – Na pobrużdżonej twarzy kapelana zarysowała się dodatkowa zmarszczka znamionująca irytację. – Tylko niewiasta mogła się zbliżyć do trubadura, nie wzbudzając podejrzeń. Mów, giermku. Powtórz mi wszystko, co ci powiedziała.

– Powinienem iść do wizytatora i donieść na ciebie. Nie miałeś prawa nakłaniać jej do grzechu.

Oczy Ewerarda zwęziły się.

– Bądź łaskaw pamiętać, że niełatwo mnie zastraszyć próżnymi pogroźkami.

– To nie jest próżna pogroźka.

– Nie masz pojęcia, jak wysoka jest stawka! – krzyknął ksiądz wysiłonym zgrzytliwym głosem.

Will otworzył usta, zamknął je i potrząsnął głową.

– Co ja tu jeszcze robię? Nie zamierzasz ani przeprosić, ani nawet niczego mi wyjaśnić, prawda? – Ruszył w stronę drzwi.

– Wilhelmie...

Zatrzymał się z ręką na skoblu. Twarz Ewerarda była szara, brwi tworzyły postrzępiony nawis nad zapadniętymi oczyma, skrzywiona blizną warga miała barwę popiołu.

Will przyjrzał mu się uważnie, lecz nie zdołał odczytać z tej twarzy powodu, dla którego Ewerard po raz pierwszy w ciągu tylu lat służby zwrócił się do niego po imieniu.

– Usiądź – szepnął starzec. – Proszę. Wszystko ci opowiem.

25

Aleppo, Syria

Drugi dzień listopada roku Pańskiego 1266

Bajbars stał przy szerokim, łukowato zakończonym oknie, przez które wpadał ciepły pustynny wiatr. Ciało miał jeszcze wilgotne po kąpielu, ciemne pasma mokrych włosów przylepione do czaszki. Wiatr niósł aromat dymu, przypraw i lekki odór końskiego gnoju z targu. U stóp potężnych murów otaczających cytadelę rozciągało się Aleppo, klejnot Syrii.

Chylące się ku zachodowi słońce zabarwiło złotem białe kopuły meczetów i madrasy, lśniące iglice minaretów jarzyły się niczym pochodnie. Na piaszczystym placu w obrębie murów twierdzy kilku jeźdźców uganiało się za piłką. Z tej odległości wydawali mu się maleńcy.

Bajbars uwielbiał tę grę, jej szybkość i zaciekłość. Sam był jednym z najzręczniejszych zawodników.

Przez chwilę śledził ruchy tamtych, a potem cofnął się w miły chłód komnaty. Jego prywatne pomieszczenia były prawie nieumeblowane; ich przepych wyrażał się raczej w szlachetnych proporcjach i misternej ornamentyce niż zawartości. Czerwone i czarne marmurowe kolumny wyrastały z mozaikowej posadzki, podtrzymując złocony strop; ściany wykładane były drewnem inkrustowanym macicą perłową. Każdy łuk zdobiły sztukaterie, na posadzkach zaś pyszniły się barwne dywany.

Sułtan podszedł do marmurowego postumentu, na którym stał wysadzany drogimi kamieniami puchar i dzban. Nalał sobie trochę kumysu i usiadł na wyściełanej otomanie, lecz gdy tylko dopił do dna, znów zerwał się na nogi.

Od upadku Safedu miał uczucie, że kampania rozwija się nieznośnie powoli.

(Chrześcijanie, jak wytknął mu Kalaun, mieli na ten temat z pewnością inne zdanie.) Po Safedzie zdobył inny, mniejszy zamek, również obsadzony przez templariuszy. Obleżenie trwało zaledwie kilka dni. Tydzień później zniszczył wioskę, której mieszkańcy donosili Frankom z Akki o ruchach jego wojsk. Potem pociągnął wzdłuż wybrzeża, zabijając wszystkich napotkanych chrześcijan. Ta

potężna demonstracja siły była jeszcze niczym w porównaniu z tym, czego dokonano w Cylicji. W czasie gdy Bajbars oblegał Safed, Kalaun, któremu sułtan oddał pod komendę oddziały syryjskie, poprowadził je na północ przeciwko chrześcijańskim Ormianom. Przeszedł przez góry i uderzył na nich od tyłu. Pozostawiwszy za sobą dymiące ruiny miast, miesiąc temu wrócił do Aleppo prowadząc wozy pełne złota i czterdzieści tysięcy nowych niewolników.

Ale od tamtej pory nic się nie działo.

Niecierpliwość spędzała Bajbarsowi sen z powiek. Podczas gdy armia wypoczywała po kampanii, on naradzał się z dowódcami pułków, zbierał sojuszników i godzinami układał

plany nowych wypraw przeciwko Frankom. Ale jego emirowie tego lata najedli się zwycięstw do syta i nie mieli apetytu na więcej. Bajbars czuł się rozczarowany. Dzisiejszą naradę zwołał

po to, żeby im to powiedzieć.

Obejrzał się, słysząc kroki. Pod łukiem ozdobionym inskrypcją: "*Nie ma Boga prócz Niego; Mahomet Jego prorokiem*" do komnaty wkroczyła procesja eunuchów z kornie spuszczoneymi głowami. Nieśli na tacach grzebienie, nożyki i olejki, ostatni zaś – złotolity płaszcz i turban.

– Najpotężniejszy panie, przyszliśmy cię ubrać.

– Mogę się tego domyślić – sarknął.

Stał nieruchomo, przymknawszy oczy. Słudzy zakrzętnęli się wokół niego; ich palce, lekkie i prędkie jak skrzydła motyli, muskały jego głowę i ciało, czesząc włosy, układając brodę i wcierając w skórę wonny olejek. Po sześciu latach wciąż nie zdołał

przywyknąć do tak drobiazgowych posług. Wolał sam się ubierać, lecz sułtanowi to nie uchodzi. Przybrałszy go w białą jedwabną tunikę, szarawary i buty z miękkiej skóry, narzucili mu na ramiona płaszcz z jego imieniem i tytułem wyszytymi na ozdobnych taśmach.

Na koniec podsunęto mu zwierciadło. Z wypolerowanego metalu spojrzało nań odbicie rosnącego silnego mężczyzny o ogorzałej od słońca twarzy i stanowczych, głęboko rzeźbionych rysach. Oczy, które widziały i zwycięstwa, i porażki. Ręce szczupłe, oplecione żyłami i poznaczone odciskami. Pod całym tym złotem i jedwabiami wciąż był wojownikiem. Widząc to, nieco się odprężył.

– Panie. – Wszedł Omar w złocistym płaszczu, z namaszczoną brodą i włosami.

Skłonił się głęboko. – Sala tronowa jest przygotowana. Czy mam wprowadzić dostojników?

– Nie. – Bajbars odwrócił się od zwierciadła. Podszedł do Omara i położył rękę na ramieniu przyjaciela. – Przejdźmy się trochę.

– Oczywiście – rzeki zaskoczony Omar, któremu bardzo to pochlebiło.

Sułtan poprowadził go szerokimi korytarzami, do których przylegały komnaty doradców i

urzędników; potem przez marmurowe sale audiencyjne, w których wielmoże, gwardziści i niewolnicy jednakowo nisko kłaniali mu się w pas. Wkrótce doszli do arkady otwierającej się na dziedziniec pod zadaszonymi balkonami. Była to chłodna zielona oaza pełna smukłych drzew, delikatnych roślin o pierzastych liściach i wonnym kwieciu. Woda szemrała w fontannie i rozplątywała się z niej biegnącymi promieniście kanalikami. Jej plusk zagłuszał chwilami świergot ptaków. Bajbars zatrzymał się koło wielkiej klatki, zaczerpnął z karmnika garść ziarna i sygnął je do środka.

– Ta cytadela jest imponująca, nie sądzisz, Omarze? – spytał patrząc, jak ptaki sfruwają z grzęd na ucztę.

– Zawsze tak uważałem, prześwietny sułtanie.

Bajbars się uśmiechnął.

– Chyba wolałbym, żebyś mnie nazywał po staremu, przynajmniej gdy jesteśmy sami. „Prześwietny sułtanie” brzmi nazbyt oficjalnie w ustach kogoś, kto zna mnie od tylu lat.

– Dobrze, *sadik*. – Omar odwzajemnił się uśmiechem.

– Ale – ciągnął Bajbars – nie dorównuje budowli, którą Saladyn wznosił dla siebie w Kairze. Była ona nie tylko siedzibą władcy, lecz czymś więcej: symbolem jego władzy. Ja także chciałbym stworzyć coś potężnego – Oczy Bajbarsa zamglily się wpatrzone w dal. –

Coś, co przetrwa do końca ludzkich dziejów.

– Już zbudowałeś bardzo wiele. Ufortyfikowałeś Kair, wzniosłeś szkoły, lecznice i...

– Nie myślałem o budowlach z kamienia – przerwał mu sułtan. Odwrócił się od ptaszarni i ruszył po schodach na galerię, z której roztaczał się widok na Aleppo. Omar podążył za nim. Kiedy znaleźli się na górze, Bajbars oparł się na obmurowaniu i przez długą chwilę wpatrywał w panoramę miasta. – Przeszedłem się dziś rano po ulicach – rzekł.

– Sam? Powinieneś być ostrożniejszy.

– Wiesz, co tam widziałem? – Bajbars obrócił się do niego. – Widziałem wojowników pijanych frankijskim winem, zamorskich kupców oferujących wełnę, sól i książki pełne łacińskich myśli oraz frankijskie kobiety sprzedające się w zaułkach naszym braciom. Saladyn był wielce uzdolnionym władcą, temu nie zaprzeczę. Umiał wygrywać bitwy, jednoczyć ludzi i być dla nich przywódcą. Ale w sumie poniósł klęskę. Wciąż musimy znosić chrześcijańską zarazę.

– Śmierć kładzie kres wszystkim ludzkim planom.

– Nie śmierć była przyczyną, dla której Saladyn nie pozbył się stąd Franków. On grzeszył miłosierdziem: godził się negocjować i zabijał tylko wtedy, kiedy musiał. Przez jego miękkie serce do dziś nie jesteśmy wolni. Saladyn był mieczem na niewiernych, Omarze, ale ja jestem Kuszą. Sięgam dalej. Chcę zbudować przyszłość wolną od wpływów Zachodu.

– Już sama wojna z nimi jest dla nas ciężką próbą. Ale zatarcie ich wpływu? Jak chcesz walczyć z czymś tak nieuchwytnym?

– To bardzo proste. Jutro wydam nakaz, by zamknięto wszystkie tawerny w Aleppo.

Dziewki wygna się za mury. Niech szczyzną na pustyni; może ona okaże im litość, ja nie. –

Sułtan zawrócił na znajdujący się poniżej balkon.

– Ale ludzie – sapnął Omar, z trudem za nim nadążając – przyzwyczaili się do tych rzeczy.

– To się odzwyczają. Allah zakazuje nam pić wina.

– A kobiety? Mężczyznom potrzebne jest... odprężenie. Lepiej niech zaspokajają ich chrześcijanki, niż mieliby napastować kobiety naszej wiary.

– Powinni się zająć pracą. Zresztą prości ludzie mają do tego żony. A wojsko i wielmoże niewolnice.

– Wiele z nich także pochodzi z Zachodu. Czy to nie to samo?

Bajbars przystanął.

– Niewolnica nie może chodzić, gdzie chce, kiedy chce, ani oddawać się komu chce.

Jest całkowicie zależna od swego pana. To wielka różnica. – Ton sułtana nie dopuszczał

sprzeciwu. – Poza tym, jako rzekłem, po dzisiejszej naradzie będą mieli ważniejsze sprawy na głowie.

– Mimo wszystko zamierzasz przedstawić wielmożom plan następnej wyprawy?

Odradzam ci to, *sadik*, z całą mocą. Ludzie dopiero co wrócili z wojny. Muszą mieć czas, żeby odpocząć, nacieszyć się zwycięstwem. Ty też tego potrzebujesz.

– Czasu niestety nie mamy, Omarze. Frankowie zemszczą się za Safed, co do tego nie mam wątpliwości. Chcę uderzyć ponownie, nim zdążą zebrać siły; zmęczyć i pokonać, zanim staną do walki. Chcę ich zaskoczyć.

– Ale cel, który sobie postawiłeś, jest... – Omar rozłożył ręce – ... potężny.

Zanim Bajbars zdążył mu odpowiedzieć, w krużganku rozległ się odgłos szybkich kroków. Biegła ku nim młoda kobieta z rozwianym włosom, ciągnąc za rękę małego chłopczyka, który rozpaczliwie przebierał nóżkami, żeby za nią nadążyć. Goniący ją dwaj gwardziści zatrzymali się w pełnej uszanowania odległości od sułtana. Chłopiec dyszał

ciężko. Obejrzał się bojaźliwie na uzbrojonych mężczyzn, chlipnął i wytarł nos szerokim rękawem

złotożółtej tuniki. Bajbars przyjrzał się jego ubranku. Lśniąca materia łudząco przypominała jego własny płaszcz.

– Odwołaj swoje psy – warknęła kobieta. – Chcę z tobą pomówić.

– Wybacz, panie – bąknął jeden z Bahridów. – Wiemy, że zakazałeś sobie przeszkadzać, ale nie mogliśmy jej powstrzymać.

Bajbars odprawił ich skinieniem, po czym zwrócił się do żony:

– Czego ode mnie chcesz, Nizam?

– Żebyś poświęcił trochę uwagi swemu synowi! – Popchnęła chłopca w jego kierunku.

Bajbars cofnął się o krok. Baraka Chan, jego sześciolatek, miał czerwony usmarkany nos i zażawione oczka osadzone zbyt blisko siebie, jak u matki. Ciemne włosy zwijały mu się w pierścionki na mokrym od potu czole. Wydęta dolna warga nadawała małej twarzyczce upartą, a zarazem obrażoną minę. Sułtan, zerkając chmurnie na żonę, potargał

chłopcu włosy. Ten nadał się jeszcze bardziej i przywarł do nóg matki. Bajbars zaśmiał się dobrodusznie, złapał malca i podrzucił w górę. Nieraz widział, jak jego żołnierze podrzucają tak swoje dzieci, które piszczą z uciechy i proszą o jeszcze. Niestety jego syn rozbeczał się na cały głos. Bajbars postawił go i lekko klepnął w pupę.

– Nie to nie. Idź do matki. – Wyprostował się i spojrzał na Nizam. – Co on ma na sobie? – spytał wskazując złocistą tunikę chłopca, tak podobną do jego własnej szaty. Jej widok wprawiał go w zażenowanie, choć nie wiedział dlaczego.

– Kazałam go ubrać w twoje barwy – powiedziała, podnosząc Barakę i kołysząc go w ramionach. – Jak przystoi następcy tronu – dodała kwaśno i zacisnęła zmysłowe wargi w cienką linię.

Bajbars poczuł, że ogarnia go wściekłość. Wyjął jej z rąk dziecko i postawił je na ziemi. Chłopiec zaczął płakać jeszcze głośniejszym głosem. Omar wnikliwie studiował wzór kobierców wiszących na ścianie krużganka.

Bajbars złapał Nizam za ramię i pociągnął ją do wielkiego okna wychodzącego na dziedziniec. Gdy weszła w plamę słońca, spostrzegł, że jej biała suknia jest prawie przezroczysta. Widział przez nią krągły zarys jej bioder, szczupłe brązowe nogi, sterczące piersi. Odwrócił wzrok.

– Kiedy Baraka Chan podrośnie, stanie u mego boku jako wojownik i następca tronu.

Ale dopóki ów dzień nie nadejdzie, ty masz się nim zajmować, nie ja.

– Chcę mieć następnych synów – powiedziała półgłosem. – Nie jesteś tylko wojownikiem i sułtanem, jesteś także mężem i ojcem. Nie zapominaj o swoich obowiązkach wobec mnie.

Spojrzał na nią.

- Poświęcam ci tyle czasu, ile mogę. Mógłbym dzielić go między setki niewolnic, ale tego nie robię.
- Nie traktowałbyś ich dużo gorzej niż mnie.
- Masz pałace, piękne szaty, służbę. Nie traktuję cię źle, Nizam.

– Każdy gest byłby lepszy niż żaden. Sułtan powinien mieć więcej niż jednego spadkobiercę. Spełnij swój obowiązek wobec mnie, a znów urodzę ci syna.

Bajbars oparł się o ścianę i przymknął oczy. Prowadzenie wojen jest o wiele łatwiejsze niż stosunki z kobietami, pomyślał. Były chytre jak węże i bardziej niezrozumiałe od gwiazd. Unikał spotkań z Nizam, bo był po nich wykończony. Jego pierwsza żona, która zmarła wydając na świat córkę, była równie wymagająca, lecz nie aż tak przebiegła. Trzecia, Fatima, nie dała mu jeszcze żadnych dzieci i Nizam aż za dobrze zdawała sobie sprawę ze swej niepodważalnej pozycji. Bajbars choć był jej wdzięczny za urodzenie dziedzica, nie potrafił jej kochać. To nigdy go nie kłopotowało, dopóki nie miał z nią do czynienia.

– Wkrótce cię odwiedzę – mruknął. – A teraz idź już. Zostaw mnie.

Oczy Nizam zwęziły się. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Odetchnęła głęboko i skinęła głową.

– Wkrótce – powtórzyła jak echo i odeszła, ciągnąc za rękę pochlipujące dziecko.

Bajbars odprowadził ich wzrokiem i nagle sobie uświadomił, że to nie szaty Baraki wprawiły go w zażenowanie, a sam chłopiec.

Synowie jego namiestników (a nawet niektóre córki) wspinali się na drzewa, okładali drewnianymi mieczami albo siedzieli z uwagą w madrasie i potrafili wyrecytować z pamięci całe fragmenty Koranu. Tymczasem jego syn wydawał się nie mieć ani zdolności, ani chęci do ćwiczeń fizycznych, a jeszcze mniej do nauki. Bajbars ze smutkiem doszedł do wniosku, że to jego wina. Za długo pozostawił chłopca w haremie. Nizam miała rację. Mały potrzebował towarzystwa mężczyzn, wojowników. Ale Bajbars nie miał czasu się nim zajmować.

– Omarze – rzekł – chcę, żebyś znalazł nauczyciela dla Baraki.

26

Templum w Paryżu

Drugi dzień listopada roku Pańskiego 1266

– Słyszałeś – spytał Ewerard – o Gerardzie z Ridefortu?

Will westchnął i odwrócił się w progu, przytrzymując otwarte drzwi.

– Był wielkim mistrzem prawie sto lat temu. A co?

– Siadaj. – Ksiądz wskazał mu stołek. Kiedy Will się nie ruszył, prychnął ze złością:

– Chcesz słuchać czy nie?

Will zamknął drzwi i usiadł.

– Jeśli wyjawisz to komukolwiek – Ewerard dopił wino i utkwiał w młodzieńcu spojrzenie przekrwionych oczu – przysięgam na Boga i wszystko co święte na tym świecie, że cię zabiję.

Zadygotał i naciągnął na siebie koc. Po chwili rzekł:

– Gerard z Ridefortu został przyjęty do zakonu, spędziwszy wprzód kilka lat w Ziemi Świętej jako rycerz hrabiego Rajmunda z Trypolisu. Usłyszałem o nim, kiedy sam złożyłem śluby ponad pół wieku temu. Mówiono, że nosił w sercu urazę do hrabiego Rajmunda, który rzekomo miał mu nie dotrzymać obietnicy nadania ziemi. Podobno też był

drażliwym, napastliwym człowiekiem skłonny przeceniać własne znaczenie zarówno w zakonie, jak i poza nim. Zapewne ta jego arogancja oraz pozór władczości, za którym często kryje się takie usposobienie, pomogły mu w szybkim awansie. Tak czy owak po śmierci wielkiego mistrza kapituła generalna, która zebrała się w Jerozolimie pozostającej jeszcze wówczas w rękach chrześcijan, powierzyła mu tę funkcję.

Ewerard skulił się i mocniej otulił kocem.

– Rok później zmarł król jerozolimski. Jego siostrzeniec, a zarazem następca był

wtedy małym dzieckiem, toteż by zabezpieczyć interes królestwa, powołano regenta w osobie hrabiego Trypolisu, dawnego seniora Gerarda z Ridefortu. Ale niebawem mały król także umarł i władza wymknęła się hrabiemu z rąk. Spadkobierczynią tronu została matka, księżniczka Sybilla wydana za rycerza Gwidona z Lusignan. Osoba, zważ, o wątpliwych kwalifikacjach do sprawowania rządów. Udało jej się wszakże zebrać dostateczne poparcie i pospiesznie koronowała się wraz z mężem, obejmując w ten sposób tron jerozolimski i najwyższą władzę nad czterema chrześcijańskimi państwami na Wschodzie. Jej głównym sojusznikiem był Gerard z Ridefortu, rad, że może zaszkodzić Rajmundowi. W owym czasie mieliśmy zawarty rozejm z sułtanem muzułmanów, Saladynem. Ale gdy któryś z popieczników królowej złamał rozejm, napadając na arabską karawanę kupiecką, pokój w Ziemi Świętej stanął pod znakiem zapytania.

Ewerard rozkaszał się strasznie i splunął w dłoń. Wyciągnął rękę z pucharem. Will bez słowa dołał mu wina. Zwilżywszy gardło, ksiądz podjął:

– Hrabia Rajmund, który w przeciwieństwie do Rideforta był człowiekiem światłym i znał zwyczaje Arabów, natychmiast wysłał do Saladyna pokojowe poselstwo, chcąc naprawić szkodę. Saladyn, wciąż rozwścieczony atakiem na jego szlak handlowy, zgodził się przystąpić do negocjacji, pod tym wszakże warunkiem, że hrabia pozwoli przejść przez swe ziemie w Galilei synowi Sułtana wiodącemu batalion egipskich żołnierzy. Rajmund się zgodził i nakazał swoim ludziom, by pozostawili Saracenów w spokoju. Jednakże wieść o tej umowie dotarła do uszu przebywających

właśnie w tym regionie rycerzy zakonnych, naszych i świętego Jana z Akki. Poduszczeni przez Gerarda uderzyli z zasadzki na wojska egipskie, ot, żeby zrobić na przekór Rajmundowi. Ponoć syn Saladyna prowadził siedem tysięcy zbrojnych. Templariuszy i joannitów było w sumie stu pięćdziesięciu. Przeżyło tylko trzech, w tym Ridefort. Jeden z pozostałych rzekł później, iż wielki mistrz Szpitala Świętego Jana sprzeciwiał się uderzeniu, ale Ridefort wyzwał go od tchórzy i nie pozostawił mu wyboru, podrywając swoich ludzi do ataku na siły muzułmańskie. Mistrz szpitalników poległ. Jego śmierć była gwoździem do trumny, jaką stał się ten dzień dla naszych sprzymierzonych zakonów.

– Sprzymierzonych? – spytał Will, kiedy Ewerard przerwał, żeby napić się wina. –

Nie chcę się wydać cyniczny, ale Zakon Świętego Jana trudno uznać za naszego sojusznika.

– Zatem nie znasz ani historii, ani reguły zakonu. Pod czyj sztandar mamy się zbiegać, jeśli nasz padnie w bitwie? – Nie czekając na odpowiedź, Ewerard wyjaśnił: – Pod sztandar świętego Jana. Nie masz racji, giermku. Przez wiele lat byliśmy sojusznikami mimo różnic, a także bardziej jeszcze dzielących nas podobieństw. I bylibyśmy nimi nadal, gdyby nie... – Urwał i nasrożył się: – Chcesz się dowiedzieć? To mi nie przerywaj!

Will zmilczał.

– Po tamtym ataku kruchy pokój między nami a Saladynem legł w gruzach. Rajmund nie miał już szans na osiągnięcie porozumienia; musiał wycofać się z rozmów. Sultán wypowiedział nam wojnę. Król Gwido zawezwał pod broń wszystkie cztery prowincje i zebrawszy wojska wyruszył na spotkanie Saladyna, którego siły były zgrupowane nieopodal Tyberiady. Hrabia Rajmund, którego żona i dzieci zostały obleżone w tym mieście, radził, by poczekać, aż letni upał rozproszy siły wroga. Mówił szczerze, choć wiedział, że wystawia na ryzyko życie swych najbliższych. Gerard wyszydził go, oskarżył o zdradę i skłonił króla do natychmiastowego ataku. Gwido był człowiekiem słabej woli, a mając wobec Rideforta dług wdzięczności za poparcie w roszczeniach do tronu, łatwo dawał mu sobą manipulować.

Armia przez cały dzień szła przez bezwodne wzgórza, stanowiąc wyśmienity cel dla egipskich łuczników, którzy nękali ją bez ustanku. Dotarłszy przed wieczorem w pobliże Tyberiady, wykończone upałem i przeredzone już oddziały zaczęły się grupować na wyżynie pomiędzy Rogami Hittinu, wzgórzami nad jeziorem Genezaret, które zwą też Morzem Galilejskim. Dostęp do jeziora zagrażał im jednak Saladyn z czterdziestoma tysiącami zbrojnych. – Ewerard dopił wino. – Po nocy bez kropli wody nasi ludzie obudzili się w kłębach dymu z podpalonych przez Arabów traw na równinie. W zamieszaniu, przy braku widoczności, armia sultana ruszyła do ataku i nacierała bez przerwy tego dnia i jeszcze następnego. Nasi polegli, jedni z pragnienia, drudzy od miecza. Hrabia Rajmund i jego rycerze uciekli, reszta oddała życie lub trafiła do niewoli. Niezliczonych ludzi po obu stronach spotkała wówczas niepotrzebna śmierć.

– Niepotrzebna? – ośmielił się wtrącić Will. – Broniliśmy naszych ziem, naszych rodaków. Saraceni zabijają chrześcijan, gwałcą ich kobiety, a z dzieci czynią niewolników.

– A my nie? – odwarknął Ewerard. – Kto rozpoczął tę wojnę? Muzułmanie? Nie. To myśmy ją

wywołali. Wtargnęliśmy do ich kraju plądrując miasta, pozbawiając ludzi dachu nad głową i ziemi i mordując pospołu mężczyzn, kobiety i dzieci, aż ulice Jeruzalem spływały krwią. Urządziliśmy kościoły w miejscu ich świątyń, ponieważ uznaliśmy się za godniejszych, by czcić w nich Tego, którego uważamy za jedynego prawdziwego Boga.

– Podobnie jak muzułmanie – wtrącił Will – i żydzi. Wszyscy uważamy, że to nasz Bóg jest tym jedynym prawdziwym. Kto ma rację?

– Może wszyscy. – Ewerard westchnął. – Nie wiem. Ale wiem jedno: w czasie wojny wszyscy jesteśmy tacy sami. Mordujemy, rabujemy i niszczymy, zadając gwałt prawom Boskim. Obojętne, w czyim imieniu to robimy, wszyscy jesteśmy niszczycielami.

Pod Hittinem nie broniliśmy naszych ziem ani ludzi. Walczyliśmy w prywatnej wojnie Gerarda z Ridefortu przeciw hrabiemu Rajmundowi. Taki to cel zaprowadził nasze wojska na tę równinę. A nie powinny były się tam znaleźć! I nie znalazłyby się, gdyby nie pieniądze naszego wielkiego mistrza. Tak się złożyło, że on sam przeżył jako jeniec Saladyna, gdy ponad dwustu naszych braci zostało ściętych. Tego dnia zginęło tylu chrześcijan, że Saladyn już bez trudu zdobył Jerozolimę. Jedno co mnie cieszy – dodał gwałtownie – to że Gerard dożył chwili, gdy wyrwano Święte Miasto z jego chciwych szponów!

Will był zdumiony, że ksiądz mówi w ten sposób o zwierzchniku zakonu. Nigdy nie spotkał obecnego wielkiego mistrza, Tomasza Berarda, który stacjonował w Akce, ale wszyscy bez wyjątku wyrażali się o nim z najgłębszym szacunkiem, toteż Will ukuł sobie w wyobraźni postać wyniesioną ponad innych ludzi i otoczoną nimbem świętości. Krytykę człowieka, choćby zmarłego, który piastował to samo stanowisko, odczuł niemal jak bluźnierstwo.

– Jego rządy – podjął Ewerard – nie przyniosły nam nic prócz rzezi, ale jego śmierć, gdy wreszcie umarł, stała się zwiastunem czegoś niezwykłego. Na następcę Gerarda został

wybrany Robert z Sabie. Było to cztery lata po tamtej klęsce, mniej więcej w czasie, gdy przyszedłem na świat. Robert był przyjacielem króla Anglii Ryszarda zwanego Lwim Sercem i pod wieloma względami go przypominał; na przykład szczerym szacunkiem darzył

Saladyna, który po Hittinie zajął Święte Miasto, przelewając o wiele mniej krwi niż nasi przodkowie, gdy sto lat wcześniej weszli do Jerozolimy. Wojna przynosi korzyść tylko zwycięzcy, pokój zaś wszystkim. Robert z Sable to rozumiał. Rozumiał też wagę swojego urzędu. Świątynia już wtedy była najpotężniejszym spośród wszystkich zakonów na świecie.

W ciągu półtora wieku, odkąd Hugo z Payns przywdział biały płaszcz, wynosiliśmy i stracaliśmy królów, wypowiadaliśmy i wygrywaliśmy wojny, pomagaliśmy tworzyć królestwa i nie odpowiadając przed nikim prócz papieża zbudowaliśmy sobie imperium. Nam, żołnierzom Chrystusowym powołanym przez naszą Świętą Matkę Kościół, udało się skutecznie zawłaszczyć moc Bożą na ziemi. Jesteśmy mieczem niebios, a wielki mistrz to ręka, która go dzierży. To wielka odpowiedzialność.

Ewerard urwał zdyszany. Po chwili podjął:

– Gerard z Ridefortu użył tej potęgi dla własnych celów, wykorzystał ją, żeby zemścić się na rywalu, czym doprowadził do śmierci tysięcy ludzi i zburzył pokój za morzem.

Robert z Sabie chciał być pewien, że Hittin już się nie powtórzy; że żaden mistrz nie będzie mógł użyć potęgi Templum dla osobistego lub politycznego zysku. Chciał złożyć nas z powrotem w ręce Boga. Dlatego też by ocalić zakon od znieprawienia, powołał tajne bractwo.

Nazwał je Anima Templi, co jak wiesz, znaczy „Dusza Świątyni”. Sam wybrał jego członków spośród uczonych i wysokich rangą templariuszy, którzy mogli wykorzystać swą pozycję do przeprowadzenia życzeń Anima Templi bez wiedzy pozostałych braci. W skład grupy weszło dziewięciu rycerzy, dwóch księży i jeden brat służebny; dwunastu, jak dwunastu było uczniów Chrystusa. I jak zadaniem tamtych było szerzyć i umacniać naszą wiarę, tak obowiązkiem bractwa stała się ochrona i przewodnictwo nad zakonem. Było jeszcze trzynaste stanowisko: Strażnika. Ten zaufany człowiek spoza Templum miał pośredniczyć w sporach między członkami bractwa, doradzać mu i wspierać je finansowo lub zbrojnie. Robert z Sabie wybrał na to miejsce swojego przyjaciela, króla Ryszarda. Początkowo chodziło tylko o to, by przeciwdziałać wykorzystywaniu potęgi Templum do spełniania osobistych zachcianek jego mistrzów. Później dopiero miało ono posłużyć szerzeniu pokoju. Jak już mówiłem, Robert zdawał sobie sprawę, że wojna służy zwycięzcy, pokój zaś wszystkim. Chciał rozwijać handel między Wschodem i Zachodem, a wraz z nim wymianę wiedzy. Arabowie znacznie lepiej od nas rozwinęli takie nauki, jak medycyna, geometria i matematyka. Nawiazywano więc stosunki z wpływowymi przedstawicielami innych kultur i czerpano od nich wiedzę, by następnie dzielić się nią z braćmi. Zakon stał się dla Anima Templi zasłoną, a jego skarbcę, wojska i władza – narzędziami. Ilekroć rozejm się chwiał, szeptano właściwe słowa do właściwych uszu. Owszem, wciąż staczano bitwy, lecz o wiele liczniejszym zapobiegły połączone wysiłki członków bractwa. Wnieśli oni pewną dozę spokoju i stabilizacji do kraju rozdartego na skutek pieniactwa Gerarda z Ridefortu. Trzy lata później Robert z Sabie zmarł, lecz jego dziedzictwo trwało. Po nim żaden wielki mistrz nie wiedział o naszym istnieniu, aż trzydzieści cztery lata temu władzę objął Armand z Perigordu.

– Dlaczego bractwo działa w sekrecie? – Will nie mógł się powstrzymać od zadania tego pytania, choć równocześnie był ciekaw, co dalej. – Przecież czyni dobro, po co więc to ukrywa?

– Działając jawnie, bylibyśmy podatni na naciski innych członków zakonu, ludzi żądnych władzy jak Ridefort. Aby zachować niezależność i ochronić nasze dzieło przed nieprzyjaciółmi zarówno w łonie zakonu, jak i poza nim musieliśmy pozostać w ukryciu.

Kiedy nasze cele zaczęły sięgać dalej, tajemnica stała się już niezbędna. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wielu ludzi i w Templum, i w szerszym świecie nie zrozumiałoby, co staramy się osiągnąć. Dla nich nasz cel byłby świętokradztwem. Ujawniając zamiary, narazilibyśmy na ekskomunikę cały zakon. Bractwo zaś nie może istnieć bez zakonu, bez mocy, jaką daje nam Świątynia.

– Świętokradztwo? – przerwał mu Will. – O czym ty mówisz? Jakie plany?

– Cierpliwości. – Ewerard dopił wino. – Kiedy Armanda obrano wielkim mistrzem, był członkiem Anima Templi i pozostał nim po obiorze. W owym czasie bracia radowali się z jego wyniesienia. Wierzyli, że mając w swoim kręgu wielkiego mistrza, mogą dokonać jeszcze więcej. Armand był... –

Ewerard ściągnął brwi – ... był rzutkim przywódcą. Sam dałem się zarazić jego entuzjazmem. – Uśmiechnął się kwaśno. – A miałem wówczas dwakroć tyle lat co ty teraz i powinienem być być mądrzejszy. Odwiedziłem Ziemię Świętą po raz pierwszy i czułem się jak we śnie. Bo też, na Boga, to istny Eden. Akka, gdzie stacjonowałem, była miastem cudów, na każdym zakręcie ulicy czekała cię uczta dla oczu.

Błękit morza...

Wzruszony pokręcił głową. Milczał chwilę, nim podjął:

– Kiedy Bóg tworzył świat, zaczął od Palestyny. Toteż wymalował ją mocnymi słonecznymi barwami, nim zaś dotarł do Europy, na Jego pędzlu pozostały tylko szare rozwodnione resztki. Przyjechałem do Akki w poszukiwaniu rzadkiego traktatu o astrologii, będącego dziełem sławnego arabskiego uczonego. Studiując w paryskiej wszechnicy nabrałem chęci do kompilowania wiedzy i miałem to szczęście, że po przyjęciu do zakonu nadal mogłem się temu poświęcać. Umyśliłem sobie, że napiszę księgę, w której zawarta będzie szczegółowa wiedza na każdy temat znany ludziom wszystkich ziemskich królestw.

Znacznie szerszą i wszechstronniejszą niż próba podjęta przez Celsusa.

– Kogo?

– No właśnie. – Ewerard zacisnął usta. – O, ambicje młodości! Wkrótce pojąłem, że tak olbrzymie zadanie jest niewykonalne, ograniczyłem się więc do zbierania, kopiowania i tłumaczenia rękopisów do użytku Templum. W owym czasie po raz pierwszy posłyszałem o Duszy Świątyni. Mimo usiłowań, by zachować ją w tajemnicy, bracia nie byli w stanie całkiem ukryć swoich działań, toteż zaczęły się szerzyć pogłoski. Mówiono o grupie rycerzy związanej z zakonem templariuszy, która kontroluje pola bitew w Ziemi Świętej. O ludziach, którzy jednym słowem mogli zażegnać wojnę albo ją rozpocząć. Ta klika, mówiono, jest lojalna tylko wobec własnych członków i działa z upoważnienia jakiejś nieznanej najwyższej władzy. Dostojnicy Templum ostro temu zaprzeczali, twierdząc, że taka grupa nie istnieje, a rycerze Świątyni podlegli są tylko Bogu i swemu zakonowi. Wszczęto nawet śledztwo, ale nie znaleziono dowodów, a dzięki staraniom Armanda wkrótce je umorzono konstatując, że zarzuty są wytworem chorego umysłu.

Ewerard znów musiał chwilę odpocząć.

– Armand z Perigordu z wielkim uznaniem odniósł się do mojej pracy i po sześciu miesiącach, kiedy zmarł jeden z członków bractwa, wprowadził mnie do Anima Templi, której był przywódcą. Zlikwidował stanowisko Strażnika, wołając, by o naszych sprawach nie wiedział nikt spoza zakonu. W owym czasie w bractwie było jeszcze paru pierwszych towarzyszy Roberta z Sabie; między nimi ksiądz starszy niż ja dzisiaj. Pamiętali o Hittin i dobrze pamiętali Rideforta. Armand ich niepokoił. Zacierał granice pomiędzy zakonem a Duszą Świątyni, które do tej pory były odrębnymi ciałami. W moich jednak oczach był to człek wielkich ambicji i wielkiej energii, który mógł nas wprowadzić w nową oświeconą epokę. Podzielał moje zainteresowanie gromadzeniem wiedzy i wspomagał mnie w pracy, nie szczędząc mi swobód i przywilejów większych niż te, jakimi cieszyli się inni członkowie Anima Templi. Wówczas tego nie dostrzegłem, ale już wtedy przygotowywał mnie do zadania, jakie

zamierzał mi zlecić. Podobnie jak wielu ludzi wyrastających ponad przeciętność, fascynował go mit króla Artura. Wyobrażał sobie królestwo Świątyni, w którym zakon dźwignąłby samowładne rządy. Chciał zbudować w Palestynie Kamelot, w którym on byłby Arturem, zaś Anima Templi pełniłaby rolę Okrągłego Stołu, podtrzymując nasze idee przez wszystkie przyszłe wieki ludzkości. Do tamtej chwili kandydaci byli wybierani i oceniani przez członków bractwa, następnie zaś, po kilku bardzo ostrożnych rozmowach, po prostu zapraszani do współpracy. Armand wszakże chciał, by nowi członkowie poddawani byli ceremonialnej inicjacji. Kazał mi napisać coś w rodzaju kodeksu, który przedstawiałby nasze ideały i służył jako przewodnik duchowy przyszłym pokoleniom. Sama inicjacja miała się wzorować na wędrówce Percewala, zaś cele i intencje Duszy Świątyni ukryte byłyby pod postacią alegorycznego romansu w rodzaju tych o Graalu. Postulant w trakcie rytuału odkrywałby te cele polegając wyłącznie na wierze, jak Percewal w poszukiwaniu Graala. I podobnie jak Percewal poddawany byłby próbom związanym z ideałami bractwa. – Ksiądz westchnął, widząc skołowaną minę Willa. – Na przykład podawano mu kielich mszalny i mówiono, że jest on wypełniony krwią jego braci, ludzi równych mu w oczach Boga. A następnie kazano mu go wypić.

– Pili krew?

Ewerard cmoknął z niesmakiem.

– Wino. Ale podnosząc kielich do ust nie wiedzieli o tym. Księga Graala była alegorią, nie traktowaliśmy jej dosłownie. Postulant miał w ten sposób wykazać bezgraniczną ufność, że to, co każemy mu zrobić, jest słuszne. – Ewerard potrząsnął głową. – Nie zgadzałem się z Armandem. Moim zdaniem były to w najlepszym razie kabalistyczne brednie, a w najgorszym zagrożenie dla tajności bractwa. Ale nie potrafiłem mu odmówić. I tak stworzyłem Księgę Graala. – Uśmiechnął się lekko. – Było to moje najpiękniejsze dzieło.

Gładziłem cielęcą skórę pumeksem, aż stała się niemal przezroczysta; każdą kartę dociąłem pieczołowicie do tej samej szerokości i długości. Tekst wypisałem czerwonym inkaustem, nagłówki były złote. Margines każdej stronicy ozdobiły misterne ilustracje. Zajęło mi to cztery lata.

Milczał przez chwilę.

– W tym czasie Armand zaczął się zmieniać. Zmiana następowała stopniowo i z początku niewielu z nas ją zauważyło. Po pewnym czasie jednak nie mogliśmy już dłużej zamykać oczu na to, co się działo. Ambicja Armanda, by urzeczywistnić nasze najwyższe ideały, przerodziła się w bezwzględną żądzę władzy – nad bractwem, nad zakonem, wreszcie nad całą Palestyną. Zaczęło mu zależeć bardziej na zwycięstwie niż na pokoju, bardziej na dominacji niż przyjaźni. Momentem szczytowym tej ewolucji był brutalny atak na naszych dawnych sprzymierzeńców, rycerzy Świętego Jana. Zarząd Akki, ciało złożone z nobilów, przedstawicieli stanu kupieckiego i mistrzów zakonów rycerskich, którzy wspólnie sprawowali władzę nad miastem, przeciwstawił się roszczeniom cesarza niemieckiego Fryderyka do najwyższej władzy w Ziemi Świętej. W istocie szpitalnicy pod wodzą Wilhelma z Chateaufort popierali żądania Fryderyka, Templum zaś z Armandem było mu przeciwne.

Zwaśnieni nie przebierali w słowach, potem czynach, aż w końcu Armand wybrał

rozwiązanie siłowe, oblegając dom zakonny szpitalników w Akce. Oblężenie trwało sześć miesięcy,

w czasie których odcięliśmy im dostawy żywności i leków i nikogo nie wypuściliśmy na zewnątrz. – Ewerard ściągnął brwi i odwrócił wzrok. – Pamiętam, jak nasi rycerze wyśmiewali obłączonych, którzy podchodzili do bramy i ze łzami w oczach błagali o jedzenie, rzucali w nich zgniłymi owocami. Tamci marli z głodu i chorób, lecz my byliśmy bezlitośni. Nigdy nam tego nie wybaczyli. – Spojrzał na Willa. – W Anima Templi głosy się podzieliły, część zarzucała Armandowi zbędne okrucieństwo, inni go poparli. Wykluczył z bractwa dwóch, którzy protestowali najgłośniejszy, i wtedy reszta nabrała wody w usta.

Wybraliśmy bierne czekanie. Nie było Strażnika, który mógłby się podjąć mediacji, toteż nawet po zakończeniu oblężenia rozłam między zakonami coraz bardziej się pogłębiał. Aż w roku tysiąc dwieście czterdziestym czwartym doszło do bitwy, która omal nas nie zniszczyła.

– Ewerard potrząsnął głową. – Nasze bractwo mogło jej zapobiec. Ale Armand zawarł

wcześniej sojusz z księciem Damaszku, który był wrogiem sułtana Egiptu, w zamian za oddanie nam kilku twierdz, i zakazał nam negocjacji z Ajjubem. Gdybym był wówczas w Akce, kto wie, może złamałbym zakaz. Ale przebywałem akurat w Jerozolimie, odebranej muzułmanom kilka lat wcześniej. Wtedy właśnie chorezmijscy najemnicy pod dowództwem sułtana Ajjuba przypuścili szturm na miasto. Wolałbym być nie widzieć jego upadku. –

Spojrzenie Ewerarda uciekło ku kikutom palców. – Ocalałem dzięki szczęściu, a nie sztuce rycerskiej. Owej nocy poznałem Hasana. Opuścił on szeregi chorezmijskiej armii i zgodził się przeprowadzić mnie do Akki...

Przez twarz Ewerarda przemknął smutek. Milczał przez chwilę. Kiedy podjął, głos miał ochryply.

– W Akce jednak nie zastałem już Armanda. Ruszył z wojskiem pod Herbiję. Pola wokół tej wioski widziały największą chrześcijańską armię od czasów Hittinu i tak samo miażdżącą klęskę. Straciliśmy ponad pięć tysięcy ludzi. Armand nie wrócił z pola bitwy; został wzięty do niewoli przez Bajbarsa, będącego naówczas dowódcą mameluków. Po Herbiji próbowaliśmy odtworzyć Anima Templi, ale rozłam wywołany przez Armanda sięgał zbyt głęboko i w końcu musieliśmy się rozwiązać. W każdym razie niektórzy tak sądzili. Ja jednak nie miałem ochoty pozwolić, by dzieło Roberta z Sabie zostało zmarnowane. Wiedziałem, że spośród dwunastu braci pięciu mogłem ufać bez zastrzeżeń, nadal bowiem byli wierni sprawie. Jednego z nich znałem. Był to Jakub z Lyonu.

– Jakub? – Will był zaskoczony. – Stryj Garena?

– Tych pięciu zgodziło się prowadzić dalej nasze dzieło. Wybrano mnie na przewodniczącego i udałem się z Hasanem do Europy, aby tymczasem skupić się na zbieraniu ksiąg i dalszym gromadzeniu wiedzy. Kilka lat później wrócił także Jakub. Reszta została w Akce. Hasan utrzymywał między nami łączność, przekazywał i przynosił wieści. Teraz jednak, zwłaszcza odkąd Jakub nie żyje i zostałem tu sam, jest nas zbyt mało, aby wpływać na bieg zdarzeń tak jak kiedyś. W minionych latach patrzyłem, jak mosty, które udało się nam zbudować, miażdżone są kołami wojennych machin Bajbarsa i egoizmem naszych własnych przywódców, którzy nie chcieli z nim negocjować. Dawno już wróciłbym do Akki, żeby podjąć próbę odbudowania tego, co utracono, zwerbować nowych braci i ustanowić nowego Strażnika, ale właśnie wtedy skradziono Księgę Graala. Nie wiem, po co

ją zatrzymałem.

Nigdy z niej nie korzystałem. Chyba jakaś przesądna częśćka mojej duszy wpoila mi obawę, że niszcząc księgę ściągnę zniszczenie na Anima Templi. Ukryłem ją w skarbcu sądząc, że będzie tam bezpieczna. Ale ktoś, nie wiem kto, nakłonił jednego z klerków do kradzieży i odtąd przepadła aż do chwili, gdy pojawił się z nią trubadur. – Ewerard potrząsnął głową.

Wyglądał na wyczerpanego. – Wczoraj wieczorem dowiedziałem się od wizytatora, że dominikanie uwięzili Piotra z Pont-Eveque. Jeśli miał coś wspólnego z kradzieżą księgi, Psy Pańskie to z niego wyduszą. Wciąż jesteśmy w niebezpieczeństwie.

– Jego brat ją znalazł.

– Czyj brat? – Ewerard podniósł głowę.

Will powtórzył mu, czego dowiedział się od Elwiny.

– Przez sześć lat obrastała kurzem w składzie win? – rzekł ksiądz z niedowierzaniem. – Trubadur nie miał nic wspólnego z kradzieżą?

Przez chwilę milczał, potrząsając głową.

– No dobrze, ale co z księgą? – rzekł w końcu. – Czy Hasan miał ją przy sobie w chwili śmierci? I gdzie jest teraz?

– Elwina dała ją Hasanowi. Jeśli to jego zabito zeszłej nocy...

– Jego – przerwał mu Ewerard. – W przeciwnym wypadku byłby już wrócił.

– Straże zabrały jego ciało na cmentarz w leprozorium za bramą Świętego Dionizego. Jeśli miał przy sobie księgę, pewnie go z nią pochowali albo wkrótce pochowają –

Will wzruszył ramionami – o ile wcześniej nie znaleźli jej strażnicy.

Ewerard milczał tym razem znacznie dłużej, po czym oznajmił nagle:

– To znaczy, że musimy się pośpieszyć.

Will czuł się tak, jak gdyby od początku tej rozmowy wstrzymywał oddech. Zdając sobie sprawę, że nie zdoła przetrwać na raz wszystkiego, co usłyszał, odsunął z myśli wszystkie cisnące mu się pytania oprócz jednego:

– Skoro księga jest alegorią mającą znaczenie tylko dla Anima Templi, to na co ona komu innemu? Po co ten ktoś dopuszczałby się kradzieży?

– Już ci mówiłem, zawiera cele i ideały Duszy Świętyni. W połączeniu z zeznaniem kogoś, kto był członkiem bractwa, mogłaby stanowić dowód naszego istnienia i tego, do czego zmierzamy.

– A do czego zmierzacie?

Ewerard odrzucił koc i odtrącając wyciągniętą rękę Willa, dźwignął się z łóżka.

Podreptał do nocnika, pogmerał przy kalesonach i wypuścił do kubła strugę ciemnożółtego moczu.

– Powiedziałem ci tyle, ile mogłem. Pomożesz mi?

– Jak możesz żądać ode mnie pomocy, gdy najpierw wykorzystałeś Elwinę nie dbając zupełnie o jej bezpieczeństwo! Powiedziałeś mi wszystko i nic! Napomknąłeś o świętokradztwie, o grożącej wam klątwie. Dlaczego miałbym ci pomagać obrażać Boga?

Ewerard zawiązał kalesony.

– Bo robił to twój ojciec.

– Co?! – Will wytrzeszczył na niego oczy.

– To prawda, że nigdy nie używałem księgi Graala, ale przyjąłem do bractwa jednego nowego członka.

Will pokręcił głową, lecz nim zdążył się odezwać, Ewerard podjął:

– Campbell pojechał do Ziemi Świętej dla mnie, dla Anima Templi. I dlatego wziąłem cię do siebie. Przez ostatnie sześć lat pomagałeś mi przekładać księgi dla bractwa.

– Nie wierzę ci – wyszeptał Will, czując, jak jego świat wywraca się do góry nogami, pociągając go za sobą w wirującą otchłań. Chciał powiedzieć, że ojciec by tego przed nim nie ukrywał. Ale potem przypomniał sobie jego bliską przyjaźń z Jakubem z Lyonu, podróże do Francji i nagły wyjazd do Palestyny. Zmilczał.

– Posłałem go tam z misją – ciągnął Ewerard, obserwując burzę uczuć na twarzy Willa. – Pojechał, żeby pomóc zakończyć tę wojnę. Dokonał istotnego przełomu: udało mu się dotrzeć do ważnej osobistości z otoczenia Bajbarsa. Taki kontakt może zapobiec dalszemu rozszerzaniu się konfliktu, który zagraża już całemu wschodowi. Musimy zawrzeć pokój z Egiptem, inaczej będzie po nas.

– Mój Boże. – Will bezwładnie oparł się o ścianę. Przypomniał sobie list znaleziony ongiś w londyńskiej świetlicy, a w nim słowa: „nasze bractwo”, „nasz krąg”. – Więc to był on?...

– Jeśli nie odzyskamy księgi, jeśli dopuścimy, by wpadła w obce ręce, to, co Campbell osiągnął tak wielkim wysiłkiem, może pójść na marne. Bez Duszy Świątyni wojna będzie trwała nadal. I niczego więcej nie musisz na razie wiedzieć. Resztę powiem ci w swoim czasie, ale nim ten czas nastąpi, proszę: zaufaj mi. Nie możemy znów wypuścić z rąk Księgi Graala.

Will poderwał nagle głowę.

– Pisałeś mi, że nie zostałem pasowany? Czy on o tym wie?

– Nie widziałem potrzeby, żeby mi o tym pisać. W ogóle ograniczaliśmy kontakty do minimum z obawy, że ktoś nas odkryje.

Will pochylił się, oparł łokcie na kolanach i dłońmi ścisnął głowę. Czuł się tak, jakby odwracając się od lustra zastał za plecami całkiem inną rzeczywistość niż ta odbita. To, co miał za prawdę, było tylko pozorem. Ale w zamęcie i złości błysnęła mu iskierka nadziei.

Jeśli ojciec istotnie wyjechał z misją poruczoną przez Duszę Świątyni, to znaczy, że nie wyjechał przez niego. A to z kolei znaczy, że Will ma szansę, realną szansę się z nim pogodzić, znów stać mu się bliski. Iskierka zamigotała jaśniej, przerodziła się w płomyk.

Podniósł głowę i spojrzał Ewerardowi w oczy.

– Pomogę ci – rzekł. – Ale ty w zamian sprawisz, że zostanę pasowany. Zaraz potem pojedę za morze, do ojca.

– Pojedziemy razem – odparł Ewerard. – Masz na to moje słowo.

Garen czekał dość długo, schowany w kącie dziedzińca, nim nareszcie zobaczył, że Will i Ewerard wychodzą z budynku. Ruszyli do stajen; stary ksiądz opierał się na ramieniu Willa. Kiedy zniknęli w środku, podkraść się do drewnianego baraku i zajrzał przez szparę. Z

wewnątrz dolatywał głos Willa i inny, w którym rozpoznał głos Szymona. Przeszli w głąb, gdzie trzymano lżejsze konie wierzchowe. Byli obrócenii plecami do wejścia, wśliznął się więc do środka. Posłyszał zbliżające się kroki na zewnątrz; ukrył się w pustym boksie i przywarł do ściany. Ktoś – nie widział kto – wszedł do stajni. Chwilę potem skrzypnęły drzwi innego boksu.

Minęło parę minut. Posłyszał powolne człapanie kopyt; głosy przeniosły się z powrotem na zewnątrz. Zaryzykował i wyjrzał. Szymon wyprowadził na dziedziniec dwa osiodłane konie. To musiało mieć coś wspólnego z księgą. Może Elwina dała ją Willowi i Will teraz jechał z Ewerardem ją ukryć. Kapelan wyglądał na ciężko chorego, nie opuszczałby preceptorium, gdyby sprawa nie była ważna. Oto zaświtała mu najlepsza sposobność zdobycia księgi. Will tym razem był bez broni, a starzec w ogóle się nie liczył.

Wyszedł z boksu. Will siedział już w siodle, a Szymon splótnął dłońmi podsadzał

właśnie księdza na drugiego wierzchowca. Garen podniósł leżące na ławie siodło i otworzył

drzwi sąsiedniej przegrody. Stał w niej wysoki kary bojowy ogier. Garen zacmokał

uspokajająco, nałożył mu siodło na grzbiet i schylił się, żeby zapiąć popręg. Posłyszał za sobą szelest rozwłóczonej słomy, a potem czyjś cichy oddech. Już miał się odwrócić, kiedy coś ciężkiego uderzyło go w tył głowy. Pociemniało mu w oczach i zwałił się na ziemię.

Wyjechali z preceptorium na północny zachód. Wiatr boleśnie smagał im twarze.

Nagie pola pokryte były warstewką szronu, w którym światło słoneczne rozpadało się na tysiące kłujących w oczy igiełek. Odarte z listowia drzewa wyciągały anemiczne gałęzie ku jasnemu niebu. Kopyta koni uderzały twardo i głośno w zmrożoną ścieżkę. Jechali w milczeniu. Will pogrążony był w dumaniach o ojcu i ujawnionych mu przez Ewerarda tajemnicach. Ksiądz – we własnych niewesołych myślach.

Około pół mili dalej doścignął ich rozlegający się głucho w pustce dźwięk dzwonów.

Była pora tercji. Ewerard zwolnił, potem zatrzymał wierzchowca i niezgrabnie zsunął się z siodła.

Will przyhamował obok.

– Dlaczego stanęliśmy?

– Żeby się pomodlić – odparł ksiądz takim tonem, jakby usłyszał wyjątkowo głupie pytanie.

Will potrząsnął głową wspominając, jak bardzo Ewerard naglił go do pośpiechu.

Zeskoczył z siodła i zaczepił wodze o gałąź głogu. Uwiązał również konia Ewerarda, którego ten po prostu puścił wolno. Starzec klęczał na ziemi ze złożonymi rękami. Nawet z dala od klasztoru, gdy nie mogli wysłuchać liturgii godzin, templariusze mieli obowiązek się pomodlić. Wystarczało odmówić siedem razy „Ojcze nasz”.

Klękając obok kapelana, Will dostrzegł w oddali jeźdźca na dużym karym ogierze.

Mężczyzna zwolnił, potem się zatrzymał, zsiadł z konia i zniknął mu z oczu. Will mamrotał

bezmyślnie modlitwę w splecione dłonie. Nie rozumiał z niej ani słowa; zamieniła się w szereg oderwanych dźwięków pozbawionych treści dla jego skołatanego umysłu.

– No – mruknął Ewerard dźwigając się z klęczek i otrzepując suknię. Wydawał się nieco pogodniejszy, jak gdyby modlitwa podniosła go na duchu. – Nic nie mówisz, giermku –

zauważył, kiedy Will pomagał mu dosiąść konia.

Will bez słowa wspiął się na siodło. Poczul się obrażony. A czego stary się po nim spodziewał? Dopiero gdy ujechali spory kawałek, odezwał się nagle:

– Okłamywałeś mnie. Znałeś powód, dla którego mój ojciec wyjechał, i przez tyle lat mi go nie wyjawieś. A ja myślałem... – urwał. Ewerard najprawdopodobniej nie wiedział o Maryjce. Oczywiście Will nie mógł być tego pewien, niczego już nie był pewien. Nie chciał

jednak niepotrzebnie zdradzać mu swojej historii. – Wiedziałeś, jak bardzo za nim tęsknię –

dokończył.

– Gdybym ci powiedział jedno – odparł ksiądz szorstko – musiałbym ci powiedzieć i resztę. Nie byłeś jeszcze na to gotowy.

– A teraz jestem? Gdyby Hasan nie zginął, a Elwina nie przyznałaby mi się do wszystkiego, nigdy bym się nie dowiedział, prawda? Powiedziałeś mi tylko dlatego, że jestem ci potrzebny. Może to ty nie byłeś gotowy?

Ewerard zerknął na niego, ale zmilczał.

– A moje pasowanie... ? – Will mówił spokojnie, lecz stopniowo gniew zwyciężał

zmieszanie; miał ochotę przestać nad sobą panować, wyżyć się na księdzu w odwecie za długie lata upokorzeń, krytyk i nieszczerości. Spora część jego gniewu skierowana była jednak przeciw ojcu, który wyjechał bez słowa pozwalając mu wierzyć, że czyni tak z winy Willa. Nie potrafił jeszcze zmierzyć się z tym uczuciem, więc zdusił je w sobie i podjął: –

Kiedy byś mnie pasował, gdyby Elwina nie zawarła z tobą paktu? Bo przecież jeśli w ogóle zamierzasz dotrzymać słowa, zrobisz to dlatego, że zostałeś zmuszony, a nie dlatego, że ja nagle z dnia na dzień stałem się tego godny.

– Nie cofnę słowa. – Ewerard wytrzymał kamienne spojrzenie Willa. – Widziałem, jak wielu młodych ludzi szło na wojnę niemal nazajutrz po pasowaniu. Niewielu z nich wróciło. Niech ci nie będzie tak pilno do tej podróży. Najczęściej wiedzie ona prosto na tamten świat. Dlatego trzymałem cię przy sobie, dlatego odkładałem twoje pasowanie.

Wiedziałem, że gdy tylko nałożysz biały płaszcz, wyjedziesz do Ziemi Świętej.

– Jasne – mruknął Will. – Bo tak bardzo o mnie dbasz.

– Nie, Wilhelmie. Szkoda mi było stracić tak znakomitego skrybę.

Will przystanął i przyjrzał mu się spod zmrużonych powiek, ale ksiądz miał

najzupełniej poważną minę.

– Musisz mnie zrozumieć – podjął ciszej. – Strzegłem tajemnicy przez wiele lat, trudno mi ją nagle wyjawic. Trudno komukolwiek zaufać. Zaufałem Armandowi i omal nie straciliśmy wszystkiego.

– Czy to znaczy, że mnie ufasz?

– Pospieszmy się lepiej. – Ewerard popędził konia.

Jadąc na przełaj przez pola dotarli do gościńca wiodącego od bramy Świętego Dionizego.

Leprozorium było kawałek za nim, częściowo ukryte w kępie starych dębów.

Omal nie przeoczyli biegnącej między nimi dróżki, na której słońce rysowało desenie z cieni nagich gałęzi drzew. Za niskim murem stały trzy duże kamienne budynki otoczone ogrodem i odsunięta nieco dalej kaplica. Przypominało to raczej klasztor, znacznie mniejszy i uboższy od Templum, lecz zadbany i przytulny. Will był zaskoczony. Trędowaci zebrzący pod bramami miasta, omotani szmatami i odziani w wyróżniające ich rękawice, o skołtunionych włosach i ohydnie zniekształconych twarzach, przedstawiali upiorny widok. Nigdy nie przypuszczał, że mogą mieszkać w takim schludnym spokojnym miejscu.

Zsiedli z koni przed furtą. Z budynku wyszedł mężczyzna i skierował się ku nim.

Ręce miał ukryte w rękawicach, ale twarz jeszcze nieskażoną chorobą.

– W czym mogę wam usłużyć? – spytał nieco podejrzliwie. Jego wzrok spoczął na czerwonych krzyżach, które mieli wyszyte na odzieniu. – Jestem tu furtianem.

Ewerard wręczył Willowi wodze swego wierzchowca.

– Szukam mego przyjaciela. Zmarł zeszłej nocy i jak słyszę, przywieziono go tutaj.

Chciałem się nad nim pomodlić.

Wzrok furtiana spoczął na Willu.

– To mój giermek – rzekł lekceważąco Ewerard. Will ugryzł się w język i poszedł uwiązać konie.

– Istotnie pochowaliśmy tu nieboszczyka zeszłej nocy – przyznał trędowaty. –

Aczkolwiek zabił go sztylet, nie trąd. Strażnicy, którzy go przywieźli, mówili, że był dotknięty, lecz nie zauważyłem u niego znamion choroby.

– Była we wczesnym stadium – mruknął Ewerard.

– Pójdźcie zatem. – Furtian zawahał się. – Muszę was jednak ostrzec, że wchodzicie do naszej dziedziny. Jeśli ścieżka jest za wąska dla dwóch, to wy musicie ustąpić, żeby przepuścić naszego towarzysza nie dotykając go. Nie rządymy się tu takimi samymi prawami, jakie panują poza tym murem.

– Oczywiście – potwierdził Ewerard niespieszony.

Will z trudem opanował chęć, by zakryć dłonią usta, kiedy weszli za bramę. Trąd, mówiono, bierze się z zatwardziałości w grzechu, zwłaszcza rozwiązłości, ale przestrzegano też, że można się nim zarazić przez fizyczny kontakt z trędowatym, spożycie wraz z nim strawy lub wody, nawet oddychanie

tym samym powietrzem. Z tego powodu chorym nie wolno było dotykać innych, pojawiać się w miejscach, gdzie zbierali się ludzie, na przykład w kościołach, musieli też zakrywać usta. Ponieważ furtian tego nie uczynił, Will oddychał

płytko, starając się trzymać po jego nawietrznej.

Przeszli przez dziedziniec między budynkami. W sadzie widać było kilku ludzi, okrywali na zimę rząd młodych jabłonek. Wszyscy mieli na sobie rękawice, niektórzy także płócienne opatrunki. Za ich plecami ciągnęły się opróżnione już grządki warzywnika. Część chorych była ledwie tknięta trądem; świadczyła o nim tylko jakaś drobna rana lub ledwie widoczne zniekształcenie uszu. Inni byli w bardziej zaawansowanych stadiach, wiele lat po zakażeniu. Na tych ciężko było patrzeć. Bandaże zakrywały większość otwartych ran, ale nie mogły ukryć trwałych okaleczeń.

Brakowało im nosów, których chrząstka wygniła, pozbawione zębów usta były obwisłe i bezkształtne, ręce zakrzywione jak szpony. Niektórym najwyraźniej brakowało palców u rąk, innym – sądząc po charakterystycznym utykaniu – również u nóg. Kwaśny zapach zimowych jabłek nie był w stanie zagłuszyć mdlącego odoru gnijącego ciała.

Gdy stwierdzono u kogoś trąd, chory wysłuchiwał mszy żałobnej stojąc w otwartym grobie. Will widział teraz na twarzach tych mężczyzn obraz śmierci za życia. W leprozorium nie było kobiet; nie przyjmowano ich do przytułków, zwykle były zmuszone żebrac na gościńcach.

– Akurat mieliśmy wykopany grób – powiedział furtian prowadząc ich w stronę kaplicy. – Nasz brat Bertrand niedługo nas opuści, ale zeszlą noc jeszcze przetrwał, więc oddaliśmy jego miejsce twemu druhowi. Był z Genui?

Ewerard popatrzył na niego apatycznie.

– Kto?

– Twój przyjaciel – powtórzył cierpliwie furtian, kierując się do bramki w niskim łupkowym murze okalającym kaplicę wraz z cmentarzem – Strażnicy mówili, że pochodził z Genui.

Ewerard milczał tak długo, że Will obawiał się, iż nie odpowie.

– Tak – rzekł w końcu. – Z Genui.

Pod ostrokrzewem, w odległym kącie cmentarza skrytym w chłodnym cieniu za kaplicą, zobaczyli świeży grób.

– Tu leży – rzeki furtian, kiedy się zbliżyli. – Nie było wielkiej ceremonii.

Zmówiłem tylko szybką modlitwę. – Widząc wyraz twarzy Ewerarda, dodał: – Chowaliśmy go we dwóch z grabarzem. Było ciemno i mokro.

– Sam się nad nim pomodłę – mruknął Ewerard klękając przy grobie. Obejrzał się na furtiana. – Czy mógłbym zostać tu na chwilę sam?

– Na tak długo, jak tylko zechcesz. Trafisz później do wyjścia?

Ewerard skinął głową. Zaczekał, aż furtian zniknie za kaplicą, a potem wyrwał z mogiły niewielki drewniany krzyż i odrzucił go na bok. Wstał.

– Widzę tam łopatę, giernku.

Will z trudem oderwał wzrok od ciśniętego w kępę pokrzyw krzyża i poszedł po ubłoconą łopatę opartą o omszały pochylony nagrobek. Ewerard cofnął się, stając na straży, Will zaś zaczął wybierać mokrą ciężką ziemię. Mimo chłodu spocił się mocno i łupało go w plecach coraz bardziej, w miarę jak rósł zwał ziemi obok grobu. W końcu łopata trafiła w coś miękkiego. Odłożył ją, przykucnął i rękami odgarnął zawinięte w lniany całun ciało. Z grobu wiało wilgocią i odrobinę pleśnią.

Ewerard zawahał się. Potem podszedł i ukląkł, powoli sięgnął w dół i ostrożnie, czule odstłonił głowę zmarłego. Will odwrócił wzrok. Twarz była prawie czarna od sińców i skrzepłej krwi, stężała w grymasie bólu, od którego dopiero śmierć go uwolniła. Ewerard patrzył na nią przez chwilę. Pochylił się, kładąc dłoń na czole Hasana, i zaczął szeptać:

– *Aszhadu an la ilaha Ula Allah, wa aszhadu anne Muhamaden rasululla.*

Nie ma Boga prócz Niego; Mahomet jest Jego prorokiem.

Była to Szaheda – wyznanie wiary, które należało wypowiedzieć do ucha muzułmanina w chwili śmierci, podobnie jak chrześcijanom udziela się ostatniego namaszczenia. Potwierdziła ona podejrzenia Willa, że Ewerard okłamał go mówiąc, że Hasan był ochrzczony. Ale patrząc na tę zmasakrowaną zakrwawioną twarz nie czuł zgorszenia ani złości, tylko wstyd, że jego współwyznawcy uczynili to człowiekowi, który kiedyś uratował

mu życie.

– Jak myślisz, kto to zrobił?

– Ktoś pozbawiony duszy – odrzekł Ewerard, wciąż trzymając rękę na czole Hasana.

– Ktoś zzerany przez nienawiść i strach, kto widzi tylko wrogów wokół siebie, a nie dostrzega Nieprzyjaciela we własnym wnętrzu.

– Jakież to bezsensowne – szepnął Will.

Ewerard spojrział na niego. Jego wyblakłe zaczerwienione oczy były mokre.

– Hasan zginął za coś, w co wierzył. Ilu ludzi mogłoby to o sobie powiedzieć?

Will nie chciał się z nim spierać. Starzec błagał go wzrokiem o potwierdzenie, pociechę.

– Niewielu – rzekł z powagą.

W końcu Ewerard otarł oczy.

– Pomóż mi – rzekł, ciągnąc brzeg całunu.

Will przyklęknął z drugiej strony. Całun zahaczył o rękojeść wetkniętego do pochwy sztyletu. Ewerard rozchylił szary płaszcz Hasana i obmacał go z zaniepokojoną miną. Dopiero gdy Will z wysiłkiem odchylił bezwładne ciało, po twarzy przemknął mu wyraz triumfu.

– Jest. – Sięgnął za plecy zmarłego i wyjął księgę. Obciągniętą welinem mokrą okładkę znaczyły smugi błota.

Ewerard zamknął oczy, przycisnął znalezisko do piersi i wyszeptał coś cicho; chyba modlitwę dziękczynną, sądząc po niezmiernie ułdze malującej mu się na obliczu.

– Nareszcie – powiedział otwierając oczy. – Teraz mogę wrócić do Akki, dokończyć dzieło. A potem – czułym, tkliwym, smutnym spojrzeniem obrzucił Hasana – pójść tam gdzie on.

– Daj mi tę księgę, Ewerardzie – rozległ się za nimi lodowaty głos. – Bo spotkasz się ze swoim przyjacielem prędzej, niż myślisz.

Zerwali się zaskoczeni. Stał za nimi Mikołaj z Nawarry w czarnym płaszczu narzuconym na białą szatę templariusza. Długie włosy ściągnięte miał z tyłu, w dłoni trzymał

naciągniętą kuszę. Grot bełtu wycelowany był w Ewerarda.

– Brat Mikołaj? – wychrypiał Ewerard kurczowo ściskając księgę. Spojrzał za plecy rycerza, spodziewając się zobaczyć tam dominikanów, ale cmentarz był pusty.

– Przewidziałem, że wyślesz swego psa po księgę. Nie przewidziałem natomiast, przyznaję, że namówisz do kradzieży dziewczkę. Zaiste musiałeś być zdesperowany. – Mikołaj spojrział na ciało Hasana. – Tak właśnie myślałem, że to jego zwłoki znaleziono w mieście.

Szkoda. Chciałem go wykorzystać jako kolejny dowód waszego zepsucia. Nie był

chrześcijaninem, prawda, Ewerardzie?

– Co to ma znaczyć, bracie? – Kapelan przybrał urażoną pozę, ale w jego głosie słychać było strach.

– Nie jestem twoim bratem. Podaj mi księgę. – Mikołaj uniósł nieco kuszę, mierząc w gardło. – Nie będę prosił drugi raz.

Oczy starca spoczęły na grocie.

– Mój Boże – szepnął. – To byłeś ty, prawda? Ty zmusiłeś Rulfiego, żeby ukradł

księgę i zabiłeś go w zaułku? Dlatego jesteś tu sam. Nie przyszedłeś z nakazu wizytatora ani inkwizycji. Działasz we własnym imieniu.

Will zerknął na sztylet Hasana. Mikołaj nie spuszczał oczu z Ewerarda. Przesunął się o krok w stronę grobu.

– Pozostawiłbym klerka przy życiu, gdyby twój Saracen się nie wtrącił. Nie mogłem pozwolić, żeby na mnie wskazał.

– Jak dowiedziałeś się o księdze?

– Rozmawiałem z kimś, kto opuścił wasz krąg w czasie rządów Armanda. Wiem o was wszystko, Ewerardzie, o waszych sekretach, o waszych dziełach...

– I przez cały czas żyłeś wśród nas jak przyczajony wąż – Ewerard mówił cicho, nie spuszczając oczu z czubka bełtu.

– Czekałem na tę chwilę ponad siedem lat. Siedem lat, odkąd opuściłem dom, żeby przybyć do tego kraju, zmuszony stroić się w fałszywą szatę i udawać, że jestem jednym z was, waszym bratem. – W oczach Mikołaja zamigotała nienawiść. – Długo czekaliśmy na sprawiedliwość, ale teraz wreszcie zostanie wam wymierzona. Zbyt długo zasłanialiście się papieżem. Kiedy ojciec święty przekona się, co się kryje za waszymi rytuałami, jakie bezceństwa mieści wasz tajny kodeks, nie będzie miał wyjścia. Będzie musiał was skazać.

Wszystkich, aż do ostatniego serwiensa. – Twarz Mikołaja zarumieniła się z podniecenia. –

Jesteś człowiekiem czytany, Ewerardzie. Z pewnością znasz historię Dawida i Goliata?

Ksiądz nie odpowiedział.

– Podobnie jak Dawid jednym małym kamieniem zabił olbrzyma, tak ja obalę potężne Tempłum za pomocą tej książki.

Will zrobił kolejny krok w stronę grobu.

– Dlaczego to robisz? – spytał cicho Ewerard. – Kim jesteś?

– Jestem jednym z tych, których templariusze zdradzili w Akce. Jednym z tych, których ty i inni pod wodzą tego łotra Armanda otoczyliście w warowni, skazując na śmierć z głodu i chorób. Jestem rycerzem Zakonu Świętego Jana. I człowiekiem, który was zniszczy.

Will patrzył na rycerza, wspominając, jak kilka miesięcy temu gładko wybawił go z opresji, zażegnawszy jego spór z pijanymi joannitami.

– Usiłowaliśmy przekonać Armanda, by położył kres temu szaleństwu – mówił

Ewerard. – Staraliśmy się, uwierz mi. To co zrobił, było niewybaczalne, ale nie my byliśmy za to odpowiedzialni!

– Staraliście się? Podczas gdy wyście się starali, ja patrzyłem, jak po kolei konają moi bracia.

Błagaliśmy was o żywność i leki. Odmówiliście. Nie pozwoliliście nam nawet wynieść umarłych na cmentarz! Dusiliśmy się smrodem rozkładających się ciał naszych druhów. Niewybaczalne? Brak mi słowa dość mocnego, by to określić!

– Czy posłanie nas na śmierć wyrówna szale?

– Na początek. – Mikołaj wyciągnął rękę po księgę.

– Nawet nie wiesz, czym ona jest! – Ewerard kurczowo przycisnął wolumin do piersi. – Gdybyś wiedział, nie pragnąłbyś upadku bractwa. Armand dawno już nie żyje, sprawiedliwość dosięgła go w kairskim lochu.

– Ty i twoje bractwo, a także przywódcy Templum, staliście w jego obronie. I za ten grzech wszyscy musicie zapłacić. Skoro prawa królów ani biskupów nie mogą was dosięgnąć, my je zastąpimy.

– Niszcząc Templum zniszczycie także siebie! To będzie koniec nas wszystkich!

C całej Ziemi Świętej!

Will schylił się po sztylet i wyrwał go z pochwy przy pasie zmarłego. Rękojeść skierowana była w przeciwną stronę; brakło mu ułamka sekundy. Grot beltu mierzył teraz w niego.

Patrzyli na siebie. W oczach Mikołaja nie było już przyjaznej wesołości, jaką widział w nich owego dnia pod szynkiem. Miał wrażenie, że patrzy na innego człowieka.

– Ostrzegałem cię już, Wilhelmie Campbellu, żebyś tak pochopnie nie wyciągał broni.

Kiedy Will się nie poruszył, Mikołaj rzekł zimno do Ewerarda:

– Powiedz swemu słudze, żeby rzucił nóż, bo inaczej go zabiję.

Will poczuł dotyk ręki na ramieniu.

– Zrób, co mówi. – W głosie Ewerarda słychać było gorzkość porażki.

Upuścił sztylet. Ewerard rzucił Księgę Graala do nóg Mikołaja.

– Nie wiesz, co czynisz.

Mikołaj schylił się i podniósł sponiewieraną księgę.

– Nigdy nie myślałem jaśniej – rzekł, cofając się z kuszą wciąż wycelowaną w Willa.

Na wysokości kaplicy odwrócił się i ruszył biegiem. Po chwili zniknął im z oczu.

Will ruszył za nim.

– Czekał – powstrzymał go Ewerard.

– Później go nie dogonimy.

– Nie będziemy go gonić. Na razie. – Książdz położył sztylet na piersi Hasana. –

Wybacz, przyjacielu – szepnął naciągając z powrotem całun. Potem wyprostował się i rzekł do Willa: – Wracamy do preceptorium. Potrzebna nam pomoc.

Ale kiedy zakopali grób i wrócili do bramy, zobaczyli, że konie zniknęły.

Pod Siedmioma Gwiazdami w Paryżu

Drugi dzień listopada

Garen wbiegł na piętro po chwiejnych schodach, przesadzając dwa na raz. W głowie mu dudniło, na potylicy wyrósł guz, który bolał przy dotknięciu. Było mu niedobrze. Ciemną galeryjkę zdobił rząd siedmiorga drzwi, zza których sączyło się światło i stłumione westchnienia rozkoszy lub bólu – albo jednego połączonego z drugim. Spróchniałe nieco deski trzeszczały złowieszczo pod nogami. Garen podszedł do ósmych drzwi, tych w końcu korytarza. Zawahał się, nim je otworzył, niepewny, co go czeka.

Zobaczył Kruka obżerającego się kurczęciem. Tłuszcz ściekał mu po palcach, drobne cząstki mięsa utkwiliły w zaroście. Był sam.

Garen zamknął za sobą drzwi.

– Gdzie Adela? – spytał z niepokojem, rozglądając się po izbie.

– Na podwórzu – wybełkotał Kruk z pełnymi ustami. – Masz ją?

Zza okna doleciał zgrzyt, turkot i głos Adeli. Garen domyślił się, że wtaczają beczki z piwem na wieczór. Trochę się uspokoił.

– Nie – powiedział. – Nie mam jej.

Kruk upuścił na misę ogryzione udko.

– To gdzie jest? – warknął, ocierając tłuste wargi wierzchem dłoni. – Trubadur siedzi w lochu, to wiem, ale księgi przy nim nie znaleziono. Więc jeśli ty jej nie masz, to kto?

Garen oparł się o drzwi. Izba znów była pełna dymu, który kłębił się w smudze słońca wpadającego przez uchyloną okiennicę.

– Widziałem, jak Campbell, skryba Ewerarda, dziś rano rozmawiał za bramą z Elwiną.

– Z kim?

– Dziewczyną, która służy w zamku. Znają się jeszcze z Londynu. Moim zdaniem to ona zabrała księgę, nie Saracen. – Garen streścił zeznania poety, o których powiedział mu Stefan. – Mogła ją dać

Campbellowi.

– I? – spytał niecierpliwie Kruk.

– Jakieś dwie godziny temu Ewerard i Campbell wyjechali razem z klasztoru.

Miałem jechać za nimi, ale... – Garen zacisnął usta. – Ktoś zdzielił mnie w głowę i... Nie wiem, kto to był – dokończył.

Milczenie Kruka niepokojąco się przedłużało.

– Aha – mruknął w końcu. Odsunął miskę, wstał i podszedł do Garena. – A zatem nasza jedyna szansa na zdobycie książki przepadła, tak? Dlatego, że jeden dureń pozwolił się wytropić? – Gwałtownie przycisnął go do drzwi. Garen krzyknął.

– Przestań, do diabła, Kruk! Moja głowa!

– Boli, co? – Kruk złapał go za włosy i ponownie wyrzwał jego zranioną głowę o deski. – Boli?

Garenowi zrobiło się ciemno przed oczami. Omal nie zwymiotował.

– Nie jechali daleko! Nie mieli prowiantu, a Will nie był uzbrojony! Na pewno nie opuścili miasta! Wciąż możemy ich znaleźć!

– Jak?

– Coś wymyślę.

– To myśl szybko, bo inaczej... przysięgam ci jak tu stoję... gorzko pożałujesz. Ty i ta suka.

Garen patrzył na Kruka i gorzka paląca nienawiść wzbierała mu w gardle jak torsje.

Był templariuszem, rycerzem; jego rodowód sięgał czasów Karola Wielkiego. Jak to możliwe, że dawał się terroryzować spłodzonemu gdzieś w rynsztoku rzezimieszkowi, złoczyńcy, który wraz z bandą podobnych sobie zbójów przez rok buszował bezkarnie po Londynie, dopóki rodzona matka jednego z członków bandy nie doniosła na nich do przewota.

Wyłapano ich i wszyscy skończyli na szubienicy. Wszyscy oprócz Kruka, którego od stryczka uratował książę Edward. Kruk został jego psem, ale nadal był zwykłym kundlem.

Opanował się, przeliczając w duchu korzyści, które czekały go po wykonaniu zadania. Nie najmniejszą z nich była ta, że Kruk wreszcie wyniesie się z Paryża.

– Będziemy musieli postępować ostrożnie – rzekł, delikatnie obmacując głowę.

Kiedy cofnął rękę, była na niej krew. – Nie wiem, kto napadł na mnie w stajni. Albo ten ktoś też chce zdobyć książkę, albo podpatrzył, że śledzę księdza, i chciał mi w tym przeszkodzić. –

Potrząsnął głową i znów zrobiło mu się niedobrze. Dodał ciszej: – Może to był Hasan? Od wczoraj go nie widziałem.

Miał pewien pomysł, ale wzdragał się wypowiedzieć go na głos. Jeśli pójdzie tą drogą, może mu być później trudno z niej zawrócić. Nie potrafił jednak znaleźć innego rozwiązania, a czuł, że tym razem Kruk nie będzie przebierał w środkach. Zaczerpnął tchu.

Przed oczyma zamajaczył mu wymarzony zamek, skarbczyk i włości. Radosny uśmiech matki i noce z Adelą, którą odtąd będzie miał tylko dla siebie. Nim wypuścił powietrze, decyzja była już podjęta.

– Ściągniemy tutaj Willa i sam go przepytasz – wypalił. – Na pewno wie, gdzie jest księga.

Kruk namyślał się przez chwilę, po czym spytał:

– A jak zamierzasz go tu sprowadzić?

– Posłużymy się Elwiną – odparł Garen patrząc mu prosto w oczy.

28

Paryż

Drugi dzień listopada roku Pańskiego 1266

– Powiesz mi, o co chodzi? – dyszała Szymon, starając się nadążyć za Willem.

Musieli lawirować, uliczki wokół placu targowego były pełne ludzi. – Przecież widzę, że nie mówisz wszystkiego.

– Powiedziałem ci tyle, ile mogłem. – Will obejrzał się. Czuł się winny angażując Szymona bez słowa wyjaśnienia, ale Ewerard nalegał, żeby nie szedł sam, a tylko jemu mógł

zaufać. Zresztą mając obok siebie potężnie zbudowanego koniuszego czuł się nieco pewniej.

– Ktoś musi cię ubezpieczać – przestrzegał kapelan, kiedy Will przypasywał broń w jego komnacie. Położył kościstą rękę na ramieniu Willa. – Polegam na tobie. Zdobądź tę księgę, a przysięgam, dopilnuję, żebyś został pasowany.

– Mikołaj z Nawarry zdrajcą? – sapnął Szymon czerwony i spocony z wysiłku. – Nie rozumiem tego. Dlaczego nie posłano uzbrojonych rycerzy? – Zerknął z troską na tasak u boku Willa. – Będą kłopoty? Wiesz, że nie umiem robić mieczem.

– Nie śmiałybym cię o to prosić. Ale kiedy Mikołaj zobaczy, że jest nas dwóch, będzie bardziej skłonny do ugody.

Will modlił się o to w duchu. Wiedział, że sam jest dobrym szermierzem, ale nie znał

możliwości Mikołaja, a swoje szanse przeciw kuszy oceniał raczej mizernie. Wszelkie zaś hipotezy zakładały, że Mikołaj udał się do domu zakonnego joannitów. Jeśli tego nie zrobił, Will nie miał pojęcia, gdzie go szukać.

– Szybciej bylibyśmy konno – zauważył Szymon.

Nie odpowiedział. Szymona nie było akurat w stajni, gdy wrócili pieszo z leprozorium. Ewerard musiał się gęsto tłumaczyć marszałkowi. W efekcie odmówiono mu wydania następnych wierzchowców, zanim sprawa tamtych nie zostanie załatwiona z wizytatorem. I dlatego teraz biegli z Szymonem przez miasto, zamiast jechać.

Świadomość, że wciąga przyjaciela w niebezpieczną rozgrywkę, nie poprawiała Willowi nastroju. Ale prócz wyrzutów sumienia miał przed sobą chyba po raz pierwszy w życiu jasno wytyczony cel. Biały płaszcz rycerski nareszcie znalazł się w zasięgu ręki, a złożona ongiś obietnica, że popłynie za morze i spotka się z ojcem, przestała być tylko mrzonką. Ponadto robił teraz coś, co ojciec na pewno by pochwalił. Miał więc szansę – a nawet pewność – że uzyska od niego przebaczenie. Czyż mógłby odpokutować swoje winy lepiej, niż ratując bractwo przed zagładą i wnosząc pokój do Ziemi Świętej? Odzyska tę księgę, choćby nie wiem co. Nie pozwoli Mikołajowi wszystkiego zniszczyć, choć jego gniew był zrozumiały i usprawiedliwiony. Ale liczył się nie tylko on – Will także czekał na tę chwilę przez wiele lat.

Ominąwszy wreszcie targ bydłocy przyspieszyli kroku. Sterczące nad dachami szare wieże otoczonego murem klasztoru joannitów były coraz bliżej. Ściągnął mocniej poły czarnego płaszcza, żeby ukryć czerwony krzyż na tunice, i skierował potykającego się już Szymona w biegnącą ukośnie uliczkę. U jej wylotu widać było bramę klasztoru. Will zwolnił, oddychając ciężko. Nim jednak dotarli do końca zaułka, brama się otworzyła i wypadło czterech jeźdźców na bojowych rumakach. Ubrani byli w zwykłe podróżne płaszcze, lecz pod spodem mieli długie czarne tuniki z wyszytym białym krzyżem szpitalników. Rozpoznał dwóch z nich. Jednym był Rasequin, z którym kiedyś omal nie pojedynkował się na ulicy. Dziś nie był

pijany; twarz miał czujną i skupioną, jedną rękę opartą na głowicy miecza; drugą zręcznie prowadził wielkiego rumaka, rozchlapując grząskie błoto. Obok niego jechał Mikołaj z Nawarry, też w habicie Zakonu Świętego Jana.

Will krzyknął do niego, ale łoskot kopyt zagłuszył słowa. Jeźdźcy minęli go w pędzie, rozganiając przechodniów. Przy siodłach mieli sakwy i zwinięte z tyłu koce; wybierali się w dalszą drogę. Zaklął patrząc, jak nikną za rogiem. Ulica znów stopniowo wypełniła się ludźmi. Brama klasztoru zatrzęsnęła się z hukiem.

Szymon zgiął się wpół, opierając dłonie na kolanach.

– To był Mikołaj, prawda? – wydyszał. – Dlaczego był tak ubrany?

– Bo to joannita – odparł Will po chwili wahania. – Przyszli do nas na przespiegi. – Zanim Szymon zdążył zadać następne pytanie, pociągnął go w zaułek biegnący wzdłuż murów klasztoru. – Wchodzimy. Trzeba się dowiedzieć, dokąd pojechali.

– Idziemy w złym kierunku. Brama jest tam.

– Nie wiem, kto spośród joannitów wie o całej sprawie. Może wszyscy mieli udział

w spisku. – Will zatrzymał się, patrząc na mur z kamiennego łupku, za którym widać było korony drzew i wieżę klasztornej kaplicy. – Wolałbym nie wchodzić głównym wejściem.

– Ja się tam nie wdrapię – oświadczył Szymon stanowczo, kiedy Will rozpoczął

wspinaczkę, chwytając się występow szorstkiego kamiennego muru.

Chwilę później mógł już zajrzeć na drugą stronę. Drzewa ocieniały spory plac z rzędami kamiennych krzyży – cmentarz klasztorny. Za kaplicą widać było fragment dziedzińca i kilka wysokich budynków. Po dziedzińcu kręcili się ludzie, ale cmentarz był

położony na uboczu i ktoś mógłby ich dostrzec tylko wówczas, gdyby patrzył wprost na nich.

Will podciągnął się i usiadł okrakiem na murze.

– Chodź – ponaglił Szymona, który patrzył na niego z niepokojem.

– Chryste – mruknął koniuszy. – Ja przez ciebie zginę!

Po chwili wahania zaczął się niezdarnie gramolić na górę, posykując co chwila, gdy ranił kostki i opuszki palców na ostrych kamieniach. Będąc już blisko szczytu, oparł stopę w szczelinie, która okazała się za płytka, i zaczął się zsuwać z powrotem.

Will zdążył go złapać za rękę. Zaparł się z całej siły, ściskając mur udami, i wywindował druha kilka cali wyżej, tak by ten mógł się czegoś chwycić. Znalazłszy się na górze, zdyszany i roztrzęsiony Szymon legł na brzuchu i przez kilka chwil nie był w stanie się ruszyć. W końcu za łagodną namową Willa zeskoczył do wewnątrz. Korzystając z osłony drzew ruszyli w stronę zabudowań.

– Nie wiem, kogo zamierzasz pytać o Mikołaja – mruknął Szymon rozcierając otarte do krwi dłonie.

– Jeśli wszyscy maczali palce w kradzieży, wątpię, by chcieli ci udzielać informacji. – Zerknął na wieżę głównego budynku. – A najpewniej po prostu wrzucą nas do lochu – dodał.

– Nie zamierzam brać na spytki ich mistrza – Will jeszcze raz sprawdził, czy spod płaszczy nie wystają im czerwone krzyże ani jego tasak, po czym skierował się do długiego drewnianego budynku, przed którym zwalone były bele siana. Naprzeciw stała grupka rycerzy. – Zachowuj się normalnie – mruknął do Szymona, który zerkał na nich spode łba.

Joannici wszakże nie zwrócili uwagi na dwóch młodych ludzi, którzy weszli do stajni.

Will rozejrzał się po wnętrzu, przyzwyczajając wzrok do półmroku. Niespełna dwunastoletni chłopiec stał przy belce, na której wisiał rząd siodeł, i z zapałem polerował je woskiem.

– Sprawdź przegrody – mruknął Will, podchodząc do chłopca.

– Co mam sprawdzić? – nie rozumiał Szymon.

– Czy nikogo tu nie ma.

Chłopiec podniósł głowę znad roboty.

– Czy mogę ci w czymś pomóc, panie? – spytał wysokim, jeszcze dziecięcym głosem.

– Mam nadzieję. – Will uśmiechnął się. – Niedawno siodłałeś konie dla czterech rycerzy, prawda?

– Tak – chłopiec kiwnął głową.

– Dokąd pojechali?

Mały zerknął na Szymona, który szedł przez stajnię zaglądając kolejno do boksów.

– Kim jesteście? – spytał marszcząc czoło. – Chyba was tu nie widziałem.

– Jesteśmy nowi – poinformował go Will. – To dokąd pojechali ci rycerze?

Chłopiec z wahaniem odłożył szmatę.

– Zapytajcie lepiej starszego nad stajnią – ruszył do drzwi. – Zaraz go zawołam.

Will mocno chwycił go za ramię.

– Nie ma potrzeby go trudzić.

– Puść mnie! – pisnął wystraszony chłopiec. – To boli!

– Jezu, Will! – syknął Szymon, widząc, że ten ciągnie dzieciaka w głąb stajni i przygniata do ściany.

– Nie stanie ci się krzywda, ale muszę wiedzieć, dokąd pojechali. To bardzo ważne.

– Błagam, puść mnie... – Wargi chłopca zaczęły drżeć.

– Will... – zaczął Szymon, lecz napotkawszy spojrzenie zielonych oczu przyjaciela, umilkł. Ich wyraz go przeraził.

– No, mów! – Will odchylił nieco płaszcz, żeby malec zobaczył przytroczony do pasa tasak. Poskutkowało.

– La Rochelle – rzucił pospiesznie, nie spuszczając oczu z falcjona. – Wybierali się do La Rochelle. Słyszałem jeszcze, jak mówili o Akce i wielkim mistrzu. Nic więcej nie wiem. Daję słowo! – rozszlochał się.

Will przyjrzał mu się badawczo, po czym skinął głową.

– Właż – rzekł otwierając drzwi sąsiedniego boksu. Wepchnął chłopca do środka i zasunął za nim rygiel. Wychodząc słyszeli jego stłumiony płacz.

– Nie do wiary. Jak mogłeś tak postąpić? – mamrotał Szymon, gdy szli z powrotem przez cmentarz.

– Nic mu nie będzie – uciał z roztargnieniem Will.

Szymon przystanął.

– Nie musiałeś go tak straszyć!

Will obrócił się do niego.

– Pospiesz się. Musimy wracać do preceptorium. – Złapał koniuszego za ramię. –

Mnie też nie sprawiło to przyjemności, ale co miałem robić? Pozwolić mu, żeby wezwał pomoc? I gdzie byśmy teraz byli? W lochu, jak sam raczyłeś stwierdzić, i równie głupi jak przedtem.

Szymon nie odpowiedział, ale ruszył za nim.

Zanim wyszli z miasta Bramą Świątynną i skierowali się do preceptorium, minęło południe. Wiatr się wzmógł, wielkie białe chmury umykały na wschód, rzucając na pofałdowane pola przesuwane się pospiesznie cienie. Zbliżając się już do klasztoru, usłyszeli dzwon.

Nie było to powolne, donośne wezwanie na mszę. Brzmiało pospiesznie, gorączkowo, biło na alarm. Will poczuł, jak ogarnia go złe przeczucie.

Gdy znaleźli się na dziedzińcu, zobaczyli dużą grupę rycerzy wchodzącą do budynku kapituły. Inni zbiegali się zewsząd. Dzwon nadal bił na trwogę.

– Campbell!

Obejrzał się. Gonił go Robert z Paryża.

– Wiesz może, co się dzieje? – spytał, odgarniając z czoła długie jasne włosy i wskazując budynek kapituły.

Will potrząsnął głową.

– Nie, byłem w mieście.

Zobaczyli kolejną grupę rycerzy, w której był wizytator, Ewerard, Hugo z Pairaud, a także kilku nieznanym w ubłoconych płaszczach. Will zrobił krok do przodu, zamierzając odwołać Ewerarda, ale wyraz twarzy mijających go mężczyzn kazał mu zamilknąć. Weszli do budynku, tylko Hugo został w tyle, przywołany nagłym skinieniem Roberta. Will usłyszał, że Robert powtarza pytanie:

– Co się dzieje?

Przez otwarte drzwi sali kapitulnej doleciał chór podniesionych, wzburzonych zatroskanych głosów. Odpowiedź Hugona utonęła w rozgwarze, ale Will dosłyszał coś, co kazało mu zapomnieć o Mikołaju z Nawarry i Księdze Graala. Podbiegi do nich.

– Wilhelmie... – Robert miał zatroskaną minę.

– Mówiliście o Safedzie? – przerwał mu Will.

– Tak – odpowiedział za Roberta Hugo. Lata ćwiczeń pomogły mu pozbyć się większości tłuszczu, ale okrągła twarz z perkatym nosem i małymi ciemnymi oczkami wciąż niefortunnie przywodziła na myśl prosię. – Safed padł.

Will otworzył usta, zamknął je, potrząsnął głową i spojrzał na Hugona, jakby nie był pewny, czy dobrze usłyszał.

– Z La Rochelle przybył właśnie brat Marceli – Hugo wskazał ogorzałego mężczyznę stojącego w przedsionku sali kapitulnej. – Jest dowódcą jednego z naszych okrętów wojennych, który przybył do portu w zeszłym tygodniu. Wielki mistrz wyprawił go z Akki, gdy tylko sam otrzymał wieść. Safed został zdobyty w lipcu przez Bajbarsa. Nikt nie przeżył.

– To skąd wiadomo, że twierdza padła? – odezwał się Szymon.

– Bajbars wysłał do wielkiego mistrza wiadomość, dokładnie opisując mu los naszych braci. Cała załoga została ścięta, głowy zatknięto na włóczniach wokół murów. – W

głosie Hugona brzmiała gorycz. – Najwyraźniej po to, żeby przestrzec nas wszystkich, co nas czeka. Marceli przyplłynął dosłownie z kilkoma ludźmi; wszystkich skierowano do wzmocnienia obsady zamków i miast. Musimy zebrać i wysłać na wschód tylu zbrojnych, ilu tylko się da.

– Hugonie... – przerwał mu Robert dotykając jego ramienia.

Hugo zerknął na niego, lecz ciągnął z powagą:

– Bajbars wycofał się z armią do Aleppo, ale pewne jest, że znów zaatakuje. Ogłosił przeciw nam dżihad. Mamy wojnę.

– Hugonie – powtórzył Robert, tym razem głośniejszym głosem.

– Co takiego?

– Zamilcz już.

Will chwiejnym krokiem odszedł na bok i zwymiotował.

*Aleppo, Syria**Drugi dzień listopada roku Pańskiego 1266*

Bajbars, milczący i przygaszony, patrzył na gości zebranych w sali tronowej. Jedni rozpierali się na poduszkach, drudzy krążyli wymieniając uwagi i racząc się owocowymi kordiałami roznoszonymi na tacach przez niewolników. Śmiechom i rozmowom wtórowały rzewne tony instrumentów. Na środku sali grupa dziewcząt w zwiewnych szatach wyginała się w rytm muzyki. Mężczyźni jak oczarowani patrzyli na ich gibkie ciała. Naraz w środek kręgu wpadła zgarbiona postać w szarej wystrzępionej szacie. Tancerki rozpięchły się z piskiem. Młodszy dowódca pułków ze śmiechem pokazywali sobie Kadira, który naśladując cienkie głosy kobiet gonił je dookoła kolumn. Na stołach pozostały resztki uczy – okruchy miodowych ciastek, płaty koźlęcego mięsa w zastygłym sosie, stwardniałe pędy szparagów, kandyzowane migdały.

Bajbars odszukał wzrokiem Omara rozmawiającego z Kalaunem i kilkoma namiestnikami. Skinął nań. Omar natychmiast odłączył się od grupy i zbliżył do tronu.

– Słucham cię, panie.

– Kończmy tę zabawę.

– Może jeszcze chwilę? Niech ludzie się...

– Teraz, Omarze.

– Tak jest, mój panie.

Sługa uderzył w srebrny gong, sygnalizując początek obrad. Namiestnicy i dowódcy pułków umilkli. Muzykanci przestali grać, tancerki wybiegły z sali. Wszystkie oczy zwróciły się na Bajbarsa, który wstał z tronu.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście.

Odpowiedział mu pochwalny szmerek.

– W nadchodzącym roku będziemy tak świętować znacznie częściej, radując się ze zwycięstw jeszcze wspanialszych niż te, które dotąd odnieśliśmy. – Bajbars ruchem głowy wskazał Kalauna. – W ciągu minionych tygodni omawiałem z niektórymi z was dalsze fazy działań wojennych. Następnie zaś postanowiłem, co będzie naszym kolejnym celem. – Urwał

przyglądając się wyczekującym twarzom. – Zdobędziemy Antiochię.

Rozległy się głosy zaskoczenia i jeszcze liczniejsze niepokoju.

– Szlachetny sułtanie – odezwał się jeden z namiestników, człowiek ambitny, który zawsze rwał się

do głosu jako jeden z pierwszych. – To potężne przedsięwzięcie. Antiochia jest najlepiej ufortyfikowanym miastem w Syrii.

– Sama długość jej murów – odparował Bajbars – czyni je trudnymi do obrony.

Przestudiowałem plany miasta. Niewielkimi siłami, najwyżej trzech pułków, można je zdobyć w tydzień.

– I kiedy twoim zdaniem powinien nastąpić atak, panie? – spytał inny namiestnik.

– Plony już zebrano. Wojska mogą wyruszyć z dostatkami prowiantu pod koniec tygodnia. Kadir mówi, że wróżby na ten okres są pomyślne.

Kilku mężczyzn zerknęło z powątpiewaniem na zaklinacza, który siedział na podłodze, ogryzając kość.

– Czyż nie obiecywałem wam świetnych zwycięstw? – rozłościł się Bajbars widząc ich niezbyt entuzjastyczne miny.

– I nikt z nas nie wątpi, że jesteś do nich zdolny, panie. – Ponad szeptem wzniósł się głos Kalauna. – Ale wielu żołnierzy dopiero co wróciło z Cylicji. Być może do końca zimy lepiej byłoby się skupić na słabszych twierdzach, nim staniemy przed takim wyzwaniem jak Antiochia?

Bajbars rzucił mu posępne spojrzenie, siadł na tronie i powiódł wzrokiem po zebranych. Większość wolała spuścić oczy.

– Nie rozumiecie, do czego zmierzam? – spytał ostro. – Dobrze, wytłumaczę wam.

Jeśli zdobędziemy Antiochię, chrześcijanie stracą nie jedno miasto, ale całą prowincję. –

Umilkł, dając im czas na przetrwanie jego słów. – Bez Antiochii nieliczne zamki i osady, jakie Frankowie mają jeszcze w tym regionie, staną się wysepkami w morzu naszego władztwa. Wątpię, czy będą stawiać jakikolwiek opór.

– To prawda – przyznał po namyśle jeden z emirów. – Będzie to dla Franków miazdzący cios. Księstwo Antiochii było pierwszym, jakie założyli na naszych ziemiach.

– A samo miasto – dodał inny – jest najbogatsze po Akce.

– Ponadto jest to dla nich święte miasto – przypomniał im Bajbars. – Edesę już stracili, a gdy odbierzemy Antiochię, pozostaną im tylko dwie prowincje, hrabstwo Trypolis i Królestwo Jerozolimskie, w których także stracili już większość miast i zamków. Niebawem zepchniemy ich z powrotem do morza.

Część dowódców ożywiła się na myśl o przyszłych łupach, ale wciąż nie był to entuzjazm, na który liczył Bajbars. Nim jednak narada dobiegła końca, zyskał ich wyrażoną z ociąganiem zgodę i wyznaczył trzy pułki, które miały przeprowadzić atak. Po zakończonym spotkaniu wyszedł, opędzając

się od pisarzy podtykających mu różne dokumenty i Omara, który starał się złowić go wzrokiem.

Nałożywszy ciemną szatę i turban, wymknął się z cytadeli małą boczną furką i ruszył

do miasta czując, jak opuszcza go napięcie. Powietrze miało balsamiczny zapach. Mimo mroku bez trudu odnalazł wąską uliczkę między dwoma rzędami domów z suszonej na słońcu cegły. Ostatni był większy i zamożniejszy, o świeżo wybielonych ścianach. Przez szpary w okiennicy sączyło się światło i śmiech dziecka. Bajbars minął wejście i obszedł dom od tyłu, sam niewidoczny jak cień pośród nocy. Stała tam niepotrzebna widać szopa, od dawna nie naprawiana. Połowa dachu runęła do środka, polepę zaścielały zwalone deski. Bajbars często się zastanawiał, dlaczego nikt nie zużył ich na opał. Za każdą wizytą spodziewał się po trosze, że ruina wreszcie zniknie. Zerwał kwiat hibiskusa z rosnącego obok krzewu i wszedł do szopy. Nikt, jego żony, doradcy, nawet Omar i Kalaun nie wiedzieli o istnieniu tego miejsca.

Uklęknął w ciemności i przytknął kwiat do warg. Wdychał jego aromat odnajdując w pamięci woń hibiskusa zmieszana z zapachem kobiecych włosów – jej włosów. Światło gwiazd sączyło się przez dziurę w dachu na ziemię usianą zeschniętymi różowymi płatkami.

30

Templum w Paryżu

Drugi dzień listopada roku Pańskiego 1266

Will obserwował pająka, który cierpliwie powiększał sieć utkaną w szparze między kamieniami. Co jakiś czas przez okno wpadał zimny powiew, kołysząc nitką i uczepionym jej pająkiem. Ten za każdym razem wycofywał się do swej bezpiecznej szczeliny, a po chwili z niej wychodził i zaczynał od nowa. Will jak urzeczony śledził jego działalność. W górę i w dół, i dookoła. Wydawało się to takie proste. Znacznie prostsze niż rozpoczęty list leżący przed nim na parapecie.

Pierwsze kilka linijek napisał jeszcze otępiały po szoku i wtedy było mu łatwo.

Później jednak zaczął sobie przypominać rodziców. Sceny pozornie tak błahe, że dawno wyleciały mu z pamięci, teraz wypływały na wierzch, kipiały, zalewając go rączym strumieniem. Większość pochodziła z okresu przed śmiercią Maryjki. Jedna była szczególnie wyraźna: matka siedząca na stole w kuchni z zaciśniętymi ustami. (Poszła do ogrodu nazbierać ziół do wieczery i nadepnęła na pszczołę.) Ojciec przycupnięty na niskim stołku trzymał w dłoniach jej małą białą stopę. Mrużąc w skupieniu oczy, wyjął żądło z ciała, a potem przytknął usta do ranki, żeby wyssać resztkę jadu. Will z zapartym tchem przyglądał

się zza stołu całej operacji. Kiedy było po wszystkim, matka zarzuciła mężowi ręce na szyję i westchnęła czule: „Co ja bym bez ciebie zrobiła!”

Obraz znikł, brutalnie wyparty przez zatkniętą na drzewcu odciętą głowę z oczyma wydziobanymi przez ptaki, ustami pełnymi robactwa... Dudka pióra pękła w zaciśniętej dłoni.

Nie chciało mu się iść po następne, toteż list leżał niedokończony, podrygując od czasu do czasu w

przeciągu.

Przybiegłszy z dziedzińca do pustego dormitorium, Will usiadł na parapecie okna z kolanami podciągniętymi pod brodę, zachłannie łapiąc wielkie hausty powietrza. Trochę później przyniósł sobie pióro i pergamin ze skrzyni przy łóżku i znów zajął to samo miejsce, w którym siedział sześć lat temu po śmierci Owena.

Pająk spuścił się w dół po nitce i zaczął prząść następną. Will dotknął szyi. Odkąd zasłyszał nowiny, prześladowało go delikatne acz nieustępliwe pieczenie w gardle, ilekroć przełykał ślinę. Oparł głowę o mur i wyjrzał przez okno. Niebo zabieliło się od podbitych tu i ówdzie szarawą podszewką chmur, które nasunęły się w ciągu popołudnia. Z łąch nad rzeką dolatywały krzyki rybitw krążących pewnie wokół rybaków wyciągających sieci i pułapki na węgorze. Słyszał je codziennie. Ale dziś ten znajomy klangor nabrał nowego znaczenia. Will przycisnął ręce do oczu.

Siedział obok ojca na nagrzanym kamieniu, nogi zwisały mu nad wodą. Ojciec lekko pociągnął zanurzoną linkę, żeby sprawdzić ciężarek. Słońce odbite od wody łechtalo boki kamieni i połyskiwało w oczach Jakuba Campbella. Obok stał cebrzyk, a w nim trzy srebrzystołoskie ryby. Rybitwy zataczały kręgi nad ich głowami, czasem nurkowały z krzykiem, rzucając ruchome cienie.

Policzki ojca były ogorzałe od słońca, a na brodzie miał smuzkę żółtego piachu.

Will korciło, by ją zetrzeć, ale nie chciał mącić błogiego nastroju. Ojciec w zadumie obserwował linkę.

– Powinniśmy zbudować łódź – odezwał się nagle.

– Łódź?

Jakub spojrział na szerokie zielone jezioro. Po wargach błąkał mu się uśmiech.

– Im głębiej, tym ryby są chyba większe, nie sądzisz?

Will zastanowił się głęboko. Po namyśle kiwnął głową.

– A skoro rodzina znów nam się powiększy, będzie trzeba więcej ryb – stwierdził

filozoficznie Jakub Campbell.

– Mama będzie miała dziecko?

– Tak. Jest prawie pewna, że to będzie dziewczynka.

– Jak ją nazwiecie? – spytał Will, starając się przybrać nonszalancki ton, choć nowina zwarzyła mu humor. Jeszcze jedna siostra? Trzy to już aż nadto!

– Isenda. – Ojciec przyglądał mu się przez chwilę. – Będziesz musiał mi pomóc z tą łodzią, sam nie dam rady.

– Jasne! – Will wyprostował się, rozczarowanie ustąpiło miejsca poczuciu ciężkiej na nim odpowiedzialności. Zmarszczył czoło. Nie był jeszcze pewien, jak się do tego zabierze, ale co do jednego miał niezachwianą pewność: to będzie najlepsza łódź, jaką kiedykolwiek widziano w tej okolicy.

Po śmierci Maryjki był nad jeziorem tylko raz, tuż przed wyjazdem ze Szkocji. Łódź

leżała na płaskim uniesionym brzegu, tam gdzie ją zostawił. Nie zdążył wystrugać wiosł ani uszczelnić klepek pakułami; szczeliny przerosły trawą. Miał ochotę zepchnąć ją na wodę, niech zatonie. Jednakże wciąż nie opuszczała go nadzieja, że pewnego dnia wróci i wraz z ojcem wypłyną na jezioro. Matka lada dzień miała rodzić i choć w domu panowała żałoba, naprawdę przydałyby się większe połowy.

W późniejszych latach wspominał nieraz tę łódź. Na pewno była już spróchniałym trupem, zarośniętą chwastami kryjówką dla raków. Czasem wyobrażał sobie, że ktoś ją przypadkiem znalazł i ocalił. Z paru listów, jakie otrzymał od matki, wiedział, że Eda i Alicja powychodziły za mąż, miały własne dzieci i mieszkały z rodzinami w Edynburgu. Może ośmioletnia teraz Isenda pewnego dnia odwiedzi miejsce, w którym się urodziła, i znajdzie łódź. Nie popłynie nią, to pewne, ale choćby się w niej bawiła lub po prostu usiadła myśląc o nieznanym ojcu i bracie.

Odjął ręce od oczu, słysząc odgłos kopyt na podwórzu przy stajniach. Poza tym i krzykiem ptaków wszystko było nieruchome i ciche. Większość braci siedziała w kaplicy, dokąd ich zwołano, gdy tylko rozeszła się wieść o Safedzie. Modlili się za poległych.

Wkrótce cisza się skończy, a zabrzmie wezwanie pod broń.

Za plecami Willa otwarły się drzwi. Słyszał, jak ktoś się zbliża powłócząc nogami.

Nie chciało mu się odwracać. Kiedy w końcu zerknął przez ramię, zobaczył przekrwione oczy Ewerarda. Łatwiej niż zareagować, było pograćzyć się z powrotem w odrętwieniu. Odwrócił głowę.

– Szukałem cię, giermku – usłyszał.

Milczał.

– Jak długo zamierzasz się tu ukrywać?

– Muszę skończyć list.

– Ten? – Ewerard zmarszczył brwi i sięgnął po pergamin. Przyjrzał mu się, mrużąc oczy w półmroku.

– To może poczekać. Są ważniejsze sprawy.

– Muszę donieść matce, że jej mąż i ojciec jej dzieci nie żyje.

– Zakon nadal będzie się opiekować twoją matką i siostrą – uciął szorstko kapelan. –

Niczego im nie zabraknie, to ci mogę przysiąc. – Kiedy Will nie odpowiedział, westchnął. –

Rozumiem, że jesteś przygnębiony...

– Rozumiesz? – Will obejrzał się. – Ty to rozumiesz? To może sam do niej napiszesz i wyjaśnisz, dlaczego zginął. Ostatecznie to ty go tam wysłałeś!

– To co mówisz, jest niesprawiedliwe. Jakub nie zginął przez Anima Templi. Zginął

w służbie zakonu. W walce, w której wcale nie chciał brać udziału. – Twarz Ewerarda złagodniała.
– Twój ojciec pojechał do Ziemi Świętej z własnej i nieprzymuszonej woli.

Pojechał, bo wierzył, że może dokonać czegoś wielkiego. „Zmieni ten świat dla swoich dzieci”, tak mi kiedyś powiedział.

Will popatrzył na niego, ale się nie odezwał.

– Muszę wiedzieć, co się zdarzyło u Świętego Jana – powiedział Ewerard cicho, lecz nagłoco.

– Mikołaj z trzema innymi rycerzami wyruszył do La Rochelle – rzekł po chwili Will. – Chłopiec stajenny wspominał o Akce i wielkim mistrzu joannitów.

– Do Akki... – Ewerard miał zatroskaną minę. – Czyżby stał za tym Hugo z Revelu?

– Z Revelu? – powtórzył z roztargnieniem Will.

– Wielki mistrz Zakonu Świętego Jana. Nie znam go osobiście, ale znałem jego poprzednika, Wilhelma z Chateauneuf, który stał na czele zakonu w czasie, gdy oblegaliśmy ich z Armandem. – Ewerard podrapał się po brodzie. – Mikołaj chce mu dostarczyć księgę.

Jeśli Hugo uzna ją za wystarczający dowód istnienia i jak mylnie przypuszcza zepsucia Duszy Świętyni, z pewnością zwróci się z tym do papieża. – Wciągnął spazmatycznie powietrze. –

Nie możemy mu pozwolić wywieźć księgi. O świcie ruszymy do La Rochelle.

– My?

– Sam nie zdołam go zatrzymać.

– Ja tym bardziej. – Will spuścił nogi z parapetu, stając naprzeciw księdza. –

Choćbym nawet okazał się równym mu szermierzem, nie mam takiej władzy. Jestem zwykłym giermkim. Nie mogę niczego żądać od rycerza, byłbyż on templariuszem, joannitą, krzyżakiem czy królewskim wasalem!

– To akurat wkrótce się zmieni – rzekł po chwili Ewerard. – Rozmawiałem z wizytatorem; dziś cię pasuje.

– Co takiego?

– Uznał to za stosowne, byśmy tracąc ojca, zyskali syna. To symbol – mruknął

Ewerard – że wytrwamy i nie ugniemy się przed wrogiem. Chce, żebyś złożył śluby jeszcze przed naradą bojową. Szkoda, że odbędzie się to w takim pośpiechu, wśród przygotowań do wojny, ale nic na to nie poradzimy.

– To jakiś żart? Wybrałeś najgorszy dzień z możliwych.

Przez pobliznioną twarz Ewerarda przemknął smętny uśmiech.

– Żałoba to jedno z najczystszych uczuć, do jakich jesteśmy zdolni. Doświadczając szczerego smutku, pozbywamy się całego tego... – machnął ręką, szukając właściwego słowa

– tego hałasu, który zalega nasze wnętrze. I w ciszy znajdujemy samych siebie. To chwila, która nas kształtuje. Tak więc przeciwnie: uważam, że to najlepszy z możliwych dni.

Will oparł dłonie na parapecie i zwiesił głowę.

– Nie wiem, czy jeszcze chcę być rycerzem Templum.

– Myślałem, że pragnąłeś spełnić wolę ojca?

– Ojciec nie żyje.

– Czy to oznacza, że wszystko, co robił i o czym marzył za życia, straciło raptem znaczenie? – Ewerard potrząsnął głową. – Jakub Campbell naprawdę rozpoczął wielkie dzieło. Od nas zależy, czy doprowadzimy je do końca. Dopiero gdy nim wzgardzimy, śmierć Jakuba stanie się bezsensowna.

Will podniósł głowę i spojrzał za okno. Łzy stygły mu na policzkach; świat na zewnątrz był płaski i szary. Miał przecież świadomość niebezpieczeństw czyhających na ludzi w Ziemi Świętej, a jednak nigdy nie dopuścił do siebie myśli, że może już nie zobaczyć ojca.

Przez tyle lat dążył uparcie do tego, żeby zająć miejsce u jego boku. Teraz, gdy to miejsce przestało istnieć, dokąd pójdzie?

– Nie mam już celu – rzekł, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos.

– Owszem, masz... – Ewerard wyciągnął okaleczoną rękę i położył ją na ramieniu Willa. – Masz przed sobą wielki cel.

W sali kapitulnej od rana stały dwa żelazne kosze z żarzącym się węglem drzewnym, dzięki czemu było tam cieplej niż na zewnątrz. Prawie już jednak wygasły, a nikt nie pomyślał o tym, żeby nanieść świeżego żaru na czas ceremonii. Okna zakryte były ciężkimi zasłonami odgradzającymi wnętrze od szarego zimnego zmierzchu.

Will zdjął czarną tunikę i podał ją klerykowi. Po plecach przebiegł mu zimny dreszcz. Zsuł buty, potem odpiął pas z falcjonem. Kiedy ściągnął przez głowę także koszulę, dotkliwie odczuł świadomość, że za jego plecami siedzi spora grupa ludzi. Sklepiona komnata była słabo oświetlona, ale czuł, że wszyscy dokładnie widzą krzyżujące się na skórze cienkie białawe szramy, pamiątkę po chłóście wymierzonej mu przez Ewerarda przed sześciu laty.

Spojrzał na krzątającego się na podwyższeniu księdza. Twarz zgarbionego wychudzonego starca rozstawiającego naczynia mszalne miała dziś zupełnie inny wyraz; zniknęło z niej owo cierpkie rozczarowanie. Za plecami Ewerarda na wysokim tronie z białawego kamienia siedział wizytator. Wyglądał na zmęczonego. Na podwyższeniu stali jeszcze dwaj rycerze.

Kleryk oddalił się, unosząc ze sobą jego odzież. Stojąc na pustym miejscu między podestem a ławami rycerzy, postulant czuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek w życiu.

Zerknął za siebie, szukając wśród braci przyjaznej twarzy. Zobaczył Roberta siedzącego wraz z Hugonem w jednej z pierwszych ławek. Robert pochwycił jego wzrok i uśmiechnął się. Will odwrócił się do ołtarza, czując, że więżąca go lodowata bryła powoli taje. Ewerard zapalił kadzidło w kadzielnicy i poprosił o ciszę. Cichy szmer rozmów w gronie rycerzy, którzy z niecierpliwością oczekiwali na radę wojenną, ucichł. Osnuty dymem ksiądz gestem wskazał Willowi, że ma uklęknąć.

Uczył to, zdając sobie sprawę, że nie miał czasu jak inni w trakcie długiego nocnego czuwania nauczyć się potrzebnych słów i gestów. Teraz było za późno, żeby się tym martwić. Wizytator wstał z miejsca i zwrócił się do niego:

– Miałeś czas, aby wejrzeć w swoje serce i w tę świętą posługę, jaka przed tobą stoi.

– Głęboki głos wizytatora wypełnił sklepioną komnatę. – Wilhelmie Campbellu, synu Jakuba, czy chcesz wdziąć zakonną szatę wiedząc, że uczyniwszy to odrzucisz wszelkie swoje ziemskie więzy i staniesz się wiernym i pokornym sługą wszechmogącego Boga?

– Chcę – odpowiedział Will.

Rozpoczęła się ceremonia.

Odpowiadając, gdy żądano od niego odpowiedzi, Will zadziwiająco dokładnie przypominał sobie słowa tamtego giermka, którego pasowanie podglądał wraz z Szymonem ze spiżarni w Nowej Świątyni. Czasem tylko Ewerard poddał mu szeptem jakieś słowo.

Oświadczył, że wyznaje katolicką wiarę, że został poczęty z prawego małżeńskiego łoża, że nie obdarował nikogo, by zapewnić sobie przyjęcie w Świątyni, nie ma żadnych długów i nie należy do innego zakonnego bractwa. W końcu, choć gardło go paliło, a w piersi ścisnęło jakby żelazną obręczą, potwierdził, że jest zdrow na ciele.

Jeden z dwóch rycerzy zszedł do niego i podsunął mu przed oczy regułę otwartą na pierwszej stronie.

– Przeczytaj głośno te słowa. Jeśli nie potrafisz, mów, a zostaną ci przetłumaczone.

W półmroku Will ledwie widział łaciński tekst, lecz wpatrzywszy się w rzędy spłóviałych liter zdołał wyrecytować:

– Panie Boże, przychodzę oto do ciebie i do tych dobrych braci tu obecnych, aby prosić o przyjęcie w szeregi zakonu i uczestnictwo w duchowych i doczesnych dobrach będących jego udziałem. Pragnę do końca moich dni służyć wiernie Świątyni i ugiąć własną wolę przed wolą Bożą.

Przysiągł dochować reguły i praw zakonu, zachować czystość, pozostać ubogim i być posłusznym. Kiedy legł krzyżem przed ołtarzem, aby prosić o błogosławieństwo Boga, Jego Najświętszą Matkę i wszystkich świętych, drugi rycerz zstąpił z podwyższenia z obnażonym mieczem. Wyciągnięta ostrzem w dół głownia zaśniła matowo.

– Ucałuj ten miecz i przyjmij na swe barki powierzona ci stróżę. Przeciwno wszelkim wrogom będziesz strzegł jedynej prawdziwej wiary, a w największej potrzebie życie swoje oddasz w jej obronie.

Will podniósł się i dotknął ustami klingi, która pokryła się mgiełką od jego oddechu.

Ślub, który składał, miał dla niego aż nazbyt rzeczywisty wymiar.

Rycerz schował miecz do pochwy. Ewerard utykając podszedł do klerka, który czekał z nowym mieczem i złożonym białym płaszczem. Podczas tej przerwy Will uświadomił sobie, że nie rozumie, dlaczego załoga Safedu wybrała śmierć. Czy wypełnienie ślubu znaczyło dla nich więcej niż łyzy bliskich? Ilu synów i córek osierocili, żeby zapewnić sobie miejsce w raj? Ojciec napisał do niego tylko dwa razy w ciągu sześciu lat i choć w listach nie winił go za śmierć Maryjki, nie było tam też ani słowa miłości. Will dowiedział się z nich znacznie więcej o Palestynie niż o myślach i uczuciach Jakuba Campbella. Teraz nie znajdował odpowiedzi na pytanie, dlaczego jego ojciec został męczennikiem; miał ochotę unieść głowę i zażądać jej od Niebios.

Gniew, nad którym starał się panować od rana, przebrał czarę.

Był zły na zakon, że żądał ofiary z życia; zły na Ewerarda, że go oszukiwał; zły na Saracenów, którzy zabili mu ojca, i na sułtana, który nimi dowodził. Ale przede wszystkim był zły na ojca – że wyjechał, że go okłamał, że mu nie przebaczył i w końcu zginął. Teraz już go nie było i Will nigdy nie otrzyma od niego rozgrzeszenia. W głowie mu huczało, Ewerard zbliżał się do niego, a w uszach dzwoniły mu słowa wypowiedziane dawno, jeszcze w Szkocji:

Pewnego dnia obleką cię w biały płaszcz jako rycerza Świątyni i z wolą Bożą stanę wówczas u twego boku.

Ojciec złamał jeden ślub, aby wypełnić inny. Czy zatem służył woli Bożej czy swojej własnej? Po co zginął – żeby bronić zakonu, Anima Templi, czy po to, żeby ukarać syna za śmierć córki?

– Tym mieczem bronić będziesz chrześcijaństwa przed nieprzyjaciółmi Boga.

Will wstał, choć w głowie mu kołowało, i wyciągnął ręce. Ewerard podał mu miecz.

Wzrok Willa skupił się na wypolerowanej stalowej głowni, gładkiej i nieskalanej żadną rysą.

Opuścił ręce. Ewerard zmarszczył brwi i nagle po jego twarzy przemknęło zrozumienie.

Ruchem dłoni wezwał kleryka, który czekał z płaszczem. Ten spojrział niepewnie na wizytatora. Ewerard pospiesznie wyjaśnił im coś szeptem. Słychać było pomruki widzów zaciekawionych przerwaniem ceremonii, tymczasem zaś kleryk wybiegł przez boczne drzwi i po chwili wrócił, niosąc stary tasak. Ewerard oddał mu miecz, a wziął krótki, pokryty szramami oręż z rozluźnioną owijką rękojeści i ten wręczył Willowi. Miody człowiek zmrużył oczy, żeby powstrzymać łzy, wzruszony bardziej domyślnością i współczuciem księdza niż czymkolwiek innym. Przyasał pochwę i włożył do niej falcjon.

Ewerard podał mu płaszcz.

– W tej szacie rodzisz się na nowo.

Will rozwinął złożoną tkaninę i narzucił płaszcz na ramiona czując cierpki zapach świeżo filcowanej wetny. Rozszczepiony na końcach krzyż wyszyty na plecach i na sercu był

czerwony jak wino, jak krew i jak usta Elwiny. Płaszcz był nieco przykrótki; zwykle szyto je na miarę przed ceremonią, ale na to oczywiście brakło czasu. Powiedział sobie, że to nic; później poprosi brata sukiennika o inny. Nie spełniły się wszakże jego marzenia, że będzie się w nim czuł tak, jakby wyrosły mu skrzydła. Ciężka szorstka tkanina przygniatała mu ramiona.

Ewerard spiął mu płaszcz pod szyją prostą srebrną zapinką.

– Oto mocą mi daną uwalniam cię – rzekł cicho, czyniąc nad nim znak krzyża – od wszystkich twoich grzechów w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

Wizytator wstał ze swego miejsca i zaintonował:

– *Eccequam bonum etquam jocundum habitare fratres in unum...*

Kiedy psalm się skończył, Ewerard położył dłonie na ramionach Willa.

– Słowami błogosławionego Bernarda z Clairvaux powiadam ci, że templariusz jest zaiste rycerzem bez trwogi, albowiem tak jak ciało osłania mu zbroja żelazna, tak duszę jego chroni wiara. A przyodziany w oba te pancerze nic musi się lękać ni diabła, ni człowieka. Ani też – ksiądz zajrzał mu głęboko w oczy – śmierci. Witamy cię zatem pośród nas, Wilhelmie Campbellu, rycerzu Świętyni. Oby Bóg wspomógł cię w godnych czynach. – Wspiął się na palce i pocałował Willa w usta. Potem zaś każdy ze znajdujących się w sali rycerzy kolejno podchodził, by uczynić to samo.

Zamek królewski w Paryżu

Drugi dzień listopada roku Pańskiego 1266

– Jak to się mogło stać?

Ludwik Dziewiąty, król Francji, wychylił się z tronu, zwracając się do rycerzy stojących przed nim w wielkiej sali. Była pusta; stoły i dekoracje po uczcie i niedoszłym występie trubadura zaraz z rana pospiesznie usunięto. Uwadze sług umknęło kilka różanych płatków, które szeleściły teraz pod stopami rycerzy.

– Jak to możliwe, że Safed upadł tak prędko?

Odpowiedział mu wizytator:

– Dowiedzieliśmy się, że Bajbars przyrzekł darować życie żołnierzom syryjskiego pochodzenia, jeśli mu się poddadzą. Zamek był potężny, to prawda, lecz nie mając ludzi na murach, nie dało się go bronić.

Will, stojąc za nim z grupą sześciu rycerzy, w których asyście wizytator udał się do zamku, patrzył, jak Ludwik chyli swoją lwią grzywę przyprószoną siwizną na skroniach.

Czerwony płaszcz bramowany gronostajowym futrem spowijał jego tors, muskularny w młodości, teraz już raczej tęgi. Twarz króla szpeciły dzioby po chorobach, które przeszedł na Wschodzie; ręce miał pulchne i usiane plamami wątrobowymi. Ledwie szesnaście lat temu ten sam król poprowadził krucjatę do Ziemi Świętej, wiodąc za sobą trzydzieści pięć tysięcy ludzi do zwycięstwa, a potem ostatecznej klęski i śmierci w Egipcie. Po bitwie pod Mansurą Ludwik i jego zdziesiątkowana armia zostali otoczeni i wzięci do niewoli. Wypuszczono go dopiero, kiedy królowa Małgorzata zgromadziła i zapłaciła okup.

Wpatrzony w niego Will lekko potrząsnął głową. Mąciło mu się w oczach. Starał się strząsnąć z siebie dziwną słabość, jaka naszała go w czasie rady wojennej, która odbyła się zaraz po pasowaniu. Kiedy wizytator poinformował go poważnym tonem, że będzie mu towarzyszyć przy rozmowie z królem, musiał dołożyć starań, żeby ukryć niechęć. Czuł się oszołomiony, otepiały.

Po długiej chwili poświęconej chyba na modlitwę Ludwik podniósł głowę.

– To czarny dzień – rzekł. – Zaiste czarny dzień.

– Rozesłałem gońców do wszystkich zachodnich prowincji z wieścią o tym, co zaszło – powiedział wizytator.

Król milczał przez chwilę.

– Bajbars odrąbuje nam kolejne twierdze niczym cieśla ociosujący pień drzewa. W

zeszłym miesiącu szpitalnicy donieśli mi, że zdobył Arsuf, a wcześniej Cezareę i Hajfę.

Zagarnął więcej, niż ktokolwiek mógł się spodziewać.

– Tak, panie – przytaknął posępnie wizytator. – Jeśli prędko nie podejmiemy zdecydowanych działań, obawiam się, że wkrótce cała Palestyna wymknie nam się z rąk.

Fortyfikacje, które pobudowałeś w Ziemi Świętej, nie obronią się bez udziału ludzi. Safeti był

jedną z naszych najpotężniejszych warowni, a jednak upadł. – W oczach wizytatora widać było smutek, ale jego ton był twardy. – My tu, w Europie, nie uczyniliśmy nic, by zatrzymać nawałę, kazaliśmy naszym braciom za morzem, aby sami walczyli i bronili tego, cośmy wszyscy sobie wymarzyli. Drogo teraz płacimy za tę bierność.

– Co proponujesz?

Wizytator milczał przez chwilę. W końcu odrzekł stanowczo:

– Nasz zakon ma środki pieniężne i ludzi, których chcemy wysłać na Wschód, by przeciwstawić się groźbie Egiptu. Ale budowa statków potrwa wiele miesięcy, a podróż też będzie długa. Musimy działać szybciej i dlatego prosimy cię, panie, o pomoc. Potrzebne jest nam wsparcie każdego chętnego człowieka, czy to monarchy, czy chłopca. Myślę o tym, żebyś poprowadził nową krucjatę, najjaśniejszy panie. To właśnie proponuję.

Ludwik splótł dłonie pod brodą.

– Myśl ta nie jest mi obca. Kontaktowałem się ostatnio z moim bratem Karolem, hrabią Andegawenii. On także zachęcał mnie do tego przedsięwzięcia.

Wizytator spojrzał w skupione oczy króla.

– Co uczynisz, panie?

Ludwik wyprostował się, czerwony płaszcz spłynął na poręcz tronu.

– Tak, mistrzu; zwołam nową krucjatę. Saraceni drogo zapłacą za życie odebrane chrześcijanom. Jeśli tylko zdołam, sam wezmę krzyż.

Kiedy król wypowiedział ostatnie słowa, Will poczuł zawrót głowy. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Zachwiał się i byłby upadł; w ostatniej chwili schwycił się ramienia stojącego obok rycerza.

– Co ci? – szepnął ten, patrząc na niego z niepokojem. – Jesteś biały jak lilia.

– Muszę... muszę wyjść na powietrze – wymamrota! Will i chwiejnym krokiem pospieszył w stronę drzwi.

– Czy twój rycerz jest chory? – doleciało doń zatroskane pytanie króla i odpowiedź

wizytatora:

– Jego ojciec był pośród tych, których wymordowano w Safedzie.

Will pchnął drzwi i zataczając się wypadł na korytarz.

Na ścianach pozatykano świeżo zapalone pochodnie. Ich światło raziło go w oczy.

Minąwszy dwóch pachołków, którzy patrzyli na niego ciekawie, prawie dobiegł do znajdującego się w końcu korytarza dużego okna wychodzącego na Sekwanę. Uchwycił się parapetu i walcząc z gwałtownymi falami zawrotów głowy, wciągał głębokie hausty wilgotnego powietrza. Od rana jego świat obrócił się do góry nogami i czuł teraz ów przewrót w każdym włóknie swego ciała. Zaledwie kilka godzin temu odkopał ciało mężczyzny zamordowanego przez wyznawców Jezusa Chrystusa i odczuwał wtedy głęboki palący wstyd.

Tymczasem gdzieś w Palestynie gniło ciało jego ojca zabitego bez litości przez ziomków Hasana. A przecież obaj starali się zaprowadzić pokój w kraju rozdartym wzajemną nienawiścią. Gdyby wolno mu było prosić o cud, żaden z nich by nie zginął. Teraz zaś na wschód ruszą jego bracia, by dalej toczyć wojnę. Król i wizytator pragnęli odwetu, ale Will nie pojmował, jak dalsze zabijanie mogło być aktem sprawiedliwości.

Szarpnął płaszcz pod szyją; po plecach spływał mu pot, choć było zimno. Co to znaczy być rycerzem? Walczyć i ginąć za cudzą sprawę? Bo król tego żąda? Bo Bóg tak chce? Will w to nie wierzył. Dla niego te słowa były puste, bez życia. Ojciec także w to nie wierzył; powinien był się tego domyślić i pewnie w końcu by się domyślił, nawet gdyby nie wyjawiono mu powodu, dla którego Jakub Campbell wyjechał do Ziemi Świętej. Zawsze widział w nim człowieka honoru; szlachetnego duchem, uczciwego w boju, szczodrego w porywach serca. Ale to nie szata czyniła go rycerzem, nie złożone śluby, lecz on sam, ucieleśniając w sobie te cnoty. Inni porzucali rodziny dla wojny, dla Boga lub ojczyzny.

Ojciec porzucił swoją, żeby walczyć o pokój. Oczy zamglily mu się łzami. Złość, jaką czuł do ojca, zniknęła pochłonięta przez wszechogarniającą miłość i towarzyszący jej ból utraty.

– Will? – odezwał się za nim kobiecy głos.

Odwrócił się i zobaczył Elwinę. W świetle pochodni jej miedzianowłose warkocze zwinięte w oplotce ze srebrnej taśmy zdawały się płonąć żywym ogniem. Wielkie szare oczy jarzyły się odbitym blaskiem. Miała na sobie prostą suknię i opończę kanarkowej barwy, spiętą srebrnym łańcuszkiem. Wyglądała jak królowa.

– Kiedy to się stało? – spytała szeptem, wpatrując się jak urzeczona w jego biały płaszcz.

– Elwino... – zaczął ochryple. Nie mógł jednak znaleźć właściwych słów, podszedł

więc do niej i objął ją kurczowo, jak gdyby tonął, a ona była ostatnią deską z rozbitego statku unoszącą się jeszcze na wodzie.

– Słyszałam, że rycerze z Templum przyszli do króla, ale nie spodziewałam się, że cię wśród nich zobaczę – powiedziała z twarzą wtuloną w jego pierś. – Co się dzieje? Ponoć król zwołał pilną nadzwyczajną radę.

– Safed został zdobyty – szepnął, nie odrywając ust od jej włosów. – Mój ojciec nie żyje.

Spojrzała na niego.

– Will... – wyszeptała, gładząc dłonią jego mokry policzek. – Mój Boże... – Jej oczy także wypełniły się łzami.

– Król zwoła nową krucjatę.

Dotknęła czubkami palców krzyża na jego płaszczu.

– A więc i ty... – Głos jej się załamał. – Ty też pójdziesz na wojnę?

– Nie – oświadczył zawzięcie. – Nie zostawię cię.

Popatrzył na jej smutną twarz i zdał sobie sprawę, jakim był głupcem. Przez cały czas uganiał się za widmem. Nie mógł już zyskać przebaczenia, a miłość ojcowska będzie dla niego istnieć tylko we wspomnieniach. Ale Elwina była tuż obok, namacalna i prawdziwa; kochała go, a on nią wzgardził dla białego płaszcza, który nie znaczył dla niego teraz więcej niż tamta wyświechtana czarna tunika. Zawahał się na sekundę, nim powiedział:

– Kocham cię.

Spojrzała na niego badawczo.

– I chcę się z tobą ożenić – dokończył.

– Chyba żartujesz! – zaśmiała się gorzko.

– Nigdy w życiu nie mówiłem poważniej.

– Przecież nie możesz, jesteś zakonikiem! Złożyłeś już ślub komu innemu. – Czara się przebrała i łzy spłynęły jej po twarzy. – Teraz już nigdy... – urwała, gdy zamknął jej usta pocałunkiem.

Powoli mu uległa. Rozchyliła wargi badając językiem jego usta. Policzki płonęły jej z pożądania. Chwyliła go za rękę i położyła ją na swojej piersi. Poczula, jak Will tężeje, a potem się odpręża.

Wodząc dłońmi po jej ciele Will jeszcze nie zdążył uświadomić sobie, że łamie swój pierwszy ślub. Z ust Elwiny wyrwało się ni to westchnienie, ni to jęk...

A z głębi korytarza dobiegł chichot.

Odskoczyli od siebie. Sługa niosący tacę z pucharami minął ich i ruszył dalej, śmiejąc się pod nosem.

Will ujął Elwinę za rękę.

– Weźmiemy cichy ślub. Odejdę z zakonu.

W myśli zadźwięczały mu słowa Ewerarda: *Jakub Campbell rozpoczął wielkie dzieło. Od nas*

zależy, czy doprowadzimy je do końca.

– Ale jest coś – dodał – co muszę zrobić najpierw.

31

Pod Siedmioma Gwiazdami, Paryż

Drugi dzień listopada roku Pańskiego 1266

Adela zapięła za szyi czerwono-złoty naszyjnik i przejrzała się w zwierciadle.

Szklane paciorki ziębiły jej nagą skórę. Dotknęła ich, wspominając, jak bardzo podobała się w nich Garenowi. Nie było go już prawie trzy godziny, tymczasem Kruk wciąż siedział na dole i chlał za darmo jej piwo.

Wcześniej Garen wpadł na chwilę blady i podniecony.

– Muszę iść do klasztoru – powiedział – ale wrócę najszybciej, jak tylko będę mógł.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, Kruk jutro stąd zniknie. Błagam, trzymaj się od niego z daleka choćby nie wiem co.

– Czego od ciebie chce ten łajdak? – spytała. – Dlaczego ma taką władzę nad tobą?

Każę Fabianowi go wyrzucić. Powiedz tylko, a to zrobię.

– Nie! Nie rozwścieczaj go. Pozwól, żebym pomógł mu dostać to, po co przyszedł.

Wtedy odejdzie.

– Jesteś templariuszem, Garenie. Dlaczego pozwalasz mu sobą pomiatać?

Nie odpowiedział.

Zdjęła z półki flaszeczkę olejku jaśminowego, żeby uperfumować włosy. Tuż po niesporach do oberży przyszła grupa flandryjskich kupców; zapowiadała się pracowita noc.

Wzrok Adeli padł na zielnik otwarty na stronicy z wywarem zapobiegającym zapłodnieniu.

Pewien wędrowny medyk, który kiedyś zatrzymał się w gospodzie, pokazał jej, co się robi, gdyby wywar zawiódł. Jedna z dziewczyn akurat zaszła w ciążę; rozwiązał jej problem. Ale Adela nie chciała zabijać dzieci; chciała je rodzić. Marzyła o małym domku z ogrodem pełnym ziół i gromadką ślicznych roześmianych brzdąców tłoczącą się w kuchni, gdzie będzie im piekła pachnące ciasteczka, robiła okłady na bąble po pokrzywach i opatrywała obite kolana. Zamknęła księgę. Czy Garen rzeczywiście mógł jej to dać? Odkąd do niej przychodził, nieraz już tak myślała, a później byle co wytrącało go z równowagi i obrażał się jak dziecko. Adela nigdy nie spotkała mężczyzny, który byłby

równie samolubny w jednej chwili i równie czuły w następnej. Nie godziłyby się znosić jego humorów, gdyby nie wiedziała, że wybuchowa otoczka kryje zmęczonego wystraszonego chłopca, który sam nie wie, kim jest i co ma ze sobą zrobić. Czasami leżał tylko w jej ramionach rosząc jej piersi cichymi gorącymi łzami. Chciała być dla niego równocześnie matką i kochanką. Czasem wbrew sobie samej wierzyła w obietnice, które składał jej w uniesieniu – że zabierze ją z tej dziury, kiedy wreszcie doczeka się majątku. Adela regularnie pouczała swoje dziewczyny, żeby nie angażowały się uczuciowo. Jej słabość do urodziwego kapryśnego rycerza kazała wątpić, czy podobne przestrogi mają jakikolwiek sens.

Drzwi się otwały i stanął w nich Kruk. Twarz miał czerwoną od nadmiaru trunku, powieki ciężkie i opuchnięte. Adela złapała suknię, żeby się okryć.

– Garen już wrócił? – spytała.

– Nie – odmruknął. Przyglądał jej się przez chwilę i na twarzy wykwitł mu złośliwy uśmiech. – Nie martw się, wróci. Wie, co by było, gdyby nie wrócił.

Adela skrzywiła się. Niepokoiła ją zawarta w tych słowach groźba, a jeszcze mniej podobało jej się spojrzenie, jakim obrzucił ją Kruk. Wszedł do izby, zamykając drzwi za sobą.

Stężała, lecz podniosła hardo głowę.

– Czego tu szukasz?

Nie odpowiedział. Minął ją, podniósł stołek stojący pod lustrem, zważył go w dłoni i cisnął w kąt. Rozejrzał się po izbie. Na widok łoża oczy zaświeciły mu się obleśnie.

– Masz jakiś sznur?

– Sznur? – powtórzyła.

– Tak, sznur. Przy odrobinie szczęścia będziemy dziś mieli gościa. – Zachichotał. –

Musi mu być wygodnie. Potrzebny jest sznur, pasek albo... – urwał, patrząc na jej suknię. –

To wystarczy.

– Łapy precz! – krzyknęła, kiedy chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

Zbir z całej siły uderzył ją w twarz wierzchem dłoni. Impet ciosu odrzucił ją daleko na podłogę z suknią zadartą prawie do pasa. Kruk podszedł i wyszarpnął jej sznurówkę z sukni.

– Twoje miejsce jest na plecach, suko. – warknął. – Wiedz o tym.

Usiadła, przyciskając rękę do policzka, który piekł jak oparzony. Czowała smak krwi; cios rozciął jej wargę.

Wstała, zasłaniając piersi.

– Wynoś się. Nie obchodzi mnie, kim jesteś ani co tutaj robisz. Dość tego.

Kruk rzucił sznurówkę na łóżko i obejrzał się przez ramię.

– Garen powinien był cię ostrzec, żebyś się nie wtrącała. Będziesz robić, co ci każe, bo inaczej poczujesz, jak może boleć.

– Każe Fabianowi połamać ci nogi, gnojku! – warknęła, zmierzając do wyjścia.

Kruk jednym susem znalazł się przy niej. Wykręcił jej rękę, obrócił i przygwoździł

do drzwi tak, że nie mogła się ruszyć. Adela wiała się i drapała jak kotka, długimi paznokciami celując mu w oczy, ale choć zbir nie był postawny, miał zaskakująco dużo siły. Unieruchomił

jej ręce, wepchnął łokieć pod brodę odginając głowę w tył i omal nie miażdżąc jej tchawicy, a przy tym wszystkim zdołał jeszcze wyciągnąć sztylet. Czubek ostrza załśnił jej tuż przed okiem.

Adela natychmiast przestała się wyrywać. Bała się nawet głębiej odetchnąć.

– No. – Głos Kruka był cichy, nieomal kojący. – Uspokoisz się i znajdziesz mi jeszcze jeden sznurek dla naszego gościa, czy mam ci wykluczyć jedno z tych ślicznych oczek?

– Tak – szepnęła pospiesznie.

– Które: tak? – spytał, rozgarniając sztyletem jej rzęsy. Udało się jej nie drgnąć ani nawet nie mrugnąć.

– Pomogę ci.

– Doskonale. – Kiwnął głową z aprobatą – Bo jeśli znów zaczniesz się stawiać, dopilnuję, żeby z ciebie, twoich dziewczek i całej tej śmierdzącej dziury nie zostało nawet tyle, by napełnić cebrzyk. – Przytrzymał ją jeszcze przez chwilę, podniecony jej urywanym oddechem, drzeniem przyciśniętego do siebie ciała. Potem stopniowo rozluźnił uchwyt na wypadek, gdyby chciała uciec.

Nie uciekła. Przytrzymując rozchełstaną suknię zaczęła przetrząsać pozostałe, aż znalazła pleciony z jedwabnych nici pasek. Kruk uśmiechnął się, gdy podała mu go bez słowa.

– A jednak można było, co? – rzekł, sprawnie przywiązując sznury do nóg niskiego łóża. Szarpnął każdym, by się upewnić, że nie puszcza. – Teraz pozostaje nam tylko skrócić sobie czas oczekiwania. Kładź się.

– Co? – wyjąkała zaskoczona beznamiętnym tonem, jakim to powiedział.

– Jesteś tu, żeby zabawiać mężczyzn, nie? – Ruchem głowy wskazał łóżko. – Ja też skorzystam.

– Najpierw musiałybyś zapłacić – powiedziała wyzywająco, lecz poczuła, że w oczach zbierają jej się łzy. Odwróciła głowę.

– Garen za mnie zapłaci. Wątpię zresztą, żebyś długo mi się opierała. – Podeszedł i rozkrzyżował jej ręce tak, że suknia rozchyliła się na piersiach. Przez chwilę napawał się jej bezradnością, czując, jak wzrasta w nim chuć, potem złapał ją za nadgarstek i podprowadził

do łóżka.

Adela powtarzała sobie, że to po prostu następny klient, że nie jest wiele gorszy od innych brutali, którym się oddawała w minionych latach. Nie zdołała jednak powstrzymać łez, kiedy przygniótł ją sobą, zionąc jej prosto w twarz cuchnącym oddechem.

Templum, Paryż

Drugi dzień listopada

– Jak długo was nie będzie? – spytał Szymon, kładąc drugie siodło na ławce.

– Nie wiem. Pewnie parę tygodni. – Will wzdrygnął się i otarł dłonią zimne czoło pokryte lepłą warstwą potu.

– Nie podoba mi się to – perorował koniuszy. – I co zrobicie, jak już go złapiecie?

Nie chcę być niegrzeczny, ale ich będzie czterech, a Ewerard niezbyt nadaje się do walki, ty zaś... – Szymon zagryzł wargi i przyjrzał mu się bacznie. – Ty wyglądasz tak, jakbyś nie był w stanie nawet unieść miecza, a co dopiero nim władać. – Podeszedł i nieśmiało położył Willowi rękę na ramieniu. – Kiedy dowiedziałeś się o upadku Safedu, nie powiedziałeś ani słowa o ojcu. Może lepiej byłoby...

– Nie będziemy sami walczyć z Mikołajem. – Will odsunął się i zdjął z kołka wodze; podał je Szymonowi. – Jeśli chce dostać się do Akki, będzie musiał zaczekać na statek.

Ewerard zwróci się o pomoc do braci z komandorii w La Rochelle. Przy ich pomocy zatrzymamy Mikołaja i tamtych.

– Ale dlaczego właśnie wy musicie jechać? Czy wizytator nie może pchnąć stąd grupy zbrojnych rycerzy?

– Zadawaliby zbyt wiele pytań, na które Ewerard nie chce jeszcze odpowiadać.

Bracia z La Rochelle nie znają Mikołaja.

– No cóż, jestem zdziwiony, że pozwolono wam wziąć konie – sarknął Szymon poirytowany brakiem zrozumienia dla jego obiekcji. – Poprzednie zgubiliście.

– Ale się znalazły – odparł Will biorąc otrzymane od Ewerarda sakwy, do których miał spakować pobrane z kuchni prowiant.

Po południu rycerz wracający z klasztornego folwarku nieopodal bramy Świętego Dionizego natknął się na dwa konie pasące się luzem w polu, a widząc, że noszą znak Świątyni, przyprowadził je do preceptorium. W tej sytuacji marszałek machnął ręką i gdy dwie godziny temu Ewerard zażądał, by na rano okuto mu i przygotowano dwa wierzchowce, wyraził zgodę.

– Panie Wilhelmie – w drzwiach stajni stanął giermek i skłonił się przed Willem. –

Mam dla ciebie wiadomość. Przyszła jakiś czas temu, ale nie mogłem cię nigdzie znaleźć.

– Co za wiadomość?

– Chłopiec, który przekazał ją furtianowi, powiedział, że niewiasta imieniem Elwina prosi cię, abyś się z nią spotkał w szynku Pod Siedmioma Gwiazdami. Ma on się znajdować w Dzielnicy Łacińskiej przy ulicy, która biegnie pod górę do opactwa Świętej Genowefy.

– Mówił coś jeszcze?

– Nie, panie. Tylko tyle. – Giermek ukłonił się ponownie i odszedł.

Will zmarszczył brwi. Odłożył sakwy z powrotem na ławkę i podniósł zdjęty do pracy płaszcz.

– Co ty wyprawiasz? – zdziwił się Szymon. – Chyba się tam nie wybierasz?

Will nie odpowiedział.

– Musisz się spakować. Zresztą cóż by Elwina robiła w oberży?

– Nie wiem. – Will ze znużeniem narzucił płaszcz na ramiona. – Ale dziś prosiłem ją, żeby została moją żoną. Muszę tam iść.

– Co zrobiłeś? – Simon wytrzeszczył oczy, patrząc, jak Will otwiera drzwiczki boksu i wyprowadza zeń gniadego podjezdka. – Oszalałeś? Jesteś zakonnikiem! Nie możesz się ożenić!

– Zaraz wrócę – uciał Will. – Podaj mi siodło.

Pod Siedmioma Gwiazdami

Drugi dzień listopada

Garen wszedł do oberży tylnym wejściem i przemknąwszy przez zatłoczoną salę, wbiegł po schodach. Kiedy pchnął drzwi do izby Adeli, Kruk stał obok łóżka wiążąc nogawice, a Adela siedziała skulona na posłaniu z kolanami podciągniętymi pod brodę. Na twarzy miała czerwony ślad po uderzeniu i spuchniętą wargę. Była naga. Ujrawszy go spuściła oczy, odwróciła się i sięgnęła po suknię.

Garen spojrzał na Kruka.

– Co robiliście?

– Tak długo cię nie było. – Kruk wytrzymał jego spojrzenie, jakby się nim napawał, a potem uśmiechnął się szeroko. – Na przyszły raz się pospiesz. Dostarczyłeś wiadomość?

Garen popatrzył na zgięte plecy Adeli, odwrócił się i wypadł z izby, ignorując wołanie Kruka, żeby zaczekał. Zbiegł z łoskotem po schodach, gwałtownie otworzył drzwi oberży i wypadł w zimny mrok czując, jak łyzy wściekłości palą mu oczy.

32

Pod Siedmioma Gwiazdami, Paryż

Drugi dzień listopada roku Pańskiego 1266

Drzwi szynku były zaryglowane. Will napał na nie ramieniem, ale nawet nie drgnęły. Zabębnił pięścią w masywne deski. Dochodzące z wewnątrz głosy i śmiechy nawet nie przycichły. Na placyku przed domem stały konie i parę wozów, a przy małym ognisku grzało się kilku ludzi, pewnie woźniców lub pacholków. Rozmawiali, co było widać po białych obłoczkach pary unoszących im się z ust. Było już zupełnie ciemno; na niebie wisiał

jasny półksiężyc, srebrząc dachy. Will miał zastukać jeszcze raz, gdy nagle szczęknął rygiel i drzwi się otworzyły. Hałas natychmiast przybrał na sile i owionął go wraz z przemieszaną wonią pachnideł i piwa. W prostokącie drzwi pojawił się olbrzymi mężczyzna o czarnych włosach i gęstych nastroszonych brwiach.

– Słucham – burknął.

– Mam się tu z kimś spotkać – powiedział Will.

Mężczyzna w milczeniu odsunął się na bok.

Will wszedł do środka i zawahał się. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, aby zdał

sobie sprawę, że jest to właśnie tego rodzaju przybytek, o jakich czasem mgliście żartowali z Robertem, choć żaden nigdy w podobnym nie był. W dużej izbie znajdowało się dwudziestu kilku mniej lub bardziej kompletnie ubranych mężczyzn w różnych stadiach upojenia.

Siedzieli na ławach nad pozostałościami wieczerzy, płasali przy żwawym piłowaniu gęśli lub rozmawiali śmiejąc się hałaśliwie. Ale to nie oni przykuwali uwagę. Na każdym dwóch przypadała wymalowana barwiczka i obwieszona świecidełkami kobieta. Niektóre miały na sobie głęboko wycięte suknie, inne tylko rozchełstane giezła albo zgoła nic. Will nie mógł

oderwać oczu od pary siedzącej przed nim na ławie. Mężczyzna, sądząc z ubioru kupiec, trzymał na kolanach rozebraną dziewczynę, miętosząc dłonią jej pierś i ssąc chciwie duży brązowy sutek. Ta tymczasem jakby nigdy nic gawędziła ponad jego głowę z obejmującą innego mężczyznę pulchną brunetką. Will z trudem oderwał od niej wzrok i przeniósł go na odźwiernego.

– Chyba trafiłem nie tam, gdzie zamierzałem.

– Masz się spotkać z Elwiną? – Mężczyzna spojrział na jego biały płaszcz.

Will nie był w stanie wydać z siebie głosu. Jego umysł, poddany już dziś wielu ciężkim próbom, odmawiał uznania związku między tą orgią a jego przyszłą żoną.

– Kazali mi wyglądać templariusza – wyjaśnił odźwierny, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Czeka na górze. Ostatnie drzwi na końcu korytarza. – Wskazał mu schody i odszedł, pozostawiając go samego.

Przez tłum zaczęła się przepychać jasnowłosa kobieta przyodziana jedynie w złoty naszyjnik. Zmierzała w jego stronę, toteż wycofał się na schody. Kończyny miał ciężkie jak z ołowiu, a umysł rozedrgany z niepokoju. Wspinał się mozolnie krok za krokiem, usiłując dociec przyczyn, jakie kazały Elwinie wyznaczyć mu tu spotkanie. Nim dotarł na piętro, odrzucił wszystkie prócz jednej. Pamiętał książkę, o której mu opowiadała, i inne, które widział w zbiorach Ewerarda. Pamiętał, jak go całowała ongiś za bramą Świętego Dionizego i dziś podczas pospiesznej schadzki w zamkowym korytarzu. Zawahał się przed drzwiami. Nie chciał tego; nie dziś, gdy bolała go głowa i gardło, a przede wszystkim nie tutaj. Ale nie mógł

jej tu zostawić, otworzył więc drzwi mając nadzieję, że Elwina go zrozumie.

Izba była kiepsko oświetlona i czuć w niej było swąd dymu. Przed ławą zastawioną butlami i słojami stała zwrócona do niego tyłem kobieta w czerwonej sukni i haftowanym czepku.

– Elwina? – spytał ostrożnie. Wszedł głębiej, a wtedy drzwi zatrzasnęły się za nim, coś błysnęło i poczuł zimną stal na gardle.

– Odłóż miecz – rzekł stojący za nim mężczyzna.

Will zawahał się i poczuł ostry ból, kiedy ostrze rozcięło skórę.

– Prędszej!

Powoli odpiął pas z mieczem. Napastnik wyjął mu go z ręki i rzucił na łóżko. Stojąca przy ławie kobieta odwróciła się. To nie była Elwina. Miała przestraszoną minę i ślady pobicia na twarzy.

– Możesz już iść – powiedział mężczyzna. Will dopiero po chwili zrozumiał, że słowa te nie były skierowane do niego. – Dopilnuj, . żeby nikt nam nie przeszkadzał. A jak ten gnojek wróci, każ mu tu przyjść.

Kobieta spojrzała na Willa. W jej fiołkowych oczach malowało się współczucie.

– Wybacz mi – szepnęła, wymykając się z izby.

Mężczyzna kopniakiem zatrzasnął za nią drzwi.

– Siadaj tu, na podłodze przed łóżkiem – rzekł do Willa.

Posłusznie ruszył w stronę szerokiego łoża. Napastnik postępował za nim krok w krok, trzymając nóż na gardle; Will czuł jego cuchnący oddech. Serce łomotało mu w piersi, ale strach rozproszył stupor, w jakim poruszał się od kilku godzin. Lewą ręką złapał tamtego za nadgarstek, odgiął dłoń ze sztyletem, obrócił się uchylając przed ostrzem i szarpnął

mężczyznę za ramię, równocześnie wymierzając mu cios pięścią w żołądek. Ten zgiął się wpół wypuszczając ze świstem powietrze. Korzystając z okazji, Will wbił mu kolano w twarz. Głośny wydech przeszedł w jękliwy wdech. Sztylet potoczył się po podłodze. Will rzucił się do drzwi, lecz przeciwnik, choć jeszcze nie mógł złapać oddechu, zareagował

błyskawicznie, uderzając w niego całym ciałem. Wciąż schylona postawa mu przy tym pomogła; podciął Willowi nogi i ten wylądował na podłodze. Zerwał się na kolana i naraz zrobiło mu się ciemno w oczach. Wyciągnął przed siebie ręce, żeby nie upaść. Ułamek sekundy później odzyskał zdolność widzenia, ale krótka chwila wystarczyła tamtemu na przejęcie inicjatywy. Powalił go z powrotem na podłogę, zaczął kopać po nerkach, bokach, głowie, wyrzucając z siebie syczący nieprzerwany stek gróźb i przekleństw. Will próbował

się odczołgać, lecz mężczyzna przygniótł go kolanem i walił raz po raz, wyciskając z niego dech, aż w końcu Will uległ, dał za wygraną. Izba pogrążyła się w ciemności. Czuł jeszcze, jak napastnik wstaje z niego i ciągnie go za ręce, a potem coś zaciska mu się boleśnie na przegubach.

Templum w Paryżu

Drugi dzień listopada

– To gdzie on jest? – dopytywał się z irytacją Ewerard. – Miał iść po prowiant.

Chciałem się z nim naradzić przed podróżą.

Szymon rytmicznie szczotkował końskie boki.

– Nie wiem, panie – wymamrotał po chwili, nie podnosząc głowy.

Spojrzenie Ewerarda padło na dwie skórzane sakwy, które dał Willowi. Leżały na stercie siana przy wejściu do stajni, puste.

– Kiedy wyszedł? Dokąd?

Szymon westchnął ciężko i obrócił się do księdza.

– Poszedł zobaczyć się z Elwiną. Przysłała gońca z prośbą o spotkanie.

Oczy Ewerarda zwęziły się.

– I gdzie miał się z nią spotkać? Odpowiadaj! – krzyknął, gdy Szymon milczał.

– W oberży w mieście.

Twarz Ewerarda osnuła gradowa chmura.

– Wiesz w której? Dobrze – warknął, gdy Szymon kiwnął głową. – Bierz konia i natychmiast jedź po niego!

– Panie, ale...

Kapelan wszakże nie dopuścił ani słowa sprzeciwu i niecałą godzinę później Szymon jechał przez Cite kierując się w stronę mostu do Dzielnicy Łacińskiej.

Na placu targowym nieopodal zamku trwał wieczorny jarmark; przekupnie nagabywali ludzi wracających do domów po świątecznych nieszpórach. Do komplety pozostały już tylko dwie godziny, ale handel szedł w najlepsze i niewielki placyk był pełen ludzi. Szymon ściągnął wodze i jechał stępa, bacząc, by nie stratać kłębiących się wokół

ludzi. Zapach dymu i smażonego mięsa sprawił, że zaczęło mu burczeć w pustym brzuchu.

Na straganach sprzedawano pasztety, piwo i przyprawy, a nawet jedwabie falujące na wietrze jak skrzydła motyli. Obok kramu z jedwabiem stał wóz okryty czerwoną tkaniną wyszywaną w złote kwiaty lilii. Dwie zaprzęgowe klacze także się wyróżniały bogatymi kapami. Lejce uwiązane były do kozła, na którym siedział woźnica w czarnej tunice i czapce. Obok koni, przestępując z nogi na nogę ze znudzoną miną, stał gwardzista. Szymon zmarszczył brwi widząc kobietę zbliżającą się do wozu z naręczem różnobarwnych jedwabi. Przyjrzał się jej uważniej i osadził konia w miejscu. Tak, to była Elwina.

Zeskoczył z siodła, zarzucił wodze na rozchwiany słupek i ruszył za nią biegiem.

– Szymon? – wykrzyknęła zdumiona na jego widok.

W tejże chwili poczuł ciężką dłoń, która spadła mu na ramię, osadzając go w miejscu.

– Czego tu? – burknął strażnik z groźnym marsem na czole.

– W porządku, Baldwinie – uspokoiła go Elwina, podchodząc. – Ja go znam.

Baldwin puścił Szymona i stanął obok wozu, obserwując ich bacznie. Szymon przypadł do Elwiny.

– Gdzie Will? Już poszedł?

– O czym ty mówisz? – zachnęła się zaskoczona jego niecierpliwym tonem. –

Poszedł, wrócił do preceptorium wraz z innymi.

– Jakimi innymi?

– Z innymi rycerzami po posłuchaniu u króla.

– Nie o to mi chodzi – rzekł sucho. Zerknął na gwardzistę i zniżył głos: – Wiem o Siedmiu Gwiazdach.

Widząc minę dziewczyny zdał sobie sprawę, że nie rozumie, o czym mowa. On także coraz mniej rozumiał. Jego zdenerwowanie ustąpiło miejsca zaniepokojeniu.

– Nie spotkałaś się z nim w szynku?

– Nie chadzam po oberżach. – W głosie Elwiny dała się słyszeć irytacja. – Cały dzień spędziłam w zamku, teraz dopiero królowa wysiała mnie po materię na nową suknię, w której chce się pokazać na audiencji.

– Na czym?

– Zgromadzeniu, na którym król obwieści swoją wolę udania się na krucjatę.

Szymonie, możesz mi wyjaśnić, o co chodzi? Kto ci powiedział, że mam się spotkać z Willem? Wiem tylko, że zamierzał wyjechać na kilka tygodni z Ewerardem. – Teraz i ona zniżyła głos. – W sprawie pewnej księgi.

– Mówił ci o niej?

– Musimy wracać, panno – wtrącił się Baldwin. – Królowa może potrzebować zaprzęgu.

– Tak późno nigdzie nie będzie jechać – ucięła Elwina i zwróciła się do Szymona, słysząc za plecami pomruki gwardzisty i przestępowanie niecierpliwących się zwierząt.

Koniuszy patrzył na nią niepewnie. Wyczuła, że ma ochotę podzielić się z kimś swym zmartwieniem. – Opowiedz mi wszystko od początku – zachęciła go.

Zagryzł dolną wargę i po chwili wahania potrząsnął głową.

– Nie, nic. Muszę już iść.

– Dokąd? – złapała go za ramię. – O co chodzi z tymi Siedmioma Gwiazdami?

– Siedem Gwiazd? – doleciał ich głos Baldwina. – A czegoż to zamierzacie szukać w takim miejscu?

– Znasz je?

– Słyszałem o nim. – Baldwin miał zażenowaną minę. – To gospoda w Dzielnicy Łacińskiej, blisko Sorbony, a prawdę mówiąc... – zakłopotany podrapał się po jasnej głowie –

To... no, to zwykły zamtuz, panienko.

– Skąd ci wpadło do głowy, że Will mógłby się tam ze mną umówić? – Elwina wlepiła w koniuszego zdumione spojrzenie, na którego dnie zaczynał się czaić strach. – Czy on tam poszedł? Jest tam teraz?

Po chwili wahania Szymon skinął głową.

– Tak myślę.

Odwróciła się do Baldwina.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, ale...

– Jedziemy – rozkazała woźnicy, zanim strażnik zdążył dokończyć. – Ty też –

warknęła do Szymona. – Na miejscu mi wyjaśnicie, co to wszystko ma znaczyć.

Woźnica kiwnął głową, choć minę miał ciut zgorzowaną. Elwina obeszła wóz, żeby wsiąść z tyłu, lecz Baldwin zastąpił jej drogę.

– Przykro mi, moja panno, ale na to nie mogę ci pozwolić. Wracamy do zamku. Sami

– dodał, spoglądając ostrzegawczo na Szymona.

Elwina chciała zaprotestować, ale już widziała, że to nic nie da. Baldwin potrafił być łagodny jak baranek i uparty jak muł, a właśnie doszła go głosu ta druga strona jego natury.

Zamilkła, przeżuując gorycz porażki, kiedy nagle przypomniało jej się, co słyszała od Marii parę miesięcy wcześniej.

– Jeśli mi nie pomożesz, Baldwinie, będę zmuszona donieść dowódcy straży, że chadzasz wieczorami do jego córki.

Baldwin otworzył usta patrząc na nią z wyrzutem. Potem rzekł do woźnicy:

– Rób, co każe ta dama.

Sadowiąc się na wyściełanej ławce wraz z Szymonem, Elwina prędko odmówiła modlitwę w intencji swojej niedyskretnej przyjaciółki.

Pod Siedmioma Gwiazdami

Drugi dzień listopada

Adela rozejrzała się po izbie. Goście płasali na stołach; nie wiedzieć ile już dzbanów z winem rozbiło się na posadzce. Fabian wyrzucił jednego z mężczyzn, który uderzył

dziewczynę, dwóch innych leżało nieprzytomnych w kącie. Reszta jednak najwyraźniej dobrze się

bawiła. Od dawna nie miała tu tak hucznego zjazdu. Na środku tańczyły objęte dwie dziewczyny. Stojący obok mężczyzna przyglądał im się, lubieżnie oblizując wargi.

Adela odwróciła wzrok, zrobiło jej się niedobrze. Wciąż nie mogła pozbyć się z pamięci obmacujących ją łap Kruka, jego śmierzącego oddechu. Miała ochotę posłać na górę Fabiana, żeby wywlókł go na zewnątrz i pobił do nieprzytomności. Ale teraz już się bała.

– Adelo...

Odwróciła się i zobaczyła stojącego za nią Garena. Miał wypieki na twarzy i mimo chłodu na czole lśnił mu pot.

– Wróciłeś – powiedziała. Jej głos utonął w panującym hałasie.

Garen dotknął jej sinego policzka.

– Wiem, że nie ty ponosisz winę za to, co zrobił.

– Nie – powtórzyła głucho, odsuwając się od niego. – Bo to nie ja go tu sprowadziłam.

– Nie mów tak – zaprotestował. – Ja też go nie zapraszałem. Nie odchodź. Posłuchaj mnie. – Złapał ją za rękę i podniósł głos, żeby przekrzyczeć chóralny wybuch śmiechu, kiedy jeden z kupców spadł ze stołu. – Jeśli Kruk dostanie to, czego szuka, zapłaci mi i będziemy mogli być razem. Zawsze mówiłem to poważnie.

– A twoi bracia zakonni? – Skrzywiła się szyderczo. – Pozwolą ci się ożenić z ladacznicą?

– Odejdę z Templum! – Garen lekceważąco wzruszył ramionami. – Obiecano mi tytuł lordowski i jeśli wszystko pójdzie dobrze, otrzymam nadanie w Anglii. Albo kupię majątek gdziekolwiek indziej, bylebyś tylko pojechała tam ze mną.

– A jeśli nie pozwolą ci odejść?

– Lada dzień miałem udać się na Cypr. Kiedy nie wrócę, pomyślą, że już jestem w drodze. Wiele czasu upłynie, nim ktokolwiek za mną zatęskni.

– Dlaczego uciekłeś? Dlaczego mnie z nim zostawiłeś?

– Byłem wściekły. – Garen podniósł rękę do jej twarzy, ale odtrąciła ją gwałtownie.

Zmarszczył brwi. – Przecież wróciłem, prawda? – Ujął jej chłodną dłoń w swoje rozpalone palce o ogryzionych paznokciach. – Nie chcę się tobą dzielić ani z tym łajdakiem, ani z nikim! Zostaw ten dom. Ja się tobą zaopiekuję.

– Idź lepiej na górę – powiedziała cicho. – Kruk ma tam templariusza, a ostatnią rzeczą, jakiej mi jeszcze trzeba, jest zabójstwo w gospodzie.

Garen obejrzał się ze strachem.

– Will tu jest? – Spojrzał na nią. – Najpierw powiedz, że wyjedziesz ze mną. Muszę wiedzieć, zanim tam pójdę.

– Zastanowię się nad tym.

Po chwili wahania Garen uśmiechnął się blado i ruszył w stronę schodów.

Już w korytarzu posłyszał głos Kruka i stłumiony przez grube deski jęk bólu. Nabrał powietrza w płuca i zapukał. Po minucie drzwi się uchylły.

Oczy Kruka zwęziły się, gdy zobaczył Garena.

– Zwiej mi tak jeszcze raz, a cię zabiję – warknął zza czarnej maski, otwierając mu szerzej.

Will siedział na podłodze z nogami związanymi pasem i rozkrzyżowanymi ramionami przymocowanymi do łóżka, jak gdyby otwierał je na powitanie. Wyglądał jak złamany krucyfiks. Zakaszał gwałtownie i z ust pociekła mu krew. Wytężając wzrok w półmroku, Garen przyjrzał mu się dokładniej i osłupiały zdał sobie sprawę, że Will ma na sobie biały płaszcz rycerza.

– Ten szczeniak nie chce gadać. Musisz mi pomóc.

– Nie mogę! – syknął Garen. – On mnie zna!

– A ty jego – odszczeknął Kruk. – Wiesz lepiej ode mnie, jakie ma czułe miejsca.

– Nie. Nie chcę maczać w tym palców. – Ruchem głowy wskazał Willa. – On jest pasowany, na litość boską! Jeśli nas odkryją, ty zawisniesz, a ja wyląduję w Merlanie!

– Pomóż mi... – dobiegł ich słaby jęk.

– Zamknij ryj – rzucił Kruk przez ramię. – A ty przestań jęczeć i chodź tu. –

Wciągnął Garena do izby i zatrzasnął za nim drzwi. – Zaczynam mieć tego dość. Postaraj się, żeby gnojek zaczął mówić, bo inaczej zabiję was obu.

Garen powoli obszedł łóżko. Głowa Willa opadła na ramię, oczy miał

półprzymknięte, twarz śmiertelnie bladą i pokrytą warstwą potu. Z nosa i ust ciekła mu krew.

Nad prawym okiem widniał duży purpurowy siniec.

– Nic dziwnego, że nie chce mówić – mruknął Garen, zerkając na Kruka. – Coś ty mu zrobił?

– Garen? To ty? – Will otworzył oczy. – Czy on już poszedł? Pomóż mi się stąd wydostać! – powiedział wyraźniej, usiłując się podnieść.

Garen nie ośmielił się spojrzeć mu w twarz.

– Nie mogę – mruknął. – Najpierw musisz mu powiedzieć to, o co pyta.

Will powoli pokręcił głową.

– Nie rozumiem. Co ty tu... –urwał, gdy w jego polu widzenia pojawił się Kruk. – O co wam chodzi?

– On chce wiedzieć, gdzie jest Księga Graala.

Will spojrział na niego tępo.

– Gadaj! – ryknął Kruk, zamierzając się na niego pięścią.

Will obrócił głowę, ale nie zdołał uniknąć ciosu, który trafił go w usta, miażdżąc wargi. Osunął się na bok; gardło wypełniła świeża krew. Kruk złapał go za włosy i odgiął mu głowę do tyłu. Will zaczął rzeźić.

– Powiedz mu, na litość boską! – ponaglił go Garen. – Powiedz, to cię puści!

– Garen – jęknął Will, podnosząc na niego oczy. – On mówi, że ma Elwinę. Nie wierzę mu. Powiedz mi, że to nieprawda.

Garen zerknął na Kruka, potem na Willa.

– To prawda – rzekł, wbijając wzrok w podłogę.

– Wyobrażasz sobie, co jej zrobię, jeśli nie będziesz gadał? – Kruk przykucnął obok Willa. – Twoje cierpienia to przy tym pestka.

Will patrzył na Garena.

– Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś mu na to pozwolić?

– Gadaj! – syknął nachylony nad nim zbir – bo poderżnę jej gardło, ale najpierw się z nią zabawię. Idź po nią – rozkazał Garenowi. Kiedy ten się nie poruszył, ryknął: – No już!

– Nie! – krzyknął Will, gdy Garen ruszył powoli w stronę drzwi. – Czeka! Powiem ci wszystko, tylko ją wypuść!

– Włos jej z głowy nie spadnie – obiecał mu Garen – jeśli powiesz mu, gdzie jest księga. – Podszedł do Willa. – Przysięgam ci, że nie pozwolę jej tknąć. Przysięgam. Możesz myśleć o mnie, co chcesz, ale w to uwierz.

– Ma ją Mikołaj z Nawarry. – Will z trudem przełknął ślinę. – Odebrał ją nam i pojechał do La

Rochelle. On jest joannitą. Chce zawieźć księgę swojemu mistrzowi do Akki.

– Co mają z tym wspólnego szpitalnicy?

– To, że nas nie lubią. Chcą jej użyć na naszą szkodę. – Will zakasłał z wysiłkiem. –

Wypuście ją, powiedziałem wam wszystko, co wiem.

Kruk cofnął się, maska drgnęła, gdy się uśmiechnął.

– Bardzo ciekawe. – Spojrzał na Garena. – Idę załatwić konie. Ruszymy jeszcze dziś, powinniśmy złapać tego Mikołaja w drodze. – Już od drzwi obejrzał się. – Zabij go.

– Co? – Garen rozdziawił usta.

– Sam mówiłeś, że doniesie na ciebie, jeśli cię rozpozna. – Kruk otworzył drzwi. –

Martwy tego nie robi, prawda?

33

Pod Siedmioma Gwiazdami w Paryżu

Drugi dzień listopada roku Pańskiego 1266

Will targnął więzy, ale trzymały mocno i osiągnął tylko tyle, że znów opadł z sił.

Garen wyszedł z izby kilka minut po człowieku ze sztyletem, ale Will domyślał się, że nie ma wiele czasu. Musi się uwolnić i odnaleźć Elwinę. Na razie nie zastanawiał się nad zdradą Garena i jej powodami; później będzie na to czas. Starając się nie zwracać uwagi na przeszywający ból, wykręcił głowę, żeby obejrzeć znajdujące się za jego plecami łóżko. Było spore i wydawało się dość ciężkie, ale jeśli się wysili, powinien je przesunąć na tyle, żeby zbliżyć się do ściany lub nawet drzwi. Będzie walić w nie nogami dotąd, aż ktoś go usłyszy.

Był to desperacki plan, ale innego nie miał. Nie mógł biernie czekać. Nabrał powietrza w płuca i przygiął tors i ramiona do przodu, pojękując z wysiłku. Łoże przesunęło się o kilka cali i oparło mu na plecach. Posunął się dalej i znów pociągnął. Łóżko skrzypnęło i znów pojechało za nim. Więzy niemiłosiernie wrzynały mu się w nadgarstki. Po trzech razach był

jeszcze daleki od celu, lecz wtedy otworzyły się drzwi. Posłyszał kroki dwu osób i nagłący głos Garena:

– Musisz mi pomóc.

Will z trudem uniósł głowę. Zobaczył Garena i kobietę, którą poprzednio wziął za Elwinę. Ta na widok jego twarzy zakryła ręką usta.

– Gdzie Kruk? – spytała.

– Siodła konie. – Garen wziął z półki słoje i zajrzał do niego.

– Konie – powtórzyła kobieta. – A gdzie się wybieracie?

– Elwina... – wymamrotał Will.

Obejrżeli się oboje.

– Ze mną róbcie, co chcecie. – Will starał się skupić wzrok na Garenie. – Ale ją puśćcie wolno.

– Nie ma jej tutaj – odpowiedział mu Garen. – On kłamał.

– Nie ma? – Z piersi jeńca wydarto się westchnienie ulgi.

– Nie – rzeki cicho Garen. Zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale zamiast tego podszedł do ławy i podniósł inny słoje.

– Wyjeżdżasz z nim? – spytała oskarżycielskim tonem kobieta.

Garen odwrócił się do niej.

– Nie na długo. Proszę cię, Adelo – rzeki gorąco. – Pomóż mi jeszcze ten jeden raz.

Spełnię wszystko, co mówiłem, masz na to moje słowo.

– To lulek – mruknęła. – Jest trujący.

– Zrobisz mi z niego wywar.

– O, nie. – Zdecydowanym ruchem odebrała mu słoje. – Nie przyłożę ręki do mordy.

– Nie chcę go zabić – powiedział szybko. – Nie, nie to.

– To na co ci... – wskazała słoje.

– Chcę, żebyś zrobiła mi wywar nasenny. Lulek się nadaje, prawda? Moja matka go używała.

– Na sen? Tylko niektóre części rośliny się do tego nadają. Wystarczy drobny błąd i już się nie obudzisz.

– Możesz to dla mnie zrobić? Postaram się do wyjazdu trzymać Kruka z dala od tej izby, ale na wszelki wypadek powinien wyglądać jak martwy.

– A co mam zrobić, kiedy się obudzi i oskarży mnie o napaść i otrucie? – spytała ze złością Adela.

– Nie robi tego. – Garen spojrzał na Willa.

– Skąd wiesz?

– Nie będzie miał czasu, bo ruszy za mną w pościg.

Adela patrzyła to na jednego, to na drugiego. W końcu postawiła słój na ławie i zdjęła z półki wysoką czarną flaszkę. Podała ją Garenowi.

– Nie muszę nic warzyć – powiedziała cicho. – To będzie lepsze.

– Ile? – Wyjął korek, przytknął flaszkę do nosa i skrzywił się z obrzydzeniem.

– Kwarta uspi go na jakieś dziesięć godzin.

– Zyskamy przewagę. – Garen podszedł do Willa. – Otwórz usta.

– Masz rację – szepnął Will. – Będę cię ścigał.

Szczęki Garena drgnęły.

– Ratuję ci życie, druhu. Pamiętaj o tym. – Stanowczo, choć nie brutalnie ujął go za podbródek.

Will szarpnął głową, lecz nie miał szans. Garen wetknął mu flaszkę do ust.

Wypełniła je gęsta ziarnista zawiesina. Próbował ją wypluć, ale wlało się więcej, a Garen złapał go za nos. Nie mógł oddychać. Połknął, omal się nie dławiąc śmierdzącą breją.

W końcu Garen wyprostował się i odstawił butelkę na stół.

– Kiedy zaśnie? – spytał.

– Niedługo.

Will zakaszłał. Trochę czarnej cieczy wypłynęło mu spomiędzy warg, plamiąc białą szatę. Otworzył oczy.

– Dlaczego to robisz? Po co ci ta księga?

– Nie mnie – odparł Garen, krążąc niecierpliwie po izbie. – Jemu.

– Komu?

Garen nie odpowiedział.

Po chwili Will poczuł się nieswojo. Chciał przemówić, ale żołądkiem targnął mu gwałtowny skurcz; pochylił się i zwymiotował na podłogę. Wyczerpany oparł się o łóżko.

Język miał spuchnięty i świerzbiący. Silne dreszcze swobodnie kursowały mu po plecach.

Mrowienie języka rozprzestrzeniło się na policzki, skórę głowy, kark. Poczul nieprzepartą chęć do śmiechu, roześmiał się więc. Śmiech był równie gwałtowny jak poprzednio wymioty, więc kiedy się uspokoił, miał oczy pełne łez. Osunął się niżej, jego euforia zmierzchła.

Ramiona i nogi zdawały się należeć do kogo innego; kogoś, kto postanowił wyciągnąć się na ziemi i w ogóle nie ruszać. Garen coś mówił, ale jego słowa nie miały sensu i raziły Willa w uszy. Próbował je odepchnąć, lecz udało mu się tylko nieznacznie poruszyć dłonią. Izba się chybotwała. Garen miał zniekształconą twarz, a ta kobieta, Adela, wielką czerwoną ranę w miejscu ust. Wszystkie kolory i kształty zlewały się w jedno.

– Dlaczego?... – próbował powiedzieć.

Odpowiedź nadeszła jak ze studni, głucha i zwielokrotniona echem.

– Nie uwierzysz, Will, ale naprawdę jest mi przykro.

Poczul, że spada w przepaść.

Adela nachyliła się nad nieruchomym ciałem i uniosła mu powiekę.

– Już – powiedziała.

– Dobrze. Powiem Krukowi, że go otruliśmy.

– Najpierw pomóż mi go rozwiązać.

– Dlaczego?

– Nie będę ryzykować, że ktoś tu wejdzie i zobaczy go w takim stanie. Jeśli będzie leżał w łożu, pomyślą, że jest pijany.

Garen pomógł jej zdjąć z Willa więzy. Kiedy we dwoje dźwigali go na posłanie, zapytała z obawą:

– Nie boisz się, że powie swoim braciom, co mu zrobiłeś? Mogą cię za to zamknąć w lochu.

Mocno już nadszarpnięte nerwy Garena zaczęły dawać za wygraną, gdy pomyślał o Merlanie. Słyszał – dawno temu, nie pamiętał już, od kogo – że była tam cela przeznaczona specjalnie dla zdrajców, tak ciasna i niska, że człowiek z trudem mieścił się w niej zgięty wpół. Pozostawiano więźnia samego, w ciemności, bez jedzenia i wody, aż skonał.

– Mówiłem ci już, że nie wracam do klasztoru – burknął. Zrzucił płaszcz i podszedł

do stołu, na którym leżała sakwa z jego skromnym dobytkiem i listem od wizytatora. –

Przyjadę po ciebie i wyruszmy gdzieś, gdzie nas nie znajdą. Możesz sprzedać tę budę albo ją po prostu zostawić, jak wolisz. I tak już tu nie wrócimy.

Zamilkł, pakując białą zakonną szatę. Postłyszał w myśli drwiący głos podobny do głosu stryja Jakuba: *A więc to tak? Rzucisz wszystko; swoje miejsce w zakonie, honor rodu, powinność wobec matki? Sprzeniewierzysz im się dla byle ladacznicy?* Potrząsnął ze złością głową i wepchnął płaszcz do sakwy.

– Już? – spytał Kruk, kiedy chwilę później wyszedł na podwórko z sakwą na ramieniu. Księżyc schował się za chmurą i w mroku Garen bardziej wyczuwał, niż widział, tłoczące się wokół przysadziste kształty beczek. Zawrócił i nieco uchylił drzwi.

– Tak – odpowiedział. Postłyszał ciche rzenie i zobaczył dwa konie przywiązane u wylotu uliczki za domem. Kruk podszedł do nich i przytroczył swoją sakwę do siodła.

– Skąd masz konie?

– Co robiłeś tak długo? – odpowiedział pytaniem tamten. Oczy zaśniły mu w mdłym świetle dolatującym z gospody wraz ze stłumionymi tonami muzyki.

– Otrułem go. Czekałem, aż umrze.

Kruk patrzył na niego długo, potem podniósł leżący na beczce pakunek i wetknął mu w rękę.

– Otrułeś? – powtórzył.

– Tak.

– Ryzykowna sprawa. Trucizna jest zawodna. Lepiej sam sprawdzę.

– Nie ma potrzeby! – rzekł pospiesznie Garen, ale Kruk już wszedł do sieni.

Adela przystanęła na progu dolnej izby ciasno splatając ramiona. Jak to możliwe, że wciąż uważała to miejsce za swój dom? Czuliła się tak, jak gdyby spadły jej łuski z oczu.

Rzeczy, które dawniej tylko trochę ją drażniły – szpary w zagrzebionych ścianach, plamy krwi i wymiocin na podłodze, łatanie kiecki jej dziewczyn – teraz wydawały się nie do zniesienia.

– Kazałaś, żeby ci powiedzieć, kiedy Dalmau pójdzie na górę. – Dorodna rudowłosa dziewczyna imieniem Blanka patrzyła na nią wyczekująco.

– Poślij mu Jakubinę – powiedziała Adela nieco ostrzej, niż zamierzała. Westchnęła, ruchem ręki wskazując rozbawionych kupców. – Muszę się uporać z tymi tu.

To był wykręt; Fabian bez trudu dałby sobie radę z pijaną kompanią. Ale Garen jeszcze nie odjechał, chciała się z nim pożegnać. Poza tym nie zniosłaby już dziś żadnego mężczyzny, a już zwłaszcza tęgiego rzeźnika o byczym karku.

– Jakubinę? – powtórzyła z powątpiewaniem Blanka. – Myślałam, że Dalmau woli doświadczone kobiety.

– Jest tak pijany, że nie zauważy różnicy. Gdyby się dąsał, powiedz, że może ją mieć za darmo. Jakubinie sama zapłacę. Podwójnie.

– Jak sobie życzysz.

Adela przeszła przez salę do tylnej sieni wiodącej do kuchni i na podwórze.

– Gdzie Garen? – spytała wyłaniającego się z mroku Kruka.

Blanka stanęła na palcach rozglądając się po izbie, aż wreszcie wypatrzyła dziewczynę siedzącą z mężczyznami w nieco cichszym kącie. Podeszła do niej.

– Zabawisz dziś kochanka pani Adeli.

– Ja? – przeraziła się blada czternastolatka o wielkich oczach i długich zwiniętych w pierścionki złotych włosach.

– Nic się nie martw – pocieszyła ją Blanka. – Będzie pijany jak bela. Zrób to, co ci pokazywałam, i raz-dwa będzie po wszystkim. – Pisnęła, gdy jeden z klientów zaszedł ją od tyłu i przycisnął do siebie. – No już, smaruj na górę! – zawołała do Jakubiny.

Dziewczyna ruszyła ku schodom. Wzięła głęboki wdech i z ociąganiem weszła na piętro, zostawiając za sobą wrzaski i głośnie śmiechy.

Wóz minął Sorbonę, szacowne kolegium teologii ufundowane przez kapelana królewskiego, i potoczył się zaułkiem w stronę oberży.

– To tutaj – doleciał z kozła głos Baldwina.

Nim jeszcze się zatrzymali, Elwina odrzuciła plandekę i lekko zeskoczyła na ulicę.

Przez okiennice obszernego budynku przedzierało się światło, piskliwe głosy kobiet i niższe, bełkotliwe mężczyzn. Na podwórzu przy ognisku też stało paru. Na widok Elwiny jeden z nich zrobił sprośny gest, a reszta ryknęła śmiechem. Z pewnym trudem udała, że tego nie widzi, i podeszła do drzwi.

– Hola, hola! – Baldwin zeskoczył z kozła i zabiegł jej drogę. – Dokąd to się panna wybiera?

– Poszukać mojego przyszłego męża – odparła sucho.

– Sam pójde go poszukać! – Baldwin chwycił ją za ramię. – Nie możesz tam wejść, bo potraktują cię jak ladacnicę. A jeśli chcesz naskarżyć na mnie dowódcy, proszę bardzo, wszystko mi jedno. Sam król by mnie powiesił, gdybym pozwolił cię tam wy.... hm, tego, no cóż, wybacz panno, ale wszyscy mężczyźni mają swoje potrzeby. – Ruchem głowy pokazał

grzejących się przy ogniu woźniców. – Kiedy widzą taką ładną dziewczeczkę, jedno im w głowie. Nic, tylko diabeł w nas siedzi. – Obrócił się do Szymona. – Chyba się ze mną zgodzisz, bracie?

Elwina nie dała Szymonowi czasu na odpowiedź. Strząsnęła z ramienia rękę Baldwina i oznajmiła:

– W takim razie lepiej chodźcie ze mną.

Na twarzy koniuszego odmalował się lekki podziw, ale Baldwin bynajmniej nie był

zachwycony. Mając wszakże do wyboru obezwładnienie Elwiny siłą, uległ i ruszył do drzwi gospody. Rąbek żółtego płaszcza dziewczyny szeleścił na zamarzniętych grudach błota.

Szymon także poszedł, zostawiając królewski wóz na środku uliczki, gdzie wyglądał bardzo nie na miejscu. Z bliska muzyka była znacznie głośniejsza. Elwina przystanęła onieśmielona, odetchnęła głęboko i pchnęła drzwi. Były zamknięte. Zapukała ostrożnie.

– Nie usłyszą. – Szymon odsunął ją i zaczął walić w drzwi pięścią.

Nie było odpowiedzi, choć okiennica w jednym z przyziemi poruszyła się. Załomotał

ponownie. Baldwin głośno sapnął z niezadowolenia, a Elwina przygryzła wargi. Drzwi jednak pozostały zamknięte.

– Ty go otrułaś? – spytał Kruk podchodząc.

– Pomogłam Garenowi – odparła Adela, starając się, by nie dosłyszał w jej głosie strachu. Spojrzała na drzwi. – Jest na zewnątrz? Chciałam się z nim pożegnać.

– Zrobisz to, ale najpierw sam sprawdzę, czy templariusz nie żyje. Zejdź mi z drogi.

Adela zebrała się na odwagę.

– Muszę się pozbyć ciała, zanim ktoś je zobaczy. Jedźcie już.

– Nie będę się powtarzał, dziewczko!

Popatrzyła na jego ospowatą twarz naznaczoną okrucieństwem i pogardą, na zło tłące się w przebiegłych czarnych oczach. Odraza i gniew przemogły lęk.

– Wynoście się stąd – warknęła ochryple – bo sama wezwę strażę i pokażę im, co zrobiliście.

– Grozisz mi? – spytał cicho.

– Dość tego. Dostałeś to, po co przyszedłeś, więc odejdz, a nikt się nie dowie.

W wąłym świetle jedyne kaganka z twarzy zbira nie dało się nic wyczytać.

Milczał przez chwilę, która wydawała się trwać kilka minut, choć pewnie zamknęła się w paru sekundach. Własny oddech wydawał się Adeli zbyt głośny. Dźwięk gęśli i śmiechy dobiegały jakby z bardzo daleka. W końcu Kruk ustąpił.

– No to bierz się do sprzątanania, dziewczko. Nie byłoby dobrze ani dla ciebie, ani dla nas, gdyby znaleźli tu trupa, prawda?

– Prawda – odparła zaskoczona jego uległością. Miała ochotę roześmiać mu się w nos. Zawrócił do wyjścia, a ona do izby, drżąc z ulgi. Z każdym jej krokiem muzyka brzmiała coraz głośniejsze. Sięgała już ręką do drzwi, kiedy czyjaś dłoń zatkała jej usta. Wydała zdławiony jęk, ciągnięta w tył, coraz dalej od światła i ludzi.

– Myślisz, że mnie zastraszysz? – syknął jej do ucha. – Chcesz mi dyktować, co mam robić? – Wiła się jak węgorz, ale trzymał ją mocno. – A potem doniosłabyś na mnie, szmato? – Wolną ręką wyszarpnął sztylet z pochwy. – Nic im nie powiesz!

Odgął jej głowę do tyłu. Nóż błysnął i z białej szyi kobiety trysnęła na ścianę fontanna kropel. Ciało zwisło mu w rękach, targane przedśmiertnymi drgawkami. Na pociemniałą od krwi czerwoną suknię kapnęła samotna łza.

Kruk kopniakiem otworzył drzwi do kuchni. Upewniwszy się, że jest pusta, wciągnął

tam ciało Adeli zostawiając na podłodze krwawą smugę. Wepchnął sztylet do pochwy, zamknął kuchnię i wszedł do zatłoczonej głównej izby gospody, gdzie ujrzał idącego mu naprzeciw Fabiana.

– Gdzie Adela? – Olbrzym patrzył nań z jawną nienawiścią.

– Nie wiem – odparł Kruk. – Sam jej szukam.

– Pod drzwiami jest strażnik królewski i jakiś templariusz. Będzie musiała do nich wyjść.

Kruk dostrzegł kątem oka, że ma krew na dłoni. Nieznacznie przesunął rękę za plecy.

– Templariusz? – powtórzył zaniepokojony.

– Tak – odparł zimno Fabian. – Pewnie po swego druha. – Zniżył głos i postąpił o krok bliżej. – Moja pani kazała mi traktować cię grzecznie, póki tu jesteś, ale jeśli sprowadzisz na nią jakąś biedę, nie będę jej słuchał.

– Zagadaj ich – rzekł prędko Kruk – a ja ją tymczasem znajdę.

Fabian zmarszczył brwi, przyglądając mu się bacznie.

– Lepiej się pospiesz. Nie mogę długo odmawiać wstępu człowiekowi króla.

Kiedy się odwrócił, Kruk dał nura do sieni i wypadł na podwórze.

– Jedziemy. – Schwycił wodze swego konia.

– Ale... Adela? – zająknął się Garen niepewny, czy Kruk dał się nabrać na jego podstęp.

– Zaczeka – warknął tamten, wskakując na siodło. – Teraz znikamy. Chyba że wolisz poczekać i wyjaśnić templariuszom oraz straży królewskiej, dlaczego na pięterku leży martwy rycerz?

Garen obejrzał się, lecz ustąpił. Wsiadł na konia. Pocwałowali uliczką, głuchy łoskot kopyt na zamarznętej ziemi poniósł się w ciemności.

– Próżno i darmo – mruknął Szymon odstępując od drzwi i zadzierając głowę, żeby zajrzeć w okna na piętrze. – Nie otworzą.

– Odsuń się, ja spróbuję – oznajmiła Elwina z determinacją. Zwinęła dłonie w pięści i nie bacząc na ból, zaczęła nimi walić w drzwi, krzycząc na cały głos: „Wpuśćcie mnie!”, aż Baldwin syknął i rozejrzał się z niepokojem. W pewnej chwili drzwi nagle się otworzyły i omal nie wpadła na potężnego mężczyznę, który w nich stanął.

– O co chodzi? – Spojrzał na nią z góry, marszcząc brwi.

Elwina wyprostowała się z godnością.

– Szukamy naszego przyjaciela.

– Będziecie musieli poczekać na niego na dworze. To nie jest zwykła gospoda.

– Wpuść tę damę, niech go znajdzie i zaraz sobie pójdziemy – rzekł podchodząc Baldwin.

– Jesteś tu z rozkazu króla?

– Nie! – zaprzeczył szybko Baldwin. – Prywatnie.

– A więc jako rzekłem, musicie poczekać na zewnątrz.

– Błagam! – krzyknęła Elwina, gdy drzwi znów zaczęły się zamykać. Szymon odsunął ją, wsadził stopę w szczelinę i napał ramieniem. Wdarłszy się do środka, wyrzwał

odźwiernego w podbrzusze. Tamten zwinął się z jękiem i opadł na kolana. Szymon z bijącym sercem wpadł do izby. Wyteżył wzrok, starając się omijać nim nagie kobiety. Willa nie znalazł, lecz zauważył wąskie schody wiodące na pięterko i ruszył ku nim nie czekając na Elwinę i Baldwina, którzy tymczasem wyminęli sponiewieranego odźwiernego i też weszli do środka.

Elwina zatrzymała się jak wryta na widok odbywającej się w gospodzie orgii, ale strażnik bez ceremonii pociągnął ją ku schodom.

– Chodźmy. Im prędzej stąd wyjdziemy, tym lepiej.

Szymon wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Na górze znalazł długi wąski korytarzyk oświetlony tylko jednym kagankiem. Wychodziło z niego ośmioro drzwi.

Spod niektórych sączyło się światło. Z rozmachem otworzył pierwsze. Zajmująca izbę para

zaskoczona usiadła na łożu. Puszczając mimo uszu oburzone okrzyki, koniuszy wycofał się i podszedł do następnych drzwi. Posłyszał za sobą kroki. Obrócił się i odetchnął z ulgą widząc, że to Elwina i Baldwin.

– Musimy sprawdzić we wszystkich izbach – rzekł do strażnika.

Baldwin ruszył w drugą stronę. Elwina zobaczyła, jak znikają za drzwiami, usłyszała pisk i spłoszona przycisnęła się do ściany, żeby przepuścić nagą dziewczynę, która wybiegła z izby i popędziła w dół po schodach, wrzeszcząc:

– Fabian!!!

Szymon był już prawie w końcu korytarza, gdy z kolejnych drzwi wypadł półnagi mężczyzna o byczym karku i staranował go z takim impetem, że obaj wpadli do izby naprzeciwko. Dały się z niej słyszeć odgłosy zaciętej bójki.

– Baldwinie! – zawołała Elwina.

Strażnik ruszył na pomoc koniuszemu. Na korytarzu zrobiło się tłoczno; coraz więcej ludzi ewakuowało się na dół. Z izby, w której zniknęli Szymon, Baldwin i potężny mężczyzna, dochodziły jęki i trzask łamanego drewna. Elwina stała bezradnie, nie wiedząc, co robić. Jej wzrok padł na ostatnie drzwi w korytarzu. Ruszyła w ich stronę, spodziewając się, że i z nich lada chwila ktoś wyjdzie. Pozostały jednak zamknięte. Pchnęła je i zatrzymała się w progu zadymionej komnatki oświetlonej tylko dogasającym żarem w palenisku.

Jej wzrok padł najpierw na wiszące naprzeciw lustro. Zobaczyła w nim podświetloną od tyłu rozczochraną sylwetkę. Prędko przyglądała włosy, które wysunęły się z upięcia. Jej wzrok przemknął po majaczącym w półmroku plecionym parawanie, półce zastawionej jakimiś garnkami, i w końcu padł na łoże stojące przy tej samej ścianie co drzwi. Napotkała spojrzenie wątlej bladej dziewczyny okrytej płaszczem wijących się złotych włosów.

Dziewczyna miała pod sobą mężczyznę; siedziała na nim okrakiem z kiecką podkasaną aż do pasa.

Elwinie zakręciło się w głowie. Leżący mężczyzna twarz miał odwróconą, ale poznała nierówno przyciętą czarną grzywkę, zarys szyi i podbródka. Poczula, że czyjeś ręce łapią ją za ramiona i odsuwają na bok.

Spłoszona toczącą się w korytarzu awanturą Jakubina nareszcie otrząsnęła się z osłupienia, zeskoczyła z łóżka i cofnęła się pod ścianę, patrząc z lękiem na ludzi, którzy wdarli się do izby. Szymon stanął jak wryty. Potem jednym susem dopadł łoża i obciągnął

Willowi zadartą koszulę.

Za plecami słyszał płacz Elwiny. Twarz Willa była szara, zniekształcona, usiana licznymi sińcami. Delikatnie uniósł mu powiekę. Oko było wywrócone białkiem do góry.

Will jęknął coś niewyraźnie. Szymon miał wrażenie, że słyszy imię Garena.

– Will! – Zawodzenie Elwiny przeszło w szloch; chciała podbiec do łoża, ale Baldwin, pozbywszy się tęgiego napastnika, przytrzymał ją w drzwiach. – Co z nim?

Dlaczego się nie budzi? Will!

Szymon znał te wywrócone do góry białkami oczy; widywał je u koni, które przed zabiegiem usypiano wywarem z maku. Czuł, że wzbiera w nim wściekłość.

– Co mu się stało? Szymonie, odpowiedz mi!

Zerknął na nią i wzruszył ramionami, spuszczać oczy.

– Nie wiem. Pewnie się upił.

– Nie! Przecież on by tego nie zrobił! Nie zrobiłby tego! – Elwina bezradnie wtuliła twarz w pierś Baldwina.

Strażnik wziął ją na ręce.

– Dość tego. Wracamy.

Elwina płakała tak mocno, że nawet nie protestowała, kiedy Baldwin wyniósł ją z izby, pozostawiając Szymona z Willem.

Po ich wyjściu Szymon trzęsącymi się rękami podciągał druhowi nogawkę i nałożył

buty. Czuł się zdruzgotany. Dziewka, skulona dotąd pod ścianą, nagle ożyła i czmychnęła z izby. Nie gonił jej. Zobaczył pochwę z falcjonem Willa i przypiął ją do pasa. Potem przerzucił sobie bezwładne ciało przez ramię. Zastanawiał się, gdzie się podział olbrzymi odźwierny i dlaczego z dołu też słyhać krzyki. Muzyka umilkła, dolna izba była prawie pusta. Grupa ludzi skupiła się przy tylnym wyjściu. Kobiety szlochały. Nikt nie zauważył, jak Szymon wymyka się z gospody niosąc nieprzytomnego rycerza.

34

Templum, Paryż

Trzeci dzień listopada roku Pańskiego 1266

Will śnił, że jest w łódce. Łowił z ojcem na jeziorze. Ruch wody uspokajał, a ojciec wciąż wyciągał olbrzymie, okryte srebrzystą łuską ryby, których jednak nie wrzucał do łodzi.

– A to ślicznotka! – wykrzykiwał, odczepiał je z haczyka i wypuszczał z powrotem do wody.

Willowi nie brały. Widział, jak tuż pod powierzchnią jeziora kłębi się gęsta lśniąca ławica, ale jego haczyk wciąż był pusty.

– Masz kiepską przynętę – stwierdził autorytatywnie ojciec.

Czuł mdłości. Kołysanie przybierało na sile, ryby śmigały coraz szybciej, wprawiając łódź w ruch obrotowy. Ojciec śmiał się i wyciągał je całymi garściami.

Will poczuł, że spada, i obudził się nagle, chwytając się kurczowo pryczy. Był

pewien, że za chwilę zwymiotuje. Mrugając spoglądał na sufit, aż w końcu nieprzyjemna sensacja minęła. Miał spuchnięty język i paskudny smak w ustach. Spróbował przełknąć ślinę, ale gardło było całkiem suche i krtań odpowiedziała dotkliwym bólem. Wszystko było nie tak: światło, dziwaczne cienie stojących wokół sprzętów, miękkość koca, w który był

owinięty. Nawet zapach własnego potu wydał mu się nieznamy. Usiadł powoli; dzienne światło bijące przez szparę w zasłonie niemile zakłuło go w oczy. Ciało miał obolałe i chociaż był spocony, dygotał z zimna. Szczękając zębami odsunął koc i spuścił nogi z pryczy.

Rozejrzawszy się po pomieszczeniu, uświadomił sobie, że je zna. Był u Ewerarda.

Drzwi komnatki otworzyły się.

– Obudziłeś się – stwierdził ksiądz na jego widok. – To dobrze.

Zamknął drzwi za sobą i podszedł do ławy pod oknem, na której położył dwie duże sakwy. Jedna była pusta, druga czymś wypakowana. Will poczuł zapach świeżego chleba.

Ewerard wziął ze stołu dzban i przystanął, by wolną ręką podnieść ze stołka zwój białej tkaniny. Rzucił ją na pryczę. Była to biała tunika bez rękawów, taka, jaką rycerze nosili pod płaszczami.

– Brat sukiennik przyniósł ją dziś rano – mruknął. – Powinna pasować. – Podał

Willowi kielich. – Wypij to i ubierz się.

Will wziął od niego puchar wypełniony ciemnym płynem. Wspomnienia minionej nocy opadły go chaotycznym tłumem.

– Co się ze mną działo?

– A co pamiętasz?

– Garena. – Spróbował wstać, ale nogi ugięły się pod nim i opadł z powrotem na posłanie.

– Szymon mówił mi, że kilkakrotnie wymawiałeś jego imię – podchwycił Ewerard. –

Był w gospodzie?

– Poszedłem tam, żeby spotkać się z Elwiną – zaczął powoli Will, usiłując wyłuskać sens z pomieszanych obrazów. Zerknął na księdza, ale ten powstrzymał się od komentarza. –

Posłała mi wiadomość. A przynajmniej powiedziano mi, że wiadomość jest od niej. Ale kiedy tam wszedłem, ktoś... – Will zmarszczył brwi. – Ktoś na mnie napadł. Był w masce. Wiedział

o Księdze Graala.

Delikatnie obmacał palcami twarz. Wargi były dwa razy grubsze niż zwykle, a na czole sterczał potężny guz. Nacisnął go delikatnie i syknął z bólu.

– Bił mnie. Dość długo. Chyba w końcu powiedziałem mu o Mikołaju z Nawarry, bo potem już go nie widziałem. A potem wszedł Garen z jakąś kobietą. – Will skinął głową.

Wspomnienia stopniowo nabierały wyrazistości. – Oni byli tam razem, Garen i ten mężczyzna. – Zerknął na Ewerarda. – Skąd Garen wiedział o księdze? Czy Jakub wtajemniczył go w sprawy Anima Templi?

Ewerard westchnął.

– Wydawało mi się to niemożliwe, ale nie potrafię sobie wyobrazić innego źródła.

Zapamiętałeś tego drugiego człowieka?

– Nie. Już mówiłem, miał zasłoniętą twarz. – Will zawahał się. – Kruk; tak nazwała go ta kobieta. Garen zmusił mnie do wypicia czegoś. Potem już niewiele pamiętam, tylko otwierające się drzwi i światło. – Will zmarszczył czoło. – I głos.

Z niepamięci wypłynął obraz dziewczyny o złotych wijących się włosach, blada ściągnięta twarz widoczna w świetle ognia. Puchar wysunął się z ręki Willa i brzęknął

uderzając o posadzkę.

– Ta kobieta... – wychrypiał – ona...

Nie dokończył. Zrobiło mu się niedobrze. Ewerard zdawał się jednak rozumieć.

Pochylił się i podniósł pucharek.

– Dostaniesz rozgrzeszenie. Nie trap się złamaniem ślubu. Nikomu nie powiem.

– Elwina! – Will poderwał głowę. – Ona tam była! Słyszałem jej głos!

– Wiem. Szymon mówił mi o tym.

Will wstał na chwiejnych nogach i zaczął się rozglądać za swoją odzieżą. Koszula leżała na stołku, pod którym stały jego buty.

– Co robisz? – spytał obserwując go Ewerard.

Will wciągnął koszulę przez głowę.

– Gdzie jest mój tasak?

– Wilhelmie...

– Gdzie mój cholerny tasak?!!

Ewerard cofnął się o krok.

– Tam – rzekł, wskazując na jedną ze skrzyń.

Will porwał broń i prędko nałożywszy tunikę – rzeczywiście pasowała – przytroczył ją do pasa.

– Co masz zamiar zrobić?

– Muszę się zobaczyć z Elwiną. – Will zaszczekał zębami i prędko zamknął usta, żeby je uciszyć. – Wytłumaczyć jej.

– Nie mamy na to czasu. – Ewerard mówił spokojnie, lecz stanowczo. – Mikołaj już ma nad nami cały dzień przewagi, a jeśli się nie mylisz, to Garen i ten mężczyzna, który tak cię pobił, też go ścigają. Szymon przyniósł cię tu z oberży. Osiodłał już konie i czeka na nas na zewnątrz. Pojedzie z nami. Marszałek zgodził się, żebym zabrał go jako pachołka.

– Powiedziałaś Szymonowi o Anima Templi?

– Nie. Ale dowiedział już, że potrafi być przydatny, a poza tym wie o Mikołaju.

Wizytator sądzi, że jedziemy do Blois przejrzeć pewien ważki traktat o żegludze morskiej.

Powiedziałem mu, że Mikołaj musiał pilnie wyjechać. Ostatnie czego nam teraz trzeba, to dochodzenie w sprawie jego zniknięcia.

– Nie mogę teraz opuścić Paryża. – Will rozejrzał się za płaszczem. Znalazł zwinięty w nogach łóżka i narzucił go na ramiona. Potem ruszył do drzwi.

Ewerard zastąpił mu drogę.

– Jeśli Elwina darzy cię równym uczuciem, przebaczy ci. Niezależnie od tego, czy wyjaśnisz jej wszystko dziś, jutro czy za tydzień.

– Zejdź mi z drogi, Ewerardzie – rzekł sucho Will. – Nie masz już nade mną władzy.

Kapelan złapał go za ramię.

– Garen zadał ci truciznę i wsadził cię do łóżka z jakąś brudną zdzirą, kto wie, czy nie chorą na ospę!

Masz zamiar puścić mu to płazem?

Will usiłował go odepchnąć, ale nie miał dość siły. Słowa Ewerarda paliły go w uszy, budziły mdłości.

– Przestań! – Głos mu się załamał. – Nie mów tak! Nie chcę tego słyszeć!

– Kazał tej dziewczce cię zgwałcić! – syknął Ewerard; jego przekrwione oczy zwięzły się w gorejące szparki. – Ladacznicą odebrała ci cnotę!

– Milcz!

– Przez niego złamałeś ślub złożony Świątyni w imię świętej pamięci twojego ojca!

– Ewerard złapał Willa za ramię i potrząsnął nim. – Masz zamiar puścić mu to płazem?

– Ja go zabiję! – Will zatoczył się i zwałił wprost na księdza.

Dygotał; twarze dziewczki z oberży, Garena, ojca i Elwiny pływały i mieszały mu się przed oczami.

Ewerard zachwiał się pod jego ciężarem, ale ustał.

– Znajdziemy go – szepnął Willowi do ucha. – Ja odzyskam księgę, a ty zobaczysz Garena na szubienicy. Przysięgamy, że do tego doprowadzę.

Nieopodal Orleanu

Piąty dzień listopada roku Pańskiego 1266

Od dwóch dni ścigali Garena i Kruka drogą zbudowaną ongiś przez Cezara, dążąc stopniowo na zachód w kierunku La Rochelle. Pierwszego dnia zrobili spory kawał drogi i gdy zatrzymali się na noc w Etampes, zamożnej osadzie tkaczy, spotkała ich nagroda, dowiedzieli się bowiem, że tegoż popołudnia widziano przejeżdżającego templariusza w towarzystwie drugiego mężczyzny. Ewerard miał nadzieję opóźnić Kruka i Garena w drodze albo ich wyprzedzić. Wówczas bez większych przeszkód dotarliby do La Rochelle i tam osaczyli Mikołaja.

W Etampes zajęli razem izbę w gospodzie. Oberżysta widząc templariuszy zaprosił

ich na pieczone z dzika, które spożywał z rodziną na wieczerzę. Tłuste mięsiwo zaszkodziło Willowi na żołądek; nazajutrz ku irytacji Ewerarda co rusz musiał się zatrzymywać, przez co podróż znacznie się spowolniła. Gardło bolało go coraz bardziej, aż w końcu prawie nie był w stanie przełykać, z nosa i oczu bez przerwy mu ciekło; jechał prawie po omacku. Mimo że było przenikliwie zimno, wciąż się pocił, a drugiej nocy, którą spędzili na wyżce wiejskiej obory, rzucił się i mówił przez sen, wciąż ich budząc. Szymon przyglądał mu się z niepokojem. Ale Ewerard zanadto był skupiony na pościgu, żeby zwrócić uwagę na raptownie pogarszający się stan Willa.

– Przejdzie mu za dzień lub dwa – warknął ze zniecierpliwieniem, kiedy około nony zatrzymali się na

popas i Szymon pokazał mu gorączkowe wypieki na policzkach Willa.

Rozsiedli się w karłowatym lasku nad potokiem wezbranym po niedawnych deszczach. Brzegi miał płaskie, można więc było wygodnie napić konie. Powietrze zamgliała lekka mżawka, a chmury wisiały nisko na niebie. Wokół było buro, mokro i zimowo.

Will zszedł na brzeg potoku, żeby napełnić bukłaki. Szymon wziął wodze od Ewerarda, który wyjął z sakwy chleb i ser i położył je na pniaku. Patrzył na Willa ciągnącego bukłaki pod bystry prąd. Od wyjazdu z Paryża kilkakrotnie próbował zacząć z nim rozmowę.

Za każdym razem język stawał mu kołkiem i nie mógł nic wydusić. Usiłował pozbyć się z pamięci zrozpaczonej twarzy Elwiny, ale obraz wciąż wracał. Kłamstwo, że Will się upił, wymknęło mu się z ust tak łatwo, a potem było już za późno, by je odkręcić. Teraz patrząc na Willa myślał tylko o tym, że go zdradził.

– Weźże, napój konie! – warknął ze złością Ewerard wrywając go z apatii. Sam podreptał w krzaki.

Szymon sprowadził zwierzęta na brzeg. Zanurzyły pyski w wodzie. Poklepał po bokach gniadą klaczkę niosącą oprócz niego większość juków i kątem oka zerknął na Willa. Z

gardła wyrwał mu się okrzyk. Will zdjął płaszcz i tunikę, rzucił je niedbale na błotnisty brzeg, a teraz ściągał koszulę. Nie reagując na krzyk Szymona, zzuł buty i wszedł po pas w ciemną, spienioną lodowatą wodę.

Szymon zostawił konie i popędził wzdłuż brzegu.

– Will! Wyłaź stamtąd!

Will nawet się nie obejrzał. Ochlapывał wodą ramiona i pierś, mocno trąc nagą skórę.

Szymon zaklął, zrzucił buty i na przemian złorzecząc i pojękując wszedł do wody, walcząc z silnym prądem.

Na tle brunatnego nurtu skóra młodego rycerza wydawała się śnieżnobiała, znaczyły ją tylko jaskrawoczerwone wypieki na policzkach. Kiedy Szymon chwycił go za ramię, obejrzał się. Jego zielone oczy były rozszerzone i nieprzytomne.

– Muszę się umyć – wymamrotał.

– To wyjdź na brzeg, namoczę ci płótno! – syknął Szymon. Chłód przeszywał go jak ostrze kosy. Will pobrodził głębiej; mimo gorączki miał zaskakująco dużo siły i Szymon musiał dobrze się zaprzeć, żeby go powstrzymać. – Proszę cię, Will! Obaj zaziębimy się na śmierć!

– Widzę ją, ilekroć zamknę oczy!

– Elwinę? – Szymon uświadomił sobie, że sam opiera się na chorym druhu. Nie czuł

już stóp ani łydek.

Tamten spojrzał na niego jakby nieco przytomniej.

– Myślałem, że to ona. Szymonie, wziąłem tamtą dziewczynę za nią. Pożądałem jej.

Dotykałem jej i.... – Potrząsnął głową niczym w obłądnie. – A potem, kiedy ujrzałem jej twarz, jej prawdziwą twarz, chciałem jej powiedzieć, żeby przestała, uwierz mi, naprawdę próbowałem, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Wciąż czuję na sobie jej zapach i nie mogę go znieść!

– Nie przejmuj się tym – mruknął pocieszająco Szymon podnosząc głos, bo jego słowa tonęły w głośnym szumie rzeki.

– Elwina mnie widziała.

– Kiedy odbierzemy nareszcie tę księgę i wrócimy do Paryża, wszystko jej wytłumaczysz.

– Co jej powiem? Ze wychędożyłem sprzedajną dziewczkę myśląc, że to ona?! – Z

gardła Willa dobył się urywany szloch. – Dlaczego odeszła? Przecież musiała wiedzieć, że ja bym tego nie zrobił? Nic z tego rozumiem!

– Elwina ci przebaczy. – Szymon zająknął się, targany sprzecznymi uczuciami.

Chciał, aby to okazało się prawdą; rozpaczliwie pragnął naprawić swój błąd i zmazać winę.

Słowa więzły mu w gardle. – A jeśli nie, może i tym lepiej – wykrztusił.

– Jak to: lepiej?!

– Czasem nieszczęścia nie dzieją się bez powodu, prawda? Decyzja o ożenku była trochę... pochopna. Może powinienes jednak zaczekać i upewnić się, że tego właśnie chcesz?

– Nie mogę czekać! – Will raptownie zawrócił w stronę brzegu, lecz pośliznął się i poszedł pod wodę. Szymon złapał go i wyciągnął dławiącego się i kaszlącego. Odzyskawszy dech, Will chwycił go za ramiona i krzyknął: – Nie rozumiesz? Czekałem, aż ojciec mi przebaczy, a on tymczasem umarł! Nie mogę kazać jej czekać!

Nogi ugięły się pod nim i przyjaciel ledwie zdążył go podtrzymać.

– Puść mnie – szepnął zamierającym głosem Will.

– Nigdy w życiu – odparł stanowczo Szymon, holując go w stronę brzegu. Rycerz nareszcie przestał się opierać i mógł go wyciągnąć z wody.

Ewerard wyszedł zza krzaków w chwili, gdy obaj, mokrzy i dygoczący, padli w nadbrzeżne błoto.

– Co wy wyprawiacie! – krzyknął.

Rozpalili ognisko, by się wysuszyć i ogrzać. Koniuszy w milczeniu znosił gniewne wymówki księdza wściekłego na nich obu za niepotrzebny przestój. Will był półprzytomny i niewiele do niego docierało. Kiedy Ewerard pomstując pakował juki, Szymon usiłował

nakłonić chorego, by zjadł chociaż kęs chleba – bez skutku. Od wyjścia z wody Will rozwierał zaciśnięte szczęki tylko po to, żeby się wykaszleć. Szymon ze strachem słuchał

rzęzących odgłosów. Jego ojciec nazwałby taki kaszel cmentarnym.

W końcu Ewerard zdeptał wąż ognisko i ruszyli w dalszą drogę, mając nadzieję dotrzeć przed wieczorem do Orleanu. Will był za słaby, żeby utrzymać się w siodle, toteż Szymon siedł za nim, podtrzymując go mocno ramieniem. Ewerard prowadził jucznego konia, od czasu do czasu mamrocząc coś pod nosem. Poruszali się straszliwie powoli, ale udało im się wjechać do miasta przed zamknięciem bram.

Byli ostatni; wyprzedzał ich jeszcze niewielki kupiecki orszak. Strażnicy bramni ponaglali ich niecierpliwie; brona opadła dosłownie tuż za ich plecami. Zmierzchające niebo nad labiryntem dachów, wież i wieżyczek miało szarozieloną barwę, a zanim zmyliwszy parokrotnie drogę Ewerard doprowadził ich do komandorii Templum, zaczęło padać.

Orleańska placówka mieściła się w niewielkim obwałowanym dworze nad Loarą, miała wszakże własną kaplicę, stajnie i kawałek ziemi. Komandor osobiście ich powitał. Willa natychmiast zabrano do infirmerii. Ewerard poszedł za nim, a Szymona zaprowadzono na kwaterę.

Czekał niecierpliwie w ciasnej izbie, wyglądając przez wąskie jak strzelnica okno, przez które wpadał zimny wiatr i słonawy odór rzeki. Poza stołkiem w izbie była tylko wąska prycza i nocny kubeł. Szymon uświadomił sobie, że czeka go nocleg na podłodze.

Kiedy chwilę później wszedł Ewerard, wstał.

– Co z Willem, panie? – spytał nieśmiało.

– Co? – Ewerard opadł ciężko na stołek. – A. Niedobrze.

– Czy... czy ta dziewczka czymś go zaraziła?

– Nie sędzę. Ma silną gorączkę. Infirmariusz twierdzi, że przejdzie mu za kilka dni.

Księżyc jest w odpowiedniej kwadrze, więc puścili mu krew.

Młodzieniec kiwnął głową nieco uspokojony.

– Będziesz musiał jechać dalej sam – rzekł nagle Ewerard.

– A... ale.... – Szymon rozdziawił usta.

– Musimy odebrać tę księgę szpitalnikom. – Kapelan nie dopuścił go do głosu. –

Jeśli Mikołaj z nią odpłynie, już nigdy jej nie zobaczę!

Otworzył jedną z przyniesionych sakw i wyjął z niej ciężki trzos oraz długi myśliwski nóż.

– Weź to – wepchnął oba przedmioty Szymonowi w ręce. – Jest tu dość złota na pięciokrotną podróż do La Rochelle i z powrotem. Jedź prosto do naszego tamtejszego domu i powiedz rycerzom, że joannici skradli z paryskiego preceptorium bardzo ważną księgę.

Wytłumacz im, dlaczego jesteś sam. Niech zatrzymają Mikołaja z Nawarry, a także Garena z Lyonu i jego współnika, jeśli się tam pokażą. Will i ja dołączymy do ciebie, gdy tylko będzie to możliwe.

Szymon popatrzył osłupiały na trzos, potem na nóż, a w końcu na księdza. Nie znał

tutejszego języka, jego łacina zaś pozostawiała wiele do życzenia. Ledwie umiał się podpisać, liczył na palcach, a broń trzymał w ręku tylko w paryskich stajniach, gdy ćwiczył z Willem.

Tymczasem ten oszalały klecha żądał od niego, żeby wziął więcej złota, niż widział przez całe życie, i ruszył w pościg za dwiema grupami uzbrojonych ludzi. Szymon nie wiedział, ile mil dzieli go od wybrzeża, ale Ewerard mógłby równie dobrze kazać mu iść pieszo do Jerozolimy. Ogarnęła go rozpacz.

– Ja... nie dam rady, panie – wyjąkał. – Może ty byś pojechał, a... a ja zostanę z Willem i przywiozę go, kiedy...

– Nie bądź śmieszny! – warknął Ewerard. – Będziesz się poruszał znacznie szybciej ode mnie. Już i tak mamy za duże opóźnienie. Musisz dotrzeć do La Rochelle, zanim Mikołaj wsiądzie na statek. Will i ja wkrótce za tobą podążymy. – Zmienił ton na błagalny. – Nie mam nikogo innego, Szymonie. Jeśli tego nie zrobisz, Garen nie zostanie ukarany za krzywdę wyrządzoną Willowi. A Will wtedy już nigdy nie zazna spokoju.

35

Komandoria templariuszy w Orleanie

Drugi dzień lutego roku Pańskiego 1267

Will odprowadził wzrokiem długi rząd kobiet schodzących w dół do katedry.

Stulonymi dłońmi osłaniały płomyki świec przed zimnym wilgotnym wiatrem marszczącym wody Loary. Przypadało właśnie święto Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny i w całym chrześcijańskim świecie niewiasty, które w minionym roku powiły dziecko, szły prosić Matkę Bożą o zdrowie i dalsze łaski. Wotywnie świece poświęcone przez księży miały posłużyć do mszy w nadchodzącym roku.

Odwróciwszy się od okna, ujrzał przelotnie swoje odbicie w misce z wodą stojącej na ławie obok

pryczy. Policzki miał wpadnięte, oczy podbite, brzuch głęboko wklęsnięty pod żebrami. W ciągu trzech miesięcy stracił prawie jedną trzecią swojej wagi. Gorączka była tylko wstępem do ciężkiej choroby płuc, która omal nie wyprawiła go na tamten świat. Teraz obok szram po dyscyplinie Ewerarda miał na plecach szereg świeżych blizn po nożu infirmariusza, który nacinał mu skórę, by wypuścić złe humory z klatki piersiowej. W małej izdebce unosił się zapach ruty i olejku laurowego używanych do opatrywania ran. Przez trzy miesiące leżał rozgorączkowany, spocony, prawie nieprzytomny; spuszczano zeń całe garnce krwi i wraz z ubytkiem życiodajnego płynu opuszczały go gniew, żaloba i poczucie winy, pozostawiając wyjałowioną łupinę – półtrupa, który nie był w stanie samodzielnie zjeść ani się ubrać, ani wykrzesać z siebie jakichkolwiek uczuć.

Jednakże od dwóch tygodni kaszel męczył go coraz rzadziej. Z nadejściem nowiu zaprzestano puszczania krwi i policzki Willa zaczęły odzyskiwać normalną barwę. A wraz z siłami powracały wspomnienia – i gniew. Gniew inny niż dawniej; zimny, lecz silniejszy. To on przez kilka ostatnich nocy nie dawał mu zmrużyć oka, zagłuszając nawet ukłucia smutku, jakie odczuwał, ilekroć zaczynał myśleć o Elwinie.

– Widziałeś procesje?

– Tak – odparł, nie odwracając głowy.

Szymon wszedł do izby niosąc czarkę gorącego rosółu i kubek „jagnięcego runa” –

napoju z pieczonych jabłek, piwa, miodu i gałki muszkatołowej.

– Wieczera – oznajmił wesoło, puszczając mimo uszu kwaśny ton Willa i nogą przymknął za sobą drzwi. – Usiądź, to cię nakarmię.

– Dam sobie radę. – Drgnienie zaciśniętych szczęk było jedynym widocznym znakiem irytacji chorego. Coraz bardziej drażniła go opiekuńczość Szymona, a i ciasna izdebka, w której był uwięziony, nie poprawiała mu nastroju. O mdłości przypominał go smród własnego potu, którym przesycone były koce, siennik, wszystko włącznie z powietrzem, którym oddychał. Miał dość chorobliwie sinego nieba za oknem. Ujął czarkę w obie dłonie, siadł na pryczy i zaczął popijać rosół. Gorący płyn rozgrzał mu przełyk i pierś, znosząc wrażenie duszącego ucisku.

– Brat Jan mówi, że pod koniec miesiąca będziesz mógł wsiąść na konia – rzekł

Szymon po długim milczeniu wypełnionym tylko śpiewem ciągnącej za oknem procesji.

Will kiwnął głową. Brat Jan sam mu to powiedział dzisiaj rano. Ewerard, który przyszedł wysłuchać diagnozy, był uszczęśliwiony. Will wiedział od Szymona, że w czasie jego choroby Ewerard zachowywał się jak człowiek opętany. Przez ostatnie kilka tygodni miotał się po infirmerii jak wilk w matni, przeglądając wszelkie dostępne mapy lądowych i morskich szlaków do Ziemi Świętej.

Will leżał jeszcze nieprzytomny w zachłannych szponach gorączki, gdy tuż przed przesileniem zimowym Szymon wrócił z La Rochelle. Jego podróż do portu rozpoczęła się dobrze i nadrobił nieco

opóźnienia, posuwając się w dobrym tempie wzdłuż Loary w stronę Blois. Jednakże niedaleko Tours jego koń pośliznął się na mokrym kamieniu. Szymon doprowadził okulałe zwierzę do miasta, gdzie musiał wydać część pieniędzy Ewerarda na nowego wierzchowca. Związane z tym opóźnienie, a następnie kilka dni bardzo złej pogody sprawiły, że dotarł do La Rochelle znacznie później, niż planował. Nie znalazł tam Garena, natomiast bez trudu uzyskał wieści o Mikołaju.

Powiadomiony o kradzieży dokonanej w Paryżu seneszał komandorii wysłał dwóch rycerzy do klasztoru Świętego Jana z żądaniem, aby wydano im przestępcę. Szpitalnicy wyparli się wiedzy o księdze, następnie zaś chłodno poinformowali templariuszy, że spośród czterech rycerzy przybyłych niedawno z Paryża trzech wyruszyło już w drogę powrotną, czwarty zaś, Mikołaj z Akki, odpłynął statkiem przed sześcioma dniami. Nie chcąc zaostrezzać już i tak kiepskich stosunków z joannitami, seneszał oznajmił Szymonowi, że nic więcej nie może zrobić. Dalsze postępowanie w tej sprawie zależeć będzie od decyzji wizytatora Francji.

Po powrocie koniuszego Ewerard chciał natychmiast ruszać na południe, ale Will był

w tak złym stanie, że nie można było w ogóle myśleć o podróży. Ponadto Szymon poinformował zdenerwowanego księdza, że następny statek przeprawi się przez morze dopiero wiosną. Miał nim być wojenny okręt templariuszy „Sokół”, pierwszy z floty, którą oddelegowano na wschód po upadku Safedu. Ewerard posłał do Paryża list, w którym donosił, że udadzą się do Akki – on sam na pielgrzymkę, a Will i Szymon, aby wesprzeć tamtejszą załogę.

– Tak sobie myślę... – bąknął Szymon przyglądając się, jak Will pije bulion – czy koniecznie musimy jechać do tej Akki? Przecież tam jest wojna. Nie potrafię nawet dobrze trzymać miecza, sam wiesz.

– Ja już postanowiłem. – Will otarł usta wierzchem dłoni. – Ale ty nie musisz jechać.

– Owszem, muszę. Ewerard się o ciebie nie zatroszczy.

– Nie trzeba się o mnie troszczyć.

Szymon westchnął ciężko.

– Ledwie stoisz na nogach. Droga do La Rochelle zajmie nam kilka tygodni, a potem spędzimy Bóg wie ile czasu na statku. Nawet jeśli dotrzemy cało do Ziemi Świętej, to jak znajdziemy Mikołaja albo Garena, jeśli w ogóle tam są?

Will podniósł się i podszedł do okna. Oparł dłonie na parapecie, przymknął oczy, ostrożnymi łydkami wdychając mroźne powietrze. Jego blada łuszcząca się skóra łaknęła skwarne słońca Palestyny. Jego dusza łaknęła zemsty. Saraceni odebrali mu ojca, a Mikołaj z Nawarry odebrał mu ostatnią szansę spełnienia jego woli, a zarazem odkupienia grzechów.

Jeśli joannitom uda się zniszczyć Duszę Świątyni i wraz z nią cały zakon, wówczas rzeczywiście śmierć ojca stanie się próżnym gestem, wojna zaś będzie szaleć dalej, niepowstrzymana. A Garen? Stary przyjaciel, chłopiec, który ongiś potrafił przegnać cień?

Garen odebrał mu to jedyne, co mu zostało: Elwinę.

Otworzył oczy.

– Ja ich znajdę – powiedział; nie wiadomo, do siebie czy do Szymona.

CZĘŚĆ TRZECIA

36

Dom zakonny szpitalników Świętego Jana w Akce

Osiemnasty dzień stycznia roku Pańskiego 1268

W Akce było chłodno, choć i tak znacznie cieplej niż o tej porze roku w Europie. Na widocznej z dali górze Karmel przysiadły indygowo chmury, zdobiąc ciemną koroną bladożółtą równinę. Przejrzyste pasma deszczu zwieszały się z nieba niczym welon, odpływając powoli na zachód. Mikołaj z Akki obserwował je przez okno wieży szpitala Świętego Jana. Do jasnej przestronnej komnaty wdzierał się smród i gwar bydłęcego targu znajdującego się tuż za murami klasztoru. W samym domu zakonnym też panował ruch; bracia prowadzili właśnie dwóch mężczyzn, z których jeden ciężko opierał się na drugim.

Mikołaj wychował się w Akce i jak sięgał pamięcią, w przytułku – założonym podobnie jak sam zakon dla opieki nad chorymi pielgrzymami – zawsze był tłok. Teraz większość łóżek pozostawała pusta. Z jednej strony był to powód do radości; z drugiej – świadectwo, że nie tylko chorych, ale w ogóle chrześcijan jest tu coraz mniej.

Odwrócił się od okna i zerknął na mahoniowy pulpit, pod którym leżała niewielka, skromnie oprawna w welin księga, zysk dziesięciu lat jego życia. Na pulpicie stał kałamarz i pergaminy klerka piszącego pod dyktando wielkiego mistrza joannitów, Hugona z Revelu.

Ten smukły mężczyzna w średnim wieku ze schludnie przystrzyżonym wąsem i brodą siedział wyprostowany w wysokim krześle. Klerk przycupnął na skraju wyściełanej ławy, jak gdyby nie chciał prezentować się zbyt swobodnie na wygodnym siedzisku. Mikołaj, kryjąc niecierpliwość pod maską chłodnego opanowania, wyjrzał znów przez okno.

Czekał na to spotkanie prawie pięć miesięcy, niemal od powrotu do Akki zeszłego lata. Zszedłszy z okrętu udał się wprost do klasztoru i wręczył mistrzowi przywiezioną Księgę Graala. Niewiele później spór między kupcami z Wenecji i Genui dotyczący zarządu nad miejskim portem przerodził się w wojnę domową, która trwała do jesieni. Hugo, jako jeden z licznych współwładców miasta pochodzących bądź to z wyboru, bądź z uzurpacji, był

zanadto zajęty łagodzeniem konfliktu i likwidacją szkód, by się z nim spotkać – aż do teraz.

– W sumie więc wysyłam dwudziestu rycerzy dla wzmocnienia załogi naszego domu w szlachetnym mieście Antiochii... – Wielki mistrz przerwał i palcem wskazującym popukał

się w brodę. – W Bogu załuję, iż nie mogę ci dać liczniejszego wsparcia, lecz jak wiesz, w

minionych latach wielu nas poległo...

Klerk podniósł głowę, czubek pióra zawisł na chwilę w powietrzu, potem znów poskrzypując zaczął sunąć po pergaminie.

– Dodaj pozdrowienia i wyślij razem z resztą – zakończył mistrz.

– Tak, panie. – Klerk zebrał arkusze, pióro i kałamarz i wyszedł z komnaty, stąpając bezgłośnie po różowo-zielonym jedwabnym chodniku nakrywającym posadzkę z białego kamienia.

Hugo spojrział na Mikołaja i gestem wskazał ławę.

– Usiądź, bracie.

Rycerz usiadł nie tak sztywno jak klerk, ale też nie całkiem swobodnie. Kiedy przybrawszy fałszywe nazwisko Mikołaja z Nawarry wyjeżdżał do Europy, Hugo był jeszcze zwykłym rycerzem zakonu tak jak on. Przyjrzał mu się uważnie. Pomimo delikatnej budowy Hugo z Revelu był człowiekiem twardym; przywodził na myśl wierzbową witkę, przez którą przetknięto stalowy trzpień. Mikołaj widział błysk tej stali w jego oczach, gdy pięć miesięcy temu odwiedził go po raz pierwszy; dziś ujrzał go ponownie.

– Mimo woli słyszałem twoje słowa, mistrzu – powiedział. – Wysyłamy rycerzy do Antiochii?

Wielki mistrz odrzucił na poręcz krzesła połę czarnego płaszcza z białym krzyżem i splótł na kolanach szczupłe dłonie.

– Rozsyłamy ich wszędzie, bracie. Otrzymałem wieści od naszego szpiega w Kairze.

Bajbars planuje nową kampanię jeszcze w tym miesiącu. Niestety zlikwidował przecieki i nie udało nam się zdobyć wiarygodnej wskazówki, gdzie uderzy najpierw. Przez ostatnie kilka lat jego głównym celem była Akka. Odparty, odchodzi i wywiera krwawą zemstę na mniej warownych osadach, a tych z roku na rok jest coraz mniej. Teraz jednak szczególnie martwi mnie Antiochia. To jeden z najbardziej łakomych kąsków, jakie pozostały do zdobycia, a skoro wojskom ma przewodzić sam Bajbars, bardzo wątpię, czy księciu Boemundowi uda się po raz wtóry wykupić od zguby.

Mikołaj przyznał mu rację. Od jednego z braci dowiedział się o podjętej czternaście miesięcy temu próbie zdobycia Antiochii. Gdy oddziały egipskie zjawiły się pod murami, książę podarował im kilka wozów wyładowanych po brzegi klejnotami, złotem i młodymi dziewczętami. Emirowie wycofali się do Aleppo pozostawiając miasto nietknięte. Ponoć Bajbars na wieść o tym omal się nie wściekł.

– Im prędzej przybędzie król Ludwik, tym lepiej – mruknął Hugo. – Choć nadal nikt nie oznajmił wiążąco, kiedy ruszy wyprawa. Ludwik wziął krzyż jeszcze w zeszłym roku, ale słyszę, że poróżnił się ze swoim bratem Karolem, hrabią Andegawenii, niedawno ustanowionym królem Sycylii. Jak się zdaje, Andegaweńczyk namawia go na zajęcie Tunisu, nim podejmą walkę przeciw Egipcjom.

– Tunisz? – Mikołaj skrzywił się z powątpiewaniem. – Armia Ludwika jest potrzebna tutaj, w

Palestynie.

– Z tym się zgadzam. Wielu tu uważa, iż Karol pragnie poszerzyć swoje nowe królestwo o kawał Wschodu. Marzy mu się imperium, a to może odmienić dotychczasowe zamiary Ludwika. Nie sądzę, abyśmy mogli całkiem na nim polegać. Może być i tak, że krucjata wyruszy, a my nadal pozostaniemy sami. Jednakże – Hugo wstał i wziął do ręki Księgę Graala – te troski zostawmy sobie na inną porę, bo nie w ich sprawie przyszedłeś.

Przerzucił kilka kartek.

– Skończyłem ją czytać dopiero tydzień temu – wyjaśnił, odkładając księgę na pulpit. – Dobrze się sprawiłeś, bracie. Doceniam twoje trudy i ofiary poniesione dla dobra naszego zakonu.

Mikołaj z szacunkiem skłonił głowę.

– Wypełniłem tylko misję, której chętnie i z własnej woli się podjąłem. Przyznaję, ongiś trapiły mnie obawy, iż wyprawa okaże się bezskuteczna. Wątpiłem, czy księga zdoła zadać Świątyni taki cios, o jakim myślał mistrz z Chateaufort. Ale gdy sam ją przeczytałem, upewniłem się, że jego nadzieje nie były pozbawione podstaw.

Na twarzy Hugona z Revelu malowała się powaga.

– Ponad wszelką wątpliwość jest to dzieło heretyków i bluźnierców – rzekł. –

Czytając je, czułem mdłości. Papież będzie oburzony, gdy się dowie, czym parają się jego ulubieńcy. Ale nie wierzę, by sama księga skłoniła go do rozwiązania zakonu templariuszy.

Mikołaj poczuł się tak, jakby wymierzono mu policzek, lecz zachował zimną krew.

– Pozwól mi wyjaśnić, panie: nie tylko z bluźnierstw tu wypisanych da się ukuć pocisk wymierzony w Templum. Wiem, że księga zawiera ukryty w alegorycznych wierszach cel działania tajnego bractwa w łonie Świątyni, zwącego się Anima Templi. Cel ów, jak mnie zapewniono, jeśliby ujrzał światło dzienne, doprowadzić może do upadku całego zakonu. Z tą właśnie nadzieją mistrz z Chateaufort wysłał mnie na poszukiwanie księgi.

– Cóż z tego, bracie, skoro odczytać znaczenie alegorii zdoła tylko ktoś już zaznajomiony z jej ukrytą treścią. Sami templariusze prowadzili przed laty śledztwo w sprawie tej frakcji i nie odkryli żadnych dowodów na jej istnienie. Czy masz pojęcie, do czego w ogóle zmierza owa Dusza Świątyni?

– Mam podejrzenia. – Mikołaj pochylił się do przodu, wzrok miał skupiony. – Wiem, że bractwo istnieje nadal. Po szaleństwie Armanda rozwiązało się, lecz Ewerard z Troyes i paru innych podjęło działania rozpoczęte za jego czasów. Wiem to z całą pewnością.

– Nie podaję w wątpliwość twych słów, bracie. Będziemy wszak mieli tylko jedną szansę, by na nich uderzyć, i musimy być pewni, że cios dosięgnie celu. Nasza wrogość wobec templariuszy jest powszechnie znana. Chybiwszy osiągniemy tylko tyle, że obwini się nas o sianie zamętu, gdy sytuacja w Palestynie jest tak groźna. Papież liczy na templariuszy, tak jak liczy na nas, że odeprzemy wroga.

Musimy zebrać więcej konkretnych dowodów, nim zdecydujemy się podjąć działanie. Bardzo przydałyby się nam zeznania dawnych członków bractwa.

– Człowiek, który powiedział mi o księdze, od kilku lat nie żyje. Tylko on jeden zgodził się świadczyć przeciwko Anima Templi, a i to pod warunkiem, że zdobędziemy księgę. Inni boją się kary za zdradę.

– Czy zdołałbyś ich przekonać?

Mikołaj milczał przez chwilę.

– Może – rzekł po namyśle – gdybym zastosował odpowiednie środki.

– Dobrze. – Hugo usiadł z powrotem. – Może nam to przynieść wielką korzyść w przyszłości.

– W przyszłości? – Mikołaj zmarszczył brwi. – Czy nie powinniśmy działać natychmiast? Im szybciej uderzymy, tym prędzej Templum runie.

Zapadła cisza. W końcu wielki mistrz powiedział:

– Kiedy Chateauneuf wtajemniczył mnie w swój projekt, uznałem go za niewykonalny. Byłem przekonany, że oparł go na fantastycznych plotkach. Gdy już po jego śmierci napisałeś mi, bracie, iż księga zniknęła, zwróciłem twą uwagę na możliwość dowiedzenia się czegoś więcej o majątku templariuszy: zasobach złota, posiadłościach, świętych relikwiach. Przybywszy tu kilka miesięcy temu złożyłeś mi szczegółowy spis ich dóbr na terenie królestwa Francji, lecz miałem nadzieję oszacować cały majątek zakonu.

– Wciąż nie znam powodu, dla którego cię to interesuje, panie. Czy mogę spytać o przyczynę?

Wielki mistrz wydał wargi, jak gdyby zastanawiał się, czy odpowiedzieć.

– Moja ciekawość, ile warte jest Templum, ma związek z propozycją, którą rozważamy od pewnego czasu.

– To znaczy?

– Debatowaliśmy nad tym, czy powinniśmy się sprzymierzyć z Zakonem Świątyni.

Mikołaj wytrzeszczył na niego oczy.

– Chyba nie ma takiej możliwości!

– Ja też nie kocham Templum, bracie. To, co uczynił nam Armand i jego ludzie, jest niewybaczalne. Ale dżihad Bajbarsa nie pozostawia nam wielkiego wyboru. Jeśli połączymy siły, być może zdołamy odpierać nawałę dostatecznie długo, by odzyskać część straconych terytoriów. Jeśli nie, i my, i oni, wszyscy staniemy w obliczu zagłady.

– Z całym szacunkiem, panie, łatwo ci to mówić! Nie było cię tutaj, kiedy Armand oblegał klasztor. Nie masz pojęcia, co wtedy przeszliśmy!

– Panuj nad językiem, bracie!

Mikołaj nie odezwał się. Obcesowe zlekceważenie przez zwierzchnika owoców jego pracy rozgniewało go; perspektywa, że zostaną użyte w celu przeciwnym do zamierzonego, wzbudziła w nim rozpacz.

– Jeśli teraz Świątynia upadnie, bracie – podjął Hugo z Revelu – pociągnie nas za sobą. Tylko razem możemy wciąż marzyć o zniszczeniu Królestwa Niebieskiego w Ziemi Świętej. Jako rzekłem, cenię twe poświęcenie, bracie, ale teraz wszyscy musimy poświęcić jeszcze więcej i współdziałać z wrogiem w imię większego dobra, inaczej stanie się całkiem możliwe, że nie dożyjemy przyszłej zimy w tym kraju.

Mikołaj otworzył usta, by zaprotestować, lecz mistrz mówił dalej, nie dając mu dojść do głosu:

– Muszę działać w najlepszym interesie zakonu, a w chwili bieżącej każda próba podkopania lub zniszczenia Templum będzie działać i na naszą niekorzyść. Jeśli wyjdziemy żywi z tej wojny i odzyskamy dość ziem, możemy umocnić się na tyle, by wystąpić przeciwko templariuszom nie grzebiąc samych siebie. Ale dopóki ten czas nie nadejdzie, nie narażę zakonu podejmując plan Wilhelma z Chateaufort, choćby ta księga napisana była przez samego diabła! Musimy się teraz skupić na działaniach wojennych. Później, gdy zyskamy silniejszą pozycję, uderzymy. – Wielki mistrz wstał i ponownie wziął księgę do ręki.

– Do tego czasu nie będziesz się zajmował tą sprawą.

Podszedł do wielkiego żelaznego skarbca przykutego do ściany za jego krzesłem.

Kluczem, który zwisał mu u pasa, otworzył zamek i włożył księgę do środka.

– W nadchodzących miesiącach mieszkańcy tej ziemi nieraz będą się uciekać pod naszą obronę. – Skinął Mikołajowi głową. – Możesz odejść, bracie.

Rycerz wstał, skłonił się bez słowa i wyszedł. Wysokie łukowate okna w korytarzu zapewniały wspaniałą widok na miasto. Wzrok Mikołaja prześliznął się nad kościołami i targowiskami i spoczął na zatoce, gdzie sześć okrętów Templum, otoczonych kawalkadą mniejszych stateczków, powoli zbliżało się do portu.

Na pokładzie „Sokoła”, wody Akki

Osiemnasty dzień stycznia roku Pańskiego 1268

Burty trzynastu statków oblepione były ludźmi – zbrojnymi, pielgrzymami, kupcami.

Wszyscy wyciągali szyje, by zobaczyć miasto, które powoli przybierało kształt na widnokręgu. Zdawało się leżeć w żółto-białej pustej niecce otoczonej pierścieniem odległych gór i nakrytej

ciemnym, zachmurzonym niebem. W miarę zbliżania się do brzegu szczegóły krajobrazu stawały się wyraźniejsze, podróżni dostrzegali wzniesienia na równinie i pstrzące ją łąty zielonych pól i sadów nawadnianych przez wijące się strumienie. Niektórzy padli na kolana, ze wzruszeniem przyglądając się ojczyźnie Jezusa Chrystusa.

Will stał oparty o reling na krytej platformie dziobowej czterdziestopięciostopowego

„Sokoła”, największego statku floty. Woda uderzała miarowo o burty galery, z której dziobowym pięć sterczał okuty żelazem taran. Górny poziom platformy mieścił okrętowy trebusz, z którego wyrzucano kamienne pociski. Znajdowali się już na bezpiecznych wodach, toteż proca machiny ziała pustką. Inaczej było, gdy minęli słupy Heraklesa i ujrzeli pierwsze saraceńskie statki u brzegów emiratu Granady. Wówczas świadomość, że są uzbrojeni, podnosiła ich na duchu. W końcu jednak trebusz nie został użyty. Sześć statków Templum, łatwo rozpoznawalnych dzięki czerwonym krzyżom na żaglach, stanowiło dostateczną siłę, by odstraszyć wroga.

Rozległ się dzwon wzywający wioślarzy na miejsca. Will odwrócił wzrok od coraz wyraźniej rysującego się brzegu i spojrzał na rozhuśtany, ciasny pokład statku, który od ośmiu miesięcy był jego domem.

„Sokół” wraz z pięcioma siostrzanymi galerami wyruszył z La Rochelle w początkach czerwca ubiegłego roku. Smukłym okrętom wojennym towarzyszyły cztery towarowe usclery, ciężkie, niemanewrowne nawy do przewozu koni, wozów i machin oblężniczych, a także należąca do templariuszy *navis ronda* załadowana belami sukna i lnu na sprzedaż w Palestynie. Ledwie wypłynęli na Zatokę Biskajską, rozpętał się sztorm. Niebo i morze pociemniały, statki zataczały się jak pijane na grzbietach wielkich zielonych fal, będąc igraszką zmagających się ze sobą wichrów. Tam właśnie stracili jedną usclerę. Willa, który mimo gwałtownego kołysania zdołał usnąć pod pokładem, obudził głośny trzask pękającego drewna. Wybiegłszy na górę wraz z innymi zobaczył, że maszt płynącej obok nawy złamał się na pół i runął, przebijając kadłub. Uczepieni burt rozkołysanej skrzypiącej galery, smagani po twarzach deszczem i bryzgami słonej wody patrzyli bezradnie, jak nawa chyli się na dziób, wyrzucając w odmęt konie i ludzi.

Aż do Portugalii niewiele zaznali wytchnienia od gwałtownych burz. Okaleczona flotyła mozolnie dowlokła się do Lizbony. Z dziesięciu pozostałych statków cztery były uszkodzone, w tym dwa ciężko. Musieli pozostać w porcie trzy miesiące dla dokonania napraw. W tym czasie większość templariuszy została przewieziona barką do będącego własnością zakonu miasteczka Tomar nad rzeką o tej samej nazwie.

Dla Willa było to najlepsze, co mogło mu się przytrafić.

Na początku roku, gdy leżał chory w Orleanie, Robert z Paryża wyjechał do Kastylji, wysłany w jakiejś sprawie przez wizytatora. Latem rozniosła się wieść, iż flota Templum stoi w Lizbonie, i kilku rycerzy poprosiło o zgodę na przyłączenie się do wyprawy. Uzyskawszy ją, dotarli konno lądem do Tomaru, gdzie Robert został zakwaterowany w zamku wraz z Willem.

Rankami ćwiczyli razem walkę na skrawku pola pod wznoszącym się nad miastem zamkiem. Mięśnie Willa zwiotczały, płuca go paliły, ilekroć musiał zrobić parę kroków pod górkę. Z trudem dosiadał

konia, cóż dopiero mówić o manewrowaniu ciężką włócznią.

Stopniowo jednak trening i portugalskie słońce tchnęły weń nowe siły i gdy jego ciało nabierało tężyzny, a skóra powlekała się brązowym odcieniem, umysł także powoli odnajdywał spokój. Pewnego wieczoru siedzieli na wałach w towarzystwie jaszczurek przemykających po kamieniach. Patrząc na spieczone słońcem wzgórza, Will opowiedział

Robertowi, co zdarzyło się w paryskim lupanarze. Wspomnił też o roli, jaką odegrał w tym Garen, choć nie rozwodził się nad przyczyną jego zdrady, napomknął tylko o skradzionej Ewerardowi księdze. Robert wysłuchał go w skupieniu, a potem bez słowa podał Willowi bukłak z burgundzkim winem, które skonfiskował giermkowi.

Po tej spowiedzi wiele się dla Willa zmieniło. Pragnienie zemsty na Garenie nie opuściło go całkiem, ale zdołał je zepchnąć w głębsze rejony duszy; uspić, aby nie nękało go bez przerwy.

Inny taki zakątek miał dla Elwiny. W ciągu dnia, gdy ćwiczył, łowił ryby w rzece, rozmawiał z ludźmi, udawało mu się o niej nie myśleć. Ale nocami, kiedy nie miał zajęcia, było mu o wiele trudniej. Często budził się o świcie z jej blednącym obrazem jeszcze pod powiekami i dotkliwą pustką w sercu. W takich chwilach marzył o powrocie do Francji.

Powstrzymywał go strach, że Elwina mu nie przebaczy, i rosnące pragnienie, by zobaczyć miejsce śmierci ojca. To ono pchało go na wschód.

W Lizbonie do konwoju przyłączyły się dwie kupieckie galery i statek pielgrzymi.

Ich dowódcy hojnie zapłacili Templum za zbrojną eskortę. Ruszyli dalej. Morze, łupkowoszare u wybrzeży Francji i granatowe na wodach Kastylii, do słupów Heraklesa miało barwę szmaragdów, a na Morzu Śródziemnym jaśniało lazurem.

– Tego się spodziewałeś? – Robert wdrapał się po salingu na wyżkę, podał Willowi bukłak i zrećźnie przelazł przez poręcz. – Pij. To już resztką burgunda.

– O co pytałeś?

– O Akkę. – Rycerz wskazał znacznie już bliższe miasto. Wioślarze zwolnili tempa; statek zbliżył się do długiego falochronu, który prowadził do największego i najbardziej ruchliwego portu, jaki w życiu widzieli.

Will pociągnął łyk wina i oddał bukłak.

– Wygląda jak Paryż, tyle że złoty.

– Tamci się rozczarują. – Robert wysączył ostatnie krople i machnął ręką w stronę grupki zbrojnych, skupionej na pokładzie rufowym. Ostrzyli miecze i ze srogimi minami spoglądali na miasto. – Jeden z wioślarzy opowiadał mi, jak to parę lat temu rycerze nie chcieli zejść ze statku, bo myśleli, że na brzegu oczekują ich Saraceni. Zaczęli się kłócić, na jaką odległość mogą podejść, żeby sięgnąć ich z trebusza, a unikać ostrzału portowych katapult.

– Domyślam się, że to nie byli Saraceni? – spytał Will z uśmiechem.

– Nie. Służebni z Templum wysiani do pomocy przy rozładunku. Ponoć za każdym razem powtarza się to samo. Połowa ludzi myśli, że wprost ze statku zejdą na pole bitwy.

Godzinę później Will i Robert wraz z innymi rycerzami z „Sokoła” płynęli do brzegu w jednej łodzi, Szymon i Ewerard zaś w drugiej. Flotylla stanęła na kotwicy przed falochronem obok innych galer, za dużych, żeby podejść do nabrzeża zatłoczonego kupieckimi statkami. Will siedział na rufie i patrzył z zachwytem, jak powoli odsłania się przed nim jedno z najstarszych miast świata.

Było późne popołudnie i światło miało złotą barwę. Mury Akki, wzmocnione szeregiem baszt, zdawały się chłonać słońce i jaśnieć jego blaskiem. Wzdłuż nabrzeża stały budynki z drewna, kamienia i suszonej na słońcu cegły, przed bramą rozpościerało się tłoczne targowisko, którego gwar niósł się po wodach zatoki. Samo miasto ukryte było za murami, znad których wznosiły się tylko kopuły, wieże i iglice. Ich szlachetne kształty rodziły jednak wrażenie dostatku i siły.

– Co tam jest? – zagadnął jednego z oficerów „Sokoła”, starego weterana, który urodził się w Akce. Brzegiem morza biegł wysoki mur, który potem zakręcał ostro do wewnątrz miasta. Masywny donżon strzegący go od strony lądu wieńczyły cztery wieżyczki, których czubki zdawały się wykute ze złota. Dalej widać było wieżę kościoła i dachy licznych budynków z białego kamienia.

– To – odparł rycerz patrząc w ślad za jego wzrokiem – jest właśnie nasze preceptorium.

Will umilkł. Preceptorium wyglądało jak zmniejszona kopia miasta – piękne, potężne i wyniosłe.

Łódź dotarła do brzegu; wioślarze wskoczyli do płytkiej wody, żeby wyciągnąć ją na piasek. Targowisko, które Will widział z morza, istotnie było tłoczne i hałaśliwe. To, jak powiedział mu rycerz z „Sokoła”, należało do Pizańczyków. Były również inne, weneckie, lombardzkie i niemieckie; każda bowiem nacja posiadała w mieście własną dzielnicę, w której rządziła się własnymi prawami, miała własne kościoły i zwierzchników. Wyglądało to trochę tak, stwierdził żeglarz, jakby każda zasadziła na piaszczystym brzegu fragment swojej ojczyzny. W sumie było dwadzieścia siedem dzielnic; w największej, Montmusart – przed murami od północy, żyła i pracowała większość zasiedziały tu od dawna mieszkańców.

Dzielnicę Świętego Andrzeja zasiedliła miejscowa frankijska szlachta wyparta z Jerozolimy i ziem zdobytych przez muzułmanów. Własny kawałek miasta miał patriarcha, zakony, a także Żydzi.

Will starał się zapamiętywać wszystko, co usłyszał, ale oczy podsuwały mu dziesiątki coraz to nowych obrazów i trudno mu się było skupić.

– Will! – Szymon dogonił go plażą, wyprzedzając grupę pasażerów i marynarzy z drugiej łodzi. Na policzkach pałały mu rumieńce. – Widziałeś te bestie? Spójrz tylko!

Will zerknął w stronę targowiska i zobaczył rząd przedziwnych zwierząt. Były większe od koni, miały piaskową barwę, długie szyje i pagórkowate narośle na grzbietach. Na murze nabrzeża zebrał się tłumek gapiów. Większość patrzyła na templariuszy z umiarkowanym zaciekawieniem, a potem

wracała na kuszący mnogością towarów targ.

Uwagę przybyszów zwracała tutejsza odzież, znacznie wykwintniejsza niż zachodnie ubiory. Nie uświadczyłeś wełnianej opończy lub drewnianych patynek. Kobiety nosiły zwiewne suknie i bogato wyszywane tuniki, mężczyźni dobrze skrojone nogawice i barwne połyskujące szaty. Przede wszystkim jednak rzucił się w oczy przepych tkanin, z jakich je uszyto –jedwabi, adamaszków, samitów i najcieńszych batystów. Wszyscy, nawet dzieci, wyglądali jak królowie podczas koronacji. Will nie mógł oderwać od nich oczu. W miarę jak się zbliżali, dostrzegał nowe osobliwości. Z początku myślał, że wszyscy są cudzoziemcami –

mieli smagłe twarze, dziwnie skrojone szaty, zawoje na głowach i nieznamy akcent. Potem jednak zdał sobie sprawę, że mówią po łacinie, francusku, a nawet po angielsku. Pochodzili z Europy, choć Wschód wycisnął już na nich swe piętno. Bez wrogości, a wręcz przyjaźnie śmiali się i gawędzili z ludźmi innych ras: oliwkowej o okrągłych twarzach i oczach w kształcie migdałów, hebanowej o smukłych członkach i zębach błyszczących oślepiającą bielą oraz takiej, której przedstawiciele wyglądali jak Hasan.

– Saraceni! – syknął obok jeden z rycerzy. Kilku innych sięgało już po miecze, dowódca okrętu jednak najspokojniej w świecie szedł przed siebie. Kątem oka Will dostrzegł

drepczącego z tyłu Ewerarda. Ksiądz miał na twarzy uśmiech.

Jak we śnie mijali czarnookich Wenecjan targujących się z wyznawcami Allaha o żelazo i drewno, a także Beduinów w łopoczących szatach, sprzedających za garść monet beczki kobylego mleka. Na wozach piętrzyły się stosy słodkich cytrusów i daktyli; kramy ugiwały się pod drogimi kamieniami, barwnikami, mieczami, jedwabiem, porcelaną i mydłem.

Żyd ze szklami na nosie żartował z greckim kupcem, ważąc na szalkach stos szafirów.

Powietrze przesycone było wonią nawozu i potu, przypraw i pachnideł. Tłum przepychał się i kłębił, trajkocząc w tyłu różnych językach, że nie sposób już było odróżnić łaciny od hebrajskiego, a francuszczyzny od mowy Arabów. Gdy przeszli przez rynek i ruszyli wąskimi uliczkami miasta, za każdym rogiem odsłaniały się przed nimi nowe dziwy. Złoczone kopuły świątyń odbijały promienie słońca, rażąc w oczy; z zaułków kiwały na rycerzy kobiety w prześwitujących sukniach; na progach domów starcy osnuci wonnym dymem grali w szachy na szachownicach z kości słoniowej i egipskiego szkła.

Nim dotarli do preceptorium, byli już tak oszołomieni, że mało kto zwrócił uwagę na cztery wykute ze złota lwy zdobiące wieżę potężnej baszty bramnej. Straż u wejścia powitała ich otwierając furtę wyciętą w masywnych wrotach. Weszli na rojny dziedziniec otoczony z trzech stron budynkami z kamienia.

Will przystanął tuż za bramą, wodząc wzrokiem po twarzach krzątających się wewnątrz braci i wyluskując spomiędzy nich rycerzy. Żaden z nich jednak nie miał złotych włosów.

Robert stuknął go w ramię.

– Poproszono mnie, abym spisał nasze imiona i podał je bajlifowi. Przyjdę, jak tylko skończę.

Zniknął w budynku, nad którym powiewała zatknięta na dachu czarno-biała chorągiew Zakonu Świątyni. Przez furtę wlała się następna grupa świeżo przybyłych zza morza. Wszyscy mieli ten sam osłupiały wyraz twarzy. Na dziedziniec wyszło kilku klerków, żeby rozprowadzić ich na kwatery.

– Mój ojciec by w to nie uwierzył! – mruknął Szymon do Willa. – Ja sam nie mogę w to uwierzyć. Naprawdę widzieliśmy na targu Saracenów?

Zanim Will zdążył odpowiedzieć, podszedł do nich Ewerard.

– Wilhelmie, idź sprawdzić, czy Mikołaj z Nawarry przebywa w tutejszym domu szpitalników – rzekł głosem jeszcze bardziej ochrypłym niż zwykle. Dręczący go bez ustanku od śmierci Hasana kaszel zaostrzył się podczas długiej podróży; chwilami w ogóle nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa.

– Teraz? – Will, choć wiedział, że ksiądz nie myśli o niczym innym, mimo wszystko był nieprzyjemnie zdziwiony.

– Muszę się z kimś spotkać. – Ewerard obejrzał się na podchodzącego klerka. –

Polegam na tobie, Wilhelmie.

– Chodźcie za mną, bracia. – Klerk skinął na przybyłych.

– Znam drogę – burknął Ewerard i pokuśtykał przodem. Pozostali ruszyli za przewodnikiem.

– Co zrobisz, kiedy znajdziesz Mikołaja? – zapytał szeptem Szymon.

Will potrząsnął głową i zadarł ją ku wysokim murom najeżonym ramionami machin miotających. Po gankach strzelniczych bez przerwy krążyły strażę. Tutejsze preceptorium nie przypominało domów Templum w Londynie, Paryżu lub La Rochelle. Uświadomił sobie, dlaczego: to nie był klasztor, lecz twierdza.

– Nie wiem – mruknął zaglądając do mijanej zbrojowni, w której kilku mężczyzn ostrzyło rozłożone na warsztatach miecze.

Spłoszonego Szymona wraz z innymi serwientami uprowadzono do dormitorium znajdującego się poza głównym kwadratem. Rycerze poszli dalej, mijając stajnie, warsztaty i piękny kościół, przy którym paryska kaplica Templum wyglądała jak stodoła, za nią zaś palatium mieszczące, jak objaśnił ich klerk, kwatery i kancelarie wielkiego mistrza. W końcu dotarli do czworoboku budynków otaczających wirydarz z cysterną w środku. Will został

zakwaterowany wraz z siedmioma innymi rycerzami. Wzdłuż ściany komnaty stały wygodne łóżka; każdy miał drewnianą skrzynię na swoje rzeczy. Był też wspólny wieszak i stojaki na oręż. Koce utkane były z jagnięcej wełny, a poduszki wypełnione nie słomą, a puchem.

Czystą kamienną posadzkę okrywał tkany chodnik. Po miesiącach spędzonych na statku Will miał wrażenie, że znalazł się w pałacu. Zamiast jednak porozkoszować się przez chwilę tym królewskim luksusem, położył sakwę na posłaniu i wyszedł.

Bracia niższego stanu pozdrawiali go z szacunkiem; starsi od niego rycerze o twardych oczach i ogorziałych twarzach nie zwracali na niego uwagi. Will przypuszczał, że znają Garena, jeśli ten w pogoni za księgą dotarł aż do Akki, ale coś powstrzymało go przed wypytywaniem. Teraz gdy chwila nadeszła, wcale nie pragnął oglądać człowieka, który go zdradził i zhańbił. Nie miał też ochoty błędzić sam po nieznanym mieście szukając Mikołaja.

Po pewnym czasie trafił na mury, z których roztaczał się widok na podgrodzie otoczone kolejnym rzędem murów i fosą. Dalej ciągnęły się ogrody, sady i gaje oliwne otulone złotawą mgiełką. Było na co popatrzeć.

– Pięknie, prawda?

Will obejrzał się i zobaczył siwowłosego rycerza, który stanął obok niego na ganku.

– Przychodzę tu co wieczór przed nieszporami, żeby nacieszyć oczy. – Rycerz uśmiechnął się. – Przybyłeś z Francji, bracie?

Will przytaknął skinieniem głowy. Przyszło mu na myśl, że rycerz zapewne zna odpowiedź na nurtujące go pytanie. Spojrzał w dal za miasto i zagadnął:

– W której stronie leży Safed?

Zapytany wskazał na wschód.

– Jakież trzydzieści mil stąd, na równinie.

– Czy łatwo tam trafić?

Na twarzy templariusza odmalowało się zdumienie.

– Droga jest prosta, ale znajduje się w rękach Bajbarsa. Wiesz, że muzułmanie zdobyli Safed?

– Wiem. Mój ojciec tam zginął.

– Współczuję ci. Ale odradzam pielgrzymkę w to miejsce, bo stanie się ono również twoim grobem. W zeszłym roku baronowie z Akki wysłali do sultana poselstwo. Zastało zamek obwieszony głowami pomordowanych chrześcijan.

A pozbawione głowy ciało Jakuba Campbella – niegdyś opoka siły i godności –

gniło nie pogrzebane u stóp murów. Will chciał zebrać jego kości i przewieźć je gdzieś, gdzie będą mogły spocząć w spokoju. Prześladowała go myśl, że targany piaskowymi burzami duch ojca błąka się po tych obcych równinach, tak daleko od Szkocji; od domu.

– Bywaj. Nie będę ci przeszkadzał – powiedział łagodnie siwy rycerz.

– Czy znasz może Garena z Lyonu?

Tamten powoli, z namysłem pokręcił głową.

– Chyba nie.

– Wyjechał w zeszłym roku. Jest w moim wieku. – Will opisał mu wygląd Garena.

Templariusz rozłożył ręce.

– Przewija się tu tak wielu...

– Był sam. Nie na zakonnym statku.

– Sam? Istotnie pewien młody rycerz dotarł tu samotnie tuż przed Bożym Narodzeniem. Z Lyonu, powiadasz? – Wzruszył ramionami. – Możliwe, że to on, ale pewien być nie mogę. Przybył łodem z Tyru. Port był wówczas zamknięty, wszystkie statki kierowały się na północ. Wenecja wojowała z Pizą – wyjaśnił.

– Nie pozostał tu?

– Jeśli dobrze sobie przypominam, odkomenderowano go do Jaffy.

– Dokąd?

– Jaffa to miasto na wybrzeżu, niedaleko od Jerozolimy, około osiemdziesięciu mil stąd. – Rycerz wskazał na południe, ku odległym górą. – Mamy tam załogę.

Will podziękował i pozostawiwszy rycerza w promieniach zachodzącego słońca, wrócił na główny dziedziniec. Miał właśnie zamiar udać się do swej kwatery, kiedy postłyszał, że ktoś go woła.

– Szukałem cię wszędzie! – wydyszał Szymon. – Musisz znaleźć Ewerarda.

– Dlaczego?

– Dostaliśmy przydział – oznajmił koniuszy udręczonym tonem. – Obaj.

– Przydział? Nie przybyliśmy tu po....

Szymon nie pozwolił mu dokończyć.

– Do naszego dormitorium przyszedł rycerz z listą, zaraz jak tylko się rozpakowaliśmy. Powiedział, że weszliśmy w skład uzupełnienia. Ty i Robert też.

– Gdzie nas wysyłają?

– Do jakiejś miejscowości, która nazywa się Antiochia – rzeki Szymon z rozpaczą.

37

Siedziba templariuszy w Antiochii

Pierwszy dzień maja roku Pańskiego 1268

Antiochię, choć dziś omijała ją część dróg handlowych, wciąż uważano za jeden z cudów świata. Szerokie na milę, a długie na trzy mile miasto – zwłaszcza widziane po raz pierwszy – rodziło przekonanie, że zbudował je Bóg, nie człowiek. Potężne mury wzniesione jeszcze przez cesarza Justyniana miały osiemnaście mil długości; z jednej strony dotykały brzegów Orontesu, z drugiej wspinały się na strome stoki góry Silpius, okrążając piętrzącą się tysiąc stóp nad miastem olbrzymią cytadelę. Zamknięte w kamiennym pierścieniu wzmocnionym czterystu pięćdziesięcioma basztami miasto budziło podziw. Były w nim wille i pałace, gdzie z pokrytych mozaiką dziedzińców wyrastały kruszące się rzymskie łuki i smukłe palmy; były rojne place targowe, żyzne ogrody, liczne kościoły i klasztory. Mówiąc słowami tutejszych chrześcijan, którzy stanowili większość mieszkańców, Antiochia była miastem niepodobnym do innych.

Z murów klasztoru Will miał dobry widok na opadającą dolinę Orontesu, gdzie rzeka spływała wapiennymi uskokami, rozlewając się wśród uprawnych pól. Na północy wznosił

się łańcuch gór Amanos, których najwyższe wierzchołki były pokryte śniegiem. Zakon templariuszy miał w nich dwa zameczki, z których jeden strzegł Bramy Syryjskiej – wysokiej przełęczy wiodącej do Cylicji. Na południu za rozległą równiną leżały góry zwane przez Arabów Dżebel Bahra, których szczyty kryły warownię asasynów.

– Widziałeś coś?

Obrócił się i ujrzał wchodzącego na mury Roberta.

– Owce, skały, trawę, i znów owce... – odpowiedział.

– Wiesz, o co pytam. – Robert wymownie uniósł brwi i podał mu bukłak z wodą.

– Dzięki. – Will napił się chciwie. Poranek był gorący, choć nie tak jak w środku lata. Ci co przybyli za morze z końcem zimy, mieli dopiero zaznać siły letnich upałów. – Nie, nie widziałem zwiadowców – powiedział oddając bukłak. – Ale też zebranie wiarygodnych informacji może im zająć nawet tydzień, jeśli nie więcej.

Wyjrzał przez blanki. Na wprost siebie miał masyw Silpiusa. Pasterze pędzili stada na położone wyżej pastwiska. Dwa dni temu z kilkoma rycerzami objechali te stoki; mieli rozkaz sprawdzić, czy tunele ewakuacyjne są wciąż drożne. Góra była zryta korytarzami i jaskiniami. W niektórych, jak im powiedział ormiański przewodnik, spotykali się potajemnie pierwsi chrześcijanie. Dziś chowały się w nich głównie dzieci.

– W Anglii pewien rycerz opowiadał o tym mieście – rzekł Will z uśmiechem. –

Kpiliśmy z niego, kiedy mówił, że cytadela sięga chmur. Myśleliśmy, że jest pomyłony.

Robert ocienił oczy przed jaskrawym blaskiem słońca.

– Wszystko tutaj wydaje się trochę za duże, prawda? – Wzruszył ramionami. – Cóż, oby tylko mamelucy nie okazali się olbrzymami.

– Jeśli wierzyć w bajki... – Will schylił się, żeby poprawić kolczugę, która zahaczyła o pochwę falcjona. Dostał ją w Akce wraz z nowym płaszczem, już dostatecznie długim. –

Niektórzy rozpowiadają, że mamelucy zieją ogniem, a jedno ich spojrzenie ścina człowiekowi krew w żyłach. Rozsądek nakazuje jednak przyjąć, że są normalnego wzrostu.

– To dobrze. Miałem obawy, że będę musiał stać na stołku, żeby z nimi walczyć.

– Z kim? – zapytał z tyłu Szymon. Szedł ostrożnie środkiem ganku, starając się trzymać z dala od ziejącej za krawędzią ganku pustki. – Zwiadowcy nie wrócili?

– Nie – odpowiedzieli równocześnie Will i Robert i obaj wybuchnęli śmiechem.

Szymon spojrzał na nich z wyrzutem, zbity z tropu.

– Na razie nie wiemy jeszcze nic pewnego – rzekł Will, starając się go uspokoić. –

Dlatego wysłaliśmy zwiad.

– A jeśli wojska Bajbarsa rzeczywiście na nas idą?

Will westchnął. Co miał odpowiedzieć? Wiedział tyle co wszyscy, to znaczy niewiele. W zeszłym tygodniu do Antiochii dotarły pogłoski o walkach na południu, lecz gdy przyszło do konkretów, poszczególne relacje znacznie się różniły. Kupiec z Damaszku twierdził, że Bajbars idzie na Akkę; jakiś rolnik – że mamelucy ciągną w kierunku Antiochii; trzech koptyjskich księży zarzekało się, że armia odparta przez zachodnie rycerstwo wraca do Egiptu. Książę Boemund był nieobecny; przebywał w Trypolisie. Na ten czas władzę w mieście sprawował konetabl Szymon Mansel. Zwołał on radę wszystkich dowódców wojskowych i rozkazał wysłać patrol, by zweryfikować plotki. Podjął się tego komandor templariuszy i pięciu rycerzy cztery dni temu wyjechało z miasta.

– Bajbarsem będziemy się martwić, gdy się tu zjawi – mruknął.

– Jak możesz być taki spokojny?

– A dlaczego nie, skoro nie wiem nawet, czy mam powód do niepokoju? Rozumiem, że ci ciężko, ale jedyne co możemy zrobić, to czekać i nie ulegać panice.

Szymon zerknął na Roberta, który kiwnął głową i powiedział:

– On ma rację.

– Dobrze wam mówić – mruknął koniuszy. – Macie miecze i umiecie ich używać.

– Pierwsi krzyżowcy oblegali Antiochię siedem miesięcy, zanim ją zdobyli. –

Wypowiedziawszy te słowa Will uświadomił sobie, że nie były stosowne w danej sytuacji.

– Ale ją zdobyli! – wykrzyknął Szymon. – Poza tym słyszałem, jak rozmawialiście ze sobą po naradzie. Mówiłeś, że trudno będzie bronić miasta z tak nieliczną załogą.

Robert i Will wymienili spojrzenia.

– Tak tylko mówiłem – bąknął Will.

– Nie traktuj mnie jak dziecko – rzekł Szymon urażony.

– To nie zachowuj się jak dziecko! – Will uniósł ręce z irytacją. Wziął Szymona za łokieć i odprowadził go na bok. – Co się dzieje? – spytał.

– Nic, po prostu boję się, że ktoś mnie zabije.

– Nie chodzi tylko o to. Od wyjazdu z Akki jesteś strasznie nerwowy.

– A czego się spodziewałeś, Will? Myślałem, że znajdziemy Mikołaja, ty załatwisz swoje, Ewerard odbierze księgę i wszyscy wrócimy do domu.

– Ewerard próbował zatrzymać nas w Akce.

– Powinien był się bardziej postarać – nadąsał się Szymon.

– Zrobił, co mógł – uciał Will przypominając sobie zrozpaczoną minę, z jaką Ewerard zmuszony był ustąpić wobec stanowczej decyzji marszałka.

– Potrzebuję go tutaj – argumentował. – W Paryżu był moim pomocnikiem.

– Teraz jest rycerzem – odparł zimno tamten, spoglądając na Willa. – A w Paryżu nie ma wojny. Wyprawa króla Ludwika nieprędko do nas dotrze. Chcąc ocalić przed Bajbarsem to, co jeszcze mamy, musimy polegać na własnych siłach.

– Przybyłem tu po rzadki i niezmiernie ważny traktat poświęcony medycynie. Mam go zdobyć i przestudiować na specjalne polecenie wizytatora Francji. – Ewerard wyprostował

się dumnie. – Rycerz Wilhelm został mi przydzielony jako eskorta.

Na marszałku nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Kiedy wygramy tę wojnę, bracie, dostaniesz cały pułk eskorty, żebyś mógł szukać swojego cennego tekstu, ale do tego czasu będę dysponował każdym podkomendnym tak, jak uznaję za stosowne. Pisma

nas nie ocala, miecze tak. – Rycerz podszedł do drzew i otworzył

je. – A teraz wybacz mi, ale mam pilne sprawy.

– Odwołam się od tej decyzji – rzekł ksiądz zdławionym głosem.

– Możesz to uczynić na najbliższym zebraniu kapituły.

Ewerard, kipiąc bezsilną złością, wykuśtykał na dziedziniec.

– I co teraz zrobisz? – zapytał go Will.

– Jakoś dam sobie radę. Pozostało nas tu zaledwie trzech, ale wciąż mamy pewne wpływy. – Ewerard zwolnił i spojrzał na Willa. – Ściągnę was z Antiochii najszybciej, jak tylko zdołam.

Jak dotąd jednak wszystko zostało po staremu.

– Nie jestem tylko pewien, czy ty chcesz wrócić do Akki – syknął ze złością Szymon.

Will gniewnie zmarszczył brwi.

– O co ci znowu chodzi?

– Po prostu nie wydajesz się zmartwiony myślą, że armia sułtana może być już za tą górą. – Czoło Szymona sfałdowało się z niepokoju. – Zupełnie jakbyś chciał iść do walki.

Will odwrócił wzrok i spojrzał w dolinę. Nie pragnął nadejścia mameluków, ale też nie przerażała go taka możliwość. Podobnie nie pragnął być przenosin z bezpiecznej Akki do zagrożonej najazdem Antiochii. Ale pobyt tutaj odmienił jego punkt widzenia. Nade wszystko był wojownikiem zakonu. Idee Duszy Świątyni były mu znane od osiemnastu miesięcy; ideałami Templum nasiąkał przez całe życie. Usiłował pamiętać o słowach Ewerarda, że pokój jest dobrodziejstwem dla wszystkich. Kiedy jednak myślał o cierpieniu ojca, gdy mamelucka szabla wbijała mu się w kark, w duszy nie miał pokoju, a chęć zemsty i tęsknotę za chłodną rękojeścią miecza.

– Jeźdźcy! – zawołał Robert.

– Gdzie? – Will zostawił Szymona i wychylił się przez mur.

– Tam. – Robert mrużąc oczy wpatrywał się w dolinę. – Nie widzę, kto to; są za daleko.

Will powiódł wzrokiem za jego wyciągniętą ręką. Biegącą dnem doliny drogą wiodącą z północnego zachodu do bramy Świętego Jerzego zbliżali się konni, ukryci jeszcze w cieniu wznoszącej się na prawo góry. Gdy jednak po chwili wyjechali między uprawne pola, w słońcu zajaśniały białe płaszcze. Will dostrzegł błysk czerwieni na plecach jeźdźcy, który zwolnił na chwilę i pochylił się w siodle.

– Templariusze – powiedział.

– A zatem to nasz zwiad.

Will pokręcił głową.

– Wysłaliśmy tylko pięciu. Tych jest dziewięciu.

Garen zwolnił i został nieco z tyłu, żeby poprawić strzemię; potem dźgnął końskie boki ostrogami i pospieszył za resztą. Od kilku mil miasto rosło im w oczach i im bliżej był

olbrzymich niedostępnych murów, tym bardziej się czuł maleńki. Antiochia była niczym ręka Boga wznosząca się z równiny, stanowczym gestem nakazująca „stój!” każdemu, kto nadchodził. Ogarnęło go zdziwienie, iż jakakolwiek armia mogła marzyć o zdobyciu tego miasta. Potem jednak przypomniał sobie Bajbarsa i niczego już nie był pewny.

Bajbars.

W ostatnich miesiącach często słyszał to imię, lecz niewielu ludzi mówiąc o mameluckim sułtanie wiedziało, z kim mają do czynienia. Niektórzy wierzyli, że Bajbars jest wcieleniem szatana, zesłanym przez Boga, by pokarać chrześcijan w Ziemi Świętej za słabość do strojów i zmysłowych rozkoszy i zejście ze ścieżki pokory i ubóstwa, do którego wzywał

Chrystus. Ci mawiali, że pokonać go można tylko modlitwą i pokutą. Inni widzieli w nim dziką zachłanną bestię nadrabiającą niedostatek rozumu i cnót bitewnych brutalną siłą. Ci radzili, aby się mu opłacać. Garen wszakże widział Bajbarsa w boju i wiedział, że nie brak mu ani odwagi, ani przebiegłości. Bajbars był siłą przyrody – surową, rozszalałą potęgą, niezwykłą i straszną. Odmienił i jego życie.

W La Rochelle wsiadł na genueński statek, zamierzając ścigać joannitę na rozkaz Kruka, który wrócił do Anglii, żeby powiadomić księcia Edwarda o rozwoju wypadków.

Kiedy jednak zszedł na ląd w Tyrze, pętające go dotąd niewidzialne okowy pękły. Pierwszy raz w życiu poczuł się wolny. Z zaskakująco lekkim sercem już na wstępie poniechał

wszelkich prób szukania księgi i stawivszy się przed marszałkiem w Akce, wziął przydział

do Jaffy. Tam po raz pierwszy spotkał się z niebieskookim sułtanem.

W Jaffie wymagano od niego tylko, żeby walczył i przeżył. Nie musiał kłamać, kręcić i spiskować w ciągłym strachu, że rozgniewa swego kata. Było to brutalnie, ożywczo proste. W zderzeniu z Bajbarsem Garen po raz pierwszy zyskał dobre imię i powód do dumy.

To dzięki niemu stał się bohaterem.

Kiedy brama Antiochii otwarła się przed grupką dziewięciu jeźdźców, Garen, choć wiedział aż za dobrze, jaka nawała ciągnie w ślad za nimi, uśmiechnął się mimo woli na myśl, że być może jemu uda się ocalić to Boże miasto.

Will i Robert wjazd dziewięciu konnych obserwowali z posterunku na murach i dopiero gdy nieco później wezwano ich na naradę, zobaczyli, kto przyjechał.

– Nie wygląda to dobrze. – Robert dyskretnie wskazał zasępionego rycerza, który rozmawiał z jednym ze zwiadowców w przedsionku sali kapitulnej.

– Nie – przyznał Will. – Ale przynajmniej wreszcie się czegoś dowiemy.

Usiedli z tyłu, bo przednie ławy już były pełne. Komandor i dwaj wyżsi rangą rycerze wymieniali uwagi z przybyłymi, stojąc w ciasnym kręgu na podwyższeniu. Gdy ostatni z pięćdziesięciu rycerzy załogi zajęli miejsca, mistrz dał znak, aby zamknięto drzwi, i otaczający go krąg się rozstał. Willowi nagle brakło tchu. Ujrzał Garena. Chciał się zerwać, ale coś go powstrzymało. Spoglądając w dół, zdał sobie sprawę, że to Robert chwycił go mocno za ramię. Rycerz potrząsnął głową. Will, drżąc na całym ciele, przysiadł znów na skraju ławy, a tymczasem dowódca rzekł:

– Wybaczcie to nagłe wezwanie, ale czas jest na wagę złota. Wysłany zwiad napotkał po drodze czterech naszych braci, którzy przynoszą nam smutne wieści o warowni Beaufort. Zapraszam rycerza Garena z Lyonu, by wam o wszystkim opowiedział.

Komandor cofnął się i jego miejsce zajął Garen. Był zmęczony i brudny, twarz miał

opaloną na brąz, włosy zblakłe od słońca, a płaszcz poplamiony krwią. Zmieszany zaciskał i rozprostowywał dłonie, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić.

– Jak już powiedział mistrz, przybyliśmy wprost z Beaufortu oblężonego przez wojska sultana Bajbarsa – zaczął.

W ławach podniósł się szmer.

– Kiedy opuszczaliśmy zamek, atak trwał bez przerwy od ośmiu dni.

Prawdopodobnie dziś Beaufort jest już w ręku wroga. Armia Egiptu zmierza na Antiochię, niszcząc po drodze zamki, które mogłyby jej zagrozić podczas odwrotu.

Szmer przerodził się w burzę okrzyków i pytań:

– Skąd to wiecie?

– Kiedy do nas dotrą?

Garen zerknął niepewnie na mistrza, który poruszył się i uniół rękę.

– Proszę, pozwólcie bratu z Lyonu dokończyć. Najlepiej opowiedz wszystko od początku, bracie.

– Oczywiście. – Garen zwrócił się twarzą do rycerzy i napotkał utkwione w nim spojrzenie Willa. Otworzył usta, lecz przez chwilę nie był w stanie wydać głosu. Zamknął je i znów zacisnął pięści.

– W marcu byłem w Jaffie – rzekł powoli, unikając wzroku Willa. – Mamelucy uderzyli na miasto. Padło w ciągu jednego dnia. – Nie czekając, aż ucichną szmery, podjął: –

Nie sposób odgadnąć, jaką strategię sułtan przyjmie w danej bitwie czy też kampanii. Jest zupełnie nieprzewidywalny. Czasem obiecuje życie i wolność załogom, a potem łamie dane słowo, tak jak w Arsufie i Safedzie. – Mimo woli zerknął na Willa. – Czasem wypuszcza kobiety i dzieci, mężczyzn zaś bierze w niewolę, a innym razem odwrotnie. W Jaffie wymordował większość mieszkańców, gdy tymczasem załogę puścił wolno. Wychodząc z zamku widzieliśmy, jak niewolnicy zaczynają burzyć mury. Podobno sułtan wznosi nowy meczet w Kairze. Budulcem do niego ma być kamień ze wszystkich chrześcijańskich twierdz w Palestynie.

Głosy oburzenia przybrały na sile.

– Wycofaliśmy się do Akki. Kilka tygodni później znalazłem się w oddziale wysłanym dla wzmocnienia Beaufortu, otrzymaliśmy bowiem wieści, że Bajbars zmierza w tamtą stronę. W końcu kwietnia jego armia stanęła pod Beaufortem. Siódmej nocy oblężenia będąc na warcie zobaczyłem człowieka, który czołgał się fosą. Zszedłem do furty, by go pojmać i dowiedzieć się, w jakim celu go wysłano. Był, jak się okazało, dezercerem. Skazany na śmierć za opuszczenie stanowiska, zbiegł na naszą stronę, mając nadzieję, że ocali życie w zamian za informacje. Od niego to dowiedzieliśmy się, że naczelnym celem Bajbarsa w tej wyprawie jest Antiochia. – Garen wskazał trzech towarzyszących mu rycerzy. – Dowódca Beaufortu umożliwił naszej czwórce wydostanie się z zamku, żebyśmy mogli was ostrzec. –

Spojrzał na mistrza. – I to wszystko.

– Dziękujemy ci, bracie z Lyonu. Wasz śmiały wypad znacznie zwiększył nasze szanse na odparcie ataku.

Rycerze słowem i gestem wyrażali poparcie dla słów komandora, choć pochwały milkły w obliczu powagi wieści. Robert ziewnął głośno. Will wpił palce w ławę, aż mu kłykcie zbieleły.

– Czy wielki mistrz Berard o tym wie? – spytał jeden z rycerzy.

Komandor obejrzał się na Garena, który potrząsnął głową.

– Nie było czasu. Pędziliśmy prosto tutaj.

– Zatem trzeba niezwłocznie wysłać gońca do Akki.

– To pewne – przyznał komandor – ale nie mamy co liczyć na to, że posiłki, jeśli wielki mistrz w ogóle jakieś będzie dla nas miał, dotrą tu przed Bajbarssem. Nie spodziewajmy się pomocy z zewnątrz, musimy sami zmobilizować wszystkie środki i ludzi do obrony.

Miasto, które spodziewa się ataku, jest trudniejszym celem niż zaskoczone zniemacka.

Natychmiast przekażę wieść konetablowi. Z pewnością zechce zwołać radę.

Kilku rycerzy pytało jeszcze o szczegóły przygotowań i wysuwało sugestie, ale poza tym zebranie dobiegło końca. Pomodlili się wspólnie za załogę Beaufortu, potem mistrz zebrał wokół siebie wyższych rangą rycerzy i wezwał klerka, który miał zanieść wieści konetablowi Antiochii.

Garen zszedł z podestu i skierował się do wyjścia, zerkając na Willa. Ten wstał i ruszył za nim.

– Will! – zawołał Robert, także zrywając się z miejsca.

Garen, który był już na dziedzińcu, obejrzał się. Po twarzy przemknął mu niepokój, lecz przystanął. Will z marszu złapał go oburącz i pchnął na ścianę zbrojowni. Garen stęknął głucho, przyparty do szorstkiego muru.

– Campbell! – Robert wybiegł za nim na rozświetlony dziedziniec.

– Nie wtrącaj się! – warknął Will przez ramię.

– Jak chcesz. – Robert cofnął się, unosząc pojednawczo ręce. Z sali kapitulnej wyszli dwaj rycerze. Zatrzymali się patrząc na nich ze zdziwieniem. Robert uśmiechnął się promiennie.

– Bracia – bąknął – dawno się nie widzieli. Cieszą się ze spotkania.

Po chwili wahania rycerze ruszyli dalej.

– Nie mam księgi, jeśli to o nią ci chodzi – powiedział szybko Garen. – Nawet nie próbowałem jej odebrać szpitalnikowi. Nie wiem, gdzie jest teraz.

– Księga? – Głos Willa był niewiele głośniejszy od szeptu, ale w oczach gorzała mu furia. – Myślisz, że obchodzi mnie jakaś przeklęta księga?

Garen syknął, gdy palce Willa wpiły mu się w ciało.

– Tam, w zamtuzie – Will z trudem cedził słowa przez zęby – zadałeś mi truciznę.

– Przepraszam cię za to! – zawołał Garen, usiłując go odepchnąć. – Musiałem coś wymyślić. Kruk by cię zabił, gdybym czegoś nie wymyślił, żeby go zwieść.

Will obiema rękami złapał go za szatę na piersiach.

– A dziewczka? – warknął. – Wsadziłeś mnie do łóżka z ladacznicą. Za to też mnie przeprosisz?

– Co? – Garen przestał się wrywać.

– Chyba nie zaprzeczysz?

– Ja w ogóle nie wiem, o czym ty mówisz!

Dłoń Willa sama powędrowała do miecza. Robert skoczył naprzód i złapał go za rękę. Will szarpnął

się, bezskutecznie.

– Zabiję cię! – wrzasnął.

Garen uwolnił się z jego uścisku i cofnął o krok.

– Jaka dziewczka? Co ty bredzisz?

– Mam ci uwierzyć? To po co ściągnąłeś mnie do burdelu?

Garen milczał przez chwilę.

– Z powodu Adeli – rzekł wreszcie. – Chodziłem do niej przez kilka miesięcy. Kruk chciał wywabić cię z preceptorium.

– Chędożyłeś kurwę?

Garen znów zamilkł. W końcu powiedział cicho:

– Ja ją kochałem.

Will zaczął się śmiać. Na dźwięk tego brutalnego drwiącego śmiechu Garen zmrużył

oczy jak uderzony. Po chwili śmiech przeszedł w zduszony szloch.

Will targnął się naprzód, Robert musiał wyżyć wszystkie siły, by utrzymać go w miejscu.

– Nie waż się mówić do mnie o miłości, draniu. Elwina mnie tam widziała, z dziewczką. Przez ciebie ją straciłem!

– Nie wiem o żadnej dziewczce, przysięgam. – Garen podniósł ręce. – Will, ja tego nie chciałem, Kruk mnie zmusił. To on chciał zdobyć księżę. Nie wiem, jak się o niej dowiedział

– dodał spiesznie – ale przyjechał za mną do Paryża grożąc, że zgwałci i zamorduje moją matkę. – Oczy Garena wypełniły się łzami. – Nie masz pojęcia, do czego on jest zdolny. Ale tu nareszcie się od niego uwolniłem. Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby ci to wynagrodzić. Powiedz tylko, czego chcesz, a zrobię to!

Will spojrzał na Garena; uniesione błagalnie ręce, zastarzałe plamy krwi na białym płaszczu. Patrzył na mężczyznę, którego nienawidził z całej duszy, a widział przestraszonego chłopca, który nie chciał się przyznać, skąd ma sińce na twarzy. Napięcie opuściło go tak gwałtownie, że zachwiał się na nogach.

– Nic od ciebie nie chcę. – Odepchnął Roberta i odszedł.

Czternasty dzień maja roku Pańskiego 1268

Antiocheńczycy przez ostatnie dwie godziny wpatrywali się jak zakłęci we wzbierającą na widnokręgu straszliwą falę potopu. Mogli tylko patrzeć i czekać, aż nadejdzie, by zalać pola, zmyć domy i porwać w odmęt dzieci. Nadzieję mieli za plecami, w zbrojowniach, gdzie rycerze wkładali hełmy, narzucali kolczugi, przypinali miecze. Przed sobą widzieli zagładę wlewającą się w dolinę szeroką lśniąca wstęgą, jakby wzdłuż Orontesu płynęła druga rzeka. Mieszkańcy jednego z pięciu najświętszych miast chrześcijaństwa nie mogli oderwać od niej oczu.

– Co oni tam u diabła robią?

Lambert, młody rycerz dowodzący odcinkiem, wskazywał grupę ludzi na sąsiedniej wieży. Widać było od razu, że nie są żołnierzami. Biskupi lub wielmoże, ocenił ich w duchu Will po kroju sukien. Pomógł naprowadzić mangonelę na miejsce i kazał giermkom ją zamocować.

– Pewnie się modlą – rzekł podchodząc.

Lambert zwrócił się do niego.

– Dziś rano widziałem na murach dzieci. Ciskały kamieniami w stronę wroga. Nawet jeśli nie zginą przy pierwszym ataku, będą nam przeszkadzać. Rodzice powinni trzymać je w domach, a najlepiej odesłać do wysokiego zamku.

– Zgadzam się z tobą, ale mamy za mało ludzi, by obsadzić mury, a co dopiero mówić o utrzymaniu porządku. – Will spojrział w dolinę, którą zbliżała się mamelucka armia, potem na nobilów skupionych na wieży. – Może to i dobrze – mruknął. – Pomyślą, że załoga jest liczniejsza niż w rzeczywistości.

– Będą mieli więcej celów dla łuczników, to wszystko. – Lambert zwinął dłonie w trąbkę i krzyknął: – Hej, wy tam! Zejdźcie z murów, głupcy!

Paru mężczyzn się obejrzało, lecz wyniośle zignorowali wołanie. Rycerz zaklął szpetnie pod nosem.

– Niech no tylko strzały zaczną latać, zaraz się ruszą – rzekł Robert, który nagle wyrósł za ich plecami.

– Gdzie Szymon? – spytał Will.

– Uspokaja konie. Strasznie się płoszą przez te bębny.

– To tak jak ja – sarknął Lambert.

Wszyscy czuli to samo. Dźwięk, który rozpoczął się od słabego pulsującego drżenia, narastał w

miarę zbliżania się wrogiej armii do rytmicznego, rozwścieczającego łomotu przyprawiającego o fizyczny niemal ból. Trzydzieści grup doboszów pod dowództwem dziesiętników zwanych Panami Bębnow nie żałowało rąk. Widać ich było z murów: maleńkie ludziki z maleńkimi bębnami wydającymi ogłuszający hałas.

– A jak Szymon to znosi?

– Nie pytaj. Ilekroć próbuję go podnieść na duchu, biegnie sikać. Jeśli to dłużej potrwa, myślę, że po prostu otworzymy spusty i utopimy wroga. – Robert oparł dłonie na kamiennym obmurowaniu. – Prawdę mówiąc, wcale mu się nie dziwię.

Patrzyli we trzech, jak czoło armii piętrzy się w wylocie doliny i spływa w dół.

Awangardę stanowiła ciężka pancerna jazda uzbrojona we włócznie i miecze. Każdy pułk odznaczał się barwą szat, były więc niebieskie, zielone, szkarłatne, purpurowe, na czele zaś gwardia sułtańska w złotożółtych płaszczach.

Jazdę flankowały oddziały łuczników, a za nimi szła potężna rzesza piechoty.

Zbrojni nieśli tarcze zarzucone na ramię, nakkabuni – narzędzia górnicze i beczułki ze śmiercionośną ropą. Pośrodku linii prowadzono wielbłądy obładowane zapasami wody i żywności, lekami i bronią, dalej maszyny oblężnicze pod opieką swych załóg. Mamelucy, jak powiedział zgromadzonym na murach rycerzom jeden z weteranów, nadawali maszynom imiona, na przykład „Zwycięzca”, „Młot” albo „Byk”. Słyszając to, kompania Lamberta złożona z dziesięciu rycerzy i siedmiu giermków także ochrzciła swoje wyrzutnie –

mangonele i espringole, wielką kuszę wałową, zamiast kamieni wyrzucającą ciężkie bełty.

Pierwszej nadali imię „Niezwycięzonej”, a drugiej „Sułtanobójczyni”.

– Obóz rozbijają tam – Lambert wskazał płaski obszar, na którym uwijali się teraz Bahridzi. – Poza zasięgiem naszych maszyn – dodał markotnie.

Nobilowie zeszli z sąsiedniej wieży i ruszyli gankiem wzdłuż murów, które stromym łukiem otaczały górę Silpius biegnąc do wysokiego zamku. Już od kilku godzin, odkąd ogłoszono alarm, grupki ludzi wspinały się tam po stoku. Ale wielu też, na co narzekał

Lambert, półprzytomnie miotało się po mieście. Wystawali na rogach ulic szepcząc trwożnie z sąsiadami, biegali wciąż na mury, żeby przyjrzeć się nadciągającym wojskom, zabijali gwoździami drzwi i okna domów lub zakopywali w ogrodach zbierane złoto. Z sensem przemieszczali się tylko zbrojni zmierzający na przydzielone im stanowiska.

Na całej długości murów rozmieszczono niewielkie oddziały. Prócz templariuszy tworzyli je szpitalnicy, niemieccy rycerze Najświętszej Marii Panny, Syryjczycy, Ormianie oraz podległa konetablowi straż miejska. Tylko jednak co druga baszta miała załogę; osiemnastomilowe fortyfikacje robiły przykre wrażenie opustoszałych. Na szczęście same mury były w dobrym stanie; słabszym odcinkom przydano liczniejszą obsadę, gdzie tylko było to możliwe.

Na ostatniej naradzie wojennej, która odbyła się wczoraj, mistrzowie templariuszy i joannitów w rzadkiej jednomyślności wyrazili zaniepokojenie okolicą wieży Dwóch Sióstr, gdzie mur zaczynał się wspinać na stromy stok. Konetabl jednak rozlokował już wszystkich swoich ludzi i nie zgodził się przesunąć ich na zagrożony teren.

Mansel był zdania, że Bajbars usłucha głosu rozsądku. Ostatecznie, przypomniał

sceptycznie nastawionym dowódcom, mamelucy już tu byli i dali się ugłaskać paroma zaledwie wozami kosztowności. Podczas gdy konetabl przygotowywał się do negocjacji, komandor templariuszy odesłał oddział Lamberta z bramy Świętego Jerzego do rzeczony wieży. Will, ujrawszy nachylenie zbocza, nie bardzo mógł zrozumieć, jakim cudem najeźdźca mógłby przełamać mury w tak trudnym terenie. Przyznał jednak w duchu, że jako nowicjusz wielu rzeczy jeszcze nie wie.

Widząc nadciągającą armię przeżył szok. Uświadomił sobie, że lata szkolenia nie zdały mu się na nic. Gdy zabrzmiał róg na alarm, jego oddział posilał się właśnie w jednej z pustych komnat baszty, pełnej pajęczyn i nietoperzych odchodów. Chwyciwszy miecze, popędzili spiralnymi schodami na blanki, gdzie stanęli jak wryci. W polu, w szyku naprzeciw wroga, mogliby walczyć; tu musieli czekać, aż wróg uderzy pierwszy.

Starsi rycerze, którzy całe życie spędzili w walce, spokojnie sprawdzali i przygotowywali broń. Młodszy nie mogli sobie znaleźć miejsca; w jednej chwili wybuchali nerwowym śmiechem, w następnej złością, płochliwi jak konie, które pomieszczono w zajętej przez Lamberta na czas oblężenia warsztacie garncarskim po drugiej stronie uliczki.

Widać go było z wieży, która przez najbliższe dni, tygodnie, a może i miesiące miała być ich domem.

Will napił się wody z bukłaka i spiął mocniej pas z pochwą. Czuł potrzebę, żeby chwycić w dłoń rękojeść falcjona i uderzyć nim w coś namacalnego. Czekanie go wykańczało, podobnie jak tętniące bez ustanku bębny. Był spięty do ostateczności; miał

wrażenie, że za chwilę coś w nim pęknie.

Nieopodal na mury wyszło czterech rycerzy, nieśli wiązki bełtów do espringoli.

Pośród nich był Garen. Na widok Willa zawahał się, przystanął na blankach, potem ruszył do sąsiedniej wieży, w której ustawiono kuszę.

Robert pokręcił głową.

– Osiemnaście mil murów, a on trafia akurat tutaj.

Will namacał wreszcie rękojeść falcjona.

– Co mam zrobić?

– To samo co wszyscy – odparł Lambert. – Czekać.

Obóz mamelucki pod murami Antiochii

Czternasty dzień maja

Słońce chyliło się ku zachodowi. Eunuchowie umyli nogi sułtana i osuszyli je świeżymi lnianymi ręcznikami. Bajbars wstał i zszedł z podestu wzniesionego w reprezentacyjnym pawilonie. Burty namiotu podpięto i uprzątnięto otoczenie. Dowódcy czekali bosy na skrawku sprężystej trawy, na której rozesłane były maty modlitewne.

Bajbars obrócił się twarzą do Mekki. Mury Antiochii przesłaniały mu widnokraj, ale gdy zaintonował pierwszą surę Koranu, miał wrażenie, że się rozstępują, nikną pozostawiając nagą skałę i piach.

W imię Boga Miłosiernego i Litościwego. Chwała niech będzie Bogu, Panu światów...

Po zakończonej modlitwie wszyscy wrócili do swoich zajęć. Żołnierze zdejmowali juki z wielbłądów, rozstawiali namioty, składali maszyny oblężnicze. Rozpalano ogniska i przygotowywano wieczorny posiłek. Nazajutrz rozpoczynał się święty miesiąc ramadanu i przez kolejne cztery tygodnie od wschodu do zachodu słońca obowiązywać będzie post.

– Panie.

Bajbars odwrócił się i zobaczył Omara, który zbliżał się, wymijając służących zwijających maty.

– Przekazałeś moje rozkazy emirom?

– Tak, panie. Wszyscy znają swoje miejsca. – Omar urwał. – Oprócz mnie.

– Ty staniesz w drugiej linii przy machinach.

– Na tyłach?

– Słyszałeś, co powiedziałem. – Bajbars udał, że nie widzi zawiedzionej miny Omara. W kilku ostatnich wyprawach odsuwał go coraz dalej od pierwszej linii. Sułtan lekceważył własne bezpieczeństwo, lecz od paru lat wyraźnie martwił się o przyjaciół. Może dlatego, że miał ich tak niewiele.

– *Sadik* – zaprotestował Omar zniżonym głosem – skoro ty uparłeś się poprowadzić atak, chcę stanąć przy twoim boku. Nie słyszałeś, co mówił Kadir?

Bajbars uniósł brew.

– Dotąd nigdy się nie przejmowałeś tym, co mówi Kadir.

– Dotąd nigdy nie obawiał się o twoje życie. Wyczuwa zagrożenie właśnie tutaj, w Antiochii.

– Ale nie potrafi określić jego natury, podejrzewam więc, że chodzi raczej o powszechną u Franków chęć wyprawienia mnie na tamten świat. Natomiast co do pomyślnych rokowań oblężenia był pewny. Pokieruję się więc pewniejszą przepowiednią.

Kadir zawsze jest niespokojny tak blisko domu – dodał Bajbars, mając na myśli asazyńską twierdzę Mejsaf na Dżebel Bahra, z której Kadir został wygnany.

– Czy jednak musisz osobiście prowadzić natarcie?

Bajbars zacisnął usta.

– Kiedy chciałem się wyręczyć innymi, odeszli stąd jak psy zadowolony się rzuconą kością. Nie przyjmujemy podarków od Franków, Omarze.

– Wielki sułtanie!

Przed namiotem stał Kalaun w towarzystwie dowódcy jednego z pułków. Emir skłonił się przed nim.

– Czy mogę z tobą mówić, panie?

– Tak – odparł Bajbars. – Skończyliśmy rozmowę, prawda, Omarze?

Po chwili wahania Omar skłonił głowę.

– Skończyliśmy, panie.

Po jego odejściu Bajbars zwrócił się do przybyłych:

– Gotowi?

– Tak, mój panie – odparł Kalaun.

– Świetnie. Przed świtem macie być na pozycjach.

– Zatem jeśli pozwolisz, panie, oddalimy się.

– Pozwalam.

Gdy zawrócili do wyjścia, Bajbars przywołał jeszcze Kalauna.

– Niech Allah będzie z tobą – rzekł cicho.

Wyrazista twarz Kalauna zmarszczyła się w lekkim uśmiechu.

– Lękam się, iż boska opieka bardziej będzie potrzebna tobie, mój panie. Moje zadanie w porównaniu z twoim jest proste.

– To zależy, czy napotkasz opór. Im dłużej tam pozostaniesz, tym większe szanse, że będziesz musiał

stawić czoło albo templariuszom z Baghrasu i La Roche Guillaume, albo wojskom z Cylicji.

– W zeszłym roku rozbiliśmy ich w pył – rzekł cicho Kalaun.

– Wątpię, czy Armenia zdoła zebrać jakąś liczącą się siłę.

– Nigdy niczego nie zakładaj z góry, Kalaunie. Ominęliśmy Trypolis; Boemund na pewno się domyślił, że zmierzamy tutaj. Może zebrać w krótkim czasie armię z resztek ziem frankijskich, choć nie zamierzam tu długo na nią czekać.

Posłyszeli kroki; z mroku wyskoczyła mała ciemna postać. Kalaun odruchowo zasłonił sobą sułtana i dopiero po chwili spostrzegł, że to siedmioletni syn Bajbarsa. Za nim, sapiąc i dysząc, spieszył zwolniony już ze służby dowódca wojskowy imieniem Sindżar, którego Kalaun zaproponował na wychowawcę chłopca. Na białej szacie Sindżara widniała czerwona plama. W pierwszej chwili Bajbars pomyślał, że jest ranny, plama jednak była za jasna na krew. Zgoniony chłopczyk przypadł do niego, starzec z uszanowaniem zatrzymał się nieco dalej, starając się złapać oddech.

– Dlaczego nie siedzicie nad lekcjami? – Bajbars spojrzał pytająco na Sindżara.

– Wybacz, najmiłościwszy panie. – Nauczyciel skłonił się nisko. –

Rozwiązaliśmy proste zadanie rachunkowe. Nie mogąc dać sobie z nim rady, Baraka rozzłościł się i cisnął we mnie dzbanem kordiału. – Wskazał poplamioną tunikę. – Chciałem go ukarać, a on uciekł.

Baraka obrzucił go nienawistnym spojrzeniem.

– Sindżar chciał mnie zabić, ojcze!

– I powinien był to zrobić. – Bajbars podniósł syna z ziemi. – Nie chcę więcej słyszeć, że sprawiasz kłopoty, zrozumiano?

Chłopczyk wydał usta.

– Tak, ojcze – mruknął.

– Zostaw go teraz ze mną. – Bajbars ruchem głowy odprawił Sindżara i zwrócił się do syna: – Skoro nie chcesz się uczyć, powinienes mi pomóc. – Kącikiem ust uśmiechnął się do Kalauna. – Może zatrudnimy go przy katapultach?

Kalaun odwzajemnił się uśmiechem.

– Czemu nie? – Żartobliwie zmierzwił chłopcu włosy. – Choć nie jestem pewien, czy praca przy machinach to stosowne zajęcie dla następcy tronu i mojego przyszłego zięcia.

Baraka nadał się jeszcze bardziej. Wiedział od ojca, że za kilka lat, gdy dorośnie, poślubi córkę Kalauna. To ją powinni zatrudnić przy machinach; może ktoś przypadkiem wystrzeli ją za mury i

będzie spokoj. Spodobała mu się ta myśl.

Kalaun skłonił się i odszedł do swego pułku.

– Dokąd jedzie emir Kalaun, ojczy?

– W góry. – Bajbars wniósł syna do namiotu. Odkąd wyrwał Barakę z haremu i szponów żon, znajdował w towarzystwie chłopca niespodziewaną przyjemność i wytchnienie po trudach dowodzenia armią.

– Dlaczego?

Nie zwracając uwagi na doradców, strażników i eunuchów, Bajbars postawił go na kobiercu i wziął do ręki srebrny półmisek z figami.

– Pokażę ci. – Przykucnął obok i wetknął figę do piąstki chłopca. Trzy owoce ustawił w trójkąt na dywanie. – To jest Antiochia – rzekł wskazując jedną. – To Brama Syrii, gdzie udał się Kalaun. – Wskazał górny wierzchołek trójkąta. – Kalaun odciął drogę posiłkom, które mogłyby nadejść z północy. – Palec Bajbarsa przesunął się w lewo i wskazał

trzecią figę. – To natomiast jest port nazwany przez Franków imieniem świętego Symeona.

Wysłałem tam inny pułk. Dzięki temu Antiochia nie otrzyma posiłków także z wybrzeża.

– I co wtedy?

Sułtan uśmiechnął się. Porwał figę symbolizującą Antiochię i wrzucił ją sobie do ust.

Baraka wybuchnął śmiechem.

– Najjaśniejszy panie! – Do namiotu wszedł gwardzista i skłonił się przed nim w pas.

– Ktoś idzie do nas z miasta.

– Kto? – Bajbars podniósł się, kątem oka zerkając na Barakę, który ciosami piąstki wgniatał w dywan pozostałe figi.

– Oddział prowadzony przez konetabla. Wyszli przez północno-zachodnią bramę.

Bajbars wyszedł przed namiot, w ślad za nim doradcy. Przed murami wił się wężyk pochodni spływający od bramy, nad którą też widać było teraz liczne ognie.

– Wyjdźcie im naprzeciw – rozkazał. – Rozbróćcie i pod strażą przyprowadźcie tutaj.

Pewnie chcą negocjować.

– Jestem posłem! – awanturował się Szymon Mansel wleczony siłą do sułtańskiego namiotu. Jego

świta została otoczona i rozbrojona. – Natychmiast mnie puśćcie, jeśli chcecie usłyszeć nasze warunki! – Ostatnie zdanie powtórzył w łamanej mowie arabskiej.

– Warunki? – rozległ się głęboki, mocny głos.

Mansel umilkł i z niepokojem zerknął na sułtana. Ten również przyglądał się tęgiemu wielmoży stojącemu u stóp tronu. Konetabl, odziany w przepyszną jedwabną szatę i zawój, obwieszony był klejnotami.

– Wątpię, czy wasza sytuacja pozwala wam stawiać jakiegokolwiek warunki.

Mansel spojrział na niego tępo. Bajbars wezwał skinieniem jednego ze swych pisarzy.

– Przetłumacz mu moje słowa.

Pisarz wystąpił naprzód i powtórzył to samo po francusku.

– Teraz każ mu uklęknąć.

Oburzony konetabl nie miał wyboru, bowiem dwóch mameluków chwyciło go za ramiona i pchnęło na kolana. Kątem oka dostrzegł małego chłopca przykucniętego za pleconym parawanem. Chłopczyk pokazał mu język i zachichotał. Ignorując go, Mansel zwrócił się do tłumacza:

– Powiedz swojemu sułtanowi, że przygotowałem pełne wozy złota i klejnotów, które mu dostarczę, jeśli odstąpi spod murów. Ma czas do jutra na przyjęcie tej oferty. Innej nie będzie.

Wyraz twarzy Bajbarsa nie zmienił się, gdy tłumacz przełożył mu słowa konetabla.

– Złoto? – rzekł. – Chcesz mnie ugłaskać tak bezwartościowym darem?

– Bezwartościowym?! – obruszył się wielmoża, gdy usłyszał odpowiedź. – Mogę cię zapewnić, że...

– Złoto nic dla mnie nie znaczy – ciągnął Bajbars nie czekając, aż przetłumaczą mu dalsze słowa konetabla. – Jedyne okup, jaki mnie zadowoli i powstrzyma miecz wzniesiony nad waszymi głowami, to bezwarunkowe poddanie. Powiedz swoim rycerzom, żeby otwarli bramy. Niech złożą broń i wpuszczą nas do miasta. Zdobyliście je zaledwie sto siedemdziesiąt lat temu. Kiedy je odzyskamy, odejdziecie wolno i nigdy nie wróćcie. Antiochia jest stracona dla wyznawców Jezusa.

– Nie zgodzę się na to! – rzekł stanowczo Mansel. – W mieście są tysiące ludzi.

Dokąd pójdą? Miałbym im kazać opuścić domy, trzody i warsztaty? Co poczną chorzy, starzy i dzieci? Przyjmij to, co daję, i bądź rad...

Urwał, widząc, że Bajbars wstaje z tronu i wzywa jednego ze stojących u wejścia gwardzistów. Konetabl nie rozumiał słów, które padły, lecz gdy sułtan dobył szabli i zszedł z podwyższenia, zmrużył lękliwie oczy.

– Jeśli mnie skrzywdzi, nie dostanie nic, powiedz mu to! – krzyknął do tłumacza. –

Powiedz mu!

Posłyszał za sobą ruch. Mamelucy wprowadzili do namiotu sześciu ludzi jego eskorty.

– Zabierzcie stąd mojego syna – rozkazał Bajbars eunuchom. Następca tronu, krzyżąc i wierzgając, został wyniesiony z namiotu.

Antiocheńczycy z nietęgimi minami zostali ustawieni rzędem wzdłuż podwyższenia.

Straż zmusiła ich do ukłęknięcia.

– Co wy robicie? – zaniepokoił się Mansel.

Błękitnooki sułtan nie odpowiedział, lecz podszedł do pierwszego z klęczących, młodego człowieka o dużych piwnych oczach i usianej piegami twarzy. Złapał go za włosy, przegiął głowę w tył i ostrzem szabli poderżnął mu gardło. Krew trysnęła szerokim łukiem na stopnie podestu. Kilka kropel splamiło złocisty płaszcz sułtana, zacierając wyszyte słowa Koranu.

– Dobry Boże! – krzyknął Mansel, gdy ciało zważyło się na bok, tętniąc słabnącą strugą krwi.

Zabity nie zdążył nawet krzyknąć, za to krzyczeli teraz pozostali. Dwóch w panice próbowało uciec, lecz zostali przytrzymani przez uzbrojonych mameluków i wepchnięci z powrotem do szeregu.

Bajbars z zakrwawioną szablą odwrócił się do konetabla.

– Zgadzasz się, czy mam ich zabijać dalej? Życie twoich ludzi w zamian za miasto.

Oto moja oferta.

Mansel nie potrzebował nawet tłumacza, by domyślić się, o czym mowa.

– Ty zimny draniu – wycedził z goryczą przez zęby. Tłumacz otworzył usta, lecz zerknąwszy na sułtana zrezygnował z przełożenia tych słów.

Bajbars podszedł do następnego w rzędzie. Ten krzyknął i zaszamotał się, kiedy sułtan obnażył mu gardło, ale dwóch mameluków trzymało go mocno.

– Ludzie czy miasto? – spytał Bajbars spoglądając na konetabla. – Co jest dla ciebie ważniejsze? Wybieraj!

Tłumacz pospiesznie przełożył.

– Nie pozwolę się zastraszyć! – ryknął z wściekłością Mansel.

– Panie!!! – krzyknął żołnierz.

Oczy Bajbarsa zwięzły się. Zaciśnął usta i pociągnął szablą po gardle jeńca. Ten umierał dłużej, wił się po ziemi brocząc krwią i na próżno przyciskając dłonie do szyi. Mansel odwrócił wzrok.

– Dobijcie go – Bajbars wskazał gwardzistom konającego. Jeden z Bahridów podszedł i przygwoździł go ostrzem.

– Będiesz się smażyć w piekle! – rzekł ochryple konetabl.

– Przyjmujesz warunki?

– Nie!

Trzeci strażnik padł martwy.

– Dość! – warknął Bajbars. Podszedł do posła. Z szabli kapwały ciężkie krople krwi.

Mansel próbował się zerwać, lecz Bahridzi unieruchomili go w mgnieniu oka.

– Nie! – krzyknął po arabsku, kiedy sułtan złapał go za włosy. – Moja żona jest krewniaczką księcia Boemunda! Da za mnie okup! Żywy jestem wart więcej niż martwy!

– Tylko to miasto ma dla mnie jakąkolwiek wartość. Poddaj je, bo odetnę ci głowę i każę ją przerzucić za mury, żeby twoi ludzie poznali cenę odmowy. – Sułtan przytknął szablę do szyi wijącego się bezsilnie mężczyzny. – Poddaj je!

– Poddaję! – skrzeknął Mansel, gdy ostrze zaczęło sunąć po skórze.

Za wycięcie szaty pociekła mu gorąca strużka krwi. – Zgadzam się na twoje warunki.

Poddam miasto!

– Zabierzcie go pod mury – warknął Bajbars do gwardzistów, odstępując od konetabla. – Niech wyda rozkazy dowódcom. Ludzie pod broń. Wchodzimy jeszcze dzisiaj.

Następnie Szymon Mansel, konetabl Antiochii, został zaprowadzony pod bramę Świętego Jerzego, gdzie trzęsącym się głosem zażądał, by załoga miasta i siły wszystkich zakonów wojskowych złożyły broń.

Nieco później, gdy Bajbars mył ręce w miednicy, do namiotu wszedł jeden z wysłanych z Manselem Bahridów. Ciało już uprzątnięto; eunuchowie na kolanach zmywali krew z podestu.

– Panie...

– Już? – Bajbars sięgnął po ręcznik.

– Konetabl wydał polecenie, jak mu kazano.

– Otwarli bramy?

– Nie, panie. Załoga Antiochii sprzeciwiła się rozkazom Mansela. Nie poddadzą miasta.

39

Mury Antiochii

Osiemnasty dzień maja roku Pańskiego 1268

Szymon sięgnął po brązową zmarszczoną pomarańczę z wyłożonych na ławie racji.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – spytał nagle.

Will był zaskoczony jego ostrym tonem.

– Jeśli Mansel nakłoni dowódców do poddania, być może wkrótce będzie po wszystkim. – Przysiadł na beczce. Właśnie skończył wartę i był zmęczony. Wstawał świt; blade światło zajaśniało w wejściu, ale pozbawiona okien okrągła komnata u podnóża wieży przez cały dzień pogrążona była w mroku. Will ziewnął i dodał: – Choć wcale nie jestem pewien, czy mu się to uda.

Konetabl Mansel dwukrotnie już był prowadzany do bram Antiochii i dwukrotnie załoga odrzuciła wezwanie do poddania się. Znużeni czekaniem ludzie patrzyli z murów, jak saraceńska armia zaczyna okrążać miasto; część oddziałów udała się na północ w stronę rzeki, inne na południe na zbocza góry. Naprzeciw dwu wież bronionych przez grupę Lamberta stanęło kilka machin miotających.

Szymon odłożył pomarańczę na ławę.

– Nie mówię o bitwie – rzekł szorstko. – Mówię o nas.

Will ściągnął brwi.

– A co to ma znaczyć?

– Nic – mruknął koniuszy. – Zapomnij, że się odezwałem.

– Nie. – Will podszedł do niego. – Jeśli masz coś do powiedzenia, mów.

Szymon spuścił oczy.

– Nic, naprawdę.

– Nie kłam – rzekł ostro Will. – Nie odzywasz się do mnie od wielu dni. Ilekroć podchodzę, znajdujesz jakąś wymówkę, żeby odejść. Wciąż masz do mnie pretensje, tak? O

to, żeśmy się tu znaleźli?

– Nie mów tak – Szymon potrząsnął głową. – Nie każdy rwie się do walki tak jak ty.

– Nigdy nie prosiłem cię, żebyś tu ze mną jechał.

– Dostałem rozkaz od mistrza, zapomniałeś?

– Nie mówię o Antiochii, mówię o Ziemi Świętej. W Orleanie powiedziałem ci wyraźnie, że moja decyzja jest moją, ciebie ona nie dotyczy.

– Decyzja – Szymon przytaknął energicznym ruchem głowy – żeby dogonić Mikołaja i odebrać mu księgę Ewerarda. To postanowiłeś zrobić. Nie przyjechałeś tu na wojnę!

– Ale trafiłem na wojnę. Ty też. – Will wskazał palcem za mury. – Ci ludzie zabijają chrześcijan. Może nawet w tej chwili pod murami jest ten, który odrąbał głowę memu ojcu.

– Stałeś się taki obcy... – szepnął Szymon. – Nie rozmawiamy już, nie śmiejemy się jak kiedyś.

– Wystaw sobie, że nie bardzo mi jest do śmiechu.

– Ale nieraz żartujesz z Robertem i resztą! Czuję się tak, jak gdybym był tu sam. Ty nie wiesz, jak człowiekowi ciężko, kiedy wie, co go czeka, i zdaje sobie sprawę, że nie będzie się umiał obronić. Ani siebie, ani ludzi, których... – Zwiesił głowę. – Na których mu zależy.

– Skoro czujesz się samotny, czemu mnie unikasz?

Szymon odwrócił wzrok, po chwili podniósł go z wysiłkiem.

– Chciałbym, żeby znów było tak jak dawniej – uśmiechnął się nieśmiało. – Jak wtedy gdy w Paryżu uczyłeś mnie władać mieczem, pamiętasz?

– Tak już nigdy nie będzie.

– Dlaczego?

– Bo nie mam już tego, co miałem wtedy.

– A co miałeś wtedy? – powtórzył Szymon jak echo.

– Ojca, a przynajmniej szansę, że go jeszcze zobaczę. Elwinę. Duszę wolną od nienawiści. Dziś całym sercem nienawidzę człowieka, który był kiedyś moim najbliższym przyjacielem, i innych, których nawet nie znam. Wtedy nie wiedziałem nic o wojnie ani... –

Will umilkł, zgarbił się. – W ogóle nic nie wiedziałem. Miałem nadzieję.

– Wciąż ją możesz mieć!

– Nadzieję? Na co? Zawiodłem jako brat, jako syn. Nie mogę cofnąć czasu. Tamto wszystko przepadło.

– To co zrobisz? Zostaniesz tu i będziesz walczyć, aż zginiesz?

Will nie odpowiedział. Od murów doleciał przeciągły, zawodzący dźwięk.

Zawtórowały mu kolejne, potężniejac w natarczywy hałas, który świdrował w uszach.

– Co to? – spytał Szymon, blednac.

– Nie wiem. – Will rzucił się do schodów. Z góry dobiegały odgłosy pospiesznych kroków i okrzyki.

– Może rogi sygnałowe.

Odpowiedziała mu seria niezrozumiałych wrzasków. Potem coś ciężkiego uderzyło w mur. Wieża zadrżała, z góry posypały się na ulicę odłupane kamienie. Will ruszył biegiem.

– Co ja mam robić? – zawołał za nim Szymon.

– Idź do koni!

– Will!

Rycerz obejrzał się.

– Co?

– Nic, idź. – Szymon popatrzył za nim, z trudem przełknął ślinę i potrząsnął głową.

Stał jeszcze przez chwilę, kiedy Will już zniknął. W wieżę łupnął kolejny pocisk. Szymon ocknął się i popędził przez ulicę do warsztatu garncarza, uchylając się przed lecącymi odłamkami.

– Co się dzieje? – Will zaczepił zbiegającego z góry giermka. – Atakują nasz odcinek?

– Wszystkie! – wydyszał tamten. – Atakują na całej długości murów!

Na blankach na wpół ubrany Robert sapiąc z wysiłku pomagał załadować do wyrzutni przygotowany kamień. Will podbiegł, ale zatrzymał go widok rozpościerający się za murami. Mamelucy pod osłoną nocy przesunęli się na pozycje do ataku i pokrywali teraz równinę i zbocza góry pstrym dywanem najeżonym włóczniami, drabinami, taranami i ramionami katapult.

Gdy tak patrzył, onagry najbliższe ich odcinka wyrzuciły ku obwałowaniom trzy duże kamienie. Pociski uderzyły w mur, trzęsąc wieżami aż do fundamentów i rozrzucając w powietrze rój ostrych jak noże odłamków. Z sąsiedniej wieży dobiegł krzyk; jeden z rycerzy padł ugodzony taką kamienną drzazgą. Will zobaczył Garena naciągającego kołowrotem wielką kuszę. Otrząsnął się z szoku i pobiegł na pomoc swoim. Garen zwolnił cięciwę kuszy, wysyłając bełt w kłębiące się mrowie napastników. Will nie patrzył już, w co trafił, tylko szarpnął linę zwalniającą ramię mangoneli.

Na całej długości murów z wyjątkiem urwistego szczytu Silpiusa i bagnistych brzegów rzeki, gdzie teren był niedostępny, zaczął się atak. Huk i trzask bijących w mury pocisków był równie

przenikliwy i głośny jak poprzednio bębny. Kamienie uderzały miarowo jeden po drugim, budząc echa w dolinie. Nad murami przelatywały garnki z olejem skalnym, oblewając ogniem ludzi i maszyny. Niektóre oddziały wystrzeliwały z katapult beczki płonącej smoły, które roztrzaskały się wybuchając pod rozjaśniającym się dopiero niebem jak komety. Wydrażone strzały napełnione ropą i czarnym prochem rozpalały się w powietrzu, a trafieni nimi ludzie z krzykiem walili się z ganków lub tarzali po ziemi, próbując ugasić trawiący ciało ogień. Na jednym odcinku waląca się korona wieży zabiła równocześnie cały oddział joannitów.

Obrońcy stawali dzielnie: odpychali drabiny przystawiane do murów, wystrzeliwali roje strzał w piechotę, która odpowiadała glinianymi pociskami miotanymi z proc; zrzucali z murów głazy miażdżące ludzi i konie.

Ale mury Justyniana, choć półboskiej wielkości, same nie mogły powstrzymać zdeterminowanej armii. W ciągu wieków poddały się już Persom, Arabom, Bizantyńczykom, Turkom, a na koniec Frankom. To, że ulegną znowu, było nieuniknione. Pytanie tylko, kiedy.

– Trzeba tam kogoś posłać! – wrzeszczał Lambert, wskazując pozbawiony obsady odcinek muru oddalony o jakieś pół mili. Mamelucy skoncentrowali na nim ostrzał siedmiu onagrów i w środku ziała już spora wyrwa, choć była ona jeszcze za wysoko dla oczekującej pod murem piechoty. Widząc szansę na wyłom, ścigało w tamtą stronę jeszcze więcej napastników prowadzonych przez oddział jazdy w pozłocistych płaszczach.

– Bahridzi! – zawołał starszy rycerz, wskazując jeźdźców.

– Dobry Boże, to on. – Lambert podszedł do blanków. Na czele gwardii sułtańskiej jechał na karym rumaku potężny mężczyzna w złocistych szatach i lśniącej zbroi.

– Kto? – wydyszał Will, dźwigając wraz z giermkim kolejny kamień do łyżki mangoneli. Odsunął się, nim zwolniono mechanizm wyrzutni.

– Kusza – odparł Lambert. – Gdzie ci przekłęci zbrojni?! – ryknął, wychylając się do wewnątrz murów, gdzie przerażeni mieszczanie wyglądali trwożnie z okien swoich domów.

W dole ujrzał Szymona w drzwiach warsztatu garncarza. – Siodłaj konie! – krzyknął.

Szymon zniknął w mrocznym wnętrzu.

Will zerknął za blanki, przyglądając się Bajbarsowi, który jechał po zboczach w kierunku wyłomu. Poczł dziwny dreszczyk na widok mameluckiego sułtana; nie potrafił

określić, czy to strach czy niecierpliwość. Ludzie z wyższego odcinka wałów wiodącego do twierdzy też dostrzegli zagrożenie; machali rękami i krzyczeli z góry do oddziału Lamberta.

Rycerz zmełł w ustach przekleństwo.

Kolejny głaz powiększył wyrwę w murze i wylądował na pastwisku pod walami.

– Co robimy? – krzykną! Will schylając się, bo ławica strzał śmignęła im nad głowami.

– Niech to jasna zaraza! – Lambert rozglądał się wokół bezradnie.

Will złapał go za ramiona.

– Lambert! Co robimy?

– Przemy w górę – odezwał się czyjś głos za ich plecami.

Will obrócił się i zobaczy! Garena. Włosy miał przylepione do spoconego czoła, usmolony płaszcz i tunikę, w dłoni miecz.

– Konno – wydyszał. – Musimy zatkać dziurę, zanim przyjdzie wsparcie.

– Za późno – wtrącił Robert. – Patrzcie.

Trzej pozostali obrócili się na czas, by ujrzeć, jak mur się wali. Z dali dobiegł przygłuszony łoskot. Runął cały odcinek umocnień pociągając za sobą przyległe wieże.

Wszystko zniknęło w chaosie gruzu i pyłu.

– Matko Boża – powiedział słabo Lambert. Mamelucy z gwardią Bajbarsa na czele runęli naprzód w chmurę kłębiącego się kurzu.

– Przedarli się! – krzyknął jakiś rycerz z sąsiedniego bastionu. Ze stanowiska joannitów, którzy także dojrzeliby walące się wieże, dał się słyszeć głos trąbki. Okrzyki niosły wieść wzdłuż murów. Mamelucy nadchodzą. Miasto upadło.

Lambert ocknął się nagle.

– W dół! – wrzasnął do rycerzy i knechtów. – Na konie!

Pozostawiwszy maszyny, zbiegli z wieży, zatrzymując się tylko, by porwać tarcze złożone w jednej z komnat. Wypadli na zasłaną gruzem ulicę, gdzie Szymon wyprowadził

trzy osiodłane dotąd konie. Był blady, ale cicho uspokajał zwierzęta, które prychały i rzucały łbami. Czterech giermków wpadło do warsztatu, żeby siodłać następne. Garncarz wciśnięty w kąt osłaniał sobą żonę i trzy córki.

– Co się dzieje? – pytał.

– Ukryj się, głupcze! – huknął na niego Lambert.

– Zaraz tu będą. – Jeden z rycerzy wskazał w górę zbocza.

Ujrzeni, jak ciężka jazda rozwija szyk na stoku, gotując się do ataku na miasto. W

złocistych, szkarłatnych i purpurowych płaszczach wyglądali jak potok rozżarzonej lawy toczący się z krateru. Niektórzy trzymali pochodnie, część łuki, ale większość wymachiwała długimi lśniącymi klingami zdobionymi złotem i pokrytymi arabskimi inskrypcjami.

Garncarz złapał przerażoną żonę i córki i wepchnął je do piwniczki na tyłach warsztatu. Sam wskoczył za nimi, zatraskując za sobą klapę. Znajdujący się na ulicy ludzie zaczęli biec. Z okien domów podniosły się krzyki przestachu; widać już było zbliżającą się nawałę, która pędziła w dół rozganiając owce i wycinając po drodze ludzi wspinających się ku zbawczym murom cytadeli.

Will zdał sobie sprawę, że ręce mu się trzęsą. Zaciśnął prawicę na rękojeści falcjona i drżenie ustało.

– Na nich! – wrzasnął bardziej do siebie niż do pozostałych i wskoczył na siodło.

Ktoś podał mu tarczę. Obok już dosiadali koni Garen i Lambert, dalej dwaj inni pospiesznie brali wodze z rąk giermków.

– Dokąd? – krzyknął jeden z nich do Lamberta. – Gdzie jest pierwsza linia?

Młody rycerz obrócił się w siodle. Był blady, usta miał zaciśnięte w wąską kreskę.

– Tutaj – rzekł.

Uniósł miecz i z okrzykiem "*Deus vult!*" wbił pięty w boki rumaka ruszając naprzeciw wlewającym się w ulicę mamelukom.

Pocwałowali za nim. Will słyszał, jak z tyłu Szymon wykrzykuje jego imię.

Uświadomił sobie, że nie ma hełmu, ale było już za późno, by cokolwiek zmienić. Dobył

falcjona; pierwszy promień wschodzącego słońca załśnił na uniesionej głowni, wykutej w deszczu, wśród jezior i torfowisk, daleko od tych suchych, spieczonych przez słońce gór. Była to szkocka broń, broń jego klanu, przekazywana z ojca na syna. Łzy nabiegły mu do oczu i obeschły w pędzie; naprzeciw rósł mu w oczach mamelucki gwardzista w połocistym płaszczu rozwianym na kształt skrzydeł. Usłyszał swój wrzask:

– Za Campbellów! Za Campbellów!

Zderzenie było gwałtowne. Wszystkie ćwiczebne gonitwy na polu turniejowym były przy tym niczym. Kontrolowany cios obliczony na wysadzenie przeciwnika z konia nie da się porównać z ciosem wymierzonym, by zabić. Odrzucony w tył, Will byłby wyleciał z siodła, gdyby ze wszystkich sił nie ścisnął kolanami końskich boków. Kiedy się wyprostował, oszołomiony i obity, w tarczy ziała wyłupana dziura, napastnik zniknął, a następny Bahrida był już tuż przed nim. Will zamachnął się mieczem, wychylił, uderzył. Tasak z zardzewiałym jelcem i wystrzępioną opłotka trafił mameluka w ramię między kolczugą a karwaszem.

Trysnęła krew, mężczyzna krzyknął i tracąc kontrolę nad wierzchowcem, został uniesiony przez

kłębiący się wokół templariuszy tłum wdzierających się do miasta Arabów.

Willowi mignął z lewej jeździec na karym koniu, kątem oka dostrzegł błękitne oczy i błysk obnażonych zębów. Zasłonił się przed kolejnym ciosem, który ześliznął się z tarczy i drasnął w szyję jego wierzchowca.

Zwierzę cofnęło się spłoszone; w tejże chwili wpadł na nich inny jeździec, zbijając je z nóg. Zrzucony z siodła Will poleciał w bok, ale stopa zahaczyła mu o strzemień; krzyknął, kiedy walący się koń przygniótł mu nogę. Gdzieś nad sobą posłyszał głośny jęk Lamberta.

Rycerze, którzy nie zdążyli dosiąść koni, uskoczyli do budynków, gdy pierwsze szeregi jazdy runęły w ulicę. Niektórzy cywile poszli za ich przykładem, czmychnęli do wieży lub przywarli do ścian domów. Inni w ślepej panice biegli naprzód; ci padli pod ciosami szabel i zostali stratowani na miazgę. Robert z obnażonym mieczem stanął w drzwiach warsztatu zasłaniając Szymona. Odbił jeden czy dwa ciosy, ale większość jeźdźców minęła rozproszonych zbrojnych, prac dalej w głąb miasta. Krzyki , *Allahu akbar!*" wzniosły się ponad tętent kopyt i krzyki mordowanych.

Widząc, jak Will i Lambert walą się z koni, Szymon krzyknął, przepchnął się obok Roberta i wypadł na ulicę. Posłyszał wrzask rycerza; padł na kolana osłaniając głowę, nad którą świsnęły ostrza szabel. Robert wyskoczył za nim i wciągnął go do sieni. Szymon szarpnął się, wykrzykując imię Willa.

– Nie pomożesz mi! – Robert był zaskoczony gwałtownością koniucha.

Przygwoździł Szymona do futryny drzwi. – Zetną cię jak witkę, durniu!

– On nie może zginąć! – wołał Szymon usiłując go odepchnąć. Jego piwne oczy były rozszerzone i nieprzytomne, łzy płynęły mu po policzkach. – To przeze mnie się tu znalazł!

To wszystko moja wina!

Z zewnątrz wciąż dobiegał grzmot kopyt i krzyki, bliższe i dalsze, unoszące się w powietrze wraz z pierwszymi smugami dymu z podpalanych domów.

– O czym ty u diabła bredzisz? – Robert potrząsnął nim mocno.

– Elwina by nie odeszła, gdyby wiedziała o truciźnie. Skłamałem, żeby ich rozłączyć. Przecież nie mógł się z nią ożenić! Ale nie chciałem... nie zamierzałem wykerować go aż tutaj! – wykrztusił Szymon wśród łkań. – Wiem, że on by nigdy... Ale ja...

– Uderzył w pierś Roberta zwiniętą pięścią i nagle brakło mu sił. Dokończył szeptem: –

Miłowałem go dłużej niż ona.

Robert wciąż gapił się na niego osłupiały, gdy z ulicy dobiegł czyjś okrzyk. Skoczył

ku drzwiom i też krzyknął ze zdumienia i radości.

Szymon poderwał głowę, poznając głos. Przez łzy ujrzał niewyraźną sylwetkę zbliżającego się jeźdźca w białej szacie. Po chwili otarłszy oczy spostrzegł, że wierzchowiec dźwiga dwóch jeźdźców: z przodu siedział Garen z okrwawionym mieczem, a za nim Will.

Towarzyszył im jeden z rycerzy, którzy wzięli udział w wypadzie, oraz dziesięciu braci domu niemieckiego w białych płaszczach z czarnymi krzyżami. Paru było rannych. Ulica opustoszała, mamelucy zniknęli, jeśli nie liczyć kilku ciał leżących w pyłe pomiędzy trupami mieszczan, którym nie udało się uciec.

– Co z Lambertem? – zapytał Robert, ujmując wodze.

– Poległ – odparł krótko Garen i zeskoczył z siodła.

Krzyżacy także zsiadali z koni. Kilku templariuszy podbiegło, by pomóc rannym.

– Przyszli nam z odsieczą. – Garen ruchem głowy wskazał Niemców.

– A gdzie nieprzyjaciel? – Robert zmierzył wzrokiem wymarłą ulicę.

– Jazda ruszyła na główne miasto – rzekł podchodząc jeden z Krzyżaków. – Nie mamy wiele czasu. Wkrótce opanują bramy i cała reszta armii wedrze się do środka. Nie zdołamy ich powstrzymać.

– Co ty mówisz? – zaprotestował Will, zsuwając się z konia. – Mamy się poddać?

– Wątpię, by Bajbars przyjął naszą kapitulację, nawet gdybyśmy się na nią zdecydowali. Byliśmy na wzgórzu niedaleko stąd. To nie bitwa, to jatka. Mordują każdego, kogo znajdą. – Niemiec otarł krew z rany na głowie, wąską strużką spływającą mu do oka.

Ręka mu drżała.

– Powinniśmy przedrzeć się do klasztoru – zaproponował Robert – albo do zamku.

– Już za późno. – Krzyżak wskazał łąki u stóp rozbitego muru. Wiodła przez nie jedyna droga do twierdzy z ich strony miasta. Setki mameluków wlewały się przez wyłom i rozbiegały po zboczach. – Nie dotrzemy tam żywi.

– To co robimy? – spytał z lękiem jeden z giermków.

– Uciekamy – odparł Krzyżak.

– On ma rację – poparł go Garen. – Jeśli tu zostaniemy, nie mamy szans. Musimy wydostać się z miasta tunelem.

– To właśnie zamierzaliśmy zrobić – podchwycił Niemiec. – Niedaleko stąd jest wlot jednego z nich. Kończy się w jaskini na stokach Silpiusa. Jeśli nas nie złapią, zaczekamy w niej do nocy, a potem spróbujemy się przekraść przez dolinę.

– Możemy iść na północ – odezwał się jeden z giermków – do Baghrasu albo..

– Baghras na pewno też już padł – przerwał mu Robert.

– Prędeż! – ponaglił ich inny Krzyżak, rozpędzając konie płazem miecza.

– Jeśli chcecie iść, chodźcie – rzekł rycerz do templariuszy. Potem odwrócił się i pobiegł w ślad za swoimi braćmi wzdłuż murów.

– Jeśli odejdziemy, nikt nie obroni tych ludzi – powiedział Will. – Nie możemy uciec.

– A jeśli zostaniemy, obronimy ich? – odparł Robert ostro. – Nie śpij! – szturchnął

Szymona, który zastygł w drzwiach. – Chodźcie! – zawołał do pozostałych.

Z obnażoną bronią ruszyli w stronę baszty, w której zniknęli już Krzyżacy. Jeden z giermków wręczył Szymonowi młot bojowy, który ten wziął do ręki jak we śnie.

– Chcesz żyć, Will? – Robert wskazał czubkiem miecza zbliżającą się kolejną grupę mameluków. – Pora się zdecydować!

Will spojrzał na niego, potem na okrwawiony tasak, który trzymał w ręce. W

Safedzie rycerze wybrali śmierć. Ale on wiedział, że nie znajdzie spokoju w grobie. Nie skończył, nawet jeszcze nie zaczął tego, co miał do zrobienia. Ewerard, ojciec, Owen, zakon i Dusza Świątyni – każdy popychał go w takim lub innym kierunku. Był zmęczony słuchaniem, za co ma walczyć, według jakich reguł żyć. Przekonał się już, że reguły są inne dla każdego, a traktaty i przysięgi łamię się bez żadnych konsekwencji. Pokój lub wojna, przebaczenie lub zemsta nie będą znaczyć dla niego nic, jeśli sam ich nie wybierze. Chciał móc wybrać. Chciał

żyć.

– Biegiem! – wrzasnął do niego Robert.

Will zaczął biec.

Miasto, którego zdobycie zajęło pierwszym krzyżowcom siedem miesięcy, tym razem padło po ośmiu dniach oblężenia. Antiocheńczycy barykadowali się w domach, chowali dzieci w piwnicach i pod łózkami; inni widząc buchające już z domów płomienie uciekali w stronę cytadeli. Tylko niewielu udało się przedrzeć przez linie wroga. Mała grupka dotarła do grotty Świętego Piotra, jaskini w zboczu góry, służącej ongiś za kryjówkę pierwszym chrześcijanom. Skupili się w ciemności, spoceni i zziębnięci – księża, zbrojni, rolnicy, kupcy, ladacznice i dzieci. Tymczasem bramy padały jedna po drugiej i w obręb murów wlewali się mamelucy. Bajbars kazał zamknąć za nimi kordon, aby nikt nie

wydostać się z miasta.

Obrońcy porzucali stanowiska, gdy opuszczała ich nadzieja i odwaga. Niektórzy próbowali się poddać, lecz mamelucy mieli rozkaz zabijać każdego, kogo zastaną za murami.

Dzieci, osierocone lub zapomniane, płakały na schodach domów, gdy tymczasem ulicami szarżowała ciężka jazda z szablami zbromczonymi krwią. Muzułmanie żyjący od wieków w tym chrześcijańskim mieście błagali po arabsku, by ich oszczędzono, lecz wojownicy byli głusi na wszelkie prośby. Upojeni mordem, zbryzgani krwią wrogów i przyjaciół, z hasłem do boju wciąż dzwoniącym w uszach, zajęli Antiochię i złamali ją.

Gdy ulice zostały oczyszczone z żywych, mamelucy wtargnęli do świątyń i pałaców, mordując panów i sługi, przetrząsając komnaty w poszukiwaniu kosztowności, bezczeszcząc ołtarze, pałac, gwałcąc i torturując. W katedrze Świętego Piotra otwarto grobowce patriarchów i wyrzucono szczątki na posadzkę. Ciężkie pierścienie grzechotały o kamienie obok zetlałych kości deptanych na proch przez buty mameluków. Archidiakon ukrywający się w krypcie uczepił się nóg jednego z wojowników błagając, by oszczędzono grób jego ojca. Ci jednak ze śmiechem wywlekli gnijące szczątki i rozszarpali je na strzępy. Potem jeden z nich dotąd tłukł archidiakona czaszką ojca, aż kapłan wyzionął ducha.

Bajbars zajął na swoją główną kwaterę dużą rzymską willę w centrum konającego miasta. Pochylił się nad fontanną na wewnętrznym dziedzińcu zasłanym trupami, które mamelucy zwlekali na stos. Ramię miał obolałe od ciężaru szabli, udo rozorane mieczem jakiegoś templariusza. Gardło paliło go z pragnienia. W powietrzu było pełno dymu.

Na dziedziniec wszedł jeden z dowódców. Widząc go, zaczekał z boku, aż sułtan skończy się myć.

– Zamek się poddaje, panie.

– Przyjmij kapitulację. Niech złożą broń i otworzą bramę.

Emir skłonił się.

– Czy mamy ich puścić wolno?

– Nie. – Bajbars nabrał w dłonie wody z fontanny i podniósł ją do ust. – Ci, którzy zostali przy życiu, pójdą w niewolę. Jutro nasi ludzie wybiorą sobie, kogo zechcą, a resztę się sprzeda.

Nadepnął na coś i spojrzał pod nogi. Leżała tam mała szmaciana laleczka. Podniósł

ją, zastanawiając się, czy spodobałaby się Barace.

– Wzięliśmy jakieś łupy? – spytał.

– Tyle, że można je rozdawać pełnymi wozami – odparł emir.

Bajbars obrócił lalkę w dużych dłoniach, dochodząc do wniosku, że taka zabawka nadaje się bardziej dla dziewczynki. Niemal równocześnie dojrzał w stosie trupów zwłoki dziecka. Dziewuszka o ciemnych włosach zlepionych krwią mogła być nieco młodsza od jego syna.

Naraz zdał sobie sprawę, że emir patrzy nań wyczekująco.

– Co takiego? – spytał.

– Powiedziałem, panie – rzekł ostrożnie mężczyzna – że cennych łupów jest nieomal za wiele, by je unieść. Jestem wszakże pewien, iż damy sobie radę.

– Dobrze. – Bajbars ocknął się z zadumy. – Jutro rozdzielimy skarby i niewolników.

Emir skłonił się i odszedł. Z cienia wychynął Kadir. Wyszarzałą koszulę splamioną miał krwią.

– Panie – rzekł, przypadając do ziemi i dotykając kolana Bajbarsa. – Ja też chcę niewolnika.

Bajbars wziął go pod brodę i uniósł jego twarz ku sobie.

– Gdzie to niebezpieczeństwo, które mi wieszczyłeś? – gestem wskazał płonące miasto. – Jak widać, nie jesteś nieomylny.

Białawe oczy Kadira błysnęły w słońcu, które przedarło się przez kłęby dymu.

– Przyszłość nie daje sobą łatwo zawładnąć, panie – rzekł ponuro.

Bajbars milczał przez chwilę, potem rzucił mu lalkę.

– Masz. To twoja niewolnica.

Kadir rzucił się na zabawkę jak kot. Usiadł i pomrukując pieszczotliwie podniósł ją do twarzy, żeby ją obwąchać.

Bajbars skinął na jednego z Bahridów stojących na straży przy głównym wejściu do willi.

– Zawołaj mi skrybę i przyprowadź Mansela. Zanieś list do Boemunda. Myślę, że książę będzie chciał się dowiedzieć, jaki los spotkał jego miasto.

Wojownik zniknął w willi, a sułtan podszedł do ludzi zajętych zbieraniem trupów.

– Spalcie te ścierwa – warknął – zanim zlecą się muchy.

40

Dom macierzysty templariuszy w Akce

Piętnasty dzień czerwca roku Pańskiego 1268

Szymon był na podwórzu przy stajniach, napełniał poidła świeżą wodą. Na widok Willa odstawił wiadro i otarł dłonie o tunikę. Serce biło mu boleśnie; ponad wszystko na świecie pragnął zapaść się pod ziemię lub przynajmniej schować w stajni, dopóki Will sobie nie pójdzie. Dziś jednak nie mógł tego zrobić.

Posłyszawszy wołanie, Will obejrzał się i uniół rękę. Po twarzy przemknął mu cień zniecierpliwienia. Szymon poczuł ostrze bólu wbijające mu się w żołądek. Znał to uczucie; jeszcze gdy byli dziećmi w Londynie, ssało go w żołądku, ilekroć ujrzał Willa, wówczas jednak powodem była radość, nie jak dziś – strach.

– O co chodzi?

– Jak się masz? – Szymon uśmiechnął się mężnie. – Nie widziałem cię chyba od powrotu z Antiochii.

– Dobrze. – Will spojrzął na słońce, które opadało już nad horyzont. Dzień był

upalny i duszny; ze stajni bił ciepły, intensywny odór gnoju i siana. – Masz do mnie jakąś sprawę?

Jego ton był przyjazny, lecz obcesowe słowa przeszyły Szymona kolejną falą bólu.

– Ewerard cię szukał. Prosił, żebyś do niego zajrzał.

– Dobrze. – Will odwrócił się.

– Mówił, że to ważne! – zawołał za nim Szymon z rozpaczą.

– Parę godzin na pewno go nie zbawi.

– Dokąd idziesz? – Szymon przygryzł wargi. – Już prawie nieszpory!

– Mam coś do załatwienia.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie.

Szymon patrzył bezradnie, jak Will odchodzi.

Już od jakiegoś czasu stosunki między nimi układały się źle, ale po Antiochii popsuły się ostatecznie. Podejrzewał w tym winę Roberta.

Wszystkim dała się we znaki bitwa i ucieczka, ale gdy większość ocalonych z Antiochii zyskiwała ducha w miarę zbliżania się do Akki, Will był coraz bardziej przygnębiony. Obdarta grupka potykając się szła przez skalistą równinę. Niebo za ich plecami wciąż było skalane dymem; nocami osaczały ich cienie. Kilkakrotnie wśród pojękiwania rannych Szymon słyszał, jak Will mówi przez sen. Mógłby przysiąc, że doleciało do niego wyszeptane cicho jak tchnienie imię Elwiny.

Elwina.

To imię było mu niczym kamień u szyi, ciążyło wyrzutami sumienia, strachem i zazdrością. Schylił się po wiadro i wyprostował z powrotem.

– Wiesz, co powinieneś zrobić – mruknął pod nosem – więc idź i miej to już za sobą.

Poprosił jednego z giermków, żeby skończył za niego pracę, wpadł jeszcze do kancelarii i poszedł poszukać Roberta.

Robert był na kwaterze, mył ręce przed nieszporami. Kiedy zobaczył w drzwiach koniuszego dzierżącego pióro i pergamin, zdziwiony ściągnął brwi.

– Rozmawiałeś z Willem? – Szymon wkroczył do komnaty i rozejrzał się, czy jest pusta.

– Tak, widziałem się z nim dzisiaj – powiedział Robert, zamykając za nim drzwi.

– Nie o to mi chodzi. – Szymon odwrócił się do niego. – Pytałem o... – Zwiesił

głowę, lecz zmusił się, by ją znów unieść. Nie było sensu udawać; sekret, który taił przez tyle lat, wyrwał się już z zamknięcia. Mógł tylko mieć nadzieję, że wyznanie złożone w obliczu niechybnej, jak sądził, śmierci nie uderzy w niego rykoszetem. Zaczerpnął tchu i dokończył: –

Chodziło mi o to, co powiedziałem ci w Antiochii.

– A! – Robert zarumienił się i odwrócił wzrok. – Przecież dałem ci słowo, że mu tego nie zdradzę.

– Jest dla mnie bardzo szorstki.

– Trudno mu się dziwić. W ciągu paru miesięcy stracił bardzo wiele. Ojca, Elwinę, potem dotknęła go zdrada Garena. Trzeba mu czasu, żeby się z tym jakoś pogodzić.

– Myślę, że potrzeba mu czegoś więcej. – Szymon zawahał się, po czym wręczył

rycerzowi pergamin i pióro. – Dlatego chcę cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobił.

Kościół Najświętszej Maryi Panny w Akce

Piętnasty dzień czerwca roku Pańskiego 1268

Will szedł ulicą Trzech Króli przez pizańską dzielnicę. Z wieży kościoła Świętego Andrzeja odezwał się dzwon na nieszpory, płosząc ptaki, które uniosły się w różowiejące niebo. Inne dzwony skwapliwie poszły za jego przykładem i wkrótce całe miasto wypełniło się dźwięcznym tętnieniem niosącym się daleko w morze. Budynki stojące po obu stronach wąskich ulic jaśniały w zachodzącym słońcu; nieliczne oszklone okna oślepiały złotym blaskiem. Po chwili dzwony ucichły. Plac targowy był pusty, zasłany zwierzęcymi odchodami i skórkami owoców; zgubiony jedwabny szal poruszał się niemrawo w gorącym słonym wietrze wiejącym od zatoki.

Zbliżało się letnie przesilenie; w Paryżu niedługo zacznie się wiosenny jarmark.

Wywieszono już listy zawodników w turniejach, a dziewczęta i panny wplatają wstążki we włosy.

Will przeszedł plac ocieniony pasami niebieskiego i zielonego płótna i wszedł do dzielnicy weneckiej. Jako templariusz nie miał trudności z przekraczaniem bram dzielących poszczególne warowne podgrodzia. Gdy strażnicy, kłaniając się od niechcienia, rozstąpili się przed nim, udał się szybkim krokiem wprost do kościoła Najświętszej Maryi Panny. Nim tam dotarł, nabożeństwo dobiegało już końca. Will wśliznął się do środka, odmówił „Ojcze nasz”

z resztą wiernych i odczekał, aż wyjdą z kościoła. Kilka osób pozostało, modląc się na klęczkach; ksiądz uprzątnął ołtarz i wyszedł do zakrystii. Spojrzenie Willa prześliznęło się po pochylonych głowach. Ruszył do przodu boczną nawą, mijając ołtarz Matki Bożej otoczony kręgiem świec. Palono je w całej Akce, odkąd ksiązę Boemund przysłał wieść o zdobyciu Antiochii. Wieść wyprzedziła grupkę uciekinierów; nim dotarli do miasta, już było pogrążone w żałobie. Will wziął z boku nową świecę, odpalił ją od innej i postawił przed marmurową figurą Madonny patrzącej na niego z czułością. Potem podszedł do ławki i usiadł obok klęczącego mężczyzny.

– W jakiej to intencji? – spytał Garen, podnosząc na niego wzrok.

Will puścił pytanie mimo uszu.

– Wszystko przygotowane?

Garen zawahał się, po czym skinął głową.

– Tak, w zakrystii. Ksiądz zaraz nas tam wpuści.

– Można mu zaufać?

– Poznałem go dopiero dzisiaj. To mój informator nalegał, żeby się nim posłużyć. –

Garen zniżył głos i usiadł, przyglądając się drzwiom wychodzącym z chóru. – Wydaje się chętny do pomocy. Templum poparło Wenecję w wojnie z Genuńczykami, których z kolei wspierał Zakon Świętego Jana. Jak zrozumiałem, uratowaliśmy jego brata podczas walk na ulicach.

– Poważnie myślisz, że to się uda?

Garen zmarszczył brwi.

– Chyba się nie wycofujesz?

– Nie. Ta przeklęta księga zbyt wiele mnie kosztowała. Chcę doprowadzić sprawę do końca. Ale wolałbym się przekonać, że wiesz, co robisz. Skąd pewność, że ten sługa nie wciąga nas w pułapkę?

– Sam zaofiarowałem się z pomocą. Marzył o awansie, ale mu odmówiono. To był dla niego cios, bo służył wielkiemu mistrzowi przez dwadzieścia lat. Jest stary, zgorzkniały i ubogi. Ja po prostu dałem mu możliwość się wyżalić – Garen wzruszył ramionami – i otarłem łzy paroma sztukami złota. Każdy ma jakieś pragnienia, Will. Trzeba tylko wiedzieć, które sznurki pociągnąć, żeby ludzie wypowiedzieli je na głos.

– Nauczyłeś się tej sztuczki od Kruka?

Garen westchnął ciężko.

– Tak naprawdę trapi cię co innego: czy mnie możesz zaufać, prawda?

– Nie. – Will spojrzał mu prosto w oczy. – Tobie nigdy nie zaufam. Ale chcę być pewien, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jeśli ten sługa mówił prawdę i księgę mają wkrótce przenieść w bezpieczniejsze miejsce, to może być nasza jedyna szansa, by ją odzyskać.

Garen spojrzał na swoje dłonie.

– Nie wierzysz, że się zmieniłem?

Will zerwał się i usiadł z niecierpliwym westchnieniem.

– Pamiętaj – Garen nachylił się ku niemu – że to ja przyszedłem z tym do ciebie.

– Ewerard ma własny plan zdobycia księgi.

– No cóż, z tego co mówiłeś, wynika, że jego poprzedni plan się nie powiódł.

Will milczał. Po powrocie z Antiochii dowiedział się, że pod jego nieobecność Anima Templi wysłała dwóch najemników do szpitala Świętego Jana. Mieli wykraść Księgę Graala. Żaden nie wrócił, a tydzień później, podczas spotkania władców Akki, Hugo z Revelu napomknął mimochodem, że jacyś złodzieje próbowali włamać się do jego skarbcza. Pojmano ich i miano przesłuchać, ale próbowali zbiec i zostali zabici. Ewerard, choć grunt palił mu się pod nogami, wiedział, że nie może wysłać do siedziby joannitów następnej ekspedycji tak szybko po nieudanej próbie. Musiał czekać.

– Mój plan ma przynajmniej szansę powodzenia – dodał Garen. – Zresztą gdybym chciał zagarnąć księgę dla siebie, w ogóle bym ci o tym nie mówił.

– A Kruk? Nie poczuje się zawiedziony, kiedy wyjdzie na jaw twoja nielojalność? –

syknął ironicznie Will.

– Tłumaczyłem ci już, że wtedy nie miałem wyjścia – odparł głucho Garen, spuszczaając wzrok.

– Skoro ci groził, trzeba było iść do mistrza. Położyłby temu kres.

– A Kruk tymczasem zabiłby mi matkę. – Garen zniżył głos. – Słuchaj, skończyłem z nim. Nie wiem, co ci mam jeszcze powiedzieć.

– Najlepiej prawdę. Nie wierzę, że nic o nim nie wiesz. Od kogo usłyszał o księdze?

– Nie mam pojęcia! – Garen sięgnął do sakiewki u pasa. Wyjął z niej niewielką mosiężną plaketę. – Pamiętasz to?

Will z ociąganiem wziął plakieta do ręki i spojrział na nią zaskoczony. Była to podobizna pieczęci zakonu: dwóch rycerzy na jednym koniu.

– Dałeś mi ją po turnieju. Wygrałeś, a ja przegrałem, ale podarowałeś mi swoją nagrodę. Chciałem ci ją oddać na dowód, że się zmieniłem.

Miał nadzieję, że Will nie zauważy, iż nie jest to ta sama plakieta. Tamtą cisnął do Tamizy wiele lat temu.

Will zawahał się na chwilę i oddał mu mosiężny krążek.

– W Antiochii uratowałeś mi życie. Jestem ci za to wdzięczny, ale nie będziemy znów przyjaciółmi, Garenie. Nie mogę ci przebaczyć tego... – zacisnął szczęki i odwrócił

wzrok. – Tego, co się stało w Paryżu.

Garen zagryzł wargi i schował plakieta z powrotem do sakiewki.

– Rozumiem – powiedział cicho.

Drzwi zakrystii uchyliły się i ksiądz wezwał ich gestem do zadymionej kadzidłem komnatki.

– Chodźcie, chodźcie – rzekł, wskazując im sporą skrzynkę. Miał silny obcy akcent.

– Dziś rano przyszedł tu człowiek i zostawił to dla was. Powiedział, że w środku jest wszystko, czego wam trzeba.

– Dziękuję – powiedział Garen.

Ksiądz kiwnął głową.

– Zostawię was, żebyście się przebrali. Możecie zostawić tu swoją odzież. Te drzwi

– wskazał niskie drzwiczki wychodzące na ulicę – zostawię dziś otwarte. Możecie wrócić tą samą drogą. Idźcie wzdłuż ulicy aż do muru. Dalej przez dzielnicę żydowską, aż miniecie łaźnię. Stamtąd widać już mur szpitala Świętego Jana.

Kiedy wyszedł, Garen otworzył skrzynię. Wyjął z niej dwa schludnie złożone czarne habity z białymi krzyżami na piersiach i plecach. Podał jeden Willowi, sam włożył drugi. Will zrzucił z siebie biały płaszcz. Na dnie skrzyni leżał zwinięty pergamin. Wypadł z niego na podłogę niewielki metalowy przedmiot – klucz. Garen podniósł go i włożył do sakiewki, a potem schylił się nad topornie, lecz wyraźnie wyrysowanym planem szpitala z zaznaczoną komnatą wielkiego mistrza i znajdującym się w niej skarbcem.

Schowali szaty Templum w skrzyni i wyszli na ciemną ulicę. Wskazówki księdza były jasne i proste, toteż niebawem dotarli pod bramę szpitala. Will wstrzymał oddech, kiedy okrzyknięto ich w bramie, lecz podniósłszy latarnię, strażnik zobaczył białe krzyże na tunikach i zaraz ich przepuścił.

Joannici właśnie skończyli wieczerzę i na dziedzińcu panował ruch. Will i Garen jakby nigdy nie ruszyli naprzód, lawirując wśród tłumu zakonników i kłaniając się lekko napotkanym rycerzom, którzy im się odkłaniali. Podobnie jak tutejsze Templum, szpital Świętego Jana w Akce był macierzystym domem joannitów w Ziemi Świętej. Ludzie przyjeżdżali tu i wyjeżdżali; wciąż roilo się od nowych twarzy.

Wszedłszy do głównego budynku, zatrzymali się na chwilę w oświetlonym korytarzu, żeby spojrzeć na plan. Z łatwością ustalili, które schody prowadzą do kwatery wielkiego mistrza. Po drodze z kościoła umówili się, że jeśli ktoś będzie w komnacie, powiedzą, że przyszli prosić o posłuchanie w sprawach osobistych. Ruszyli po schodach pewnym krokiem, żeby nie budzić podejrzeń. Jak dotąd plan działał bez zarzutu; Will martwił

się tylko, co zrobią, jeśli natkną się na Mikołaja z Nawarry.

U szczytu schodów weszli w sklepiony korytarz prowadzący w dwie strony. Każda z odnóg kończyła się podwójnymi drzwiami. Zerknąwszy znów na plan skręcili w prawo. W

chylącej się do wewnątrz ścianie były wysokie okna dające oszałamiający widok na miasto oświetlone licznymi pochodniami i mdłym blaskiem widocznej połowy księżyca.

Spod drzwi sączyło się słabe światło. Garen kiwnął do Willa, który zastukał lekko.

Oczekali chwilę. Nikt nie opowiedział. Dla pewności Will zapukał jeszcze raz. Cisza.

Delikatnie pchnął drzwi; otworzyły się z cichym skrzypieniem. Komnata oświetlona była przez dwie świece na ustawionym pośrodku dużym stole. W głębi majaczył przykuty do ściany skarbiec. Między podtrzymującymi strop marmurowymi filarami znajdowały się łukowate okna jak te w korytarzu. Poza kręgiem światła zalegał mrok.

Will wszedł do środka i nagle się zatrzymał.

– Co się stało?

Wskazał stół. Walały się po nim porozrzucone papiery i pióra, niektóre nawet spadły na podłogę.

– Może zawsze mają taki bałagan – mruknął z tyłu Garen. – W końcu to szpitalnicy.

No, idźże. – Ominął go i podszedł do skarbca, wyjmując klucz z sakiewki.

Will się rozejrzał; oczy stopniowo przywykały do ciemności. Pod ścianami stało kilka skrzyń i komód; wszystkie otwarte, z poprzewracaną zawartością. W komnacie dawał

się wyczuć odór stęchlizny i zastarzałego potu.

– Garen... ! – syknął ostrzegawczo.

Garen sięgnął do skarbca, jego dłoń z kluczem zawisła w powietrzu.

– Otwarte – rzekł, marszcząc brwi. Pociągnął drzwi, które otworzyły się ze zgrzytem. – Psiakrew! – obejrzał się na Willa. – Tu jej nie ma.

Z cienia za kolumną śmignął czyjś kształt, furknął rdzawy płaszcz, w powietrzu błysnął nagi sztylet. Zanim Garen zdążył zareagować, mężczyzna złapał go, obrócił i przytknął mu nóż do gardła.

– Tam jej nie ma, bo ja ją mam! – zaśmiał się ochryple.

Will dojrzał księgę w welinowej oprawie zatknietą za pas mężczyzny, który katował go w zamtuzie. Poznał go po głosie i po oczach. Tasak sam wskoczył mu do ręki.

– Odłóż to – rzekł patrząc na niego Kruk – chyba że chcesz, żebym poderznął gardło twojemu przyjacielowi.

Will zawahał się. Garen ostro wciągnął powietrze, gdy ostrze nacięło skórę.

– Wiesz, że to zrobię – powiedział cicho Kruk.

– Dobrze. – Will położył tasak na podłodze.

– Nie tu! Tam, na skrzyni. Zaoszczędzę ci schylania się po niego.

Will zrobił, jak mu kazano.

– A teraz wróć tam, gdzie byłeś.

Wrócił na poprzednie miejsce, nie spuszczać oczu z mężczyzny. Ten wyjął miecz Garena z pochwy i rzucił go za siebie na miękki chodnik.

– Jaka piękna scena – zadrwił. – Przewidywałem, że zdradzisz.

– Nie zdradziłem! – zaprotestował zdyszany, nie swoim głosem Garen, spoglądając na Willa. – Wykorzystałem Campbella, żeby zdobyć księgę. Potem miałem ją zawieźć do Londynu, zgodnie z umową.

Oczy Willa zwęziły się. Zrobił krok do przodu.

– Stój w miejscu! – warknął zbir, cofając się wraz z Garenem. – On kłamie. A nie umie kłamać, biedak. Jest na to za miękki.

Will zatrzymał się. Zobaczył, jak dłoń Garena wędruje w stronę kaletki u pasa.

– Ja to co innego – ciągnął Kruk – kłamię równie dobrze, jak otwieram zamki. A skoro już o tym mowa: zaraz obaj grzecznie wskoczycie do skarbczyka. – Zaśmiał się. –

Szkoda, że nie zobaczę miny wielkiego mistrza, kiedy was tu znajdzie! Przyzwyczajajcie się do

ciasnych zamkniętych pomieszczeń, bo wątpię, żeby bracia prędko wypuścili was z lochu.

– Jego głos stwardniał. – To za karę, że sam musiałem się tu fatygować. Powinienem was zabić. A, właśnie! – Przechylił się przez ramię Garena, przyciskając mu do twarzy zarośnięty policzek. – Pamiętasz tę paryską dziwkę, jakże jej było? Adele?

Dłoń Garena zastygła we wnętrzu kaletki.

– Wychędożyłem ją na pożegnanie. Nożem.

– Nie wierzę ci – wyszeptał blady jak ściana Garen.

Kruk przytknął mu wargi do ucha. Jego gorący oddech owionął twarz rycerza.

– Ale to jeszcze nic. Znacznie lepiej zabawię się z twoją mateczką po powrocie do Anglii.

Garen wyrwał dłoń z kaletki. Will zobaczył błysk metalu w uniesionej dłoni i zanim zdążył sobie uświadomić, że to turniejowa plakieta, jej szpila utkwiła w oku Kruka.

Trysnęła krew. Kruk krzyknął i cofnął się chwiejnie, podnosząc ręce do twarzy.

Garen cisnął plakieta na podłogę, porwał upuszczony sztylet i rzucił się na niego jak oszalały, siekąc na oślep. Krew kreśliła smugi na chodniku i wybielonych ścianach. Kruk wył; osunął

się na ziemię, jedną ręką zakrywając oko, drugą starając się osłonić przed żądłącymi go ciosami. Garen siedział na nim okrakiem, raz po raz zanurzając ostrze i powtarzając:

– Ty łajdaku. Ty brudny kundlu.

Krzyk odbijający się echem od ścian komnaty ucichł.

– Garen, starczy! – Will złapał go za ramię.

Tamten obrócił się mierząc w niego nożem. Jego nieprzytomny wzrok skupił się na Willu i ramię opadło.

– Musze go dobić – powiedział prawie normalnym głosem.

Will zawahał się i skinął głową.

Garen wycelował starannie i wbił sztylet. Nieprzytomny zbir już nie poczuł, jak ostrze przeszywa mu serce. Will wyciągnął mu zza pasa zakrwawioną księgę i podniósł

towarzysza na nogi.

– Bierz miecz.

Sam porwał swój tasak i pobiegł do wyjścia, lecz zatrzymał się, nie słysząc kroków Garena. Rycerz

stał nieruchomo, wpatrzony w martwe ciało. Will zawrócił, złapał go za ramię, wyciągnął na korytarz i powlókł w dół po schodach. U ich stóp posłyszeli biegnących z naprzeciwka ludzi. Will w ostatniej chwili wepchnął Garena do pustej komnaty. Kiedy kroki przebrzmiały, wyjrzał ostrożnie i zobaczył nikiące na schodach plecy rycerzy.

– Chodź! – ponaglił Garena, który dając się prowadzić jak dziecko wyszedł za nim w ciepłą balsamiczną noc.

Mikołaj z Akki był w głównym budynku, kiedy posłyszał stłumione krzyki dochodzące z wieży. Wezwawszy na pomoc dwóch braci ruszył pędem po schodach do komnat wielkiego mistrza. Gdy wpadli do środka, jeden z rycerzy krzyknął na widok ciała ze sztyletem w piersi. Rzucił się ku niemu.

– To nie mistrz – powiedział z ulgą. – Nikt z naszych.

Mikołaj z mieczem w dłoni przeszukał komnatę. Zaklął na widok otwartego skarbca.

– Podnieście alarm – rzeki, chowając miecz do pochwy, i nachylił się nad trupem. –

Zabójca może tu jeszcze być.

– Co się tu dzieje? – Hugo z Revelu wszedł do komnaty i stanął jak wryty na widok zmasakrowanego ciała.

Mikołaj podniósł się.

– Panie, księga zniknęła.

– Zostawcie nas – zwrócił się mistrz do pozostałych rycerzy. Gdy odeszli, podjął: –

Kim jest ten człowiek?

– Zapewne kolejnym płatnym zbirem nasłanym przez Świątynię.

– Nie mamy pewności, że tamtych wynajęła Świątynia, bracie.

– A któż by inny? – w głosie Mikołaja zabrzmiała gorycz. – Ewerard jest w Akce, widziałem go. Było oczywiste, że spróbuje odzyskać księgę. – Ruszył do drzwi.

– Dokąd się wybierasz, bracie?

– Może uda mi się schwytać tych, którzy tu byli. Na pewno nie odeszli daleko.

– Zakazuję.

– Jak to?

– Nie mogę ci pozwolić, byś rozdmuchał tę sprawę. Jeśli ci intruzi przyszli ze Świątyni lub zostali

przez nią opłaceni, to przyszli odebrać coś, co było własnością templariuszy; coś co my im skradliśmy. – Mistrz schylił się, żeby podnieść rozrzucone pergaminy. – Nie zaryzykuję wojny ze Świątynią teraz, gdy sytuacja jest tak niepewna, a nasze twierdze padają jedna po drugiej. Ile czasu minęło od zdobycia Antiochii? Bajbars nie spocznie, dopóki nie wyprze nas z Ziemi Świętej albo sam nie odda ducha. – Podniósł się i odłożył dokumenty na stół. – Dotrzymałem słowa danego mistrzowi z Chateauneuf. Niestety, nie udało się. Teraz jedyne co możemy zrobić, to skupić się na najpilniejszych wymogach.

Odwrócił się do Mikołaja, który patrzył na niego w milczeniu.

– Rozłam między zakonami musi się skończyć – rzekł z naciskiem.

– Obie strony muszą dołożyć starań, by o nim zapomnieć. W imię przyszłości.

41

Dom macierzysty Templum w Akce

Piętnasty dzień czerwca roku Pańskiego 1268

– Musimy się pospieszyć! – syknął Will wracając truchtem po Garena, który potykając się włóki się za nim.

– Czeka! – Garen się pochylił, wsparł dłonie na udach. – Będę rzygał.

Rzeczywiście szarpnęły nim torsje, ale nie zdołał z siebie nic wyrzucić. Po chwili się wyprostował. Oczy miał załzawione, nos mokry. Wyglądał żałośnie.

– Na pewno podnieśli już alarm. Musimy wrócić do kościoła i zmienić szaty. W tych nie wpuszczą nas do Templum. – Will wskazał pożyczone tuniki joannitów. Garenowa lepiła się od krwi i połyskiwała wilgocią w świetle księżycy.

Garen ponownie zgiął się wpół; znów targnęły nim mdłości, a potem szloch.

Will obejrzał się. Z pobliskiego budynku wyszło dwóch mężczyzn, którzy przyglądali się im z zaciekawieniem.

– Chodźże! – syknął, ujmując Garena pod ramię.

Rycerz podniósł głowę. Jego obryzgana krwią twarz była ściągnięta bólem.

– To moja wina, że Adela nie żyje. Moja wina!

– Nie ma teraz czasu na rozpaczanie.

– Czas? A co to takiego? Nic. Nic, powiadam ci, Will, tylko puste chwile, chyba że wypełnisz je czymś, co ma znaczenie. Wszyscy, matka, stryj, bracia w zakonie, wszyscy żądali, żebym był kimś,

kim nie jestem. Tylko Adela, tylko ona jedna chciała, żebym był

sobą!

– Pomodlisz się za nią i w końcu ci przejdzie – rzekł szorstko Will, ocierając kciukiem krew z twarzy Garena.

– A tobie przeszło? – warknął tamten. Na czole zarysowała mu się zmarszczka. –

Przepraszam. Nie chciałem tego powiedzieć. Naprawdę żałuję.

– Przestań żałować, a zacznij przebierać nogami.

Garen w końcu wziął się w garść i ruszyli biegiem przez ciemne dzielnice, klucząc pośród domów, kramów, kościołów i meczetów.

Pozostawiwszy zakrwawione tuniki i wzięwszy swoje płaszcze z kościoła Wenecjan, wrócili do Templum, lecz na wszelki wypadek nie główną bramą, a tunelem, który rozpoczynał się w porcie.

– Umyj się, zanim ktokolwiek cię zobaczy – szepnął Will.

Garen apatycznie kiwnął głową, obrócił się i poczłapał przez dziedziniec. William patrzył za nim przez chwilę z mieszanymi uczuciami, potem zaś skierował się do kwatery Ewerarda. Podobnie jak w Paryżu stary mnich miał tu oddzielną komnatę przydzieloną mu przez seneszała, który również był członkiem Duszy Świątyni. Przez szparę pod drzwiami sączyło się światło. Will spojrzął na książkę, którą trzymał w dłoniach, i z jakiegoś powodu zachciało mu się płakać. Zapukał; słysząc ochrypłą odpowiedź Ewerarda wszedł do środka.

Ksiądz siedział z piórem w ręce przy pulpicie owinięty kocem, mimo iż noc była ciepła, a w piecyku żarzył się węgiel drzewny. Twarz miał wpadniętą, usianą pajęczyną zmarszczek, a resztki rzadkich włosów opadały mu bezwładnie na policzki. Miało się wrażenie, że w ciągu kilku minionych miesięcy przybyło mu dziesięć lat.

– Wilhelm – wychrypiał ze znużeniem. – W końcu łaskawie zaszczyciłeś mnie odwiedzinami. – Pochylił się nad rozłożonym pergaminem. – Rozmawiałem z Szymonem kilka godzin temu. Jak rozumiesz, przekazał ci moją wiadomość?

– Owszem, mówił, że chcesz się ze mną widzieć, bracie.

Ewerard nachmurzył się.

– To dlaczego zwlekałeś tak długo, zanim... – Jego wzrok padł na trzymaną przez Willa księgę. – Co to jest?

Młody rycerz podszedł i położył na pergaminie Księgę Graala.

Ręce Ewerarda zaczęły drżeć, upuścił pióro, które odbiło się od blatu i spadło na podłogę.

Przycisnął mocno dłonie do leżącej książki, lecz i tak dygotały jak dwa zeschnięte liście.

Podniósłszy wzrok na Willa, wyrzekł tylko jedno słowo:

– Jak... ?

Will usiadł i opowiedział mu, co zaszło.

– Garen ci w tym pomógł? – zdziwił się Ewerard.

– Tak. Chciał naprawić swoje błędy.

– Wiele ma do naprawienia – rzekł ksiądz ostro. – Powiadasz, że tamten, który przyszedł po księgę... jakże mu, Kruk?.., nie żyje?

Will skinął głową.

– Wierzysz, że przybył sam?

– Garen tak uważa, ale po pierwsze, nie do końca mu ufam, a po drugie, nie musiał o wszystkim wiedzieć. Tenże Kruk trzymał go w szachu grożąc, że skrzywdzi jego matkę.

Słyszałem to dziś na własne uszy i sądzę, że był do tego zdolny.

Ksiądz westchnął, wstał powoli i wziął do ręki księgę.

– Może – zadumał się podchodząc do kosza z żarem – wszystko to było częścią większego Bożego planu, którego nie jesteśmy w stanie odczytać w całości. Cóż, przynajmniej dzięki temu znalazłem się tutaj, gdzie jestem najbardziej potrzebny.

– Co ty robisz? – Will zerwał się widząc, że Ewerard kładzie księgę na żarzących się węglach.

Starzec nawet się nie obejrzał.

– Mówiłem ci już, że w ogóle nie powinna była powstać.

– A więc to wszystko było na nic? – Will patrzył, jak płomyki liżą sztywne stronice, welin czernieje, znikają złote litery.

– Na nic? – Ksiądz wepchnął księgę głębiej i odsunął się, gdy wyschnięty pergamin buchnął płomieniem. – Ocaliliśmy Duszę Świątyni przed zniszczeniem. Nie nazwałbym tego niczym. – Wyciągnął ręce, grzejąc je nad ogniem. – Księga Graala była obsesją Armanda.

Nasze idee przetrwają i bez niej.

Will opadł z powrotem na ławę.

– A więc to już koniec?

– Przeciwnie – zachichotał ksiądz – to dopiero początek.

Wrócił na miejsce i usiadł, kładąc sękaty dłonie na pulpicie. Wyglądał, jakby nagle ocknął się z letargu, był czujny i ożywiony niczym ktoś, kto mając przed sobą tylko kilka dni życia, dowiaduje się nagle, że został ułaskawiony.

- Teraz mogę skupić się na odbudowie bractwa. Wszystko co robiłem w ubiegłych miesiącach, nie miało w sobie ducha. Chyba przez cały czas oczekiwałem, że to, co próbuję sklecić, i tak zaraz runie.
- Zmarszczył czoło. – Jakże żałuję, że nie ma tu Hasana.
- Naszym najpilniejszym zadaniem jest pozbycie się Bajbarsa.
- Bajbarsa? – Ewerard pokręcił głową. – Co to, to nie.
- Ktoś musi to zrobić.
- Wręcz przeciwnie, musimy temu zapobiec – odparł Ewerard ostro.
- Co ty mówisz?
- Pozbycie się Bajbarsa, jak to dosadnie wyraziłeś, stoi w sprzeczności ze wszystkim, do czego od zarania dąży Dusza Świątyni. – Ewerard westchnął widząc zdumioną minę Willa. – Pierwotnym celem Roberta z Sable była ochrona Templum przed zakusami ambicjantów pragnących wykorzystać potęgę zakonu dla własnych celów, a także działanie na rzecz pokoju poprzez popieranie handlu i wymiany myśli między narodami. Drugi cel, nasz cel ostateczny, jest tego rozwinięciem. Czym jest Graal, Wilhelmie?
- Graal? – Will wzruszył ramionami. – Czarą, do której zebrano krew Chrystusa przelaną w czasie Ukrzyżowania, według innych zaś kielichem, z którego pił przy Ostatniej Wieczerzy. Różnie mówi się o jego pochodzeniu.
- Czarą lub kielichem?
- Podobno. Ale co to ma wspólnego z...
- Tak jest we wcześniejszych wersjach tej opowieści. W późniejszych Graal bywa mieczem, kamieniem, nawet dzieckiem. W mojej księdze występował pod trzema różnymi postaciami: złotego krzyża, srebrnego świecznika i ołowianego półksiężyca. Jak sądzisz, która z tych postaci jest prawdziwa?
- Will pokręcił głową.
- W ogóle nie wierzę w istnienie Graala. Moim zdaniem to symbol, a nie realny przedmiot.
- Skoro zatem opowieść mówi, że Percewał szukał Graala, to czego twoim zdaniem szukał, jeśli nie przedmiotu?
- Will bez słowa rozłożył ręce.
- Zbawienia! Wędrówka Percewała jest dążeniem do zbawienia. Graal, jej cel, nie jest czymś, czego można dotknąć. Nie można go sprzedać ani kupić, nie da się odnaleźć oczyma, a tylko sercem otwartym na jego istotę. Tu istnieje naprawdę. – Ewerard położył

rękę na piersi. – W naczyniu serca. Ci, którzy widzą go w mieczu, wierzą, że tylko wojna przyniesie im ocalenie. Ci, co postrzegają go pod postacią księgi, myślą, że mądrość będzie środkiem i celem ich poszukiwań.

Will jeszcze nie widział go tak podnieconego. Żrenice miał rozszerzone, blade policzki powlekły się rumieńcem.

– Na zakończenie rytuału inicjacji postulant, odgrywający rolę Percewala, prowadzony jest przez jednego z braci do kotła z wrzącym olejem symbolizującego jezioro ognia z opowieści. Otrzymuje trzy klejnoty; trzy Graale. Dowiaduje się, że krzyż zawiera istotę chrześcijaństwa, półksiężyc ducha islamu, a menora, siedmioramienny świecznik, esencję wiary żydowskiej. Następnie każe mu się je wszystkie wrzucić do kotła, w którym stopią się w jedno. W ten sposób, aby osiągnąć zbawienie, Percewal, czy w tym wypadku postulant ubiegający się o przyjęcie, musi dopełnić rytuału zjednoczenia trzech wiar. I to właśnie jest celem Anima Templi.

– O Jezu... – Will rozdziawił usta. – Jak coś takiego w ogóle przyszło ci do głowy?

Jesteś księdzem, na Boga! Ani ty, ani żaden inny chrześcijanin nie mógłby się na to zgodzić.

Co tu mówić o herezjach, jakie ponoć powypisywałeś w tej księdze! To dopiero jest świętokradztwo!

– Zawiodłem się na tobie – rzekł Ewerard z naganą w głosie. – Myślałem, że ty bardziej niż ktokolwiek inny, właśnie ty rozumiesz, że nie różnimy się aż tak bardzo od muzułmanów czy żydów. Przecież czytałeś dostatecznie dużo ich dzieł.

– Wiem, że podobieństwa istnieją, Ewerardzie, to prawda, ale twoja wizja gwałci podstawowe zasady naszego świata! I nie tylko naszego, ich także. Naprawdę sądzisz, że muzułmanie czy żydzi byłiby za jednością z chrześcijaństwem? To sprzeczne z nakazami wszystkich trzech religii. I niemożliwe, skoro tamci widzą w Jezusie tylko proroka, zaprzeczając Jego boskość. Bajbars umarłby ze śmiechu, gdyby cię słyszał. To fanatyk.

– Owszem – zgodził się Ewerard. – Podobnie jak król Ludwik.

– Ludwik? Najpobożniejszy król, jakiego nosiła ziemia? – Will omal się nie roześmiał.

– Dla nas tak – podchwycił Ewerard. – Dla muzułmanów Bajbars jest pobożny, a Ludwik to fanatyczny dzikus. Krąg nienawiści zostanie przerwany dopiero wtedy, gdy jedna ze stron się z niego wyzwoli, zobaczy obraz całości i pokaże go reszcie świata. Te trzy religie są nierozzerwalnie związane nie tylko miejscem narodzin, lecz także tradycją i prawidłami wiary. Jesteśmy jak rodzeństwo, gdzie każde z dzieci ma własną twarz i charakter, lecz pochodzą z tego samego łona i wychowały się w jednej kolebce. I jak bracia rywalizujemy o względy naszego wspólnego ojca. – Ewerard rozpostarł ręce, jego głos złagodniał. – To wcale nie jest taki dziwny pomysł, Wilhelmie. Przejdź się ulicami Akki, a zobaczysz, że mając po temu okazję, potrafimy całkiem łatwo żyć w zgodzie. Dusza Świątyni nie każe nam zmieniać wiary, by przypodobać się pozostałym. Proponuje natomiast wzajemny rozejm między dziećmi Bożymi, na którym zyskają wszyscy, korzystając

nawzajem ze swojej wiedzy i doświadczeń. To – dodał, wskazując okno, za którym leżało uśpione miasto – jest miejsce początku. Nasz Kamelot.

– Nie wiedziałem, że jesteś takim idealistą...

Oczy Ewerarda zwęziły się.

– Twój ojciec też w to wierzył. I gdybyśmy urzeczywistnili to marzenie, żyłby do dziś. Czy mamy z góry odrzucać idealne rozwiązanie, bo jest tak dobre, że nie wydaje się realne? A może dlatego, że boimy się ogromu pracy, jaki trzeba włożyć w jego osiągnięcie?

– Nie widzisz świata takim, jaki jest, Ewerardzie – odparł Will dotknięty wzmianką o ojcu. – Siedzisz zamknięty wśród ksiąg i roisz sny, które nie mają szans spełnienia. W Akce panuje pokój, lecz spojrzysz za jej mury; znajdziesz tam tylko śmierć i nienawiść. Gdyby te szczytne idee były realne, ludzie już dawno przestaliby ze sobą walczyć. Naszych wiar nie da się pogodzić. Widać różnic jest jednak więcej niż podobieństw.

– Wiara rzadko miewa związek z wojną. Kiedy ktoś najeżdża cudzy kraj chcąc zdobyć lepsze ziemie, zasoby lub władzę, używa wiary jako wymówki, parawanu dla całkiem przyziemnych celów. Mówiąc, że Bóg tak chce, usprawiedliwia swoje działania. Jak by wyglądał w oczach świata, gdyby powiedział szczerze: „Ja tak chcę!”? Okrzyknięto by go dziką bestią; obciążono brzemieniem winy. Ludzie bardzo rzadko toczą wojny w imię wiary.

Bajbars i król Ludwik... tak, oni wierzą. I przez to są niebezpieczni.

– A więc zgadzasz się ze mną, że trzeba go powstrzymać?

– Zabijając człowieka, powołasz męczennika. Bajbars wierzy, że broni swego ludu przed tymi, których uważa za wrogów. I nie jest tak zupełnie pozbawiony racji... – Ewerard uniósł rękę, nie dopuszczając Willa do głosu. – Nasze cele sięgają dalej niż życie jednego sułtana. Wątpię, czy dane mi będzie ujrzeć ich realizację, ale może ty tego doczekasz. –

Westchnął. – A nawet jeśli nie... Musimy mieć nadzieję, Wilhelmie. I wierzyć, że możemy stać się lepsi.

– Planujesz więc odtworzyć Duszę Świątyni i dalej podążać w tym kierunku?

– Tak. Zamierzam przyjąć do bractwa nowych członków zarówno tu, jak i w Europie oraz mianować Strażnika. – Ewerard zacisnął usta. – Właśnie dlatego cię dziś wezwałem.

Chciałbym cię wprowadzić do Anima Templi. To jest, jeśli nie uważasz jej celu za głupią mrzonkę.

– Mnie?

– A dlaczego nie? Wiesz już o nas bardzo wiele, a w ciągu lat nauczyliśmy się w miarę sprawnie ze sobą współpracować. Zważ, jak długo obyło się bez chłosty – zachichotał.

– Nie wiem – rzekł cicho Will. – Po prostu nie wiem.

– Czego nie wiesz?

– Przede wszystkim czy się z tobą zgadzam.

– Miło mi to słyszeć. Gdybyśmy potakiwali sobie wzajem jak owce, wydając się na pastwę nieprzemyślanych idei, zamiast przyglądać się każdej z wielu stron, robilibyśmy właśnie to, czemu mieliśmy przeciwdziałać. Niezgoda nie zawsze jest zła. Hasan miał rację: za długo trzymałem Duszę Świątyni pod korcem. Potrzeba nam młodych ludzi takich jak ty, żeby tchnęli w nią nowy ogień.

Will milczał przez chwilę. Potem skinął głową.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny – uśmiechnął się Ewerard.

Will nie odpowiedział. Czuł się oszukany. Tak wiele przeszedł uganiając się za Księgą Graala – tylko po to, by ujrzeć, jak ginie w płomieniach. Nie czuł ulgi ani dumy z ocalenia Duszy Świątyni. Od ośmiu lat, choć dopiero od dwóch świadomie, pracował dla osiągnięcia celu, który był nieosiągalny. W obliczu niebieskookiego sułtana zamiar pojednania wydawał się śmieszny; co więcej, niewłaściwy. Ilekroć myślał o Bajbarsie, przed oczyma stawała mu gnijąca głowa ojca, a wokół setka innych zatkniętych na murach Safedu.

Jak można się pogodzić z czymś takim?

Ewerard zdawał się nie dostrzegać jego rozczarowania. Wstał.

– Muszę jeszcze krótko rozmówić się z seneszalem. Pozostała tylko jedna rzecz i będę mógł uznać tę sprawę za zakończoną. – Poczłapał do drzwi. – Potem się napijemy, żeby to uczcić.

Garen stał nad miednicą. W komnacie było ciemno, rycerze pochrapywali w łózkach.

Zamieszał dłonią wodę, patrząc jak wiruje w słabym świetle rzucanym przez ogarek. Ruch był kojący, ale niezbyt przydatny do obmycia się z krwi. Nie wiedział, ile czasu minęło, odkąd wszedł do dormitorium. Miał wrażenie, że tylko kilka chwil, lecz z pewnością stał tu już znacznie dłużej. Zaczerpnął wody w dłonie i pochylił się, żeby opłukać twarz. W tej samej chwili otworzyły się drzwi. Wyprostował się patrząc na trzech rycerzy, którzy weszli do komnaty.

– Garen z Lyonu? – spytał jeden z nich.

Garen przytaknął, czując, jak woda przecieka mu między palcami. Paru śpiących obróciło się we śnie.

– Zostałeś oskarżony o dezercję.

– Dezercję? – powtórzył. Rycerze budzili się, przecierali oczy.

– Doszło do wiadomości seneszala, że opuściłeś wyznaczone ci miejsce w paryskim preceptorium

bez zgody wizytatora Francji. Karą za to przestępstwo jest dożywotnie więzienie.

Garen chciał się bronić, lecz słowa uwięzły mu w gardle. Nie miał wątpliwości, że prawdziwym powodem postawienia mu zarzutu była jego rola w zamierzonej przez Kruka kradzieży księgi. Ale fakty były takie, jak je przedstawiono.

– Zostaniesz osadzony w lochu pod wieżą. Prawo do apelacji od niniejszej decyzji będzie ci przysługiwać dopiero, gdy odsiedzisz pięć lat. – Rycerz przystąpił bliżej. W ręku trzymał kajdany. Pozostali dwaj dobyli mieczy na wypadek, gdyby Garen chciał stawić opór.

Niepotrzebnie.

Patrzył biernie, jak żelazo opasuje mu przeguby. Miał dziwne wrażenie, że to wszystko przydarza się komuś innemu. Kiedy wyprowadzano go z komnaty, potknął się.

Jeden z rycerzy go podtrzymał.

– Dziękuję – szepnął.

42

Dzielnica Pizańczyków w Akce

Czwarty dzień czerwca roku Pańskiego 1271

Słyszac skrzypnięcie drzwi, Will obejrzał się przez ramię. Do gospody wszedł

wysoki chudy mężczyzna w jaskrawobłękitnej szacie. Jego spojrzenie prześliznęło się po Willu obojętnie, kiedy zmierzał do kąta, gdzie przy stole rozsiadła się grupka kupców.

Mężczyzna przysunął sobie stołek, powiedział coś, czym rozśmieszył pozostałych, a następnie nalał sobie wina z dzbana. Will podniósł do ust swój kubek. Promienie słońca wpadały przez szpary w okiennicach, rysując na stole białe krechy. W smudze światła zabrzączała osa. Było gorąco i Will miał już dość czekania. Ostatnio w ogóle prędko się niecierpliwił. Sypiał kiepsko, zwłaszcza odkąd do upału dołączyła się wilgoć, i zaczął mieć wrażenie, że brakuje mu powietrza w płucach.

Po pewnym czasie drzwi otwarły się ponownie, wpuszczając tęgiego śniadego mężczyznę w brązowych nogawicach i samodziałowej czapce. Gość rozejrzał się, spostrzegł

siedzącego samotnie Willa i podszedł do niego.

– Piękny dzień – zauważył z zagadkowym akcentem.

– Bóg jest dla nas łaskawy – odparł Will po arabsku.

– Zaiste jest – zachichotał mężczyzna. – Will Campbell, jak mniemam?

Will skinął głową i wyciągnął rękę. Gość patrzył na nią przez chwilę i jakby z opóźnieniem pojawił się znaczenie gestu, ujął dłoń i potrząsnął nią energicznie. Jego uścisk miał siłę żelaznych cęgów.

– Czy mogę cię poczęstować winem? – spytał uprzejmie Will.

– Wodą – odparł tamten siadając i prędkim ruchem ręki stracił osę na ziemię.

Will kiwnął na służebną, która siedziała w kącie wachlując się dużym suchym liściem.

– Przynieś nam wody – rzeki, gdy podeszła.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Będziecie musieli zapłacić.

– Zapłacę.

– Nie możecie tu siedzieć przez cały dzień gasząc za darmo pragnienie adamowym napitkiem! – sarknęła.

– Powiedziałem przecież, że zapłacę! – rzekł ostro Will.

– I po co te krzyki? – odszczeknęła, obracając się na pięcie i zmierzając do kuchni.

Śniady mężczyzna nachylił się nad stołem i rzekł półgłosem:

– Mędrzec zaleca grzeczne traktowanie osoby, która ma ci przynieść jedło lub napitek. Ja tam bym nie pił wody, którą ci poda. Pewnie do niej napluje – zaśmiał się, odchylając się z powrotem.

– Zaryzykuję.

W czasie gdy czekali na napoje, Will przyjrzał się rozmówcy. Nie przykuwał uwagi.

Tęgi, z dużymi dłońmi, wyglądał na ciężko pracującego rzemieślnika – kowala lub garbarza, albo kupca niższej rangi, na przykład wożącego rudę z kopalń Bejrutu. W ogóle nie pasował

do wcześniejszych wyobrażeń Willa. Pizański kupiec, który zaaranżował to spotkanie, nie powiedział mu, czego ma oczekiwać.

Usługująca dziewczyna wróciła z wodą. Jeden kubek podała śniademu mężczyźnie, drugi z trzaskiem postawiła na stole przed Willem, rozchlapując zawartość. Will skrzywił się niechętnie i wysupłał z trzosa trochę drobnych. Gdy dziewczyna odeszła, zajrzał do kubka.

Siedzący naprzeciw mężczyzna zachichotał.

– Przejdźmy do interesów, dobrze? – sarknął Will poirytowany i odsunął kubek na bok.

– Oczywiście, oczywiście. Masz złoto?

Will pokazał mu sakwę obciążającą pas na prostej koszuli, w jaką był odziany.

Ciemnoskóry mężczyzna oparł się wygodniej i pociągnął łyk wody.

– Omówmy zatem dokładnie, w czym mój zakon może ci się przysłużyć.

Templum w Akce

Czwarty dzień lipca roku Pańskiego 1271

Dobiwszy targu, Will wrócił do klasztoru. Nastroje w preceptorium, podobnie jak w całym mieście, były posępne; prawie tak czarne jak zeszłej jesieni, kiedy to otrzymali wieść o śmierci króla Ludwika. Król idąc w końcu za radą brata, wylądował w Tunisie i z powodzeniem dotarł do Kartaginy, ale wtedy w jego armii rozpanoszyła się zaraza. Ludwik także padł jej ofiarą i wyprawa, ósma od czasu, gdy papież Urban II niemal dwieście lat wcześniej wezwał chrześcijan do Ziemi Świętej, skończyła się, nim jeszcze się rozpoczęła.

Ciało króla przewieziono do Francji, by pochować je w opactwie Świętego Dionizego.

Teraz powodem zbiorowego przygnębienia mieszkańców Akki była wieść, że łupem Bajbarsa padł Krak des Chevaliers. Ta największa twierdza Zakonu Świętego Jana uważana była za niezdobytą. Załoga poddała się po pięciu tygodniach zażartych walk i wraz ze zniszczeniem Kraku z pola gry toczącej się w głębi palestyńskiego lądu zmieciony został

ostatni chrześcijański pionek. Od trzech lat Bajbars stopniowo acz nieubłaganie spychał

Franków do morza. Trzymali się jeszcze tylko w nielicznych miastach i twierdzach rozrzuconych wzdłuż wybrzeża.

Will przyglądał się twarzom mijanych braci. Widział na nich wyczerpanie i lęk.

Swego czasu zakon miał na Wschodzie ponad czterdzieści komandorii. Nim Bajbars doszedł

do władzy, ich liczba spadła do dwudziestu dwu, a obecnie pozostało zaledwie dziesięć. Przez ostatnie tygodnie dręczyły go wątpliwości, czy to, co zamierza zrobić, jest słuszne. Lecz właśnie porażka, jaką widział w oczach swoich braci, upewniła go, że wybrał właściwe wyjście. Jedyne wyjście.

Kilku rycerzy pozdrowiło go po drodze do nadbrzeżnej wieży w północno-zachodnim narożu murów. Zbudowana przez Saladyna, stanowiła najstarszą część preceptorium. Odrapane niesionym przez wiatr piaskiem kamienie były miejscami spękane, w szczelinach rosły kępki kłującej trawy. U wejścia stało dwóch zbrojnych w czarnych tunikach.

– Witaj, bracie – pozdrowił go jeden z nich. – Dawnośmy cię tu nie widzieli.

– Miałem sporo pracy, Tomaszu. – Will schylił się, żeby nie rozbić sobie głowy w niskim wejściu.

– Muszę cię ostrzec – zatrzymał go Tomasz – nie jest z nim najlepiej.

Will przystanął.

– Gnilec – wyjaśnił strażnik. – Zachorował w zeszłym tygodniu.

– Ciężko?

– Nie potrafię powiedzieć. Ale wygląda kiepsko.

Will wszedł do wieży, przenosząc się w jednej chwili z upalnego czerwca w wilgotny listopad. Krótki korytarz zakręcał ku stopniom wiodącym w górę do skarbcza.

Strzegło ich trzech uzbrojonych ludzi. Will skręcił wcześniej w prawo do okrągłej, pełnej przeciągów komnaty zajętej przez dwóch rycerzy. Jeden przeglądał rozpostarty na pulpicie rejestr, drugi pilnował okutej żelazną kratą klapy wiodącej w dół do podziemi.

Usłyszawszy, że ktoś wchodzi, rycerz podniósł wzrok znad rejestru.

– Brat Campbell – mruknął bez specjalnego zachwytu. – Odwiedzić więźnia, jak mniemam?

– Strażnik mówił mi, że jest chory. Czy można mu jakoś pomóc?

Rycerz uniósł jedną brew.

– Nie jesteśmy tu po to, by dostarczać więźniom wygod, lecz po to, by ich pilnować.

Aczkolwiek – dorzucił sucho, wstając – twoja wizyta z pewnością będzie dlań pociechą. –

Kiwnął na towarzysza, który odsunął żelazny rygiel przytrzymujący zamocowaną w posadzce kratę. Znajdujące się pod nią schody zbiegały w ciemność.

Stopnie były nierówne i Will trzymał się ściany, żeby nie stracić równowagi. Kamień kruszył się miejscami jak czerstwe pieczywo. Włosy uniósł mu ciągnący z dołu zimny powiew śmierdzący morską wodą, pleśnią i zgnilizną. W miarę jak schodził, rytmiczny łoskot wprawiający w drżenie ściany przybierał na sile. Budynek stał tak blisko morza, że biła weń każda większa fala. Zbliżając się do dna wieży, Will zobaczył światło. Ostatnie stopnie prowadziły do wąskiego korytarza wyciętego w litej skale. Na ziemi połyskiwały ciemne kałuże. Znajdowali się już poniżej poziomu morza i z szorstkich ścian powoli sączyła się wilgoć. Po jednej stronie korytarza widniał rząd drewnianych drzwi okutych żelaznymi taśmami i zapartych belkami. W rozszerzeniu u wlotu stała ława i prowizoryczny stół z desek opartych na krzyżakach, na którym żołnierze grali w damki.

– Witajcie – odezwał się Will.

– Zwykle przychodziłeś rano. – Widząc uśmiech Willa, strażnik potrząsnął głową. –

To jeszcze nie minęło południe? Słowo daję, że tu czas płynie jakoś inaczej. – Pozostawiając

kolegów przy grze, wstał i podszedł do drzwi w końcu korytarza. Uniósł rygiel oparty na żelaznych obejmach po obu stronach wejścia, dwukrotnie kopnął w drzwi i otworzył je. –

Możesz zabrać pochodnię, bracie.

Will wyjął polano z uchwytu i wszedł do celi. W nozdrza buchnął mu mdlący odór, który czuć było już na schodach. Strażnik zamknął za nim drzwi; rozległ się łomot opadającej z powrotem w uchwytu belki. Po trzech latach ten dźwięk nadal jeżył mu włosy na głowie, budząc graniczący z paniką lęk. Pochodnia rozjarzyła się w przeciągu i znów przygasła, jakby nie była w stanie rozegnać mroku zalegającego w wilgotnej celi. Na ziemi stała miska z zastygłą zupą. Nieco dalej, oparty plecami o ścianę, z jedną ręką przykutą do muru, drugą osłaniając oczy przed światłem, siedział Garen.

Na początku Will niczego nie zauważył; więzień wyglądał tak jak zawsze. Niegdyś złociste włosy miał szare z brudu; skołtunione strąki opadały na pierś płacząc się z równie długą brodą. Koszula i kalessy – jedyna odzież, jaką mu pozostawiono – były podarte i miejscami już przegniłe; pierś miał zapadłą, spod chorobliwie bladej skóry ostro sterczały żebra. Paznokcie wolnej ręki ogryzł sobie do krwi; z drugiej, przykutej na takiej wysokości, żeby mógł kucnąć nad wiadrem, wyrastały długie szpony. Dopiero kiedy cofnął dłoń i boleśnie zamrugał oczami, Will zobaczył to, o czym uprzedzał go Tomasz.

Słyszał już o tej chorobie, nazywanej niekiedy leonardią. Cierpiał na nią w czasie oblężenia Akki król Ryszard Lwie Serce. Dotąd jednak nie widział dotkniętego nią człowieka.

Poza tym, że odbierał ofierze wszystkie siły, gnilec atakował pewne obszary skóry.

Czoło i policzki Garena znaczyły czerwone plamy, gdzie skóra popękała, złuszczyła się i całkiem zeszała. Wargi miał posiekane i krwawiące, oko zalepione zeskorupiałą krwią i ropą.

Ślady choroby było widać także na rękach i ramionach.

– Dobry Boże... – szepnął Will. Wetknął pochodnię w uchwyt zamocowany w murze i przykucnął przed Garenem, starając się nie zwracać uwagi na smród bijący z kubła.

Załamione oczy błysnęły oskarżycielsko spod półprzymkniętych powiek.

– Tak długo cię nie było...

Will wolał nie precyzować, że od jego ostatnich odwiedzin minęły pełne dwa tygodnie.

– Przepraszam – mruknął.

– Tylko od ciebie wiem, co się dzieje na świecie. – Głos Garena był niewiele donośniejszy od oddechu, okaleczone wargi prawie się nie poruszały, ale Will wyraźnie widział, że więzień jest podniecony. – Mówiłeś, że przybył książę Edward. I co? Muszę wiedzieć, Will. Muszę... – Jęknął z rozpaczą, gdy rozchylone za szeroko usta znów pękły i pociekła z nich krew.

– Jestem przecież – uspokoił go Will. – Zaraz ci wszystko opowiem. Ale najpierw musisz coś zjeść.

– Wziął do ręki miskę.

– Ja umieram, Will – powiedział łagodnie Garen.

– Nie bądź głupi. Król Ryszard też miał leonardię i przeżył. Musisz tylko jeść i starać się zachować siły. – Podał mu miskę.

Garen odsunął naczynie.

– Nie mogę jeść. Boli.

Will spojrział na otwarte rany wokół ust i na szeroki brzeg miski. Usiadł naprzeciw Garena krzyżując nogi. Wyjął palcami kawałek mięsa z zupy i delikatnie, żeby nie dotknąć kącików, włożył go między wyschnięte wargi więźnia.

Z początku bardzo rzadko odwiedzał go w celi, a i to tylko ze względu na ciągłe błagania, jakie Garen przekazywał mu przez strażników. Z czasem jego nienawiść zaczęła gasnąć wypierana przez świadomość wysokiej ceny, jaką młody rycerz zapłacił za przestępstwo nie tylko przez siebie zawinione.

Stopniowo odwiedziny stały się częstsze, aż przerodziły się w dobrowolnie podjęty obowiązek – a także odskocznię od codziennych zajęć, urozmaicenie, którego wbrew sobie nieraz wyczekiwał. Nie potrafił rozmawiać całkiem szczerze z Ewerardem lub innymi członkami bractwa, zaś poza tym kręgiem sekrety Anima Templi pieczętowały mu usta.

Garen wiedział o Duszy Świątyni, ale nie był jej członkiem, nie ciążył na nim przymus lojalności. Był więc jedyną osobą, z którą Will mógł się dzielić niektórymi myślami. Z

biegiem czasu nauczył się też cenić opinie byłego druha.

Czasem przywoływali duchy: obu Jakubów – Campbella i rycerza z Lyonu – a także Owena, Adelę, Elwinę. Te imiona składały się na sumę ich wspólnych strat. O Elwinie mówili rzadko. Garen poddał mu kiedyś myśl, żeby do niej napisał, ale Will zaoponował tak gwałtownie, że nigdy już do tego nie wracali. W myślach Will dawno już zesłał Elwinę do wspomnień, wmawiając sobie, że jest teraz szczęśliwą małżonką jakiegoś bogatego diuka.

Ale rana nigdy się w nim nie zagoiła i nadal sprawiała ból. Od czasu do czasu nieomal zazdrości! Garenowi życia w pustej ciemności, gdzie dni zlewały się w miesiące i lata.

– Gryź, gryź – rzeki szorstko, wkładając Garenowi do ust kolejny kawałek mięsa.

Zdawał sobie sprawę, jakie to musi być dla niego upokarzające. – Doprawdy nie wiem, na co się uskarżasz – zażartował niezręcznie, żeby pokryć zmieszanie.

Garen powoli przeżuł mięso i połknął je z wysiłkiem. Wyglądał na sześćdziesiąt, nie dwadzieścia cztery lata.

– Opowiadaj – szepnął nagle.

– Nie ma wiele do opowiadania. Wszyscy byli wstrząśnięci zdobyciem Kraków.

Książę Edward wysłał posłów do Mongołów, żeby prosić ich o pomoc, ale wielki mistrz Berard i inni dostojnicy w Akce nie spodziewają się, że ją uzyska. Książę odbył też kilka narad z nobilami zagrzewając ich do boju, lecz jak dotąd jedyne co udało mu się podgrzać, to animozje.

– Co masz na myśli? – spytał Garen, pracowicie żując kolejny kawałek mięsa.

– Jak każdy, kto przyjeżdża tu po raz pierwszy, Edward jeszcze nie rozumie pewnych spraw...

Will westchnął. Był w kompanii, która witała trzydziestodwuletniego angielskiego księcia przybyłego na czele tysiąca zbrojnych. Król Henryk, uskarżający się na złe zdrowie, najwyraźniej otrzymał dyspensę od podjętego zobowiązania. Włodarzy Akki radował

entuzjazm księcia i świeże posiłki. W każdym razie tak było przez pierwsze kilka dni.

– Edward sądzi, że wojna to prosta sprawa: tu my, a tam oni. Wpadł we wściekłość, kiedy się dowiedział, że Wenecjanie sprzedają Bajbarsowi broń, Genueńczycy dostarczają mu niewolników, rada Akki zaś przymyka na to wszystko oko, pochłonięta sporami, kto ma czerpać największe zyski. Potem Bajbars używa tej broni i ludzi, by zagarniać dalsze zamki i ziemie, a nobilowie krzyczą, że dzieje im się krzywda. Ze też mają czelność się skarżyć! –

Will westchnął ciężko i wsadził palce do miski, żeby wyłowić kolejny kawałek mięsa. Po chwili dodał: – Ale wkrótce to wszystko się zmieni.

Garen odsunął jego dłoń.

– Zrobiłeś to, o czym mówiłeś?

– Tak. – Will oblizał palce z sosu. – Dziś miałem spotkanie.

Garen przyjrzał mu się z powagą.

– Wkroczyłeś na niebezpieczny grunt.

– Myślałem, że się ze mną zgadzasz?

– Wiesz, że tak. Od początku do końca. Ale jeśli twoja samowola wyjdzie na jaw... –

Garen pokręcił głową. – Powiedzmy tylko, że pewnie będę miał sąsiada.

– Próbowałem postępować tak, jak chcieli – odparł Will gorąco. – Robiłem wszystko, czego oczekiwał Ewerard: nawiązywałem sojusze z rycerzami innych zakonów, zabiegałem o łaski możnych, zawierałem znajomości z wpływowymi żydowskimi uczonymi, werbowałem szpiegów pośród muzułmanów... Owszem, muszę przyznać, że w ciągu ostatnich paru lat dokonał się pewien

postęp, choćby w tym, że wielki mistrz szpitalników rozmawia już z Berardem podczas oficjalnych spotkań. Ale mam uczucie, że zmierzam donikąd. Baronowie są zbyt zajęci swymi intrygami i polityką wewnętrzną, aby widzieć dalej, niż sięgają ich granice. Ile jeszcze twierdz mamy oddać Bajbarsowi? Anima Templi nie dopnie swego, jeśli w Ziemi Świętej nie pozostanie ani jeden chrześcijanin. Dlaczego Ewerard tego nie rozumie?

– Próbowałeś go o to zapytać?

– Cały czas pytam, co planuje i jak chce nam zapewnić przetrwanie do chwili, gdy uda się osiągnąć choćby namiastkę pokoju. On jednak nie jest ze mną szczery. Wciąż wiele przede mną ukrywa. Wiem, że ma kontakt z kimś ważnym wśród mameluków, kontakt, który nawiązał mój własny ojciec! Ale nie chce mi powiedzieć, kto to. – Will potrząsnął głową z rozgoryczeniem. – Nie pozostawił mi wyboru.

– Starasz się usprawiedliwić przede mną czy przed sobą? – zaszemrał Garen.

Will spojrział na niego. Wykonanie zamierzeń zajęło mu prawie półtora roku. W tym czasie potajemnie nawiązywał kontakty i podbierał pieniądze ze skarbonek bractwa. I niejednym razem walczył ze swym sumieniem.

– Podjąłem decyzję – oznajmił. – W głębi serca wierzę, że to jedyna droga. Nie chciałem tu przyjeżdżać i angażować się w tę wojnę, ale skoro biorę w niej udział, mogę postępować tylko tak, jak uważam za słuszne.

– Jakkolwiek cała rzecz jest ryzykowna, moim zdaniem masz rację. Nadal uważam, że cel Anima Templi jest niewykonalny.

– Kiedy to się stanie, wiele się zmieni, jestem tego pewien. Baroni nabiorą więcej zapału do walki i księciu może uda się ich ruszyć. Wtedy – dodał Will cicho – będziemy mogli zacząć odzyskiwać ten kraj.

Od miesięcy prześladował go sen, w którym spotykał się z duchem ojca na ruinach Safedu. Jechał tam, by go pochować, ale pozbawione głów ciała były już w takim stadium rozkładu, że Jakub Campbell nie potrafił znaleźć swego.

Ten koszmar zatruwał mu prawie każdą noc. Ale wkrótce będzie już po wszystkim.

Pochowa ojca i może wreszcie odzyska spokój.

Wstał.

– Muszę już iść – powiedział. – jutro przyniosę ci maść na te rany.

– Nie ufaj nikomu, kto zechce ci pomóc. Nie ufaj Edwardowi. Nobilom też nie.

Jesteś zdany na siebie.

Will pokiwał głową. Załomotał w drzwi i chwilę później wspiał się po schodach wprost w

oślepiający blask wczesnego popołudnia.

Na dziedzińcu zastał Ewerarda.

Will zdumiał się widokiem księdza, który rzadko opuszczał swą komnatę. Uniósł

dłoń na powitanie, ale zamarł i cofnął się mimowolnie, ujrawszy jego minę. W oczach starca gorzała nieokiełznana furia.

Ewerard nawet nie zwolnił; całym ciałem wpadł na niego i chwycił

zreumatyzowanymi dłońmi za szatę na piersiach.

– Ty głupcze! – syknął, pryskając mu w twarz kropelkami śliny. – Coś ty zrobił, głupcze!

Will złapał go za nadgarstki i oderwał od siebie.

– O co ci chodzi?

– Nie wypieraj się! Jeden z gwardzistów seneszala widział cię w tawernie!

– Kazałeś mnie śledzić?

– Obserwuję cię od tygodni! – prychnął Ewerard. – Bardzo byłeś zajęty swoimi sekretnymi spotkaniami, prawda? Wiem o nich wszystko! Wydusiłem prawdę z tego pizańskiego kupca. Wyznał mi, z kim cię umówił.

Wracaj tam i powiedz im, że wycofujesz zlecenie.

– Nie.

– Nie? – w przekrwionych oczach Ewerarda błysnął ogień.

– Już za późno, chyba że ich też masz w ręku. – Kiedy ksiądz się nie odezwał, Will dodał: – Tamten człowiek z pewnością opuścił już miasto.

– Więc bierz konia i goń go!

– Nie – powtórzył Will, strząsając z siebie ręce starca. – Nawet gdybym wiedział, gdzie go szukać, i tak bym tego nie zrobił. Przez trzy lata działaliśmy po twojemu, Ewerardzie. Bez skutku. Bajbars nie pragnie pokoju. Wysłaliśmy do niego prawie tuzin posłów. Ilu wróciło?

Wargi Ewerarda zacisnęły się w wąską linię. Szrama na twarzy przybrała jaskrawoczerwoną barwę.

– Trzeba nadal próbować.

– Za późno. – Will odwrócił się do wyjścia.

– Oni tego nie zrobią! – Ewerard chwycił go za ramię. – Współdziałają z nim, ty głupcze! Bajbars płaci im daninę. Dlaczego mieliby gryźć rękę, która ich karmi?

– Nie wszyscy mu ufają. Bajbars foruje własnych ludzi na stanowiska w ich bractwie. Boją się, że chce nim zawładnąć.

Ewerard oddychał płytko, z wysiłkiem.

– Skąd na Boga wzięłeś złoto, by ich opłacić? – Kiedy Will nie odpowiedział, starzec rozdziawił usta. – Z mojego skarbczyka, tak? – rzekł z niedowierzaniem. – Ty podstępna zmijo!

– Chciałeś mojej pomocy, Ewerardzie. Chciałeś, żebym myślał samodzielnie i podejmował własne decyzje. Tak właśnie czynię. Twoja metoda nie przyniosła owoców.

Teraz spróbujemy mojej.

43

Aleppo, Syria

Osmy dzień sierpnia roku Pańskiego 1271

– Cała promienieje, nieprawdaż?

Kalaun z uśmiechem patrzył na córkę. Dziewczynka trzymała w ramionach smukłego kota o migdałowych oczach, który zabłąkał się do sali tronowej przez otwarte drzwi. Było gorąco; powietrze stało, słudzy biegali tam i z powrotem roznosząc chłodzone sorbety. Niewolnicy ciągnęli za liny, wprawiając w ruch podwieszane pod sufitem wielkie wachlarze.

– Piękna żona dla sułtana – przyznał Bajbars patrząc, jak jego synowa zręcznie przemyka wśród gości i stawia kota na stole, z którego słudzy uprzętały resztki uczy, podtykając zwierzątku pieczeń koźlęcą na srebrnym półmisku. Kobiety rozpląnęły się w wylewnych zachwytach. Druga żona Bajbarsa, Fatima, kołysała przy piersi kwilące niemowlę

– kolejnego następcę. Nizam jak dotąd nie udało się zająć w ciążę.

Baraka Chan spoczywał z boku na otomanie w otoczeniu przyjaciół. W ciągu minionych trzech lat chłopiec wyrósł i na jego twarzy zaczęły się pojawiać rysy mężczyzny, jakim stanie się w przyszłości. Pan młody nie wykazywał żadnego zainteresowania narzeczoną, ale miał jeszcze na to czas. Ceremonia zaręczyn była tylko na pokaz. Nim związek stanie się faktem i przyniesie owoce, minie parę lat.

Omijając tancerki wirujące powabnie do wtóru rozspiewanych pod palcami muzyków cytr, bębnów i lutni, Omar zbliżył się do tronu i skłonił przed Bajbarsem.

– Przyszli aktorzy, panie. Czy chcesz, by ich wprowadzono?

– Tak. Zostań, Omarze! – Przywołał druha. – Usiądź tu przy mnie.

– Z przyjemnością, mój panie – uśmiechnął się przyboczny.

Sułtan skinął na sługę.

– Niech wprowadzą trupę. Zróbcie dla nich miejsce. I przynieś mi trochę kumysu.

– Wypada, żeby narzeczeni usiedli razem na czas przedstawienia – zauważył Kalaun i poszedł się tym zająć.

Bajbars wskazał Omarowi poduszkę u stóp tronu, miejsce zarezerwowane zwykle dla najwyższych rangą dostojników. Kiedy ten usiadł, biorąc garść fig z tacy stojącej obok na stoliku, sułtan zachichotał:

– Uważaj, przyjacielu, bo wkrótce nie zmieścisz się w zbroję. Martwię się, że wszyscy za wiele czasu poświęcamy najedzenie, a za mało na walkę.

– Zasłużyłeś sobie, by trochę odpocząć, panie. Skorzystaj z tej okazji. Frankowie nie przysparzają nam już wiele kłopotu, a i Mongołów udało nam się ujarzmić.

– Odpocznę, kiedy przyjdzie na to czas.

Patrząc z dołu na wyrazistą linię czoła i policzków sułtana, Omar dostrzegł skurcz bólu, jaki przemknął mu po twarzy. Nieustępliwa furia, z którą atakował Franków spychając ich do morza, niszczyła nie tylko wroga – spalała od wewnątrz także samego Bajbarsa. Nic nie sprawiało mu prawdziwej przyjemności, dopóki cel pozostawał niespełniony, jątrzący się jak zaogniona rana. Ale jeśli tak, myślał Omar, to po co to wszystko?

– Oto i oni – mruknął sułtan, biorąc z rąk sługi puchar z kumysem.

Do sali weszło dwóch mężczyzn ciągnąc wózek okryty czarną zasłoną wyszywaną w srebrne gwiazdy i księżycy. Tancerki przestały się kręcić, gości usadzono na poduszkach pod ścianami. Baraka i jego młodzianka narzeczona zajęli honorowe miejsca na otomanie naprzeciw wybielonej wapnem ściany. Drzwi do ogrodu zamknięto, na okna zaciągnięto haftowane kotary, zmieniając dzień w noc. Zza jednej z zasłon wyskoczyła obdarta sycząca postać, płosząc sługi. Ludzie rozstępowali się ze strachem, zaś sędziwy zaklinacz tocząc dziko oczami wspiął się na podwyższenie i dysząc przypadł do nóg sułtana. W dłoni zaciskał

małą szmacianą lalkę, którą Bajbars dał mu w Antiochii.

Omar odsunął się z odrazą, ale Bajbars położył dłoń na pokrytej starczymi plamami łysej czaszce Kadira.

– Przerwali ci sen?

– Sen... przerwany sen – wycharczał Kadir.

Zadygotał nagle i podał swemu panu lalkę. Ten z uśmiechem położył ją sobie na kolanach.

Omar zmarszczył brwi. Uważał, że sułtan nie powinien ośmielać starca, który po Antiochii stał się zupełnie niepoczytalny.

– Najjaśniejszy panie! – Starszy z aktorów przyklęknął przed sułtanem. Miał ciemną skórę, czarne oczy i krwistoczerwone włosy, podobnie jak zarost ufarbowane henną. – To dla nas zaszczyt zabawiać twoich gości przy tej radosnej uroczystości! – Mężczyzna zatoczył

szeroki łuk dłonią, obejmując nim swego towarzysza, zgiętego w ukłonie młodzieńca odzianego tak jak on w płaszcz zszyty z kawałków tkanin w różnych odcieniach błękitu: lazurowym, turkusowym, akwamarynowym, indygo... Przy każdym ruchu szata mieniła się jak woda marszczona niewidocznym prądem.

– Zaczynajcie. – Bajbars wskazał wolne miejsce przed młodą parą. Baraka już miał

znudzoną minę. Siedział sztywno, odsunięty od córki Kalauna tak daleko, jak to było możliwe na wąskiej otomanie.

Mężczyzna podniósł się z gracją i wrócił do swego towarzysza, który wyjął z wózka latarnię. W powietrzu unosił się dym kadzideł, którego chybotliwe niebieskawe smugi widać było w świetle przedzierającym się zza draperii. Gdy ostatni słudzy roztopili się w mroku, czerwonowłosey aktor stanął przed ucichłą widownią i rzekł:

– Opowiemy wam dzieje miłości i zdrady pokazane przez cienie.

Dał znak młodszemu, który umieścił latarnię na wózku tak, że oświetlała białą ścianę.

Wśród widzów przebiegł szmerek zadowolenia. Przedstawienia tej trupy zdobyły sobie wielką sławę.

– Dawno temu w Arabii – podjął czerwonowłosey – żyła niewiasta tak piękna, że księżyc bladł z zawiści, gdy wieczorem szła się kąpać w rzece...

Dłonie aktora rzuciły na ścianę cień smukłej kobiety. Opowieść toczyła się, a zręczne palce mężczyzny odgrywały gesty kochanków, ścierające się wojska, dzikie zwierzęta.

Córka Kalauna klaskała w ręce z radości, dworzanie zaś skwapliwie szli za jej przykładem.

Bajbars niecierpliwie poruszył się na tronie. Przedstawienie nie było tak zajmujące, jak się spodziewał; teatrzyk cieni mógł urzec dziewięcioletnie dziecko, ale nie czterdziestoosmioletniego wojownika. Skulony u jego nóg Kadir przyglądał się artystom spod półprzymkniętych powiek. Gdy czerwonowłosey mężczyzna podnosił głos, przez ciało zaklinacza przebiegało drżenie; gdy głos cichł, Kadir znów się uspokajał.

Aktor wziął z wózka słomkę i dzbanek. Zbliżył się do tronu.

– W końcu – rzekł cicho – piękność przybyła do pałacu zwabiona śpiewem staruszki, której głos niósł się na wietrze niczym zapach kwiecia. – Włożył słomkę do dzbanka, przytknął ją do ust i wydmuchnął sznur wonnych mydlanych baniek. Potem kucnął, stawiając dzban i słomkę na stopniach podwyższenia. Jedna z unoszących się w powietrzu baniek opadła na dłoń Omara. Ten z uśmiechem podał ją sułtanowi. Bańka pękła.

Ciszę przeszył wysoki, przeraźliwy krzyk.

– *Hasziszim! Hasziszim!*

Wrzeszczał Kadir, utkwivszy zamglone oczy w aktorze. Lśniący płaszcz spłynął z ramion mężczyzny jak strumień; w dłoni błysnął sztylet ze złotą rękojeścią, w którą wprawiony był lśniący rubin.

Sułtan nie zdążył się nawet podnieść. Omar zareagował szybciej; zerwał się, stając na drodze rozpędzonemu asasynowi i ostrze z impetem wbiło mu się w pierś. Oficer zwałił się Bajbarsowi na kolana. Ludzie krzyczeli. Widząc fiasko starszego, młodszy aktor dobył noża i rzucił się w stronę tronu, lecz ściał go Kalaun, który osłaniał własnym ciałem Barakę.

– Brać żywcem! – wołał Bajbars, podtrzymując rzężącego Omara. – Chcę wiedzieć, kto ich posłał!

Czerwonowłosy, otoczony przez Bahridów, stanął bez ruchu i zaczął głośno odmawiać modlitwę. Zagłuszył ją skrzek Kadira, który rzucił się na asasyra z dobytym sztyletem, takim samym jak ten, który tkwił w piersi Omara.

– Kadir, stój! – krzyknął Bajbars, mocując się z rannym, który wysuwał mu się z objęć.

Zaklinacz zdawał się nie słyszeć. Impet zderzenia zbił zamachowca z nóg i choć gwardziści próbowali odciągnąć starca, było już za późno. Bajbars delikatnie opuścił Omara na poduszki.

– Trzymaj się – szepnął gładząc blady policzek. – Medyka!!!

Słudzy rozbiegli się jak spłoszone myszy.

Omar oblizwał wyschłe wargi i spojrzał na sułtana. Ciemne oczy zwęziły mu się z bólu.

– Wyglądasz na zmęczonego, *sadik*. – Uśmiechnął się z wysiłkiem i uniósł dłoń do twarzy Bajbarsa, lecz opadła, nim zdążył go dotknąć.

Bajbars zajęczał głośno, gdy Omar bezwładnie zwisał w jego objęciach. Pochylił się nad ciałem ujmując twarz przyjaciela w obie dłonie.

– Nie rób mi tego, Omarze – szeptał. – Proszę, nie rób mi tego. – Potrząsnął ramionami zmarłego. – Wstań! Rozkazuję ci!

Ale kiedy przychodzi do rzeczy ostatecznych, potęga sułtana okazuje się iluzoryczna.

Medycy nadbiegli, lecz nie podchodzili bliżej, widząc, że jest za późno. Do zrobienia pozostało już tylko jedno: Bajbars pochylił się i przyłożył usta do ucha Omara.

– *Aszhadu an la ilaha Ula Allah, wa aszhadu anne Muhamaden rasululla.*

Nie ma Boga nad Niego, a Mahomet jest Jego prorokiem.

44

Dom macierzysty templariuszy w Akce

Dziewiętnasty dzień września roku Pańskiego 1271

– Pokpiłeś sprawę.

Will obejrzał się. Ewerard stał za nim na ganku. Zmordowany wspinaczką oddychał ciężko, twarz miał zlaną potem.

– Wiem – skwitował rycerz i odwrócił się z powrotem. Złotawa w świetle zachodzącego słońca równina ciągnęła się na wschód aż do Galilei, gdzie ziemia unosiła się na spotkanie nieba i ginęła w oddali. Nigdy nie był za tymi zamglonymi górami, choć często nawiedzały go w myślach.

– Bajbars żyje i miewa się dobrze – dodał Ewerard.

– Słyszałem.

– Aczkolwiek w zamachu zginął jeden z jego przybocznych. Bliski przyjaciel, jak mi powiedziano. Sułtan wysłał armię przeciw asasynom. – Kapelan oparł się o parapet i sapnął

wydymając wiotkie, zmarszczone policzki. – Nie zazdroszczę im. Jego zemsta będzie straszna.

– Podjęli się tego zadania z własnej woli.

– Ale to ty im je zleciłeś.

– Widzę, że nie możesz mi tego wybaczyć. – Will odwrócił się twarzą do księdza. –

Ale ktoś musiał wreszcie coś zrobić. Wasze umiłowanie pokoju jest chwalebne, ale jeśli druga strona ma je za nic, sprowadza się tylko do pobożnych życzeń.

– Nasze? – warknął ostro Ewerard. – Twoje nie? Jesteś członkiem bractwa, jednym z nas. Owszem, mamy różne światopoglądy, różne zdania, ale na zewnątrz przemawiamy jednym głosem. Ty natomiast zachowujesz się jak najemnik! – Schrypnięty głos Ewerarda stwardniał. – Nie słuchałeś, kiedy ci opowiadałem o Armandzie i Gerardzie z Ridefortu?

Dusza Świątyni została powołana właśnie po to, żeby zapobiegać podobnej samowoli!

– Nie możesz mnie z nimi porównywać.

– Nie? Wykorzystywali potęgę zakonu dla swoich celów, osobistych ambicji. Cóż innego uczyniłeś, zawierając na własną rękę umowę z asasynami i płacąc im naszym złotem?

Komu chciałeś usłużyć?

– Nam – odparł wyzywająco Will. – Zakonowi. I chrześcijaństwu.

Ewerard wycelował w niego palec.

– Zabójstwo czyni męczennika, powiedziałem ci to owej nocy, kiedy przyniosłeś mi księgę. Zrobiłeś to dla naszego dobra, tak? Dla chrześcijaństwa? Nie okłamuj się! Zrobiłeś to dla siebie. Chciałeś się zemścić za ojca. – Ksiądz urwał zadyszany, zakaszał głęboko i splunął gęstym śluzem. – Nie dałeś mi okazji, bym wyjawiał ci moje plany, Wilhelmie – rzekł

wciąż zagniewany, lecz i zmęczony wybuchem. – Choć tylko siebie mogę za to winić, skoro nie zacząłem tej rozmowy wcześniej, widząc, że jesteś coraz bardziej rozczarowany powolnością naszych działań.

Will był zdumiony tą niezwykłą u niego samokrytyką.

– Jakie plany?

Ewerard pociągnął nosem i spojrzał w dół na sady o gałęziach oblepionych dojrzałymi cytrynami.

– Ależ pięknie jest o tej porze roku – szepnął.

Will czekał cierpliwie.

– Od pewnego czasu jestem w kontakcie z człowiekiem, z którym ongiś prowadził rozmowy twój ojciec. Z którym, w przeciwieństwie do Bajbarsa, da się rozmawiać.

– Tym oficerem armii mameluckiej?

– Tak.

Will milczał, czekając, aż ksiądz zacznie mówić dalej. Po chwili Ewerard dodał:

– Człowiekiem tym jest emir Kalaun.

– Kalaun? – powtórzył Will z niedowierzaniem. – Ależ to pierwszy przyboczny Bajbarsa! To on poprowadził wyprawę na Cylicję; ma na rękach krew tysięcy Ormian. Jak to możliwe, by chciał z nami współpracować?

– W głębi serca Kalaun jest człowiekiem pokoju. Pragnie dobra swych rodaków i rozumie, że wojna

nie zawsze może je zapewnić. Wcześniej zdał sobie sprawę, że Bajbars dojdzie do wielkiej władzy i z pewnością zyskał jego zaufanie, chcąc przy nim wywyższyć i siebie. Z czasem jednak spostrzegł, że motywem działań sultana jest jego osobista nienawiść do Franków; Kalaun widzi, że ta nienawiść może zniszczyć również Arabów, nie tylko nas.

Nie miłuje nas zbyt, ale przychylnie patrzy na cele Duszy Świątyni i wie, że jego ziomkowie tak samo jak my mogą wiele skorzystać na dalszym wzajemnym handlu między naszymi narodami. Twój ojciec, jak mi przekazano, wywarł na nim wielkie wrażenie. Aby zapewnić sobie wysoką pozycję w otoczeniu Bajbarsa, Kalaun musi wykonywać rozkazy, nawet jeśli stoją one w sprzeczności z jego prywatnymi poglądami. Jako człowiek pokoju nie osiągnąłby tego stanowiska, musiał więc wykazać się jako wojownik. Pokój nierzadko kupowany jest za cenę krwi.

– Nawet jeśli to prawda, co zdołała Kalaun przeciw Bajbarsowi? Jest wysokim dostojnikiem, ale nie sultanem. Jak może cokolwiek zmienić?

– Powoli – odparł Ewerard. – Tak właśnie trzeba to robić. Kalaun nie wystąpi przeciw Bajbarsowi, ale już zapewnił sobie wpływ na rządy po jego śmierci. Niedawno wydał

córkę za syna Bajbarsa i cieszy się sympatią, a co więcej, szacunkiem swego młodego zięcia.

Gdyby twój plan się powiódł i Bajbars padł ofiarą mordu, który można by nam przypisać, Egipt uderzyłby na nas całą swoją mocą. Powtórzyłoby się Hittin. Tak słabi, jak w tej chwili, nie zdołalibyśmy stawić skutecznego oporu furii muzułmanów. Stracilibyśmy najpewniej wszystko, co jeszcze mamy, a oprócz tego wszelkie szanse na pojednanie lub choćby pokój.

Moja droga jest dłuższa, lecz w sumie bezpieczniejsza i daje nadzieję na mniejszy rozlew krwi. Jeśli Bajbars umrze naturalną śmiercią, ze starości lub w bitwie, i jeżeli Kalaun zyska dostatecznie silny wpływ na jego syna, następny sultan może stać się naszym sojusznikiem.

Wyobraź sobie, Wilhelmie, co można osiągnąć posługując się językiem, a nie mieczem.

Will patrzył na niego długo.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej? Gdybym wiedział, do czego zmierzasz, nie musiałbym... – Potrząsnął głową, zgarbił się. – Nie wiedziałem... A może nie chciałem wiedzieć.

– Nieraz cię tu widuję, jak patrzysz w dal. – Ewerard wskazał na równinę. – Sam kiedyś powiedziałeś, że nie znajdziesz tam nic prócz śmierci i nienawiści. Czy ich właśnie wypatrujesz?

– Nie – mruknął Will. – Tego, czego szukam, tam nie ma.

– Ojca. – Ewerard pokiwał głową. – Nie jestem ślepy. Patrzysz na Safed jak muzułmanie na Mekkę. Musisz pozwolić mu odejść, Wilhelmie, zanim żal zniszczy cię od środka.

– Tęsknię za nim, Ewerardzie – powiedział Will ochryple. Ukrył twarz w dłoniach. –

Tak strasznie za nim tęsknię.

Ksiądz milczał przez chwilę. Potem wyciągnął rękę i delikatnie ujął młodego rycerza za ramię.

– Spójrz na mnie, Wilhelmie. Nie potrafię zwrócić ci ojca, nikt tego nie zdoła. Ale mogę ci powiedzieć, że nie zginął na próżno. Dzięki jego porozumieniu z Kalaunem możemy jeszcze ujrzeć pokój między zwaśnionymi ludami tego świata.

– Nie zdążyłem mu powiedzieć, że żałuję.

– Nie wiem, co zaszło między tobą a ojcem. Ale wiem jedno: że cię miłował.

Spostrzegłem to od razu, choć widziałem się z nim tylko jeden raz. Nie wyjechał po to, żeby od ciebie uciec; przybył tu dokonać czegoś, na co niewielu ludzi na tej nędznej ziemi gotowych było się poważyć. Nie czynił tego dla siebie, majątku, władzy czy Boga. Kierowała nim wiara w lepszy świat. Pragnął go ziścić i za to go pochwalam. I ty też powinienes.

– Nigdy mi nie przebaczył.

– Czy nie przyszło ci do głowy, że jedyną osobą, od której musisz uzyskać przebaczenie, jesteś ty sam? Jakkolwiek skrzywdziłeś ojca takim czy innym uczynkiem, czy byłbyś prawdziwie wolny od winy, gdyby on ci ją odpuścił? – Ewerard pokręcił głową. –

Jestem księdzem, Wilhelmie. Mam moc oczyszczenia człowieka w oczach Boga, ale jeśli on sam sobie nie wybaczy, będzie żył pod brzemieniem popełnionego grzechu aż do końca swych dni, nawet gdyby na tamym świecie już oczekiwał go nimb świętości.

– Nie umiem sobie przebaczyć. Nie potrafię się zmienić. Moi przyjaciele, ludzie z którymi rozmawiam, wszyscy wiedzą, czego chcą. Znaleźli tu swoje miejsce. Szymon jest szczęśliwy wśród koni, Robert, choć czasem zachowuje się jak błazen, ceni sobie regułę i dobrze się z nią czuje. Nawet Garen wydaje się spokojniejszy w celi niż kiedykolwiek przedtem. Miałeś rację, Ewerardzie, mówiąc kiedyś, że chciałem zostać rycerzem tylko przez wzgląd na ojca. Tak długo czekałem, aż zobaczy mnie w białej szacie, że gdy zginął, nagle zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie wiem, czego chcę dla siebie. Była Elwina, ale... Kiedy patrzę w przyszłość, widzę pustkę.

– Nie musisz wiedzieć, co cię czeka nazajutrz, żeby przeżyć dzień dzisiejszy –

odparował ksiądz – i nie musisz znać przyszłości, żeby do niej dążyć.

– A co mi pozostaje dzisiaj?

– Szansa, żeby zmienić jutro. – Ewerard milczał przez chwilę. – Nie potrafię ci doradzić, jak masz sobie przebaczyć i uwolnić się wreszcie od poczucia winy. Ale mogę ci przedstawić cel, do którego mógłbyś dążyć. Nie przyszedłem tu tylko po to, żeby cię łajać.

Chcę zaoferować ci wybór. Zbieramy się dziś, by powitać naszego nowego Strażnika.

– Strażnika? Znaleźliście kogoś na to miejsce?

– Tak, po długich poszukiwaniach. Możesz iść teraz ze mną i wziąć udział w spotkaniu, albo jeśli zechcesz, uwolnię cię od zobowiązań.

– Masz na myśli zobowiązania wobec bractwa?

– Nawet odejście z zakonu, jeśli zechcesz. – Ewerard wzruszył ramionami. – Zdaję sobie sprawę, że pomagałeś mi w poszukiwaniu księgi tylko dlatego, że chciałeś zostać rycerzem zakonu, a sam właśnie powiedziałeś, że rycerzem pragnąłeś być tylko dla ojca.

– Nie pomagałem ci wyłącznie dlatego, Ewerardzie.

Ksiądz machnął ręką.

– I nie winię cię za to, że gryzłeś wędzidło. Wiem, że przysporzyłem ci wiele goryczy. Już dawno powinieneś być dokonać własnych wyborów. Najlepiej takich – dodał

kwaśno – których nie przypłacimy wszyscy życiem. W Księdze Graala rycerze towarzyszą Percewalowi na wyprawie, ale to on podejmuje ostateczną decyzję, która albo przyniesie pojednanie trzech wiar, albo na zawsze zniszczy pokój. Percewal wybrał pojednanie –

Ewerard skrzywił usta – choć nie ustrzegł się kilku błędów. Sam rozsądź, Wilhelmie. Pracuj z nami dla przyszłości albo obierz jakąś inną drogę. Cokolwiek jednak zdecydujesz, idź

naprzód.

Will spojrzał na wschód, w stronę gór. W czasie ich rozmowy słońce zaszło, daleko nad północnym horyzontem zabłysła jasno pierwsza gwiazda. Ciepły wiatr niósł zapach oliwek, soli, siana i skóry. Poniżej, na majdanie, słychać było nawoływania mężczyzn i rzenie koni. Od strony miasta dobiegło stłumione odległością porykiwanie bydła, dźwięk dzwonu, śmiech dziecka. Wokół życie nadal toczyło się starymi, znajomymi torami.

Ewerard miał rację: przyjeżdżając tu, Jakub Campbell nie kierował się myślą o własnej korzyści. Ale o tym Will wiedział od dawna, zrozumiał to w Paryżu owego dnia, gdy król Ludwik wziął krzyż. Od tamtego czasu klarowną i czystą miłość, jaką czuł do ojca, przyćmiła gorycz i pragnienie zemsty. Jego własne motywy były w najwyższym stopniu egoistyczne i ulegając im, omal nie zniszczył dzieła, nad którym pracował ojciec. Mógł to jeszcze naprawić. Przecież nie pragnął, by wciąż ginęli ludzie, by kolejni synowie tracili ojców. Zrodzona z poczucia winy żądza krwi i wojny odsunęła na bok idee Anima Templi nie dlatego, iż uważał je za nieziszczalne, lecz dlatego, że nie chciał wyrzec się odwetu. Ale nie tędy wiodła droga do odpuszczenia grzechów. Teraz to pojął. Nagle uświadomił sobie, że marzenie ojca było i jego marzeniem.

– Zostanę.

– Zatem bierzmy się do pracy. – Ewerard nie wydawał się zdziwiony jego odpowiedzią. – Chodź.

Ruszył za księdzem. Zanim zeszedli na dziedziniec, jego precyzyjna wizja się rozwiązała, lecz płynące z niej przesianie pozostało w duszy Willa niczym szorstkie ziarnko piasku zamienione w perłę. Znalazł

swoje miejsce. Musiał żyć, po prostu żyć, bo teraz jego życie miało cel.

Członkowie Anima Templi rzadko zbierali się w pełnym składzie, a i to za każdym razem w innym miejscu, by nie zwracać niczyjej uwagi. Dziś gościł ich seneszał. Ewerardowi udało się dobrać czterech nowych członków, ale że tymczasem zmarł jeden z pierwszych braci, wciąż było ich tylko sześciu. Gdy Ewerard z Willem przybyli na miejsce, reszta już czekała.

Drzwi otworzył im potężnie zbudowany i przedwcześnie wyłysiały mężczyzna o wybuchowym temperamencie. Skłonił z szacunkiem głowę przed Ewerardem, Willa zaś obrzucił niechętnym spojrzeniem. Bracia wiedzieli od Ewerarda o umowie Willa z asasynami; seneszał nalegał wówczas, by wtrącić go do lochu. Skończyło się na dwumiesięcznym ostracyzmie. Seneszał nie wydawał się zadowolony, że okres ten dobiegł już końca.

W przestronnej komnacie siedziało jeszcze trzech templariuszy – niedawno wyświęcony ksiądz z Portugalii, którego Ewerard wybrał spostrzegłszy jego pasję w zgłębianiu podobieństw między chrześcijaństwem, islamem i judaizmem; gładkolicy młody szlachcic urodzony i wychowany w wielokulturowym tyglu Akki, a także stary rycerz, który podobnie jak seneszał i Ewerard pamiętał jeszcze Armanda z Perigordu.

Dopiero po chwili Will spostrzegł, że w pomieszczeniu jest jeszcze jedna osoba.

Wysoki ciemnowłosy mężczyzna odziany w czarny płaszcz obrzeżony króliczym futrem stał z boku, przyglądając się namalowanej na ścianie mapie świata z Jeruzalem w centrum.

– Wilhelmie – mruknął Ewerard – chcę, abyś poznał nowego Strażnika bractwa.

Człowieka, który może stać się dla nas równie cennym sprzymierzeńcem jak jego stryjeczny dziad. – Panie – rzekł podchodząc – oto młody rycerz, o którym ci mówiłem.

Mężczyzna obrócił się. Był to książę Edward, syn króla Henryka i następcą tronu Anglii.

Will zdołał w porę ukryć zaskoczenie i skłonił się nisko.

– Mój panie – rzekł.

– Zaszczyt to dla mnie – Edward wyciągnął do niego rękę. Jego uścisk był mocny i pozbawiony wahania.

– To ja czuję się zaszczycony, że mam honor znów cię widzieć, wasza wysokość.

– Znów? Nie przypominam sobie, byśmy się już spotkali.

– Jedenaście lat temu w Nowej Świątyni podczas debaty najjaśniejszego pana z mistrzem Anglii. Trzymałem wtedy tarczę Owena ap Gwyna.

– To byłeś ty? – Edward uśmiechnął się. – Na ogół nie pamiętam twarzy; zresztą owego dnia

nurtowały mnie inne sprawy. – Uśmiech spełził nieco i Will spostrzegł na obliczu księcia krótki przebłysk jakby złości lub zniecierpliwienia.

Z bliska wyglądał zupełnie inaczej, niż Will go zapamiętał. Już wówczas cechowała go królewska postawa, ale młodzieńcza inteligencja ujęta została w żelazne ryzy dojrzałego zmysłu politycznego. Wciąż opadała mu powieka tak jak ojcu, ale nadrabiał ten defekt otwierając szerzej jedno oko. Stale uniesiona brew nadawała mu nieco ironiczną minę. Stojąc z wysoko uniesioną głową i mierząc zebranych chłodnym niewzruszonym wzrokiem, budził

respekt należny monarsze. Kiedy ponownie się odezwał, jego słowa skierowane były do wszystkich:

– W minionych latach stosunki króla ze Świątynią nie były takie, jakich obie strony mogłyby sobie życzyć. W przeciwieństwie do Ryszarda, ojciec nie mógł się pogodzić z autonomią zakonu na jego ziemiach. Cieszę się, że dano mi sposobność pójścia śladem pierwszego Strażnika tej rady, i mam nadzieję, iż współpraca Templum z koroną Anglii ułoży się znów tak dobrze jak za jego panowania.

– Wielce jesteśmy radzi z twojej przychylności, książę – rzekł z ukłonem seneszał.

Will przysiadł na ławie obok portugalskiego księdza, który uśmiechnął się doń nieśmiało. Seneszał rozejrzał się po zebranych.

– Czy możemy już zacząć obrady?

– Tak, bracie – odparł Ewerard. – Wiele mamy do omówienia. Zanim jednak zagłębimy się w szczegóły, nasz Strażnik chciałby nam coś obwieścić. Panie?

Edward skinął głową.

– Kiedy ojciec Ewerard nakreślił mi cel waszego bractwa, zrozumiałem, że mogę wam dopomóc w jego osiągnięciu. Jak dotąd nic nie wskazuje na to, by Bajbars zamierzał

przerwać działania wojenne przeciwko nam, a jeśli dalej będziemy się cofać w tym tempie, stracimy ostatnie przyczółki w Ziemi Świętej, co uniemożliwi wam dalszą pracę. Dlatego trzeba działać szybko. – Książę umilkł, by jego słowa dotarły do świadomości słuchaczy. Po chwili podjął z naciskiem: – Pokój to nie tylko ideał; to nasza jedyna szansa na przeżycie. W

minionym tygodniu rozmawiałem z niektórymi spośród wielmożów, także z wielkimi mistrzami Templum i Zakonu Świętego Jana, nie informując ich rzecz jasna o powiązaniach z wami. Udało mu się ich przekonać, by poparli mój pomysł. Zamierzam przedstawić sułtanowi propozycję rozejmu. – Podniósł rękę, uciszając podnoszące się głosy. – Oczywiście nawet jeśli się na nią zgodzi, nie oznacza to jeszcze zakończenia walk, lecz zdołamy utrzymać zachowane dotąd ziemie, zaś Anima Templi będzie miała pewniejszą podstawę do swoich chwalebnych dążeń.

– Rozejm? – skrzywił się seneszał. – Bardzo wątpię, czy Bajbars na to przystanie...

– Może uda się na niego wpłynąć przez Mongołów. Po przyjeździe wysłałem ambasadorów na dwór chana perskiego, Abagi, prosząc go o pomoc w odparciu Bajbarsa.

Zdążyli już wrócić z wieścią, że chan jest zainteresowany przymierzem. Nie chodzi mi tylko o doraźne posiłki, ale o jednolity wspólny front. Chcę namówić chana, żeby wysłał z Anatolii niewielką armię, która będzie nękać saraceńskie twierdze na północnej granicy. Ja sam przeprowadzę kilka rajdów z południa. Zdaję sobie sprawę, że nie pragniecie wojny, ale w najbliższym czasie taka akcja to nasza jedyna nadzieja. Straty będą niewielkie. Ataki miałyby na celu udowodnienie Bajbarsowi, że w sojuszu z Mongołami możemy mu przysporzyć kłopotów. To, jak sądzę, doda mu ochoty na zawarcie rozejmu.

Will poczuł mimowolny podziw. Nigdy jeszcze nie spotkał człowieka o tak wielkiej pewności siebie i energii. Kiedy Edward mówił, ludzie go słuchali. Po wargach Ewerarda błąkał się chytry uśmieszek; najwyraźniej był zadowolony ze swego wyboru. Inni także zdawali się podzielać to zdanie, kiwali głowami z aprobatą. Will zadawał sobie pytanie, skąd w takim razie bierze się jego nieufność.

Zebranie toczyło się dalej; bracia dodawali swoje przemyślenia i wypytywali Edwarda o szczegóły proponowanego rozejmu. Will przyglądał się księciu, szukając w nim jakichkolwiek przesłanek, które mogłyby usprawiedliwić jego rezerwę. Nie znalazł żadnych; książę był uprzejmy i życzliwy, ale Will nie mógł pozbyć się z pamięci owego błysku irytacji, który wcześniej przemknął mu po twarzy. Nie chodziło nawet o samą minę; bardziej o uczucie, że książę ma na twarzy maskę, która na krótką chwilę się zsunęła, ukazując kryjące się pod spodem oblicze.

Po skończonej naradzie młodszy bracia wyszli, seneszał i starsi pozostali w komnacie.

Will także został. Książę podszedł do Ewerarda.

– Cieszę się, że przyszedłeś do mnie z tą propozycją, ojciec Ewerardzie – powiedział.

– Ja także – odparł kapelan. – Wierzę, iż możemy przysporzyć sobie nawzajem wiele dobrego.

– Mam jeszcze jedną, ostatnią sprawę. Rozmawialiśmy o niej krótko w dniu wczorajszym. Ciekaw jestem, czy podjąłeś decyzję?

– Oczywiście. Moja odpowiedź brzmi: tak.

Edward uśmiechnął się.

– Dziękuję ci. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak ta wieść uraduje mego ojca. –

Rozchylił płaszcz i odwiązał od pasa okazały trzos, który położył przed Ewerardem. – To pokryje część długu. Jak mówiłem, resztę przekażę po powrocie do Anglii.

– Napiszę zaraz do wizytatora w Paryżu. On dopilnuje reszty.

– Byłbym wdzięczny, gdybym otrzymał dokument potwierdzający wpłatę.

– Naturalnie. Wyślę kogoś do kancelarii.

– Nie ma takiej potrzeby, bracie. – Seneszał podniósł się z miejsca. – Wybierałem się na obchód lochów. Będąc w wieży skarbowej, sam wystawię dokument.

– Lochów? – zdziwił się Edward. – Macie tu więźniów?

– W obecnej chwili tylko trzech. – Seneszał otworzył drzwi. – Bardzo to smutne, że musimy karać naszych współbraci, lecz dyscyplina to kręgosłup zakonu. Bez niej bylibyśmy kalecy.

Rzucając Willowi znaczące spojrzenie, wyszedł. Księżę ruszył za nim, naciągając kaptur, który ocienił mu twarz.

– Podjąłeś słuszną decyzję.

Will obrócił się, słysząc głos Ewerarda.

– Co? – spytał.

– Pozostając w bractwie. Z całej duszy wierzę, że możemy coś zmienić. – Ksiądz uśmiechał się, oczy mu błyszczały. – Co sądzisz o jego planie?

– Dobry, jeśli zadziała. Co on ci dał? – Will wskazał trzos, który Ewerard trzymał w dłoni.

– Część długu, jaki ma u nas król Henryk. Niewielką w istocie, ale dobre i to na początek. – Wetknął trzos za pazuchę. – Musisz napisać list do Hugona z Pairaud.

– Wizytatora? Co mam mu napisać?

Od wyjazdu z Paryża Will stracił kontakt z Hugonem, wiedział jednak, że Robert od czasu do czasu wymienia listy z dawnym druhem, który po śmierci poprzednika objął władzę nad wszystkimi komandoriami Zachodu.

– Wydasz mu rozkaz, aby przekazał angielskie klejnoty koronne królowi Henrykowi do Londynu.

– Ja mam mu wydać rozkaz? – Will zdębiał.

– Opatrzysz list podpisem wielkiego mistrza Berarda. – Ewerard skierował się do drzwi.

Will patrzył za nim z rozdziawionymi ustami.

– Dyscyplina! – zaśmiał się gorzko.

– Zrób to jeszcze dzisiaj – dorzucił kapelan, nim wyszedł. – Pora zająć się ważniejszymi sprawami.

Garen przytknął miskę do ust i wysączył resztkę cienkiej zupy, w której pływały ziarna niedogotowanego ryżu, dorzucone widać po namyśle przez kucharza.

– Dzięki, Tomaszu.

Tomasz kiwnął głową i wziął od niego miskę.

– Żadna to uczta, panie, ale sam wiesz: zanim coś z góry dojdzie tu do nas, zostają tylko ochłapy.

– Byłem kiedyś giermkim i też jadłem resztki. Nie było tak źle. – Uśmiechnął się, wzruszając ramionami. – Dobrze byłoby splukać to kropelką wina...

Tomasz obejrzał się niespokojnie na uchylone drzwi.

– Wybacz, panie – szepnął, potrząsając głową. – Dziś nie mogę. Seneszał wybiera się na obchód. Gdyby się dowiedział, że oddaję ci swoje racje...

– Przecież mu nie powiem – przerwał mu Garen – Wypiję szybciotko.

– Nie dziś. – Tomasz wstał, wymknął się pospiesznie i zamknął za sobą drzwi.

Słyszac łoskot opadającego rygla, Garen odchylił głowę i oparł ją o mur. Zaklął ze znużeniem. Bez wina czas płynął o wiele wolniej. Może uda mu się wyzebrać odrobinę po inspekcji, to jednak zależeć będzie od tego, kto przejmie straż. Niektórzy jak Tomasz współczuli mu, nazywali nawet panem, choć Garena bolały te uprzejmości. W jego sytuacji

„panie” brzmiało jeszcze bardziej drwiąco niż „śmieciu” albo „psie” używane przez tych, którzy upajali się sposobnością, by upokorzyć dawnego zwierzchnika, odkuć się na nim za to, że sami będąc nisko urodzeni, nigdy nie osiągną jego rangi.

Garen szybko nauczył się chować godność i dumę nie tylko przed ludźmi, którzy chcieli go odrzeć z jednego i drugiego, ale także przed sobą samym. Jeśli strażnik zastawał go na kuble, nie zrywał się, lecz kończył, co zaczął. Kiedy ciskali mu jedzenie na zgniłą słomę, mówiąc, że pies powinien jeść z ziemi, dziękował i zjadał. Powtarzał sobie, że wytrzyma.

Powtarzał to tak długo, że sam niemal w to uwierzył. Balansował na skraju przepaści i tylko czasem, gdy po przebudzeniu usiłował zatrzymać obrazy barw i miejsc, o których już prawie zapomniał, miał uczucie, że spada w czarną otchłań.

Słyszac stłumione głosy za drzwiami prędko opuścił głowę na piersi i zamknął oczy.

Seneszał lubił wygłaszać kazania; opłacało się udawać sen podczas jego obchodów.

Drzwi się otwarły. Usłyszał dziwnie zmieniony głos Tomasza:

– Kiedy skończysz, zastukaj w drzwi, panie.

A więc dziś nici z udawania. Czuł jego obecność w celi, tak cichy, że prawie niesłyszalny oddech, lekki zapach czegoś słodkiego – wina albo zjedzonego niedawno owocu.

Czekał, aż seneszał obudzi go kopniakiem, lecz mężczyzna stał bez ruchu. Garen ostrożnie uchylił powieki i w świetle pochodni dojrzał przed sobą rąbek czarnej szaty. W pierwszej chwili pomyślał:

„ksiądz”, lecz szata była z czarnego aksamitu, a nie szorstkiej wełny, obrzeżona delikatnym króliczym futrem. Zaskoczony Garen podniósł wzrok, nie dbając o pozory. Serce gwałtownie podskoczyło mu w piersi, gdy napotkał chłodne spojrzenie księcia Edwarda.

– Boże! – wyrwało mu się.

– Trochę przesadzasz. – Księżę kucnął przed skutym brudnym rycerzem o twarzy poznaczonej bliznami po gnilcu i oczyma szeroko rozwartymi ze zgrozy. – Choć istotnie krąży o mnie fama, że ci, którzy mnie rozzłoszczą, prędko lądują w piekle.

– Jak... – głos mu się załamał i nie był w stanie dokończyć. Edward jednak zrozumiał.

– Odnalezienie ciebie nie sprawiło moim ludziom większego kłopotu. Wiesz, jaka gadatliwa jest służba. A teraz po prostu trafiła mi się sposobność, żeby złożyć ci wizytę.

– Czego chcesz? – Garen zerknął na drzwi. Zastanawiał się, czy Tomasz przyjdzie, jeśli go zawoła.

Edward także się obejrzał.

– Nikt nam nie przeszkodzi – wyjaśnił, jakby czytał mu w myślach. – Seneszał nie zgłaszał sprzeciwu, kiedy wyraziłem chęć odwiedzenia jego krnąbrnych owieczek. Zawsze warto ofiarować zbłąkanym parę słów mądrości, wykazać dobrodziejstwo szczerzej skruchy i tak dalej. – Zaśmiał się krótko. – Czego chcesz? Do niedawna chciałem wiedzieć, gdzie jest księga, którą miałeś dla mnie zdobyć, ale sam już odkryłem, że została zniszczona. Teraz ciekawi mnie jeszcze tylko, co się stało z moim sługą Krukiem.

Na dźwięk imienia, które pogrzebał tak głęboko, iż prawie o nim zapomniał, wynędzniałym ciałem Garena wstrząsnęła fala nienawiści. Jej siła przemogła strach.

– Zabiłem drania! – warknął. – Podziurawiłem go tak, że rodzona matka by go nie poznała!

Oczy Edwarda zmrużyły się ze złości, lecz ułamek sekundy później znów miał twarz jak wykutą z kamienia.

– Tak właśnie przypuszczałem – rzekł obojętnie. – Gdyby żył, wróciłby. Był bardzo posłuszny.

– Był odrażającym jadowitym gadem. Groził śmiercią mojej matce. Zabił moją... –

Garen urwał i przymknął oczy.

– Przyznaję, jego metody nie były zbyt subtelne, ale za to skuteczne. Tylko tego wymagam od swoich sług. Wiesz o tym, Garenie.

Garen przełknął gorycz wraz z resztką lęku i zmusił się, żeby spojrzeć księciu w oczy.

– Tak, zdradziłem cię i zabiłem twego zбира. Jak widzisz, służba u ciebie niezbyt mi się opłaciła. Co jeszcze chcesz mi odebrać?

– Kiedy byłeś w mojej służbie, hojnie cię nagradzałem. Sam postanowiłeś się wyrzec moich łask i wybrałeś... – Edward zatoczył ręką krąg wokół mokrej celi – ... to.

– Nie. To jest właśnie owocem tej służby. Straciłem wszystko: stryja, przyjaciół, niewiastę, wreszcie wolność. Nie mam już nic. Więc jeśli przyszedłeś mnie zabić, zrób to.

Jeśli nie, wynoś się.

Na twarzy Edwarda odmalowało się łagodne zdziwienie czelnością więźnia.

– Skoro nie masz już nic do stracenia – rzekł po chwili – to znaczy, że możesz tylko zyskać.

– O czym ty mówisz?

– Anima Templi – podjął Edward rzeczowym tonem, jakim załatwia się interesy –

bractwo, w którym działał twój stryj, właśnie mianowało mnie swoim Strażnikiem.

– Co? – Garen miał wrażenie, że jego mały światek, już rozchybotany wizytą księcia, usuwa mu się spod nóg.

– Kilka tygodni temu Ewerard z Troyes przyniósł mi zaproszenie. Uznał, że mogę im być pomocny. – Książę zaśmiał się głośno. – Rodowe klejnoty wrócą do Anglii, będę mógł

się nimi ukoronować. A dodatkowo zyskałem wpływ na Templum, dzięki któremu nie stanę się marionetką w ręku zakonu, jak mój słabowity na umyśle ojciec. – Oczy księcia były twarde jak kamienie, biła z nich pogarda. Edward miał wiele twarzy, ale ta była najbliższa prawdy i najbardziej przerażająca. Naga bezlitosna ambicja buchała z niego jak żar.

Garen widział już w jego oczach tę samą skupioną bezwzględność, gdy przez krótki czas współpracował z nim w Londynie. Teraz była ostrzejsza, mocniej zarysowana, tak jak i jego twarz.

– Zatem masz, czego chciałeś – mruknął. – Sami ci to dali.

– Kiedy obejmę tron, to ja będę rządził, nie Świątynia – ciągnął Edward, jak gdyby go nie słyszał. – Poszerzę swoje władztwo na Szkocję i Walię. Dzięki Anima Templi będę mógł posłużyć się skarbami templariuszy, bo to ja ich wykorzystam, a nie oni mnie. – Jego wzrok z powrotem skupił się na Garenie. – Ich idee mnie nie obchodzą. To mrzonki, na dodatek bluźniercze mrzonki wymierzone przeciwko najświętszym podstawom naszego świata; przeciwko Bogu. – Zmarszczył czoło. – Później dopilnuję, by spotkała ich za to kara.

Na razie niech dalej pławią się w rojeniach, których i tak nie da się urzeczywistnić. Zajęci nimi nie będą patrzeć mi na ręce. Niechże dalej drepczą w miejscu. Ja tymczasem zawrę rozejm z Bajbarsem, a potem dobiore się do ich złota. Wątpię, by się skarżyli. Ostatecznie znam ich tajemnice. Sekrety, których jak obaj wiemy, nie chcą ujawnić światu.

– Chcesz zawrzeć rozejm z Bajbarsem? – Garen poczuł mdłości.

– Oczywiście. Da to naszym szansę na przegrupowanie się i podjęcie na nowo walki z niewiernymi. Nie przyjechałem tu szerzyć pokoju, a po to, by ziścić marzenie chrześcijaństwa. Rozejm będzie czasowy; kiedy zbierzemy siły, uderzymy na Saracenów niczym taran. – Przystojna twarz Edwarda zarumieniła się z triumfu. – Odbierzemy Jerozolimę i oczyścimy jej ulice z plugastwa, tak jak to zrobili pierwsi rycerze Krzyża. Znow będziemy strażnikami Świętego Miasta na ziemi prawem należącej do nas.

Garen przymknął oczy.

– Więc wystarczyło tylko zaczekać; sami by do ciebie przyszli. W ogóle nie byłem ci potrzebny...

– Ale wtedy żaden z nas tego nie wiedział – odparł Edward z powagą. Głos mu złagodniał. – Wiesz, że zawsze będą mi potrzebni tacy ludzie jak ty.

– Nie – mruknął Garen czując, że siły go opuszczają, a pod stopami rozwiera się otchłań. – Proszę cię, idź już.

– Mogę cię stąd wyciągnąć, zyskać dla ciebie ulaskawienie. Wrócisz do Anglii.

Zobaczysz matkę.

– Żyje? – oczy Garena otwarły się z wysiłkiem.

– Tak, choć ostatnio nie czuje się najlepiej. Pewnie dają jej się we znaki chłody w Rochesterze. Wciąż jeszcze możesz zapewnić jej wygody, o jakich marzyła.

– Dlaczego mi to proponujesz?

– Bo znam cię lepiej niż ty sam siebie.

Garen przymknął powieki, żeby powstrzymać łzy.

– Nie znasz mnie. Wiele się zmieniło.

– Jesteśmy do siebie bardzo podobni, Garenie; spostrzegłem to od razu. Obaj wiemy, czego chcemy: bogactwa i władzy. Wszyscy tego chcą. Ale my w przeciwieństwie do innych sięgamy wzwyż, a nie garbimy się ku ziemi, zapierając się swoich potrzeb. Chyba jesteśmy w tym uczciwsi od większości ludzi.

Garen potrząsnął głową.

– Zakon nie przyjmie mnie z powrotem. Seneszal jest członkiem Anima Templi.

Prędzej padnie trupem, niż dopuści, żebym znow włożył białą szatę. Wiedzą, że próbowałem wykraść Księżę Graala.

– Nie musisz być templariuszem, żeby mi pomóc. Chcę umocnić królestwo i będę to czynił na różne

sposoby, a mówiąc wprost, uważam, że marnujesz się w tej celi. – Edward wstał, górując nad skulonym więźniem. – Widzę, że jesteś już zmęczony. Zostawię cię, żebyś miał czas to przemyśleć. Pozostanę w Akce do czasu zawarcia rozejmu z Bajbarsiem, potem wrócę na zachód, żeby zebrać poparcie dla nowej krucjaty. Na pewno zdołasz mi przesłać wiadomość, jeśli się zdecydujesz.

Zastukał w drzwi. Gdy się otworzyły, zerknął w stronę kubła z odchodami.

– Poproś, żeby to wylali, smród jest naprawdę nie do zniesienia!

Garen wytrzymał aż do chwili, gdy drzwi znów się zamknęły. Rozpłakał się dopiero potem.

45

Aleppo, Syria

Dziesiąty dzień lutego roku Pańskiego 1272

Bajbars rozsiadł się wygodnie w krześle, przyglądając się, jak Baraka Chan studiuje pisma rozłożone na stole. Czoło jego syna marszczyło się w skupieniu, brodę wysuniętą miał

do przodu. Brzegi kart unosiły się w podmuchach wpadających przez okna. Bajbars sięgnął

po puchar z kumysem i osuszył go do dna. Z kąta wyłonił się sługa, napełnił puchar i z powrotem rozplątał się w cieniu. Z ulicy dobiegały odgłosy robót przy bramie twierdzy, zniszczonej cztery miesiące temu podczas ataku Mongołów.

W październiku tumen wysłany przez chana perskiej ordy nadciągnął z Anatolii i wdarł się do Aleppo rozbijając garnizon pozostawiony tu przez Bajbarsa, który znaczną część armii przesunął do Damaszku, aby stamtąd prowadzić wypady przeciwko frankijskim warowniom na południu. Mongołowie zajęli cytadelę, wzbudzając ogólny popłoch, chociaż lekka jazda nie poczyniła większych zniszczeń i pozostawiła za sobą niewiele ofiar. Kiedy jednak dziesięciotysięczna kawalkada zaczęła przeć dalej na południe, a popłoch miejscowej ludności muzułmańskiej zmienił się w panikę, Bajbars zawrócił armię, żeby stawić im czoło.

W obliczu znacznej przewagi liczebnej wroga tumen zawrócił do Anatolii.

Podczas gdy Mongołowie atakowali z północy, Frankowie pod wodzą angielskiego księcia o imieniu Edward, o którym ostatnio dochodziły do Bajbarsa liczne wzmianki, uderzyli z południa, najeżdżając okolice równiny Szaron. Nic na tym nie zyskali, ale Bajbars odebrał wyraźny sygnał, że książę jest człowiekiem, przed którym powinien się mieć na baczności. Krucjata Ludwika spełzła na niczym, lecz brat królewski, Karol Andegaweński, był wujem Edwarda i choć Bajbarsa łączyły w przeszłości dość serdeczne stosunki z Sycylią, w osobach tych dwóch ludzi wietrzył groźbę nowej krucjaty. Kadir także wyczuwał

zagrożenie i wielokrotnie ostrzegał sułtana, aby ważył każdy krok, gdy szło o księcia.

– Jest jeszcze młody – mruczał – ale to lew w ludzkiej skórze. Widzę to.

– Raczej słyszysz od plotkarzy na dworze – odparł sucho Bajbars.

– Jest podobny do ciebie, panie, gdy byłeś w jego wieku – odparł chytrze zaklinacz.

Bajbars dopił kumys i zerknął na wzdychającego ciężko syna.

– Skończyłeś?

– Nie potrafię! – Baraka ze złością cisnął rysik na podłogę. – Sindzar specjalnie daje mi zadania, których nie umiem rozwiązać!

– Po to, żebyś się nauczył – odparł ze znużeniem Bajbars.

– Mogę skończyć jutro, ojcze? – Chłopiec spojrzał na niego błagalnie. – Chciałem dziś jechać na łowy. Emir Kalaun obiecał, że mnie zabierze.

– Najpierw skończ lekcje.

– Ale, ojcze...

– Głuchy jesteś? – Bajbars grzmotnął pucharem w stół.

Baraka wzdrygnął się, słysząc furię w jego głosie, wydał wargi i pochylił się z powrotem nad tabliczką pokrytą zadaniami algebraicznymi.

– Czy nie przeszkadzam, panie?

Obaj, Bajbars i Baraka, odwrócili się równocześnie. W drzwiach stał Kalaun, głową sięgając niemal szczytu sklepionego wejścia. Ciemne, siwiejące nad czołem włosy związane miał z tyłu, przez co jego drapieżne rysy wydawały się jeszcze ostrzejsze. Miał na sobie ciemnoszafirowy płaszcz swego pułku.

– Emir Kalaun! – Baraka podbiegł ucieszony i chwycił go za rękę. – Usiądź ze mną, emirze, i pomóż mi w lekcjach.

Kalaun uśmiechnął się do niego z wyżyn swego wzrostu.

– Jestem pewien, że doskonale dajesz sobie radę sam.

– Właśnie że nie – nadał się Baraka – ale tylko dlatego, że lekcje Sindzara są głupie.

– To dobry nauczyciel – odparł łagodnie emir. – Powinieneś go cenić. On nauczył mnie arabskiego, kiedy trafiłem w szeregi mameluków.

Baraka cofnął dłoń i wbił chmurny wzrok w podłogę. Nagle coś mu się przypomniało.

– Zabierzesz mnie na polowanie, jak obiecałeś?

– Jeśli – Kalaun zerknął na Bajbarsa – twój ojciec wyrazi zgodę.

– Proszę, ojcze!

– Zabierz swoje rzeczy i skończ lekcje z Sinczarem. Chcę porozmawiać z emirem w cztery oczy.

Baraka chciał zaprotestować, ale posłusznie zgarnął pergaminy, zabrał tabliczkę i wyszedł.

– Zostawiłeś rysik! – zawołał za nim Kalaun.

– Słudzy przyniosą mi nowy – odszczeknął Baraka. – Od tego są.

Kalaun odprowadził go wzrokiem, potem spojrzał na Bajbarsa.

– Wzywałeś mnie, panie.

Bajbars wstał ze znużeniem i podszedł do dużej skrzyni. Wydobył z niej srebrny futerał na dokumenty. Zerknął na Kalauna.

– Ostatnio mam wrażenie, że mój syn lubi cię bardziej niż mnie.

– Łatwo mi zyskać jego sympatię, panie, bo nie muszę trzymać go w ryzach.

Bajbars wręczył mu etui i usiadł. Emir wyjął ze środka zwinięty pergamin.

– Frankowie chcą zawrzeć z tobą rozejm – mruknął, czytając tekst. Podniósł wzrok na sultana. – Kiedy to otrzymałeś?

– Wczoraj.

– Czy ktoś już o tym wie?

Bajbars potrząsnął głową.

– Ty jesteś pierwszy.

– Podpisane przez króla Sycylii.

– Tak. Gdy dowiedział się o zamiarach Edwarda, sam podjął się mediacji. Karol myśli pewnie, że nasze dobre ongiś stosunki osłodzą mi tę propozycję.

– Nie chcą wiele – mruknął Kalaun, powtórnie przejrząwszy list. – Tylko zatrzymać to, co jeszcze mają w rękach.

– Co najlepiej dowodzi, że traktują rozejm jako tymczasowy. Gdyby chcieli zakończyć wojnę, wsiedliby na statki i odpłynęli do domu, a nie próbowali układów.

– Orda – rzekł po namyśle emir – jest dla nas większym zagrożeniem niż Frankowie.

Tym odebraliśmy większość ziem i twierdz, w najbliższej przyszłości nie zbiorą dość sił, żeby kontratakować. Nawet jeśli nie zamierzają dotrzymać rozejmu, podpisanie go może być dla nas korzystne.

– Pokój z Frankami nigdy nie był moim celem – powiedział cicho Bajbars. – Nieraz mówiłem Omarowi, że nigdy nie oczyścimy się z wpływów Zachodu, jeśli będziemy dla nich litościwi jak Saladyn i choćby dopuścimy myśl o negocjacjach. – Wstał i podszedł do okna.

– Kompromis – rzeki ostrożnie Kalaun – bywa czasem potrzebny i zwycięzcom. Nie byłoby dobrze dzielić siły, stając przeciwko dwóm sprzymierzonym armiom, nawet jeśli jedna z nich jest tak słaba. Tym bardziej że sami proponują zwłokę.

– Dobro? – mruknął Bajbars – Odkąd... – Przymknął oczy. – Od śmierci Omara nie wiem już, co jest dobre, a co złe.

Minęło pół roku, odkąd pochował przyjaciela. Ciała dwóch asasynów bezceremonialnie spalono razem z wózkiem. Prawdziwi aktorzy, którzy mieli wystąpić na uczcie zaręczynowej, zostali odnalezieni w wynajętym domu na skraju miasta. Sądząc ze stopnia rozkładu zwłok, zabójcy mieli dość czasu, by opanować ich sztukę. Od tamtej pory Bajbars prawie doszczętnie wytępił górski zakon, ale choć dopełnił zemsty, nie zapełniła ona pustki po utracie Omara; pustki, która z upływem miesięcy doskwierała mu coraz bardziej.

Czasem kazał go wzywać; słudzy spuszczać oczy bąkali nerwowo, że Omar nie żyje.

– Nie zdawałem sobie sprawy, ile dla mnie znaczył. Chyba nigdy mu tego nie powiedziałem. – Sułtan otworzył oczy. – Brak mi jego rady.

– A jak sądzisz, panie: co doradziłby ci Omar, gdyby tu był? – spytał delikatnie emir.

Bajbars uśmiechnął się lekko.

– Żebym przyjął rozejm. Był wojownikiem, ale w głębi serca nie znosił wojny.

Próbował to przede mną ukryć; cóż, kiedy na tej jego szpetnej gębie wszystko było widać jak na dłoni. – Uśmiech sułtana znikł. – A ty, Kalaunie? Doradzasz mi to samo?

– Tak, panie.

Bajbars milczał przez długą chwilę. Potem odwrócił się od okna.

– Niech więc tak będzie – rzekł twardo. – Przekaż Frankom moją zgodę. Dam im pokój. Na razie.

Tego wieczoru Bajbars opuścił cytadelę i udał się do miasta ubrany w ciemny płaszcz i turban. W dyskretnej odległości szło za nim dwóch gwardzistów; każdy z pochodnią.

Gdy dotarli na miejsce, kazał im poczekać i sam wszedł do szopy. Ostatnim razem spostrzegł tam ślady czyjejś bytności. Dzieci, domyślił się po namazanych węglem drzewnym rysunkach. Płatki

hibiskusa, gromadzące się za każdą jego wizytą w zetlałą kupkę, były rozrzucone. Dziś nie przyniósł jej kwiatu; ukląkł na suchej ziemi z pustymi rękami. Zamknął

oczy i ujrzał ją taką, jaka była wtedy, trzydzieści lat temu. Nie dotknęły jej starość ani wojna.

Już na zawsze miała szesnaście lat, gładką i jędrną skórę, lśniące kruczoczarne włosy. Rąbał

drewno w szopie, a ona się śmiała wychlapując wodę z wiadra na jego nagą pierś poznaczoną pręgami po ostatniej chłości. On także się śmiał, dopóki nie zobaczył cienia w drzwiach. Ich pan obserwował ich pewnie od dłuższej chwili.

Bajbars uniósł powieki, ale obraz pozostał: czerwony krzyż na białym płaszczu niczym piętno wypalone w oku. Podniósł palce do ust, potem przycisnął je do ziemi.

– Muszę trochę odpocząć, ukochana, nim dokończę to, co rozpocząłem. Jestem zmęczony. Jestem tak straszliwie zmęczony.

Kłęczał jeszcze przez chwilę, potem podniósł się i wyszedł.

– Spalcie to – rzucił do czekających na zewnątrz Bahridów.

Przystanął jeszcze, żeby zerwać kwiat z krzewu hibiskusa, i odszedł, nie oglądając się na rozgorzały za jego plecami pożar.

46

Dom macierzysty templariuszy w Akce

Piętnasty dzień maja roku Pańskiego 1272

Ewerard siedział przy pulpicie ostrząc czubek pióra małym nożykiem. Czoło miał zmarszczone, stare zawodne oczy wyteżone nad precyzyjną czynnością. Nawet nie podniósł głowy, kiedy Will wszedł do komnaty.

– Przyniosłeś?

Will położył na pulpicie przyniesiony woreczek. Ewerard wykonał zamaszyste cięcie i odłożył pióro. Rozwiązał mieszek i rozchylił fałdy miękkiej ciemnej skóry. We wpadającym przez okno słońcu zaśniły pysznym blaskiem różnobarwne kamienie: cynober, agat, malachit, lapis lazuli.

– Piękne. Inkaust przetrwa tysiąc lat. Jutro je sproszkuję. – Ewerard spojrział na Willa i ściągnął troki mieszka. – Dziękuję ci. Sam poszedłbym na targ, tylko... – Z trudem podniósł

się z ławy i zaniósł kamienie do almarii. – Ostatnio coraz mi ciężiej nawet wstać z łóżka.

– Chcę jechać do Cezarei.

– Co? – Ewerard obrócił się gwałtownie.

– Zawieźć traktat.

Ksiądz położył woreczek na półce i zamknął szafę.

– Skąd o tym wiesz? Nic jeszcze nie ogłoszono.

– Robert z Paryża ma jechać.

Ewerard potrząsnął głową.

– To bez różnicy, od kogo się dowiedziałeś. Nie ma mowy.

– Dlaczego? – Głos Willa brzmiał spokojnie, może nawet za spokojnie; staranie, by ukryć, jak bardzo mu zależy, wyprało go z wszelkiej barwy.

Starzec uniósł brwi.

– Przecież wiesz, dlaczego. Nasłałeś na tego człowieka asasynów!

– I właśnie dlatego chcę jechać.

– Bo za pierwszym razem ci się nie udało? – zadrwił ksiądz, lecz na twarzy odmalowała mu się troska. Machnął ręką, jakby chciał się pozbyć Willa wraz z całym problemem. – Zresztą skład poselstwa już jest ustalony.

– Możesz porozmawiać z księciem i skłonić go, żeby mnie włączył. Powiedz mu, że chcesz, żeby był tam członek Anima Templi. Jestem jednym z niewielu, którzy znają arabski

– dodał szybko Will, widząc, że ksiądz już zaczyna kręcić głową. – Chcę się zrehabilitować, Ewerardzie. Udowodnić ci, że deklarując swe zamiary owego dnia na wałach, mówiłem ze szczerego serca.

– Wiem, wiem – Ewerard znów zamachał rękami, tym razem na znak, że nie trzeba mu o tym mówić.

– To dlaczego używasz mnie jako chłopca na posyłki, zamiast przydzielić mi konkretne zadanie jak innym braciom?

Ewerard zerknął na niego, lecz nie odpowiedział.

– Bo mi nie ufasz – wyręczył go Will.

– To nieprawda.

– Prawda. I nawet cię nie winię. Ale minęło już sześć miesięcy! Mam ochotę pomóc, a tymczasem

siedzę i marnuję czas. Jeśli nie chcesz mnie w bractwie, zwolnij mnie, ale jeśli chcesz, pozwól, bym dowiódł swej przydatności. Zadośćuczynił za błędy, jeśli tak wolisz to nazwać.

Po chwili wahania ksiądz pokiwał głową. Serce podskoczyło w piersi Willa, lecz Ewerard rzekł:

– Istotnie odsuwałem cię od niektórych zadań z powodu twego czynu, lecz bynajmniej nie dlatego, by cię ukarać. Byłem po prostu ostrożny. Jadąc z poselstwem nie tylko staniesz naprzeciw człowiekowi, którego śmierci pragnąłeś tak mocno, że zdradziłeś wszystko i wszystkich, byle do niej doprowadzić. Będzie ci również grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. Sam wiesz, ilu posłów wysłaliśmy już do Bajbarsa i jak niewielu z nich wróciło. Sultán może poderżnąć wam wszystkim gardła i odesłać głowy w koszyku do Akki tylko po to, by nam dowieść, że nie zależy mu na rozejmie. – Ewerard usiadł z powrotem. – A choć od lat starasz się wpędzić mnie do grobu, Wilhelmie, mimo wszystko wolałbym, żeby twoja głowa pozostała tam, gdzie jest.

– Nie wierzę, by Bajbars tak postąpił. To byłoby niskie. A cokolwiek o nim mówić, Bajbars nie jest człowiekiem małostkowym. – W matowym głosie Willa pojawiła się błagalna nutka. – Nigdy nie prosiłem cię o nic dla siebie, Ewerardzie. Proszę teraz: pozwól mi tam jechać.

Ksiądz podniósł pióro i nożyk i odłożył je z westchnieniem irytacji.

– Obiecasz mi, że nie zrobisz nic głupiego? – Zanim Will zdążył odpowiedzieć, potrząsnął szybko głową. – Nie. Obietnica złożona mnie to za mało. Przysięgnij na pamięć swego ojca.

– Przysięgam, Ewerardzie. – Will wytrzymał jego spojrzenie. – Tym razem cię nie zawiodę.

Mimo to starzec długo się namyślał. W końcu skinął głową.

W stajni panowała duchota, przesiąknięte zapachem nawozu powietrze zdawało się lepić do ciała. Szymon ładował na wyzkę worki z cennym owsem. Co jakiś czas potrząsał

gwałtownie głową, żeby odpędzić dokuczliwe muchy, i wtedy z czoła i nosa spadały mu kropelki potu. Mięśnie go bolały, a ogorzałe od słońca policzki poczerwieniały jeszcze mocniej z wysiłku. Zrzucił worek, zszedł na dół i schylił się po stojący na ziemi kubek z wodą.

– Szymon?

Na dźwięk znajomego głosu wyprostował się tak raptownie, że uderzył głową o żłób i upuścił kubek, który pękł na dwoje. Zaklął, łapiąc się za ciemię.

W wejściu, obrzeżona białym słonecznym światłem, stała wysoka kobieta o miedzianozłotych włosach. Poznał ją po głosie, ale i tak przeżył wstrząs widząc ją we własnej osobie. Był to widok, którego przez ubiegłe cztery lata zarazem pragnął i się obawiał.

– Dostałam twój list – powiedziała. Miała na sobie ciemnoróżową suknię; wyglądała doroślej i poważniej.

– Nie sądziłem, że przyjedziesz.

– Ja z początku też nie. Ale zawsze chciałam zobaczyć Ziemię Świętą.

Szymon wytarł ręce w tunikę i podszedł z ociąganiem.

– Jak się tu dostałaś?

– Na statku kupieckim.

– Królowa się zgodziła?

– To ona nakłoniła mnie do wyjazdu. Kiedy ciało króla przywieziono do Paryża i pochowano u Świętego Dionizego, na dworze zapanowała żałoba. Wiele sług odeszło, bo nie mogło tam wytrzymać po jego śmierci. Ja postanowiłam zostać. Sama przeczytałam twój list.

– Elwina zarumieniła się lekko. – Potem go podarłam, ale kawałki schowałam, nie wiem dlaczego. – Wzruszyła ramionami. – Któregoś dnia znalazła je królowa i kazała sobie wytłumaczyć, co to wszystko znaczy.

Teraz Szymon oblał się rumieńcem na myśl, że królowa zna jego tajemnicę.

– Powiedziała, że powinnam jechać, że nie mogę marnować okazji, by odnaleźć miłość, bo za mało takich szans trafia się w życiu. Nie wiem, czy tu ją znajdę, bo Will złożył

śluby i nie może...

Urwała. Zielone oczy przyglądały mu się przez dłuższą chwilę.

– No cóż – dodała. – Chyba rozumiem, dlaczego postąpiłeś tak, jak postąpiłeś.

Szymon spuścił wzrok.

– Chcesz się z nim zobaczyć? – spytał cicho.

– Jest tutaj? Nie wiedziałam.. – Kobieta wciągnęła głęboki oddech i kiwnęła głową.

– Chyba tak. Tak – dodała z większym przekonaniem. – Tak, chcę. – Zerknęła przez ramię w stronę głównej bramy, gdzie kilku giermków stało na straży. – Ale nie powinnam zwracać na siebie uwagi. Wpuścili mnie przez furkę tylko dzięki temu, że podałam się za krewniaczkę wielkiego mistrza. – Zachichotała i Szymon ujrzał naraz tę samą psotną dziewczeczkę, która przed laty zakradła się na statek templariuszy.

– Słusznie. – Rozejrzał się po pustej stajni. Większość braci służebnych obiadowała w refektarzu, lecz lada chwila posiłek dobiegnie końca. Otworzył składzik, w którym przechowywano siodła, szmaty i wosk. – Jeśli chcesz, możesz schować się tutaj. Ja tym czasem poszukam Willa i... – Głos uwiązał mu w gardle, musiał odchrząknąć, żeby mówić dalej. – Przyrowadzę go tutaj.

Przestępował zmieszany z nogi na nogę, muskularne ramiona sztywno zwisały mu wzdłuż boków,

pięści miał zaciśnięte, oczy spuszczone; nie był zdolny spojrzeć jej w twarz.

Na jego obliczu toczyła się walka między tym, co mówił, a tym, co czuł. Patrząc na niego Elwina poczuła się jak złodziejka.

– Dziękuję ci – powiedziała cicho, mając nadzieję, że to wystarczy.

Will wyszedł z budynku i zobaczył Szymona spieszącego przez dziedziniec.

Koniuszy zerknął w jego stronę, zatrzymał się, uniósł nieco rękę. Ominęło go ze śmiechem czterech młodziutkich giermków; dziedziniec stopniowo zapełniał się mężczyznami i chłopcami, którzy wyszli z refektarza po skończonym posiłku. Kiedy chłopcy przebiegli, zwrócił uwagę na minę Szymona.

– Co się stało?

– Nic – odparł tamten prędko, przybierając obojętny wyraz twarzy.

Will uniósł brwi.

– Wyglądasz tak, jakby ktoś umarł.

Szymon mężnie próbował się uśmiechnąć.

– Nie, wszystko w porządku. Po prostu... no, po prostu zostałem trochę zaskoczony.

– Czym?

– Will!

Obejrzelisi się i zobaczyli Roberta. Jego jasne włosy związane na karku spłwiałały na słońcu tak, że prawie nie odróżniały się od płaszcza. Powitał Szymona skinieniem głowy i ujął Willa za ramię.

– Mówiłeś z Ewerardem?

– Tak.

– I co?

– Zgodził się iść do księcia.

– Świetnie. – Robert wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Zatem razem stawimy czoło Kuszy.

– Will... – Szymon pociągnął go za łokieć. – Mogę cię na chwilę prosić?

Will zerknął nań z roztargnieniem.

– A o co chodzi?

Szymon otworzył usta, zamknął je i potrząsnął głową.

– Najlepiej sam zobacz – rzekł i ruszył z powrotem.

– Chyba za długo pracował na słońcu – powiedział zdumiony Will do Roberta. –

Zaraz do ciebie przyjdę.

– Będę w zbrojowni.

– Czeka! – zawołał Will, idąc za koniuszym. Ten nawet nie zwolnił, maszerował wprost do stajen.

Kiedy wszedł do środka, Will przystanął w drzwiach.

– Szymonie – rzekł bez gniewu, lecz stanowczo. – Nie mam czasu na ciuciubabkę.

Powiedz wreszcie, o co ci chodzi.

– No nie bój się i wejdźże tu na chwilę! – zdenerwował się nagle Szymon. Twarz miał ukrytą w cieniu, niewiele się z niej dało wyczytać. Otworzył drzwi składziku i usunął się na bok. Zaniepokojony dziwnym zachowaniem przyjaciela Will westchnął, zrobił krok do przodu i zamarł.

Czekająca w składziku kobieta odwróciła się do niego. Cieniutkie smugi światła wpadały przez szpary w deskach, oplątując ją jakby złotą pajęczyną. Will poczuł suchość w ustach. Tysiące słów, które wybuchły mu naraz w głowie, zniknęły, nim zdążył je wykrzyknąć. W chaosie splątanych myśli pozostało tylko jedno; wypowiedział je nie swoim, dziwnie spokojnym głosem:

– Elwino... .

Uśmiechnęła się lekko.

– Witaj, Wilhelmie.

Zrobił kolejny krok. Nawet nie zauważył, że Szymon cicho zamknął za nim drzwi.

Zapadła cisza potężniejsza z każdą sekundą. Małe, przestrelone igłami słońca pomieszczenie pachnące skórą i koźmi zdawało się nadymać do rozmiarów świata. Uczucie było tak sugestywne, że Will poczuł zawrót głowy. W pewnej chwili zdał sobie sprawę, że odkąd wszedł, wstrzymuje oddech, wpatrzony w Elwinę. Poruszył się i spojrzał w bok.

Składzik skurczył się i znów nabrał ostrości.

– Jak się masz? – spytała, przyglądając mu się uważnie.

Potrząsnął głową.

– Dobrze. – Jeszcze raz potrząsnął głową i zerknął na nią. – A ty?

– Też dobrze.

– Słuchaj, nie chciałem wyjeżdżać w ten sposób – wypalił nagle. – W ogóle nie zamierzałem nic z tego, co się stało. Miało być inaczej, a... Wszystko poszło nie tak.

– To dlaczego wyjechałeś? – W jej lekkim dotąd tonie zabrzmiało oskarżenie. –

Dlaczego zadałeś się z tą... – urwała, odwróciła wzrok, a potem z wściekłością spojrzała mu w oczy. – Z tą dziewczką?

Will westchnął i potarł czoło.

– Pamiętasz tę księgę, na której zależało Ewerardowi?

– Tę, którą ukradłam z komnaty trubadura? Oczywiście.

– I pamiętasz może, że ją nam odebrano?

– Tak. Powiedziałeś mi o tym, kiedy spotkaliśmy się w zamku. Wtedy kiedy prosiłeś, żebym została twoją żoną.

Will wbił wzrok w polepę.

– Wieczorem, kiedy mieliśmy ruszyć w pościg, dostałem list z prośbą o spotkanie, podpisany twoim imieniem. Wysłał go Garen, ale poszedłem do tego... szynku przekonany, że spotkam się z tobą. Tam pojmał mnie człowiek, który chciał zdobyć księgę dla siebie. W

końcu wyciągnął ze mnie, co się z nią stało. Potem Garen napoił mnie jakimś wywarem i zostawili mnie tam.

– Garen? – Elwina gniewnie zmarszczyła czoło skonfundowana do reszty. List Szymona wyjaśniał niewiele poza tym, że skłamał, dobrze wiedząc, że Will został struty. – Po co miałyby to robić?

– Bo musiał. – Will potrząsnął głową. – Czy to ważne? Tamten już nie żyje, a Garen siedzi w lochu. Chodzi mi tylko o to, żebyś zrozumiała, że nie było w tym mojej woli.

– Jak to? To było prawie dziecko, a ty, mężczyzna, pozwoliłeś sobie...

– Pozwoliłem? – przerwał jej. Głos miał twardy, zimny. – Byłem nieprzytomny, w ogóle nie wiedziałem, co się wokół mnie dzieje. Do dziś niewiele pamiętam. – Ściągnął brwi, jakby usiłował sobie przypomnieć lub przeciwnie, zepchnąć tamte chwile głębiej w niepamięć. – Możliwe, że wziąłem ją za ciebie – dodał szorstko.

Pokiwała wolno głową.

– Jeśli to prawda, dlaczego mi tego nie powiedziałaś? Dlaczego zniknęłaś bez słowa?

– Oczy wypełniły jej się łzami i gwałtownie odwróciła głowę.

Will chciał do niej podejść, ale się nie ośmielił.

– Nazajutrz chciałem ci wszystko wyjaśnić, ale Ewerard zarządził wyjazd. Nie wiem, dlaczego go posłuchałem. Może jeszcze nie całkiem odzyskałem zmysły. Powiedział mi o Garenie i...

– Zapragnęłaś zemsty bardziej niż mnie – stwierdziła cicho.

– Chciałbym móc ci wyjaśnić, jak się wtedy czułem – rzekł Will powoli. –

Pozbawiony głosu, bezradny... zniewolony... Prześladowało mnie uczucie, że zostałem zbrukany, dotknięty czymś gorszym od trądu. Nie mogłem z tym żyć. W drodze zachorowałem i przez trzy miesiące leżałem w Orleanie bliski śmierci. Zanim wydobrałem, Garen był już w Ziemi Świętej. Szymon załatwił nam miejsca na statku i choć bardzo chciałem wrócić do ciebie, wiedziałem, że najpierw muszę zakończyć tę sprawę. Po to, by odzyskać władzę nad własnym życiem.

– Dlaczego nie napisałaś? – spytała po długiej chwili.

– Próbowałem. Zacząłem chyba setkę listów, lecz żadnego nie skończyłem. A czas płynął; potem powiedziałem sobie, że na pewno masz już męża i rodzinę i jesteś szczęśliwa.

Nie chciałem cię ranić ani zakłócać ci życia, o którym nic nie wiedziałem. Poza tym bałem się

– dokończył niezgrabnie i szepnął: – Byłem głupcem.

– Owszem. – Elwina zacisnęła usta i nagle się uśmiechnęła, całkiem go zaskakując. –

Pamiętasz, jak w dzieciństwie mówiliśmy o Ziemi Świętej?

Posępnie kiwnął głową. Uśmiech Elwiny stał się jeszcze bardziej promienny.

– Kiedy jako dziewczynka zamieszkałam w paryskim zamku, marzyłam, że przyjedziemy tu razem. W mgliste zimowe dni zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że stoimy na nagrzanym marmurowym balkonie złotego pałacu o ścianach i podłogach wysadzanych drogimi kamieniami, nad morzem tak błękitnym, że trudno to sobie wyobrazić.

– Elwina przymknęła oczy. – Ty miałeś na sobie piękny płaszcz i lśniąca zbroję, a ja białą jedwabną suknię. Brałeś mnie w ramiona i mówiłeś, że mnie kochasz. Przez lata usypiałam z tym marzeniem. – Rozpostarła ramiona, obejmując tym gestem ciasny śmierdzący składzik o polepie zasłanej słomą i ścianach obwieszonych pajęczynami. Otworzyła oczy i roześmiała się. Był to łagodny śmiech pozbawiony goryczy lub ironii.

Will spojrzał na nią czując, że i na jego ustach rodzi się uśmiech. Próbował go zdusić, lecz uśmiech rozlał mu się po twarzy i po chwili śmiał się wraz z nią. Potem choć niby żadne się nie poruszyło,

nagle trzymał ją w ramionach. Śmiali się i płakali, ściskając się kurczowo. W końcu odsunęli się od siebie zmieszani.

– Nawet nie wiem, jak się tu dostałaś – powiedział.

– To długa historia – odparła, ocierając oczy wierzchem dłoni. – Któregoś dnia ci ją opowiem. W skrócie: przyплыłam z pewnym weneckim kupcem.

– Masz się gdzie zatrzymać?

– Tak, w jego domu. – Elwina podchwyciła spojrzenie Willa i uśmiechnęła się. – To dostawca bławatów dla dworu w Paryżu. Na prośbę królowej Małgorzaty dał mi tu pracę i dach nad głową. Ma tkalnię w dzielnicy weneckiej. To dobry człowiek, a jego żona jest przemiłą kobietą. Mają trzy córki, które też bardzo lubię.

Z zewnątrz dobiegi głos dzwonu. Will obejrzał się.

– Chciałbym dłużej z tobą porozmawiać, ale...

– Wiem – wpadła mu w słowo. – Musisz iść. Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. Posłuchaj, Elwino: niebawem będę musiał wyjechać. Mam nadzieję, że tylko na parę dni. To dla mnie bardzo ważne. Przepraszam cię.

Poważnie skinęła głową.

– Kiedy wrócę – ciągnął – dokończymy tę rozmowę. – Spojrzał na swój płaszcz. –

Nie wiem, co... ani nawet czy...

Położyła mu palec na ustach.

– Nic nie mów. Nie musimy jeszcze o tym myśleć. Na razie wciąż się dziwię, że tu jestem. Ja też potrzebuję czasu.

Ruszyła do drzwi, lecz przystanęła, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Zobaczymy się po twoim powrocie.

Gdy wyszła, długo jeszcze stał w tym samym miejscu. Na policzku palił go ślad jej warg.

47

Dom macierzysty templariuszy w Akce

Dwudziesty dzień maja roku Pańskiego 1272

– Uważaj z tym. Podpis ledwie wysechł.

Will wziął z rąk księcia Edwarda skórzany rulon, w który opakowane były dokumenty. Włożył go do sakwy przy siodle i mocno zapiął pasek, czując brzemię odpowiedzialności. Stary kapelan załatwił mu więcej niż tylko udział w poselstwie: poprosił

księcia, aby to Will nim dowodził.

– Czy jesteś pewien, książę, że orszak jest dostatecznie liczny?

Edward odwrócił się do wielkiego mistrza joannitów.

– Nie wysyłamy ich na bitwę, mistrzu Hugonie.

– Tego nie możemy wiedzieć na pewno. Nawet jeśli Bajbars zamierza uszanować poselstwo, do Cezarei jest dwa dni drogi. Grasują po niej Beduini. Mogą napaść na mały oddział w nadziei na łup.

– To wątpliwe – rozległ się głęboki głos Tomasza Berarda, wielkiego mistrza Templum. – Poza tym, bracie – rzekł do Hugona z Revelu – nie chcemy urządzać demonstracji siły. Ostatecznie to jest traktat pokojowy.

Hugo z Revelu wydał usta, ale ustąpił, skinął krótko głową.

– Jestem tylko ostrożny, bracie. Nikt z nas nie chciałby, żeby stało się coś złego.

Wszyscy trzej spojrzeli na Willa. Ten skłonił głowę.

– I nic złego się nie stanie, panowie.

Obaj mistrzowie wydali się usatysfakcjonowani i wrócili do rozmowy z innymi dygnitarzami Akki, którzy przybyli usankcjonować swą obecnością odjazd poselstwa.

Książę Edward zatrzymał się nieco dłużej.

– Powodzenia, Campbell – rzekł po chwili milczenia, potem podszedł do trzech swoich rycerzy, którzy dosiadali już koni.

Jak dotąd Edward nie natrafił na żadne przeszkody. Propozycja rozejmu została przełknięta gładziej, niż ktokolwiek przypuszczał. Jemu również Garen zawdzięczał ratunek z lochu. Po czterech latach w celi został nagle zwolniony trzy dni temu. Przyszedł pożegnać się z Willem, blady i osowiały, nim boczną furką opuścił Templum na zawsze. Kiedy Will zapytał

Ewerarda, co skłoniło senesza do zmiany decyzji, ten odpowiedział krótko: „nasz Strażnik”.

Książę odwiedził Garena w lochu i najwyraźniej wzruszył go jego los. Dowiedziawszy się od członków Anima Templi o przyczynie uwięzienia rycerza, zaproponował, że zabierze go ze sobą do Anglii i zatrudni jako sekretarza w sprawach związanych z bractwem. Garen będzie miał dużo pracy i niewiele swobody, lecz przynajmniej wykorzysta swą wiedzę dla dobra Duszy Świątyni, zamiast gnić bezużytecznie w celi. Ewerard, którego i Will od dawna molestował o rewizję wyroku, po

namyśle ustąpił.

Ale choć Will nie miał powodu wątpić w motywy księcia, Edward wciąż napełniał go niepokojem jak ledwie uchwytny zapach dymu w lesie albo dziwaczny cień na ścianie.

– Wilhelmie.

Obrócił się. Utykając bardziej niż zwykle podszedł do niego Ewerard, mimo upału otulony w płaszcz i kaptur.

– Pilnuj tego – powiedział, wskazując sakwę.

– Bez obaw.

– Wieziesz nadzieje nas wszystkich.

Will ze zdumieniem dostrzegł łzy w przekrwionych oczach księdza. Na pomarszczonej twarzy malował się lęk.

– Może powinienem jechać z wami? – bąknął starzec, przyglądając się zebranym na dziedzińcu rycerzom, którzy wiązali do sodeł bukłaki, poprawiali hełmy i miecze. Oprócz angielskich rycerzy księcia do Cezarei jechało sześciu templariuszy, czterech joannitów i trzech Krzyżaków. Wbrew zapewnieniom reprezentacyjny skład poselstwa był demonstracją siły, a przede wszystkim jedności – mieli przemawiać w imieniu całego chrześcijaństwa.

– Ewerardzie – rzekł Will z naciskiem – dopilnuję, żeby traktat trafił do rąk sułtana.

Obiecuję ci to.

Twarz księdza zmarszczyła się w uśmiechu.

– Wiem, Wilhelmie, wiem.

Will dosiadł konia i podjechał do grupki templariuszy, w której Robert gawędził z Szymonem. Koniuszy też uśmiechnął się na jego widok.

– Trzymaj. – Podał mu bukłak.

– Mam już jeden... ale drugi nie zawadzi – dodał szybko, widząc zakłopotanie dawnego druha.

Szymon zasadził kciuki za pas i sapnął.

– No – rzekł sztywno. – To powodzenia.

Will parsknął i przewrócił oczyma.

– Dlaczego wszyscy zachowują się tak, jakbyśmy mieli już nie wrócić? – rzekł do Roberta. – To nie

napawa otuchą.

– Wcale nie miałem tego na myśli! – zaprotestował Szymon.

Teraz i Will się uśmiechał.

– Zobaczymy się za kilka dni.

Cezarea

Dwudziesty drugi dzień maja roku Pańskiego 1272

Cezarea umarła. Na ulicach leżał gruz ze zwalonych budynków, wysokie luki katedry wznosiły się w niebo i urywały raptownie, zaś kopuła, którą niegdyś podtrzymywały, znikła. Piach zawiął puste ulice, kolumnady i wnętrza domów, pokrywając wszystko warstwą szarego pyłu.

Bajbars, patrząc ze wzgórza na własne dzieło, poczuł, że pustka zniszczonego miasta działa mu na nerwy. Obrócił się do Kalauna.

– Rozbijemy obóz w mieście. Wyślij zwiadowców, niech sprawdzą, czy przybyliśmy pierwsi. Postaw strażę u wylotów ulic. Kiedy tamci przybędą, otoczcie ich.

– Tak jest, panie.

– Kalaunie?

– Słucham?

Bajbars z trudem oderwał wzrok od ruin.

– Wyjedź na spotkanie poselstwa. Dowódcę przyprowadź do mnie, samego.

Pozostałych niech zatrzyma gwardia. – Jego głos stwardniał. – Musimy być ostrożni.

Władztwo Franków na tych ziemiach już kona. Jeszcze jeden cios, a pozbędziemy się ich na dobre. Ale zwierzę w potrzasku bywa niebezpieczne. Mogą wykorzystać to jako kolejną okazję, by uderzyć bezpośrednio we mnie. – Oczy mu błysnęły na wspomnienie zamachu. –

Postaraj się, żeby do tego nie doszło.

Do miasta dotarli późnym popołudniem. Słońce oblewało postrzępione dachy bursztynowym blaskiem, a tuż za murami wzdychało morze, nieustannie objając się o brzeg.

W górze krążyły ptaki spłoszone niespodziewanym najazdem rycerzy. Ludzie milczeli. Kiedy wjeżdżali pomiędzy skruszone mury, dźwięk podków brzmiał zbyt głośno, wręcz bluźnierczo w panującej ciszy. Will czuł się jak w kościele lub grobowcu, gdzie szmer ludzkich głosów zdaje się świętokradztwem.

– Tu będziemy mówić o pokoju? – mruknął Robert.

Will nie odpowiedział. Cezarea wydała mu się idealnym miejscem do podpisania traktatu. „Tak jest... ” – mówiły ruiny. A zwój pergaminu w sakwie odpowiadał: – „Tak może być... ”.

– Nie jesteśmy sami – rzeki cicho jeden z rycerzy Edwarda.

Kątem oka Will złowił błysk złoci. W przerwie między dwoma zburzonymi domami siedział na bojowym koniu mamelucki jeździec w barwach gwardii sułtańskiej, patrząc na nich beznamiętnie. Minęli go powoli. Po kilku chwilach Will obejrzał się przez ramię.

Bahrida wyłonił się spomiędzy budynków. Dołączyło do niego czterech innych, którzy wyjechali z uliczki naprzeciw. Poczul dreszczyk lęku.

– Tam – mruknął Robert, ruchem głowy wskazując dach pobliskiego domu.

Stał na nim wojownik z napiętym łukiem w dłoni. Czubek grotu odprowadził

przejeżdżających dołem posłów. Dobiegi ich chrzęst kopyt na rumoszu i z bocznej uliczki wyłoniło się jeszcze dwóch mameluków.

– Co oni wyprawiają? – warknął któryś joannita, zaciskając mocno dłoń na rękojeści miecza.

– Zaganiają nas – mruknął w odpowiedzi jeden z templariuszy. Czterech następnych ukazało się naprzeciw, blokując im drogę.

Rycerze ścieśnili szyk. Większość dobyła już broni, lecz Arabowie nie czynili żadnych wrogich gestów; po prostu obserwowali zbliżających się posłów.

– Chyba kierują nas tędy – odezwał się Will, kiedy dojechali do skrzyżowania.

Na lewo szeroka, zasłana gruzem ulica biegła w dół do katedry, której ogołoczone łuki zabarwiło czerwieni słońce zanurzające się już z wolna w ciemnym morzu. Wewnątrz szkieletu katedry rozbity został obóz. Można było dostrzec konie, wozy i co najmniej setkę ludzi krzątających się w plamach światła rzucanego przez pochodnie. Will skręcił koniem w pustą ulicę. Pozostali poszli za jego przykładem. Mamelucy ruszyli za nimi.

Will czuł napięcie i niepokój, odkąd dowiedział się, że stanie na czele poselstwa. To uczucie towarzyszyło mu do chwili, gdy grupa opuściła bezpieczne mury Akki. Co dziwne, kiedy znaleźli się na terytorium wroga, strach go opuścił. Will rozkoszował się drogą, ruchem, działaniem zbliżającym go do konkretnego i ważkiego celu. Miał też czas na rozmyślenia o Elwinie, a te skryte, wyzbyte pośpiechu myśli odwracały jego uwagę od końca podróży. Teraz jednak w posępnej atmosferze umarłego miasta, gdzie krzyczały ptaki, a ludzie milczeli, czuł narastające poczucie zagrożenia, osaczające grupkę rycerzy ze wszystkich stron.

Przypomniał sobie ostrzeżenia Ewerarda, które z takim zadufaniem zlekceważył.

Pomyślał o Elwinie i postanowił, że cokolwiek zdarzy się dzisiaj, on przeżyje. Ale kiedy mameluky odcięli im odwrót, a dystans między poselstwem a licznym oddziałem zbrojnych oczekujących we wnętrzu katedry zmniejszył się, jego własny umysł wydrwił tę decyzję jako naiwną mrzonkę.

Na spotkanie wyjechała grupa siedmiu jeźdźców. Przewodził im wysoki mężczyzna, wielmoża sądząc po szacie i zbroi. Zatrzymali się nieopodal.

Dowódca zsiadł z konia i ruszył w ich stronę.

– No to jesteśmy w pułapce – rzekł któryś z templariuszy, zerkając przez ramię na szereg mameluków, stojący nieledwie tuż za ich plecami.

Robert zeskoczył z siodła. Will także zsiadł i otworzył sakwę.

– *As Salam aleikum!* – zawołał do niego Will, mając nadzieję, że lata tłumaczenia arabskich traktatów dały mu dostateczną znajomość języka. – Nazywam się Wilhelm Campbell. Przybyłem na spotkanie z sułtanem Bajbarsem z upoważnienia księcia Anglii Edwarda i rządu Akki.

Wysoki mężczyzna uśmiechnął się, słysząc jego wymowę, ale był to uśmiech raczej dobroduszny niż szyderczy.

– *Ua aleikum as Salam, Wilhelmie Campbellu* – rzekł powoli i wyraźnie, żeby Will go rozumiał. – Jestem emir Kalaun. Czy masz ze sobą traktat?

Kiedy Will nie odpowiedział, ściągnął brwi i powtórzył pytanie jeszcze raz.

– Tak, mam – odparł Will, przyglądając mu się zachłannie.

– Chodź ze mną. Twoi ludzie mogą zaczekać tutaj.

– Co on mówi? – spytał jeden z angielskich rycerzy.

Przetłumaczył. Robert potrząsnął głową.

– Nie. Powiedz mu, że się na to nie godzimy. Musimy iść z tobą.

Will nie odrywał oczu od Kalauna. Mamelucki dowódca, choć imponującej postury, roztaczał wokół aurę spokoju, a w jego ciemnych oczach błyszczała wyrafinowana inteligencja. Dyplomata w ciele wojownika, pomyślał Will. Interesujące połączenie.

– Pójdę sam – odezwał się do Roberta. – Chyba nie mamy wyboru.

Kiedy się zbliżył, Kalaun podniósł rękę.

– Miecz musisz zostawić tutaj.

Will zawahał się, potem odpiął pas i położył falcjon na ziemi.

– Podejdz do mnie – rzekł spokojnie Kalaun – i podnieś ręce. – Poklepał go po biodrach i bokach sprawdzając, czy nie ma ukrytej broni.

– Znałeś mojego ojca – rzekł cicho Will, kiedy Kalaun obmacywał mu rękawy. –

Nazywał się Jakub Campbell. Ewerard z Troyes mówił mi o tobie.

Obejmująca jego nadgarstek dłoń zastygła na ułamek sekundy. Mężczyzna prędkim spojrzeniem obrzucił wartowników, ale byli za daleko, żeby ich słyszeć.

– Trudno powiedzieć że go znalazem – mruknął, zabierając się za drugi rękaw. – Nigdy nie spotkaliśmy się twarzą w twarz; mógłbym to przyplacić życiem. Ale miałem uczucie, że się rozumiemy.

– Idę jego śladem – szepnął Will.

– Zatem być może jeszcze się spotkamy, Wilhelmie Campbellu. – Kalaun cofnął się.

– Na razie zaś zanieśmy traktat sułtanowi. – Przystanął i rzekł półgłosem: – Bądź ostrożny.

Sułtan Bajbars nie miłuje Franków, a zwłaszcza waszego zakonu. Nie ufa nikomu po zamachu, jakiego asasyni próbowali dokonać na jego życie. Uważa, że działali z poduszczenia Franków. Nie czyn żadnych gwałtownych ruchów i odzywaj się tylko, kiedy cię zapyta. Gwardziści mają rozkaz cię zabić, jeśli wzbudzisz ich podejrzenia.

Czując, jak trzewia pali mu niepokój, Will ruszył za Kalaunem długą ulicą ku oświetlonemu obozowisku, mijając rzesze wojowników i zatknięte na włóczniach proporce zdobione półksiężycami i gwiazdami. Czerwony krzyż na jego płaszczu zdawał się gorzeć jak latarnia, przykuwając wszystkie spojrzenia. Miał uczucie, że zanadto odcina się od tła.

W dawnym chórze, z którego tylko został potrzaskany kamienny fundament, stał tron z podłokietnikami w kształcie lwich łbów wykutych z litego złota. Prowadziły do niego kruszące się stopnie. W dwu ocalałych ścianach osłaniających chór świeciły wielkie szczeliny, przez które widać było morze. Na tronie, wyniosły i wspaniałe w szatach z połocistej materii i zdobnej lśniącej zbroi, siedział Bajbars Bunduktari zwany Kuszą, sułtan Egiptu i Syrii, zabójca Franków.

Kiedy zbliżyli się do podwyższenia, dał się słyszeć syk. Will ujrzał obdartusa o zasnutych białą oczach skulonego przy stopniach, który patrzył na niego obnażając zęby. Z

tyłu stało pięciu gwardzistów trzymających wycelowane w niego kusze.

– Możesz podejść do sułtana – odezwał się obok niego Kalaun.

Will drgnął i ruszył naprzód, pochyliwszy z szacunkiem głowę. Serce waliło mu pospiesznie. Wszedł na stopnie, skłonił się i podniósł wzrok.

Przeszło go ostre spojrzenie błękitnych oczu, z których jedno miało dziwaczną skazę w kształcie gwiazdki. Kiedy patrzył w te oczy, głos w jego głowie zaczął nucić: *On zabił ci ojca, ty próbowałeś*

zabić jego. Słowa zabrzmiały tak wyraźnie, że przez jedną straszną chwilę Will przeraził się, że wypowiedział je na głos.

Znajdował się o krok od człowieka, który skazał na śmierć jego ojca; od człowieka, którego nie udało się zabić asasynom. Wyobraził sobie, że chwyta go za gardło i dusi.

Wiedział, że padłby przeszyty bełtami z kusz, zanim nawet zdołałby dotknąć sułtana, ale nie to go powstrzymało. Wyobrażona scena wzbudziła w nim niesmak. Coś, o czym obsesyjnie marzył jeszcze w zeszłym roku, teraz wydawało mu się podłe, niehonorowe. Jego żądza zemsty umarła ostatecznie. Uświadomienie sobie tego zaskoczyło go.

Wszystko przemknęło mu przez głowę w jednej chwili. Pochylił się lekko, wyciągając przed siebie traktat. Sułtan nie zareagował. Will cofnął rękę.

Przyjrząwszy mu się bacznie, Bajbars w końcu przemówił głębokim, dźwięcznym głosem:

– Jak cię zwa, chrześcijaninie?

– Wilhelm Campbell.

Czas dłużył się, wypełniony rytmicznym poszumem nadbiegających i cofających się fal.

– Czy masz dla mnie pismo, Wilhelmie Campbellu?

Czując, że wszystkie oczy w katedrze skierowane są na niego, Will podał mu zwój.

Ich dłonie zetknęły się na moment. Sułtan otworzył pokrowiec i wytrząsnął z niego dwa zwinięte pergaminy. Przejrzał je z uwagą, potem gestem wezwał mężczyznę w zielonej jedwabnej szacie i spiętym drogocenną broszą turbanie, który stał z boku wraz z grupą podobnie odzianych ludzi. Will domyślił się, że byli to doradcy sułtana. Mężczyzna podszedł, wziął pergaminy, przeczytał je i oddał Bajbarsowi z potwierdzającym skinieniem głowy. Do przodu wystąpił inny, ze szklaną tacą, na której była mała fiołka i pióro. Will czekał. Sułtan podpisał arkusze, potem wręczył mu jeden wraz z pokrowcem.

I tak oto został zawarty rozejm mający trwać dziesięć lat, dziesięć miesięcy, dziesięć dni i dziesięć godzin, przyznający Frankom prawo do ziemi pozostającej w ich rękach i użytkowania szlaku pielgrzymkowego do Nazaretu.

Wszyscy wyraźnie się odprężyli. Bajbars oparł się na tronie, a Will wsunął pergamin do oprawki.

– Chodź – posłyszał za sobą głos Kalauna. – Odprowadzę cię do twoich ludzi.

Will nie poruszył się, stał nadal patrząc na sułtana. Poczul ostrzegawcze dotknięcie dłoni emira na ramieniu. Kuszownicy unieśli nieco broń.

Bajbars pochylił się naprzód i podejrzliwie zmrużył oczy.

– Najdostojniejszy sułtanie! – rzekł pospiesznie Will – Proszę cię, abym za twoim pozwoleniem mógł udać się do Safedu. Mój ojciec zginął tam w czasie oblężenia. Chciałbym go pochować i oddać mu należną cześć. Wiem, że nie mam prawa tego żądać, a ty nie masz powodu, by się zgodzić, ale... – zająknął się, tracąc rezon; trudno mu było formułować myśli w obcej mowie, język także zacinał się na obcych głoskach. – ... Ale musiałem cię o to poprosić – dokończył.

Kątem oka zauważył, że strażnicy i doradcy wymieniają spojrzenia, w których zaskoczenie mieszało się z rozbawieniem i pogardą. Stojący obok Kalaun zeszywniał.

Bajbars przyjrzał mu się z zaciekawieniem. Potem skinął głową.

– Zgadzam się – rzekł wśród ciszy. – Ale pojedziesz sam, bez swoich ludzi. Dam ci własną eskortę.

Nie spuszczać oczu z Willa, skinął na dwóch kuszników, którzy opuścili broń i wystąpili do przodu.

– Zabierzecie go do Safedu – rzekł – a potem odprowadzicie z powrotem do Akki.

– Dziękuję. – Will skłonił się nisko.

– Na tym koniec. – Bajbars oparł się głębiej i położył dłonie na lwich poręczach tronu. – Możesz odejść.

Will zszedł ze stopni i wyszedł z katedry. Całe ciało drżało mu z napięcia.

– To nie było rozsądne – powiedział cicho Kalaun, gdy zbliżyli się do czekającego orszaku. Wyznaczeni przez Sułtana kusznicy szli za nimi.

– Musiałem – powtórzył Will, schylając się po leżący na ziemi tasak.

– Rozumiem. – Kalaun skłonił lekko głowę. – Pokój z tobą, Wilhelmie Campbellu.

– I z tobą.

Emir obrócił się i odszedł.

– Podpisał? – Robert przypadł do Willa.

– Podpisał. Musicie teraz dowieźć traktat bezpiecznie do Akki.

– A ty? – Rycerz ściągnął brwi. – Gdzie się wybierasz?

Will uśmiechnął się, wręczając mu rulon.

– Sprawić, by pewien duch mógł wreszcie spocząć w pokoju.

POSŁOWIE

Od chwili gdy przed pięcioma laty przyszedł mi do głowy pomysł na tę książkę, wiedziałam, że chcę przedstawić dzieje krucjat oglądane zarówno ze Wschodu, jak z Zachodu. Fascynowali mnie prawdziwi ludzie tworzący legendę templariuszy, lecz nie mniej urzekła mnie niezwykła kariera mameluckiego wojownika Bajbarsa, który do dziś dnia na Bliskim Wschodzie uważany jest za bohatera.

Pisząc, starałam się być wierna faktom, postaciom i klimatowi epoki – jak tylko to było możliwe bez szkody dla fabuły i tempa akcji. Niektóre sceny zatem mają źródło w historii, inne w wyobraźni, a inne po trosze w jednym i drugim. Bitwy pod Ajn Dżalud, w Safedzie i Antiochii przypuszczalnie odbyły się mniej więcej tak, jak to opisałam. Anima Templi to mój własny wynalazek, choć napisaną przez Ewerarda Księgę Graala oparłam luźno na pełnym nieortodoksyjnych wątków anonimowym trzynastowiecznym romansie zatytułowanym *Perlesvaus*, którego autorem miał rzekomo być templariusz. Podobnie potyczka w Honfleur jest fikcją, ale król Henryk III naprawdę musiał zastawić u zakonu swe klejnoty koronne, ponieważ nie był w stanie spłacić długów.

Szczegóły historyczne czerpałam z ponad stu różnych źródeł, w większości ściśle naukowych. Niektóre puszczały nieco wodze fantazji, inne można by uznać za kontrowersyjne, wszystkie jednak były niezmiernie pouczające. Najważniejsze zasługują na wymienienie, były bowiem bezcenną skarbnicą wiedzy dla mnie i będą nią dla każdego, kto zechce się wgłębić w tę niewiarygodną epokę, po której powierzchni ja ledwie się prześliznęłam. Dzieła te to oszałamiające trzynomowe *Dzieje wypraw krzyżowych* Stevena Runcimana; *Templariusze* Piersa Paula Reada; *Rycerze templariusze* Helen Nicholson; *The Wars of the Crusades* Terence'a Wise'a; *Wyprawy krzyżowe* Malcolma Billingsa; *The Trial of the Templars* Malcolma Barbera oraz *History of Medieval Life: A Guide to Life from 1000 to 1500 AD* Davida Nicolle'a.

W oryginalnym wydaniu książki umieściłam fragment *Pieśni o Rolandzie* w przekładzie Dorothy L. Sayers oraz wyjęte z książki Malcolma Barbera dwa cytaty ze świętego Bernarda z Clairvaux. Tam też znalazłam przekład relacji naocznego świadka z ceremonii ślubów zakonnych w Templum, który był mi nieocenioną pomocą, gdy tworzyłam własny obraz inicjacji w zakonie.

Robyn Young, sierpień 2005.

SŁOWNICZEK

Akka (także: Akra, Saint-Jean d'Acre), starożytna osada fenicka na wybrzeżu Morza Śródziemnego, w czasach rzymskich zwana Ptolemaidą. Zdobyta w 640 r. przez Arabów, w 1192 r. – przez krzyżowców; główny port nowo powstałego Królestwa Jerozolimskiego.

Początkowo pod władzą króla, po ostatecznej utracie Jerozolimy i upadku lokalnej władzy królewskiej rządzona przez miejscową oligarchię.

Asasyni, skrajna szyicka sekta isma'ilitów, założona w Persji pod koniec XI wieku, rozprzestrzeniła się także w Libanie i Syrii. Pod wodzą Sinana, zwanego „Starcem z Gór”, doszła do wielkiej potęgi. Wyniszczona w XII w., a jej zamki i ziemie zostały wchłonięte przez mamelucki sułtanat Egiptu.

Ajjubidzi, dynastia sunnicka pochodzenia kurdyjskiego, panująca 1171–1250 w Egipcie i Syrii, do

1222 w Jemenie. Jej założycielem i najwybitniejszym władcą był Saladyn.

Za czasów tej dynastii stworzono niewolniczą armię mameluków. Ostatni z linii, Turanszach, został zamordowany przez mameluckiego dowódcę Bajbarsa.

Bernard z Clairvaux (1090– 1153), święty, filozof i mistyk, reformator życia zakonnego, założyciel klasztoru Clairvaux we Francji, inicjator II krucjaty. Wspierał twórców zakonu templariuszy i był współautorem jego reguły.

Dominikanie, Zakon Braci Kaznodziejów, założony przez Dominika Guzmana, i zatwierdzony w 1216 r. zakon powołany do głoszenia słowa Bożego i promowania ewangelicznego ubóstwa w połączeniu z głęboką wiedzą teologiczną. Wykorzystany przez Kościół do wykorzenia herezji katarów, w 1233 r. zakon otrzymał od papieża oficjalne zadanie walki z herezją; mianowano inkwizytorów, którym ok. 1252 r. przyznano prawo stosowania tortur dla wymuszania zeznań. Dominikanie stworzyli tron nowo powstałej instytucji znanej później pod nazwą Inkwizycji.

Dżihad, (z arab. : zmaganie, walka) oznacza zarówno duchowe dążenia muzułmanina, jak i ciężący na nim obowiązek nawracania niewiernych, krzewienia i obrony islamu na drodze pokojowej, a także zbrojnej.

Emir, początkowo zarezerwowany dla potomków Mahometa tytuł wysokich arabskich dowódców wojskowych, później także władców.

Graal, tajemniczy przedmiot identyfikowany zwykle z naczyniem z Ostatniej Wieczerzy, do którego Józef z Arymatei zebrał krew z przebitego boku Jezusa. Wokół Graala osnuty został cykl średniowiecznych romansów, wykorzystujących również wątki przedchrześcijańskiej mitologii, rozpoczęty *Józefem z Arymatei* Roberta z Borron w końcu XII w. i rozślawiony arturiańskim cyklem Chretien z Troyes, który wywarł wpływ na późniejszych twórców, takich jak Malory i Tennyson. Niezmiernie popularny także w wieku XIII, z którego pochodzi słynny *Parzival* Wolframa z Eschenbachu, będący inspiracją dla Wagnera.

Joannici (zwani też szpitalnikami), Zakon Świętego Jana Chrzciela Szpitala Jerozolimskiego, założony w końcu XI w. przez Gerarda z Martigues przy szpitalu Św. Jana w Jerozolimie, zatwierdzony w 1113 r. , początkowo zajmował się pieczą nad chorymi pielgrzymami, po zwycięstwie pierwszej krucjaty przyjął także funkcje zakonu rycerskiego.

Rekrutując rycerzy, nabywając ziemie i budując zamki dorównał potęgą i znaczeniem zakonowi templariuszy, z którym często rywalizował. Podobnie jak templariusze, joannici mieli sieć komandorii w całej Europie (także w Polsce); organizowali pierwsze europejskie szpitale. Po upadku Królestwa Jerozolimskiego Zakon Świętego Jana przeniósł się na Cypr, później Rodos, a w 1530 r. osiedlił się na Malcie, od której pochodzi ich zwyczajowa nazwa kawalerów maltańskich.

Kalif, tytuł następców Mahometa, świeckich i religijnych przywódców społeczności muzułmańskich. Kalifat został ostatecznie zniesiony przez republikański rząd Turcji w 1924 r.

Klerk, w średniowieczu uczonec lub student, także urzędnik duchowny lub świecki.

Królestwo Jerozolimskie, państwo łacińskie utworzone w 1099 r. po zdobyciu Jerozolimy przez pierwszą wyprawę krzyżową. Jego pierwszym władcą został francuski hrabia Gotfryd z Bouillon. Jerozolima będąca stolicą królestwa, w ciągu następnych dwustu lat kilkakrotnie przechodziła z rąk do rąk; została ostatecznie utracona w 1244 r. Ośrodek władzy przeniósł się wtedy do Akki. W skład chrześcijańskiej federacji na Bliskim Wschodzie wchodziły również: Księstwo Antiochii podbite przez Bajbarsa w 1268 r. , Hrabstwo Trypolisu (upadło w 1289 r.) oraz Hrabstwo Edessy zdobyte w 1144 r. przez Seldżuków pod wodzą Zengiego. Akka, ostatnia stolica krzyżowców, padła w 1291 r. i tę datę przyjmuje się jako koniec Królestwa Jerozolimskiego i chrześcijańskiego władztwa w Ziemi Świętej.

Krucjaty, wyprawy krzyżowe, ruch mający na celu zaprowadzenie chrześcijańskiego władztwa w Ziemi Świętej, zapoczątkowany w 1095 r. przez papieża Urbana II na synodzie w Clermont; mający jednak prócz religijnego także podłoże gospodarcze i polityczne. Wezwanie do krucjaty było odpowiedzią na apel cesarza Bizancjum, nękanego przez seldżuckich Turków, którzy w 1071 r. zdobyli Jerozolimę.

Schizma z 1054 r. rozdzieliła Kościoły wschodni i zachodni; Urban miał nadzieję na ponowne ich zjednoczenie i zapewnienie chrześcijaństwu władzy na Bliskim Wschodzie. Cel ten został

w pewnej mierze i na krótko osiągnięty wskutek czwartej krucjaty w 1204 r. W ciągu dwóch stuleci do Ziemi Świętej wyruszyło siedem zbrojnych wypraw (jeśli zaś doliczyć krucjaty ludowe, dziecięcą i misję Fryderyka II – jedenaście).

Krzyżacy, Zakon Szpitala Najświętszej Panny Marii Domu Niemieckiego w Jerozolimie, założony ok. 1190 r. przez mieszczan z Bremy i Lubeki przy szpitalu, od którego wziął nazwę. Zatwierdzony w 1198 r. jako zakon rycerski, w Ziemi Świętej miał w swej pieczy tereny położone na północny wschód od Akki. Z czasem zyskał większe wpływy niż templariusze i joannici; wśród licznych nadań w Europie wypada wspomnieć ziemię chełmińską przyznaną przez Konrada Mazowieckiego, z której zakon rozpoczął podbój Prus.

Po upadku Królestwa Jerozolimskiego i krótkim epizodzie na Węgrzech stolicą krzyżacką stał się zbudowany po 1274 r. Malbork.

Madrasa, teologiczna szkoła muzułmańska, w której nauczano Koranu, prawa i języka arabskiego.

Mamelucy (z arab. „niewolnik”), oddziały wojskowe złożone z niewolników głównie tureckiego pochodzenia, którzy od ok. IX wieku stanowili gwardię przyboczną sułtanów Egiptu. Znani w swoich czasach jako „templariusze islamu”, w roku 1250 przejęli władzę po obaleniu dynastii Ajjubidów w osobie Turanszacha, bratanka Saladyna. Pod rządami Bajbarsa sułtanat Egiptu objął także Syrię i doprowadził do ostatecznego wyrugowania Franków z Ziemi Świętej. Mameluckie dynastie panowały w Egipcie aż do jego podboju przez Turków osmańskich w 1517 r.

Mongolowie, związek koczowniczych plemion azjatyckiego stepu, zjednoczony pod koniec XII w. przez Temudżyna zwanego później Czyngis-chanem. Ze stolicy u stóp Karakorum przeprowadził on serię podbojów, dzięki którym stworzył potężne mocarstwo sięgające od współczesnych Chin i

Korei po Rosję. Po śmierci Czyngis-chana imperium podzielono na pięć mniejszych ord, których losy z czasem potoczyły się już oddzielnie. Jedną z nich, Złota Orda przez dwieście lat nękała wschodnią i środkową Europę (tzw. najazdy tatarskie). Tamę Ordzie Perskiej położyło dopiero zwycięstwo Kutuza pod Ajn Dżalud.

Mistrz, przywódca zakonu rycerskiego. Wielki mistrz templariuszy wybierany był dożywotnio przez radę najwyższych rangą rycerzy zakonu i do końca epoki krucjat rezydował w Palestynie. Jego zastępcą był seneszał. Trzeci w hierarchii marszałek odpowiedzialny był za dyscyplinę, zaopatrzenie w żywność, broń i wierzchowce; w bitwie osobiście prowadził wojsko niosąc sztandar. Począwszy od XIII w. zwierzchnikiem wszystkich jednostek zakonu templariuszy w Europie był mistrz noszący tytuł wizytatora.

Ogień grecki, mieszanka smoły, czarnego prochu i ropy naftowej, używana w czasie działań wojennych do podpalania statków i umocnień.

Preceptorium, termin używany najczęściej dla określenia głównej siedziby zakonu w danej prowincji. Mniejszymi jednostkami były komandorie (komturie). Każda taka posiadłość oprócz budynków klasztornych obejmowała zwykle również ziemie i folwarki.

Reguła zakonu templariuszy została spisana w 1129 r. z pomocą Bernarda z Clairvaux i zatwierdzona na synodzie w Troyes. Określała szczegółowo tryb życia i obowiązki braci – zarówno zakonne, jak i wojskowe. Rozbudowywana i redagowana z biegiem czasu, w XIII wieku miała już około sześciuset punktów.

Ryszard Lwie Serce (1157– 1199) panował w Anglii od 1189 do swojej śmierci w 1199 r. , choć większość tego czasu spędził poza krajem. Wraz z Fryderykiem Barbarossą i królem Francji Filipem II poprowadził trzecią krucjatę, by odbić Jerozolimę z rąk Saladyna.

Saladyn, właściwie **Sóalahó ad-Din** (1138-1193), Kurd z pochodzenia, sunnita, w 1171 r. wyszedłszy zwycięsko z walk o władzę ogłosił się sułtanem Egiptu. W 1187 r. zadał

krzyżowcom miazdzącą klęskę pod Hittinem i odzyskał większość ziem zdobytych przez pierwszą krucjatę. Doprowadziło to do podjęcia trzeciej wyprawy krzyżowej, w której stanął

naprzeciw Ryszarda Lwie Serce. Państwo Saladyna rozciągało się od Sudanu przez Egipt, Półwysep Arabski, aż po Irak i Turcję. Będąc bohaterem muzułmańskiego Wschodu Saladyn także w Europie zyskał sławę wodza mężnego, honorowego i rycerskiego.

Szyici i sunnici, dwie gałęzie islamu powstałe wskutek rozłamu po śmierci Mahometa i niezgody, kto ma być jego następcą. Sunnicka większość uznawszy, że nikt nie może się równać z Prorokiem, przyznała zwierzchnictwo nad społecznością muzułmańską obieralnym kalifom. Pierwsi czterej kalifowie po Mahomecie otoczeni są szczególną czcią, a ich słowa i czyny legły u podstaw prawa

zwyczajowego (*sunna*), którego przestrzegać winni wszyscy muzułmanie. Szyici za swego zwierzchnika uważają imama pochodzącego z rodu Alego, zięcia Mahometa. Ali był czwartym kalifem i tylko jego szyici otaczają czcią, odrzucając pierwszych trzech, a także tradycję sunny.

Templariusze, Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona, założony ok. 1119 r. przez Hugona z Payns, który udał się do Jerozolimy w towarzystwie ośmiu francuskich rycerzy, nazwę wziął od świątyni Salomona, w której miał swą pierwszą siedzibę.

Zatwierdzony w 1128 r. na synodzie w Troyes, przestrzegał zarówno reguły zakonnej, jak i kodeksu wojskowego. Pierwotnym zadaniem była ochrona pielgrzymów w Ziemi Świętej, wkrótce jednak templariusze podjęli się wielu handlowych i militarnych przedsięwzięć zarówno na Bliskim Wschodzie, jak w Europie, dzięki którym stali się jedną z najbogatszych i najpotężniejszych organizacji swej epoki. Zakon obejmował trzy klasy braci: służebnych, kapelanów oraz rycerzy. Tylko tym ostatnim po złożeniu zakonnych ślubów czystości, ubóstwa i posłuszeństwa wolno było nosić charakterystyczne białe szaty z czerwonym krzyżem.

Table of Contents

